ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

ZA KRATAMI · WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

(WSPOMNIENIA I NOTATKI WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914 — 1921)

TOM II

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ KOMITET REDAKCYJNY:
MJR. DR. WACŁAW LIPIŃSKI, KPT. ROMAN ŚLIWA I KPT. CASPAERI-CHRASZCZEWSKI
POD PRZEWODNICTWEM
GEN. BRYG. JULJANA STACHIEWICZA

WARSZAWA 1928
NAKŁADEM KOMITETU ORGANIZACYJNEGO ZJAZDU BYŁYCH WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914 — 1921.

SPIS RZECZY

Str.

1. Przedmowa IX
2. *Kazimierz Sosnkowski* — Z Legjonów do Magdeburga XI
3. *Michał Sokolnicki* — Przed aresztowaniem Komendanta 1
4. *Kordjan Zamorski* — Koniec epopeji 18
5. *Anatol Minkowski* i *Mieczysław Brodziński* — Za głosem sumienia . . . 98
6. *Jerzy Radomski* — Przeciwko przysiędze 105
7. *Stanisław Trella* — W obronie sztandaru 112
8. *Roman Starzyński* — Dzieje kryzysu przysięgowego w 5 p. p. Legjonów . 172
9. *Tadeusz Zwisłocki* — Z rozkazu Komendanta... 201
10. *Kazimierz Kierkowski* — Nieco dokumentów do sprawy przysięgi i rozbicia Legjonów 213
11. Stefan Kozłowski — Fragment z dziennika Szczypiorniaka 228
12. *Kazimierz Kierkowski* — Z austrjackiego więzienia do pruskiego obozu internowanych 247
13. *Wacław Kobylecki* — Wspomnienia ze Szczypiorny i Łomży 286
14. *Stanisław Pewnicki* — Sprawa przysięgi w 2 p. ułanów 312
15. *Wacław Sokolewicz* — Garść wspomnień z za krat obozu Havelberskiego 336
16. *Tadeusz Münnich* — Wśród c. k. „trepów" 342
17. *Roman Górecki* — Aresztowanie sztabu P. K. P. 357
18. *Norbert Okołowicz* — Noc z 15 na 16 lutego 1918 r. w II Brygadzie . . 364
19. *Alfred Wallner* — Z Legjonów do Marmarosz-Sziget 377
20. *Zygmunt Popiołek* — Z obozu w Szeklencze na włoski front 388
21. *Jan Wilczyński* — Obóz Talaborfalva 402
22. *Tadeusz Malinowski* — Od Rarańczy do Kaniowa 410
23. *Wanda z Czarnockich Bielańska* — Dziesięć dni w moskiewskiej czerezwyczajce na Łubiance 446
24. *Tadeusz Teslar* — Powijaki P. O. W. w Moskwie 454
25. *Wacław Przeździecki* — Wspomnienia z więzienia w Mińsku Litewskim . 482
26. *Adolf Abram* — Po bitwie Mikulinieckiej 490
27. *Bolesław Wieniawa-Długoszowski* — Z moich przepraw na Ukrainie i w Rosji 494

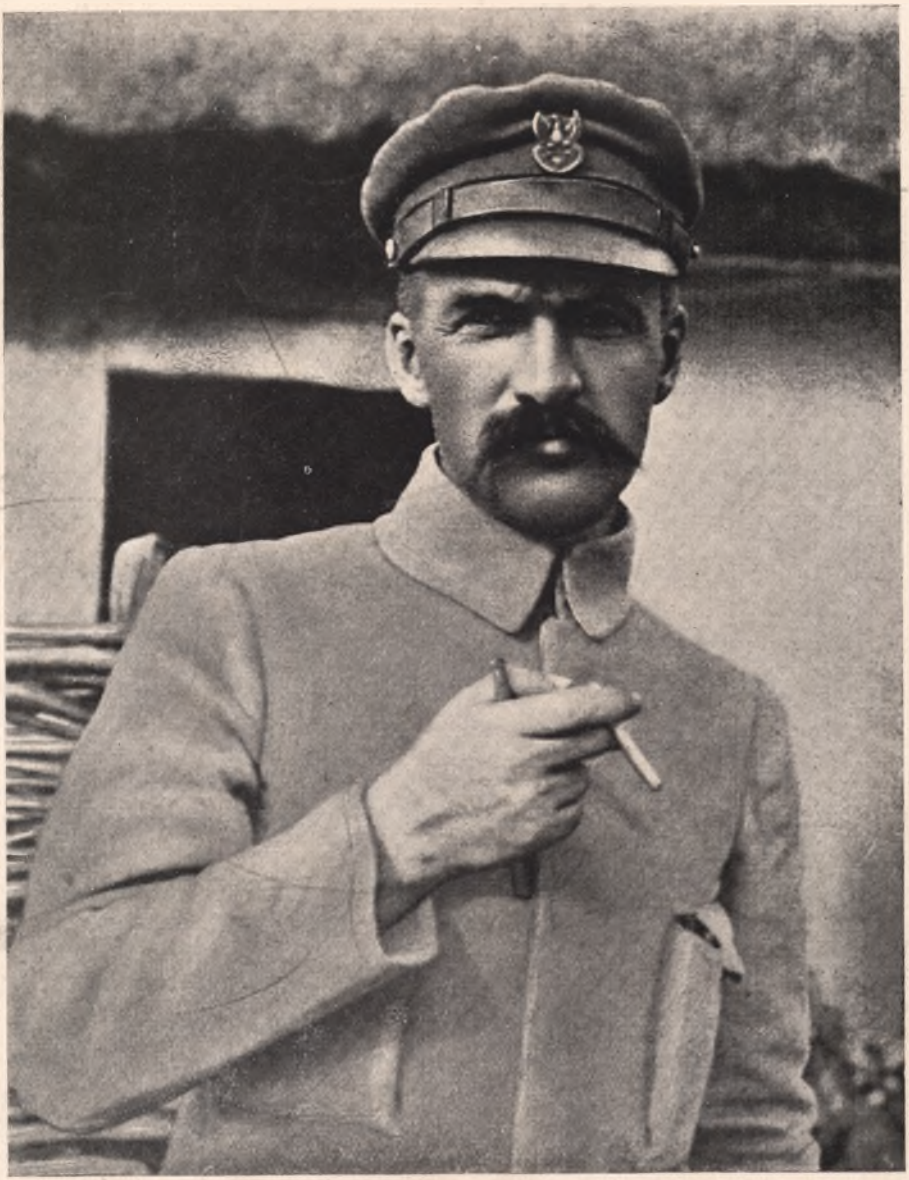

KOMENDANT W ROKU 1916

PRZEDMOWA

Drugi tom niniejszych wspomnień, który oddajemy w ręce czytelników — różni się nieco układem od tomu pierwszego „Za kratami więzień i drutami obozów". Gdy bowiem, w tomie poprzednim w myśl założeń płynących z samego tytułu książki, jej treść poświęcona została głównie martyrologji więziennej żołnierzy, Sprawy i Komendanta — o tyle tom niniejszy ma przedewszystkiem oświetlić te etapy walki o niepodległość, której pierwszym efektem były kraty więzienne i obozowe druty. Rok bowiem 1917 i 1918, zwłaszcza okres pierwszy — to rozpoczęcie bezwzględnej i do zwycięstwa niechybnie mającej prowadzić walki z Niemcami. Ta walka o sztandar żołnierski, niezłomna walka o postulaty narodowe i z niemi związane jak najściślej postulaty wojskowe — była etapem, którego konsekwencję wówczas poniósł Wódz, w murach Magdeburga uwięziony i ponieśli Jego żołnierze, tak licznie zapełniający obozy i więzienia państw centralnych.

Ten tedy pamiętny, a pełen bohaterstwa okres — starał się udokumentować komitet redakcyjny, zbierając doń materjały. Jeśli nie wszystkie momenty zostaną tutaj należycie oświetlone, jeśli nie wszystkie sprawy z tego okresu zostaną wyjaśnione — nie wypływa to z braków zebranego tu materjału, a raczej z różnorodności i bogatej rozmaitości walk, jakie żołnierze niepodległości w latach 1917-1918 na wszystkich krańcach Polski i daleko poza jej krańcami — uparcie przeprowadzali.

Że nie na małym froncie toczyła się ta walka — świadczą niniejsze wspomnienia, zapiski i dokumenty. Zarówno sprawy kryzysu przysięgowego, tak tragicznie na losach żołnierza polskiego się odbijające, zarówno prace i wysiłki Polskiej Organizacji Wojskowej, jak i losy II Brygady wraz z losami żołnierskiemi korpusów formowanych na Wschodzie — wszystko to świadczy niezmiennie o jednej wielkiej prawdzie: z trudu i znoju żołnierskiego, z męki i cierpień więziennych — Polska powstała, by żyć...

KOMITET REDAKCYJNY

Kazimierz Sosnkowski

Z LEGJONÓW DO MAGDEBURGA.

(22.VII.1917 — 11.XI.1918)

I.

16 lipca 1917 r. o godzinie 4 po południu do pensjonatu przy ulicy Moniuszki, gdzie wówczas mieszkałem, przybyli agenci policji politycznej generał-gubernatora niemieckiego z nakazem przeprowadzenia rewizji. Kryzys przysięgowy był w pełnym toku; Sławka aresztowano ostatniej nocy; mnożyły się ostrzeżenia o dalszych represjach. Wśród naszych przyjaciół domagano się potajemnego wyjazdu Komendanta. On sam już od pewnego czasu rozważał szanse i możliwości przedostania się do Rosji.

Wiosna tego roku zmieniła układ sił na arenie świata: przewidywaliśmy, iż rewolucja rosyjska i czynne wystąpienie Stanów Zjednoczonych będą musiały wpłynąć na rozwój wypadków w sensie przez nas upragnionym i doprowadzić do kolejnej porażki, lub conajmniej do wielkiego osłabienia wszystkich państw zaborczych. Zdawał się zbliżać okres schyłku wojny światowej, gdy wśród powszechnego wyczerpania, posiadanie własnej, dostatecznie liczebnej siły zbrojnej, niezależnej od obcych przedewszystkiem moralnie, wedle naszego ówczesnego rozumienia, winno było stać się czynnikiem najbardziej ważkim dla losów sprawy polskiej, zmuszających tych, co je w swem ręku dzierżyli, do ostrożności w końcowych układach i kompromisach. Niebezpieczeństwo, iż właśnie sprawa polska stanie się w pierwszym rzędzie przedmiotem handlu podczas układów pokojowych, groziło zawsze, dopóki choć jeden z zaborców miał szanse zasiąść przy stole narad po stronie zwycięskiej. Pragnęliśmy więc przedewszystkiem zgromadzenia maximum siły fizycznej w ręku Wodza, gwarantującego niezależność polskiej racji stanu. Akt 5 listopada był w naszych oczach parodją niepodległości i wartość posiadał o tyle tylko, o ile mógł dać podstawę do stworzenia silnej armji pod wo-

dzą Piłsudskiego. Parę miesięcy pracy w Departamencie Wojskowym Tymczasowej Rady Stanu wystarczyły najzupełniej, aby rozwiać wszelkie pod tym względem iluzje: państwa centralne postępowały nadzwyczaj ostrożnie, co więcej, niechętnie i nieszczerze. Natomiast upadek caratu stwarzał możliwości tworzenia armji polskiej w Rosji. Stąd jedyny kierunek wyjazdu, posiadający wówczas cel i sens, prowadził na Wschód, zaś jedynym szlakiem otwartym, wiodącym do Rosji — była droga powietrzna.

Sprawa nie była więc ani prostą, ani łatwą w wykonaniu.

Przypadek zrządził, iż podczas rewizji był właśnie u mnie Komendant. Przetrząśnięcie niewielkiego pokoju trwało dość długo; szukano dokładnie, przeglądając każdy skrawek papieru. Patrzyłem z uśmiechem starego konspiratora na puste ręce i rozczarowane twarze agentów, opuszczających moje mieszkanie wśród grzecznych ukłonów.

W nocy z 21 na 22 lipca wróciłem bardzo późno do domu, spędziwszy wieczór u Michała Sokolnickiego gdzie, po konferencji z Komendantem, zasiedliśmy do tradycyjnej partji winta. O świcie, z głębokiego snu obudził mnie odgłos dzwonka, brzęczącego niezwykle uparcie i hałaśliwie u drzwi wchodowych. Zaledwie w półsennej świadomości, zdołałem sformułować nieomylny wniosek, iż nadeszła chwila oczekiwanego oddawna aresztowania, ujrzałem przed sobą postacie trzech cywilnych panów. W następnej minucie wiedziałem już, że czeka mnie dalsza podróż.

Toaleta moja nie trwała długo, walizki zostały rychło spakowane przy pomocy jednego z agentów. Na ulicy, przed domem, oczekiwał samochód, który poniósł mnie szybko wraz z mymi milczącymi towarzyszami poprzez puste jeszcze zupełnie ulice Warszawy. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, samochód zatrzymał się przed paradnem wejściem dworca wiedeńskiego.

Już na samym progu salonu recepcyjnego zobaczyłem Komendanta, który, siedząc na fotelu u przeciwległej ściany, uśmiechnął się zlekka na mój widok. Czterej rośli żandarmi, ubrani i uzbrojeni przepisowo, stali dyskretnie w kącie sali; oficer niemiecki w randze kapitana podszedł do mnie i, salutując, przedstawił mi się, poczem niezwłocznie dał znak do odjazdu.

Peron był pusty zupełnie, nieliczni przechodnie siedzieli już w wagonach. Umieszczono nas w przedziale 2 klasy. Komendant w szarym mundurze legjonowym zajął miejsce na jednej z ławek, mając z obu stron żandarmów. Jeden z nich był charakterystycznym typem Prusaka, ciężkiego, masywnego, z rudą, rozłożystą brodą. Ja, w ubraniu cywilnem, znalazłem się naprzeciwko Komendanta, również w to-

warzystwie dwóch „aniołów-stróżów"; kapitan, eskortujący nas, zasiadł skromnie w rogu przedziału przy oknie. Rozpoczęliśmy z Komendantem dyskretną rozmowę, półsłówkami, licząc się z tem, że zapewne nasi towarzysze rozumieją po polsku; snuliśmy oględne domysły co do celu naszej podróży. Około godziny 2-ej kapitan zaproponował spożycie obiadu i zaprowadził nas do wagonu restauracyjnego, gdzie zasiedliśmy we trzech przy osobnym stoliku, pozostawiając żandarmów u przejścia. Drobny ten szczegół był widocznie obmyślony zgóry, aby nie zwracać uwagi dość licznych pasażerów.

O 5-ej przybyliśmy do Poznania: pierwszy raz w życiu i w tak niezwykłych warunkach zetknąłem się z Wielkopolską. Po krótkiem oczekiwaniu, w pokoju naczelnika stacji, zmieniwszy pociąg, ruszyliśmy dalej. Był śliczny wieczór lipcowy; słońce barwiło piękne i żyzne łany Wielkopolski, zastawione złocistemi snopami żyta. Minąwszy parę stacyj, zorjentowaliśmy się, że kierunek naszej podróży, począwszy od Poznania, wykręcił wyraźnie ku północy; oczyma zakomunikowaliśmy sobie zdziwienie. Mijając Piłę, nie mieliśmy już żadnej wątpliwości, że jedziemy do Gdańska. Zdecydowałem się nagabnąć wyraźnie kapitana, dokąd nas wiezie; ociągając się i niechętnie odparł, iż chociaż nie jest mu znane ostateczne przeznaczenie, przypuszcza jednak, że zostaniemy umieszczeni w oficerskim obozie jeńców wojennych w Weichselmünde. Późnym wieczorem minęliśmy Tczew; około godziny 1-ej w nocy pociąg stanął w Gdańsku.

Z dworca ruszyliśmy pieszo poprzez mroczne ulice uśpionego miasta. Pięknie pachniały kwitnące lipy; poprzez ich gęste konary przedzierał się od czasu do czasu błysk latarni ulicznej, świecącej zrzadka i samotnie, — gwoli oszczędności. Sądziłem, że prowadzą nas do komendy miasta czy też garnizonu: zdawały się przemawiać za tem warunki dotychczasowej podróży, inscenizacja naszego wyjazdu, wreszcie wyrażony półgębkiem i, jak się okazało nieszczerze, domysł kapitana. Ale... „der weiche Traum zerschellt an die harte Wirklichkeit", powiedział jeden z niemieckich pisarzy i niebawem mieliśmy sposobność przekonać się naocznie, ile słuszności i zdrowego rozsądku kryje się w tem poetyckiem twierdzeniu. „Halt", — rozległa się wydana półgłosem komenda kapitana, — i po chwili rudy żandarm szarpał za dzwonek u żelaznych wrót wielkiego budynku z surowej cegły, o charakterystycznym wyglądzie.

Sprawnie i szybko rozwarły się wrota, — zdążyłem jednak jeszcze zakląć z cicha, gdyż, rzuciwszy okiem na zawieszoną u góry tablicę, ujrzałem krótki, lecz wymowny napis:

„Gerichtsgefängniss".

Moja znajomość niemieckiego była naówczas już wystarczającą, abym mógł, w ciągu ułamka sekundy zdać sobie sprawę, iż słowo to w języku Goethego oznacza najpospolitszy kryminał.

W kancelarji więziennej rozpoczął się rytuał zwykłych formalności. Nasz kapitan zamienił szeptem parę zdań z dyżurnym funkcjonarjuszem więzienia, podpisał protokół oddania i odbioru „transportu", z rosnącem w sposób widoczny zażenowaniem pożegnał się z nami, wreszcie z pewnym pośpiechem opuścił więzienie, jak gdyby rad, iż skończyła się wreszcie nieprzyjemna, bądź co bądź, dla oficera w mundurze, funkcja politycznego policjanta. Wraz z jego wyjściem ustała niezwłocznie wszelka komedja pozorów, ustępując miejsca wulgarnej procedurze, właściwej, jak sądzę, dla każdego porządnego i szanującego się kryminału. Odebrano nam pieniądze, przedmioty złote i srebrne, rzeczy poddano rewizji i nareszcie, po tym nieco długim i męczącym wstępie, odprowadzono nas do wyznaczonych cel.

Więzienie gdańskie zbudowane jest na sposób „nowoczesny": środek głównego budynku stanowi pusta hala, przebiegająca od parteru aż po dach, opasana czterema piętrami żelaznych galeryj, zastępujących korytarze. Cechą charakterystyczną tych budowli jest niezwykły rezonans, spowodowany zarówno konstrukcją, jak i doborem materjału, na który składa się bodaj wyłącznie cegła, beton i żelazo, — to też odgłosy kroków naszego małego orszaku dźwięczały w ciszy nocnej zgoła przeraźliwie. Poprowadzono nas na trzecie piętro. Hierarchję legjonową uwzględniono w ten sposób, że pierwszego „ulokowano" Komendanta. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy z łoskotem zatrzaśnięto za nim żelazne drzwi celi (numeru jej, niestety, nie pamiętam) i gdy się rozległ klasyczny i nieodzowny we wspomnieniach więziennych zgrzyt klucza w zamku. Mnie umieszczono na tem samem piętrze; ponieważ nie przypuszczam, aby architekt tej szacownej instytucji, w przewidywaniu jej historycznej roli, wysilał zbytnio swą dekoratorską fantazję, przeto sądzę, że opis mojej celi będzie jednocześnie wierną fotografją celi Komendanta. Zacznę od najbardziej charakterystycznego szczegółu.

Wypisana wielkiemi cyframi na drzwiach celi liczba, wskazująca ze ścisłością do jednej setnej jej kubaturę w metrach sześciennych, zdawałaby się upoważniać do nadziei na minimalny, choćby zgoła więzienny „komfort". Tymczasem już na progu poczułem obrzydliwy zaduch: jeden rzut oka i pobieżne oględziny celi wykazały, że fetor pochodzi z kąta, mieszczącego t. zw. w syberyjskich wspomnieniach „paraszę".

Rozmiary celi wynosiły około pięciu kroków wzdłuż i trzech wszerz. U góry małe okienko, opatrzone mocną kratą; tapczan w po-

staci blaszanej płyty, wpuszczanej w ścianę na dzień, opuszczanej na noc; na tapczanie siennik z grubego materjału w niebieską kratę, o silnym zapachu chlorku, miłym o tyle, że dowodzącym czynności prania; mały żelazny stolik, również w formie klapy, przytwierdzonej do ściany, nad stolikiem niewielka drewniana szafeczka; jeden stołek, — oto przedmioty, stanowiące urządzenie celi.

Szczególnym przywilejem, przyznanym mi w więzieniu gdańskiem, było pozwolenie na sprowadzanie żywności z miasta. Szczęśliwym trafem, podczas pakowania walizek w Warszawie, zdołałem zabrać parę książek, które rewizja w kancelarji więziennej łaskawie oszczędziła: przeczytałem je z taką sumiennością i dokładnością, z jaką chyba dotychczas żadnej książki nie studjowałem.

Jedynem urozmaiceniem życia więziennego w Gdańsku był regularny półgodzinny spacer (t. zw. „Freistunde"), odbywający się pod eskortą uzbrojonego dozorcy, zresztą w zupełnej samotności, na jakiemś małem, izolowanem podwórku, miłem przez to, że niepozbawionem zieleni, albowiem znajdował się tam, zgodnie z wymaganiami czasów wojennych, niewielki warzywny ogródek.

Szóstego dnia rano, dozorca więzienny uprzedził mnie, bym się przygotował do drogi, gdyż mam być przeniesiony gdzieś wgłąb Niemiec. Jakoż około godziny pierwszej po południu, sprowadzono mnie do kancelarji, gdzie oczekiwała już eskorta w składzie oficera i 2-ch rosłych żandarmów, przypominających wzrostem Fryderycjańskich gwardzistów. Dowódca eskorty, zgrabny, młody chłopiec, o miłej powierzchowności, z krzyżem żelaznym pierwszej klasy na piersiach, najwidoczniej awansowany na froncie podoficer, gdyż w randze „Feldwebel-leutenanta", — uważał za potrzebne zaprodukować przedemną próbkę pruskiego drill'u. Zdołałem, podczas załatwiania formalności, odczytać jego podpis na protokóle — nazywał się Bukowski, był więc najwidoczniej Polakiem z pochodzenia. Pan feldwebel-leutenant wystosował do mnie krótką i energiczną przemowę w podoficerskim stylu, zakończoną efektownym zwrotem: „wenn Herr Oberst weglaufen wollen, befehle ich zu schiessen", poczem nastąpił groźny finał w formie komendy: „Laden und sichern!". Sięgnęły niezgrabne żandarmskie łapy do ładownic, szczęknęły zamki karabinów i wkrótce opuściliśmy gdański kryminał. Nie mogę powiedzieć, aby powrotna droga na dworzec wypadła równie mile, jak spacer do więzienia wśród zapachu lip i pod osłoną cieniów nocy. Tym razem mój sierdzisty opiekun prowadził mnie z pewną pompą: na przedzie kroczył żandarm z nabitym karabinem i nasadzonym bagnetem, za mną szedł drugi żandarm podobnie uzbrojony, zaś pochód zamykał, jako dowódca „transportu", mój miły, quasi rodak. Zgoła

bojowy szyk eskorty oraz moje cywilne ubranie wzbudzały niekłamaną sensację i powodowały głośne, a niepochlebne komentarze wśród publiczności, tłumnie zalegającej ulice. Na dworcu kolejowym w pewnym momencie postawa tłumu stała się tak wyzywająca, że dowódca eskorty musiał wystąpić w mej obronie. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, iż uczynił to z energją conajmniej równą tej, jaką przejawiał dotychczas w stosunku do swego więźnia. Z pewną ulgą wsiadłem do wagonu, na którym umocowana była tabliczka z napisem „nach Berlin".

Nie wiedziałem, opuszczając dworzec gdański, iż zobaczę go ponownie po pięciu latach, jako Minister Wojny Rzeczypospolitej i, że w miejscu, które było świadkiem mego upokorzenia, witać mnie będą oficjalnie przedstawiciele władz polskich.

II.

Przybyliśmy do Berlina o wschodzie słońca. Prowadzono mnie przez centrum miasta. Z ciekawością rozglądałem się dokoła: znając Berlin jeszcze z czasów przedwojennych, starałem się dociec, jakie piętno wycisnęła na nim wojna i odniosłem wrażenie, że stolica Niemiec, przynajmniej w śródmieściu, zachowała swoją charakterystyczną fizjognomję sztywnego porządku i sytego dobrobytu. Po godzinnym marszu przybyliśmy na jakiś, nieznany mi, drugorzędny dworzec kolejowy. Tym razem zostałem umieszczony w przepełnionym publicznością wagonie 3-ej klasy. Nie byłem rozgniewany tą degradacją, gdyż dało mi to możność czynienia ciekawych obserwacyj.

Wagon był zajęty przez robotników i biedną ludność, zdążającą w okolice podmiejskie, bądź do pracy, bądź to po zakupy żywności. Nawprost mnie na ławce siedziało kilka starszych kobiet, pochłoniętych żywą dyskusją na tematy, dotyczące cen żywności oraz sposobów jej zdobycia, wartości różnych ersatz'ów etc. Twarze były blade i bardzo wymizerowane. Z trudem tylko mogłem uchwycić sens rozmowy, prowadzonej w typowym, berlińskim djalekcie, ale to, co zrozumiałem świadczyło dość wymownie o czarnych nastrojach ludności, znękanej wojną i jej skutkami w życiu codziennem.

W Szpandawie kazano mi wysiąść; niebawem zarysowały się przedemną mury fortecy Szpandawskiej.

Szliśmy dość długo przez liczne podwórza forteczne, mijając wszelkiego rodzaju kazamaty i budynki, szpetniejsze jeden od drugiego. W obszernej kancelarji więziennej, stosy zapylonych aktów i papierów, oraz ilość zatrudnianego personelu, pozwalały wnioskować o rozmiarach więzienia i roli, jaką odegrało ono w dziejach Niemiec.

Nie znam osobiście więzień Rosji centralnej, ale wyobrażam sobie, iż więzienie forteczne w Szpandawie (Festungsgefängniss) musi je mocno przypominać: mroczne, choć obszerne ubikacje, stare, grube mury, wszędzie imponująca obfitość grubych krat, powietrze dusznc i sparte, przesiąknięte zapachem, złożonym z kombinacji starych, pożółkłych papierów, ludzkich wyziewów i jakiegoś nieokreślonego kwaśnego odoru; wszystko to dość suggestywnie oddziaływało na wyobraźnię.

Formalności tym razem trwały bardzo długo; podoficerowie, zatrudnieni w kancelarji, załatwiali wszystko nader flegmatycznie, przerywając sobie pracę rozmowami, prowadzonemi od stolika do stolika.

Wreszcie wyprowadzono mnie i kazano iść na piętro, gdzie znów musieliśmy długo czekać na jakąś nieokreśloną bliżej władzę więzienną, aby raczyła przyjąć mnie, wyznaczyć celę i zamknąć pod klucz. Gdym stał na korytarzu, wsparty o framugę okienną, otoczony naturalnie mymi „aniołami-stróżami", zauważyłem w pewnym momencie zbliżającą się do nas grupkę eskorty, wśród której, ku swemu niekłamanemu wzruszeniu, ujrzałem siwy mundur Komendanta. Gdy Komendant mijał mnie, nie mogłem powstrzymać się od instynktownego odruchu w jego stronę; odruch ten jednak został szybko powstrzymany przez mocną gestykulację moich opiekunów.

Przez krótką chwilę spotkania zdołałem z niepokojem zauważyć zły wygląd Komendanta, którego twarz była bardzo zmęczona i blada. Nie przypuszczałem wówczas, iż w przeciągu roku zgórą, nie tylko Go nie zobaczę, lecz nawet nie będę wiedział, gdzie przebywa i jakie są Jego losy.

Więzienie w Szpandawie miało swoje dobre i złe strony. Cela miała nieco większe wymiary, aniżeli w Gdańsku oraz była skanalizowana. Do złych stron należał brak spacerów, brak książek i papieru, zakaz sprowadzania żywności z miasta i wogóle wyjątkowo brutalny regulamin więzienny, stosowany w taki sposób, jak gdybym był pospolitym gemajnem, skazanym za ciężką zbrodnię. Rano otrzymywałem menażkę czarniawej, niesłodzonej lury, zwanej „kawą", do tego kawałek czarnego chleba; na obiad menażkę ohydnej kleistej cieczy, a raczej klajstru, sporządzonego z garści mąki, rozgotowanej w osolonej wodzie. W klajstrze tym smętnie pływały dwie małe suszone gruszki. Na kolację znów „czarna kawa" z kawałkiem chleba. O godzinie 7 i pół wieczorem trzeba było być już rozebranym i leżeć na tapczanie, gdyż o tej godzinie wchodził dozorca, aby zabrać stołek i ubranie więźnia, t. zn. wszystko, co nie było w celi „Niet- und Nagelfest". Rygor ten był bardzo uciążliwy: podczas wojny w Niem-

czech obowiązywał t. zw. czas letni, czyli w lipcu od godz. 7 i pół pozostawało do zachodu słońca przeszło dwie godziny. Trzeba więc było leżeć, rozmyślać i czekać nadejścia nocy. Zaledwie jednak upragnione ciemności zaczęły spowijać celę, zaczynała się prawdziwa udręka. Ze wszystkich zakątków, szpar i szczelin wyłaziły chmary pluskiew; beznadziejna walka z robactwem trwała aż do świtu, zamieniając sen w koszmarną, nieustannie przerywaną drzemkę. O godzinie 5 rano wchodził dozorca, przynosząc stołek i ubranie, poczem dzień powtarzał się z całą dokładnością.

Nic dziwnego, że po tygodniu podobnego regime'u z prawdziwą ulgą wysłuchałem opryskliwego oświadczenia dozorcy, że mam być gotów do dalszej drogi. Zachodziłem w głowę, dokąd mnie tym razem zawiedzie tajemnicza wola władz niemieckich. Nie traciłem jeszcze nadziei, że wkońcu umieszczą mnie gdzieś razem z Komendantem.

Dowódca nowej eskorty, zwykły podoficer, okazał się człowiekiem wielce dobrodusznym i rozmownym. Niepytany nawet, wnet mi oznajmił, że jedziemy do Wesel. Nazwa miejscowości nie była mi obcą. Wesel... Wesel... powtarzałem w myśli, szukając gorączkowo w pamięci. Przypomniałem sobie wkrótce, iż jest to niewielkie miasto nad Renem, przez które przejeżdżałem wiosną 1914 r., ukończywszy inspekcję oddziałów strzeleckich w zachodniej Europie. Ostatnim etapem ówczesnego mego objazdu był Londyn, skąd przez Vlissingen, czyli drogą na Holandję i Niemcy wracałem do kraju.

Uporawszy się w ten sposób z geografją, począłem snuć rozliczne domysły na tematy o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane. Co u licha mogło skłaniać rząd niemiecki do nieustannego wożenia nas z miejsca na miejsce? Co zamierzają z nami uczynić, co oznaczać może ukrywanie nas w małej forteczce na pograniczu Holandji? Czyżby nasi przyjaciele z P. O. W. wtargnęli zbrojną gromadą w granice Niemiec, zbliżając się do Berlina, tak, iż nawet groźna Szpandawa wydała się pruskiemu Ministerjum Wojny schronieniem nie dość pewnem i bezpiecznem? Czy władze niemieckie zamierzają wytoczyć nam proces? Czy też może w jakiś zgoła perfidny i nieludzki sposób zamierzają zlikwidować radykalnie nienawistną dla siebie „Pilsudskifrage": naprzykład ukryć nas dobrze w pierwszej lepszej dziurze i poprostu struć, inscenizując, dajmy na to epidemję tyfusu lub dyzenterji, oraz stwierdzając urzędowo przyczynę śmierci w zelganym protokóle zaufanych władz miejscowych. A może poprostu wywiozą nas za granice państwa, np. do Holandji, kraju neutralnego? Ostatnia hypoteza, choć zupełnie nieprawdopodobna, wprawiła mnie w dobry humor: wogóle byłem nastrojony nieco optymistycznie, głównie dzięki dobrodusznej postawie eskortującego podoficera, który opiekował

KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

się mną starannie, wysyłał na stacjach swych żandarmów po piwo i parówki i gawędził poczciwie z publicznością, zapełniającą po brzegi nasz przedział.

Wieczorem mijaliśmy przemysłowy okręg Zagłębia Ruhry. Szeregi wielkich pieców i walcowni żelaza ciągnęły się bez przerwy z obu stron toru; słupy jaskrawych płomieni strzelały wysoko w mroczne niebo: ciężki przemysł niemiecki pracował pełną parą dla zaspokojenia potrzeb walczącej armji. Widok ten wywierał wrażenie imponującej potęgi i siły.

Cytadela w Wesel jest starą budowlą obronną, wzniesioną w 1807 roku przez Napoleona. Zewnętrzny jej wygląd stanowi pewien odpoczynek dla oczu, zmęczonych szpetotą pruskich fortecznych budowli: potężne obwodowe mury, łamiące się w zarysie ostro wyciętemi kątami, okolone głęboką fosą, okrągłe baszty o wyniosłych, śpiczastych dachach, patyna starej cegły, barokowe bramy z ciosanego kamienia, — wszystko razem nie jest pozbawione swoistego i nieco średniowiecznego charakteru. Oczywiście, owa romantyczna malowniczość stanowi bardzo słabą rekompensatę dla więźnia, korzystającego z gościnności tych szacownych murów.

Moja nowa cela o kształcie wąskiej, wydłużonej kiszki, położona była niżej poziomu więziennego podwórza, jak gdyby w suterenie; niewielkie okienko, zaopatrzone w grubą kratę, tamującą dostęp światła, zaopatrzone było ponadto od zewnątrz w kosz z blachy żelaznej, zasłaniający zupełnie wszelki widok. W rezultacie nawet w biały dzień panował w celi stały półzmrok. Natomiast wielką jej zaletą była wydłużona forma, która pozwalała na swobodne chodzenie tam i z powrotem.

Dzień upływał za dniem w zupełnej ciszy i samotności, bez książek, bez papieru, w kompletnej, przymusowej bezczynności.

Cela moja mieściła się w narożniku, — sąsiednia, położona z drugiej strony była niezajętą. Pewnego wieczoru, leżąc na tapczanie, wśród dzwoniącej w uszach ciszy, usłyszałem daleki i przytłumiony odgłos kroków, o dobrze znanym mi rytmie. Po chwili nie miałem żadnej wątpliwości, że w tej stronie, w trzeciej lub w czwartej celi, więziony jest Komendant.

Jakoś po tygodniu, dostąpiłem zaszczytu odwiedzin dowódcy fortecy, czy też garnizonu. Generał stary człowiek, o sympatycznej twarzy i miłej powierzchowności, odbywał widocznie inspekcję więzienia, gdyż przybył w otoczeniu paru oficerów. Rozmowa nasza była bardzo lakoniczna:

„Haben Sie irgendwelche Beschwerden?"

„Keine".

„Haben Sie etwa Wünsche?"

„Keine, Herr General. Danke".

Jednak wizyta nie minęła bez śladu. Już po paru godzinach dozorca, z rozkazu generała, zakomunikował mi, iż mam prawo korzystać z bibljoteki więziennej, że mogę otrzymywać miejscowe pismo codzienne oraz, że niebawem zostanę przeprowadzony do innej, lepszej celi.

Można sobie wyobrazić z jaką zachłannością rzuciłem się na gazetę; niestety, nie zawierała ona żadnych wiadomości z Polski. Głównem źródłem informacyj były w niej komunikaty wojenne, z których dowiedziałem się o katastrofie t. zw. „ofensywy Kiereńskiego" w Małopolsce Wschodniej. Bibljoteka więzienna składała się z kilkudziesięciu tomów, przeważnie treści dydaktyczno-religijnej. Zdołałem jednak wyszperać w katalogu parę ciekawych, a nieznanych mi książek. Z prawdziwą rozkoszą zagłębiłem się w lekturę sprawozdań Stanleya z jego podróży do Centralnej Afryki. Dziwnym zbiegiem okoliczności komunikaty kwatery głównej zamieszczały w tym czasie niemal codzień opisy walk, prowadzonych w kolonjach afrykańskich pod wodzą pułk. Lettov-Vorbeck'a. Tak więc przed oczyma wyobraźni rozwijały się w paradoksalnem zestawieniu dwa równoległe obrazy, odległe w czasie o lat czterdzieści kilka: jeden w fascynujących opisach Stanleya, obrazujących kraj dziewiczy i pełen tajemnic, którego nie dotknęła jeszcze stopa białego człowieka, oraz drugi w komunikatach wojennych, gdzie powtarzały się nieustannie nazwy miejscowości, wymienianych przez Stanleya, tym razem jednak stanowiących widownię walk, toczonych przy pomocy szybkostrzelnych armat, karabinów maszynowych i aeroplanów.

Wkrótce odbyła się zapowiedziana przeprowadzka. Otrzymałem celę obszerną, jasną i suchą, położoną na piętrze, skąd otwierał się rozległy widok na wielki dziedziniec forteczny. W więziennem życiu, jak na oceanie, każdy drobny szczegół, przerywający monotonję dnia codziennego, nabiera szczególnej wartości. Mogłem w oknie godzinami całemi obserwować ruch na dziedzińcu, pracę załogi, przemarsz oddziałków wojskowych, których śliczny śpiew świadczył o bliskości Renu. Pewnego dnia zauważyłem z oddali mundury belgijskich i angielskich oficerów; widocznie w fortecy, oprócz więzienia, mieścił się obóz jeńców wojennych.

Każda rzecz jednak „ma swoją Schattenseite", — zwykł mawiać Komendant. W pawilonie, do którego mnie przeniesiono, personel dozorujący stanowili żandarmi wojskowi o dziwacznych, zaiste, zwyczajach. Drzwi celi zaopatrzone były w t. zw. „judasza". Niemal co godzinę okienko judasza odsuwano i jakieś anonimowe, wyłupione

oko długo i uparcie lustrowało celę; widocznie obawiano się, bym nie ulotnił się w zaświaty, niby nadziemska jakaś istota. Ten nieznośny zabieg nie wystarczał jednak moim pieczołowitym opiekunom: parokrotnie w ciągu nocy drzwi otwierały się znienacka z łoskotem, i paru żandarmów podchodziło do łóżka, świecąc mi latarką elektryczną wprost w oczy. Muszę szczerze wyznać, iż podobny system ciągłego budzenia irytował mnie i denerwował niesłychanie.

W ten sposób upłynął zgórą miesiąc. Zaczynałem już wierzyć, że program wycieczek krajoznawczych po niemieckich kryminałach zo stał całkowicie wyczerpany. Okazało się jednak, że byłem w błędzie, któregoś dnia w początkach września oznajmiono mi, że nadszedł rozkaz przewiezienia mnie do Magdeburga.

III.

Miejscem, gdzie miałem znaleść przytułek na przeciąg jednego roku, okazało się więzienie Wyższego Sądu Wojskowego w Magdeburgu (Oberkriegsgerichtsgefängniss). Groźny tenor tego zawiłego i trudnego słowa spowodował, iż przez dłuższy okres czasu spodziewałem się nieustannie rozpoczęcia procesu, sądu wojennego nad sobą, badania, śledztwa, dochodzeń. Dopiero po upływie paru miesięcy, gdy pies kulawy się o mnie nie troszczył i o nic nie pytał, doszedłem do wniosku, że jest grubą naiwnością z mej strony przetrząsać szatki niemieckiej Temidy, w poszukiwaniu t. zw. zasad prawa i przepisów procedury. Machnąłem więc ręką na wszelkie dociekania i zacząłem brać rzeczy z prostotą, równą tej, jaką stosowano do mnie.

Zresztą warunki więziennego bytu uległy znacznej zmianie na lepsze. Otrzymałem celę oficerską. Był to spory pokój, położony na trzeciem piętrze; okno wychodziło na niewielkie podwórko więzienne. Do głównego budynku przylegało pod kątem prostym trzypiętrowe skrzydło, mieszczące więzienie żołnierskie. Pozostałe dwa boki podwórka ogrodzone były wysokim murem. Na lewo, poza murem stały budynki fabryczne jakiejś wojskowej wytwórni, będącej przez dzień i noc w bezustannym ruchu. Nawprost mego okna do więzienia przylegały tereny sąsiadujących koszar; w tym kierunku widok z mej celi był bardzo rozległy, sięgając na dalekie podmiejskie błonia, przecięte na horyzoncie torem linji kolejowej.

Urządzenie celi przypominało żywo skromny, studencki pokój na lwowskim czwartaku. Dozorca feldwebel, który przez rok cały stanowił jedyną więź, łączącą mnie ze światem zewnętrznym, był człowiekiem spokojnym, w stosunku do mnie uprzejmym i usłużnym. Zaraz na wstępie oświadczył mi, że mogę stołować się u niego za

skromną opłatą. Oczywiście, kuchnia podoficerskiej rodziny niemieckiej na schyłku wojny, nie obfitowała w lukullusowe przysmaki i nieraz kiwałem głową nad zagadkowemi, nieprawdopodobnemi „ersatzami", ale naogół jedzenie, aczkolwiek więcej, niż skromne, było przecież zdrowe, przyrządzone czysto i wystarczające ilościowo.

Już po paru tygodniach przyznano mi szereg cennych uprawnień. Mogłem dysponować za pośrednictwem feldwebla pieniędzmi, zabranemi z Warszawy. Pozwolono mi prenumerować gazetę „Magdeburgische Zeitung" — czołowy organ stronnictwa narodowo-liberalnego, skrajnie nacjonalistyczny i reakcyjny, lecz redagowany umiejętnie i poważnie; pozwolono mi dalej abonować książki w jednej z miejskich wypożyczalni; mogłem kupować książki treści naukowej (z wyłączeniem wojskowych), materjały piśmienne i przybory rysunkowe. Godzina spaceru dziennie, możność korzystania „ad libitum" z łaźni więziennej — dopełniały szeregu uprawnień, zakrojonych, w porównaniu z niedaleką przeszłością, dość liberalnie. Oczywiście, nadzór nademną pozostał bardzo ścisłym i przez cały przeciąg czasu nie uległ ani razu osłabieniu lub rozluźnieniu. Podczas mego spaceru nikt nie miał prawa być obecnym na podwórku więziennem, oprócz feldwebla i dwóch wartowników, uzbrojonych w karabiny z nasadzonym bagnetem. Drzwi celi stale były zamknięte; klucz dozorca feldwebel zawsze miał przy sobie; on tylko miał prawo wchodzić do mnie, on mi przynosił jedzenie, gazety i książki; poza celą nie odstępował mnie nigdy ani na krok jeden. Byłem zresztą jedynym oficerem w więzieniu, które poza mną gościło w swych murach około setki prostych żołnierzy, oczekujących sądu, lub też skazanych za różne przestępstwa.

Zabrałem się energicznie do zorganizowania swego codziennego życia. Zdawałem sobie sprawę, iż, aby zwyciężyć samotność i więzienie, jego wpływ ujemny na ducha i ciało, należy ułożyć i narzucić sobie surowy system, dozwalający zachować sprawność mięśni i nerwów. Nie wiedziałem, jak długo wypadnie mi przebyć w niewoli: wojna mogła się jeszcze ciągnąć lata całe; każdy sukces państw centralnych oznaczał dodatkowy obrót klucza w zamku, zwycięstwo Niemiec w wojnie światowej w mojem pojęciu mogło zatrzasnąć szczelnie drzwi więzienia. Po pewnym namyśle postanowiłem ograniczyć radykalnie palenie papierosów, codzień rano robić pół godziny gimnastyki; trzy razy tygodniowo brać prysznic. Program pracy umysłowej objął bliższe zapoznanie się z literaturą niemiecką, opanowanie języka, wreszcie studja nad memi ulubionemi przedmiotami w dziale nauk technicznych: mechaniką techniczną, teorją wytrzymałości materjałów, statyką graficzną. Skompletowawszy so-

bie szereg dzieł z tego zakresu, sprowadziłem rajsbret, cyrkle i zabrałem się z zapałem do roboty. Kiedyś cały miesiąc zajęło mi obliczenie statyczne żelaznej kopuły, tak wielkiej, iż chyba można nią było nakryć kościół św. Piotra w Rzymie; pamiętam, jak mój feldwebel dyskretnie i w milczeniu dziwił się, widząc, jak na rajsbrecie wyrasta projekt renesansowego pałacu. Wspominając owe czasy, zwykłem twierdzić żartobliwie, iż, opuszczając więzienie, mógłbym objąć katedrę statyki w dowolnej uczelni. Moi profesorowie z Politechniki Lwowskiej, o ile przypadkiem do ich rąk trafią niniejsze wspomnienia, zechcą mi, zapewne, wybaczyć niewinną przesadę, zawartą w powyższem twierdzeniu. Tak, czy inaczej, z punktu widzenia czysto więziennego, system okazał się doskonałym i nieraz błogosławiłem mądrą i dowcipną naukę, nad której zawiłemi zagadnieniami głowiłem się dnie całe, zamazując liczne zeszyty znakami różniczek i całek, zapominając o świecie Bożym, przenosząc się w oderwane światy pasjonujących, matematycznych obliczeń.

Tak więc stopniowo stworzyłem sobie regularny i stosowany z całym rygorem tryb życia; poczęły monotonnym szeregiem upływać dni, tygodnie, miesiące.

Któregoś dnia przy końcu jesieni zawitał do mojej celi dowódca garnizonu. Krótki djalog, jaki się wywiązał między nami, był dosłownem powtórzeniem analogicznej sceny w Wesel, — i tym razem na stereotypowe zapytanie, odparłem lakonicznie, iż nie mam żadnych zażaleń, ani próśb. Jednak, albo generał wyznawał doskonałą wojskową zasadę, iż żadna inspekcja nie może i nie powinna minąć bez widocznego śladu, albo też poprostu był to porządny człowiek, nie pozbawiony rycerskich instynktów, który zapragnął w dostępnym dlań zakresie dać pewien wyraz swej opinji w naszej sprawie. Wolę pozostać przy tem drugiem przypuszczeniu, gdyż miło jest wśród smutnych i surowych przejawów życia móc zanotować ciepły odruch człowieczego serca. Dość, że po paru dniach, wróciwszy ze spaceru, znalazłem celę niezwykle przystrojoną; podłogę zaścielała duża mata, rodzaj dywanu; w oknie, przysłaniając kratę, wisiały kolorowe firanki; nad komodą błyszczało lustro; żelazne łóżko zastąpiono innem, zdobniejszem i wygodniejszem.

Wszystkie te sprzęty były nowiutkie, widocznie świeżo wzięte z magazynu.

Niestety, nie mogłem przyjmować gości, — ale na to sam dowódca garnizonu nie mógł zapewne, nic poradzić. Obawiam się, że źle mu się odwdzięczyłem za okazaną uprzejmość i że musiał on z własnej kieszeni pokryć pruskiemu skarbowi spowodowane przezemnie straty. Mianowicie, chodząc przez rok cały po swej celi tam i z po-

wrotem, wydeptywałem w dywanie prawdziwą ścieżkę w postaci szeregu przetartych nawskroś i postrzępionych miejsc.

Pisanie wspomnień z więzienia celkowego nie należy do rzeczy łatwych. Monotonja, jednostajność, absolutny brak wszelkich wydarzeń, a więc czynniki, które w przeżyciu czas rozciągają i dłużą, we wspomnieniu powodują utratę perspektywy, redukując długie nieraz okresy do rozmiarów matematycznego punktu. Dynamika życia ginie, pozostaje jedynie jego tło.

Zdrowie, poczynając od stycznia, zaczęło się psuć nie na żarty; nie mogłem się wygrzebać z nieustannych przeziębień. Cela moja była ogrzewana przez żelazny piecyk, który rozgrzewał się łatwo do czerwoności, szerząc wokół tropikalny upał; natomiast podczas mrozu, już w godzinę po wygaśnięciu ognia, temperatura obniżała się tak dalece, że nawet, nałożywszy palto, jeszcze odczuwałem nieznośny chłód. Dar dowódcy garnizonu — barwne firanki, nie mogły mnie zabezpieczyć przed podmuchami zimnego wiatru, wdzierającego się do celi poprzez szpary pojedyńczego, nieszczelnego okna.

Myślałem wówczas z niepokojem o losach Komendanta; nie wiedząc, w jakich warunkach przebywa, obawiałem się poważnie o jego zdrowie.

Marzec 1918 roku był miesiącem szczególnie ciężkim moralnie dla więźnia stanu, odciętego od świata zewnętrznego z całą precyzją niemieckiej organizacji. Izolacja była całkowitą; listy od rodziny podlegały drobiazgowej i skrupulatnej cenzurze; na tej drodze, choćby używając najdowcipiejszej alegorji, przy największym talencie pisania między wierszami, nie sposób było donieść coś istotnego o sytuacji ogólnej i o wypadkach w kraju. Pruski podoficer-dozorca w owym kulminacyjnym okresie sukcesów państw centralnych był jeszcze dyscyplinowaną, milczącą maszyną; filozofowanie i gadatliwość rozwinęły się w nim dopiero później, pod wpływem klęsk armji niemieckiej i rozwianych nadziei na zboże ukraińskie. Tak więc jedynem źródłem wiadomości, dostępnem wówczas w obrębie murów więziennych była hakatystyczna — „Magdeburgische Zeitung".

Wczesną wiosną 1918 r. opinja publiczna Niemiec była szczególnie silnie preparowaną przez posłuszną wskazówkom Kwatery Głównej prasę codzienną, na nutę zwycięstwa i najwyższego końcowego wysiłku.

Łamy wymienionego pisma w rubryce, zatytułowanej wymownie: „Hindenburgs Schwert und Ludendorffs Hammer" podawały w tonie triumfalnym wiele wiadomości o nieprzerwanym łańcuchu powodzeń niemieckich w dziedzinie wojny i polityki, organizacji, wytwórczości i zaopatrzenia. 3-go marca został zawarty pokój w Brze-

ściu; 15-go marca traktat Brzeski był już ratyfikowany przez Radę Komisarzy Ludowych. Liczne, mnożące się od pewnego czasu oznaki, wskazywały na przygotowania do wielkiej, rozstrzygającej ofensywy wiosennej; wisiała ona w powietrzu, a pełna oczekiwań atmosfera przenikała poprzez mury więzienia.

Już od połowy lutego z okna mej celi mogłem obserwować bezustanny ruch transportów wojskowych, tak licznych, że pociąg za pociągiem szedł w kilkunastominutowych odstępach czasu.

Wiadomości z Polski, podawane przez „Magdeburgische Zeitung" były nader skąpe, dobierane tendencyjnie, utrzymane w tonie niechętnej uszczypliwej ironji. Trudno było na ich podstawie zrozumieć, co się właściwie w kraju dzieje; jeszcze trudniej odnaleść na łamach ówczesnej prasy niemieckiej najlżejszą choćby wzmiankę o rozpoczynającym się w polskiej opinji publicznej potężnym ruchu na rzecz oswobodzenia Komendanta.

Natomiast w tym samym mniej więcej czasie i w temże piśmie czytałem sprawozdanie z pewnej debaty w Parlamencie Rzeszy. Według stenogramów przemówień i w streszczeniu, podanem przez „Magdeburgische Zeitung", ówczesny podsekretarz stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych, dr. Lewald, odpowiadając na interpelację posła Trąmpczyńskiego w sprawie internowanych i więzionych przez niemieckie władze okupacyjne, miał się wyrazić w sposób następujący:

„Der Regentschaftsrat in Warschau hat ja selbst angeboten, falls angesichts seines Regierungsantrittes eine Amnestie vollzogen werden sollte, diejenige noch zurückhalten, die ihre Freiheit nur dazu benutzen würden, um Unruhe zu stiften und die Bevölkerung afzuhetzen".

Ustęp ten zapamiętałem dobrze i jestem pewien, że go powtarzam dosłownie.

Wiadomość była podana w sposób, pozwalający mniemać, że interpelacja dotyczyła Komendanta i jego legjonistów. Perfidja szacownego organu musiała wywrzeć przygnębiające wrażenie na więźniu, pozbawionym możności natychmiastowego stwierdzenia prawdy.

Minęła niedobra wiosna, nadeszło lato, a z niem kryzys wojny światowej. Jeszcze trwała trzecia ofensywa niemiecka, jeszcze rozbrzmiewały zwycięskie fanfary z łamów magdeburskiego dziennika, a jednak już i do mnie zdołały dotrzeć pierwsze oznaki zbliżającego się przełomu. Zaczęło się od mego feldwebla, któremu w czerwcu nagle rozwiązał się język.

Któregoś dnia, przyniósłszy śniadanie, pozostał on wbrew zwyczajowi w celi i wdał się ze mną w pogawędkę, utyskując na trudności

aprowizacyjne. Stopniowo nasze rozmowy stawały się coraz dłuższe, tematów przybywało, aż wreszcie przyszła kolej na sprawy wojny i wiadomości z pola walki.

Pamiętam pewnego razu, umyślnie począłem chwalić sukcesy wojsk niemieckich pod Chateau-Thierry. Feldwebel machnął ręką, skrzywił się ironicznie i odrzekł lapidarnie:

— „Na... Ja, wir gewinnen alle Schlachten, aber den Krieg werden wir verlieren"...

W miesiąc później rozpoczęła się kontrofensywa sprzymierzonych. Rozumiałem dobrze, że każdy jej postęp otwiera stopniowo drzwi kazamaty, w której razem z Piłsudskim chciano uwięzić i zgubić całą sprawę polską; z jakąż tedy niecierpliwością wyczekiwałem rannej gazety, przynoszącej komunikaty kwatery głównej. Dzień każdy umacniał nadzieje, przypinał skrzydła do ramion...

A jednak, oszałamiającą, radosną niespodzianką był dla mnie ów pamiętny moment, gdy mój dozorca zapowiedział mi, że wkrótce będę przeprowadzony do cytadeli, „zum general Pilsudski". Od chwili spotkania w Szpandawie, nie wiedziałem nic o losach Komendanta i nie przypuszczałem nawet, że więziony jest tak niedaleko.

Długo musiałem czekać na wykonanie zapowiedzi, — dwie niekończące się doby, w przeciągu których paliłem się z niecierpliwości i miejsca sobie w celi znaleść nie mogłem.

Nie zapomnę ostrego wrażenia, gdy wreszcie w jeden z pierwszych dni września, po roku, spędzonym w ciszy i samotności, znalazłem się na zalanych słońcem ulicach Magdeburga, w tłumie przechodniów, wśród gwaru śródmieścia, oszołomiony, wzruszony, szczęśliwy.

Cytadela magdeburska zbudowana jest na wyspie rzeki Elby. Okolona zewnętrznymi, potężnymi murami, mieści ona w środku szereg budynków wojskowych, wzniesionych w różnym czasie i o najrozmaitszem przeznaczeniu. W jednym z rogów wewnętrznego dziedzińca cytadeli odgrodzono dość obszerny czworobok, zamknięty z dwóch stron murami starych fortów. Dwa pozostałe boki od strony dziedzińca zamyka wysoka, mocna palisada, z poza której wyziera dach piętrowego pawilonu. W czasie pokoju odsiadywali swój termin oficerowie armji niemieckiej, skazani na karę twierdzy za udział w pojedynku, lub za inne przestępstwa. Stanąłem z bijącem sercem u wrót palisady, feldwebel pociągnął za dzwonek i po chwili ze wzruszeniem ściskałem dłoń Komendanta; jego siwe, dobre oczy patrzyły na mnie ciepło i serdecznie.

Komendant wyglądał nieświetnie, — dowiedziałem się wkrótce, że poważnie chorował w więzieniu. Zwłaszcza podczas zimy nie dopi-

wrz z nami czyścił buty i za kawałek chleba za Francuzami wynosywało serce i dokuczał reumatyzm; czuł się wówczas tak źle, że na skutek zaleceń lekarza garnizonu, władze były zmuszone udzielić zezwolenia na wyjazdy do miasta, gdzie Komendant brał kąpiele i poddawał się różnym zabiegom leczniczym. Stwierdziliśmy wnet obadwaj, że przez cały czas ubiegły odbywaliśmy podróż po więzieniach wedle jednej marszruty, w tym samym czasie i w analogicznych warunkach. Różnica w traktowaniu zarysowała się wyraźnie dopiero w Magdeburgu. Komendant, obejmując niejako rolę gospodarza, oprowadził mnie po pawilonie, który aż do końca niewoli miał być naszą wspólną siedzibą.

Pawilon stał tuż przy palisadzie, równolegle do niej. Reszta czworoboku zajęta była przez spory, niebrzydki ogródek. Rosły tam różne jarzyny; jedna kwatera obsiana była tytoniem, uprawianym ze szczególną pieczołowitością przez dozorującego feldwebla. Nawprost pawilonu, po przeciwległej stronie ogródka, wznosiły się wewnętrzne ściany wspomnianego już starego fortu. Dwaj żołnierze w pełnem uzbrojeniu pełnili wartę u wrót palisady.

Cały parter budynku był wolny, oprócz jednej izby, w której mieszkał feldwebel. Strome, drewniane schody prowadziły na piętro, przedzielone wąskim korytarzem. Pierwszy pokój po lewej stronie, wychodzący na ogródek, był przeznaczony dla mnie. Komendant zajmował dwie izby po tejże stronie w końcu korytarza: w jednej z nich sypiał — w drugiej jadł, pracował, odpoczywał. Wszystkie ubikacje z przeciwległej strony korytarza były puste i niezajęte; w niektórych nasz feldwebel urządził sobie improwizowaną suszarnię tytoniu. Wszystkie drzwi stały otworem; pawilon wraz z ogródkiem stanowił zamkniętą całość, w obrębie której Komendantowi przysługiwało prawo wolnej, niekrępowanej cyrkulacji. Jedzenie przynoszono mu z pobliskiej restauracji.

Tryb naszego wspólnego życia ułożył się mniej więcej w sposób następujący: rano, przy śniadaniu, studjowaliśmy namiętnie komunikaty z pola walki. Ściany naszej „bawialni" obwiesiłem wokół mapami; wchodząc niejako z powrotem w czynności szefa sztabu, zaznaczałem postępy armji sprzymierzonych. Po śniadaniu parę godzin spędzaliśmy w ogródku; chodziliśmy całemi godzinami, rozprawiając żywo na najrozmaitsze tematy. Mówiąc o niedalekiej przyszłości, Komendant ożywiał się bardzo i raczej, aniżeli rozmawiał, zaczynał myśleć głośno, snując przenikliwe, przewidujące wywody, które układały się stopniowo w zwięzłe, pełne przekonywującej siły skróty myślowe na temat mocarstwowego rozwoju niepodległej Polski.

Wielka wojna, — mówił Komendant — nietylko musi pociągnąć za sobą wielkie wstrząsy wewnętrzne w państwach zwyciężonych,

lecz spowoduje na całym świecie znaczne przeobrażenia społeczne i ekonomiczne. Polska, wciśnięta pomiędzy państwa, przeżywające głębokie kryzysy wojenne, rozpocznie wyścig do nowej mety dziejo-

Widok pawilonu w cytadeli Magdeburskiej, gdzie więziony był Komendant

Fotografja pochodzi z czasów obecnych. Cytadela magdeburska jest już zburzona zupełnie. Znikły z powierzchni ziemi ściany fortyfikacyj zamykające ogródek przy pawilonie, zburzona została palisada, sięgająca wysokości I. piętra. Dzisiaj pawilon jest zamieszkały przez ludność cywilną. W niektórych oknach pozostały jeszcze kraty

wej, mając przed sobą kilka lat uprzywilejowanych wyraźnie przez historję. Wśród ogólnego, powojennego chaosu, młode państwo polskie mieć będzie wszelkie szanse, by wygrać wyścig, stać się ostoją ładu i porządku na wschodzie Europy, zyskać mocarstwowe znaczenie. Spełnić się to może jednak tylko wtedy, jeśli Polska potrafi usta-

lić oględną politykę, która zdoła ją ustrzec od wstrząsów i przesileń, osłabiających tempo konsolidacji wewnętrznej, hamujących tok pracy nad organizacją państwa.

Warunek powyższy Komendant nazywał umiejętnością znalezienia w rozpoczynającem się życiu państwowem zdrowej, rozumnej „przeciętnej". Już w parę dni po powrocie do Warszawy, podczas próby Komendanta powołania Rządu Koalicyjnego, widziałem jak pierwsze Jego wysiłki w kierunku stworzenia owej „przeciętnej" rozbijają się o wybujałą ambicję i nieustępliwość stronnictw.

Po obiedzie rozchodziliśmy się do pracy: Komendant pisał wówczas wspomnienia z pola walk legjonowych, wydane następnie pod tytułem: „Moje pierwsze boje". Muszę przyznać, iż częściej jednak oddawaliśmy się ulubionej grze w szachy. Nasza wspólna namiętność do tej szlachetnej rozrywki doprowadzała nas niekiedy do lekkich nieporozumień. Prowadziłem na piecu naszego „stołowego pokoju" statystykę gry, stawiając kreski, oznaczające otrzymanego mata. Pewnego dnia, narysowawszy coś ze sto trzydziestą kreskę, oznajmiłem, że mam o dwie wygrane partje więcej. Komendant rozgniewał się nie na żarty; w gruncie rzeczy miał rację, gdyż zawsze był szachistą o wiele silniejszym odemnie.

Wkrótce po mojem przybyciu do cytadeli, zaczęły się mnożyć dalsze dowody uprzejmości władz. Przedewszystkiem przyznano nam przywilej odbywania spacerów poza obrębem cytadeli. Oficer, cdkomenderowany z dowództwa garnizonu układał program każdorazowej wycieczki i pełnił obowiązki przewodnika. Eskortę reprezentował feldwebel, który szedł za nami w dyskretnej odległości kilkudziesięciu kroków. Korzystając chętnie z nowej, a miłej rozrywki, zwiedziliśmy kolejno wszystkie „Sehenswürdigkeiten" Magdeburga; piękne parki i ogrody, muzeum miejskie, wspaniałą katedrę.

Tak więc w ciągu dnia stawaliśmy się naprzemian z więźniów turystami i vice-versa, — turyści wracali pod klucz, za palisadę, do swych okratowanych apartamentów.

W końcu września przybył do Komendanta w odwiedziny hr. Kessler.

Pretekstem „wizyty" była dawna znajomość, zawarta na polu walki. Mianowicie, o ile pamiętam, w r. 1915 służył on jako oficer kawalerji przy jednym ze sztabów niemieckich na Wołyniu i w sprawach czysto frontowych miał okazję parę razy rozmawiać z Komendantem. W okresie naszego aresztowania hr. Kessler zajmował nieznane mi bliżej stanowisko w Berlinie, — zdaje się przy Urzędzie kanclerskim. Powyższe okoliczności motywują dostatecznie rolę, jaką mu wyznaczono w chwili, gdy Rząd Rzeszy, inaugurując pod wpły-

wem klęski na froncie, ogólną zmianę swej polityki, zdecydował się w stosunku do osoby Komendanta na kłopotliwą i bezcelową rejteradę. Trudno jest zrozumieć, co zamierzano osiągnąć na tej nowej drodze; prawdopodobnie, wśród ogólnej katastrofy, w atmosferze popłochu i powszechnej dezorjentacji, chwytano się wszelkich, choćby najbardziej niedorzecznych środków, łudząc się nadzieją, że w ten, czy inny sposób uda się jeszcze uratować cośkolwiek z ówczesnego stanu posiadania w zakresie sprawy polskiej.

Hr. Kessler nadał swej wizycie charakter towarzyski, nie pozbawiony cech mimowolnej ironji na tle krat i palisady. Przywiózł on w darze różnorodne smakołyki: owoce, pasztety, cukry i wina. O rozmowie, która wówczas miała miejsce nie wspominam, gdyż opisuję ją w innem miejscu Sokolnicki.

„Liebesgaben" powędrowały do feldwebla, ku jego niekłamanej uciesze.

IV.

W końcu października, nawet poza murami magdeburskiej cytadeli, można było zdać sobie sprawę, iż katastrofa państw centralnych stoi u progu.

Komunikaty kwatery głównej stawały się z dnia na dzień coraz wymowniejsze w swym dramatycznym lakoniźmie. Z łamów dostępnych nam gazet, pomimo całej dyscypliny, właściwej prasie niemieckiej, przebijał najwyższy niepokój, prawie rozpacz. W rozmowach z tego okresu liczyliśmy się z rychłą i zasadniczą zmianą naszego losu. Sercem i myślami byliśmy już w Warszawie. Komendant stał się bardziej milczącym i zamyślonym, jak gdyby przeczuwał ciężar wielkich zadań, które spaść miały niebawem na jego barki. Nie zapomnę nigdy tej paradoksalnej i niepozbawionej swoistego komizmu chwili, gdy na kilka dni przed uwolnieniem, podbiegł do nas dozorca feldwebel i, wołając z przejęciem „haben Sie's jeseh'n, haben Sie's jeseh'n?" — podał swemu więźniowi numer tygodnika „Die Woche", gdzie na pierwszej stronie umieszczony był wielki portret Komendanta, a u spodu widniał napis, który brzmiał mniej więcej w sposób następujący:

„General Pilsudski, der neue Oberbefehlhaber der polnischen Armee".

A jednak wielki moment nadszedł w sposób całkowicie dla nas nieoczekiwany.

Dnia 9 listopada około godziny 11 przed południem kończyliśmy właśnie nasz zwykły poranny spacer w ogródku. O pewnej chwili

rozległ się u bramy wejściowej odgłos dzwonka, targanego jakąś niecierpliwą i nerwową ręką. Żołnierz z warty poszedł otwierać bramę i w tej samej sekundzie stała się rzecz niezwykła. Obydwaj wartownicy odskoczyli raptem nieco wstecz, nastawiając bagnety w stronę niewidzialnych przybyszów niewidocznych jeszcze dla nas w danej chwili, gdyż z miejsca, gdzie powyższa scena nas unieruchomiła, węgieł pawilonu zasłaniał widok na bramę. Staliśmy z Komendantem jak wryci, obserwując niezwykłe widowisko. Kilka sekund trwała głośna i gwałtowna sprzeczka niewidzialnych gości z wartownikami, wreszcie zza węgła wyłoniły się dwie oryginalne postacie cywilne, które z widocznym pośpiechem zaczęły się ku nam zbliżać. Jeden zwłaszcza z przybyłych panów ubrany był zgoła dziwacznie: strój jego przypominał żywo bohatera ludowego melodramatu na prowincjonalnej scenie; na głowie zrudziały zniszczony kapelusz, nieokreślonego kształtu, coś pośredniego pomiędzy czapką sportową, a cylindrem; szyję spowijał dookoła szalik o barwie czerwonej; postać była spowita w stary, poplamiony płaszcz, o zgoła fantastycznym kroju, z pod którego wyzierały wojskowe, długie buty. W następnym mgnieniu oka, z najwyższem zdumieniem zdołałem rozpoznać, iż właścicielem malowniczego ubioru był... sam hr. Kessler, którego przed paru tygodniami miałem możność podziwiać w dumnym uniformie oficera pruskiej gwardji. Zanim zdążyłem sformułować sobie najbardziej choćby mglistą hypotezę o powodach tej nieprawdopodobnej maskarady, hr. Kessler stał już przed nami i z widocznem wzruszeniem, pomijając w pośpiechu wszelkie towarzyskie formalności, wypalił prosto z mostu zlekka przerywanym głosem:

„Panowie są wolni... Mam rozkaz Kanclerza Rzeszy towarzyszyć Panom do Berlina... Proszę się spieszyć.. niema chwili do stracenia... Magdeburg zrewoltowany... Samochód czeka na Panów, proszę zabierać tylko najniezbędniejsze rzeczy... Jeszcze raz powtarzam: niema minuty do stracenia, — inaczej za nic nie ręczę"...

Wysłuchaliśmy tej przemowy z chłodnym i grzecznym spokojem. Ponieważ sytuacja rzeczywiście mało się nadawała do stawiania pytań, lub żądania wyjaśnień, przeto, milcząc, udaliśmy się na górę, celem zabrania rzeczy Ale o pakowaniu się mowy nie było; już po upływie pół minuty mieliśmy na karku hr. Kesslera, który nerwowo i natarczywie naglił do pośpiechu. Zaledwie zdążyłem zabrać małą, podręczną walizkę, do której wrzuciłem trochę bielizny i parę najniezbędniejszych drobiazgów codziennego użytku; Komendant uczynił mniej więcej to samo. Żałowaliśmy bardzo pozostawionych w cytadeli przedmiotów, z którymi w więzieniu człowiek szczególnie blisko się zżywa; zwłaszcza pragnęliśmy koniecznie zabrać notatki,

rękopisy, mapy, ale nasz niecierliwy oswobodziciel słyszeć o tem nie chciał.

W roku 1919 Rząd niemiecki odesłał nam część rzeczy wraz z urzędowym protokółem, stwierdzającym, że znaczna część naszej własności została rozgrabiona zaraz po zdobyciu cytadeli przez zrewoltowany tłum. Incydent ten miał miejsce w pół godziny po naszym odjeździe.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że Kessler bawił w Magdeburgu już od paru dni, czekając na wynik obrad gabinetu berlińskiego w sprawie uwolnienia Komendanta. Decyzja Rządu zapadła około 7 listopada; wedle jej brzmienia hr. Kessler miał zażądać od Komendanta pisemnego oświadczenia, iż nie przedsięweźmie nic przeciwko państwu niemieckiemu.

Już następnego dnia od żądania tego o tyle odstąpiono, iż w nocy z 8 na 9 listopada, Kessler otrzymał naglący rozkaz od Kanclerza Rzeszy, by Komendanta zwolnić natychmiast i jak najspieszniej przywieść do Berlina. Sądzę, iż w gruncie rzeczy Rząd niemiecki trwał uparcie przy swoich warunkach, chciał jedynie tak drażliwą misję w wytrawniejsze złożyć ręce; poza tem pod naciskiem szybko biegnących wypadków, obawiając się, iż rachuby powyższe wogóle upadną, skoro nas oswobodzą rewolucjoniści, pragnął mieć Piłsudskiego pod swoim bokiem w Berlinie.

Szybkim krokiem, nieomal biegiem przeszliśmy obszerny dziedziniec cytadeli, na którym zaczęły się już gromadzić tłumy żołnierzy. Coś wisiało w powietrzu; każdy, kto przeżył rewolucję 1905 r., zna dobrze ów nieuchwytny, lecz **fizycznie odczuwalny** nastrój, który, banalnie, lecz trafnie, przyrównać można pod względem oddziaływania na nerwy ludzkie do ciszy, poprzedzającej burzę. Warta na odwachu u wejścia do cytadeli, wytrzeszczywszy oczy na nasz dziwny orszak, nie zaczepiła nas wcale. Na ulicy, przed cytadelą widać było ożywione gromadki robotników i wojskowych, spieszące w stronę centrum miasta. Minąwszy most na Elbie, skręciliśmy w boczne, ciche uliczki i niebawem ujrzeliśmy oczekujący samochód. Przy kierownicy zasiadł towarzysz hr. Kesslera; okazał się nim pod cywilną powłoką rotmistrz von Gülpen, dowódca wojsk samochodowych w garnizonie magdeburskim. Zawarczał motor i wkrótce znaleźliśmy się pod miastem, w otwartem polu.

Boże miłosierny, cóż to była za rozkosz pędzić samochodem w świat szeroki, upijać się orzeźwiającem powietrzem po szesnastu miesiącach, spędzonych w więzieniu!

Był cudowny dzień jesienny; z pośród błękitnych niebios słońce zlewało strugi bladego złota na urodzajne równiny Saksonji, na szma-

rągdową ruń ozimin; na horyzoncie snuły się opalowe mgiełki, wstęga szosy kładła się za nami biała i jaśniejąca, drzewa przydrożne umykały szybko wstecz równemi szeregami. Hr. Kessler i rotm. von Gülpen, wywiązawszy się pomyślnie z misji, która mogła się dla nich okazać kiepską przygodą, wpadli w różowe humory i odwracali się co chwila do nas, zagadując wesoło. Komendant i ja milczeliśmy obydwaj, pogrążeni w myślach, trochę oszołomieni nagłą zmianą sytuacji, nieco odurzeni falami rzeźkiego powietrza i pędem samochodu. Coprawda, ostatnie określenie stanowi małą poetycką przesadę: nasza poczciwa maszyna pozbawiona była wszelkich ambicyj pod względem szybkości i zawrotnego pędu.

Już w pół godziny od wyjazdu z Magdeburga koła zaczęły stukać o kamienie szosy; jednocześnie poczułem ckliwy zapach, przypominający coś pośredniego pomiędzy aromatem wanilji i swędem przypalonej cebuli. Von Gülpen zaklął głośno i zatrzymał samochód. Wyskoczywszy na szosę, spostrzegłem, iż z tylnych kół unoszą się smugi niebieskawego dymu. Z oponami działo się coś dziwnego; topiły się one, a raczej smażyły z charakterystycznym szmerem, jaki wydaje gotująca się smoła. Czarna, gorąca maź spływała leniwie z kół na szosę. Rotmistrz uprzejmie i fachowo wytłomaczył mi, iż jedziemy na oponach, które stanowią najnowszy „ersatz" w automobiliźmie. Pomysł wynalazcy polegał na tem, iż stare opony wypełniano zamiast powietrzem kompozycją, otrzymywaną przez poddanie specjalnym chemicznym zabiegom mączki, czy też papki... kartoflanej. Jechaliśmy więc na „kartoflanych" pneumatykach, które, rozgrzewając się na skutek tarcia o powierzchnię szosy, zaczynały topnieć, wydając ów zapach, który von Gülpen nazywał malowniczo „zapachem przypalonego pudingu". Historja powtarzała się regularnie co kilkanaście kilometrów, — nasz rotmistrz miał więc rację kląć, na czem świat stoi swego niefortunnego rodaka-wynalazcę.

Nigdzie po drodze nie spotykaliśmy najmniejszych choćby oznak rewolucyjnego wrzenia. Wszystkie wsie, miasta i miasteczka były ciche i spokojne; normalna praca codzienna szła zwykłym, niezakłóconym trybem. W małej mieścinie, gdzieś na pograniczu prowincji saskiej i Marchji Brandenburskiej zatrzymaliśmy się na dłuższy postój. Oczekiwało nas tutaj śniadanie, zamówione w mleczarni parowej przez naszych przewidujących przewodników jeszcze z Magdeburga. Obfite menu, skomponowane prawie wyłącznie z nabiału, smakowało nam wyśmienicie. Właściciel mleczarni, zdaje się nałogowy „polityk", wypytywał gorliwie o najświeższe wiadomości. Dowiedzieliśmy się od niego, że połączenia telefoniczne działają na wszystkie strony, że wedle jego informacji wzdłuż naszej drogi i w sa-

nym Berlinie nie było dotychczas żadnych objawów ruchawki lub rewolty.

Minąwszy malowniczą i zieleniejącą dolinę Haweli, posuwaliśmy się względnie szybko wgłąb Brandenburgii. Charakter krajobrazu zmienił się zupełnie: naokół, jak okiem sięgnąć, widniały piaszczyste, monotonne równiny, poprzecinane smugami lasów sosnowych. Około czwartej popołudniu spostrzegliśmy na horyzoncie dalekie dymy Berlina; coprawda czas był po temu najwyższy, gdyż jechaliśmy na ostatnim komplecie „puddingów", mimo, iż von Gülpen zabrał ich ze sobą zapas wcale imponujący.

Z obu stron szosy zaczęły wyrastać szeregi baraków wojskowych; droga przecinała wpoprzek plac ćwiczeń w Doberitz.

Naokół snuły się nieporządnie i bezcelowo gromadki pruskich landszturmistów. Niebawem samochód musiał zatrzymać się przed zamkniętym szlabanem kolejowym: oczy nasze przykuła scena, znamionująca na pierwszy rzut oka, iż dzieje się coś niezwykłego.

Wzdłuż nasypu drogi żelaznej, z obu stron przejazdu, czernił się szpaler, złożony z ludności cywilnej, przemieszanej zrzadka z grupkami żołnierzy. Oczy wszystkich zwrócone były wzdłuż toru na zachód. Instynktownie zwróciliśmy nasze spojrzenia w tym samym kierunku: na horyzoncie, w miejscu, gdzie łuki szyn ginęły na zakręcie, można było dostrzec pióropusz dymu, zbliżający się zwolna w stronę Berlina. Von Gülpen, zauważywszy wśród gapiów oficera huzarów, odcinającego się od szarego tłumu jaskrawą czerwienią munduru, wyskoczył z samochodu, aby zasięgnąć języka. Ale i bez tego zabiegu sytuacja stała się jasną; z kłębów dymu wyłonił się korpus sapiącej lokomotywy i tuż przed nami przedefilowały z gruchotem i stukiem dwa długie pociągi, złożone z wagonów osobowych, literalnie napakowanych marynarzami. Stali oni stłoczeni na platformach, siedzieli na dachach wagonów; z każdego okna wykwitał pęk marynarzy, nawpół wychylonych nazewnątrz, krzyczących coś na całe gardło i machających czapkami w stronę zgromadzonej wzdłuż toru publiczności.

Zamieniliśmy z Komendantem dyskretne, lecz znaczące mrugnięcie. Spojrzałem na naszych towarzyszy: i hrabia i rotmistrz mieli miny niepewne i kwaśne. Rzec można, iż wjeżdżamy do Berlina **razem z rewolucją.**

Na nierównym bruku przedmieścia ostatnia para „puddingów" zaczęła smażyć się i topić z zatrważającą szybkością. Posuwaliśmy się krok za krokiem; żelazne obręcze stukały i podskakiwały, uderzając o uliczne kamienie. Von Gülpen, korzystając z pomyślnej okoliczności, iż jego willa leżała po drodze, w ogrodowej, podmiejskiej dziel-

nicy, zadecydował, że musimy zatrzymać się na godzinę u niego w mieszkaniu, skąd można było rozpocząć starania o nowy samochód. Była godzina piąta wieczorem, gdy ostatnim wysiłkiem naszej poczciwej maszyny, na gołych obręczach, dowlekliśmy się na miejsce. Rotmistrz przyjął nas bardzo gościnnie, zapoznał ze swoją rodziną, uraczył doskonałym podwieczorkiem. Spędziliśmy parę istotnie miłych chwil w zacisznym salonie, na ożywionej pogawędce. Von Gülpen był dość dziwnym typem. Wesoły i rozmowny, sypał dowcipami, jak z rękawa. Zarówno sposób obejścia, jak i pełne prawdziwego smaku urządzenie domu wskazywały na wysoki poziom towarzyskiej kultury. A jednak od czasu do czasu poprzez zewnętrzną ogładę i miłe maniery wyzierał z niego rąbek człowieka o instynktach zgoła pierwotnych i dzikich. Miał on zwyczaj nosić stale przy sobie wielki sprężynowy nóż o klindze ostrej i szerokiej. Wyciągał on go często zzanadrza, przyczem, demonstrując nam ową „broń", najlepszą, wedle jego zdania, dla celów starcia wręcz, wymieniał nieprawdopodobną zgoła cyfrę moskali, zarzniętych przez siebie własnoręcznie podczas walk na froncie kaukaskim, gdzie spędził dłuższy czas w szeregach tureckiej armji. Prawdopodbnie junkier „pur sang", — chętnie i z komicznem oburzeniem odgrażał się w naszej obecności swym zrewoltowanym rodakom, obiecując sobie i na ich skórze wypróbować ostrze swego umiłowanego majchra.

Samochód, który w międzyczasie przybył z jakiegoś urzędu, szybko nas przewiózł do hotelu „Continental", gdzie z polecenia „Auswärtiges Amt" były dla nas od rana zarezerwowane apartamenty.

Jeszcze tegoż samego dnia, dość późnym wieczorem, Kessler zapowiedział Komendantowi wizytę hr. Lerchenfelda. Jak wiadomo, hr. Lerchenfeld, późniejszy bawarski prezes ministrów, był w owym czasie przedstawicielem Niemiec przy Radzie Regencyjnej. Nie wiedząc wówczas o okolicznościach, w jakich zapadła decyzja gabinetu, dotycząca uwolnienia Komendanta, zachodziliśmy w głowę, co może być celem tych nieoczekiwanych odwiedzin. Wyjaśniło się to wkrótce. Lerchenfeld na wstępie przeprosił za niezwykłą porę swej wizyty, twierdząc, iż został wysłany przez gen. Beselera, aby spotkać Komendanta w Berlinie i towarzyszyć mu w dalszej podróży, — w międzyczasie jednak otrzymał wiadomości z Warszawy, które czynią niezbędnym natychmiastowy jego powrót. W toku dalszej rozmowy szydło rychło wylazło z worka, pomimo widocznych starań Lerchenfelda, by wywodom swym nadać formę bardzo oględną i dyplomatyczną. Wyłuskując sens jego słów z pośród licznych obsłonek i upiększeń, można było zrozumieć, iż chodzi o wydobycie z Komendanta deklaracji, dotyczącej jego ustosunkowania się w przyszłości do Nie-

niec; Lerchenfeld z naciskiem podkreślał, iż Beseler czeka na odpowiedź, którą on mógłby zaraz zawieść do Warszawy. Komendant wyraził swe zdumienie, iż zwolnienie jego, które zostało nam zakomunikowane jako decyzja Rządu bez żadnych omówień lub zastrzeżeń, obecnie, sądząc ze słów hr. Lerchenfelda, nawiązywane jest do pewnych warunków; żałuje bardzo, że wcześniej o tem nie wiedział, albowiem musiałby się grubo namyślić, czy w podobnych okolicznościach może korzystać z ofiarowanej mu wolności; żadnych oświadczeń Beselerowi udzielić nie jest w stanie, — sądzi zresztą, że będzie miał niebawem okazję rozmawiać z nim osobiście w Warszawie. W ostatecznym wyniku, odpowiedź Komendanta była niedwuznaczną, kategoryczną odmową składania jakichkolwiek deklaracyj, lub zobowiązań.

Zestawiając przebieg sceny w berlińskim „Continentalu" z tem, co wiem obecnie o kulisach sprawy, sądzę, iż można dość ściśle zrekonstruować właściwy przebieg wypadków.

Jest rzeczą zgoła nieprawdopodobną, ażeby w obradach gabinetu, dotyczących zwolnienia Komendanta, Beseler nie brał udziału, osobiście, lub przez swego zastępcę. Rząd niemiecki trwał zawsze przy swej pierwotnej uchwale zwolnienia warunkowego, t. zn. pod rygorem złożenia owej słynnej deklaracji. Możliwem jest, iż pod naciskiem rozpoczynającej się w Magdeburgu rewolty, zdecydowano się wysłać do hr. Kesslera rozkazy nieporuszania wcale tej sprawy, przyczem obiecywano sobie przeprowadzenie jej na miejscu, w Berlinie. Prawdopodobniejszą jednak wydaje mi się hypoteza, że w całej imprezie hr. Kessler odgrywał rolę raczej pomocniczą, a delikatna misja wydobycia deklaracji została **odrazu** powierzona Lerchenfeldowi. Gdyby nie dalszy rozwój rewolucji, który właściwie **wymusił** nasz wyjazd z Berlina, należy przypuszczać, iż cała historja miałaby swój ciąg dalszy — inaczej mówiąc, po nieudanej misji Lerchenfelda nastąpićby musiały dalsze narady między Rządem Rzeszy, Beselerem i Kwaterą główną.

Tak, czy inaczej, odniosłem wrażenie, że hr. Lerchenfeld, opuszczając hotel, nie taił swego złego humoru. Omawiając wówczas z Komendantem przebieg wizyty, wyraziłem przekonanie, że zamiast do Warszawy trafimy ponownie za kratę.

Doprawdy, nie mogliśmy się uskarżać na monotonję zdarzeń w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Rano więźniowie stanu, wieczorem „goście" Ministerstwa Spraw Zagranicznych; jutro, być może, w Ojczyźnie, być może, za kratami Moabitu, lub pobliskiej, a dobrze już znanej Szpandawy.

W oczekiwaniu tego, co w dniu następnym loterja życia przynieść mogła, kładłem się na spoczynek w puchy i atłasy z uczuciem „Schadenfreude" i zaprawionej pewną złośliwością ironji.

10. listopada rano postanowiliśmy z Komendantem odbyć pieszą przechadzkę po ulicach Berlina, przyjrzeć się miastu i na podstawie bezpośredniej obserwacji zdać sobie sprawę ze stanu rzeczy w stolicy Niemiec. Pewną trudność sprawiała okoliczność, iż Komendant, który cały czas niewoli spędził w mundurze legjonowym i nie miał z sobą cywilnego ubrania, nie chciał wychodzić na miasto bez szabli.

Hr. Kessler od rana już oczekiwał na dole, w hall'u hotelowym. Przyszedł on zaprosić nas na śniadanie, w którem wziąć miał udział książę Hatzfeldt, zdaje się, ówczesny referent spraw polskich w Auswärtiges Amt, czy też w Urzędzie Kanclerskim. Nie mogę powiedzieć, abyśmy się czuli oczarowani tym nowym aktem niezgrabnej kokieterji. Cóż jednak moglibyśmy zrobić; pomimo wszelkich pozorów, faktycznie byliśmy jeszcze wówczas więźniami, i nolens volens, trzeba było przyjąć „uprzejme zaprosiny". O naszym wyjeździe do Warszawy Kessler, pomimo lekkich nagabywań z mej strony, nie wspomniał ani jednem słówkiem, co zdawało się świadczyć o trafności moich wczorajszych domysłów. Skorzystałem z jego obecności, by zażądać szabli dla Komendanta. Kesler nie śmiał odmówić, wyszedł i po pewnym czasie dostarczył wprawdzie nie szablę, ale oficerski bagnet, który, zresztą i w legjonach stanowił zwykłą broń boczną, noszoną w polu.

Mniej więcej około 12-ej w południe wyszliśmy z Komendantem na miasto. Byliśmy sami, choć, zapewne, jakiś niewidoczny i dyskretny „anioł-stróż" towarzyszył nam w dyskretnem oddaleniu. Szliśmy długo przez Friedrichstrasse, poczem skręciliśmy w Leipziger--Strasse; wracaliśmy koło Pariserplatz i przez Unter den Linden.

Fizjonomja śródmieścia nie zdradzała nic podejrzanego; ruch na ulicach miał wygląd normalny, sklepy były otwarte, ludność w zwykłem tempie dnia powszedniego spieszyła gdzieś za swemi codziennemi sprawami. Jedynym, symptomatycznym szczegółem była mała ilość wojskowych, spotykanych na ulicy: na całej wymienionej przestrzeni nie widzieliśmy bodaj ani jednego oficera w mundurze.

Przed 2-ą czekał już w hall'-u nieodłączny hr. Kessler, aby nas zabrać na śniadanie do słynnej restauracji Hillera na Unter den Linden. Szliśmy pieszo; i znów staranna moja obserwacja nie zdołała wykryć żadnej oznaki, świadczącej o zakłóceniu normalnego rytmu ulicznego ruchu. Zdawaćby się mogło, iż wczorajsze zdarzenia w Magdeburgu, widmo rewolucji, spotkanie u bram Berlina, w Döberitz, były tylko ułudą, sennem marzeniem.

Śniadanie było zastawione w osobnej, niewielkiej sali, położonej nie od ulicy, lecz w tylnej części lokalu. Szereg lokajów w nieskazitelnych frakach, stół, zastawiony wspaniale, śnieżna biel obrusa, kwiaty, jarzące refleksy srebra i kryształów, dywany, witraże, ciężkie boazerje i bogate złocenia staroniemieckiego stylu, — wszystko zalane potokiem elektrycznego światła, spływającego z zapalonych pająków. Okna sali były szczelnie zasłonięte żaluzjami od zewnątrz. Ks. Hatzfeldt, hr. Kessler, rotm. von Gülpen i ja po cywilnemu, — jedynie Komendant w swoim skromnym, nieco wyszarzanym mundurze, którego siwa plama dziwnie odbijała od całości obrazu.

Od samego początku, przy biesiadnym stole zapanował nastrój niezręczny i wyraźnie fałszywy. Komendant był milczący i zamyślony, ja, zły na cały ten niedorzeczny pomysł, postanowiłem jeszcze po drodze do Hillera, iż będę bardzo chłodny i pełen demonstracyjnej rezerwy. Rozmowa rwała się co chwila, ustępując miejsca kłopotliwemu milczeniu. Nie pomagały najprzedniejsze i najwyszukańsze popotrawy, które nie różniły się niczem ani pod względem doboru, ani jakości od przedwojennych smakołyków: dla zakładu Hillera wojna jakby nie istniała, jej prywacje, zakazy i ograniczenia nie miały widocznie dostępu do tego przybytku uprzywilejowanych. Naprożno ks. Hatzfeldt i hr. Kessler silili się na uprzejmość, — nadaremnie von Gülpen usiłował ratować sytuację swemi dowcipami, — milkły one głucho, bez echa, chybiając najzupełniej celu.

Jakoś między drugą, a trzecią potrawą, ktoś z administracji lokalu wszedł do sali i, zbliżywszy się do ks. Hatzfeldt'a, począł mu coś długo i z przejęciem szeptać do ucha. Widocznie szept zawierał wiele interesujących szczegółów, gdyż twarz słuchającego spoważniała w mgnieniu oka. Ks. Hatzfeldt wstał z krzesła i zwrócił się do nas z lekkiem, ledwie wyczuwalnem drżeniem w głosie:

„Panowie wybaczą, iż muszę ich na chwilę opuścić. Z urzędu Kanlerza Rzeszy wzywają mnie do telefonu."

Gdy po kilkunastu minutach wrócił, spojrzałem mu uważnie w twarz: wydało mi się, iż kąciki ust drgają nerwowo. Kessler nie spuszczał z niego pytającego wzroku: Hatzfeldt w odpowiedzi skinął zlekka głową.

Zrozumiałem, iż tam na mieście, poza szczelnemi żaluzjami, dzieje się coś niedobrego. Nie mogłem sobie odmówić małej satysfakcji, czy zemsty i, ożywiwszy się znienacka, począłem rozwijać swoje towarzyskie talenty, inaugurując „une causerie brillante" w najwytworniejszej niemczyźnie, na jaką mnie stać było: Oczywiście, z kolei nasi gospodarze dziwnie zesztywnieli i wszelkie moje wysiłki nie zdołały z nich wydobyć nic więcej ponad krótkie, machinalne, z wi-

docznym wysiłkiem, udzielane odpowiedzi. Atmosfera stawała się z minuty na minutę coraz duszniejszą i bardziej nerwową.

Funkcjonarjusz lokalu zjawił się powtórnie w sali:

„Durchlaucht werden zum Telephon gebeten"...

Oczekując na powrót Hatzfeldt'a milczeliśmy wszyscy, — teraz już szczerze, bez żenady, nie zadając sobie żadnego przymusu. Nieobecność jego trwała tym razem dość długo. Zacząłem się już niecierpliwić w duchu, przeczuwając, że zbliża się decydująca chwila. Nareszcie ks. Hatzfeldt ukazał się we drzwiach. Za chwilę wiedzieliśmy już wszystko. W Berlinie rewolucja. Z rozkazu Kanclerza Rzeszy mamy niezwłocznie wyjechać do Warszawy. Osobny pociąg będzie nas oczekiwał za pół godziny na dworcu Friedrichsstrasse. Kessler oraz von Gülpen towarzyszą nam w podróży.

Opuszczaliśmy salę w pośpiechu, pozostawiając za sobą strojny stół biesiadny, pełne talerze, nietknięte kielichy i szereg kelnerów, wystraszonych i zastygłych w bezruchu, z półmiskami w ręku...

Tak skończyła się ta prawdziwa „uczta zadżumionych".

Gdy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi restauracji, znaleźliśmy się na Unter den Linden, ujrzeliśmy widowisko ,którego do końca życia nie zapomnę. W przeciągu półtorej godziny, spędzonej u Hillera, scenerja ulicy zmieniła się, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Środkiem jezdni sunęły jeden za drugim wojskowe samochody ciężarowe, przystrojone w czerwone sztandary, wypełnione po brzegi marynarzami, żołnierzami, robotnikami. I po ulicznym asfalcie i wzdłuż szerokich chodników snuły się gęste tłumy demonstrantów i publiczności, przemieszane z grupkami uzbrojonych w karabiny cywilów. Łoskot samochodów, okrzyki demonstrantów, głosy rozprawiającego i gestykulującego tłumu zlewały się w przeciągłą wrzawę, która wypełniała po brzegi dumną ulicę, biła w mury wspaniałych kamienic. Sceny rewolucyjne, nie wyłączając gwałtownych i bardzo krwawych nie były dla mnie nowością, — a jednak przyznać muszę, iż obraz zrewoltowanego Berlina, zapewne, dzięki swej paradoksalności, wywarł na mnie głębokie wrażenie.

Z trudem przeciskaliśmy się poprzez tłumy, zanim zdołaliśmy nareszcie dopaść jakiejś bocznej ulicy. Hotel był prawie pusty; większość służby gdzieś się rozbiegła, zaś ci, którzy pozostali, tkwili u okien, wychodzących na ulicę. Na korytarzu jakaś pokojówka, — niebrzydka i fertyczna niemeczka — podniósłszy do oczu rąbek swego białego fartuszka, płakała rzewnie, raczej z radości, niż z przestrachu. W nagłym przystępie świetnego humoru, korzystając z rozpoczętej ery równości, braterstwa i swobód obywatelskich, przysko-

czyłem do płaczącej dziewczyny i, zanim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, ucałowałem ją w oba różowe policzki.

Dworzec Friedrichstrasse był niedaleko. Pociąg, złożony z lokomotywy i jednego wagonu I. klasy stał już pod parą; Kessler i von Gülpen czekali na peronie. Niebawem światła Berlina znikły za nami... jechaliśmy **naprawdę** do Warszawy.

Godzina mijała za godziną, a spać się nikomu nie chciało. Nasi towarzysze podróży czuli się dość niepewnie i nie ukrywali swego niepokoju, który wzrastał jawnie przed każdą większą stacją. Twarze ich rozjaśniały się jednak stopniowo, w miarę jak ubywało przestrzeni, gdyż wszędzie po drodze funkcjonowały jeszcze dawne władze cesarskie. Dopiero w Toruniu dopędziła nas rewolucja: na dworcu urzędowała już Rada robotników i żołnierzy. Pociąg zatrzymano i poddano oględzinom. Przedstawiciele władzy rewolucyjnej zachowali się w stosunku do Komendanta nader uprzejmie, a nawet z pewną demonstacyjną kurtuazją. Role odwróciły się: hr. Kessler i rotm. von Gülpen przeszli pod naszą opiekę.

11. listopada, w szary poranek jesienny, stanęliśmy na dworcu wiedeńskim w Warszawie.

Michał Sokolnicki

PRZED ARESZTOWANIEM KOMENDANTA

(22 lipca 1917).

— Szefie, radzę wam, nie chodźcie do Leszka na winta — mówił Komendant, nawpół figlarnie, a nawpół groźnie i patrzył na nas zagadkowym wzrokiem.

Wint był przed wojną rozrywką złych dni. Bywał skutecznem zabiciem czasu w długich okresach pomiędzy przygotowaniem, a działaniem. Pamiętam liczne wesołe, długie partje między 1908 a 1914, we Lwowie, w Krakowie, w Zakopanem, w momentach najtrudniejszych, w godzinach przeczekiwania, wtedy gdy załamywała się sytuacja, kiedy wola człowieka nie poradziła już nic: zostawała wówczas rozrywka, oderwanie myśli, walka przy szachach, lub w ostrej partji winta. Komendant lubił, zawsze grę i wyczuwał w niej głębsze momenty: grę charakterów — grę z losem.

Nie należałem do adeptów turniejów szachowych, natomiast z zapałem uprawiałem drugą z tych szlachetnych sztuk. Stałymi partnerami byli przedewszystkiem: ciągły współpracownik Komendanta, „Szef", Kazimierz Sosnkowski, wilczący Litwin „Bohdan", dawniej „Rafał"-Aleksander Prystor, którego nazwiska, jedynego z pomiędzy nazwisk mych przyjaciół, przez dłuższy czas nie znałem; administrator przygotowań wojennych Władysław Dehnel, tak zwany „Agrafka", pierwszy mistrz naszych partyj; Dr. Marjan Dehnel, brat jego; „Fiut"-Henryk Minkiewicz; najbuńczuczniejszy z partnerów, słusznie „Rysiem" zwany, Trojanowski; Walery Sławek—powszechnie znany „Gustaw"; prawdziwy Gustaw — Daniłowski; „Florjan" (Momentowicz) jeden z głównych podówczas pomocników wojskowego organizowania, potem kędyś zagubiony, nieznany mi wtedy z nazwiska. Przyłączali się do nas partnerzy przygodni. Grywaliśmy najczęściej u Komendanta, na Szlaku, czasami w pensjonatach lub w przejezdnym hotelu; pamiętam jedną partję, przez którą skróci-

liśmy sobie nieskończenie długą podróż z Krakowa do Zakopanego, kończąc trzynastego robra przed ostatnią stacją.

Dzisiaj niejeden z tych partnerów spasował już ostatecznie, inni, rozsypani pracują pod kierunkiem Komendanta, niektórzy zmienili się, jak samo życie.

W czasie wieczorów wintowych nie było mowy o interesach. Byłyby one źle widziane i skarcone milczącym wzrokiem Komendanta. Do rozpuku śmiał się z naszych żywiołowych temperamentów, bawił się naszą czasem dziecinną, czasami nieprzytomnie bojową licytacją. Sam grał zawsze równo, bardzo rachunkowo, zamiłowany w problematach gry, łagodny, ale stanowczy, nie spierający się nigdy. Czasami tylko, po długim bardzo wieczorze, o późnej godzinie nocy, w owych ulubionych Komendanta chwilach, kiedy rozpoczynał „nocne rodaków rozmowy", Piłsudski wzywał jednego z nas, żegnał resztę, przemijała gra przy stoliku zabawy, nadchodził moment słuchania instrukcyj; rozchodziliśmy się, wszyscy pozostali, z ciężarem przeczuć. Życie nabierało cech zgoła fantastycznych, gdy po wielu wieczorach spędzonych w beztrosce, nagle wywracała się sytuacja, rozpoczynała się nowa, niezależna od nas konjunktura, oczekiwana, upragniona wojna znowu jak mamidło stawała na horyzoncie — w 1908 i 1909, w 1912 i 1913.

Wówczas, jak pod uderzeniem zaczarowanym zabawa zmieniała się rygorem służbowym. Każden z nas wracał na posterunek, nie było miejsca ani czasu do spędzania chwil beztroskich. Bezsenne noce Komendanta,, gdy świeciła lampa w skromnym saloniku na Szlaku, poświęcone były innej, wytężonej, częstokroć samotnej walce.

To też od czerwca 1914 roku nie zasiadaliśmy już więcej do gry i nie grywaliśmy w naszej dawnej partji aż po pamiętny dzień w lipcu 1917. Coprawda z zazdrością słyszałem o zaciekawiającym nowym eksperymencie, w którym niestety nie mogłem uczestniczyć, o partjach i robrach w okopach lub w domku głównej kwatery, kędyś w lasach Wołynia, nad Styrem czy nad Stochodem, znowu w te długie przeciągające się godziny, dnie i miesiące wyczekiwania między przygotowaniem, a działaniem.

14 lipca namówiłem wzbraniającego się trochę Komendanta na winta w mojem nowem mieszkaniu na Polnej. Namówiłem dla poprawienia humoru. Jadaliśmy obiady we czterech: Komendant, Szef, Gustaw i ja w pensjonacie panny Eli Kwiatkowskiej przy ul. Sienkiewicza. W miarę bezpłodnych zmagań w gadającej Tymczasowej Radzie Stanu, w miarę osuwania się charakterów, w miarę zacieśniania się przy pomocy dogodnych Polaków stalowej klatki niemieckiej

wokrąg nielicznego wojska polskiego, zasępiał się horyzont myślowy naszych spotkań. Przy obiedzie, zgodnie z obyczajem Komendanta, nie było rozmów służbowych, ale wszyscy wokoło czuliśmy dobrze, iż zbliża się koniec, iż nadchodzi godzina próby.

Tedy czternastego lipca w sobotę zebraliśmy się na herbacie i malinach w świeżo urządzonem, raczej pustem mieszkaniu, gdzie trzeba było uczcić nowozakupiony stolik, jakiś połamany antyczek, znaleziony na Świętokrzyskiej, wskrzeszony w barokowych kształtach u pana Herodka. Zebraliśmy się: Komendant, Szef, Gustaw, Artur Śliwiński i ja. Komendant rozbawił się, straszył Sławka, który jako polityczny adjutant i pracownik do specjalnie niebezpiecznych zleceń, stał na najbardziej eksponowanej wobec Niemców placówce. Nazajutrz, 15 lipca, zmniejszył się nasz zwykły komplet na obiedzie przy ulicy Sienkiewicza: Walery Sławek został w nocy zaaresztowany przez władze okupacyjne niemieckie.

To też niedarmo Komendant tym razem nawpół żartem a nawpół groźnie przestrzegał: — „Szefie, Szefie, mówię wam, nie chodźcie do Leszka na winta, bo was wezmą".

* * *

Położenie polityczne naszej siły zbrojnej pogarszało się z każdą chwilą, w miarę rozwijających się bezpłodnych prac i niemęskich działań Tymczasowej Rady Stanu. Komendant, po złożeniu swej dymisji z Legjonów i otrzymaniu jej od arcyksięcia Ferdynanda, po ogłoszeniu aktu 5 listopada, został wybrany przez rządy okupacyjne członkiem Tymczasowej Rady Stanu. Od czasu Jego przyjazdu w grudniu 1916 roku nastał pewien modus vivendi, kompromis pomiędzy niemieckiemi protektorami nowopowstałego Państwa Polskiego, a organizacją dotychczasowych sił zbrojnych. Niepisany ten kompromis polegał na przyznaniu Polakom prawa do samodzielnej organizacji armji, przy naukowej i technicznej pomocy niemieckiej, z zastrzeżeniem jednak, że polska siła zbrojna nie będzie zużyta inaczej i gdzieindziej, jak tylko do obrony terytorjum nowopowstałego Państwa i na jego pograniczach. Kompromis ten był obustronnie nieszczery i niedopowiedziany. Ze strony polskiej był naturalnie zamiar stopniowego usamodzielniania wojska polskiego, przy podniesieniu jego sił organizacyjnych własnych do maksimum i przy możliwie rychłem usunięciu wszelkiej narzucającej się pomocy i opieki niemieckiej. Ze strony niemieckiej, celem głównym było to, co wyczuwaliśmy już wtedy, a co dziś jest ponad wszelką wątpliwość stwierdzone przez niemieckie urzędowe źródła, — dążenie do jak najszyb-

szego zorganizowania wojska polskiego jako „Polnische Wehrmacht", przy bezpośredniej ingerencji Niemców, pod dowództwem niemieckiem, celem rychłego wysłania pomocniczego korpusu polskiego do Francji. Niemieckie władze ogólnopaństwowe i okupacyjne zgóry postanowiły sobie nie dopuszczać do samodzielności polskiej w organizacji wojska polskiego, zaś Komendant zgóry postanowił sobie nie dopuścić do wysłania wojska polskiego na Zachód. Stąd wyraźny i niczem niezałagodzony konflikt.

W tym konflikcie Tymczasowa Rada Stanu zajęła od początku stanowisko dwuznaczne: chciała pogodzić rzeczy, będące nie do pogodzenia. Nie uświadamiając sobie może z dostateczną jasnością ostatecznego celu narzucającej się protekcji niemieckiej, zgóry wchodzono z nią w kompromis, ustępując krok za krokiem w rzeczach najrealniejszych, dotyczących organizacji wyszkolenia i organizacji dowództwa. Widząc zaś, że stanowisko Komendanta nie słabnie, a owszem zaostrza się wciąż jego opór przeciw uroszczeniom niemieckim, Rada Stanu napierała najpierw na Komendanta, by go zmiękczyć, jego opór zmniejszyć lub usuwać, następnie starała się go obejść.

W ten sposób szereg posiedzeń Rady Stanu został zamieniony w długą dyskusję, nie pomiędzy stanowiskiem polskim, a niemieckiem, ale między interpretacją polską stanowiska niemieckiego, a nieustępliwem stanowiskiem Komendanta. Tak krok za krokiem rosnąca ugodowość Tymczasowej Rady Stanu doprowadziła w końcu do zasadniczego konfliktu o przysięgę. Konflikt ten był tylko konkluzją i ukoronowaniem nieporozumień dotychczasowych. Nie było żadnej rady na to, że w konflikcie tym po stronie niemieckiej znaleźli się również Polacy. Taktyka licytowania in minus, taktyka ustępowania zgóry ze swych stanowisk, taktyka brania od początku stanowiska niemieckiego za punkt wyjścia poglądów własnych, doprowadzić musiała Tymczasową Radę Stanu na próg dylematu: iść za Piłsudskim, albo iść z Niemcami. Większość Rady Stanu wybrała Niemców, a Komendantowi nie pozostało wtedy nic innego jak zwalić samą Radę, stającą się narzędziem niemieckiem, aby nie pozwolić na to, by także narzędziem niemieckiem stała się garstka tworzonego przez lata w znoju i w krwi wojska polskiego.

Komendant więc od marca mniej więcej postanowił psuć. Cała zakamieniała, niespożyta, niewzruszona energja Komendanta skoncentrowała się na tej robocie psucia, a jak wiadomo Komendant bywa przeważnie nieskończenie miły, pogodnie twórczy, wtedy kiedy buduje i stawia, zaś bywa nieskończenie ciężki i przykry wtedy, kiedy psuje. Komendant wszystkim wokoło robił wszelkie możliwe i nie-

możliwe przykrości, szczególnie wtedy, gdy poczuł, że w wojsku samem stworzono przeciwko niemu obóz ugodowy, szkołę ustępliwości i kiedy stwierdził, że niektórzy z najbliższych jego politycznych współpracowników mają wątpliwości, i że zaczynała przerażać ich myśl, że trzeba, koniecznie trzeba, dla wyższych zadań przyszłości narodu i niepodległości Państwa, psuć tyle z tego, co było zrobione dotychczas.

To też chmura zawisła na obliczu Komendanta, zatruła się jego pogoda, czułem, że chwilami sprzykrzył sobie ludzi i świat, że jego duszę rozpiera wściekłość na ustępliwe mędrkowanie rodaków. Mało z kim, jak zwykle, dzielił się właściwemi swojemi myślami, raczej odczuciem skonstruować można to, co wtedy przeżywał.

Trzeba pamiętać o tem, co tworzyło podstawę stosunku Komendanta do ludzi, od chwili, gdy zaczął swoich współpracowników i przyjaciół posyłać na śmierć. Trzeba pamiętać o poczuciu ludzkiej odpowiedzialności, którą Komendant niósł w sobie i o niezmierzonej miłości do żołnierzy, idących, ryzykujących, poświęconych z jego rozkazu. Nie zapomnę chwili, gdy Komendantowi głos załamał się głębokiem wzruszeniem, na bankiecie peowiaków w Hotelu Europejskim w Warszawie w styczniu 1917, wtedy gdy Komendant zaczął mówić o konieczności rozbijania Legjonów i gdy powiedział: „Poświęciłem was". Odmowa przysięgi, zasadniczego aktu w życiu wojskowem, złamanie i rzucenie broni, zmuszenie żołnierzy swoich do nieposłuszeństwa, kosztowało Komendanta więcej, niż zerwanie z Legjonami, napewno nierównie więcej, niż wysyłanie ludzi na śmierć: było to bowiem wysyłanie ludzi na niepewny los w nierównej grze, dla zdającego się wszystkim utopją celu—ale bez pociechy uratowanego honoru żołnierza, bez wspaniałej i okupującej wiele spłaty krwi. To też mam głębokie przekonanie, jakkolwiek mnie tego Komendant nigdy wówczas nie powiedział, iż od chwili decyzji w sprawie przysięgi, postanowił on doprowadzić do konfliktu osobistego z Niemcami i zmusić Niemców do aresztowania go.

Od marca 1917 roku nowy element zaczął coraz bardziej wpływać na rozwój decyzji Komendanta—element ogólnej konjunktury w światowej wojnie. Z pomiędzy nielicznych wspomnień, które się we mnie zaryły wyraźnie z ciężkich wówczas przeżytych dni, pamiętam dokładnie dwa wrażenia wywołane wybuchem rewolucji rosyjskiej. Pierwsze — wrażenie wybitnego Niemca. Byłem przypadkiem tym, który pierwszy zakomunikował o fakcie wybuchu w Petersburgu rewolucji i detronizacji cesarza Mikołaja, bawiącemu wówczas w Polsce Fryderykowi Naumannowi po jego przyjeździe z Łodzi i byłem świadkiem niespodziewanego przestrachu, przykrego zdumienia, jakiego nie mógł ukryć ten stateczny i opanowany myśliciel i polityk,

który napewno dokładnie był wtajemniczony w ówczesne działania i plany kanclerza Bethmana Hollwega; po drugie:—wrażenie radosne, odradzające wybuchu piotrogrodzkiego na Komendancie.

Rewolucja rosyjska, zdaniem Komendanta, uwalniała Polskę od jednego z głównych wrogów. — „Rosja — mówił — położona jest już na obie łopatki, teraz kolej na Niemców". Komendant mówił to żartując, ale zarazem z niewypowiedzianem uczuciem głębokiej pewności tak, iż mnie chwilami przeszywał dreszcz przed tem myślowem igraniem z losem. Nie mieliśmy wówczas tego określonego pojęcia o niebezpieczeństwie pokoju separatywnego Niemiec z carską Rosją, jakie ustalonem jest obecnie przez niepodlegające wątpliwości dokumenty — niemniej przekonaniem naszem było, iż osłabiona carska Rosja otwierała możliwość pokoju na Wschodzie, że wybuch rewolucji ten pokój odsuwał, odkładał. To też myśl Komendanta skoncentrowana była wyraźnie, uporczywie na zagadnieniu: ile czasu Rosja wytrzyma? Wiedział odrazu, że Rosja konstytucyjna jest tylko epizodem, że w każdym razie Rosja po wybuchu rewolucji nie będzie w stanie sprostać Niemcom na polach bitew, że front rosyjski prędzej czy później się załamie. Ale ze względu na front zachodni, zagadnienie sprowadzało się do kwestji czasu. Jako minimum określił Komendant trzy miesiące — zatem do czerwca lub lipca 1917. Często mówił z natężeniem myślowem, przerachowując swe kombinacje: „Żeby chociaż wytrzymali trzy miesiące!"

W tym związku i na tem tle przejmował Komendanta jego własny stosunek do Rosji i niepokoiło go zagadnienie: jak się zachowają, co będą czynić Polacy w Rosji, polskie oddziały wojsk rosyjskich, organizowane ewentualnie wojska polskie w Rosji. Przygotowawcza działalność P. O. W. na terenie rosyjskim zajmowała Komendanta niemal od początku wojny, gdyż niektóre nici, nawet stosunków z Warszawą, szły czasami technicznie przez Petersburg. Od lata 1916 roku jednak, problematem bez wyjścia stała się kwestja połączeń. W maju 1916 zostałem wysłany przez Komendanta do Sztokholmu dla spotkania z reprezentantem P. O. W. z Petersburga Franciszkiem Skąpskim i jemu komunikowałem ostatnie instrukcje Komendanta, jakie zostały przesłane do Rosji: instrukcje te szły po linji największej nieufności do państw centralnych i przygotowywania oddzielnej, nie związanej z państwami centralnemi, siły polskiej w Rosji, co w danym momencie wsparłoby ruch niepodległościowy w kraju. Czy instrukcje te zostały źle zrozumiane, czy popsute były już wówczas przez snujących się zagranicą agentów N. K. N., czy wreszcie na tle późniejszych wypadków, ogłoszenia aktu 5 listopada, zapanowało przekonanie, że instrukcje te stały się nieważne, dość, że kierow-

nicze koła organizacyj wojskowych w Rosji tak samo jak kierownicze koła polityczne, odpowiadające Polskiej Organizacji Wojskowej w kraju, nie zrozumiały położenia i zaczęły politykę idącą po linji państw centralnych, co skrzywiało całą następną akcję wojska polskiego w Rosji. Komendant ze szczególnem zainteresowaniem śledził rozwój tej kwestji, przywiązywał do niej największą wagę niepokoił się i martwił w jaki sposób posłać by im swoje instrukcje. Przepracowywał plany wysłania kogoś, wysłania mnie ewentualnie, do Szwe-

Rewju oddziałów P. O. W. w lipcu 1917 roku

cji lub dalej — i konstatował niemożliwość uzyskania już w ówczesnych warunkach paszportu, — wreszcie myślał niewątpliwie o pojechaniu wprost do Rosji samemu.

Przedewszystkiem jednak czuć było w Komendancie zupełną, najgłębszą pewność, iż „Historja na nas wciąż pracuje", że niepodległość Polski jest już, już w drodze. Z niewymowną radością, jak gdyby spełnienie pewnych punktów swojego planu, witał pierwszą odezwę Wilsona, dotyczącą niepodległości Polski z dostępem do morza, jako jednego z celów wojny. Pamiętam wrażenie, przy śniadaniu na Służewskiej, gdym mu referował tę sprawę. Traktował kwestję wyłonienia się ostatecznego niepodległości Polski jako kwestję czasu. Badania myślowe Komendanta skoncentrowane były na zagadnieniu: ile czasu potrzeba, aby doczekać się załamania frontu zachodniego Niemiec.

Od 21 stycznia do końca kwietnia 1917 mieszkaliśmy razem w wynajętem przeze mnie mieszkaniu w domu pp. Wędrowskich na Służewskiej 5, w obszernym apartamencie na trzeciem piętrze. Tam odbywały się główne rozmowy, tam podejmowane były przez Komendanta ostateczne próby lokalnego rozstrzygnięcia — tam omawiane były tedy z pp. Targowskim i Ks. Eustachym Sapiehą plany zamachu przygotowywanego na dzień 3 maja — tam wreszcie odbyły się w lecie odprawy wojskowe, gdzie zakomunikowane zostały polecenia Komendanta w sprawie przysięgi.

Jako prywatny sekretarz Komendanta, znałem sprawy na moim „odcinku", w szczególności stosunki z Radą Stanu; zgodnie jednak

Defilada oddziałów P. O. W. przed Komendantem w Strudze

z podstawowemi zasadami pracy Komendanta, nie byłem, lub nie zawsze byłem, poinformowany o pracy na innych „odcinkach". To też tylko rekonstruując luźne przyczynki mogę wspomnieć o sprawie zasługującej na opracowanie specjalne — o próbie Komendanta wyjazdu do Rosji.

Już dość wczesną wiosną Komendant planował zamach oddziałów legjonowych na fortecę dęblińską, opanowanie jej i zamknięcie się w niej[1]); widział elementy powodzenia tego zuchwałego przedsięwzięcia, opanowanie Dęblina nie wydawało się rzeczą niemożliwą,— trudność zaczynała się dopiero po fakcie dokonanym; co dalej? I tutaj Komendant najwidoczniej nie dowierzał, by decyzja wojny świa-

[1]) Niniejsze wspomnienie rekonstruowane na podstawie opowiadania Artura Śliwińskiego.

towej mogła zapaść w 1917 roku, a w takim razie plan był nierealny. Z drugim planem wystąpił przypuszczalnie w pierwszych dniach lipca 1917 twórca i dowódca ułanów Władysław Belina Prażmowski: ofiarował się Komendantowi na czele szwadronu ułanów, wziąwszy Komendanta pośród siebie, przebić się przez front austrjacki na stronę rosyjską.

Komendant śmiał się do łez na samą myśl o wrażeniu, jakieby mógł wywołać na nieskłonnych już do boju Austrjakach taki atak od strony własnych tyłów, ale plan, jako nierealny, odrzucił, — plan, który stał się pierwowzorem dla pomysłów i działań legjonowych w kilka miesięcy potem, po traktacie brzeskim.

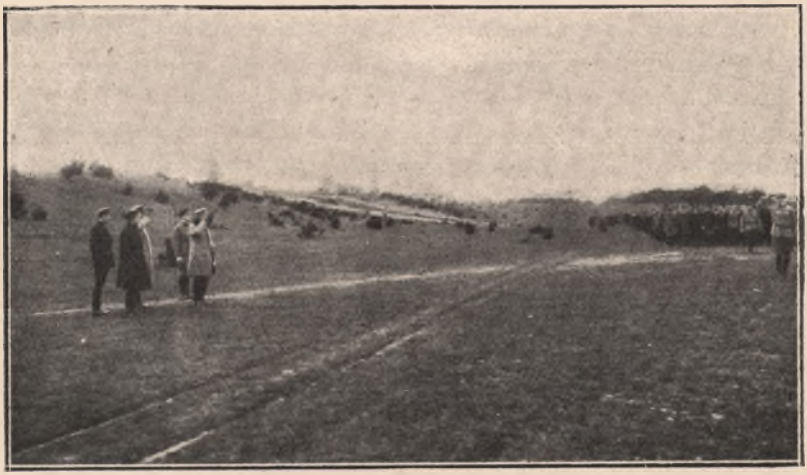

Defilada oddziałów P. O. W. przed Komendantem w Strudze

Komendant sam zastanawiał się wreszcie nad kwestją samolotu, i to była, o ile mi się zdaje, najrealniejsza i najściślej opracowana wersja planu wyjazdu Komendanta. Nie wiem, czy plan ten nie doszedł do skutku z powodu przeszkód technicznych, czy też był dopiero w przygotowaniu w chwili, gdy Komendanta Niemcy aresztowali.

Bowiem kwestja nie ulega wątpliwości, że niemieckie władze naczelne poczuły, co się święci i w szczególności zrozumiały, że grozi wyjazd Komendanta do Rosji.Nie wiem, czy była w tym względzie prowokacja, jakkolwiek mam do dzisiaj poczucie, że śladem prowokacyjnych i szpiegowskich działań austrjacko-polskich w 1914—1916 nastąpiły i zorganizowane zostały od 1917 przez Niemców nici szpiegostwa i prowokacji przy pomocy niektórych Polaków. Od pierwszych chwil Tymczasowej Rady Stanu, odnosiło się wrażenie,

że Komendant znajduje się w zacieśnianej szczelnie sieci. Komendant był już wówczas, jak się to mówi, „obstawiony" i szpicle niemieccy wsiadali za nim do tramwaju. Względem Sosnkowskiego śledztwo było jeszcze wyraźniejsze — około połowy lipca odebrano mu paszport. Było wyraźnem, że pilnowanie ma na celu specjalnie wszelkie wyjazdy i możliwość wyjazdów Komendanta. Pod wrażeniem tej sytuacji od początku lipca przenosiłem nieznacznie, częściami, całe archiwum Komendanta ze Służewskiej 5 na Polną 46, do mojego nowego mieszkania tak, iż w końcu ustaliliśmy z Komendantem, jako wytyczną, niezostawianie ani jednego pisma w mieszkaniu Komendanta na Służewskiej. Codzień wieczorem, będąc na Służewskiej zabierałem papiery służbowe danego dnia.

Żyliśmy zatem jak na etapie. Za pierwszego z brzegu uważaliśmy wszyscy „Szefa" — Sosnkowskiego. Przyznaję, iż nie wierzyliśmy, by Niemcy odważyli się już wówczas uwięzić samego Komendanta, jakkolwiek przerażała mnie chwilami rozszerzająca się wśród własnych moich rodaków pomoc Niemcom, dodawanie okupantom odwagi. Na kilka dni przed 22 lipca, pojawiły się w warszawskich organach aktywistycznych artykuły prowokacyjne uwieńczone rankiem 29 lipca zamieszczeniem w „Głosie" siedmiu publicznych zapytań Komendantowi, zapytań o najdrażliwsze kwestje stosunku do Niemców, stosunku wojska polskiego do Niemców.

* * *

Szef nie posłuchał Komendanta i przyszedł na winta; uważał zresztą i wypowiadał to z pasją, iż „wszystko już jedno". Przyszedł i sam Komendant, — przyszedł jako czwarty Artur Śliwiński, współpracownik Komendanta w Tymczasowej Radzie Stanu, a jako partner — niedawny dopiero adept winta. Nadeszła sobota 21. lipca. Wieczorem były, jak tydzień przedtem, maliny i herbata, ale Komendant wciąż półśmiejąc się ostrzegał, że po pierwszej próbie, z drugiego winta u Leszka wynikną najgorsze rzeczy.

To też nie było pomiędzy nami tym razem tego zwykłego nastroju beztroski, poprostu muszę powiedzieć, że nastrój był psi, humory były niemożliwe i jedyny Komendant trzymał się. Był wprawdzie niewesoły, ale bardzo spokojny. Znać było, że już zrzucił z siebie wszelki ciężar, gniotący go przez długie miesiące, ciężar wątpliwości, niepokoju o to, co się stanie, jakie decyzja pociągnie za sobą konsekwencje. Znowu jak zwykle w przededniu czynu, Komendant był skupiony, jednolity, bardziej jeszcze, niż zazwyczaj zamknięty w sobie, małomówny, nieskończenie miły.

My zaś, jak się rzekło, byliśmy w psich humorach, a szczególnie Sosnkowski i ja. Bardzo wcześnie staliśmy się sobie bliscy, lecz mieliśmy obydwaj parę, powiedziałbym, własnych koników, na które nie mogliśmy nigdy wsiąść razem i gdy do jednej z takich kwestyj między nami doszło, kłóciliśmy się długo, zapamiętale i walecznie. Nie wiem, dlaczego tego wieczoru, bez określonego powodu, bez właściwie żadnego „konika", poza chyba jakiemiś problematami powiedzenia trzech bez atu, gdy się nie miało nic w karcie, lub też ogłoszenia na złość partnerowi, za karę za jakiś jego błąd poprzedni, naumyślnie „pięciu" w kolor przeciwnika — nie wiem doprawdy już, czy z tego, czy z jakiego jeszcze innego powodu, kłóciliśmy się z Szefem ząb za ząb, przyczem obydwaj z Arturem, za każdem jakiemś niepodobającem się nam posunięciem Szefa w wintowej rozgrywce, straszyliśmy nieszczęsnego delikwenta Niemcami, którzy napewno, jeszcze tejże nocy po niego przyjdą. Tak, iż w końcu Komendant miał tego wszystkiego i nas wszystkich dosyć i zburczał nas: „Dajcie już spokój, nie kłóćcie się!"

W tym to nastroju przy herbacie i papierosach, długie robry tego wieczora przeciągnęły się mniej więcej do godziny drugiej w nocy. Skończyliśmy i nie rozchodziliśmy się. Komendant zaczął chodzić po pokojach w pustem mieszkaniu wzdłuż i wszerz. Nas ogarnęła melancholja późnych godzin — wróciły zresztą i skupiły się około nas wszystkie chmury, wszystkie przykrości, zwątpienia i obawy ostatnich dni, tygodni, miesięcy, lat. Wtedy Komendant zaczął przed nami swój monolog. Mówił krótkiemi urywanemi zdaniami, mówił raczej sam ze sobą.

Z początku zaczął się wypytywać o kwestje wyjazdowe, o możliwości pobytu gdzieś na wsi i sam zaczął rozważać miejsca, do których możnaby pojechać. Potem przeszedł do układania budżetu: wyliczał, ile pieniędzy będzie potrzeba na przeżycie spokojne i bez żadnych zewnętrznych trudności i kłopotów pewnego okresu czasu. — „Potrzeba mi przeżyć dwanaście miesięcy — przez ten czas nie mam nic do roboty" — i znów po namyśle, chodząc po pokoju, dodał: „a jak mnie wezmą, to nie będzie kłopotu" [1]).

W ten sposób przeciągała się pogawędka — minęło wpół do trzeciej. Czas było się rozejść. Czynili to wszyscy niechętnie, ociągając się, jakby coś jeszcze pozostało do omówienia, do wyznania, do po-

[1]) Drugi uczestnik winta, Artur Śliwiński, pamięta inne jeszcze powiedzenie, które nastąpiłoby zatem po powyższych słowach:

Komendant mówił: „Niemcy są już za słabi, aby się odważyć mnie rozstrzelać; ześlą mnie prawdopodobnie do jakiegoś obozu, ale stamtąd to już ja niedługo powrócę, a kiedy wrócę, to wrócę tutaj dyktatorem".

dzielenia. Wreszcie Komendant dał znak do odejścia — odprowadzałem go z honorami do windy, którą sprowadziłem na górę. Chwilę jeszcze staliśmy przed drzwiami windy, mówiąc coś nieskładnego i wówczas to, bez żadnego zresztą wstępu, Sosnkowski objął mnie za szyję i pocałowaliśmy się bardzo serdecznie: — „No, Michał, bywaj zdrów, do zobaczenia w Niepodległej Polsce". — Za chwilę zniknęli wraz z windą w czeluści niższych pięter.

Resztę nocy miałem niespokojne sny, z jakimiś walczyłem przywidzeniami strachu czy choroby. Ostatnie z tych widzeń przeraziło mnie niewymownie. O pewnej godzinie ołowianego ranka, zobaczyłem nad sobą skulone dwie postacie, dwa jakby typy ludowe, których nigdy nie widziałem przed tem, ani nigdy już potem nie zobaczyłem: jakąś pomarszczoną twarz starej kobiety w chustce ciemnej na głowie i wystraszone naiwne oczy młodego chłopca, — i usłyszałem wreszcie wyraźnie:

— „Panie! nieszczęście się stało — naszego Komendanta Niemcy wzięli!".

To widzenie zbiegło się z przebudzeniem. Zerwałem się na równe nogi — była godzina siódma rano; zobaczyłem przed sobą te dwie prawdziwe postacie stróżki z jakiegoś pobliskiego na Służewskiej domu i tego chłopca bladego, niewiadomo skąd. Nie mogli mi dać żadnych więcej szczegółów.

Pierwsza moja myśl dotyczyła archiwum — zabezpieczyłem je w sposób niesłychanie naiwny lecz jedynie narazie technicznie wykonalny, spodziewałem się bowiem lada chwila przyjścia Niemców — nie doceniałem zresztą w tym względzie ich braku wprawy policyjno-szpiegowskiej, gdyż do mnie ani wówczas ani potem nie przyszli— a raczej przyszli dopiero po niewczasie, w lipcu 1918 roku, wtenczas, gdy byłem w Moskwie. Tymczasem mieszkanie Komendanta na Służewskiej 5 przetrząsano za papierami, specjalnie zaś wysilano się na otwarcie kasety stalowej w ścianie w mieszkaniu tego nowego domu, której ciekawym sposobem nigdy nie zdołano otworzyć, od której klucze u mnie do końca pozostawały. W kasecie nie było zresztą żadnych papierów, było trochę złotych pieniędzy z kasy składkowej P. O. W.

Koło godziny dziewiątej rano, dowiedziałem się od p. Eli Kwiatkowskiej, iż Szef został aresztowany przez Niemców jednocześnie z aresztowaniem Komendanta.

Ale generała Kazimierza Sosnkowskiego zobaczyłem znowu, zgodnie z jego daną mi na odjezdnem w dalekie strony obietnicą, w Nie-

podległej Polsce, 29 listopada 1918 — w założonej w tymże dniu rezydencji Naczelnika Państwa — przy niejasnym blasku kominka rozpalonego w Belwederze, wyniosłego, smukłego, szczęśliwego — w przepięknym mundurze generała wojsk polskich, pierwszym jaki w życiu widziałem, mundurze z czerwonemi wyłogami, który mógłby się przyjąć jako odświętna szata naszych wodzów, choćby ze względu na niestarte wspomnienia tamtych dni.

PRZYPIS Nr. 1.

Dodaję z mojego dziennika z daty 6 grudnia 1918 ustęp rozmowy z Naczelnikiem Państwa Józefem Piłsudskim 26. listopada 1918 bezpośrednio po mym przyjeździe z Rumunji i Lwowa do Warszawy i zameldowaniu się u Komendanta mieszkającego przy ul. Mokotowskiej: — „Rozmowa zeszła na wspomnienia: Do Komendanta przyszli 22 lipca o 4 g. rano; pan Schultze oświadczył: mam do zakomunikowania panu że pan jesteś aresztowany; muszę dodać, że należy się spieszyc, bo odjazd nastąpi zaraz. Wieźli Komendanta przez Łódź, Kalisz, potem do Weichselmünde. Tam jeszcze było niezgorzej, fatalnie zato w żołnierskich obozach w Szpandawie i Wezel. Częste zmiany miejsc robiły wrażenie chęci zatarcia śladów i wywoływały szereg niewygód. Wreszcie w Magdeburgu rozpoczęło się traktowanie standesgemäs, parę pokoi, doskonałe jedzenie z pierwszorzędnej restauracji; ostatnie dwa miesiące z Szefem, który przedtem w celkowem więzieniu traktowany był na najgorszej stopie. O zmianach w Polsce głuche wieści, informacje dostarczane z miejscowego dziennika Magdeburger-Zeitung; wrażenie z pokazania numeru Woche z października z portretem tam zamieszczonym: Joseph Pilsudski — der neue polnische Kriegsminister. Wizyta hr. Kesslera w pierwszych dniach października, znajomego z nad Styru; z pewnem wahaniem i wstydem przytoczył w rozmowie niejako warunki: niewalczenie przeciw Niemcom oraz rozmiar pretensyj polskich w Prusach: rozumiał dobrze, że co do Poznańskiego niepodobna uniknąć okrojenia Niemiec, jednak zaznaczył sine qua non co do Gdańska i Śląska?; Piłsudski odparł zupełnem **non possumus:** trzymacie mnie w więzieniu, nie możecie stawiać mi żadnych warunków; co do zamiarów przyszłej Polski i jej granic, stwierdził tylko, że Polska przyjmie napewno wszystkie „Geschänke". Wreszcie na parę godzin przed wybuchem rewolucji w Magdeburgu, zjawił się powtórnie hr. Kessler i wywieziono Komendanta automobilem do Berlina. W Berlinie położenie było już naprężone; nagle przestało się widzieć mundury oficerskie na ulicy i Piłsudski był jedynym

oficerem, chodzącym swobodnie z szablą przy boku. Książe Hatzfeld opowiadał Mu swoją rozmowę z przed kilku dni z generałem Beselerem: książe przekonywał generała o konieczności wypuszczenia Komendanta, gdy zaś Beseler stwierdził, że jest to równoznaczne z rewolucją w Polsce, książe oświadczył, że zawsze będzie to lepsze, niżby miał tłum żołnierski z własnej inicjatywy go uwolnić; „also sie sind so weit?", zapytał wtedy Beseler. Piłsudski był zdumiony przebiegiem rewolucji w Berlinie. Na kilka godzin przed jej wybuchem, w mieście nie było znaku podniecenia, potem dopiero nagle w popołudniowych godzinach żołnierskie automobile po mieście, zniknięcie oficerów, manifestacje, zapowiedziały wypadki nadchodzące. Piłsudskiego wywieziono specjalnym pociągiem do Warszawy celem uniknięcia dalszych komplikacyj".

PRZYPIS Nr. 2.

Wyciągi z listów M. Sokolnickiego do p. Heleny Radlińskiej.

22.VII.1917.

Stało się to, co można było od kilku dni przewidywać. Dziś w nocy, ściślej mówiąc o 5 rano nastąpiło aresztowanie po kolei Komendanta w jego mieszkaniu na Służewskiej, Szefa w pensjonacie na Siennej. Po Komendanta przyjechali automobilem dwaj oficerowie z agentami; dopiero po wywiezieniu, wrócono po raz drugi i przetrząsano całe mieszkanie.

Trudno dziś ogarnąć wzrokiem wszystkie konsekwencje. Jedno nasuwa się z nieubłaganą logiką: aresztowanie Komendanta wywołane zostało przez denuncjacyjną kampanję, poprowadzoną w prasie i poza prasą. Artykuł GŁOSU (Nr. 176 z 17 lipca p. t. Winowajca), odezwa Koła Wolskiego Ligi Kobiet (p. Małgorzaty Starzyńskiej) w Gońcu z 18 lipca, denuncjacje TEKI (nr. 5 i 6), list otwarty Izy Moszczeńskiej, doskonałym trafem wydrukowany w dzisiejszym numerze (181) GŁOSU — były dla Niemców tą „falą opinji", która usprawiedliwiała ich zamach.

Politycznie najważniejszą rzeczą jest zachowanie się Austrji. W hipotezach, które ostatnio stawialiśmy sobie z Komendantem, wychodziliśmy z założenia, iż areszt nastąpić może jedynie na podstawie porozumienia Niemiec z Austrją z uwagi na to, że Komendant pozostał formalnie „Brigadier ausser Dienst". Sądzić należy zatem, że Austrja dała swoje placet.

Politycznie zatem należy uderzyć w ten najważniejszy i niewiadomy punkt. Należy zmusić Austrję do zdeklarowania się, czy idzie na nowy kurs niemiecki w Polsce, czy nie. I to trzeba uczynić na całej linji, wszystkiemi rozporządzalnemi środkami.

Jest to wszystko, co mogę powiedzieć w tej pierwszej chwili, gdzie jeszcze mnóstwo rzeczy pozostaje niewiadomemi.

3.VIII.1917.

Z aresztowaniami narazie halt. W mieszkaniu Komendanta opieczętowano jeden pokój, w którym zgromadzono wszystkie jego rzeczy. Pozatem mieszkanie wydano administratorowi domu.

Z listów Leona Wasilewskiego do p. Heleny Radlińskiej.

14.VII.1917.

Wczoraj było dużo rewizyj: w Jedności Robotniczej (dwa razy), w Piechurze, w redakcji i drukarni Kurjera Polskiego. Medard (Downarowicz) i Pietrek (Górecki) dziś odstawieni do cytadeli. U Sławka rewizja trwała od 5 rano do $7^1/_2$, poczem go aresztowano. Aresztowano nadto dużo ludzi z POW. Wzięto Pomarańskiego, Osmólskiego, Jędrzejewicza i t. d.

16.VII.1917.

Orgja rewizyj i aresztowań rozpętała się tu na dobre. To samo dzieje się na prowincji — w jeszcze większych rozmiarach. Aresztowani z piątku na sobotę siedzą razem w liczbie kilkunastu: Gustaw, Pietrek i t. d.

Przed godziną u Szefa była policja...

17.VII.1917.

Rewizje trwają, aresztowania też, zwłaszcza na prowincji. U Sosnkowskiego rewizja trwała 2 godziny, była bardzo ścisła. Zabrano mu w rezultacie paszport. On ma wrażenie, że go aresztują, ale to wątpliwe.

23.VII.1917.

Dziś rano zostali aresztowani i odwiezieni do cytadeli Komendant Piłsudski i K. Sosnkowski.

Kordjan Zamorski

KONIEC EPOPEJI.

(Przysięga w 1 pułku Legjonów).

Przypadł mi w udziale zaszczytny obowiązek spisania relacji z przesilenia przysięgowego w 1. p. p. Legjonów.

Byłem w tym okresie adjutantem pułku na zmianę z porucznikiem Alfredem Biłykiem, byłem przeto „in medias res" sprawy, jestem dzięki temu w tem szczęśliwem położeniu, że do osobistych wspomnień mogę dorzucić garść dokumentów, fotografji i rysunków.

Jeśli chodzi o wspomnienia osobiste, to jakkolwiek po 10 latach straciły może one na barwności i uleciały z nich pewne szczegóły, jednak wygrzebane z pod aktualności dnia powszedniego niech świadczą o niebywałej sile moralnej żołnierzy 1. p. p. Leg. i niech będą jeszcze jedną kartą historji tego pułku w walce o nieskalaną godność duszy żołnierza polskiego, żołnierza bez ojczyzny.

Żołnierza bez Ojczyzny, w owym bowiem czasie Niepodległa Ojczyzna ograniczyła się do odcinka bojowego brygady, pozatem obojętność ogółu społeczeństwa, niechęć do nas, serwilizm w stosunku do nowych zaborców, bydlęcy strach przed powrotem poprzedniego. Garść sympatyków dla sprawy i dla nas, maniaków raczej, z którymi nikt się nie liczył, nie dawała nam świadomości, że stoi za nami Naród, naród wielki, godny wywalczonej krwawo Niepodległości.

Mówiąc o przesileniu przysięgowem muszę sięgnąć pamięcią do roku 1916. Wtedy to dowódcy pułków legjonowych czyli t. zw. Rada pułkowników wysunęła szereg postulatów mających na celu uniezależnienie Legjonów od armji austrjackiej, czego wewnętrznym objawem było zdjęcie przez wszystkie pułki odznaki na kołnierzach. I. Brygada zdjęła swoje wężyki, II i III. Brygady zdjęły noszone przez siebie dotychczas odznaki Landwery — czekając na zatwierdzenie projekto-

Rada pułkowników u pułk. Roi 1916

siedzą od prawej ku lewej: Minkiewicz, Roja, Śmigły, stoi — Brzoza-Brzezina, siedzi w środku Berbecki, stoi Zymierski, siedzą Norwid-Neugebauer, Januszajtis.

wanych odznak polskich. Nadto wysunięto pewne postulaty zasadnicze streszczone w memorjale, przez wszystkich podpisanym. Postulaty te były następujące: [1]

„a) zmiana podstawowego prawa, które Legjon wcielą do wojska austrjackiego. Ustanowienie Legjonu jako samodzielnego „Korpusu pomocniczego w taktycznym związku z c. i k. armją", pozatem od niej niezależnego;

b) przydzieleni c. i k. oficerowie i komendanci musieliby być odwołani i zastąpieni przez oficerów i komendantów legjonowych;

c) jeżeli rząd austrjacko-węgierski zamierza użyć Legjonów jako materjał kadrowy dla postawienia rozszerzonej formacji wojskowej polskiej, to obecny moment jest prawdopodobnie jedynym i ostatnim, gdyż z powodu walk ostatnich czasów kadrowy element Legjonów ustawicznie skazany jest na zagładę;

d) podpisani pułkownicy poddają swe wywody łaskawemu, jeszcze na czasie będącemu rozstrzygnięciu AOK. i proszą o rozstrzygnięcie. Gdyby to ewentualnie miało wypaść negatywnie, to wedle ich mniemania tylko rozwiązanie Legjonów jest rozstrzygnięciem palącego pytania".

Dnia 31. sierpnia 1916 r. wysłał pułk. Sosnkowski memorjał, który Prezesowi N. K. N. wyłuszczał stanowisko Rady Pułk. jak następuje:

[1] Rejestr Nr. 3. Warszawa 25.IV. 1917.

DO

NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO

na ręce

JWPP. Prezesa Ekscelencji Leona Bilińskiego i Wiceprezesa Wł. Leop. Jaworskiego.

Pismem niniejszem niżej podpisani wyżsi oficerowie Legjonow Polskich zwracają się do Naczelnego Komitetu Narodowego z prośbą o wydatniejszą opiekę nad wojskiem, obronę jego interesów, poparcie jego dążeń i pragnień. Krok ten czynimy w przeświadczeniu, iż Naczelny Komitet Narodowy jest zaczątkiem Rządu polskiego, nie zaś dzielnicową reprezentacją jedynie; stąd w rozumieniu naszem płynie obowiązek i konieczność poparcia przez N. K. N. aspiracyj naszych, żądających przekształcenia Legjonów w Wojsko Polskie.

Wobec założeń powyższych sądzimy, iż twierdzenie o niedopuszczalności interwencji Naczelnego Komitetu Narodowego na rzecz Legjonów ze względu na szkodliwość lub niemożliwość mieszania się władz cywilnych do zakresu działania władz wojskowych, jest argumentem błędnym i nieistotnym.

Bez względu na wynik wszczętej przez nas akcji, Legjony nie przestaną uważać się za wojsko polskie. Gdyby obecny Rząd Polski w swej zaczątkowej formie nie okazał dostatecznej siły dla obrony i poparcia wojska, zwarte szeregi legjonowe nie będą mogły pozostać biernymi, zbyt wysoko ceniąc ofiarę poległych kolegów, by zezwolić na ponowne odwlekanie naszych skromnych, a tak dla egzystencji koniecznych wymagań.

Nie możemy również dopuścić, zarówno ze względu na dobro całej Polski, jak i na rozwój wojska, by powoływano się na krew i ofiary Legjonów Polskich w celu osiągania wpływu w społeczeństwie bez aprobaty Narodu.

Przedkładamy Naczelnemu Komitetowi Narodowemu następujące punkta do rozwagi i uwzględnienia:

1. Prosimy o wyraźne zaznaczenie wobec rządu austrjackiego, iż obecne Legjony i ich przyszły twór może i musi być jedynie uważany za Wojsko Polskie, które bije się i umiera za niepodległość Polski.

2. Prosimy o jak najenergiczniejsze poparcie w sferach miarodajnych wyłuszczonych w naszym memorjale do N. K. N. żądań, kładąc specjalny nacisk na zlegjonizowanie Naczelnej Komendy Legjonów, która własną, polską, odpowiedzialną przed własnem społeczeństwem i rządem być winna.

3. Prosimy o jak najszybsze porozumienie się z Delegacją Stronnictw w Warszawie celem utworzenia wspólnego prowizorycznego Rządu Polskiego, co jedynie zagwarantować może należyte rozstrzygnięcie sprawy polskiej wogóle i sprawy wojska.

4. Prosimy o zwinięcie Departamentu Wojskowego N. K. N. Do czasu zaś powołania innej instytucji, wyłonionej za zgodą i wspólnie z Królestwem, już na podstawie zasadniczego rozstrzygnięcia w sprawie wojska, prosimy wstrzymać werbunek w obecnej formie i na dotychczasowych podstawach, który miast spodziewanego przyrostu siły, jedynie hańbę przynosi wojsku, wypełniając jego szeregi materjałem lichym, moralnie bezwartościowym, wśród którego mnożą się wypadki zbiegostwa na stronę rosyjską.

5. Czujemy się w obowiązku zaznaczyć, iż uzyskane już korzystne zmiany w zakresie odznak, tytulacji szarż etc., aspiracyj i dążeń Legjonow ani nie

wyczerpują, ani też zaspokoić w żadnym wypadku nie mogą. Oczekujemy zasadniczych rozstrzygnięć — i dopóki te nie nastąpią, dopóty trwa w całej pełni alternatywa, postawiona w końcowych wnioskach naszego memorjału do Naczelnej Komendy Armji.

6. Prosimy poczynić ostateczne kroki celem natychmiastowego wycofania z frontu wyczerpanych do ostateczności Legjonów, oraz celem zużytkowania pozostałych ich szczątków jako materjału kadrowego do tworzenia zdatnych do dalszych trudów formacyj wojska polskiego. Stan obecny każdego z pułków nie przekracza 300—400 karabinów; żołnierz schorowany i wyczerpany do ostatnich granic masowo w dalszym ciągu odchodzi do szpitali. W tych warunkach egzystencję Legjonów można liczyć na tygodnie.

7. Specjalnie w sprawie szkół oficerskich, o których zamierzonem utworzeniu nastąpiła już oficjalna zapowiedź, wyrażamy oparte na dwuletniem doświadczeniu wojennem przekonanie, iż wydać one mogą dobre rezultaty jedynie wtedy, gdy komendant szkoły, personel nauczycielski i zespół uczniów dobrany będzie nie z pośród etapowców, lecz z pośród wysłużonych oficerów i podoficerów frontowych. W razie nieuwzględnienia powyższej zasady, projektowane szkoły oficerskie staną się terenem protekcyjnych praktyk, wygodnem asylum dla wszelkiego gatunku „dekowników", wreszcie krzyczącą i wysoce niemoralną niesprawiedliwością w stosunku do dziesiątków oficerów, którzy w twardym trudzie bojowym stargali zdrowie i siły, w stosunku do setek wysłużonych podoficerów, wyczekujących napróżno awansu, nierzadko od początku wojny.

8. Prosimy, by we wszystkich sprawach, dotyczących wojskowości polskiej, powoływaną była komisja wojskowa, złożona z wyższych oficerów legjonowych z frontu, którzy przecież posiadają w tym kierunku najlepsze doświadczenie i dobrą wolę. Punkt ten uważamy za nadzwyczaj ważny, gdyż dotychczas wszystkie zmiany spadały na nas bez żadnego stosowania się do naszego życia i naszych potrzeb, co z konieczności pociągało za sobą szkodliwe tarcia i nieporozumienia.

Uważamy następnie za wskazane, by wszelkie pomocnicze funkcje w Naczelnym Komitecie Narodowym oraz w instytucjach powstać mających, obsadzane były przez oficerów i żołnierzy, którzy stracili zdrowie na froncie.

W przekonaniu, iż Naczelny Komitet Narodowy rozumie nas i nasze najlepsze intencje, wyrażamy nadzieję, iż wszelkie techniczne sprawy, dotyczące wojska, załatwiać będzie w porozumieniu i kontakcie z ludźmi najkompetentniejszymi w tym kierunku, t. j. z przedstawicielami formacyj frontowych.

Czujemy się w końcu w obowiązku wyjaśnić, iż Rada Pułkowników powstała celem osiągnięcia jednolitości wewnątrz wojska. Fatalne warunki, beznadziejne położenie i stan Legjonów, wobec braku pomocy z zewnątrz, wymusiły wszczęcie akcji, mającej na celu samodzielne uzyskanie prymitywnych praw, wreszcie poprostu utrzymanie istnienia szeregów naszych.

Podpisani z radością powitają moment, gdy troski powyższe obejmie silnie i niezawodnie odpowiednia instytucja polityczna.

W polu, dnia 20 sierpnia 1916 r.

Podpisali:

Józef Piłsudski m. p. **Józef Haller de Hallenburg** m. p.

Kazimierz Sosnkowski m. p. **Bolesław Roja** m. p.

Tyle memorjał. Wystarczy tego, by uznać to za pierwszy krok, w walce o wojsko polskie. Krok brzemienny w następstwa. Samo ukonstytuowanie się „Rady Pułkowników" było zwiastunem zbliżającego się kryzysu. Instytucja taka stała w rażącej sprzeczności z zasadami dyscypliny wojskowej i była klasycznem votum nieufności dla urzędowej Komendy Legjonów.

Zarówno A. O. K. (Naczelne Dowództwo Armji) jak i c. i k. Komenda Legjonów ustąpiły. Poniosły w tem pierwszem starciu porażkę. Bo oto w okresie najgorętszych walk na „Polskiej Górze", na zażalenie wniesione przez generała Puchalskiego na nas, że zdjęliśmy odznaki i rozkazu włożenia ich nie wykonaliśmy, nadeszła telegraficzna odpowiedź: „Alles erledigt — nur Ruhe".

Godzi się w tem miejscu zacytować treść dokumentu, który z owych czasów zachował się w moim posiadaniu:

„Do Rady Pułkowników na ręce JWPana Pułkownika Śmigłego-Rydza. Po otrzymaniu 1. uchwały Rady Pułkowników oficerowie legjonowi przy Sztabie 3. Brygady postanowili zdjąć odznaki, czemu sprzeciwił się osobistym rozkazem generał Grzesicki: na co w odpowiedzi oświadczyli ciż, że nadal solidaryzować się będą z ogółem korpusu oficerskiego Legjonów i stosować się do uchwał Rady Pułkowników. Przeto po otrzymaniu 2. uchwały Rady z dn. 3.VII. 1916 legjonowi oficerowie sztabu 3. Brygady z wyjątkiem dwu niepodpisanych, stając dnia 4 b. m. do raportu przed komendanta 3. Brygady, prosili go o swobodę w wykonaniu uchwały Rady[1]) co do zdjęcia odznak. Ponieważ po raz drugi zostało im to odmówione, wnieśli natychmiastową prośbę o przeniesienie ich do innych oddziałów, motywując tem, że służąc nadal w sztabie 3. Brygady nie zawsze mogą odpowiedzieć obowiązkom oficera legjonowego.

Zatrzymując pod presją osobistego rozkazu odznaki do czasu przeniesienia, podpisani mają zaszczyt o powyższem zawiadomić.

Nowe Kukle 4.VII. 1916. — Józef Biernacki podpor., Stefan Rotarski chorąży, Włodzimierz Dolatis chor., Zdzisław Ruebenbauer chor.".

Groźnie wyglądająca początkowo sprawa odznak, później ugodowo załatwiona oczywista autorytetu wojskowych władz austrjackich ani c. i k. Komendy Legjonów nie podniosła. Przyszedł okres ciężkich walk. Legjony mimo wewnętrznej rozterki pozostały nazewnątrz pierwszorzędną jednostką bojową. Walcząc o indygenat żołnierza Polski z Austrjakami, toczyły w tym czasie ciężkie boje z Moskalami. Stan bojowy oddziałów stopniał w sposób gwałtowny. Na pierwszy plan wysunęła się kwestja odpoczynku i urlopów. Komenda obiecywała jedno i drugie. Faktycznie pułk nasz był albo na odcinku, albo co gorsza w rezerwie, przerzucany z miejsca na miej-

[1]) Uchwał tych Rady Pułkowników niestety w zbiorach swych nie posiadam.

sce, bez kwater, na biwaku. Brak urlopów żołnierskich dopełniał miary rozgoryczenia i wyniszczał siły żołnierzy. Bardziej jeszcze od nas cierpiał pod tym względem 2 i 3 p. p.

W tym samym czasie wielokrotnie powtarzały się pogłoski o bliskiem rozstrzygnięciu sprawy polskiej. Tu też osoby bardzo miarodajne z kół zbliżonych do Komendy powoływały się na źródła nieraz najbardziej urzędowe. Wszystko to razem wprawiło żołnierzy i oficerów, nawet bardzo daleko trzymających się od polityki, w stan nieznośnego zdenerwowania. Wszyscy zaczęli z upragnieniem czekać wyj-

Na biwaku. Polesie.

ścia z sytuacji, której dalsze trwanie było zupełnym absurdem. Dla każdego stało się jasnem: 1) że na czele Legjonów nie może stać Komenda, do której nikt nie miał zaufania, która nie jest mandantem żadnej reprezentacji politycznej narodu polskiego i której rozkazom można nie wierzyć, oraz 2) że Legjony muszą wreszcie wyczerpać swe siły, skoro Polska rekruta nie daje, a oddziały wciąż są na służbie bez urlopów i odpoczynku. Zmiana zarówno w jednym jak i drugim względzie była możliwa tylko w razie rozstrzygnięcia sprawy niepodległości. Jedyną ostoją w tych ciężkich chwilach była obecność Komendanta Piłsudskiego. Na Niego zwrócone były wszystkie oczy. On jeden mógł ocalić Legjony od ostatecznego wyniszczenia rabunkową gospodarką. On jeden mógł zająć miejsce naczelnego wodza,

obdarzonego powszechnem zaufaniem, On jeden mógł wpłynąć na zmianę stosunków w dopływie świeżych uzupełnień.

Tak wierzyło wojsko.

Stało się inaczej. Od chwili wyjazdu Komendanta Piłsudskiego na urlop zaczęły się szerzyć pogłoski o mającej nastąpił rezygnacji, ale nikt nie wierzył, aby się to faktycznie stać miało.

Dnia 31.VIII.1916 r. zostało rozkazem Komendy I. Brygady Op. Nr. 454 — wydanym w kolonji Dubniaki nakazanie oddanie naszego odcinka bojowego III/249 p. p. niemieckiej, oraz kompanji rekrutów

Przemarsz rezerwy do okopów 1916. Kolonja Dubniaki

bawarskich. Pułk nasz przejść miał do Powurska jako rezerwa korpusu Faltha. Tymsamym rozkazem podporządkowano pułk. Śmigłemu nasz VI. bataljon.

1 września 1916 roku pułk nasz w nowym składzie znalazł się w Powursku. Ohydne kwatery, słota. Krążą wśród wojska pogłoski o tem, że ma to być rzekomo początek luzowania Legjonów. Tymczasem jednak przychodzi wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Rumunję. Nastrój wojska wyładowuje się w ostrej formie wszelakiego kalibru bójek z Austrjakami. Zaraz na wstępie pobito srodze jakiegoś „fähnricha" — sprowadzonych żandarmów austrjackich rozgromiły nasze chłopaki przy pomocy świeżo „fasowanych" sztyletów t. zw. „dolchmesserów".

Po tym występie przechodzi pułk dnia 5.IX.1916 z Powurska na południowo-wschodni kraniec lasu Sieliwestrówka, gdzie staje biwakiem. Zaczynają się przymrozki, przenikliwe zimno w namiotach, nastrój zły. Brygadą dowodzi Szef Sosnkowski w zastępstwie Komendanta, o którym wiadomo, że pojechał do AOK., ostatecznie wyjaśnić sytuację Legjonów i ewentualnie wnieść prośbę o dymisję. Mówi się powszechnie o tem, że „galileusze" odejdą do wojska austrjackiego, a królewiacy do „cywila", by w ten sposób skończyć od dwu lat rozgrywaną zabawę w ciuciubabkę.

Sieliwestrówka. Pułk. Śmigły z koniem „Bohunem", obok „kancelarja pułku"

Przeświadczenie o konieczności takiego wyjścia stawało się coraz powszechniejsze — decyzja dojrzewała. Mimo tego jednak były też dwie nadzieje na ustępstwa ze strony Austrjaków, podsycane najfantastyczniejszemi pogłoskami, przywożonemi z kraju przez wszelkiego kalibru łazików. Pozatem w Piasecznie, miejscu postoju Komendy Legjonów, zjawił się pułk. Sikorski, dotychczasowy Szef Dep. Wojsk. N. K. N. Rzekomo pułk. Januszajtis miał przywieść już wiadomość o przyjęciu dymisji Komendanta.

Mimo powszechnego podniecenia — służba w pułku szła normalnie, w miarę jednak upływu czasu wzrastała nienawiść do Austrjaków w ogólności, a do Austrjaków legjonowych szczególniej. Równolegle do tego rozwijała się żołnierska sympatja do Bawarów, jako

dobrego wojska tak, że w końcu wszelkie bójki obozowe kończyły się laniem Austrjaków przez połączone siły legjonistów i Bawarów.

W tym stanie rzeczy wieczorem 28 września 1916 roku dostajemy pilny rozkaz zluzowania 4 p. p. Leg. na pozycji pod Rudką Miryńską. Rozkaz Op. Nr. 508 z 28/IX.1916, podpisany przez pułk. Sosnkowskiego, dowodzącego w zastępstwie brygadą.

Wymarsz nastąpił w nocy. Ciemno było, choć oko wykol. -- Pułk zebrał się w kompletnej ciszy i dopiero miarowy tupot batalj onów, wychodzących z rejonu biwaku dawał poznać ruch wojska. Wycho-

W rezerwie przy ognisku

od prawej ku lewej por. Bilyk, por. Zamorski, siedzą dwaj ordynansi bojowi, stoi leg. Stanisław Luc z dowództwa pułku.

dziliśmy z najzupełniejszą pewnością że to jest przegrupowanie, związane z zasadniczemi pociągnięciami w stosunku do Legjonów, a szczególniej do I Brygady — równocześnie zdecydowani byliśmy na najgorsze. Szczęściem dowódca pułku pułk. Śmigły był z nami. Jemu ufaliśmy bezgranicznie.

Jechałem pełen smutnych przeczuć, na dobitek koń potknął mi się dwukrotnie; przesądny jak każdy żołnierz wierzyłem, że ten wymarsz zaprowadzi nas dalej, niż przypuszcza AOK., no i my też. Pozycja odziedziczona po 4 p. p. mizernie zbudowana, łączności brak — punkt, w którym wybudowano schron dla dowództwa pułku,

zowie się „memento mori", nazwany tak przez poprzednika naszego pułk. Roję. Nastrój przepodły—wszyscy od dowódcy pułku do ostatniego taboryty w oczekiwaniu doniosłych wydarzeń. Wtem dnia 29 września wczesnym rankiem zawiadomił nas ś. p. por. Sulistrowski, oficer ordynansowy brygady, że dymisja Komendanta przyjęta, że Szef Sztabu Sosnkowski wezwany do AOK., przyczem przysłano dlań marszrutę bezpowrotną — stąd przypuszczenie, że jedzie na internowanie — dowództwo brygady obejmuje Januszajtis. Wieści hiobowe. Wynika z nich jasno wola AOK. złamania mrzonek

Sztab pułku. Pozycje nad Stawokiem 1916

siedzi w środku pułk. Smigły. Po jego lewej stronie por. Zamorski adjutant, sierż. Burecki, kierownik kancelarji pułkowej, po prawej stronie austrjacki oficer łącznikowy artylerji, na kraju kapelan pułkowy ks. Ciepichatt. Oficerowie mają zdjęte w myśl decyzji Rady Pułkowników odznaki.

o zależności Legjonów od polskiej reprezentacji politycznej, chęć skończenia z kłopotami, na jakie narażała Austrjaków wiecznie buntująca się I Brygada — słowem „mann muss endlich ein Schluss mit dieser grausamen Bande machen". Słowem mamy się stać landszturmem pod wodzą Küttnerów, Grzesickich zrównani z akcesistą Koubą i Doupą, czy by brygadą hucułów, czy też brygadą na kształt bukowińskiej brygady Papa. Austrja skłopotana, zaczynająca cierpieć nędzę, miała zdawało się dość Piłsudskiego i jego brygady. Dając dymisję

jemu, zmieniając Ordre de bataille Legjonów, sądziła, że sprawę całkowicie załatwi.

W pułku wiadomości te niezwłocznie rozszerzone przez telefonistów były uderzeniem gromu. Był to cios wymierzony w serce, cios, który na szczęście nie zabił poczucia żołnierskiego obowiązku i nie doprowadził do hańby zdrady w tym momencie. Cios był jednak celny i bolesny, wywołał też gwałtowne wzburzenie. Żołnierze I bataljonu zaczęli łamać broń, dopiero osobisty wpływ uwielbianego dowódcy pułku spowodował uspokojenie i wskazał inne drogi postępowania. Ustalono, że oficerowie wszyscy przez przeciąg paru dni mają się podać do dymisji — Królewiacy do domu, Austrjacy do armji austrjackiej, motywując podania względami politycznemi. Żołnierze mieli być „wymaroderowani" przez pozostałych do końca, do tego celu wyznaczonych oficerów. Każdy żołnierz odchodzący na tyły miał tam iść z instrukcją łazikowania i nie wracania do linji. W związku z tem, by po odejściu zwolnionych z pułku oficerów nie zostać w rozbiciu zawiązała się w pułku naszym samorzutnie Rada Żołnierska, posłuszna w swoich poczynaniach swoim dowódcom, dokąd ci byli na ich czele. Pierwszym przewodniczącym tej Rady był szereg. I. baonu Michał Romer (Rzymski), w skład jej wchodzili podoficerowie: Szajewski, kpr. Heller, Gordon, Wąsowicz i Horoszkiewicz. Rada zawiązała się 30.IX na wieść o odejściu Komendanta przy I baonie — i pod wieczór nawiązała kontakt ze wszystkiemi pułkami, z wyjątkiem 2 i 3 p. p. Legjonów. Przetrwała do chwili, kiedy Komendant polecił pozostać w wojsku, o czem potem. Nie brakło też, szczególniej wśród żołnierskiej braci, projektów rozpaczliwych w postaci sprawienia krwawej łaźni najbliższym Austrjakom i t. p. Dla pewności przyjęliśmy ugrupowanie, pozwalające odeprzeć krwawo zarówno natarcie Moskali, jak i wszelką próbę rozbrojenia nas siłą przez znienawidzonych trepów.

Na szczęście dla siebie Austrjacy wiedząc, że jesteśmy „Eine grausame Bande, aber sehr gute Soldaten" nie kwapili się przez najbliższe dni z żadnym przedsięwzięciem, które zakończone prawdopodobnie zniszczeniem Legjonów, mogło narazić ich przedtem na krwawą nauczkę i ciężkie straty. Nastrój był taki, że lada iskierka mogła wywołać nieobliczalny w skutkach pożar. Toteż pułkownik Śmigły wydał rozkaz wystawienia w stronę graniczących z nami Austrjaków placówek i zakazał wszelkiej z nimi styczności.

Odprawa Komendy I Brygady z dnia 1 października 1916 r. wydana w Miryniu potwierdziła wszelkie pogłoski. Pułk. Januszajtis ogłosił w punkcie 1 tej odprawy: „Z dniem dzisiejszym obejmuję komendę nowosformowanej I Brygady. W ciężkich warunkach, jakie

przeżywają dziś Legjony wewnętrznie, wymagać będę żołnierskiego wytrwania na stanowisku aż do końca. Wiara moja w spełnienie się tych pragnień i dążeń, z jakiemi Legjony w pole wyszły, jest większa, niż kiedykolwiek. Nie wolno żołnierzowi upadać na duchu. Dziś więcej, niż kiedykolwiek należy wytrwać. Chcę, byście we mnie widzieli żołnierza, który wie o co walczy, który nie wraca w pół drogi i z wiarą idzie naprzód ku nigdy tak wyraźnie, jak dziś rysującym się zrębom niepodległego państwa polskiego. Powyższe odczytać przed frontem!".

Odprawę, zawierającą jeszcze 6 punktów treści gospodarczej, podpisał za zgodność kpt. Piskor, dotychczasowy w naszej brygadzie zastępca Szefa. Pułk. Januszajtis chciał wytrwać do końca i widział wyraźnie zrąb niepodległego państwa polskiego — my żołnierze 1 pułku pytaliśmy do jakiego trwać mamy końca, a rysujący się zrąb niepodległego państwa, administrowanego wśród strasznej bierności społeczeństwa przez austrjackich i niemieckich urzędników okupacyjnych, uważaliśmy za polityczny szwindel.

Muszę tu raz jeszcze podkreślić fakt, że mimo kolosalnego wzburzenia z powodu zmiany Ordre de bataille Legjonów, które wcielało do naszej brygady 2 p. p. Leg. a 5 tu po dwóch latach wspólnych walk i najściślejszego związku ideowego z pułkiem naszym, przenosiło do brygady 3-ciej, mimo objęcia dowództwa brygady przez najmniej wśród nas popularnego płk. Januszajtisa, służba na froncie poza pewnemi objawami rozpaczy i moralnego załamania się, nie doznała żadnego uszczerbku. „Z żalem" w sercu i z uczuciem niepewności jutra wszyscy spełniali w dalszym ciągu wzięty na siebie obowiązek.

Bez żadnej agitacji zaczęto tylko realizować likwidację Legjonów w myśl planu, jaki wyłożyłem poprzednio.

W tym samym prawie czasie, w Wiedniu, Koło Polskie na posiedzeniu dnia 4 października powzięło 2 następujące uchwały:

„1. Idąc za głosem obowiązku i miłości Ojczyzny, posłuszny wezwaniu swych kierowników, złożył Naród polski w obecnej wojnie ofiary przechodzące jego siły. Świadczą o tem tak liczne pobojowiska, obficie krwią polską skropione, jak bohaterskie wysiłki Legjonów i męstwo żołnierzy Polaków, oraz grozą przejmujące zniszczenia szerokich ziem polskich. Wszystko to uczynił w przekonaniu, że z tych ofiar krwi i zniszczenia wyjdzie Polska Wolna i Niepodległa.

Na tem stanowisku wytrwało Koło Polskie niezłomnie, mimo zmiennych wojny kolei i zmiennego też stanowiska rządu, który niejednokrotnie tolerował nadużycia organów państwowych, naruszających prawa obywatelskie konstytucją zagwarantowane.

Wobec wojny dotąd nie rozstrzygniętej i rozlicznych możliwości dalszego ukształtowania się stosunków, Koło Polskie stoi dalej niezłomnie na swojem stanowisku w sprawie polskiej i protestuje przeciw wszelkim zamiarom rozdziału ziem polskich".

(Uchwalono wszystkiemi głosami, przeciw jednemu).

2. „Koło Polskie wyraża głębokie ubolewanie, że kierownictwo spraw zagranicznych monarchji austro-węgierskiej nie utrzymało w toku pertraktacyj z rządem niemieckim o sprawę polską kontaktu z powołaną reprezentacją narodu polskiego i lekceważyło opinję polskiego społeczeństwa. To lekceważenie stało się źródłem szeregu błędów popełnionych przez ministra spraw zagranicznych, które wyrządziły niepowetowaną szkodę narodowi polskiemu, obrażając jego uczucia i naruszając jego najżywotniejsze interesa".

(Uchwalono 28 głosami, przeciw 15).

Uchwały te jakkolwiek blade, świadczyły jednak o obudzeniu się sumienia narodowego wśród politykującego społeczeństwa cywilnego. Dlatego sądziliśmy, że postawa nasza spowoduje zarówno Koło Polskie, jak i NKN. do energicznego i godnego reprezentowania i wyzyskania tej postawy wojska na arenie polityki. To też szeroką falą poszła akcja wnoszenia podań przez oficerów i stawania do raportu przez żołnierzy z prośbą o zwolnienie z szeregów Legjonów.

Podania wnoszą wszyscy oficerowie za wyjątkiem kpt. Kukiela, który postanawia mimo wszystko pozostać i mjra Burharda-Bukackiego, który wyjeżdża na urlop i ma wnieść podanie z urlopu. Pułk. Januszajtis ogłasza w odprawie rozkaz o raportach:

„Raporty oficerów sztabu brygady wedle ustnych wydanych poleceń. Raporty innych oficerów w Brygadzie, wyznaczone będą odpowiednio do każdorazowego zgłoszenia, które ma być zawsze uprzednio piśmiennie meldowane z podaniem najogólniejszych motywów. To samo dotyczy raportów brygady dla podoficerów i szeregowców".

W myśl tego rozkazu pierwsi z naszego pułku do raportu stanęli kpt. Kulczycki (Sas), Zieleniewski (Kalina), i dwóch jeszcze oficerów, których nazwisk dziś sobie nie przypominam. Płk. Januszajtis usiłował początkowo przekonać ich, by cofnęli swoje podania, jednak kiedy kpt. Kulczycki zameldował, że podania nie cofa, zaniechał dalszej rozmowy. Wydał też wkrótce rozkaz, by do raportu więcej nie stawano, a ograniczono się do wnoszenia podań:

Oto podanie wniesione przez kapitana Stanisława Tessarę (Zosika):

„DO
C. i K. KOMENDY LEGJONOW POLSKICH

Prośba o zwolnienie ze służby w Legjonach Polskich.

Nadeszła chwila, w której zmuszony jestem prosić c. i k. Komendę o zwolnienie mnie z Leg. Pol.

Więcej niż 2 lata minęły od czasu, gdy mundur Legjonów po raz pierwszy wkładałem. Moment ten był dla mnie pierwszą tragedją i pierwszem rozczarowaniem pośrod wielu, które mi potem jako oficerowi Leg. Pol. stale prawie towarzyszyły. Ja i koledzy moi z Królestwa Polskiego, stający z największym entuzjazmem do walki z odwiecznym wrogiem naszej Ojczyzny, byliśmy odrazu postawieni wobec konieczności złożenia przysięgi na wierność Jego C. i K. Mości.

Zawahaliśmy się. Czuliśmy, że szczere uczucie bezgranicznej i ślepej wierności jedynie rozdartemu narodowi swojemu i sprawie polskiej szczerze wyrazićbyśmy mogli. Jeżeli zaś chodzi o osobę, to nie mając własnego króla, przysięgać czuliśmy moralny obowiązek temu, który nas z martwoty ocknął, poczucie godności narodowej obudził, krwawą drogę do wolności wskazał i pierwsze na niej kroki stawiać nauczył. Ślubowaliśmy, bo tak kazał Piłsudski. W rocie przysięgi, odczytywanej nam na błoniach kieleckich przez kapitana sztabu Zagórskiego, Jego C. i K. Mość nazywany był królem Polski.

Wstąpiła w nas otucha, myśleliśmy, iż rzeczywiście Jego C. i K. Mość tytuł ten przybrać raczył, mniemanie to jednak wkrótce mylnem się okazało.

Od tej chwili przestaliśmy być politykami. Poszliśmy tworzyć Polski czyn wojenny, któryby jako atut w ręce starających się o podniesienie naszej sprawy narodowej, mógł być złożony. Szliśmy w bój. Na równi z pierwszorzędnymi oddziałami armji regularnej stawać my poczęli i obficie krwią oblewać zaszczyt wkupienia się w grono rycerzy.

Kołnierze „oficerów polskich" ozdobione zostały rozetkami, odznakami, które urzędnicy c. i k. armji, przebywający dziesiątki kilometrów za frontem, nosić mieli przepisane.

Nie jako żołnierz zatem, ale jako urzędnik państwowy szturmowałem z kompanją sług i podurzędników dwieście ósmy pułk piechoty rosyjskiej w lesie Anielina i jako urzędnik ranny z pola bitwy wyniesiony zostałem.

Wkrótce jednak zasłużyliśmy sobie jako żołnierze na pochwałę, ba nawet uznanie, że zdolni jesteśmy stawać w boju obok c. k. Landszturmu. Zdobywaliśmy uznanie, które rumieniec wstydu na twarz mi wywoływało.

Poczyniliśmy zdobycze, które dla nas niewystarczające były, ale jako dla gażystów tej lub owej klasy rangi, dostateczne.

I były chwile, w których się zdawało, że do trwania dalszego siły nie stanie, siły, która z zewnątrz żadnych bodźców podniety nie otrzymywała, że trzeba skończyć to ciężkie trwanie tembardziej, iż żadnego ono wpływu przez długi czas na polepszenie losów Ojczyzny nie okazuje.

Tak myśleliśmy my.

Inaczej orzekł Piłsudski. I zebrawszy wszystkie siły istoty swojej, trwaliśmy, bo tak On rozkazał.

Do żołnierzy piszę, a więc zrozumieją, gdy powiem, że trudno było stawać do bitwy w wyżej wskazanym nastroju duchowym, a jednak do dnia ostatniego biliśmy się, jak tego honor żołnierza polskiego wymagał.

Ale siły znaleźliśmy dość jedynie dzięki temu, że tak rozkazał Piłsudski.

Chwila dzisiejsza przełomową jest w życiu mojem. Rozkaz c. i k. Komendy Legjonów Polskich ogłaszający dymisję brygadjera Piłsudskiego, grunt stały z pod nóg mi usuwa.

Szmatą jestem zmiętą, którą jedynie kurz z grobów moich dawnych żołnierzy ocierać można. Będąc dotąd jednym z tych, którzy sławę oręża polskiego z upadku dźwigają, lękam się, by gmach takim trudem stawiany, z mojej przyczyny od dnia dzisiejszego chwiać się nie zaczął.

Lękam się o siebie, trwogą mnie ogarnia myśl o odpowiedzialności za żołnierzy moich.

W imię dobra służby tych, którzy dalej walczyć mają siłę i dobra sprawy, której powodzenie na czynach naszych się opiera, proszę usilnie o jak najszybsze zwolnienie mnie od służby w Leg. Pol.

Stanisław Tessaro, kpt.

Teraz parę podań podoficerów i szeregowców:

Sierżant I. bryg., 1 pułk., III baon, 1 komp., **Antoni Miszewski**

„DO
C. i K. KOMENDY LEGJONOW POLSKICH.

W dniu 4 sierpnia 1914 roku wyruszyłem w pole na wezwanie Komendanta Józefa Piłsudskiego, by pod J e g o d o w ó d z t w e m walczyć w imię wolnej i niepodległej Polski.

Komendant Józef Piłsudski był i jest wyrazem idei, dla której jedynie i wyłącznie walczyć jest mym obowiązkiem.

Usunięcie Komendanta — to zlekceważenie — to pominięcie celu i dążeń polskiego żołnierza.

Proszę przeto c. i k. Komendę Legjonów o zwolnienie mnie ze służby, która nie jest służbą mej Ojczyźnie.

30.IX 1916 r. Poczta polowa 389. **Antoni Miszewski,** sierżant.

„DO
WYSOKIEJ C i K KOMENDY LEGJONOW POLSKICH.

I bryg., 1 p. p., 1 bataljon. Szeregowiec Majda Zygmunt.

Powyżej podpisany obywatel Królestwa Polskiego z zaboru rosyjskiego prosi posłusznie c. i k. Komendę Legjonów Polskich o zwolnienie z Legjonów.

Powód swej prośby o zwolnienie streszczam:

Że wstąpiłem do Legjonów, które stworzył Józef Piłsudski i które się biły za Niepodległość Polski, że rękojmią tego była osoba Józefa Piłsudskiego, który przyrzekł uroczyście, że będzie walczył tylko za Wolną i Niepodległą Polskę. Pokładając w Nim bezwzględną wiarę, wstąpiłem.

Z ustąpieniem zaś Józefa Piłsudskiego, to jest z ustąpieniem rękojmi, że bijemy się za Niepodległą Polskę, bezcelowem jest dla mnie narażanie życia. W rezerwie d. 30.IX 1916 r.

Majda Zygmunt".

„DO
C. i K. KOMENDY LEGJONÓW POLSKICH.

Kapral Bronisław Filus z I. Bryg. 1 p. p., oddz. telef., prosi posłusznie o przeniesienie go do c. i k. armji — motywując swą prośbę ustąpieniem Brygadiera Józefa Piłsudskiego, bo On jedynie reprezentował te idee, dla osiągnięcia których petent spełniał służbę w szeregach Legjonów Polskich i Jemu tylko petent ufał. Petent jest poddanym austrjackim, urodził się 28.X. 1894 r., wojskowo jest przynależny do pow. Podhajce, Galicja. Miejsce postoju, dn. 3.X. 1916 r.

„DO
WYSOKIEJ C i K. KOMENDY LEGJONÓW POLSKICH.

W rezerwie 1 pułku piechoty Leg. Pol. 30.IX. 1916 r.

Proszę o zwolnienie mnie z Legjonów Polskich z następujących powodów:

1) Wstąpiłem do Legjonów na rozkaz Józefa Piłsudskiego, aby walczyć o Wolną i Niepodległą Polskę.

2) Przysięgałem Jego Ces. Apost. Mości Franciszkowi Józefowi I. jako królowi polskiemu. Po dwóch latach wojny zawiodłem się w swoich nadziejach, dalsze walczenie w szeregach Legjonów Polskich staje się bezowocnem.

Miładowski Lucjan szeregowiec, poddany Królestwa Polskiego".

„DO
KOMENDY 1 PUŁKU, I BRYGADY LEGJONÓW POLSKICH.

Podpisany, żołnierz Lutz Józef, prosi posłusznie o zwolnienie go z Legjonów Polskich, motywując swą prośbę, że tylko na wezwanie Józefa Piłsudskiego wstąpił do Legjonów celem wyzwolenia Rzeczypospolitej Polskiej z pod jarzma rosyjskiego. Dziś, gdy Józef Piłsudski nie stoi na naszym czele, tem samem Legjon Polski przestaje walczyć w sprawie, dla jakiej powstał.

Józef Lutz, szeregowiec".

Na wezwanie Komendanta Józefa Piłsudskiego wyruszyłem dnia 15 września 1915 roku w pole, by pod Jego dowództwem walczyć w imię wolnej, niepodległej Polski. Komendant Józef Piłsudski był i jest wyrazem idei, dla których jedynie i wyłącznie walczyć jest mym obowiązkiem. Usunięcie Komendanta — to zlekceważenie — to pominięcie celu i dążeń polskiego żołnierza.

Proszę przeto c. i k. Komendę Legjonów o zwolnienie mnie od służby, która nie jest służbą mej Ojczyźnie.

Poczta polowa 389. 2.X. 1916. **Jan Korkiewicz, 1 pp. III baon, 1 komp.**

1 pułk piechoty Leg. Pol. Szereg. **Ryszard Zajączkiewicz.**
I baon
4 komp.

„DO

WYSOKIEJ C i K. KOMENDY LEGJONÓW POLSKICH.

W rezerwie 1 pp. Leg. Pol. 30.IX. 1916.

Wstąpiłem do Legjonów Polskich, które uważałem za zawiązek Armji Polskiej, na wezwanie Józefa Piłsudskiego i walczyłem w nich 14 miesięcy w tej myśli, że walczę o wyzwolenie Polski z pod jarzma rosyjskiego.

Obecnie stało się jasnem, że Legjony nigdy Armją Polską nie będą i gdy nasz Komendant Józef Piłsudski został zmuszony do ustąpienia, uważam pozostawanie dalsze w Legjonach za bezcelowe i proszę posłusznie c. i k. Komendę Leg. Polskich o zwolnienie mnie jako poddanego Królestwa Polskiego, z Leg. Polskich.

Podanie naszego dowódcy pułku brzmiało:

„Dymisja brygadjera Józefa Piłsudskiego nie jest i nie może być traktowana jako sprawa personalna. Jest ona odpowiedzią polityczną na pytanie stawiane przez Legjony i społeczeństwo polskie w ciągu 2 lat. Jest odpowiedzią, z której Legjony Polskie i społeczeństwo już dzisiaj wyciągają konsekwencje. Rzeczą nie ulegającą wątpliwości jest to, że hasłem, które kazało młodzieży polskiej stawać w szeregi i wytrwać w nich przez 2 lata w niezmiernie ciężkich warunkach, było hasło Niepodległości polskiej i dobra Ojczyzny. Hasła te niejednokrotnie rzucano żołnierzom w rozkazach Komendy Legjonów. Te hasła sprawiły, że żołnierze, którymi miałem zaszczyt dowodzić, najpierw jako komendant bataljonu, od 18 grudnia zaś 1914 r. jako komendant pułku, dawali bez wahania i szczodrze swą krew w potrzebie, sądząc, że jest to droga prowadząca do Ojczyzny. Dzisiaj ta wiara się rozwiała!

Nie mogę być przedstawicielem rzeczy nieistniejących, nie mogę żołnierzom wskazywać sztandaru, którego oni nie widzą. Na to mi mój honor oficera polskiego nie pozwala.

Proszę więc o zwolnienie mnie z Legjonów i ponieważ jestem poddanym austrjackim, przeniesienie do armji austrjackiej.

Tenże sam honor, jedyna i bezsprzeczna zdobycz krwi moich żołnierzy, każe mi zameldować, że sytuacja, jaka się teraz wytworzyła w wojsku, wymaga jak najszybszego rozstrzygnięcia wszystkich próśb o zwolnienie, żołnierskich i oficerskich.

Wymaga tego dobra sława, jaką sobie Legjony zdobyły i pamięć, którą po sobie mają narodowi zostawić.

Śmigły-Rydz pułkownik
komendant 1 p. p. Leg.

Niżej podpisany prosi o zwolnienie z Legjonów Polskich, motywując swą prośbę tem, że po ustąpieniu Józefa Piłsudskiego, którego osoba i dzia-

Bankiet peowiaków w Hotelu Europejskim w Warszawie w grudniu 1916 r.

łalność była wyrazem dążności niepodległościowych Polaków, nie widzi celu istnienia Legjonów Polskich.

Jako obywatel Królestwa Polskiego prosi o zwolnienie.

W rezerwie 1 p. p., dnia 3.X. 1916. **Andrzej Szos** szereg.

1 p. p., I baon, 1 komp.

„DO
C. i K. KOMENDY LEGJONOW POLSKICH.

Błotnicki Adam, sierż. 3 komp. II baonu, 1 p. p. I Bryg Leg. Pol., urodzony w Krakowie 1894 r., jako poddany austrjacki prosi posłusznie c. i k. Komendę Leg. Pol. o przydzielenie go do jednego z c. i k. pułków c. i k. armji austr.-węg. z następujących powodów: Wstępując w szeregi Legjonu dn. 6.VIII. 1914 r. pod rozkazy Józefa Piłsudskiego, czyniłem to w tej pewności, że spełniam swój obowiązek względem Ojczyzny, walcząc w polskiej formacji w imię naszych najsłuszniejszych praw, w imię Niepodległej Ojczyzny. — Akces ten uważałem za zgodny i sharmonizowany z obowiązkiem, nałożonym na mnie jako poddanego austrjackiego — walcząc przeciw wspólnemu wrogowi państw centralnych, a obowiązkiem, który wypełnić musiałem jako Polak, walcząc przeciw odwiecznemu wrogowi naszej Ojczyzny — Rosji. Jakkolwiek jednak walczyłem w interesie i dla dobra c. i k. Monarchji austr., to jednakowoż jako żołnierz polski miałem przedewszystkiem na względzie przyczynienie się do zdobycia Niepodległego Państwa Polskiego i stworzenie armji polskiej. Komendant zaś nasz, Józef Piłsudski, bezprzykładnem w dotychczasowych dziejach obecnej wojny poświęceniem się i męstwem, wlewał w nas żołnierzy w najkrytyczniejszych nawet i najgroźniejszych chwilach bart woli stalowej i pogardy życia. On wskazywał nietylko nam, ale całemu światu i świetnym armjom, jakim żołnierz być powinien. Krew zaś tylu setek poległych braci i dwuletnie bez wytchnienia boje sprawiły to, że zyskaliśmy prawa przysługujące c. i k. obronie krajowej. A On — Komendant Józef Piłsudski, który był i jest wyrazicielem dążeń całego Narodu Polskiego, został usunięty. — Wobec takiego stanu rzeczy c. i k. Komenda Legjonów raczy przyjąć mą posłuszną prośbę o przeniesienie mnie do jednego z c. i k. pułków c. i k. armji, bym nadal mógł obowiązki żołnierza w c. i k. armji pełnić, nie narażając honoru żołnierza polskiego na wstyd w razie pozostania w c. i k. Legjonie. Przytem śmiem nadmienić, że przy poborze w 1914 r. zostałem przydzielony do 3 p. artylerji polowej w Krakowie. O ten więc przydział posłusznie proszę.

Poczta polowa 389, dn. 1.X. 1916 r.

Z próśb tych i t. p., których napłynęło tysiąc kilkaset sztuk pisanych na kartach wydartych z notesów, zeszytów, na drukach służbowych, stylem różnym, zdradzającym już to inteligencję, już prostotę poczciwego kmiotka, stawiającego z mozołem kulasy, opatrzone błędami ortograficznemi, wynikały jasno i niezbicie dwie rzeczy: b e z g r a n i c z n e p r z y w i ą z a n i e d o W o d z a i z d e c y d o w a n a n i e c h ę ć p o z o s t a n i a k o n d o t j e r a m i. Z tych dwóch

jasnych faktów należało wyciągnąć wniosek, że to wojsko, które takie podania wnosi, jest zdeterminowane na wszystko i bez dania mu politycznej reprezentacji narodu, jako politycznego odpowiednika dyskontującego na terenie międzynarodowych przetargów jego zdobycze militarne, utrzymać się nadal w dotychczasowej formie nie da. Wynikało też jasno, że wojsko to nie chce nadal być politycznym atutem w ręku mocarstw centralnych na ich korzyść.

Grywiatki. Załadowanie pułku na transport do Baranowicz

Jakkolwiek pułkownik Januszajtis usiłował przełamać w naszym pułku ten nastrój, przez ignorowanie go i przez inspekcje na froncie, które nawiasem mówiąc naraziły go tylko na szereg przykrości, to jednak sfery wyższe widocznie nie bagatelizując sprawy uznały za konieczne Legjony jak najprędzej wycofać z linji, a w każdym razie wycofać z bezpośredniej styczności z nieprzyjacielem. Zgodnie z tą oceną sytuacji i prawdopodobnie na podstawie umowy między Austrją, a Niemcami nadszedł 5.X 1916 października rozkaz Komendy Leg. Nr. Op. 626/10—XIV, wydany w Piasecznie 5.X.16, jako „dyspozycja zluzowania Legjonów", luzowania odcinka, który oddaliśmy 88 pp. armji austrjackiej, poczem załadowawszy się w Grywiatkach, ruszyliśmy na zachód — do Polski.

Głuche chodziły wieści wśród wojska o tem, że Komendant zostaje Komendantem Legjonów. Że Legjony przekształcają się w samodzielny korpus posiłkowy, zależny od Rządu Narodowego, utworzonego Królestwa Polskiego, inni twierdzili, że Komendant będzie Ministrem Wojny, Szefem Sztabu Generalnego Szef (Sosnkowski), że Legjony będą przeszkolone przez Niemców i rozwinięte przez rekrutację, obejmą wschodni front przeciw Rosji — wreszcie pesymiści

Grywiatki. W oczekiwaniu transportu

twierdzili, że wiozą nas na okupację niemiecką, najpewniej do Brześcia, gdzie będziemy rozbrojeni, a jeśli nie rozbrojeni, to przeszkoleni i wysłani na zachodni front.

Pierwsze wieści wzbudzały nieopisaną radość w żołnierskich sercach, drugie myśli najczarniejsze. — Miotani sprzecznemi uczuciami jechaliśmy w głuchą noc przed siebie — istotnie tak określić to wypadało, bo przyznać trzeba, że od nikogo absolutnie nie mogliśmy się dowiedzieć, dokąd jedziemy. W Brześciu czekało nas jadło, — żołnierze jedli z kotła — dla oficerów były ze wzorową czystością i porządkiem skromnie, lecz dostatnio zastawione stoły. Tu również mimo bardzo uprzejmego zachowania się oficerów i kolejarzy niemieckich nie dowiedzieliśmy się nic. Przyznaję, że zaimponowało nam to.

Baranowicze

Plac zbiórki pułku w Baranowiczach

Mówiono, że wszystko jedno, co będzie, to będzie — ale mamy do czynienia z rozsądnymi ludźmi, a nadewszystko z dobrem wojskiem.

Wreszcie Baranowicze. Zajęcie kwater — służba garnizonowa — wysyłanie grup roboczych na odcinek frontowy. — Łagodne ciepło i blade słońce jesienne nie zdołały jednak złagodzić kryzysu, jaki trwał — jesteśmy zdecydowani nie ustąpić ze swego stanowiska bez zasadniczych rozstrzygnięć państw centralnych. Na razie jednak poza plotkami nic nie zdradza, że coś w sytuacji naszej się zmieni, zjawiają się natomiast próby przekonania nas o szkodliwości dla sprawy polskiej naszego stanowiska i naszej decyzji w formie odezw i ulotek, między innemi ukazała się deklaracja korpusu oficerskiego 2 pp. z dnia 15.X.1916. Na deklarację tę wydał Korpus oficerski naszego pułku w dniu 24.X.1916 rezolucję powziętą jednomyślnie. Oto jej treść:

„Rezolucja i deklaracja kolegów oficerów 2 p. p. Leg. Pol. z dnia 15 b. m. przesłana do komend innych pułków z prośbą o zakomunikowanie ich oficerom i żołnierzom, skłaniają nas do odpowiedzi.

Nie dla polemiki, nie dla kół szerszych, lecz wyłącznie Wam, koledzy broni, zahartowanym w dwuletnich ciężkich zmaganiach się z wrogiem, zahartowanym w ciężkiej doli Waszej w Karpatach, Bessarabji i na Wołyniu ślemy sformułowanie naszego stanowiska w odpowiedzi na Wasze pismo.

Żołnierz nie prowadzi innej polityki, prócz tej, która się na polu walki rozstrzyga. Politykę za niego prowadzi rząd jego państwa. Ale żołnierz nie jest bezmyślną maszyną. W boju ożywia go idea, która daje mu siłę, w imię której żyoie swe kładzie, znosi trudy i poniewierkę, dla której przepojony jest nieodpornym pędem do zwycięstwa. Im większa idea, im silniej wojsko nią przepojone, tem dzielniejsze w boju, tem wytrzymalsze na trudy, tem wytrwalsze we wszystkich przeciwnościach losu. Wojsko walczy o utrzymanie granic państwa, o zjednoczenie, przyłączenie do państwa części swego narodu, żyjącego pod obcem panowaniem, o utrzymanie niepodległości swego narodu. Dla tej idei wojsko stwarza fakta pisane krwią i bagnetem, a rząd czyny wojska przekuwa w fakta polityczne. Rząd prowadzi politykę, pisze traktaty, wykorzystuje ofiary wojska dla dokonania idei. Tak jest w obecnej wojnie światowej we wszystkich państwach walczących. Wojsko się bije w imię idei, rząd zwycięstwo wojska wykorzystuje dla jej realizowania.

Nam, żołnierzom polskim, nie danem było stworzyć wojska. Stworzyliśmy kadry wojskowe. Najmniejsze wojsko wojny światowej, przepojeni jesteśmy największą ideą. Walczymy o zjednoczenie całego narodu w niepodległe państwo. Tę ideę przejęliśmy w spadku po naszych przodkach, po ojcach naszych, zrywających się w ciągu 50 lat trzy razy do boju o wolność, całość i niepodległość Polski.

Na długi czas przed wojną dźwignęliśmy zapomnianą w narodzie ideę wojska polskiego, jako tego wojska pierwsi żołnierze. Zmobilizowani w ruchu strzeleckim przez naszego Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego, byliśmy już wtedy żołnierzami Polski walczącej. Stanęliśmy do służby ślubując, że wierni sztandarowi walki o Niepodległość nie cofniemy się przed

największemi ofiarami, rozumiejąc, że tylko walką zbrojną zdobyć może naród swoją Niepodległość.

Z rozkazu Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego, ruszyliśmy do walki z Moskwą, w silnem przeświadczeniu, że jako zawiązek polskiej siły zbrojnej staniemy się armją narodową, podległą rozkazom Rządu Narodowego. Zdawaliśmy sobie wszyscy dokładnie sprawę, jakie pierwszorzędne znaczenie ma dla żołnierza polskiego kwestja dowództwa. Żołnierz polski, służąc Polsce, może podlegać tylko władzy Polskiej. Wszelka inna władza, nie jest jego władzą legitymistyczną, ale obcą, narzuconą. Uznając ją, służy sprawie obcej, niepolskiej, staje się obcym najemnikiem. Fakt polskiego dowództwa nad wojskiem jest warunkiem znaczenia wojska dla Narodu. Wojsko podlega rozkazom Komendanta, Komendant woli Rządu Narodowego jako jedynej prawowitej, legalnej władzy polskiej. Wojsko dopiero wtenczas jest widomym znakiem walki o niepodległość, wyrazem dążeń całego narodu, gdy za nim stoi rząd, który ofiary i trudy, życie i krew, walkę i zwycięstwo wojska przetwarza w niepodległe Państwo Polskie.

Nie było nam danem ujrzeć utworzenia się Rządu Narodowego. Powstał tylko komitet polityków polskich N. K. N., który wziął na siebie ciężkie zadanie urzeczywistnienia idei, za którą walczyliśmy. Komendant Główny uznał N. K. N. za swą władzę moralną. My żołnierze posłuszni wezwaniu Komendanta, złożyliśmy przysięgę, poszliśmy na pole walki jako c. i k. Legjony, ale z naszym Komendantem, pod polskiem dowództwem. W rok później objęła nad nami dowództwo c. i k. Komenda jako organ Naczelnej Komendy Armji. Odwoływaliśmy się nieustannie do N. K. N., szturmowaliśmy o własną polską komendę — nadaremnie.

28 kwietnia 1916 r. zrzekł się N. K. N. swej roli. Prowadzenie polityki objęło w tym dniu wiedeńskie Koło Polskie, organizacja polityczna jednej dzielnicy, nie rościąca sobie nigdy pretensji do urzeczywistnienia dążenia do niepodległości. Znaleźliśmy się bez rządu, nawet bez surogatu rządu. Wojsko pod obcą, narzuconą komendą, bez władzy, bez rządu, a nawet bez Komitetu, któryby był politycznym wyrazem idei, o którą wojsko walczy, albo ujmuje samo ster polityki w swe ręce i wtedy przestaje być wojskiem, albo przestaje walczyć, bo walka staje się dla niego bezcelową, albo rozmiłowane w wojaczce walczy dalej w obronie cudzych interesów, za żołd, za gwiazdki, za mundur.

Liczyliśmy, że może z Królestwa wyłoni się Rząd Narodowy, że naród się ocknie, politycy porzucą jałowe spory, pełne względów i uprzedzeń osobistych, porzucą bierne oczekiwanie na załatwienie sprawy polskiej przez państwa walczące. Więc czekaliśmy. Dotąd nadaremnie. My żołnierze, nie politycy. Nie mieliśmy rządu, ale mieliśmy Komendanta Głównego. Ufamy mu bez granic. On jest dla nas uosobieniem sprawy polskiej. Człowiek ze stali. Bez skazy i lęku. Zapatrzony w jeden cel, odbudowę Niepodległej Polski, dążący do niej z nieubłaganym uporem i zaciętością. Dla niej budził w nas ducha zbrojnej walki. Dla niej stworzył z nas bez środków materjalnych wojsko polskie. Dla niej stanął na czele wojska. Dla niej wydobył ze siebie pierwszorzędne talenta wojskowe. Ducha swego niezłomnego przelewał w każdego z nas, kto się z nim zetknął. Kto z nas padł w boju padał z tą wiarą, że ofiara jego krwi nie stracona dla Polski, póki Komendant Główny na czele wojska.

Ustąpił. Jego ustąpienie było dla nas sygnałem ostrzegawczym. Zrobiliśmy rachunek ze swojem sumieniem żołnierza polskiego. Niema rządu,

a więc niema i wojska w dzisiejszej jego formie. Legjony nigdy nie ucieleśniału snu o polskiej szpadzie. To był stopień, to była droga, którą szliśmy do wytworzenia wojska. Jeżeli chcemy zmienić warunki, miejmy odwagę zaryzykowania tej przepisowej formy, by ją napełnić istotną treścią.

Nie dajcie się złudzić frazesem, że jesteśmy jedynym widomym dowodem istnienia Polski, jedyną podstawą stworzenia państwa polskiego. Żaden frazes nie przysłoni faktu, że Legjony Polskie bez zastępstwa politycznego polskiego straciły rację bytu, przestały być polskiem wojskiem. Komendant wiedział, co robił, gdy ustępował. I my wiemy, że Polska żyje, że tysiączne są jej życia objawy, że każdy objaw życia jest podwaliną pod jej byt państwowy, nie same tylko Legjony. Jesteśmy konsekwentni. Wypowiedzieliśmy naszą wolę przy raportach, tak jak to wojsko robić powinno. Jeżeli nasz czyn wyrwie z bezwładu polityków polskich, jeżeli ich zmusi do czynnej polityki polskiej, do wytworzenia Rządu Narodowego, choćby moralnego, z niezłamaną siłą, z nieumniejszonym ani na jotę zapałem, z takim samym ogniem, z jakim ruszyliśmy 6 sierpnia 1914 r. ruszymy każdej chwili na dalszy bój, na śmierć i życie. Bo do obecnego naszego kroku popchnęła nas nasza przewodnia gwiazda, nasza idea walki o Niepodległość Polski, troska o honor żołnierza polskiego, wiara w siłę narodu, w przyszłość Polski, wiara że: „Jeszcze nie zginęła".

Za zgodność:
Kordjan Zamorski por.

Rezolucję powyższą w myśl dyspozycji pod nieobecność Komendanta i Szefa moralnego dowódcy i kierownika dusz żołnierskich dawnej I Brygady, pułkownika Śmigłego rozesłałem starannie do wszystkich oddziałów, by położyć kres potwornym plotkom i napaściom na nas.

Wiadomości o próbach terroru w innych brygadach przez tego kalibru indywidua, jak Rylski, względnie wszelkiego kalibru mniejszych Austrjaków, przybranych w mundury legjonowe, wywoływały coraz większą do kategorji „działaczy" nienawiść w wojsku. — Nowy, o arystokratycznem nazwisku i rodowej pięknej przeszłości w służbie Polski komendant Legjonów, pułkownik Stanisław Szeptycki postanowił widocznie przeprowadzić wreszcie zasadnicze pociągnięcia ze swej strony w stosunku do „zbuntowanych pułków", zarządził przeto wkrótce po objęciu komendy odprawę oficerów naszego pułku i zebrawszy nas przed budynkiem komendy pułku w kole, oświadczył, że — jest czcicielem Komendanta narówni z nami, że Komendant nas sam opuścił z własnej woli, dając nam tem samem swobodę działania, że on t. j. Szeptycki błagał Komendanta na kolanach, by prośby o dymisję nie wnosił — mimo tego wbrew jego perswazjom i prośbom Komendant się uparł, prośbę wniósł i dymisję otrzymał. Otrzymawszy mianowanie na Komendanta Legjonów, znając wartość bojową 1 p. p. Leg. i pochodząc z rodu, który we wszystkich bojach o wielkość

i wolność Polski w ciągu wieków brał udział, który pod Wiedeń wysłał dwunastu przedstawicieli, z których dwóch wróciło, którego przedstawiciel w szwadronie lekkokonnych brał udział w szarży Somosierskiej (faktycznie nie brał, bo wonczas por. Szeptycki był komenderowany do boku Cesarza), wzywa nas w imię munduru, munduru polskiego, który obecnie i jego zdobi, byśmy podania swoje cofnęli. W tym momencie ktoś z braci żołnierskiej tubalnym głosem z dymnika pobliskiego baraku zapytał: „A Szepetiuch"? (Szeptycki, lwowski metropolita grecko-katolicki, znany z walki z Polakami przed wojną światową na gruncie Małopolski Wschodniej).

Czy płk. Szeptycki słyszał, czy nie słyszał, nie wiem — w każdym razie nie doczekawszy odpowiedzi, poszedł na inspekcję rejonu kwaterunkowego pułku. Odrazu w pierwszej kompanji (dziś nie pamiętam której) kapral dzienny, postawiwszy jak się patrzy kompanję na baczność, wyciągnięty jak struna, skończył meldunek służbowy okrzykiem: „Niech żyje Komendant Józef Piłsudski" — Przeczekawszy podchwycony przez kompanję okrzyk, płk. Szeptycki powiedział żołnierzom, że tak jak i oni wielbi Komendanta, znając go od lat szesnastu i daje rozkaz, by 3-krotnie wznieśli okrzyk na cześć Józefa Piłsudskiego z tem, że mają wszyscy salutować jak wojsko a nie banda cywilów. To samo powtarzało się w każdej kompanji. — W ostatniej żołnierze krzyczeli bodajże dwanaście razy. Po przeglądzie kwatermistrza na jego rozkaz zostali zebrani wszyscy żołnierze, bez oficerów na jego wyraźny rozkaz na placu parad. Tu znów do nich przemawiał wskazując, że Polska to łódź na wzburzonych falach, która potrzebuje obsady, obsada to Legjony.

Nagle z gromady odezwał się głos: „ale sternika niema"! Kazał wystąpić żołnierzowi, który to krzyknął i przekonawszy się, że nie jest to żaden agitator, tylko jeden z wielu śmielszej natury, rzekłszy, że napewno nie ty będziesz sternikował" dał pokój. Aliści na drugi dzień rano był alarm. Fakt, że pułk był na miejscu, alarm kompletnie zebrany i gotów w szczegółach, mając nawet wodę w manierkach, zanim on konno przybyć zdołał, usposobił go do pułku tak dobrze, że go chwalił. — Był to pozatem jeszcze jeden dowód, że ta „gransame Bande" — co się tyczyło ognia, to jednak było wojsko znakomite.

Wytworzyły się bowiem można powiedzieć dwa tory życia wewnętrznego. Jeden, to zlikwidowanie dotychczasowego stanu rzeczy i przegrupowanie się na nową robotę militarną, niezależną od władz mocarstw centralnych, ale też i niestety od własnych, albowiem te ostatnie nie tworzyły się.

Drugi — to tor normalnej służby, skwapliwe korzystanie z wszelkich kursów i każdej możliwości nauczania się wojny od tych pierw-

szorzędnych bezwątpienia majstrów jakimi byli Niemcy. A więc dla pierwszego toru przegrupowywaliśmy się gwałtownie na P. O. W. wewnątrz kraju, wysyłając pod pozorem choroby, względnie urlopu co tęższych dla tej kategorji roboty ludzi. Przybrało to charakter tak masowy, że wreszcie Komenda Legjonów wstrzymała wszelkie wyjazdy z wyjątkiem przez siebie nakazanych. Teraz jechali na naszą robotę ludzie, których wysłać kazała Komenda Legjonów na werbunek w momencie, kiedy werbunek nakazano.

Dla drugiego zaś toru wysyłaliśmy na kurs oficerów piechoty, na który odszedł ppor. Krasicki i ppor. Scieżyński, na kurs miotaczy min w Powursku, na kurs szturmowy przy 4 d. p. niemieckiej i t. d.

Takie rozdwojenie duszy żołnierskiej było prawdziwą i rzetelną męką, ludzie wpadli w stan dużego podniecenia i drażliwości. — Żołnierze napełnieni goryczą ignorowali oficerów innych brygad, co wreszcie spowodowało pułk Szeptyckiego do wystosowania do naszego pułku pisma T. Nr. 2270 — stwierdzającego, że „Ciągle jeszcze napływają do Komendy Legjonów ze strony oficerów Legjonów zażalenia, że żołnierze i podoficerowie nie oddają im należnych pozdrowień.

„Ponieważ zaniedbanie takich wypadków wpływa bardzo ujemnie na dyscyplinę i subordynację wojskową, przeto zwraca się na to uwagę Komendy pułku, celem pouczenia swych żołnierzy i podoficerów o ciążących na nich w tym względzie obowiązkach.

Szeptycki, płk.

Dnia 18 października 1916 r. nadeszła do komendy pułku odprawa podpisana za zgodność przez rotmistrza Kochańskiego, zawierająca uchwałę komisji wykonawczej Naczelnego Komitetu Narodowego z dnia 4 października.

Strupieszały ten i godny zapomnienia organ mówił w niej, co następuje:

„Legjony zostały powołane do życia dla walki z Rosją dla uzyskania Państwa Polskiego.

Nikt nie może już dzisiaj powiedzieć, w jakim rozmiarze i jakiej konstrukcji to Państwo powstanie, ale tak militarna, jak i polityczna sytuacja obecna dowodzi, że jesteśmy bliscy celu.

Z chwilą powstania Państwa Polskiego utworzoną zostanie armja polska, a Legjony polskie przejdą do niej jako jej zawiązek i podstawa. Jest to jedyne rozwiązanie sprawy Legjonów, odpowiadające godności, honorowi i interesowi narodu.

Do tej chwili Legjony Polskie powinny wytrwać w szeregach i przysparzać nadal chwały imieniu żołnierza polskiego. Do tego wytrwania wzywa

Komisja wykonawcza N. K. N. Legjonistów Polskich, pewna, że kto dwa lata zgórą przebył tyle trudów i cierpień i tyle okazał bohaterstwa, ile Legjony Polskie ich przebyły i okazały, ten znajdzie dość siły, aby pozostały jeszcze czas, na zaszczytnem wytrwać stanowisku.

Od zachowania się Legjonów Polskich zależy w znacznej mierze uznanie świata, czy naród polski zdolnym jest do stworzenia swojego Państwa".

To hasło wytrwania „usque ad finem" — ochrzczono u nas mianem wytrwania „aż do uświnienia" — a do autorów tej tchórzliwej, bezt reściwej pozatem elukubracji, rzuconej nam, żołnierzom frontowym z wygodnego fotela, nabraliśmy wstrętu i pogardy.

Pułk. Smigły przyjmuje w Ba:anowiczach raport żołnierzy dnia 19.X.1916 r.

Na dobitek następnego dnia, więc 19.X.1916 r. o g. 7 rano za Nr. Op. 638/4 fonogramem z Komendy Leg. 42 Nr. 246 nadszedł rozkaz tej treści.

Komendy pułków mają do 19-go 9-ta wieczór przedłożyć Komendzie Leg. listę żołnierzy i podoficerów, austrjackich poddanych, którzy mają zamiar wystąpić z Legjonów. Na tej liście ma każdy żołnierz własnoręcznie napisać: „C h c ę w y s t ą p i ć z L e g j o n ó w, g d y ż u w a ż a m s p r a w ę p o l s k ą z a s t r a c o n ą. Należę do Ergänzungsbezirk Nr. . . ." Nakazuję dalej, by oznajmić tymże ludziom, że udzielać urlopów im nie wolno. Z powodu ściągnięcia znajdujących się na urlopie, wyjdą rozkazy. Otrzymują:

Komenda L Brygady, pułki 1, 4, 5, 6 piech., kompanja saperska, artylerja 1 i 2 pułki ułanów do natychmiastowego przeprowadzenia. Do wiadomości komendy brygady drugiej i trzeciej i drugiego i trzeciego pułków piechoty i kompanji technicznej.

Szeptycki płk.".

Pułkownik Śmigły w odpowiedzi na ten rozkaz, po wykonaniu go zameldował o g. 18.30 Komendzie Legjonów pisemnie za L. 839/16.

„W odpowiedzi na fonogram z dnia 19 b. m. godz. 7 przedpołd. w sprawie podających się o zwolnienie z Legjonów żołnierzy i podoficerów, poddanych austrjackich, melduję:

Wszystkich dotyczących żołnierzy i podoficerów wezwałem do raportu i zawiadomiłem o rozkazie Komendy Legjonów. Żołnierze odmówili podpisania formuły podanej fonogramem, zgłaszając równocześnie gotowość przedstawienia ustnie własnej motywacji przy raporcie lub też przedłożenia po raz wtóry podań z własną motywacją.

Pierwotne podania zostały przez Komendę Brygady zwrócone komendzie pułku.

Śmigły-Rydz płk.".

W tym momencie niestety czekało nas pierwsze bolesne rozczarowanie i ostrzeżenie. Oto w odpowiedzi na fonogram Komendy Leg. odpowiedział dowódca bratniego 5 p. p. Leg. — co następuje:

7. Komendy 5 p. p. 19.X. 1916
L. 49. godz. 12.20 ppłd.

DO KOMENDANTA LEGJONOW, PŁK. BRYGADJERA SZEPTYCKIEGO.

Melduję posłusznie: Wedle rozkazu (fonogram 245) ogłosiłem żołnierzom i podoficerom, poddanym austrjackim, wskazaną formułę do podpisania. Wszyscy odpowiedzieli, że bez przymusu formułki tej nie podpiszą, gdyż to byłoby przeciwne ich sumieniu i przekonaniu. Powtórzyli zatem swoje motywa jak przy raportach, które przedstawiłem do Komendy Legjonów. Każdy żołnierz przedłożył swój własny motyw, z których następujące zapisałem i posłusznie przedkładam:

1) wolę służyć w c. k. armji, niż w c. k. Legjonach bez Piłsudskiego,

2) uważam, że po odejściu Piłsudskiego, Legjony sprawie polskiej nie służą,

3) proszę o zwolnienie, gdyż po wyjściu Piłsudskiego uważam, że Legjony polskie przestały być Legjonami Polskiemi.

4) W walkach 27-miesięcznych nabyłem przekonania, że Legjony Polskie bez Piłsudskiego istnieć nie mogą.

5) Proszę o zwolnienie, gdyż uważam dalszą służbę w Legjonach, podległych nie królowi polskiemu, ani też Rządowi Narodowemu, za niepotrzebną sprawie polskiej.

6) Proszę o zwolnienie, gdyż dalszą służbę w Legjonach podległych władzy obcej, a nie króla polskiego — względnie Rządu Narodowego uważam

Š. p. major Albin Fleszar (Satyr)

dla sprawy polskiej za bezprzedmiotową, a po ustąpieniu Komendanta Głównego J. Pilsudskiego dalsza służba w takich Legjonach jest niemożliwa. Wobec powyższego czekam p o s ł u s z n i e na dalsze rozkazy.

Kmdt. 5 p. p. Leg. Pol.".

Mądrej głowie dość pałką w łeb. Nie ulegało wątpliwości, że w tym meldunku mieści się deklaracja lojalności i chęci współpracy w „uśmiraniu" fermentu w Legjonach ze strony ówczesnego komendanta 5 p. p.

Grób ś. p. majora Fleszara na cmentarzu w Słonimie

Wkrótce, bo w dniu 3-go listopada zginał samobójczą śmiercią mężny żołnierz, rokujący najlepsze nadzieje na przyszłość, uczony geolog, ś. p. major Albin Fleszar. Targany odmiennemi uczuciami, wierności i przywiązania do munduru i konieczności rozstania się z nim by go nie shańbić, ś. p. major Fleszar popadł w ciężką chorobę nerwową. Czuwaliśmy przy nim na zmianę. Kilkakrotnie prosił pułk o urlop dla niego. Zakaz urlopowania dotyczył nas bezwzględnie, więc i jego — przewieziony do ruchomego szpitala rezerwowego 7/10 w Słonimiu, mimo, że pozbawiony wszelkiej broni, zadał sobie scyzorykiem kilkanaście ran w okolicę serca i na rękach obcych sanitarjuszy życia dokonał.

Zachował się w zbiorach moich telegram, który spełnił ostatnią służbę dla majora Fleszara — brzmi on: An Frau Stanisławowa Kuh-

Pogrzeb ś. p. majora Fleszara

Nad trumną ś. p. majora Fleszara

nelowa, Zakopane, willa Krywań. Bitte Frau Fleszar verständigen, dass ihr Mann im Mob. Res. Spital 7/10 am 3-ten Novemberg gestorben ist. Rydz Śmigły — Nadane 3.XI, g. 5.45 pp.

Jakby czując się winnym śmierci tego nieszczęśnika pułk. Szeptycki osobiście telefonował, wyrażając kondolencję pułkowi i zezwalając na wysłanie orkiestry i kompanji honorowej na jego pogrzeb, a o g. 7.05 wieczorem nadszedł i oficjalny fonogram: „Z powodu zgonu zasłużonego i wybitnego oficera majora Albina Fleszara przesyła się ciężko dotkniętemu pułkowi wyrazy głębokiego i szczerego współczucia.

Komenda Legjonów".

W dwa dni później, kiedy ś. p. major Albin Fleszar odbywał przy dźwiękach żałobnego marsza ostatnią na tej ziemi wędrówkę — Rozkaz Komendy Legjonów Nr. 244 obwieścił uroczyście o proklamowaniu przez mocarstwa centralne niepodległości Polski.

„Dzień 5 listopada od dziś pamiętnym dniem w historji Polski. Stało się zadość słusznym żądaniom Narodu naszego, żądaniom popartym przez nasz czyn zbrojny. Obydwa Mocarstwa Centralne we wspólnem porozumieniu i zgodzie z postulatami wyrażonemi przez przedstawicieli Narodu naszego ogłosiły w Warszawie i Lublinie następującą proklamację:

„Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i życzeniem powodowani, by ziemie polskie przez waleczne ich wojska ciężkiemi ofiarami rosyjskiemu panowaniu wydarte, do szczęśliwej wywieść przyszłości, Jego Cesarsko Królewska Mość Cesarz Austrjacki i Apostolski Król Węgierski — oraz Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki ułożyli się, by z ziem tych stworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchją i konstytucyjnym ustrojem. Dokładniejsze oznaczenie granic Królestwa Polskiego zastrzega się. Nowe Królestwo w łączności z obu sprzymierzonemi mocarstwami znajdzie rękojmie potrzebne do swobodnego sił swych rozwoju.

We własnej armji nadal żyć będą pełne sławy tradycje wojsk polskich dawniejszych czasów i pamięć walecznych polskich towarzyszy broni we wielkiej obecnej wojnie. Jej organizacja, wykształcenie i kierownictwo uregulowane będą we wspólnem porozumieniu.

Sprzymierzeni monarchowie biorąc należny wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy, jakoteż na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niepłonną nadzieję, że obecnie spełnią się życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego, wielkie zaś od Zachodu z Królestwem Polskiem sąsiadujące mocarstwa z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnem narodowem życiem cieszącego się Państwa"!

Niech żyje Niepodległe Państwo Polskie!

Żołnierzu Polski bądź więc zawsze wiernym swej Ojczyźnie, bądź niezłomnym i nieugiętym i jak stal w ogniu 2-letniej wojny hartowny.

A gdy dziękczynne „Te Deum" zabrzmi od ołtarza, ukorzmy się przed Boską Opatrznością, która nas wiodła do wolności, ślubując wierność Bogu i Polsce.

Trwajmy w żołnierskich cnotach „Virtutis militaris!"

Komendant na urlopie
Józef Haller płk.

Przyznać muszę, że jakoś dziwnie nie mieliśmy zaufania do tej „wielkodusznej", jak ją w lojalnych sferach określano, deklaracji. Ten

Pułk. Smigły odczytuje pułkowi list Komendanta, polecający nam pozostać w wojsku

wyczekujący stosunek ustalił się jeszcze, kiedy z głębi kraju nadeszły wiadomości, że deklaracji tej nie podpisał żaden z cesarzy, ani żaden z członków odnośnych rządów. Zrozumieliśmy teraz dlaczego zawsze ultralojalny pułkownik Haller w rozkazie tego nie podał.

Wkrótce jednak nadeszła depesza:

Die glückliche Wendung in der grossen Sache, für die wir nicht vergeblich so viele Opfer getragen haben, lässt auch ferner uns auf unserem Posten als polnische Soldaten verharren. Wir theilen mit Euch liebe Kameraden die Freude in diesem für unsere Nation erhabenen und geschichtlichen Augenblicke.

Pilsudski, Sosnkowski, Roja.

Nadszedł też list od komendanta do pułkownika Śmigłego, który pułkownik zebrawszy pułk odczytał przed frontem. Z tym dniem rozwiązała się rada żołnierska w naszym pułku — zdawało się, że poprzednie dni zmagania się i męki moralnej minęły bezpowrotnie — idziemy ku armji polskiej, armji będącej zbrojnem ramieniem Narodowego Rządu.

Listopad, to szereg alarmów, w tem alarm gazowy, na szczęście bardzo słaby, demonstracje na froncie, wreszcie przeglądów i parad.

Przemówienie pułk. Śmigłego do pułku po odczytaniu listu od Komendanta

Szczególniej pamiętna parada przed Leopoldem bawarskim, zgrzybiałym staruszkiem podczas okrutnego mrozu i śnieżycy.

Nadchodzą wieści, że idziemy do Królestwa na organizację — mamy być całkowicie rozparcelowani. Następuje likwidacja „Kasy Oficerskiej". Dla nieświadomych parę słów wyjaśnienia. I Brygada, wyszedłszy w pole, nie miała żadnych podstaw materjalnych w austrjackich kasach, ni magazynach. Żołd płacony nie był, tembardziej pensje oficerskie. Sporadycznie wypłacano z ciułanego od r. 1912 polskiego skarbu wojskowego, zarówno oficerom jak i żołnierzom po 1 koronie. Pozatem byliśmy samowystarczalni, a przynajmniej, bazowaliśmy nasze nadzieje na ofiarności szlagona i chłopa polskiego. Nie-

stety, z małymi wyjątkami, zarówno szlachta jak i chłopi polscy mieli jak przez cały ciąg dziejów tak i teraz skurcz w palcach mocno zaciśniętych na sakiewkach, a o każdego cielaka i gęś podnosili wycie, którego echo do dziś dnia niejednokrotnie w prasie polskiej słychać. Po złożeniu przysięgi i wycofaniu Legjonów na teren ś. p. Galicji pobrała brygada pierwszą żywność i pierwszy żołd (zdaje się w styczniu 1915 r.). Ponieważ jednak kadrowo byliśmy rozbudowani silniej, niż tego chciał i przewidywał NKN. i AOK. — przeto oficjalnie dosta-

Alarm w Baranowiczach. Wymarsz na pozycję

wała gażę znikoma ilość szarż oficerskich. Wobec tego postanowiono, że każdy oficer od najstarszego począwszy bierze 100 koron tylko. W ten sposób mogła brygada utrzymać wszystkich swoich oficerów. Kasa oficerska w tym stanie przetrwała do Baranowicz. Tu została zlikwidowana. Oficerowie do tego czasu będący na jej etacie zostali wobec zamierzonej rozbudowy wymianowani na etatach oficjalnych.

Zimę 1916/17 roku przebyliśmy w Łomży i Zambrowie. Stosunek Niemców poprawny, nawet serdeczny. Są ostrożni w stosunku do nas. Przybyli do Zambrowa instruktorzy, dostawszy po łapach w chwili, kiedy chcieli obejmować komendę oddziałów, zeszli do roli doradców i instruktorów. Przyznać muszę, że umieli to robić. W parę tygodni

byliśmy niezgorzej według metod niemieckich wyszkolonymi żołnierzami. Tor pracy wojskowej nastawiony był dobrze i jechaliśmy po nim całą parą. Z okresu tego pamiętam szereg burd z żołnierzami niemieckimi — pozatem parę posterunków niemieckich w tajemniczy sposób zniknęło w odpowiedzi na zastrzelenie przez wartownika jednego z naszych żołnierzy. Wiosną przeszedł pułk do Modlina z dużą już dozą rozczarowania w stosunku do tych nadziei, które mieliśmy w związku z nowym stanem rzeczy.

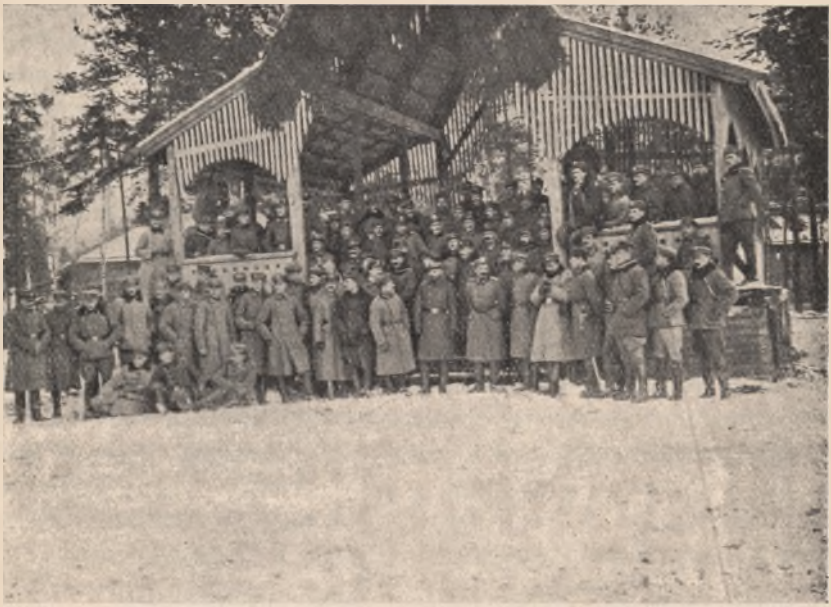

Oficerowie piechoty dawnej I Brygady ostatni raz razem w zimie 1916 r. w Baranowiczach

Rada Stanu nie miała dostatecznej siły moralnej i zdolności zaryzykowania swojego istnienia, by polską rację stanu postawić dość silnie i wyraźnie wobec okupantów — w obronie zawiązku wojska polskiego, jakim były Legjony. Pod tym względem zawiodła całkowicie nasze (wojska) nadzieje. Komenda Legjonów, była to ta sama, która w epoce rządów austrjackich nie broniła Legjonów, przed szykanami, przed poniżającemi rozporządzeniami władz austrjackich. Nie była reprezentacją wojska, nie miała władzy choćby z cichego przyzwolenia społeczeństwa polskiego, posiadała mandat rozkazywania tylko z woli rządu okupacyjnego. Dla utrzymania się na tem stanowisku musiała spełniać posłusznie i gorliwie wszelkie zlecenia generał-gu-

bernatora czy „Abteilung für polnische Wehrmacht". Oficerowie czysto legjonowi, którzy wówczas znajdowali się na wyższych funkcjach w Komendzie Legjonów, pozostawili, stwierdzić to należy, smutną i niezbyt chlubną pamięć po sobie z owych czasów. Było to tem smutniejsze, że istnienie ich w Komendzie Legjonów, nadawało jej pozory naszej polskiej komendy i reprezentacji, tymczasem wojsko o zasadnicze formy i prawa przysługujące każdej armji narodowej musiało nadal staczać walki przedewszystkiem ze swoją bezpośrednią komendą, Komendą Legjonów. Rodziło to oczywista szkodliwy pozór żarcia się wojska we własnym obozie. Istnienie narzuconej nam początkowo przez (Armee Oberkommando) AOK., a starannie utrzymanej przez Niemców — obcej nam duchowo komendy było największą tragedją żołnierza polskiego. Komenda Legjonów nigdy nie solidaryzowała się z naszemi dążeniami emancypacyjnemi, że wspomnę: salutowanie 2 palcami, gwiazdki w rząd, zygzaki czerwone, paski podoficerskie, kościuszkowska forma meldowania „Obywatelu poruczniku" czy „obywatelu komendancie". Wszystko to było tępione bez litości i niejeden z naszych żołnierzy gnił po kilka miesięcy w austrjackim „einzlu" za salutowanie dwoma palcami na t. zw. „hinterlandzie". Nie broniła nas przed szykanami i upokorzeniami. W imię lojalności ku zaborcom łudziła nas i okłamywała. Wojsko wskutek nienormalnego stanowiska prawnego Legjonów było bezsilne. Pozostawało mu w owym czasie upominać się o krzywdy tylko w drodze raportów do generała Beselera, czynić zaś tego nie chcieliśmy, gdyż równałoby się to uznawaniu przez nas zależności kadrów armji polskiej od władzy obcej. Komenda Legjonów wiedziała o tem i czuła się bezkarną, przed nikim i niczem nieodpowiedzialną.

Taką była sytuacja naszego pułku w chwili, gdy znalazł się w twierdzy modlińskiej. Przechodzę do przeglądu ostatnich wydarzeń u nas i gdzieindziej, które były prologiem dramatu, dramatu odprowadzenia polskich żołnierzy przez polskich żołnierzy do niemieckich obozów jeńców w Benjaminowie i w Szczypiornie.

Dnia 30.III.1917 r.Komenda Legjonów nakazywała spełnienie zarządzenia G. G. Abt. für Poln. Wehr. J. Nr. 4410 z 29.III.1917, które nakazywało odbiór wszelkiej amunicji niemieckiej i austrjackiej, pozornie dla stwierdzenia stanu amunicji ostrej, znajdującej się w oddziałach Legjonów i następnie nowego jej podziału". Oczywiście podział ten nigdy nie nastąpił. Legjony zostały prawie całkowicie rozbrojone. Stało się to, przyznać trzeba po strzelaninie między patrolami legjonowymi 5 p. p. a patrolami niemieckimi, dopuszczającymi się gwałtów i bezlitosnych rekwizycyj wśród ludności.

Z zaciśniętemi zębami patrzył na to i garnizon modliński. Doszło do tego, że biada było Niemcowi, gdy znalazł się wobec kilku naszych żołnierzy, w najlepszym razie wychodził z imprezy ciężko pokaleczony, jeśli niepłacił życiem. Dalszą konsekwencją tego stanu było otoczenie garnizonów legjonowych linją graniczną, poza którą legjonistom bez specjalnej przepustki nie wolno było przechodzić. Z drugiej strony niemiecka komendantura wydała swoim żołnierzom zakaz wchodzenia i przebywania w lokalach, w których znajdowali się żołnierze polscy.

Przy końcu kwietnia utworzono t. zw. obozy ćwiczebne. Obozy te dały powód do podzielenia nas na t. zw. „National Polen" i „Oesterreichische Unterthanen" — słowem Polaków i Galileuszy. (Niestety podobnie jak w r. 1918, zresztą i do dziś dnia dzielą się niejednokrotnie na łamach swej prasy sami Polacy). Wówczas był to pierwszy tego rodzaju rozdział między naszymi żołnierzami. Pułkownik Śmigły żądanych żołnierzy wysłał z tem jednak, że niezwłocznie w raporcie do Komendy Legjonów jaknajkategoryczniej przeciwko tego rodzaju rozdziałom protestował.

Oficerowie nasi odchodzący do obozu w Zegrzu dostali szczegółowe instrukcje co do zachowania się w stosunku do niemieckich instruktorów i rozkaz niezwłocznego meldowania o wszelkich zasadniczych wydarzeniach i rozkazach, godzących w narodowe uczucia i interesy wojska polskiego. Zresztą godne Polaka zachowanie się w obozie zapewniał całkowicie najstarszy z naszych oficerów mjr. Fabrycy.

W obozach działo się źle. Komendy kursów, baonów, kompanij objęli oficerowie niemieccy, niewładający, albo władający słabo językiem polskim. Język niemiecki po raz pierwszy stał się językiem rozkazów. Od wszelkich funkcyj odsunięto naszych oficerów i podoficerów. Usiłowano narzucić mundury z plastrami czerwonymi na lewym rękawie, kroju niemieckiego. Widząc, że Komenda Legjonów nietylko że wojska naszego nie broni, lecz przeciwnie, wszelkimi godnymi i niegodnymi środkami, groźbą, prośbą lub kłamstwem, stara się skłonić do powolności tym rozkazom — oficerowie w naszym obozie zgłosili się do raportu o przeniesienie ich do macierzystych pułków, albowiem stało się jasnem, że pułki macierzyste wraz z Galileuszami w nich pozostałymi, mają zmarnieć, a właściwą kadrą, którą mają wypełnić rekruci, będą obozy z niemieckimi dowódcami, niemiecką komendą i w niemieckich mundurach.

W tej sytuacji nowy szef sztabu Komendy Legjonów jeździł po obozach i składał oświadczenie, które znalazło potem swój pisemny wyraz w rozkazie Komendy Leg. T. N. 1576 z dnia 2.VII.1917. Uspokajano w nim, że „oddziały instruktorskie mają za zadanie wyszko-

lenie rekruta i uczynienie z niego doskonałego polskiego żołnierza", że instruktorzy są tylko „czasowo z pułków odkomenderowani", że „rekruci po wykształceniu uzupełniają stany dotychczasowych pułków 1 — 6", że „obozy ćwiczebne nie są kadrami pułków, gdyż mają na celu nie tylko uzupełnianie obecnych pułków, lecz także mających powstać w przyszłości nowych formacyj, w których komendy otrzymać mają wyłącznie oficerowie legjonowi".

Nikogo oczywista ani te wykręty ani ta muzyka przyszłości o nowych formacjach, na które się wskutek sytuacji politycznej nie zanosiło, nie mogły pocieszyć. Faktem oczywistym bowiem było, że formacje uzupełnień, wyszkolenie rekruta zostały odebrane Legjonom i oddane przez pół polskiemu i pół niemieckiemu tworowi, bez poczucia narodowego, nawet bez wspólnej tradycji bojowej.

Komenda Legjonów mimo to jeszcze rozkazem oficerskim Nr. 120 z 10 maja 1917 r. wzywała do „spokoju żołnierskiego w zamiarach wytrwania" i „równowagi". Nadto postanowiono kwestję Galileuszy załatwić przez polecenie wniesienia przez nich podań o przyjęcie poddaństwa Królestwa.

Przejdę teraz do tych politycznych momentów, które wojsku oczywista były znane, a które jaskrawo wskazywały mu, że może liczyć tylko i jedynie na swoje własne siły.

A więc w marcu 1917 r. otrzymaliśmy w pułku kolportowany w przedruku w Warszawie „List Józefa Piłsudskiego do profesora N. w Krakowie, datowany 15.III.1917 r.; podaję go tu dosłownie, jako wyczerpująco charakteryzujący ówczesny stan rzeczy:

„List Józefa Piłsudskiego do profesora N... w Krakowie.

Warszawa, 15.III.1917 r

Kochany i Szanowny Panie Profesorze!

W odpowiedzi na Pańskie zapytania, które — rozumiem, że są męką nie Pana jednego, spieszę skreślić parę słów. Być może, że się wydadzą one niedostatecznie jasne; niech trudne położenie, w jakiem się znajduję, usprawiedliwi mnie pod tym względem.

Gdym 6 sierpnia wyruszał w pole, obliczałem wiele przeszkód materjalnych i moralnych, które napotkam na swej dro-

dze, ujmowałem w rachubę opór bierności i niechęci ze strony społeczeństwa, zamało jednak brałem pod uwagę stanowisko tego, co z konieczności stanowić musiało *vis maior* całego przedsięwzięcia — stanowisko tego czy innego państwa, przy pomocy którego siła polska wyrosnąć mogła.

Teraz po dwóch latach ciężkich doświadczeń i prób, jeżeli powiedzieć o sobie mogę, że wróciwszy z tem doświadczeniem powtórzyłbym z pewnością próbę 6 sierpnia 1914 roku, to zarazem byłbym znacznie ostrożniejszym w metodzie przeprowadzenia zamiarów. Cała sprawa, jak mi się zdaje, polega na następującem. Oba państwa centralne nie mogą w jednej chwili zmienić zasadniczych rysów polityki swej względem Polski, polityki, która w pierwszym rzędzie odznacza się szaloną nieufnością względem Polaków. Nieufność wywołuje przy każdym kroku tysiące zastrzeżeń, które znów natrafiają na użyźniony stuletnią pracą grunt tradycji stosunków austro-niemiecko-polskich. To znaczy, że każdy krok, każdy środek już w swem założeniu, a tembardziej w realnem przeprowadzeniu, natychmiast wywołuje antipolskiego wilka z lasu, wilka przyzwyczajonego zdawna szczerzyć zęby, nigdy zaś — szanować odrębność kultury narodowej, czy poczucie godności i honoru narodu polskiego. W ten sposób zawsze ma się wrażenie, że oba państwa centralne systematycznie jedną ręką niszczą to, co drugą usiłują budować. W chwilach zaś kryzysów, zastrzeżenia te i nieufność doprowadzają często do położenia, gdzie się wprost zatraca minimum polskości w sprawie i człowiek staje w położeniu jakiegoś Botokudy lub Syngaleza, względem którego uprawiana jest polityka kolonjalna z całą swoją krasą i jędrnością.

Jestto jedna strona sprawy, druga leży w nas — Polakach. Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem wychowania w niewoli, w systemie ugody ze wszystkiemi i ze wszystkiem, bez honoru i godności, z poczuciem lęku przed każdem większem zadaniem, branem na własne barki. Nie przypominam sobie w ciągu ubiegłych paru lat ani jednej chwili, ani jednego kroku, który nie był nacechowany tą swoiście polską cechą konkurencji in minus, licytacji prowadzącej nie do góry, ale odwrotnie zmierzającej do dołu. Gdy tylko kto gdzie wystawi jakie żądanie, znajdzie zaraz mnóstwo „doświadczonych" ludzi, którzy orzekną, że jest ono za wysokie, że go z tej czy innej strony obciąć należy, aby było „realnem", ba znajdzie się natychmiast grupa czy czło-

wiek, który zaofiaruje swe „usługi", aby uczynić żądanie bardziej mangeable, a stanowisko tych, od których się żąda, bardziej „wygodnem". Jeżeli mówię „wygodnem" i stawię cudzysłów, czynię to rozmyślnie, nie mogąc dla określenia pojęcia znaleźć innego słowa. Ta metoda nie posuwa nigdy ani o jeden cal żadnej sprawy naprzód, przeciwnie jeszcze bardziej wszystko gmatwa; nie czyni żadnego realnego kroku dla ujęcia jakiejkolwiek sprawy w sposób dogodniejszy pod względem politycznym, chociażby jednostronnie któregokolwiek z państw centralnych, zadawala jedynie instynkty kolonialnego stosunku do Polaków, pozostawiając treść rzeczy zupełnie na boku, gdyż ostatecznie Polacy Botokudami ani Syngalezami nie są i na wszelkie „kolonialne" metody odpowiadają zwykle zwiększonym oporem bierności i wzrastającej niechęci do wszelkiej nowej próby.

Tak było w ciągu ubiegłych dwóch lat z polityką i ideją zwaną w Galicji „legjonową", tak samo jest teraz z inną polityką, zwaną „realizacyą aktu 5 listopada".

Dla człowieka, jakim jestem, wyrosłego z walk, położenie jest nadzwyczaj ciężkie, gdyż w atmosferze, w której kształtował się mój charakter i metody pracy, przyzwyczajony jestem do zawierania jasnych i dokładnych umów, do szanowania tych umów bez *ariere pensee*, lecz zarazem żądającego uszanowania i wszystkiego, co jest honorem i poczuciem godności u siebie. Zarazem nie umiem nigdy przystosować się do metod trochę trącących Syngalezem, gdzie po zrobieniu wielkiego krzyku wewnątrz — nazewnątrz wszystko wydaje się podobnem do pieszczotliwej fali, łagodnie szemrzącej u stóp pałaców.

Tyle co do ogólnego stanu rzeczy. Co się tyczy spraw Legjonów, o które Pan pyta, drżę o to, by raz jeszcze na barki młodych żołnierzy nie spadła jakby kara za to, że wśród biernego i nie szanującego siebie społeczeństwa byli uosobieniem walki czynnej o prawa i honor narodu. Drżę tembardziej, że nie jestem z nimi, by w ciężkiej chwili próby być im pomocą i ostoją, lub przynajmniej znosić razem z nimi ciężki krzyż, który wypadło im nieść na barkach. Rozumie Pan dobrze, że dotąd najbardziej z nimi jestem związany i chociaż los kazał mi być w obecnej chwili politykiem, to serce i uczucie ciągnie mnie tam, gdzie są oni, drodzy żołnierze i towarzysze broni. Dotąd jestem o tyle z nimi, że los swój najściślej wiążę z ich losem,

z nimi upadam, z nimi się wznoszę. Naturalnie mówię o żołnierzach, nie o tej zarazie hańbiącej żołnierstwo, o „bohaterach tyłów", stanowiących przekleństwo losu polskiego żołnierza wielkiej wojny światowej XX stulecia.

Pyta Pan o P. O. W. Naturalnie, stanie się tak, jak Pan przypuszcza. Z chwilą rozkazu Rady Stanu, staną oni pod broń, tak jak ongiś w sierpniu stanęli strzelcy na mój rozkaz. Te nowe żołnierzyki są szczęśliwsi teraz od swych poprzedników, gdyż mogą usłuchać wezwania swego rządu, gdy tamci są dotąd zależni od wszystkich na Bożym świecie, tylko nie od tego, do czego tęsknili w bojach krwawych, nad czem ich mózg się biedził w trudach bojowych, — od własnego polskiego rządu, któremuby przysięgli na wierność do grobu i za grobem.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania.

J. Piłsudski".

Niestety tak się stało, że Rada Stanu poszła na żądanie „realne" i zadowoliła się sama stanowiskiem Syngalera czy Bołokudy, względnie zgodziła się na kolonjalne metody rządzenia nią przez Beselera, nie mając odwagi odejść tak, jak odszedł Komendant. Muszę jednak zaznaczyć, że w sprawach, które poprzednio opisywałem, poszczególni członkowie Tymczasowej Rady Stanu usiłowali coś czynić i stawiali wnioski, które zresztą nazewnątrz żadnego efektu nie miały; a więc Członek Tymczasowej Rady Stanu Kozłowski na posiedzeniu T. R. S. w dniu 1 maja 1917 r. jako członek komisji wojskowej podniósł specjalną sprawę, sprawę austrjackich poddanych w Legjonach. Oto „Polnische Wehrmacht" — mówił p. Kozłowski — dzieli Polaków — Legjonistów na jakieś dwie kategorje: jedni są National Polen, a drudzy jacyś inni. Wierzę że tej terminologji nie wynalazł pan generał Beseler, ani hr. Lerchenfeld, ale jacyś inni ludzie z „Polnische Wehrmacht", którzy odmawiają polskości tym, co od Rokitny do błot Pińskich wyrąbywali sobie drogę do Polski. To zakrawa na jakiś przykry żart. W pierwszym rzędzie tego rodzaju postępek ośmiesza „Polnische Wehrmacht", naraża się ona na stracenie powagi, nie można bowiem odmawiać polskiej narodowości najlepszym synom naszej Ojczyzny, nie można jej odmawiać synom Galicji, tej nieszczęsnej Galicji, która na sprawę Polski wysiliła się i dała niesłychane ofiary mienia i krwi.

Cześć Galicji i synom Polski tam zrodzonym, którzy walczyli za Polskę.

Wobec tego proponuję następujący wniosek:

„Zważywszy, że oficerowie i żołnierze Legjonów, pozostający w poddaństwie austrjackiem, wywalczyli własną krwią swoją obywatelstwo polskie, należy niezwłocznie wystąpić z przedstawieniem do p. generała-gubernatora warszawskiego, aby austrjaccy poddani pod żadnym pozorem nie byli pomijani przy obsadzaniu wszelkich stanowisk służbowych w Legjonach i w całej polskiej sile zbrojnej, oraz by byli traktowani na równi w pragmatyce służbowej z poddanymi Królestwa Polskiego i aby w zarządzeniach „Polnische Wermacht", tyczących się Legjonów, wyraz „National — Pole" został usunięty".

Jako wyraz stosunku ugrupowań politycznych do Rady Stanu cytuję list, a raczej odezwę Rady Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych do Ludomira Grendyszyńskiego. Odezwę wydano w Warszawie 20. kwietnia 1917 r. Cytuję ją jeszcze i dlatego że Ludomir Grendyszyński później przybył do naszego pułku jako członek Tymczasowej Rady Stanu, a więc przedstawiciel quasi Rządu w asyście płk. Januszajtisa odbierać od naszego pułku przysięgę.

A oto treść odezwy:

„Jaśnie Wielmożny Pan LUDOMIR GRENDYSZYŃSKI.

Wielce Szanowny Panie!

Stronnictwo nasze, łącznie z szeregiem innych stronnictw, złączonych w Radzie Narodowej, po proklamowaniu aktu 5 listopada postanowiło przystąpić do współpracy nad odbudową państwa polskiego. Rada Narodowa kierownictwo tej odbudowy powierzyła Tymczasowej Radzie Stanu. Do instytucji tej wszedł Pan, jako nasz przedstawiciel.

Z chwilą powstania Tymczasowej Rady Stanu stronnictwo nasze uznało w niej zaczątek rządu polskiego i podporządkowało się jej, wierząc, że Rada ta rządem istotnym się stanie.

Trzy miesiące istnienia Tymczasowej Rady Stanu przekonały nas jednak, że Rada nie znalazła w sobie dość siły, by ująć w swe ręce władzę faktyczną i przeistoczyć się w rząd narodowy. Zamiast realizować niepodległość, Tymczasowa Rada Stanu legalizowała zależność.

Tymczasowa Rada Stanu nie zdołała wywalczyć sobie nawet prawa stworzenia równoległego z władzami okupacyjnemi zarządu.

Taki charakter działalności Tymczasowej Rady Stanu zrodził przekonanie, że i najważniejsza ze spraw — sprawa wojska, nie zostanie rozwiązana w myśl słusznych żądań Narodu Polskiego i że armja polska nie będzie tworzoną w warunkach, które pozwoliłyby jej stać się istotnie armją narodową.

Tymczasowa Rada Stanu mając pozory naczelnej instytucji politycznej, a nie spełniając tej roli, faktem swego istnienia usypia czujność narodu złudą, iż istnieje naczelna polska instytucja, budująca państwo niepodległe.

W ten sposób Tymczasowa Rada Stanu przynosi szkodę narodowi polskiemu, gdyż pozbawia go możności wytworzenia innego ciała, któreby budowy tej dokonać zdołało.

W tych warunkach Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych nie widzi możności dalszego popierania Tymczasowej Rady Stanu i zwraca się do Wielce Szanownego Pana, jako do swego przedstawiciela, z wezwaniem o złożenie mandatu członka Tymczasowej Rady Stanu.

Z wysokim szacunkiem

Rada Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych

Warszawa, dn. 20 kwietnia 1917 r."

Powracam do wojska. Ówczesny Szef Sztabu Komendy Legjonów usiłował złamać opór wojska przeciw obozom wszelkimi środkami. Zapewniał słowem honoru w Zambrowie, że obóz w Ostrowi nałożył narzucane przez Niemców mundury. W dniach 21. i 22. maja jeździł po kursach wyćwiczenia z rzekomem pismem Rady Stanu, odczytując go przed frontem. List zapewniał, że wszystko jest w porządku, że językiem urzędowym w wojsku jest i pozostanie jedynie język polski". W cztery dni potem tenże sam Szef Sztabu wniósł prośbę o dymisję" — w prośbie swej stwierdzając, że „w stwierdzonych 3 wypadpadkach w obozie ćwiczeń w Zegrzu komendanci baonów wydają rozkazy i komendy po niemiecku i dopiero przy pomocy tłómacza powtarza się je wojsku po polsku". „Naród polski nie ma zasadniczych praw i podstaw, na których powstaje armja polska" — „wojsko nie dostało zasadniczego rozkazu organizacyjnego, który jasno i wyraźnie stawiałby sprawę i określał stosunki wzajemne oddziałów i drogę zależności od komend wyższych. Domysły i przypuszczenia w braku wzmiankowanego rozkazu organizacyjnego dają bogate pole do nieporozumień i zupełnie je uzasadniają"; „wojsko otrzymało dotąd jedynie rozkaz o oficerach armji obcych jako instruktorach, gdy faktycznie wolą poszczególnych majorów niemieckich, oficerowie w obcym uniformie pełnią funkcję komendantów baonu, kompanij i plutonów" — „mimo braku zasadniczego rozkazu Naczelnej Komendy Polskiej Armii o wprowadzeniu niemieckiej procedury karnej, poszczególni majorowie niemieccy wprowadzają lub starają się takową wprowadzić".

Ustępy te dowodziły, że Szef Sztabu Komendy Legjonów zdawał sobie jasno sprawę z sytuacji, w jakiej wojsko się znajdywało. Mimo tego i mimo, że sytuacja wcale nie uległa zmianie, po dwu dniach, o ile się dziś nie mylę, swoje podanie o dymisję cofnął.

Byliśmy tedy całkowicie przekonani, że Komenda Legjonów nie potrafi dokonać zmiany w postępowaniu władz niemieckich. Byliśmy zdani nadal na samych siebie.

Komenda Legjonów zaś lojalnie wykonała rozkaz „Polnische Wehrmacht" usuwający wszystkich oficerów 5 p. p. z kursów jako „niezdolnych do kształcenia rekrutów" i zwijający obozy Nr. 1 i 5. Dopiero deklaracje, wniesione przez oficerów w obozach wyszkolenia dnia 27.V.1917 r. z prośbami o przeniesienie do macierzystych pułków z powodów, że:

1. „Kurs przestaje być kadrą 1 p. p. i przestaje być również szkołą wojskową dla poddanych Królestwa Polskiego, a zamienia się w jakąś zupełnie niezrozumiałą formację".
2. „Formacji tej komendy pułków, baonów i kompanij, za wyjątkiem kilku obsadzone być mają przez niemieckich lub austrjackich oficerów wbrew rozkazowi Komendy Legjonów Nr. 120".
3. „Język służbowy jakoby polski, polski jest tylko w teorji, zaś kancelarje są prowadzone w języku niemieckim".
4. Nas zgórą 1.300 oficerów polskich zaledwie kilkudziesięciu jest zajętych na kursach wyćwiczenia przy kształceniu rekruta i samokształceniu.
5. Usunięcie nawet poddanych Królestwa Polskiego, należących do 1-go i 5-go p. p. od pracy w obozach, uważam za umyślne uszczuplenie zdobytych 3-letnią służbą sił wojskowych Królestwa Polskiego".

Deklaracje owe miały ten skutek, że Komenda Leg. powołując się na rozkaz Beselera I. Nr. 7750 ogłosiła w rozkazie Nr. 126 z 2.VI.17 i 305 z 29.VI.1917 r. obsadę baonów i kompanij oddanych w ręce oficerów legjonowych, nie wyłączając oficerów naszego i 5 p. p. W ten sposób akcja nasza, zwalczana zawzięcie przez maj i czerwiec przez Komendę Legjonów, doprowadziła do częściowego zwycięstwa.

Maj i czerwiec ubiegły w pułku, na kierownictwie akcją we wszystkich oddziałach legjonowych. W pułku naszym zgłaszali się delegaci pułków 1. i 3. brygady, 1. pułku ułanów i 1. p. art. odnośnych obozów wyszkolenia i pomniejszych oddziałów. Niejedną też noc majową przesiedziałem przygotowując rozsyłkę instrukcyj płk. Śmigłego.

Nadszedł lipiec 1917 roku, a z nim rozkaz Komendy Legjonów nakazujący w tym stanie sprawy i wzburzeniu umysłów złożenie przysięgi. Rozkaz pułk otrzymał dnia 6.VII.1917 r. Miała być wysłana do Warszawy na uroczystość zaprzysiężenia kompanja reprezentacyjna. Pułkownik Śmigły był nieobecny — wyjechał z por. Biłykiem do Warszawy. Kpt. Piskor, d-ca II baonu, wyjechał wobec tego z otrzymanym rozkazem do płk. Śmigłego, polecając mi, bym kompanji nie wysyłał i bym zwołał na 7. lipca zebranie oficerskie do Pomiechówka.

Cytuję treść otrzymanych wówczas z Komendy Legjonów rozkazów:

ROZKAZ Nr. 310.

Warszawa dn. 6 lipca 1917 r.
Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego
Warszawa dnia 4 lipca 1917 r.

DO WOJSKA POLSKIEGO.

Żołnierze!

Po otrzymaniu gwarancji narodowego charakteru armji polskiej i ustaleniu nieodzownych warunków jej rozwoju, macie w najbliższych dniach dopełnić podstawowej powinności żołnierskiej i złożyć polską przysięgę wojskową.

Jako prawi i karni wojownicy i obrońcy Ojczyzny powstającej po wieku niewoli do utraconego samodzielnego bytu państwowego, macie złożyć uroczyste ślubowanie na wierną, uczciwą i nieugiętą służbę Ojczyźnie — Polskiemu Królestwu i przyszłemu królowi.

To, co nie było udziałem Waszych rycerskich poprzedników w bojach o wolność i pełnię narodowego życia, Wam przypada jako sprawiedliwość dziejowa w nagrodę za śmiały czyn, ofiarną krew i żelazne w szlachetnych zamiarach wytrwanie.

W uroczystej chwili na historycznem wzgórzu pod krzyżem Traugutta śluby radośnie budzić będą narodowe mogiły, a tęsknota nie-wolnych Ojców i dziadów powtarzać pocznie za Wami tak długo oczekiwane słowa polskiej roty.

W karnym ordynku ślubujących staną obok okrytych sławą dwuletnich bojów żołnierzy i szeregowcy nowozaciążni, wdrażający się do służby pod czujnem okiem i opieką starszej braci bitewnej, owego rycerskiego hufca, co bez zastrzeżeń i z chwalebną ofiarnością na pierwszy zew Ojczyzny stanął pod sztandarem wojującej Polski i dał granitowe podwaliny śmiałemu i zwycięskiemu Czynowi Legjonów Polskich.

A ci, którzy z wojskiem polskiem jeszcze nie przysięgną, ale czynem i miłością Ojczyzny są związani, niech wiedzą, że Tymczasowa Rada Stanu i nadal czuwać będzie nad tem, aby nierozerwalny związek i całość Legjonów utrwalone wspólnie przelaną krwią i przeżytą męką wyczekiwania na świt narodowy utrzymane były w całej pełni do końca zmagań wojennych.

Niemojowski m. p. marsz. kor.

Otrzymany przez Dow. Leg. Pol. od Jen. piech. Ekscelencji von Beselera powyższy rozkaz, jakoteż załączoną rotę przysięgi ogłosić przez odczytanie przed frontem kompanij, bateryj, szwadronów i oddziałów.

Zieliński pułkownik m. p.

ROZKAZ Nr. 311.

Warszawa, dnia 5 lipca 1917 r.

W ślad rozkazu Nr. 310 podaje się do wiadomości rotę przysięgi:
Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego.
Warszawa dnia 4 lipca 1917 r. Nr. 3250.

W odpowiedzi na pismo z dnia 28 ub. m. Nr. Sł. I. 790 Tymczasowa Rada Stanu komunikuje polski tekst przysięgi w brzmieniu ustalonem na wczorajszem posiedzeniu Zebrania Plenarnego:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że Ojczyźnie mojej — Polskiemu Królestwu i memu przyszłemu królowi — na lądzie i wodzie i na każdem miejscu wiernie i uczciwie służyć będę, że w wojnie obecnej dotrzymam wiernie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier oraz Państw z nimi sprzymierzonych, że będę przełożonych swych i dowódców słuchał, dawane mi rozkazy i przepisy wykonywał i wogóle tak się zachowywał, abym mógł żyć i umierać jako mężny i prawy żołnierz polski.

Tak mi Panie Boże dopomóż".

Marszałek Koronny Niemojowski m. p.

L. S. Sekretarz T. R. S. St. Grendyszyński m. p.

Na te tak przedziwnej stylizacji „rozkazy" — oficerowie na zebraniu w dniu 7. lipca 1917 roku uchwalili jednogłośnie następującą deklarację:

„1 p. p. odmawia złożenia przysięgi wedle nadesłanej roty z powodów następujących:

1. Rota przysięgi przeznaczona jest tylko dla Królewiaków, utrzymuje więc ona w jednolitych pod względem narodowym i wojskowym legjonach podział narzucony, wywołany politycznemi przesłankami, szkodliwemi dla budowy armji polskiej.

2. W każdem wojsku przysięga przywiązana jest do istniejącej i ściśle określonej osoby panującego, względnie rządu, nie zaś do fikcji nieistniejącej, lub której powstanie w przyszłości uwarunkowane jest układem stosunków międzynarodowych. Wiązanie się zatem taką przysięgą jest z punktu widzenia prawno-wojskowego niedopuszczalne.

3. Ślubowanie braterstwa broni — jako zależne od każdorazowego układu stosunków międzypaństwowych — jest atrybutem panującego lub rządu, który w formie rozkazu do wojsk swoich takie braterstwo w stosunku do pewnych armij nakazuje. Nie może więc ono być przedmiotem przysięgi wojskowej.

4. Ślubowanie posłuszeństwa rozkazom i przepisom przełożonych i dowódców może mieć miejsce wtedy, jeżeli ci odpowiedzialni są przed narodem".

Deklarację tą redagowaną i napisaną przez kpt. Piskora podpisało 50 oficerów i dnia następnego miał ją zawieść do Komendy Legjonów ś. p. por. Zinth.

Dnia następnego nadeszły do pułku wiadomości z innych garnizonów. Naogół były to wiadomości dobre, w wojsku nastrój antyprzysięgowy, wieczór zaś nadszedł meldunek por. Ścieżyńskiego, nadany z centrali telefonicznej Komendy Legjonów, że rzekomo nawet werbunkowcy odmawiają złożenia przysięgi. Późnym wieczorem nadchodzi depesza z Komendy Legjonów, że z rozkazu gen. Beselera przysięga z powodu trudności transportowych odbędzie się tylko dla odddziałów stacjonowanych w Warszawie, — dla oddziałów znajdujących się na prowincji ma się odbyć 11 lipca.

Według wiadomości, jakie mieliśmy w pułku o przysiędze dnia 9.VII — przysięga odbyła się w koszarach 3. p. p. Leg. bez udziału Niemców i osób cywilnych z wyjątkiem jedenastu radców stanu (t. zw. przez naszych żołnierzy „zdrajców stanu"). Przybyły na nią kompanje 2, 3, 4, 6 p. p. — 1-sza i 2-ga baterja, szwadron 2 p. ułanów, komp. saperów Nr. 2., kompanja sztabowa i taborowa. Przed przysięgą Szef Sztabu Komendy Legjonów, zagroził, że jeżeli przysięgi nie złożą, to Legjony zredukuje się choćby do 5.000 lub całkowicie zlikwiduje, a usunie się wreszcie politykujący element. Od rana zaś agitował wśród wojska p. Studnicki. Przed samą przysięgą polecono ustąpić tym, co nie chcą przysięgać. Resztę ustawiono do przysięgi. Po odprawionej mszy złożyło przysięgę 28 oficerów i około 270 — 300 szeregowych i tak:

1 p. p.	—	oficerów	—	żołnierzy
2 p. p.	2	„	5	„
3 p. p.	1	„	65—68	żoln.
4 p. p.	—	„	—	„
5 p. p.	—	„	—	„
6 p. p.	—	„	—	„
1 p. uł.	—	„	—	„
2 p. uł.	3	„	9	ułanów
1 p. a.	2	„	—	„
1 komp. sap.	—	„	—	„
2 „ „	2	„	5	„
komp. sztab.	3	„	60	„
tabory	1	„	50	„

Powyższe wiadomości utwierdziły nas jeszcze w odmownem stanowisku w stosunku do przysięgi. Podniecenie wśród żołnierstwa doszło

do najwyższego stopnia. Omal nie zlynczowano przysłanego z Komendy Legjonów podoficera żandarmerji, podejrzewając go o szpiegowanie na nowo powołanej do życia rady żołnierskiej na wypadek, gdyby oficerów wcześniej uwolniono względnie aresztowano. Ocalał tylko dzięki interewencji sierżanta Klussa z Dowództwa pułku.

Pozatem godnym zanotowania jest fakt przybycia w owym czasie do pułku ułana Adolfa Nowaczyńskiego, który zameldował się u mnie z listem do pułkownika Śmigłego i na rozkaz pułkownika wcielony został do kompanji rekruckiej, z poleceniem by dać mu pokój z ćwiczeniami, bo chroni on tylko u nas swoją literacką wartość przed poborem austrjackim.

10. lipca nadchodzą wiadomości o zwolnieniu z 3. p. p. kpt. Sokołowskiego i D-ra Boguszewskiego, z naszego pułku kpt. Biernackiego, rzekomo internowany ma być ppłk. Norwid-Neugebauer. Nasz pułkownik wezwany do Warszawy. Zwolnić miano 29 żołnierzy z 3. p. p., resztę zamknięto w koszarach, odebrawszy broń, płaszcze, obuwie; usiłują głodem wymusić na nich przysięgę.

11 lipca pułkownik wróciwszy z Warszawy, przywiózł wiadomość o zwolnieniu pułkownika Beliny i Norwida bez prawa noszenia munduru.

Do nas ma przyjechać w terminie do 14-go lipca Januszajtys z jednym radcą stanu odebrać przysięgę. Pod wieczór nadszedł o tem telefoniczny rozkaz, że przyjeżdżają obaj dostojnicy jutro rano. Przyjeżdża do nas radca stanu Grendyszyński, o którym już wspominałem. Dostałem rozkaz jechać po nich i przywieźć na plac zbiórki pułku.

12.VII wczesnym rankiem oczekiwałem konno przybycia zapowiedzianych dygnitarzy. Dzień był ciepły, słoneczny, powietrze wypełniał duszny zapach kwitnących lip. Na małej stacyjce „Modlin" trochę Żydów, trochę podmiejskich „ciarachów" — napewno coś, jak w owe czasy, szmuglujących, jakiś obywatel ziemski, żołnierze nasi i pruscy — oficerowie.

Zajeżdża wreszcie oczekiwany pociąg — z przedziału I klasy winduje się pan w kraciastym palcie i sportowej czapce na głowie, za nim pułkownik Januszajtys, któremu się melduję jako adjutant pułku. Przedstawia mnie temu Panu, okazuje się, że to właśnie radca stanu Grendyszyński — podobno jeden z organizatorów wiernopoddańczego adresu do Wielkiego ks. Mikołaja Mikołajewicza. Melduję płk. Januszajtysowi raz jeszcze z rozkazu płk. Śmigłego, że pułk według otrzymanego telefonogramu stoi zebrany na zakroczymskich błoniach (place dawne armji polskiej w r. 1831 po wzięciu przez Moskali Warszawy), jednak przysięgi według nadesłanej roty nie złoży. Pułk. Januszajtys przyjął meldunek do wiadomości i zapytawszy tylko, czy

poddani polscy — (National — Polen) są zebrani — kazał się wieść do nich.

Wsadziłem ich do powozu i pojechaliśmy. Przed wjazdem do Cytadeli zapytałem jeszcze, czy ze względu na wczesną porę nie zechcą zjeść w kasynie naszem śniadania. Spieszno im było do wojska! Jadę przeto na poczciwym „Iwanie" przodem. Droga wiedzie piękna, starymi topolami lamowaną drogą. Mijamy bramę wjazdową jedną i drugą, baraki, stary wał forteczny, na którym leżą potężne cielska starych 12-funtowych dział z czasów polskich, odkopane przez Niemców, leżą martwe dziś i niegroźne, obojętne na dźwięki fajfrów i tamborów pruskich, wygrywających co rana... „in der Heimat, in der Heimat"....

Wreszcie napisem „Weichseltor" ozdobiona brama, wydostajemy się na przestrzeń, rozległe błonia zakroczymskie. Środkiem połyskuje bronią wyciągnięta i doskonale wyrównana ciemna linja pułku. Na skrzydle nasz pułkownik czeka, aż podejdą. Zsiadam z konia i towarzyszę obu dygnitarzom pieszo. Śmigły zdaje raport, przedstawiony przez Januszajtysa Grendyszyńskiemu, skłania głową bez podania ręki. Przegląd, poczem Januszajtys daje rozkaz sformowania czworoboku. Komenda, czworobok zwarty, w środku stoją oficerowie.

Przemawia głosem niepewnym pan radca stanu. Krótko węzłowato, najwyżej 3 — 5 zdań powiedział na temat konieczności złożenia przysięgi przez wojsko, które chce być armją regularną. Potem przemawia pułkownik Januszajtys — z początku sentymentalnie, a więc czasy organizacji przedwojennej, wybuch wojny, jego służba w I Brygadzie w Kielcach, kubły krwi przelanej od Karpat do Stochodu, setki trupów — wreszcie zrąb gmachu Ojczyzny wolnej, w ścisłym sojuszu z Niemcami, państwem tak potężnem, już się rysujący.

Kończy groźbą, że mimo wszystko, choćby tylko trzech przysięgło, oni armję polską przy pomocy zwycięskiego sprzymierzeńca tworzyć będą, wreszcie wzywa w imię aktu 5. listopada, w imię Rady Stanu, którą uznaliśmy za prawy Rząd, do przysięgi, w przeciwnym razie zostaniemy internowani w obozach jeńców. W czasie gróźb internowania zrywał się pomruk, który to się zrywał to przycichał, wreszcie kiedy po skończonej mowie dał rozkaz kpt. Wieczorkiewiczowi, dowódcy baonu, by ci którzy nie chcą przysięgać, wystąpili 15 kroków przed front, wybuchnął krzyk: „wszyscy, wszyscy". Czworobok gwałtownie się kurczy, wszyscy idą na Januszajtysa i Grendyszyńskiego.

Pułk. Śmigły jak zawsze spokojny daje ręką znak zatrzymania się i komenderuje „w tył". Czworobok w milczeniu rozszedł się do poprzedniego rozmiaru.

Teraz płk. Januszajtys daje rozkaz, by ci, którzy, chcą przysięgać, cofnęli się 15 kroków w tył. W milczeniu rozłazi się czworobok o te 15 kroków, poczem cofa się i linja oficerów.

Wtedy pułkownik Januszajtys zwrócił się do oficerów, zawiesza ich w czynnościach i zapowiada, że zostaną z wojska usunięci, poczem zażądał złożenia szabel. Nastała chwila śmiertelnej naprawdę ciszy, poczem pierwszy rzucił pod nogi szablę por. Młodzianowski, za nim drugi rotmistrz Dreszer, służący podówczas w naszym pułku, potem inni. Szable lecą z chrzęstem, błyszczący stos rośnie u stóp dostojników. Januszajtys krzywi się nerwowo, Grendyszyński blady jak papier — płacze.

W tem jeden krzyk wielki z szeregów żołnierskich się zrywa: „Niech żyją nasi oficerowie, precz ze zdradą stanu, na pohybel, rozstrzelać, hańba Targowicy". Czworobok wygiął się i połamał, krzyżują się słowa komendy, dawanej przez podoficerów, niektóre kompanje ładują broń, inne formują kolumnę marszową, zrywa się pieśń „armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara, rękami czarnemi od pługa...."

Grendyszyński był w politowania godnym stanie zupełnej rezygnacji, prawdopodobnie znane mu z literatury opisy wszelakich buntów żołnierskich stanęły mu jako żywo przed oczyma, toteż płacząc usiłował wycofać się z pośród koliska wzburzonego żołnierstwa.

Sytuacja rzeczywiście była niemiła. Oficerowie zawieszeni w czynnościach nie panowali nad wojskiem. Skoczyłem po powóz i wsadziwszy delegatów do powozu, krzyknąłem furmanowi w „konie do komendy pułku". Nim ruszył, kompanje w kolumnach marszowych zachodziły z prawej i lewej ze śpiewem zaczętej pieśni. Tymczasem z krzów przydrożnych wypadła tłuszcza niezorganizowanych żołnierzy „galileuszy" którzy nie byli w szyku i posypał się na lecący powóz grad kamieni. Skoczyłem powstrzymać i perswadować. Zatrzymali się akurat na taką chwilę, że powóz lecący galopem, wpadł na zjazd ku fortecy, gdzie byli już bezpieczni.

W pułku przesiedzieli w kancelarji pułkowej, nie zamieniając ze sobą ani słowa do g. 14 w oczekiwaniu na automobil. Pułkownik Śmigły, chcąc uniknąć wszelkich dalszych ekscesów ze strony żołnierzy, zarządził na ten dzień ostre pogotowie pułku.

Dnia 14. lipca doszły nas wiadomości o zwolnieniu 58 ułanów z 2 p. ułanów. Królewiaków 3 p. p. wywieziono do Skalmierzyc, do obozu jeńców wojennych, wiadomość ta jednak była niepewna. Przyjechał tego dnia do nas kpt. Tessaro, którego eskortowano przez ulice Warszawy pod bagnetami. Zwolniony został w towarzystwie Świtalskiego, Kalińskiego, Sulistrowskiego i Władysława Litwinowicza. Przywiózł

ze sobą odezwę obywateli Pułtuska: „Polacy! Od tych którzy krwią serdeczną na polach bitew przelaną, dowiedli, że Ojczyzna nasza nie umarła, od tych, którzy nie zlękli się śmierci ginących za Polskę, za tą Polskę, która była zawsze ziemią bohaterów i męczenników żądają dziś zapomnienia męczeństwa, zapomnienia o tem, za co się tylekrotnie krew ofiarna lała, żądają złożenia przysięgi, przed którą się serce prawego Polaka wzdryga. Ale nie na tyle spodlały dusze polskie, aby myśl schylenia karku pod obrożę hańby znalazła oddźwięk w ich wnętrzu, nie na tyle spodlały polskie serca, aby ich myśl utraty czci i honoru nie przelękła, toteż ci, którzy z pogardą śmierci stali niedawno w ogniu armat, stanęli odważnie w obronie honoru swego i narodu. Ci, co stworzyli sławne i niezapomniane imię Legjonów, odmówili przysięgi, której żądano nie w imię Ojczyzny, a w imię zdrady narodowej, w imię poddania się rozkazom rządu okupacyjnego. Cześć i sława tym, którzy idą za głosem narodu, cześć tym, którzy wbrew wszystkiemu krzywoprzysięstwa popełnić nie chcą. Hańba zaś tym, którzy wbrew woli narodu, dla karjery sprzedali swój honor i krwią bohaterów zdobyły honor Legjonów!

Precz z Radą Stanu, honor narodu sprzedającą. Precz z tymi, co najezdnikom składają przysięgi. Niech żyje Polska Niepodległa. Pułtusk 10/VII.17".

15 lipca ktoś przywiózł od Komendanta dyspozycję, aby Królewiacy dali się nawet internować, a Galicjanie mają pozostać w Legjonach, aby tem samem dać możność Austrji odebrania Legjonów, a przez to i sprawy polskiej. Komendant rzekomo liczył na to, że na słabej Austrji łatwiej będzie uzyskać poważne koncesje.

Tegoż dnia też nadszedł rozkaz Komendy Leg. L. 465 — godz. 11-ta przedpoł., że:

„Według wyjaśnień władz okupacyjnych zwolnieni z szeregów w następstwie niezłożenia przysięgi podoficerowie i szeregowcy będą oczekiwać w miejscu wyznaczonem na otrzymanie ubrań cywilnych, a następnie będą odesłani do rodzin, posiadającym zaś rodziny za kordonem, będzie wyznaczone miejsce zamieszkania".

W południe otrzymał pułk rozkaz złożenia broni. — Oto on:

L. 469. Warszawa, 15/VII 1917, godz. 12.45, 2.45.

DO

DTWA 1 P. P. W MODLINIE.

Dtwo pułku zarządzi złożenie broni i wyekwipowania w magazynie pułkowym przez poddanych polskich, którzy nie złożyli przysięgi.

II/1 p. p. składa broń w Modlinie 1917 r. w środku dowódca baonu kpt. Piskor.

Składanie broni.

Broń powyższa i wyekwipowanie należy za pokwitowaniem oddać odnośnym władzom niemieckim. Należy do 16.VII. o g. 8 rano meldować Dowództwu Legjonów wykonanie powyższego rozkazu. Potem będą zarządzone transporty w myśl rozkazu Dow. Leg. Nr. 316.

Dtwo Leg. Gen. Sztab 596/50.

W myśl tych rozkazów 5. p. p. złożył w spokoju broń. Fakt ten wpłynął uspokajająco i na nas, zmuszając nas w pewnym stopniu do zaniechania projektu, wylęgającego się w bardziej zapalonych głowach, by maszerować na Warszawę, aresztować Komendę Legjonów, rozpędzić Radę Stanu i t. p.

W związku z tem wyjechali z naszego pułku jako delegaci międzypułkowej Rady Żołnierskiej kpr. Heller i Rzymski (Romer) do Komendanta. Komendant delegację przyjął, ale jakiejkolwiek krwawej likwidacji epopei legjonowej zabronił.

Pod wieczór rozchodzi się wieść, odchodzimy na front bez likwidowania sprawy przysięgi, boć Bogiem a prawdą wszyscy już raz przysięgę składali austrjacką.

Przez szereg następnych dni przychodzą rozkazy w kopertach „reserwat" — zawierające litanje nazwisk oficerów zwolnionych za niezłożenie przysięgi, względnie zwalnianych jako podżegaczy.

16. lipca złożyły baony broń (Królewiacy). Tegoż dnia przyszły dwa zasadnicze rozkazy telefoniczne.

1) L. 508, dnia 16/VII, 17 g. 3-20 pop.

DO
DTWA 1 P. P. LEG. POL.

Z rozkazu Gen. Gub. Warsz. przeznaczono Zegrze północne dla wszystkich oficerów poddanych Królestwa Polsk. zwolnionych z Legjonów, jako miejsce czasowego pobytu, aż do odwołania wszystkich formalności (?). Dtwa pułków i oddziałów zarządzą, by wspomniani oficerowie udali się natychmiast do Zegrza; mają się zameldować w miejscowej Komendanturze (Lagerkommandantur).

Dtwo Leg. Pol. Nr. Gen. Sztab. 596/96.

2) G. 9 pop. Warszawa, dnia 16/VII 17, Nr. 536.

DO
DTWA 1 P. P.

Dnia 17 lipca żołnierze i podoficerowie 1 p. p. poddani polscy, którzy nie złożyli przysięgi, odjadą o g. 11-10 wieczór do Szczypiorna koło Kalisza. Załadowanie rozpoczyna się o g. 9-30 pop. w Modlinie. Nr. transp. 19948. Przyjazd do Kalisza 18.VII g. 2-17 pop. Jedzenie w drodze, od g. 16-15 do g. 7-15 rano, dnia 18.VII w Koluszkach.

Oficerowie Królewiacy przed odmarszem do obozu jeńców

Zbiórka odchodzących do Szczypiorny

Dtwo pułku wyznaczy z pomiędzy austrjackich poddanych jednego starszego oficera i odpowiednią ilość podoficerów w celu poprowadzenia transportu. Oficer ten odda spisy imienne królewiaków w Komendanturze w Szczypiornie. Kopie prześle Dtwo 1 p. p. do Dtwa Leg. Pol.

Dtwo Leg. Pol. No Gen. Szt. 596 47

17 lipca przygotowujemy się do pożegnania odchodzących do Szczypiorna. Pułkownik Śmigły wezwał oficerów, by zgłosili się ochotniczo do dzielenia doli i niedoli razem z żołnierzami. Z pośród tych, którzy się zameldowali, a zameldowali się wszyscy z wyjątkiem porucznika Doborczyńskiego i podpor. Wysockiego - Tomaszowskiego, wyznaczył na wyjazd kapitana Zosika-Tessarę, ś. p. Rzeckiego-Zintha, ppor. Szafranowskiego, chorążych Czaszkę, Miszewskiego i Szajewskiego. Fabrykuję dla nich żołnierskie dokumenty i wieczór jadę w towarzystwie pułkownika konno do Pomiechówka, gdzie zbiórka Szczypiorniaków i skąd ma nastąpić wymarsz.

Zaczyna lać deszcz i leje potwornie, z poza strumieni deszczu formalnie świata Bożego nie widać. Wkrótce cienkie strużki zimnej wody spływają mi wzdłuż grzbietu i wlewają się do butów — stopy ciężeją — pełne wody — konie stają, nie chcą iść naprzeciw wiatru i niesionej przezeń fali. Chłopi porywają z pól na gwałt zżęte zboże. Z czarnego, nisko nad ziemią leżącego kłębowiska chmur, co chwila wypada z łoskotem piorun, błyskawice fosforycznem światłem zalewają pajsaż liljowy z poza opony deszczu. Wreszcie dojeżdżamy do Pomiechówka. W dali stoi smagany deszczem i wichrem szary, wierny tłum żołnierski — z boku grupa oficerów, w długich gumowych płaszczach, pelerynach — dalej jakieś bryczki, wózki, jest jakiś cywilny pan w jasnym płaszczu, który się wita z pułkownikiem.

„Baczność" — „w prawo patrz"! Mjr Fabrycy zdaje ostatni raport—pułkownik w milczeniu przechodzi wzdłuż frontu—„spocznij".

Parę zdań przemówienia, wreszcie zrywa się ogromny okrzyk kilkuset piersi żołnierskich „Niech żyje Komendant Piłsudski".—„Niech żyje pułkownik Śmigły". — „Niech żyje „sierżant" Zosik".

Pułkownik każe maszerować! Ś. p. por. Młot - Parczyński, jeden z najlepszych synów Polski, któremu przypadł w udziale niezmiernie ciężki obowiązek odprowadzenia transportu do Szczypiorna, komenderuje kolumnę marszową. Masa kołysze się, kłębi, wreszcie płynie wąskim korytem ku szosie.

Galopuję za pułkownikiem, na zakręcie szosy zatrzymujemy się. Kolumna idzie ciężko, niesporo — niesie się nad nią jakaś kulawa melodja pieśni „O cześć Wam panowie". Na czele idą oficerowie, wielu żołnierzy widzę bez płaszczy, inni tylko w płachty namiotowe poowijani, wszyscy pozatem srodze obładowani.

Zrywa się „Marsylianka" — „choć nam los dzisiaj karku nagnie, jutro zwycięstwo spłaci znój!"..... wiara maszeruje raźniej — coś mi jeszcze major Fabrycy mówi o marszrucie dla Parczyńskiego, o pieniądzach dla oficerów. Galopuję znów do pułkownika, który już daleko na czele kolumny. Robi się zimno, deszcz ustaje, pachnie świeżą zielenią.

Jedziemy pod koszary II bataljonu, stąd maszeruje na dworzec cały bataljon. Ciemno już, mało co widać, rozpoznaję tylko, na czele

S. p. Młot-Parczyński składa raport mjr. Fabrycemu przed odejściem oddziału do Szczypiorny.

baonu ś. p. ppor. Wacka Aleksandrowicza. Banda równo śpiewa: „Kukle - Kamieniucha" i idzie ze srogą fantazją.

Chce się wielkim głosem zakrzyczeć: ludzie! opamiętajcie się! Toć to kwiat piechoty polskiej, żołnierz w srogich bitwach kuty, frontowy, jak się patrzy chłop w chłopa, żołnierz co się nigdy nie poddawał!— raczej śmierć niż niewolę wolał — toć to najlepsze wśród ogólnego tchórzostwa i spodlenia syny Polski! — dobrowolnie idą dać kark w obrożę niewoli, nawet nie w boju wzięci! To jakieś straszne nieporozumienie!

Te wątpliwości, od których rozważania doprawdy ból fizyczny przenikał nawskróś, zagłuszył wkrótce coraz tęższy rytm marszu ko-

lumny i pożegnalne wrzaski pozostających w koszarach galileuszy, a potem znów słowa pieśni „za naszą niewolę, kajdany".

Niemców ani śladu, nawet posterunki przy bramach poznikały — podobno kompanje niemieckie otaczają rejon dworca, leżąc dokoła „in gedeckter Stellung". Na dworcu znów żadnego Niemca. Jeszcze jedno przemówienie wygłasza nasz kapelan ks. Ciepichałł, poczem krzyki wiwatowe i na pohybel — dziesiątki rakiet wylatuje z sykiem w powietrze i wykwitają kolorowo na tle zasępionego nieba. Zaczyna się wagonowanie — odjazd!...

Niech żyje Józef Piłsudski! krzyczą Szczypiorniacy.

Pociąg ten przejechał po naszych sercach!

Powróciwszy do domu, trzęsiony febrą, zastałem przyniesiony z kancelarji pułkowej „reservat", zawierający rozkaz oficerski Nr 144 zwalniający 82 oficerów z Legjonów b e z p r a w a n o s z e n i a m u n d'u'r'u. Między nimi byli: mjr Trojanowski Mieczysław (dziś generał d-ca O. K. IX), mjr. Burhardt-Bukacki (dziś generał, były II Wiceminister Spraw Wojsk.), mjr Fabrycy Kazimierz (dziś generał II. Wiceminister Spraw Wojsk.), kpt. Łuczyński Aleksander (dziś generał d-ca 2 dyw. p.), kpt. Jarnuszkiewicz Czesław (dziś pułkownik, d-ca piech. dyw.), kpt. Uzdowski Władysław (dziś generał, d-ca 28 dyw. p.), kpt. Wieczorkiewicz Wacław (dziś generał d-ca 24 dyw. p.), kpt. Dreszer Gustaw (dziś generał d-ca 2 dyw. kaw.), kpt. lek. Dr. Roupport Stanisław (dziś generał Szef Dep. San.), por. Ulrych Juljusz (dziś ppłk. Szt. Gen., Dyrektor Państw. Urz. P. W. i W. F.), por. Bortnowski Władysław (dziś płk. Szt. Gen., d-ca piech. dyw. 18 dp.), por.

Mjr. Fabrycy melduje pułk. Śmigłemu stan oddziału odchodzącego do Szczypiorny

Młodzianowski Kazimierz (ś. p. generał--Wojewoda Pomorski), pozatem ze zwolnionych tym rozkazem polegli później na polu chwały w boju o wolność Polski ś. p. Radoński Zygmunt i ś. p. Zinth Edward. W pułku nastrój jak po pogrzebie kogoś bardzo drogiego. 20.VII. Pułkownik Śmigły otrzymuje list od por. Parczyńskiego. List cytuje w całości:

Kalisz, dnia 19.VII. 1917 r.

OBYWATELU PUŁKOWNIKU!

W pociągu zaraz po odjeździe stwierdziliśmy, że ilość obecnych w transporcie wynosi 400 żołnierzy. Do Kalisza przyjechaliśmy w liczbie nieco zwiększonej, bo 408 żołnierzy, o g. 2.00 po południu następnego dnia. Tutaj wyładowaliśmy cały transport i ponieważ dowiedziałem się o pobycie kpt. Olszyny w Kaliszu, z całym oddziałem pomaszerowaliśmy do miasta. Zarządziłem jednogodzinny odpoczynek, poinformowałem się u kpt. Olszyny o bliższych szczegółach drogi i sposobu wprowadzenia transportu do obozu jeńców w Szczypiornej. Ludność miasta Kalisza odniosła się do naszych chłopaków z całą sympatją i gościnnością. Przypomniały się czasy gręboszowskie.

Przed obozem stanęliśmy o g. 6.30 wiecz. Zameldowałem się u komendanta obozu, niemieckiego podpułkownika i wprowadziłem oddział do obozu na następujących warunkach (według instrukcji kpt. Olszyny):

Oficerowie 1 p. p. Królewiacy i Galileusze ostatni raz razem przed kasynem oficerskiem w Pomiechówku

Odchodzący z Benjaminowa oficerowie Królewiacy ostatni raz z pułk. Śmigłym na schodach kasyna oficerskiego w Pomiechówku

1. bez kąpieli i dezynfekcji,
2. nie wolno żołnierzom niczego odbierać,
3. usunąć z przed pojedyńczych baraków posterunki niemieckie i karabiny maszynowe, wystawione na nasz obóz,
4. traktować nie jako jeńców, ani też jako aresztowanych.

W zamian za to oświadczyłem, że broni przy sobie nie mają, takoż aparatów fotograficznych i t. d.

Postawienie tych warunków było konieczne ze względu na stan, jaki tu zastał kpt. Olszyna. Transport 3-go pułku dostawiono bez bagnetami żołnierzy tego pułku. Żołnierzy dostawiono bez najniezbędniejszych części wyekwipowania i potraktowano ich w obozie jako jeńców w sposób wprost skandaliczny. Już kpt. Olszyna wywalczył dużo ustępstw, pozostaje, jak dotąd, nadal w Kaliszu i dochodzi za przepustką do obozu. Ja wykorzystałem wszystko zrobione przez kapitana Olszynę; przepustkę sobie wyrobiłem na tej podstawie, że otrzymałem rozkaz pozostania tutaj aż do rozstrzygnięcia.

Sprawy wszystkie, co do umożliwienia jak najwięcej znośnego losu chłopcom naszym, idą jak najlepiej. Faktycznym, teraz już uznanym przez komendanta obozu dowódcą wszystkich oddziałów legjonowych jest kpt. Olszyna. Do pomocy oficerowie: ppor. Gad (Dobrodzicki), ppor. dr. Zamojski (sprawy sanitarne) i ja. Pozostanę tutaj aż do załatwienia najbardziej piekących braków, poczem dopiero wrócilbym do pułku. Przydałaby się komunikacja między pułkiem a nami dla przewożenia wiadomości, listów, gazet, i t. d.

We wszystkich pułkach, sądzę, że obyw. pułkownik zarządzi i u nas — składkę na rzecz zaopatrzenia chłopców z 3 p. p. Obecnie transporty idą zupełnie normalnie i składnie. My jesteśmy samorządzącą się jednostką, sprawy prowiantowe i kuchenne (gotują nasi chłopcy) w naszych rękach. Powoli przejmuje się wszystko, co tylko można, w swoje ręce. Pocztę od naszych chłopców do pułku przesyłam przez oddawcę.

Cześć

St. Parczyński por.

Wnioski Parczyńskiego, aprobowane przez pułkownika, dały zorganizowanie łączności z Kaliszem i pieniądze dla żołnierzy 3. p. p. Przybył też i sam Parczyński przywożąc wiadomości. Opowiadał rzeczy następujące: Szczypiorno — obóz jeńców do połowy wkopany w ziemię — otoczony armatami i karabinami maszynowemi. Obóz cały podzielony na kwadraty, pooddzielane od siebie drutami kolczastemi. Znajdują się tu Anglicy, Francuzi, Moskale i inni kolorowi. Przyjęli naszych żołnierzy, a raczej 3 p. p., entuzjastycznie. Według opowiadania Parczyńskiego oficerowie 3. p. p. byli prawdziwymi oprawcami swoich żołnierzy, odchodzących do Szczypiorna. Przedewszystkiem obdarto ich z ekwipunku, zabrano buty, głodzono przez szereg dni, obdarłszy feldcechy — odesłano pod bagnetami do obozu. Oficer prowadzący tych nieszczęśników przez ulice Warszawy obił szpicrutą jakowegoś cywilnego jegomościa, który na widok tego haniebnego konwoju krzyknął „niech żyją legjoniści".

Po przybyciu kpt. Olszyny (5. p. p. leg., dziś generał d-ca 10 dyw. p.) warunki w obozie się poprawiły, kuchnie oddano w ręce nasze, chociaż prowiantu z zewnątrz pod żadnym warunkiem dostarczać nie wolno. Urzędowo karmią liśćmi buraczanymi i żabami.

Załogę wzmocniono z 4 kompanij na 7 — i dostawiono 2 baterje dział.

22.VIII. kapelan nasz ks. Ciepichałł zwolniony z Legjonów wzniósłszy prośbę, że jako kapelan pragnie być zamkniętym w obozie jako duszpasterz internowanych — otrzymał odpowiedź z Komendy Leg., odmowną z tem, że Komenda Leg. nie interesuje się już żołnierzami odesłanymi do obozu.

Rozkaz ofic. 146 z 19.VII.1917 zwalnia 29 oficerów. Listę ich rozpoczyna dzisiejszy szef sztabu Generalnego gen. dyw. Tadeusz Piskor, wówczas kapitan 1 p. p. dca II baonu. Oczywiście również bez prawa noszenia munduru.

Rozkaz ofic. Nr. 147 z 21.VII.1917 r. zwolnił 13 oficerów. Listę ich rozpoczął kpt. lek. Dr. Sławoj Składkowski, dzisiejszy minister spraw wewnętrznych.

Tegoż dnia nadeszła depesza L. 731:

> Dtwo 1 p. p. Oficerowie zwolnieni z Leg. Pol., którym wyznaczono jako miejsce czasowego zamieszkania Zegrze południowe, są osobami cywilnemi na prawach traktowania jako oficerów. Dtwo Leg. Pol. Nr. Sztabu Gen. 596/67.

Dziś wieczór przed przedstawieniem naszego teatru żołnierskiego otrzymaliśmy wiadomość o aresztowaniu Komendanta. Wrażenia tej wieści nie jestem w stanie opisać. Miało jedną dodatnią stronę, a mianowicie oczywisty dowód, że wszelkie nasze zastrzeżenia i obawy na przyszłość są słuszne i że trzeba kończyć i nam galileuszom z trwaniem w Legjonach. Rozpoczęło się niezwłocznie wnoszenie podań o zwolnienie nas do armji austrjackiej.

28.VII. nadeszła wiadomość, że Komendanta i Szefa wywieziono i osadzono w jakiejś twierdzy nad Elbą i o wydobyciu ich stamtąd niema mowy. Rada Stanu ma ustąpić, jej miejsce ma zastąpić coś z Kakowskim na czele. W związku z tem na zebraniu oficerskiem w dniu 31.VII.17 płk. Śmigły, powróciwszy po kilkudniowej obecności w Warszawie, roztoczył obraz lepszej przyszłości przed nami. Podania od naszego pułku już miałem wszystkie: 56 podań oficerskich i 849 podań podoficerskich i żołnierskich.

Czekał nas jeszcze cios jeden, bezpośredni. Oto zwolniony został ukochany dowódca pułku, dusza całej pracy antyprzysięgowej i du-

chowy po odejściu Komendanta, przywódca Legjonów, nieskalany nigdy żadnym kompromisem. Uwolniono go w sposób zarówno podły jak i tchórzliwy.

Pułk. Śmigły przed swoją kwaterą 9.VIII 1917 w Modlinie

Oto dnia 30 lipca nadszedł do komisji kasowej naszego pułku telefonogram, który w całości przytaczam:

Modlin Nr. 113. Fernspruch Nr. 255 aus Warschau.

An Kassen-Komission 1. poln. Inft. Rgt. in Modlin am 29.7. 1917 um 2 Uhr nachm. Warschau Gen. Gouv. Nr. 255/18 w. l. n.

An bisherigen Regimentskommandeur Oberst Rydz für August keine Gebührnisse zahlen. Armee Int. 6622/6.

Dnia 2 sierpnia połączyłem się telefonicznie z Komendą Legjonów, pytając co zrobić z gażą pułkownika? Rotmistrz Kleeberg dawał mi wykrętne odpowiedzi, wreszcie oświadczył, że idzie w tej sprawie do Szefa Sztabu i da mi odpowiedź później. Dopiero wieczorem przyszedł fonogram:

Dow. Leg. 2/VIII. 1917 4.30 pop. Nr. 1049.

„Dow. 1 p. p. Modlin — Modlin 345. Na zapytanie adjutanta pułkowego zawiadamia się, że płk. Rydz rozkazem I. Nr. 370/17 GCHP.7. został zwolniony z Legjonów przez Excelencję Beselera. Komenda Leg.".

Dnia 6 sierpnia 1917 r. wydał płk. Śmigły instrukcję co do zachowania się na przyszłość. Między innymi polecał bojkot towarzyski tych oficerów, którzy złożyli przysięgę, odesłanie przez internowa-

Msza św. w kościołku w Pomiechówku w rocznicę 6 sierpnia, odprawiona przez cywilnego proboszcza 6.VIII 1917 roku dla 1 p. p. Leg.

nych żelaznych krzyży niemieckich Beselerowi, nadesłanie przez przez pułk na ręce Pani Marji Piłsudskiej adresów z okazji rocznicy 6 sierpnia. Wreszcie polecał Dr kpt. Kaplickiemu i chorążemu Feli odkomenderowanym do służby sanitarnej w Szczypiornie, pozostać tam aż do dalszych zarządzeń.

W pułku odczytano rozkaz pożegnalny Śmigłego po nabożeństwie w Pomiechówku.

ROZKAZ.

Żołnierze!

Trzeci rok minął od dnia, w którym ruszyliście zbrojno zdobywać Niepodległość Polski! Czyż mam mówić w tą rocznicę o dziełach dokonanych, o trudzie żołnierskim?! Mówią za mnie mogiły i Wasze blizny!

Czy mam mówić o wdzięczności narodu, którego staliście się dumą i najistotniejszym wyrazem?

Niech naród o tem mówi!

Dzisiaj na granicy 3 lat bojów stwierdzam tylko, że jesteście od 6 sierpnia 1914 r. żołnierzami polskimi.

W służbie Polski laliście swą krew. Polska Wam nadała żołnierski indygenat i poleciła Go pieczy Waszego honoru. W ciężkich kryzysach honor ten był Wam niejednokrotnie jedyną busolą. Ten honor utrzymać zawsze nam wolno i prawa do tego nikt nam zabronić nie może, jak nikt nie potrafił wzbronić prawa do umierania na polu bitwy. On nam starczył przez trzy lata za sztandar, był nam głosem woli Narodu, nikomu nie pozwoliliśmy go sobie wydrzeć. Był państwowym herbem polskim w duszy wyrytym. I któż się może tego herbu wyrzec?

Taki rozkaz daję na dalszą Polską służbę Wam wszystkim, którzyście mej komendy słuchali. Los zrządził, że jest to mój rozkaz ostatni. Więc żegnam Was w tę rocznicę, moi żołnierze i koledzy. Dziękuje w swojem imieniu i w Imieniu Tego, który jest pierwszym żołnierzem Polski, za to, żeście swą krwią pomogli służyć Ojczyźnie.

Wiernie i dobrze pełniliście swą służbę. Największem mem szczęściem będzie Wasze przekonanie, żem i ja ją wiernie pełnił.

Modlin 6 sierpnia 1917 r. E. Śmigły-Rydz pułkownik.

Do komendanta na ręce Komendantowej wysłaliśmy adres:

KOMENDANCIE!

Wyrwała Cię przemoc wroga z pośród nas, zawlokła wraża dłoń do odległej pruskiej fortecy. Lecz nie stargała węzła, jaki nas z Tobą, Wodzu, łączy — najsilniejszego ze wszystkich, węzła posłuchu, obywatela dla Wodza.

Jak za poprzednich lat ku Tobie idą w ten dzień rocznicy nasze, żołnierzy polskich — wyrazy przywiązania i hołdu, ślubowanie wierności i wytrwania.

Bo z Ciebie jesteśmy wszyscy — Tyś uczynił nas awangardą narodowego czynu, zbrojnem Narodu ramieniem, tarczą hartowną jego honoru.

Tyś wywiódł nas z domu niewoli na słoneczną arenę walki i Tyś wskazał walki tej cel: wolność, choć na drodze ku niej legła i przemoc wroga i stanęła groźniejsza przegroda bezwładu masy polskiej tragiczna palisada.

O przyszłość Ojczyzny, o czystość haseł, o godność sztandaru, o duszę Narodu nieustępliwy kazałeś zwieść bój.

Czyśmy — polscy — z ducha Twojego żołnierze — zeszli z nakazanej nam przez Ciebie Komendancie, drogi, niech mówią rozsiane po całej Polsce mogiły, nasze rany i blizny, niech mówią obozy jeńców w Szczypiornie i Zegrzu.

Na piersiach nas żołnierzy Piłsudskiego, żołnierzy Ojczyzny, widnieje najszacowniejszy znak „Za wierną służbę". Tego znaku nie zdradzi z nas nikt.

Dumnie dzierżymy w ręku sztandar sprawy. Z imieniem Ojczyzny na ustach, z imieniem Twoim Wodzu — coś jest Ojczyzny symbolem, idziemy dalej w bój.

Śmigły-Rydz płk., Stachiewicz, Zamorski, Kulczycki, Macko, Piwnicki, Świątkowski, Czuszkiewicz, Wiatr, Bratro, Kozicki, Majewski, Kaliński, E. Wyrwiński, Apfel, Surówka, Pakosz, Nidental, Holinkowski, Mączka, Pawłowski, Kotowicz, Towarnicki, W. Wyrwiński, Kula, Rutkowski, Endel,

Kuryłowicz, Bęben, Fedorczyk, Niezabitowski, Durek, Bochenek, Tracz, Szafran Tad., Dżułyński, Kozłowski, Parczyński, Krasicki, Orłowicz, Nieć, Buxbaum, Diduch, Wasserberger, Nechay, Domaszewicz, Argasiński, Jołka, Bardzik, Gostyński.

10 sierpnia żegnany przez cały pułk z prostą żołnierską serdecznością, po ostatnim przeglądzie kompanji honorowej, odjechał od nas

„Niech żyje Komendant Józef Piłsudski!" Po odczytaniu rozkazu pożegnalnego Śmigłego

płk. Śmigły. Wyjechał do Krakowa, mając z góry zorganizowaną łączność z pułkiem. Ciężko odczuł to pułk. Ciężej jeszcze szczypiorniański obóz, jak świadczy o tem poniższy list:

Szczypiorno 6.VIII.17.

Pułkowniku mój najdroższy!

Przed chwilą otrzymałem list Twój i rozkaz dzienny. A więc stało się to, czegośmy po aresztowaniu Komendanta najbardziej się obawiali, co ciosem jest strasznym i dla nas, Twoich żołnierzy, i sprawy, której kierownictwo w Twoich niezawodnych niedawno spoczęło rękach. Ale tak jak Ciebie, tak ufam i nas przynajmniej bardzo wielu nic złamać nie zdoła. Przyszły chwile rzeczywiście ciężkie, śmiertelnie trudne, wstrząsające w podstawach całe nasze dzieło i nas samych.

Ale to nie jest agonja, nie jest — Śmigły najdroższy — nie jest, bo tak chcemy, a my przecież nauczyliśmy się nietylko chcieć, ale osiągać rzeczy niemożliwe.

Nieraz bywaliśmy już smutni, przybici, prawie zrozpaczeni, nieraz już sprawa nasza na włosku wisiała, a przecież zawsze przesilenia jakoś szczęśliwie mijały.

Teraz kryzys jest najpoważniejszy — ale póki tchu w naszych piersiach póty i sprawa żyć będzie. Słusznie i święcie mówisz w swym przedostatnim liście. Cokolwiek będzie, my dla siebie zawsze będziemy mieli przeświadczenie, że zrobiliśmy wszystko, co w granicach sił naszych leżało, że postępowaliśmy zawsze tak, jak poczucie honoru i świętego obowiązku służenia Ojczyźnie nam dyktowało.

Ale powiadam jeszcze raz — nie wierzę, by mroki teraz nas otaczające trwać mogły długo. Wierzę niezachwianie, że i dla Ojczyzny jasność promienna dnia szczęśliwszego i dla nas promyk nadziei na lepszą dolę wkrótce zabłyśnie.

Twój rozkaz pożegnalny przyszedł w momencie, gdy kończyłem odczytywanie swego rozkazu dziennego. Każę go zaraz wszystkim żołnierzom odczytać.

Dr. Zamojski, mający list zabrać, śpieszy się, więc kończyć muszę.

W imieniu swojem, wszystkich obecnych tu oficerów i ogółu żołnierzy posyłam ich potężne „Niech żyje Śmigły, nasz wódz i najdroższy towarzysz". Niech wie, że dziś serca wszystkie, którzy są godni zwać się żołnierzami Polski, są z nim. Niech wie, że miłość żołnierzy, a może wkrótce i całego Narodu, pójdzie w ślad za nim i towarzyszyć Mu będzie przez całe życie i sięgnie hen poza deski grobowe.

Przyjmij uścisk i t. d....

Zosik.

Z chwilą zwolnienia pułkownika Śmigłego, którego zwolnienie ogłosiła wreszcie Komenda Leg. (rozkaz Nr. 157), którym posłuszna rozkazowi Beselera zwalnia bez prawa noszenia munduru naszego pułkownika i płk. Roję, dalej kpt. Jakowickiego, kpt. Kasprzyckiego (dziś dowódcę 19 d. p.), por. Sawickiego (dziś d-ca piech. dyw. 29 dp.). Dowództwo pułku objął kpt. Juljan Stachiewicz (dziś generał i szef Wojsk. Biura Historycznego). Tragedja rozbrojenia i likwidacji pułku naszego szybkiemi krokami zmierzała do kresu. Dla nas pozostała do wykonania praca rozesłania jaknajwięcej ludzi na robotę organizacyjną P. O. W., w tych miejscowościach, w których ich jeszcze nie było (dochodziła pozatem cała Małopolska), no i zaopatrzenie tych ludzi w jakie takie dokumenty. Robota trudna, delikatna pod bacznem okiem azrówno Niemców, jak i Komendy Leg. niebezpieczna. Nadto należało niedopuścić do częściowego zwolnienia naprzód oficerów co starszych, istniała bowiem uzasadniona obawa, że Komenda Leg. zwolniwszy nas w ten sposób, pozostałych metodami terroru, głodu, czapką i papką zmusi względnie zjedna do pozostania. Wreszcie chodziło o monetę dla oficerów, wyrzuconych na bruk.

Odjazd oficerów Królewiaków z Modlina do Benjaminowa

Odjeżdżający z pułku pułk. Śmigły robi ostatni przegląd kompanji honorowej na dworcu kolejowym w Modlinie

Pożegnanie pułk. Śmigłego w Modlinie

Pożegnanie pułk. Śmigłego. Niosą go na ramionach ś. p. por. Żarski-Radoński, ś. p. por. Bochenek, idą obok ś. p. kpt. Lis-Kula i ś. p. por. Macko

W owym czasie jeden z pierwszych, jako kurjer wysłany do Krakowa szeregowiec Adolf Neuwert Nowaczyński nadesłał mi następujący list bez daty, który mi dawał obraz sytuacji w Krakowie i Szczypiornie:

„Szanowny i Kochany Panie!

Wczoraj dopiero wróciłem z Krakowa. Pieniądze mam, narazie tylko 600 marek, ale za kilka dni będzie jeszcze i to tylko do dyspozycji oficerów 1 pułku. Z Pułkownikiem się widziałem przez cały czas w Krakowie. Proszę być dobrej myśli. Całe Legjony wracają do okupacji austrjackiej. W piątek był książę Zdzisław Lubomirski na audjencji u Cesarza Karola. Godzinnej. Ten zdecydował. Cały Bałagan do okupacji austr. w przeciągu trzech tygodni do czterech. Pułkownik prosił tylko, aby mógł mieć codziennie okazyjnie informacje z pułku. Mieszka Hotel Francuski. Szczypiorna i Zegrze też pójdą do Galicji. Tylko o Komendancie nic. Smutniej jest w Szczypiornie. Jedzenia mają dość, przedwczoraj dostali 10.000 mk., chleba w bród, ale mieli wśród siebie szpiegów i ci wydali oficerów. Siedmiu wywieziono w głąb Niemiec: Tessaro, Kołłątaj, Skotnicki, Ostrow, Szafrański (ma być Szafranowski), Zink (ma być Zinth), Dresz (Dreszer). Ja wracam jutro, pojutrze. Ściskam serdecznie dłoń Pańską i łączę wyrazy szacunku

Nowaczyński".

W liście tym zastanowiła mnie jedna okoliczność. Mianowicie: kpt. Zosik zaraz po wejściu do Szczypiorna nadesłał nader szczegółowy raport o stosunkach w obozie. Raport ten w formie listu z datą 29 lipca pisze, że „Niemcy wiedzą o tem, że oficerowie są między ich polskimi jeńcami — nie starają się nas jednak wyśledzić, boć i oni dzięki naszej obecności mają znacznie mniej kłopotów".

Znacznie później dopiero dowiedziałem się, że stało się to na żądanie i donos Komendy Legjonów. Boć Niemcom nie zależało na tem, czy paru oficerów dzieli gorzki chleb obozu jeńców z żołnierzami, czy nie — natomiast Komendzie Legjonów zależało. Znany jest fakt przecięcia drutów obozowych i ustawienia obok tej przerwy stołów z kiełbasą i ciastem dla tych, którzy wyjdą z chęcią złożenia przysięgi. Działo się to ku hańbie wysokich podówczas dostojników. Tym tylko oficerowie w obozach przeszkadzali i ci tylko, co tak haniebnymi metodami posługiwali się w stosunku do nas mogli się zdobyć na denuncjację.

9 sierpnia został szefem sztabu Legjonów Zagórski, ogłoszony przez pewien odłam społeczeństwa za „księcia Pepi". Za owego Pepi zaczął się kurs jeszcze bardziej szubrawy, bo inteligentniej prowadzony. A więc odmowa dokumentów podróży dla Śmigłego, któremu nie dano gaży na 1-go. Następnie polecono niezwłocznie wycofać wszelkie urlopy, znajdujących się na urlopach bezzwłocznie odesłać do pułków przez komendy lokalne. Słowem do dnia 9 sierpnia nie miało

Ostatni raz razem ze swoimi oficerami. Stoją od prawej ku lewej: ś. p. ppor. Bochenek, por. Zamorski, ppor. Wenda, por. Pikusa, kpt. Kulczycki

Po odjeździe pułk. Śmigłego oficerowie 1 p. p. stoją na szynach i śpiewają „Rotę"

być ani jednego legjonisty „na wolności" — tylko Benjaminów, Szczypiorno, w najgorszym razie pułk, otoczony ściśle wytyczną linją graniczną pod opieką miejscowego garnizonu i mający pod bokiem z Jabłonny 11.000 obóz rekrucki i rekonwalescentów.

12 sierpnia, tak jak przewidywaliśmy, wyszedł rozkaz Nr. 327, który „na własną prośbę i celem wstąpienia do c. i k. armji zwalniał z dniem 12.VIII.17 r. 14 oficerów naszego pułku. Miałem zaszczyt być wśród tych pierwszych czternastu, których zwalniano. Tymsamym rozkazem powierzono dowództwo pułku kapitanowi Sierantowi z 3 p. p. i przydzielono do pułku por. Bolesława Pytla.

W odpowiedzi na to dnia 13 sierpnia 1917 r. wysłaliśmy do Komendy Legjonów następujące pismo:

„1 p. p. przeciwstawiając się częściowemu zwalnianiu oficerów, jakoteż zwalnianiu oficerów bez żołnierzy, odmawia posłuszeństwa Dtwu L. P. i przysłanym przez nie oficerom, żądając zwolnienia całego oddziału".

Następowały podpisy wszystkich oficerów.

W odpowiedzi na to nadeszło 15.VIII.17 r.:

Dowództwo Legjonów Polskich. Tajemne.
Op. Nr. 225/V.

DO
DOW. 1 P. P. POLSKICH LEGJONÓW.

Warszawa dnia 14 sierpnia 1917 r.

Gremjalna prośba oficerów i żołnierzy 1 p. p. o zwolnienie z Legjonów została w całości uwzględniona. W najbliższych dniach zostaną oni odesłani do Galicji do dyspozycji władz wojskowych.

W tym celu zarządzam:

1) Cały materjał skarbowy, z wyjątkiem mundurów na żołnierzach i t. d. dostarczy ludzi do objęcia.

2) Transporty pod dtwem oficerów 1 p. p. odejdą do miejsc przeznaczenia w najbliższych dniach, przypuszczalnie już od 16 b. m. począwszy (wieczorem). Do tego czasu musi być cały materjał skarbowy i koszary wraz z inwentarzem oddany i spisany. Dokładne daty transportowe i godzinę odejścia poda się w najbliższym czasie.

Otrzymują: Dow. 1 brygady i kapitan Sierant w 2 egzemplarzach.

Zieliński pułkownik.

Następny rozkaz podpisany przez Zagórskiego polecał zestawić do następnego dnia wykazy szeregowców według powiatowych komend uzupełnień i podać nazwiska najstarszych oficerów, którzy te transporty prowadzić będą.

Tegoż dnia przybył kpt. Sierant z por. Pytlem, jako swoim adjutantem. Zdałem kancelarję, oczywiście usunąwszy z niej wszystko.

co usunąć trzeba było. Kpt. Sierant wygadał się, że dostał od majora Zagórskiego jaknajszersze instrukcje co do zastosowania prawa łaski w stosunku do zbłąkanych owieczek, o ileby się takie znalazły, że pragnie uratować choć kadrę i t. p.

Zorjentowawszy się, że nikt na żaden jego rozkaz nie reaguje, lecz telefoniści nawet, skoro się dowiedzą, że mówi Sierant, nie łączą go nigdzie prosił, bym jeszcze jakiś czas prowadził adjutanturę pułku i bym wogóle przeprowadził całą likwidację. Por. Pytel zalewał się ustawicznie łzami. Ponieważ kpt. Stachiewicz, najstarszy z pozostałych oficerów i w zastępstwie pułku wraz ze ś. p. kpt. Kulą był w Warszawie na zebraniu międzypułkowej delegacji oficerskiej, zgodziłem się na to.

W ciągu dni czternastu — kilkunastu żołnierzy z przybyłych kompanji 3 p. p. zameldowało, że solidaryzują się z nami i że składają broń, poczem zgłosili się w II baonie. Sierant, który liczył na zdobywanie żołnierzy u nas, tracił ich u siebie. Wpadł we wściekłość, grożąc ośmiu kompanjami niemieckimi, które stoją do jego dyspozycji. Spokojnie poprosiłem go, by czynił, co mu nakazano i w jego obecności telefonicznie zarządziłem ostre pogotwie pułku. Po pewnym czasie zmitygował się — jednak wobec pobicia przybyłego z nim chorążego i absolutnej niemożności przeprowadzenia likwidacji osobiście—złożył alarmujące doniesienie Komendzie Legjonów — podpisując równocześnie następujące warunki rozbrojenia i likwidacji pułku, które postawił kpt. Stachiewicz. Warunki te brzmiały:

„1) żołnierze oddają broń dopiero w momencie odejścia na dworzec;

2) warty i posterunki pozostają wystawione przez 1 p. p. aż do odejścia ostatniego transportu, wówczas dopiero mogą objąć służbę warty i posterunki innego oddziału;

3) wojsko otrzymuje dyspozycje i zostaje pod komendą wyłącznie swoich oficerów. Ingerencja oficerów przysłanych dla objęcia spadku po 1 p. p. na zarządzenia dotyczące likwidacji i transportu jest wykluczona;

4) transport rozpoczyna się nie wcześniej jak za 2 dni. Te dwa dni są zużyte na likwidację pułku i na oddanie inwentarza pułku, mianowicie. inwentarza taborów — przysłanemu oficerowi taborów, inwentarza koszar — int. niemieckiemu Garnisonsverwaltung i t. p.;

5) transporty koleją odbędą się bez eskorty i asysty pod komendą własnych oficerów;

6) ja zostaję w Modlinie do odjazdu ostatniego żołnierza. Ostatni transport wyjeżdżający z pułku będzie to transport ostatniej warty, która odda służbę następnej.

Przy spełnieniu powyższych warunków ze strony Komendy Legjonów godzę się na wydanie rozkazów likwidujących pułk i przyjmuję odpowiedzialność za spokojną i w porządku przeprowadzoną likwidację.

Juljan Stachiewicz
były kapitan.

Modlin, dnia 15.VIII.1917 r.
A. Sierant kpt.

Na to nadeszła odpowiedź:

Do b. kpt. Juljana Stachiewicza w Modlinie.

Warszawa dn. 19/8 godz. 12.40 pop.

Dtwo Leg. Pol. nie chcąc pominąć autorytetu Pana wobec podwładnych aprobuje sposób postępowania kpt. Sieranta i wzywa Pana, by utrzymywał spokój i porządek w swym oddziale.

Ponieważ jednak chor. Kantor stał się w dn. 18 b. m. ofiarą ataku ze strony Pańskich żołnierzy, widzi się Dtwo Leg. zmuszone wysłać osłonę dla bezpieczeństwa swych oficerów. Oczekuję, że likwidacja pułku, odpowiadająca życzeniu gremjalnemu oficerów i żołnierzy, odbędzie się w sposób licujący z honorem i tradycją.

Zapowiedziane transporty opóźniły się na skutek przeładowania linij kolejowych i będą mogły odejść dopiero w najbliższych dniach.

Spodziewam się, że nie będę zmuszony do zastosowania dalszych środków, osobliwie zaś oczekuję, że nie dopuści Pan do dalszego rozluźnienia dyscypliny.

Zieliński pułkownik.

Oczywiście, żadnych „dalszych środków" Komenda Legjonów nie stosowała pozatem, że zarówno Sierant jak i jego oficerowie oraz ich osłona wyemigrowali wszyscy z Modlina do pobliskiej wsi, otrzymawszy 4 wozy i 4 pary koni. Świadczy o tem poniższa depesza.

Kpt. Stachiewicz, 1 p. p. Modlin.

Na żądanie Pańskie otrzymałem zezwolenie Dtwa L. P. Oddział mój odmaszerowuje z Modlina do wysyłki 1 p. p. z Modlina. Proszę o przydział 4 fur według umowy. Zaprowiantowanie oddziału zostaje przy 1 p. p.

Sierant kpt.

Warszawa 2.VIII.917. Vid. **Zagórski mjr.**

Niestety w tym tragicznym momencie, kiedy osobiście przeżywałem najcięższy okres mego życia, kiedy likwidując pułk myślałem, że popełniam jakieś okropne przestępstwo, które jednak do końca spełnić z z całem przekonaniem muszę, zaczęły się dezercje wśród oficerów, z których czterech się załamało.

Z żołnierzami było lepiej. Znalazł się tylko jeden prowokator w osobie sierż. Faglio z III/1 p. p., któremu spuścili żołnierze srogie lanie i wyrzucili z pułku. Pozatem podczas apelu wieczornego po ogłoszeniu, że idziemy do Galicji — zaczęto śpiewać — „Jeszcze Polska nie zginęła" — zmieniając refren „Marsz, marsz, Dąbrowski" na „Żegnamy Cię Dziadku, Idziemy pod Kraków, zdobędziemy Berlin, pobijem Prusaków".

Nie pod Kraków jednak pojechaliśmy, a raczej powieziono nas, bo oto opatrzyliśmy się w Jaksmanicach i Siedliskach, rusińskich, wioskach w pobliżu Przemyśla. Dowodzę I bataljonem. Żołnierz, któremu odebrano broń, rozpuścił się w znacznym stopniu, dowodzić nim trudno, tembardziej trudno, że wpadł z dobrych warunków materjalnego bytu w najgorszą nędzę austrjacką; jadło nędzne, mieszkamy w barakach pełnych wszy, śmierdzących dysenterją, brudem i nędzą.

Pułkiem dowodzi kpt. Sas Kulczycki.

1 września na zebraniu oficerskiem zarysowały się silne różnice zdań między oficerami I i III baonów, a oficerami II baonu, którym podówczas dowodził ś. p. kpt. Lis-Kula. II baon, który miał broń austrjacką i km. domagał się marszu na Przemyśl, razem z 4 i 6 pułkiem opanowania Przemyśla, by w ten sposób zmusić Austrjaków do pertraktowania z nami jako panami tej fortecy. Po parogodzinnych namiętnych debatach udało się przeprowadzić wspólną uchwałę, stawienia tej kwestji na radzie międzypułkowej, to znaczy by dwa dni czekać na instrukcje od płk. Śmigłego.

3 września przyjechał do nas por. Moraczewski, zaś Łazarski do płk. Zielińskiego z żądaniem zaprzestania wszelkich represyj w stosunku do Legjonów.

6.IX. Zjawiła się u nas nieznana dotychczas w Legjonach austrjackich Ekscellencja baron Schylling. Zrobił przegląd. Asystowali mu płk. austrjacki Paic, płk. Zieliński, major Nieniewski, kpt. Kleeberg.

Z tych gentlemenów po przeglądzie stworzono dwie komisje, które badały każdego żołnierza, czy chce odejść do armji, czy chce zostać w Legjonach. Znalazł się jeden ordynans porucznika Bratry, który zameldował, że chce zostać w Legjonach, reszta jak jeden mąż meldowała „odchodzę".

7.IX. Zjawił się nowy prorok, mianowicie: płk. Józef Haller, który łaził po barakach mego baonu, oglądał stan wyekwipowania, poczem zebrawszy oficerów zaczął ględzenie na temat konieczności zostania i wytrwania przy boku mocarstw centralnych, zwycięskich i potężnych. Krok nasz będzie się mścił na nas srodze i t. p. i t. p. Przerwałem mu tą tyradę — posłusznie meldując, że wczoraj eksc. Szylling

już wszystko załatwił przyjmując meldunki, że odchodzimy. Tego dnia również doszła nas wieść o aresztowaniu kilku oficerów 1 p. uł Eksc. Szylling, u którego w tej sprawie był Marjusz Zaruski oświadczył mu, że to są czyny Komendy Legjonów, za którą on nie odpowiada, że on wszelkie represje wstrzymał.

Podobno Szylling miał otrzymać depeszę od Czernina, by starać się za wszelką cenę Legjony utrzymać. Wezwani do Szyllinga d-cy „zbuntowanych pułków" oświadczyli mu, że pułki zostaną tylko pod warunkiem, że: 1) ustąpi w całości dotychczasowa Komenda Legjonów; 2) powróci do wojska Benjaminów i Szczypiórna; 3) zostaną reaktywowani wszyscy oficerowie zwolnieni bez sądu i śledztwa.

Do dnia 18.IX.17 wypełniły życie nasze jałowe dyskusje i rozważania takich czy innych metod postępowania z Austrjakami i ustosunkowania się do Korpusu Posiłkowego.

Dnia 18.IX.17 r. ostatni rozkaz 1 p. p. leg. Nr. 317 wydany w Siedliskach zapowiedział odjazd pułku w niewiadomym kierunku o godzinie 6.30 wieczorem. Rozkaz ten podpisał za dowódcę pułku kpt. Kulczycki, za zgodność chorąży Piórecki, jako adjutant pułkowy.

Zbiórka pułku odbyła się na placu między barakami w Jaskmanicach i o g. 3 w kolumnie marszowej, z pałkami w ręku pomaszerowaliśmy do Bakończyc, stąd unosił nas pociąg w siną dal na zachód i południe; starym szlakiem polskich żołnierzy-tułaczy — pod włoskie niebo.

Ostatni akt dramatu odegrany — Benjaminów — Szczypiorna — włoski front. Śpiewamy: „Nie chcemy już od Was uznania, ni waszych łez, ni waszych serc — my pierwsza brygada"!...

Zostały po nas dla polskiego społeczeństwa dwie odezwy wydane w ostatniej chwili: „Głos odchodzących żołnierzy polskich do Społeczeństwa i „Wobec oszczerstw i insynuacji".

Brzmią one:

WOBEC OSZCZERSTW I INSYNUACYJ.

Wobec celowo szerzonych złośliwych plotek o motywach naszego postępowania, zmuszeni jesteśmy raz jeszcze umotywować pokrótce nasze zasadnicze w sprawie wojska stanowisko, które w konsekwencji zmusiło nas do wniesienia przez całe pułki i oddziały podań o zwolnienie z Legjonów.

Legjony Polskie, z ruchu strzeleckiego wyrosłe, zrodzone w dniu 6.VIII 1914 przez inicjatywę Piłsudskiego, jasny miały program narodowy, odbudowę niepodległego państwa polskiego przez czynny udział narodu w toczącej się wojnie, przez tworzenie już w czasie wojny samodzielnego wojska polskiego. Narzucono nam w sierpniu 1914 r. formy organizacyjne, które czyniły z Legjonów ochotnicze oddziały pospolitego ruszenia, ściśle zespolone z c. i k. armją, traktowaliśmy zawsze jako formy przejściowe. Wie-

rzyliśmy, że musi nadejść moment, w którym naród polski wyłoni z siebie jednolitą, bez względu na zabory, reprezentację polityczną, władzę polską, że rządowi polskiemu prawnie podporządkowani, staniemy się kadrami armji narodowej, prawdziwie samodzielnej. Wierzyliśmy, po akcie 5 listopada 1916 r., że w myśl deklaracji państw centralnych o budowie państwa polskiego, Rada Stanu jako rządu polskiego zawiązek obejmie władzę nad wojskiem, któremu zostaną stworzone warunki rozwoju i przekształcenia się w armję narodową. Wbrew tym nadziejom w kwietniu b. r. Legjony przeszły pod komendę generał-gubernatora okupacji niemieckiej Królestwa Polskiego, generała piechoty v. Beselera, wbrew wielomiesięcznym pertraktacjom uniemożliwiony został jakikolwiek współudział Rady Stanu w dalszej organizacji wojska, utrzymany został rozdział Legjonistów na poddanych Królestwa Polskiego i poddanych monarchji austro-węgierskiej.

Zależność od własnego rządu, zapewnienie narodowego charakteru wewnętrznej wojskowej organizacji, to warunki, bez których pomyśleć się nie da żadna armja, jeżeli nie ma spaść do rzędu oddziałów najemnych; o te podstawowe warunki bytu musiały Legjony podjąć walkę. Nie w imię takich czy innych politycznych, partyjnych haseł, lecz dla możności dalszego istnienia podjęło wojsko, wciąż osamotnione, bo bez oparcia o polską władzę, walkę z próbami narzucenia obcych mundurów, obcej procedury karnej, dwujęzyczność w życiu wewnętrznem, wreszcie walkę z próbą narzucenia mu przysięgi, któraby nakazem posłuszeństwa wobec naczelnego sił zbrojnych komendanta oddawała nas czynnikom wojskowym nie polskim i niezależnym od polskiej władzy, która nakazywała wojsku zaprzysiąc braterstwo broni z państwami centralnemi wbrew zasadzie, że kwestja sojuszów i przymierzy jest atrybutem rządu.

Wytrwaliśmy w tej walce, zgodni z opinją całego narodu, mimo obozów jeńców w Szczypiornie i Benjaminowie. Dalszym etapem tej samej walki, prowadzonej w imię zasady, że nie może istnieć armja bez narodowego rządu, że tylko i wyłącznie rząd narodowy, z woli narodu powstały, na zaufaniu jego oparty, może być wojsku rozkazodawcą, były wniesione przez nas w sierpniu b. r. podania o zwolnienie z Legjonów.

Znane są czynnikom politycznym postulaty wojska:

1) utworzenie Rządu Narodowego, wyposażonego w pełnię władzy;

2) oddanie Legjonów pod władzę narodowego rządu i uczynienie kadrami armji polskiej;

3) reaktywowanie wszystkich internowanych i zwolnionych oficerów i żołnierzy;

4) wprowadzenie nowego polskiego dowództwa, zależnego od Rządu.

Tylko spełnienie tych postulatów mogłoby uratować wojsko od rozsypki. Tylko ustąpienie z Legjonów tych oficerów, którzy reprezentują w nich jako odkomenderowani z c. i k. armji czynniki obce, a szeregiem zarządzeń i rozkazów godzą w intencje wojska i narodu, może sanować stosunki wewnętrzne. Tylko usunięcie od wpływów rozmaitych „bohaterów tyłów", co nie wąchali prochu, a zbierają odznaczenia i awanse za próby rozbijania solidarności, może uratować „morale" wojska.

Nie uratują wszak Legjonów stosowane dziś przez Komendę Legjonów wobec 3/4 wojska metody, zwalnianie bez sądu i podania powodów najlepszych, najstarszych oficerów, korumpowanie jednostek awansem czy urlopem, terror i więzienia, wyprowadzanie całych dywizyj austrjackich dla zaaresztowania kilku żołnierzy.

Nie cofnie się z drogi wojsko, bo wie, że dziś po trzech latach wojny, po akcie 5 listopada, o ile ma być w istocie zrealizowany, tylko armja prawdziwie narodowa, rządowi polskiemu prawnie podporządkowana, może być wyrazem naszego orężnego z państwami centralnemi sojuszu. Na Legjony, czy Polski Korpus Posiłkowy, na formacje ochotnicze o charakterze oddziałów austrjackich czy niemieckich, choćby ich zależnośc przesłonięta była polskim orzełkiem, niema dziś miejsca.

I wierzymy, że za nami w tej trudnej walce o samodzielne wojsko polskie stoi opinja narodu.

1, 4, 5, 6 p. p.
1 p. uł.
1 p. art.

GŁOS ODCHODZĄCYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH DO SPOŁECZEŃSTWA.

W tym czasie, gdyśmy staczali najcięższy bój, jaki nam w ciągu trzech lat działalności naszej stoczyć przyszło, niemal cała prasa polska — wbrew dobrze nam znanej opinji społeczeństwa — wyszydzała naszą walkę, przekręcała nasze cele, podsuwając nam najdziwaczniejsze ambicje i zamiary. W gorączce walki nie było czasu na zajmowanie sie tem wszystkiem, zwłaszcza, że musieliśmy dbać głównie o to, aby utrzymać w porządku wojskowym zdenerwowane, jakkolwiek pełne zaparcie się, oddziały. Żołnierz, który wszystko stawiał na kartę, aby sprawę rządu i wojska polskiego pchnąć naprzód, brał do ręki gazetę i dowiadywał się z niej, że jest szkodnikiem, burzycielem, pełnym wywrotowych zamierzeń i ambicyj „lewicowcem", odstępcą i t. d. Czasem zdarzało się nam czytać jakiś „głos żołnierza" — z przeciwnej strony, bombastyczny lub cynicznie przesadny, niekiedy jednak szczery, tchnący przekonaniem. Z radością myśleliśmy wtedy, że oto powstaje złoty most między nami, że jeśli uda się nam coś wywalczyć, a będziemy musieli w następstwie wypadków odejść, to z ufnością pozostawimy im, zostającym, tradycje, na które myśmy się przecie w trzech czwartych złożyli. Dziś, w chwili naszego odejścia, przepaść leży między nami. Dziś walka skończona. Jedni pójdą po zaszczyty i godności, drudzy na drogę, którą od półtora wieku dobrze znają Polacy, miłujący Ojczyznę. Idziemy na tę naszą Golgotę, z dziwnem uczuciem słuchając, jak część społeczeństwa, któremuśmy jak najszczerzej służyli, woła: „ukamienujcie!" I zwracamy się do tych, co stoją milcząc, współczucie swe głęboko w sercu kryjąc i pytamy: czy nas rozumiecie? Bo my chcemy, abyście nas zrozumieli.

Nie jesteśmy „lewicą". Mamy w swych szeregach szewców i hrabiów, analfabetów i doktorów, polityków i zawodowych żołnierzy. Fakt, że Piłsudski wyszedł z lewicy i że dziś jeszcze może łatwiej mu się porozumieć ze stronnictwami lewicowemi niż z innemi, jest dla nas obojętny. Tak samo mógłby być konserwatystą-ultramontanem. Idziemy za Nim dlatego, że wogóle idziemy za czynem polskim, że on jest twórcą armji polskiej, której my jesteśmy żołnierzami.

Zarzuca się nam, że jesteśmy rozpolitykowanymi żołnierzami. Być może. Nie więcej jednak w każdym razie od strony przeciwnej.

Legjony były czynem samodzielnym — nie jakiegoś rządu polskiego, ani jakichś partyj politycznych, ale garstki ludzi, którzy na wezwanie twórcy

ideologji polskiego czynu zbrojnego, Piłsudskiego, stanęli do szeregu. Skrępowane od początku przez niewiarę jednych, małoduszność innych, Legjony musiały ciągnąć za sobą ciężar niedołężnych organizacyj politycznych, zdolnych w najlepszym razie do sfinansowania wartości czynu legjonowego, ale nigdy do stworzenia jakiegoś nowego położenia i jakichś nowych wartości. Wobec tego Legjony, które przecież zostały powołane do życia nie przez obowiązek służby wojskowej, lecz przez pewne przekonanie polityczne uczestników, musiały iść same swoją drogą, a swego Komendanta uważać za moralnego dyktatora narodu. Los przecie każdej ochotniczej armji patrjotycznej bez rządu. Wszak niepodobieństwem dla nas było przyznanie kwalifikacji moralnego dyktatora Polski pierwszemu lepszemu generałowi lub pułkownikowi, którego rząd austrjacki na czele Legjonów postawił. Dlatego uważaliśmy za dyktatora Piłsudskiego, którego potężna indywidualność i bezwzględna czystość dawały nam rękojmię, że rząd dusz w dobrych znajduje się rękach. Komu się ten stan rzeczy nie podobał, ten miał jedną drogę do zmienienia go: stworzyć rząd polski i poddać pod jego władzę komenderującego nami generała. Wtedy stawałoby się już rzeczą dość obojętną, kto nim jest, byle był dobrym żołnierzem. Jak długo tego nie było, nic dziwnego że szukaliśmy gwarancji, iż krew nasza i trudy nie pójdą na marne, tam, gdzie mogliśmy je znaleść.

Gdy przyszła chwila przysięgi, mieliśmy już poza sobą po dymisji Komendanta Piłsudskiego podobne wstrząśnienie — nad wyraz dla nas bolesny, a tak doniosły dla sprawy polskiej, bo dający nam akt 5 listopada. Ktoby temu chciał zaprzeczyć, musiałby wyjaśnić dziwny zbieg wypadków. To do pewnego stopnia budziło wiarę i skuteczność obranej przez nas drogi.

Do 9-go lipca staliśmy pod wrażeniem rabunkowej gospodarki pruskiej w Królestwie i na Litwie, wypadków strasznej brutalności Niemców, pod wrażeniem dziwnych rozkazów gen. Beselera, postanawiających: „Kein deutscher Soldat ist dem polnischen Offizier weder Achtung noch Gehorsam schuldig". Wiara w dobre intencje mocarstw centralnych znikła, w zamiarach względem nas przestaliśmy się orjentować, oparcia o żaden rząd polski nie widzieliśmy, gdyż Tymczasowa Rada Stanu zrzekła się nawet dążenia do uzyskania tego charakteru. W tych warunkach uważaliśmy przyjęcie narzuconego nam tekstu przysięgi za nie odpowiadające honorowi żołnierza polskiego. Podkreślamy to, że nie odrzucaliśmy samej przysięgi w zasadzie, ale uważaliśmy ją za nie do przyjęcia w warunkach braku jakichkolwiek dowodów dobrej woli ze strony państw centralnych. Wierzyliśmy, że nasz opór jest na czasie i może oddać sprawie polskiej usługę, chociażby tylko przez wyjaśnienie istotnych zamiarów państw centralnych, czego nie potrafili uzyskać politycy. Przekonanie to było w Legjonach tak potężne, że gdyby nie szalona kontragitacja, wszelkiego rodzaju fałszywe wieści oraz represje Komendy Legjonów, z pewnością niktby był nie przysiągł. W rezultacie przysięgło około 6 — 7% i to prawie wyłącznie żołnierzy niefrontowych.

Słyszeliśmy, jak pułkownik Berbecki pozostawiał wszystkim wolność wyboru (która zresztą rozumiała się sama przez się wobec ochotniczego charakteru wojska) i zapewniał nieprzysięgającym swobodny powrót do domów. W kilka dni później byliśmy świadkami, jak naszych kolegów, żołnierzy Polski, zasłużonych w tylu bojach, ta sama, niby polska Komenda

pod pruskimi bagnetami odstawiała do Szczypiorna. A zatem potem otrzymaliśmy wiadomość o strasznym stanie rzeczy, który tam panuje, o wielkiej śmiertelności wśród naszy kolegów. Dowiedzieliśmy się jednocześnie, że Komenda Legjonów — wbrew życzeniom Rady Stanu — nam przedstawionej jako Rząd — domaga się jaknajstraszniejszych represyj, aby głodem, chłodemi i ciągłemi torturami moralnemi złamać wiernych Polsce i honorowi żołnierzy.

Od tej chwili dla nas wszystkich, którzyśmy byli jednego zdania w sprawie przysięgi, jedna pozostała droga, honoru i obowiązku: podzielić ich los, albo ich uwolnić. Jeżeli trudno jest generał-gubernatorowi cofnąć swe rozkazy, to tem trudniej nam pozwolić, aby obca potęga poniewierała honor żołnierza polskiego.

W takiem usposobieniu otrzymaliśmy wieść piorunującą: Piłsudski, denuncjowany już od dłuższego czasu przez część gadzinową prasy warszawskiej w sposób równie podły jak śmieszny, został uwięziony i wywieziony. Polsko! Zdawało nam się, że Twoje serce pękło, a Twoje oczy oślepły. On, Twórca Legjonów, wódz wsławiony we wspólnej sprawie naszej i państw centralnych. On, który jedynie miał przystęp do ofiarnych serc w Polsce. On, który jeden mógł coś realnego dać mocarstwom sprzymierzonym — uwięziony w stolicy polskiej przez obcego generał-gubernatora! Wieść o tem zabrała nam możność odwrotu...

Wiedząc, że Komendant uważał rozruchy w Polsce za rzecz szkodliwą, musieliśmy odrzucić myśl, najdroższą każdemu żołnierzowi, aby krwią zmyć zniewagę. Coś jednak stać się musiało. Podaliśmy się o zwolnienie z Legjonów, zdecydowani, sprawą kierować tak, aby doprowadzić do zasadniczych rozstrzygnień, od których jedynie mogliśmy się spodziewać zadośćuczynienia i gwarancji, że rzeczy podobne w przyszłości się nie powtórzą.

Najohydniejszymi straszakami, najokropniejszemi represjami używając przytem stale obcej pomocy, usiłowała nas Komenda Legjonów powstrzymać. Udało się jej złamać garść słabych, ale nie udaremniła naszego zamiaru. Zasadnicze rozstrzygnięcia na korzyść Polski padną, o ile płocha lub małoduszna ugodowość społeczeństwa polskiego w ostatniej chwili ich nie udaremni. Jednego tylko nie zdołaliśmy przeprowadzić: uwolnienia Piłsudskiego i naszych kolegów, a zatem podzielimy ich dolę, albo może gorszą zniesiemy.

Idziemy, bo społeczeństwo polskie za ważniejsze uznało, aby Legjonami komenderował pułkownik austrjacki, którego ze sprawą polską łączy tylko rozkaz A. O. K., niż krew kilkunastu tysięcy swych synów. Idziemy z goryczą w sercu, ale i z przekonaniem, że unosimy ze sobą honor żołnierza polskego, naszą ofiarą ocalony. Idziemy, a z nami idzie duch wojska — jedynego, jakie w takiej chwili powstać w Polsce może, wojska zapału i ofiary. Między tymi, co zostali, zbyt wielu chce na Polsce zarobić, zbyt mało ma jej coś do ofiarowania. I to przekonanie, że z winy własnego społeczeństwa sprawa ukształtowała się tak, że dziś jedynie obca przemoc może w Polsce budować, jest tą kroplą goryczy piołunową, którą z sobą na ciężką swą drogę bierzemy.

Zbudźcie się i odpowiedźcie!".

Tak się legjonowa skończyła epopeja...

Anatol Minkowski i Mieczysław Brodziński

ZA GŁOSEM SUMIENIA

Przysięga w 2 p. p. Legjonów.

Okres poprzedzający bezpośrednio przysięgę zastał 2 p. p. w następujących warunkach. Dwa miesiące przed przysięgą z pułków legjonowych zostali wydzieleni byli poddani rosyjscy i skierowani do obozów ćwiczeń, będących pod dowództwem niemieckich oficerów.

Był to wstęp do podziału Legjonów na dwie odrębne formacje: przyszły „Wehrmacht", podporządkowany Niemcom i przyszły Korpus Posiłkowy, podporządkowany Austrjakom.

Królewiacy w 2 p. p. stanowili znaczną mniejszość — zaledwie 10%. Obóz więc 2 p. p. w Ostrowiu Mazowieckiem był bardzo nieliczny, znajdowało się tam zaledwie kilkunastu oficerów i około 100 szeregowych, mających stanowić kadrę przyszłego 2 p. p., którego szeregi uzupełnić mieli nowozwerboani ochotnicy z Królestwa. Była to oczywiście fikcja, gdyż już w owym czasie o werbunku nie mogło być mowy zarówno ze względu na ogólne nastroje społeczeństwa, jak i na postawę P. O. W., skupiającą najgorętsze czynne elementy niepodległościowe, a której front zwracał się już wyraźnie przeciw okupantom — Niemcom i Austrjakom.

Niewielki obóz 2 p. p. miał uzupełnić i udoskonalić swe wyszkolenie i czekać dalszych losów.

W Ostrowiu znajdował się również znacznie liczniejszy obóz 5 p. p. — stosunki między obu obozami były jaknajlepsze, a wszystkich łączyła wspólna troska i walka o maximum niezależności w stosunku do agresywności Niemców, usiłujących nietylko, jak to już uczynili, rozerwać Legjony na dwie części, ale wbić się klinem między oficerów i szeregowych legjonowych, odbierając oficerom dowództwa kadr kompanji w obozach.

Na skutek wytrwałej i konsekwentnej walki do tej ostateczności nie doszło, ale opór musiał przyjąć cechy otwartego buntu. Stan

faktyczny ukoronować miała przysięga podporządkowująca Legjony generał-gubernatorowi warszawskiemu v. Beselerowi, jako wojskowemu zwierzchnikowi i zawierająca ustęp o „braterstwie broni" z Niemcami. Był to ostateczny moment jawnego wypowiedzenia się obozu Niepodległościowego przeciwko dotychczasowym quasi — sojusznikom.

Decyzja nie ulegała jakimkolwiek wahaniom. Niezależnie od konsekwencji — odmówić złożenia przysięgi.

Taki też nastrój panował w obozie wyszkolenia 2 p. p. w Ostrowiu. Niektórzy jednak starsi oficerowie, a w pierwszym rzędzie były dowódca 2 p. p. Janszajtys, cieszący się z czasów frontowych dużem przywiązaniem ogółu 2 p. p., byli innego zdania, postanowili więc przeciwdziałać decyzji powziętej jednolicie w szeregach I-ej i III-ej Brygady.

Jako jeden z najbardziej zdecydowanych zostałem odwołany z Ostrowia do pułku. W pułku, jakkolwiek bezpośrednio zainteresowanych t. j. Królewiaków nie było, zastałem nastrój wśród kolegów Galicjan obcy i jeśli nie wypowiadano się przynajmniej do mnie przeciwko odmówieniu przysięgi, to w każdym razie można było wyczuć, że pogląd płk. Januszajtysa jest niemal przez wszystkich w każdym razie oficjalnie podzielany. Dlatego mówię oficjalnie, że jednak z kilku luźnych rozmów, jakie z kolegami miałem, wyczułem wyraźnie, że rozumieją oni podwójną sytuację, jaka się wytworzyła i u niejednego istniał konflikt między własnem odczuciem, a zaufaniem do swego dowódcy, który, będąc świetnym dowódcą bojowym, to zaufanie usprawiedliwiał. Nici jednak polityki nie były wszystkim znane.

Jeszcze nim do Pułtuska przybył ogół Królewiaków 2 p. p., pułkownik Januszajtys zwołał odprawę oficerską, na której przemówił w sposób gwałtowny, atakując Komendanta i tych wszystkich, którzy, jak twierdził, rozbijają i gubią Legjony, powoływał się na Radę Regencyjną, a zakończył tem, że niezłożenie przysięgi uważa za „zdradę stanu". Od tych oficerów, którzy przysięgi nie złożą, zażądał oddania szabel.

Królewiaków oficerów w pułku było 4-ch — 5-ciu, w tem parę dni przedtem przydzielony do 2 p. p. kpt. Tessaro z 1 p. p.

Po przemówieniu płk. Januszajtysa zapanowało głuche milczenie, zamarły nawet oddechy obecnych. Kpt. Tessaro w milczeniu, a ja ze słowami: „historja osądzi" oddaliśmy szable i opuściliśmy zebranie.

Zostaliśmy internowani w naszych mieszkaniach; Pułtuszczanie dowiedzieli się o tem i otoczyli nas troskliwą opieką.

Nikomu z oficerów nie wolno się było z nami widywać.

Po kilku dniach, pod eskortą odwieziono nas od Komendy Legjonów w Warszawie. Płk. Zieliński zwrócił nam nasze szable ze słowami: „żałuję, że Legjony tracą tak dobrych oficerów".

Po wyjeździe z Ostrowia straciłem całkowicie kontakt z pozostałymi tam; dzieje tych pozostałych zestawił ppor. Brodziński.

* * *

Znajdująca się także w Ostrowiu-Komorowie kompanja techniczna Komendy Legjonów otrzymuje rozkaz wyjazdu do Modlina czy też Zegrza, gdzie ma złożyć przysięgę. Okupacyjne władze niemieckie zawczasu już sprowadziły do Komorowa odpowiedni skład pociągu dla przeznaczonej kompanji i pociąg ten oczekiwał od paru dni. W tym to czasie dowiedzieliśmy się o wagonowaniu się tejże kompanji, której odjazd miał nastąpić lada chwila.

Złapałem pierwszy lepszy rower, jaki mi wpadł w ręce i poprzez nieregularne zabudowania wioski ruszyłem co sił na stację kolejową, by zastać jeszcze ową kompanję techniczną. Szczęście mi sprzyjało, bowiem zastałem ją już prawie przed samym odjazdem. W wagonie zastałem komendanta kompanji, któremu przedstawiłem cel mego nagłego przybycia oraz objaśniłem o wytworzonej sytuacji. Bez przekonywania i bez dysput otrzymałem od tegoż przyrzeczenie powrotu do koszar zawagonowanego oddziału. Nie zdążyłem jeszcze opuścić wagonu, a rozkaz w tej sprawie był wydany już i przez podkomendnych wprowadzany w czyn. Trzeba było widzieć wielkie zakłopotanie i zdziwienie niemieckich urzędników kolejowych.

W niedługim czasie, po powrocie moim do obozu, można było widzieć powracającą na dawne swe kwatery kompanję techniczną. Irytacja opanowała niemieckich komendantów na widok powracającego oddziału. Rozpuszczono ludzi swych, by dowiedzieć się, kto spowodował tę nagłą zmianę, rozpoczęto dochodzenie, ale nic nie wskórano.

Paru oficerów niedawno przydzielonych do kursu wyszkolenia 2. p. p. Legj., a przynależnych do innych pułków macierzystych zostaje odwołanych. Wśród nich znajduje się szlachetny Adam Koc.

W krótkim czasie i nasz kurs wyszkolenia otrzymuje od Niemców rozkaz wyjazdu celem dokonania złożenia przysięgi, lecz wykonanie tegoż zostaje przez nas sabotowane.

Te i inne zajścia wprowadzają butnych i przyzwyczajonych do „drilu" komendantów niemieckich w złość i omal nie wściekłość. Zamówiony transport dla przewiezienia kursu wyszkolenia 2 p. p. Legjonów od kilkunastu godzin już oczekuje na stacji Komorów i nie może doczekać się swoich pasażerów.

Niemiecki komendant kursu wyszkolenia 2 p. p. Legj. mjr. von Schmakowsky, przyznający się do polskości swych przodków, inspirowany przez kapitana Offe — zwołuje zebranie wszystkich oficerów do kasyna i tam ponownie próbuje nakłonic nas to do złożenia przysięgi, to już tylko do wyjechania na nowe miejsce przeznaczenia, używając śmiesznych nawet argumentów, ale w zrozumieniu jego, jako Niemca, może nawet poważnych. Oświadcza on, ni mniej, ni więcej, że jeżeli do oznaczonego terminu nie zawagonujemy się, to my, oficerowie polscy poniesiemy koszta za sprowadzenie i bezużyteczny postój pociągów sprowadzonych i oczekujących na stacji Komorowo i że odpowiednie kwoty płatnik ściągnie z najbliższej pensji. Ale i tym sposobem nie zdołali nic wskórać.

Dopiero przybycie następnego dnia pułk. Januszajtisa zmieniło cośkolwiek wytworzoną sytuację. Wydany przez niego rozkaz powrotu do Pułtuska miał być wykonany.

Jednakże przed wyjazdem kursu wyszkolenia z obozu Ostrów-Komorowo — w związku z ostatniemi wypadkami w obozie, został wezwany do pułku por. A. Minkowski, który niezwłocznie wyjechał i do nas już więcej nie powrócił.

Natomiast przybył do obozu delegowany przez dowódcę pułku ppłk. Rylskiego por. Bittner, który miał cały kurs przyprowadzić do miejsca postoju pułku — do Pułtuska.

W oznaczonym dniu oficerowie i szeregowi kursu wyszkolenia 2 p. p. Legjonów zostali zawagonowani i w nocy przewiezieni do Serocka. Rankiem następnego dnia — po wywagonowaniu — cały kurs wyszkolenia, sformowany w jeden baon, ruszył marszem do Pułtuska.

Im więcej zbliżaliśmy się do Pułtuska, tem więcej wzrastał wśród żołnierzy animusz; zabrany z Komorowa portret Komendanta wzięto na czoło kolumny marszowej i niesiono go w pierwszej czwórce. Śpiewano przytem same legjonowe piosenki.

Widać nie wszystkim oficerom przypadł do gustu śpiew, jak również niesienie portretu Komendanta, bowiem znalazł się porucznik Bittner, który dowiedziawszy się o tem — podbiegł na czoło kolumny i rozkazał jednemu z podoficerów portret Komendanta umieścić na... wozach taborowych, co podoficer wykonał.

Dowiedziawszy się o tem po sprzeczce z Bittnerem, przywróciłem stan pierwotny i portret Komendanta był niesiony aż do samych koszar.

Na spotkanie powracającego do pułku kursu wyszkolenia została wysłana orkiestra pułkowa, która spotkała nas w odległości kilku kilometrów i po przyłączeniu się zaczęła nam przygrywać. W czasie krótkich przerw zdołaliśmy pozyskać orkiestrę dla swoich celów.

Wtem na drodze przed czołem kolumny ujrzeliśmy majora Mężyńskiego, zdążającego w naszą stronę, który wyszedł na nasze spotkanie i zorjentowanie się co do naszego stanowiska w sprawie przysięgi. Przypuszczam, że został on umyślnie wysłany przez pułk. Rylskiego.

Po zatrzymaniu kolumny major Mężyński zaczął przemawiać do żołnierzy w duchu skłonienia ich do złożenia przysięgi, lecz żołnierze nie chcąc słuchać o tem, zaczęli raz po raz wnosić okrzyki na cześć Komendanta Piłsudskiego, a następnie zaśpiewano „My pierwsza brygada" i tym sposobem zmusili majora do zaprzestania. Nie mogąc dojść do słowa, rozkazał orkiestrze grać marsza, by stłumić śpiew żołnierzy lecz jak już wyżej wspomniałem, orkiestra udawała tylko, że gra, a właściwie nie grała. Wobec tego wydał rozkaz dalszego maszerowania, co też uczyniono.

Po tem wszystkiem mjr. M. odjechał konno w kierunku Pułtuska, gdzie niezawodnie spotkał ppłk. Rylskiego.

Po przejściu około kilometra — ujrzeliśmy przed sobą grupę konnych. Był to dowódca pułku ppłk. Rylski ze swoim sztabem, który jechał również na nasze spotkanie. Mijając czoło maszerującej kolumny, zwrócił się do powracającego oddziału ze słowami powitania, lecz zamiast należnej odpowiedzi został dosłownie wygwizdany i okrzyczany słowami: „zdrajca", „sprzedawczyk" i t. p. Gwizdy i okrzyki trwały tak długo, dopóki nie odjechał od oddziału i znikł na horyzoncie.

Tymczasem kolumna szybko zbliżała się do przedmieść Pułtuska, gdzie wkrótce czoło kolumny zostało zatrzymane w pobliżu wiaduktu nowego mostu kołowego na Narwi.

Po uporządkowaniu ekwipunku, przy śpiewie „pierwszej brygady" kolumna powolnym krokiem wkraczała na główną ulicę Pułtuska, niosąc portret Komendanta na czele kolumny. Na ulice wyległa ludność miasteczka witając powracających legjonistów. Od czasu do czasu mimo dźwięków orkiestry słychać było okrzyki na cześć Komendanta, tylko pozostali oficerowie pułku dziwnie spoglądali na powracających.

Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się na znanym nam dziedzińcu koszarowym, gdzie zaraz nastąpiło rozwiązanie kursu, a żołnierze powrócili do swych oddziałów, z których przedtem byli wydzieleni.

Tymczasem wszyscy oficerowie udali się do kasyna oficerskiego, gdzie oczekiwał już obiad. Był tam również i dowódca pułku ppłk. Rylski.

Po skończonym obiedzie wstaje ppłk. Rylski i ogłasza, że rozpoczyna się teraz druga część — odprawa i ta ma charakter służbowy.

Mówi krótko na temat przysięgi, poczem zwraca się szczególnie do nas „królewiaków", przybyłych z kursu z zapytaniem, czy złożymy przysięgę. W odpowiedzi na to wywiązuje się krótka dyskusja z ppłk. Rylskim, poczem każdy z osobna oświadcza, że przysięgi nie złoży. Reszta oficerów „królewiaków", pozostałych w pułku, w tej sprawie nie jest zapytywana.

Po stwierdzeniu odmowy ppłk. Rylski oświadcza nam, że jesteśmy aresztowani, że mamy udać się na wskazane nam kwatery i zacho-

Rewja 2 p. p. Leg. na rynku Pułtuska w 1917 roku

wywać się tak, jak odbywający areszt pokojowy. W odpowiedzi na to dajemy głośną replikę ppłk. Rylskiemu, oświadczamy, że będziemy uważać się aresztowanymi tylko wtedy, jeśli samo aresztowanie odbędzie się w przepisanej formie, jeśli jako takich odprowadzą nas na kwatery i wystawią odpowiednie posterunki, zresztą kwestjonujemy prawo ppłk. Rylskiego aresztowania nas za chęć niezłożenia przysięgi, której od nas najwyższe władze nie żądają i rozkazują, a tylko polecają. Wśród burzliwego nastroju tak skończyła się dla nas ostatnia odprawa w 2 p. p. Legjonów.

Wyznaczone nam kwatery zajęliśmy, ale mimo wszystko posterunków nie wystawiono, więc nie uważaliśmy się za zaaresztowanych, jak to wspominał ppłk. Rylski. Owszem, staraliśmy się nadal

utrzymać kontakt z żołnierzami „królewiakami", których już zaczęto forsownie namawiać do złożenia przysięgi.

Nie mogę jednak pominąć milczeniem bardzo przykrego dla nas faktu, jaki miał miejsce w Pułtusku łącznie ze sprawą przysięgi. Przedewszystkiem uczuwaliśmy, jak nasi koledzy pułkowi, którzy nie byli wzywani do składania przysięgi, dziwnie obojętnie odnosili się do nas. Ale były wśród nich jednostki, które wszelkiemi siłami starały się „nawrócić nas" z „fałszywej" drogi.

Po paru dniach pobytu naszego w Pułtusku dostaliśmy zawiadomienie z pułku przyszykowania się do drogi, do Warszawy, gdzie mieliśmy być przedstawieni do raportu c. i k. Komendzie Legjonów.

Nazajutrz zjawił się u nas z odpowiednim rozkazem delegowany oficer, który eskortował nas do Warszawy, gdzie zostaliśmy przedstawieni do raportu i zgodnie z rozkazem naczelnego komendanta „Polnische Wehrmacht" gen. gubernatora Beselera zostaliśmy zwolnieni z wojska, a następnie internowani w Benjaminowie.

Przed dostaniem się do Benjaminowa pełniłem jeszcze służbę łącznikową. Wyjeżdżałem parę razy do Pułtuska, celem dokładnego poinformowania się o stanie pozostałych żołnierzy, którzy nie chcieli przysięgać.

Opowiadano mi, że z żołnierzami temi postępowano w pułku wprost w okropny sposób. Następnego dnia miano tych żołnierzy zebrać z powrotem w jeden oddział i odosobnić od reszty pułku, a to celem szybszego zmuszenia do złożenia przysięgi. Ale i gdy to nie skutkowało, wtedy miano uciec się do innej rzeczy — miano podobno zmienić umundurowanie — odebrać dobre i zdatne do użytku a wydać natomiast jaknajgorsze. Również i porcje żywnościowe miały zostać ograniczone do minimum; wogóle obchodzono się z nimi jaknajgorzej.

Razu pewnego wyjechałem rowerem z Zegrza do Pułtuska, by dowiedzieć się o stanie duchowym żołnierzy „królewiaków". Po przybyciu do Pułtuska zatrzymałem się w mieście, a do koszar posłałem umyślnego, by sprowadzić jednego z moich znajomych Michalskiego, ale ten odpowiedział mi przez tegoż, że z tymi, którzy nie złożyli przysięgi, nie może się spotykać. Musiałem się więc uciekać do pomocy innych.

Tymczasem w pułku żadnej zmiany nie zdołano osiągnąć nawet terrorem, bowiem bardzo znaczna ilość żołnierzy, którzy nie złożyli przysięgi, została następnie wysłana do obozu internowanych w Szczypiornie.

Jerzy Radomski

PRZECIWKO PRZYSIĘDZE

Przysięga w 3-cim pułku Legjonów.

Dnia 1 grudnia 1916 r. II-ga brygada pod dowództwem pułk. Hallera wkroczyła w mury stolicy, witana okrzykiem: „Niech żyje Piłsudski!"

Pułk 3-ci stanął w koszarach na Solcu. Byliśmy w Warszawie! Podhalańcy z mego bataljonu czuli, że bądź co bądź godny mamy kwaterunek, nam Królewiakom ogromnie urosło serce. Pobyt Legjonów w Warszawie odczuwaliśmy, jako swoje wielkie zwycięstwo. Tylko dlaczego nasz pułk przeznaczono do Warszawy, a nie pierwszy? Przecież oni się zawsze Austrjakom opierali, a o Niemcach też pewnie nie myślą przyzwoicie, więc im należałaby się ta nagroda. Oni się zawsze nie zgadzają, a dobra wobec obcych polityka, to przedewszystkiem nie zgadzać się. Zgoda bowiem kryje w sobie rezygnację. Pokrzywdzenie dyslokacyjne I-ej Brygady odczuwała i część ludności stolicy, sympatyzująca z Legjonami. Dochodziły nas pogłoski, że Komenda Legjonów, uważając nasz pułk za pewniejszy (?), przeznaczyła go do Warszawy. Czas zadał kłam tej rachubie, ale o tem później.

Zrzeczenie się przez austrjackiego cesarza Karola zwierzchnictwa nad Legjonami, dało nam na początek gorzką kawę na śniadanie i uprzejmych, pewnych siebie oficerów niemieckich, jako instruktorów.

„Kompanijo niemiecko liczy 3 plutony", temi słowy ppor. Szyszko rozpoczął nowy okres w dziejach pułku. A! teraz to będzie z nas wojsko. Wiele stracono energji na naukę kroku ćwiczebnego po niemiecku, tak, żebyśmy takiegoż kroku po austrjacku gruntownie zapomnieli. Bo to przecież niemała rzecz, prócz tego, że 5 cm. różnicy!

Ćwiczono nasze kości na tempa i „w kostkę" i szło to wszystko spokojnie, i z dosyć wielką z naszej strony ochotą, aż do chwili zorganizowania kursów instruktorskich w Zegrzu.

Niemcy, spodziewając się widocznie, że Tymczasowa Rada Stanu uchwali pobór, zorganizowali przy każdym pułku obóz ćwiczebny, który był jakby filją pułku. Do tych obozów wysyłano tylko królewiaków, wysłano i mnie. Na dowódców wyznaczono oficerów niemieckich, austrjackich i polskich, tak samo był przemieszany zespół podoficerski. Instruktorat był więc... „sprzymierzony", rekrut polski. Schodziło się tego niewiele, najczęściej z kompanij roboczych z Ober-Ostu.

Tu zetknąłem się po raz pierwszy od szeregu miesięcy z kolegami z I-ej Brygady, którzy także w Zegrzu mieli obóz ćwiczebny swego pułku. Padło kilka słów charakterystyki stosunków, których istoty nie znałem, albo też znane mi szczegóły traktowałem z punktu widzenia ogólnej sytuacji kraju.

Przeciw Niemcom! Aha!

Teraz dopiero zwróciłem uwagę na to, że w nomenklaturze służbowej niemieckiej nasz kurs nazywał się 3 Infanterie Regiment. O! A czem jest w takim razie 3 pp. Leg. w Warszawie? Zrozumiałem, że Niemcy wyciągają z pułków legjonowych Królewiaków, aby z nich przygotować kadrę dla przyszłej armji polskiej poza Legjonami.

Godziłem się w pułku na Niemców, jako instruktorów... ale, jako przełożonych?! W czasie wojny z wyraźną niechęcią i lekceważeniem odnosiłem się do Austrjaków, a o Niemcach zaś wiedziałem niewiele. Pamiętałem z pierwszych dni 1914 r., oprócz wiadomości z gazety o rozstrzelaniu Kaspera i jeszcze jakiegoś urzędnika w Kaliszu, czytanej w trzecim plutonie kadrówki na kilka minut przed atakiem owego słynnego samochodu z oficerami rosyjskimi na stację w Kielcach, pamiętałem także jeszcze, co w jakiś miesiąc później powiedział Wyrwa pewnego wieczoru: „Niedaleko nas maszerują wojska niemieckie. Zachować się spokojnie, w razie potrzeby wolno użyć broni". Później traktowałem Niemców chwilami nawet z uznaniem i szacunkiem, ze względów czysto żołnierskich; w pułku w Warszawie lojalnie, choć już z pewną w duszy niechęcią, która w Zegrzu pogłębiła się z powodu roli, jaką zaczęli przybierać niemieccy oficerowie i ich pociotki, Austrjacy. Trudno mi było się z tem pogodzić, żeby Niemcy mogli nam rozkazywać! Od Dreszera, przysłanego tutaj na dowódcę kompanji w „1 Infanterie Regiment", dowiedziałem się, że oficerowie polscy z 1-szym pułku, powierzanych sobie funkcyj obejmować nie chcą. To był pierwszy, spotkany przezemnie czyn wyraźnie antyniemiecki. Zwróciłem się teraz do kolegów z 1. pułku. Trzeba się organizować! „Dobrze — my to już robimy" — brzmiała odpowiedź. Rozpoczęły się szepty, narady. Temu i owemu z 3. pułku powiedziałem kilka słów. Jakby kto elektryczną pałeczką ich nerwu

świadomości dotknął. Zawsze uważając spółkę z Niemcami za złe konieczne, teraz odrazu, bez przekonania byli przeciw nim. Jeździliśmy na Warecką. Zetknąwszy się z artylerją, pojechałem do nich, do Ciechanowa.

Zawsze byłem tak zarozumiały, że myślałem nietylko o tem, co tam mam robić, ale i za całość. Przecież to się tak nieskończy na biernym oporze. Wojsko trzeba zrobić. Niemcy w Królestwie nie są tacy silni, siłą przeciwko nam nie pójdą, boby się przed całym swiatem skompromitowali, że bagnetem zmuszają Polaków do budowy „niepodległego" państwa. Ale wojsko trzeba robić.

Starszy żołnierz Romer (później sędzia w Kaliszu), kapral Marek Kamiński i ja zdecydowaliśmy: zebrać przedstawicieli pułków i wobec tego, że oficerowie zachowują się biernie, udać się do Komendanta i przedstawić mu projekt zamachu stanu, polegający na koncentracji pułków legjonowych i ogłoszeniu rządu narodowego w Warszawie.

Zameldowaliśmy się uprzednio u Sławka, nic mu nie mówiąc z czem idziemy na Służewską. Otrzymaliśmy pozwolenie i 15. maja zjechawszy się wieczorem w Warszawie, koło godz. 11-ej wyruszyliśmy.

Było nas siedmiu. Nazwisk pozostałych czterech nie pamiętam. Oni używali w rozmowie zwrotu przyjętego w I-ej brygadzie — „Obywatelu-Komendancie", ja z drugiej brygady, zameldowałem się według regulaminu: „Panie brygadjerze, sierżant i t. d..." Później rozkrochmaliłem się, jak wszyscy.

Komendant przyjął, chciał wysłuchać. Zdziwił się tylko, że to nie oficerowie przychodzą, ale rozmawiał z nami, wyjaśniał.

O tem, czego chcemy, nie może być mowy. Układ sił jest inny. Rząd narodowy, gdyby powstał, nazajutrz byłby zmuszony przeciwko nam się zwrócić. Niemcy, jako silniejsi, wybiorą czas, my zaś formę walki.

Ręce w tył założywszy, wielkiemi krokami na ukos pokój przemierzał; tłumaczył że przysięgi trzeba odmówić. Romer i ja usiłowaliśmy argumentować. (Co za naiwność, u 20-letniego sierżanta!) Komendant podszedł do nas bliżej i powtarzał: „Najważniejsza rzecz nie przysięgać! Wolę Was mieć dwa tysiące w kraju rozproszonych, niż tak." Zdębieliśmy, nie dokończył. Przewidywał rozwiązanie Legjonów. Nas jakby kto obuchem zdzielił. Rozwiązać Legjony? Więc jakto będzie?

Była już godzina pół do drugiej, kiedy powoli i ciężko schodziliśmy z czwartego piętra na dół. Byliśmy przekonani, że coś jest niedobrze. Powiada Romer: nam nie wypada iść przeciw Komendantowi, teraz głos do Was należy, II-ej brygady.. Nie wiedziałem, co mówić, było mi niewyraźnie, czułem, że się z Komendantem nie zgadzam.

Wkrótce potem, Niemcy uznali, że się na instruktora nie nadaję i wysłano mnie z Zegrza z powrotem do pułku. Nawiązałem kontakt z powstającą wówczas Radą Żołnierską, wszedłem do Tymczasowej Komisji tejże Rady, do komitetu wykonawczego później nie zostałem wybrany, większość bowiem delegatów, po przemówieniu Skwarczyńskiego (Adama) nie podzieliła mego zdania, że osobna być musi rada żołnierska i osobna oficerska, a centrala dopiero wspólna. Wynikły z przyjętego stanu rzeczy brak łączności informacyjnej zemścił się na mnie później dopiero.

Podoficerów pułku w Warszawie poruszyłem w sposób bardzo prosty. Po scharakteryzowaniu przezemnie sytuacji na zebraniu sierżantów, jednomyślnie postanowiono przeprowadzić w kompanjach agitację przeciwko przysiędze. Nie było to rzeczą trudną, jeśli chodzi o żołnierzy.

Oficerowie, przeważnie z Małopolski, nie byli bezpośrednio zainteresowani, garstka Królewiaków, za wyjątkiem dwóch, opowiedziała się za współpracą z Niemcami. Wrogi okupantom nastrój Warszawy działał; trzeba się było decydować na jedną lub drugą stronę. Wogóle w stosunku oficerów do instruktorów niemieckich widać było od samego początku pewną już decyzję, wybór. Psychologji biernego oporu przeciwstawiano potrzebę tworzenia wojska za wszelką cenę i zasadę karności żołnierskiej. Że fundamentalne te kanony cnoty żołnierskiej „Kanonenfutter" z nas jeno w przyszłości uczynią, a Polsce granice „określą później" o tem nie myślano. Raz dlatego, że ufano doświadczeniu politycznemu Komendy Legjonów, a w szczególności fachowej powadze nowego dowódcy pułku, majora Zagórskiego. Ten, wielką ambicją pracy, energją i tytułem oficera sztabu generalnego imponował.

Te dwa elementy psychiki oficerów nie pozwoliły mi rachować na ich współpracę w akcji antyprzysięgowej.

Byłem zdecydowany przeciw przysiędze, ale w dalszym ciągu nie dopuszczałem do siebie myśli o rozwiązaniu Legjonów. Nie przekonał mnie Śmigły, który już wiedział o naszej wizycie u Komendanta i z wyrozumiałym uśmiechem tłómaczył, że wojsko wobec społeczeństwa reprezentują oficerowie, i żebym się wogóle nie martwił.

Wypadki szły w szybkiem tempie. Niedługo po wspomnianym wyżej zebraniu sierżantów z kompanji, nie pamiętam 9-ej czy technicznej, zgłosił się łącznik i zameldował mi, że... kompanja uchwaliła nie przysięgać. Roześmialiśmy się wszyscy obecni w pokoju z tak szybkiej i ochoczej determinacji; ze względów konspiracyjnych zakazałem się zgłaszać innym. 7 lipca Komenda Legjonów podała do wiadomości, że 9 lipca rano na stokach cytadeli odbędzie się przysięga.

Dnia 8. lipca rano zgłosiłem się wraz z kilkoma podoficerami do raportu, meldując, że odmawiamy przysięgi. Za chwilę wezwano nas do dowódcy pułku. Na postawione mi pytanie, odpowiedziałem, że niema rządu polskiego, a więc przysięgać nie można. Furji takiej z jaką wpadł na mnie major Zagórski nie widziałem ani przedtem, ani potem u żadnego ze swych przełożonych. „Agitator! w więzieniu zgnije i t. p." — pienił się i rzucał. Spiorunował nas wszystkich po kolei i odsyłając, uczynił odpowiedzialnymi za stan naszych kompanij.

Wkoszarach wrzało. Koło południa major Zagórski zarządził zbiórkę Królewiaków na dziedzińcu koszar. Namawiał. Prosił i groził.. Dreszcz nas przebiegł, zebranych wokoło. Przeciągłe: „Niee" zabrzmiało w odpowiedzi. Wściekł się. „Nie przyprowadzajcie mnie do ostateczności!" Zawodowy oficer armji regularnej nie rozumiał i nie mógł rozumieć nastroju żołnierzy-ochotników.

Po południu kazano nam się zebrać ponownie w starej kaplicy. Major tłómaczył. Nie pamiętam całego, dwugodzinnego prawie przemówienia; argumenty główne pamiętam wszystkie. Żądał zaufania. „Ja mam 35 lat, przeczytałem tyle książek, Polska musi iść z Niemcami, nie da sobie sama rady, przecież Bułgarja 50 lat po odzyskaniu niepodległości była pod opieką Rosji. Uzyskaliśmy korzystną zmianę w rocie przysięgi, mianowicie przysięgać będziecie „Polskiemu Królestwu", a nie „Królestwu Polskiemu".

Później — „Kto chce przysięgać — wystąpić"! — Wystąpiło dwóch sierżantów. Za nimi ruszyło coś ze 30 żołnierzy. Po jednej stronie kaplicy stali oficerowie z majorem, po drugiej łukiem wklęsłym my. Po wyjściu z szeregów tych 30-tu, reszta cofnęła się o krok... następny... kapitan osądził, że to ja popycham żołnierzy wtył i kazał mi stanąć przy sobie. Wtedy jeden z oficerów zarzucił mi, że agituję za pieniądze (Wybaczyłem mu to już dawno, ale nie zapomniałem). Kazano nam się rozejść, wyszedłem na miasto. Kiedym późnym wieczorem wracał do koszar, na schodach mostu Poniatowskiego spotkałem grupę oficerów. Jeden z nich uprzedził mnie, że mam być aresztowany. „Ale niech pan idzie do koszar, niech Pan nie ucieka". Zapewniłem go, że o tem niema mowy. Rzeczywiście, ledwie zdążyłem się położyć, wszedł oficer inspekcyjny i oznajmił, że z rozkazu dowódcy pułku jestem aresztowany.

Paradę na stokach cytadeli odwołano z powodu „złej pogody". Rankiem 9. lipca wzeszło słonko i na dziedzińcu koszar ustawiono ołtarz polowy, a dokoła trzy ściany żołnierzy i dwie małopolan dla asysty i w jedną sformowano przysięgających. Odbyła się ceremonja, którą znam już tylko z opowiadania. Tym, którzy nie przysięgali, odebrano broń i orzełki, oraz zamknięto ich na trzeciem piętrze

prawego budynku koszar. Rej wodził wśród nich sierżant Zalas z Zagłębia Dąbrowskiego, natura gorąca, uparty i zawadjaka, o wiecznie palących się oczach.

Nie pamiętam, czy tego, czy następnego dnia po południu odwiedził mnie w areszcie porucznik X. W dyskusji nad tem, co się działo, podał mi do wiadomości, że Roja przysiągł, a Norwid zdeklarował, że 6-ty pułk przysięgę złoży. Nie pomyślałem wtedy i dziś nie myślę, żeby informował mnie świadomie fałszywie; widocznie sam tak był

Przed odmową przysięgi 1 p. uł. na dziedzincu koszar 3 p. p. Leg. w Warszawie

poinformowany. Mówił spokojnie, dla mnie zaś było to w ciągu dwóch miesięcy drugie uderzenie obuchem. „Niemożliwe"! — „Ależ tak". Wyszedł. W ciasnej i ciemnej celi aresztu pułkowego dusiłem się. Jakto, więc cóż ja robię? Tam się tymczasem coś zmieniło, nie powiedziano mi na czas, może dlatego, że nie jestem oficerem. Zrobiłem w pułku bunt, narażam ludzi Bóg wie na co, a wszystko to, widzę, prowadzi do rozwiązania Legjonów. A walki z Niemcami niema. Nie wiedziałem wkońcu, co myśleć. Widocznie dlatego, żebym mógł lepiej myśleć, dowiedziałem się, że matka moja umiera. Posłałem po por. X. z prośbą, żeby do mnie przyszedł. Oczywiście, nie mógł pozwolić mi pójść do matki; byłem aresztowany, jakby to wyglądało.

11. lipca wieczorem kazano mi zabrać manatki i wyjść z celi. Na dziedzińcu przyłączono mnie do grupy żołnierzy. Za chwilę (było

ciemno) poznałem, że to ci, co nie przysięgali. Przemówił jeszcze raz ppor. Y. Cisza. Nagle zdecydowałem się. Przegrałem. Trzeba wyciągnąć konsekwencje. Poczucie odpowiedzialności zwyciężyło wstyd. Wystąpiłem z szeregu i głośno zawołałem: „Słuchajcie, nazywam się Radomski, ja przysięgę składam!"

Ktoś z pozostałych krzyknął: „Zdrajca!". Krótko, gardłowo krzyknąłem „Nie"; reszta słów uwięzła mi w krtani. Podszedł do mnie jeden z oficerów: „My przecież wiemy, że Pan ideowo".. Sam miał łzy w oczach, nie dokończył. Oddawszy swoje rzeczy odjeżdżającym, wróciłem do aresztu.

Następnego dnia przeprowadzono mnie do więzienia na ul. Dzikiej. Na Nowym-Świecie zobaczyłem przechodzącego Janka Gaładyka. Zobaczył, że jestem bez pasa.—„Aha, jesteś aresztowany, to dobrze!" Jakto dobrze? Sądziłem, że powinien mi coś powiedzieć, tymczasem nic. Mając dosyć łagodnego anioła stróża, wstąpiłem po drodze do ciotki. Zetknąwszy się na moment z ludźmi, dowiedziałem się, że to wszystko o Roi i Norwidzie nieprawda, że się nic nie zmieniło. Boże, cóż ja wobec tego wczoraj zrobiłem! Nie wart jestem podania ręki. Co myślą teraz o mnie koledzy z Rady Żołnierskiej! (Otóż myśleli wszyscy źle i tylko Kamiński i Romer, którzy byli ze mną u Komendanta, bronili mnie przed sądem honorowym w Szczypiornie — i obronili).

Już na Dzikiej dowiedziałem się o śmierci matki, a później o aresztowaniu Komendanta.

9. sierpnia skończyła mi się naznaczona przez Sąd Legjonów (poczciwy, stary Daniec) kara i wyjechałem do Szczypiorna, gdziem przesiedział 11 miesięcy.

Wyjazd był mi ulgą, ale zaraz po przybyciu w rozmowie z Orlikiem Broniewskim, zwierzałem mu się z trapiących mnie obaw, co dalej? Komendanta niema, Legjonów niema. Niemcy nas tu gnębią, zaleźlimy w ciemny kąt. Orlik zgadzał się ze mną, ale „wiesz co?", powiada z namysłem, — „Dziadek wie co robi"...

Chłopie kochany, gdybyś wiedział, czem było wtedy dla mnie to Twoje naiwne, proste słowo. Kiedy mnie nie przekonał Komendant sam, ani później Śmigły, kiedy zdany sam na siebie, uwierzyłem fałszywej wieści, było mi zawsze ciężko i widziałem górę, walących się na mnie trudności. Pokonał mnie i przekonał czar wiary, bijącej ze słów „relutona" z czwartego pułku. Już nie myślałem, a wierzyłem i było mi w duszy lżej i jaśniej. Prawda, przecież On wie co robi...

Stanisław Trella

W OBRONIE SZTANDARU

(Odmowa przysięgi w 4 p. p. Legjonów).

29.IX.1916 r.

Pułk w pozycji „Las Jastrzębiec" przechodzi do rezerwy Komendy Legjonów i zostaje rozmieszczony w lesie Seliwestrówka, dwa kilometry na wschód od Piaseczna.

1.X.1916 r.

Pułkownik Roja wyjeżdża na urlop, jak wtajemniczeni twierdzą, na bezterminowy. Żegnamy go defiladą całego pułku. Wyjazd pułkownika Roji ma mieć podobno związek z dymisją udzieloną brygadjerowi Piłsudskiemu. O dymisji tej krążą przeróżne wieści, między innemi, że powodem miał być generał niemiecki Bernhardi, który odnośnie Komendanta miał się wyrazić „Ich brauche keinen Politikier nur Soldaten", inna że Komendant żądanie swe dotyczące wyjaśnienia sprawy Polski i Legjonów Polskich, a wystosowane do N. K. N., miał poprzeć żądaniem dymisji, którą otrzymał, Legjonom zaś jako ekwiwalent mają dać tytuł „Korpusu". Wiadomościom tym nikt wiary nie daje, wnoszą one ferment, rozgoryczenie, jak i chęć oporu. Niejasność sytuacji potęguje brak wskazówek na przyszłość od Komendanta. Twierdzą, że kazał ludzi oszczędzać, ale to mało, czujemy, że coś się dzieje, czego narazie nierozumiemy.

Sytuację naszą na urlopie ma wyjaśnić pułkownik Roja, który w razie niemożności dania konkretnych wskazówek, ma jako hasło odejścia Legjonów — wnieść podanie o dymisję w drodze przez nasz pułk. Tymczasem komendę 4 p. p. Leg. Pol. obejmuje w zastępstwie major Rylski, znany nam jeszcze z frontu. Nie cieszy się wśród nas zaufaniem i opinją dobrego oficera. Cały czas w rezerwie spędzamy na budowie ziemianek i ćwiczeniach.

3.X.1916 r.

Odczytano nam w rozkazie pułkowym Nr. 257 z dnia 2.X b. r. odezwę trzech brygadjerów, która brzmi:

> W dwuletniej, żmudnej i obfitej w krwawe ofiary walce zdobyliśmy wreszcie pierwszy zrąb Wojska Polskiego — Pierwszy Korpus Polski.
>
> Ten Pierwszy Korpus Polski powstaje na żądanie najstarszych oficerow, łącznie z brygadjerem Józefem Piłsudskim. Jak On będąc wśród nas, tak i my dalej stać będziemy na straży honoru Wojska Polskiego, dlatego niezłomnie trwać będziemy na raz obranej drodze. Nie kieruje nami uczucie, lecz obowiązek Polaka. W obecnych walkach o przyszłość Polski, obowiązek Polaka jest równoznaczny z obowiązkiem żołnierza w szeregach, na których słowa złożyły się walka i krew Legjonów. Obowiązek ten pełnić będziemy nadal i wypełnimy, biorąc pełną odpowiedzialność przed Wami i Narodem za nasze stanowisko i czyny. Wierzymy silnie, iż tak jedynie postępując, realizujemy „Niepodległe Państwo Polskie".
>
> W polu dnia 2 października 1916 roku.

Czy odezwa ta wpłynie na uspokojenie, zobaczymy. Atmosfera zaczyna być gorąca. Występujemy do samoobrony, powstały Rady oficerskie, powstają więc i Rady żołnierskie, do których wchodzą delegaci kompanij i baonów, ludzie zaufania, którzy mają nawiązać kontakt z innymi pułkami i wspólnie o dalszej akcji decydować. Decyzje te podejmowane są łącznie z Radami oficerskiemi, które całej akcji przewodzą. Naturalnie wszystko okryte jest ścisłą tajemnicą, do której dopuszczani są tylko nieliczni i bezwzględnie pewni.

6.X.1916 r.

W związku z sytuacją, jaka się w Legjonach wyłoniła, powstaje myśl masowej wysyłki żołnierzy na tyły, celem zaoszczędzenia sił i przygotowania własnych tajnych kadr w kraju, przez które możnaby nawiązać kontakt ze społeczeństwem i ewentualną współpracę przeprowadzić. Myśl ta jednak ze względu na nieuszczuplanie własnych sił na froncie upadła, tak jak upadły również i inne mające nosić cechy protestu.

Wśród żołnierzy podniecenie wielkie, które narazie przytłumia wiadomość wyjazdu na tyły i niepewność, gdzie, po co, oraz w jakim charakterze jedziemy.

8.X.1916 r.

Od wczoraj jesteśmy zakwaterowani w Baranowiczach w obozie na południe od miasta. Pozornie w pułku panuje spokój, ogólnie zajmują się wszyscy porządkowaniem i przygotowaniem kwater. Jest to jednak cisza przed burzą.

10.X.1916 r.

Zwyciężyła myśl wnoszenia podań o zwolnienie z Legjonów Polskich, względnie przeniesienie do c. i k. armji austrjackiej i dziś wszyscy żołnierze zgłosili się gremialnie do raportu, a jako powód podali: bezowocna dwuletnia walka Legjonów, niejasność sytuacji i brak konkretnych i wyraźnych danych co do rozwiązania sprawy polskiej, oraz dymisja Komendanta, nie dająca rękojmi co do dalszych kroków państw centralnych w stosunku do Legjonów.

Baranowicze — Komenda II baonu 4 p. p. Leg.

W przedkładanych podaniach został podany numer karty wojskowej, data zaprzysiężenia i miejsce przynależności. Podania o zwolnienie wniosły wszystkie pułki, za wyjątkiem 2 i 3 p. p., w których wyłoniła się silna opozycja, poparta przez Pułkownika Sikorskiego (N. K. N.) i Pułkownika Hallera. U nas nieprzychylnie na całą sprawę zapatruje się Major Rylski, nie posiada jednak ani autorytetu, ani siły, by akcji naszej przeszkodzić.

12.X.1916 r.

Mieliśmy odprawę przeprowadzoną na placu alarmowym przez płk. Szeptyckiego, sprawującego w zastępstwie Komendę Legjonów Polskich.

Stawiły się 1, 4, 5, 6 p. p. artylerja i kawalerja I Brygady, a więc te oddziały, które wniosły prośbę o zwolnienie. Odprawa ta była poprzedzoną przez zebranie oficerskie, na którem Płk. Szeptycki odwołał się do rozsądku oficerów.

Zebranym oddziałom Płk. Szeptycki zakomunikował, że podania, które wpłynęły do Komendy Legjonów, zatrzymał i dalej odsyłać nie będzie, gdyż wystąpienie to uważa za bezsensowną dziecinadę, grożącą nieobliczalnemi skutkami w sprawie polskiej, a sam nie czuje się powołanym do tego, by odpowiedzialność za zwolnienie wziąść na siebie.

Sytuację naszą i polityczną przyrównał do sytuacji łódki, znajdującej się wśród burzy na morzu. Łódka miotana silnemi falami zniknie i zginie, jeżeli nie będzie mieć sternika, trzeba więc ją za wszelką cenę utrzymać na powierzchni wody, a zrobić to możemy tylko my. Nasz krok żądający zwolnienia nazwał jawnem samobójstwem i dezercją z pod sztandarów. Twierdził, że jest osobistym przyjacielem Komendanta, którego czci i szanuje i że może nas zapewnić, że Komendant rozwiązania Legjonów Polskich sobie nie życzy, na co dał mu rękę. Wyjaśniał, że odejście Komendanta spowodowane zostało chęcią pracy na polu politycznem, do której jako wojskowy nie miał prawa.

Po wyjaśnieniach tych wdał się w dyskusję z legjonistami, wśród której padły niejedne dwuznaczniki i docinki pod jego adresem.

To wystąpienie płk. Szeptyckiego, w którem wyczuwało się podstęp i chęć zatuszowania całej sprawy, nie przemówiło do rozsądku zebranym, przeciwnie jeszcze więcej podnieciło, do czego nie mało przyczyniły się wieści z 2 i 3 p. p. o szykanach stosowanych w tych pułkach, względem tych, którzy wnieśli prośbę o zwolnienie. Jeden z legjonistów 3 p. p. popełnił nawet samobójstwo, chcąc zaprotestować przeciwko stosowanym represjom. Nic więc dziwnego, że odpowiedzią na wystąpienie płk. Szeptyckiego był ponowny raport o zwolnienie z Legjonów, przy powołaniu się na motywy podane poprzednio.

Znów samobójstwo jednego artylerzysty i ułana; powód — obecna sytuacja Legjonów. Gra zaczyna stawać się gorącą, w skutkach dla niejednego tragiczną.

Major Rylski oświadczył dziś, że mamy odejść na tyły do Królestwa, gdzie rozrzuceni małemi oddziałami mamy zająć się rekrutacją.

Mówią, że N. K. N. ma odejść do Galicji, gdzie ma być wobec Austrji wyrazicielem dążeń polskich, zaś na terenie Królestwa Polskiego ma myśl polską reprezentować C. K. N. wraz z Ligą Państwową.

18.X.1916 r.

Zraniła się sanitarjuszka Kępisz z 2 p. p. z powodu nieuwzględnienia jej prośby o przeniesienie do 4 p. p.

21.X.1916 r.

Odbył się wieczorek ku czci Komendanta Piłsudskiego, na którym omawialiśmy z przedstawicielami innych pułków dalszą akcję. Jedyny legalny sposób porozumienia się, bo inny jest nam wzbroniony.

Komenda Legjonów Polskich w odpowiedzi na nasze stanowisko w sprawie zwolnienia zażądała od nas podpisania deklaracji o treści następującej: „Chcę dobrowolnie wystąpić z Legjonów Polskich, gdyż uważam sprawę polską za straconą. Należą do Ergenzungsbezirckkommando"...

Żądanie to do pułku przesłane było fonogramem. Deklarację tę zgodziliśmy się podpisać z dopiskiem, że „na rozkaz", na co znów Komenda Legjonów nie chciała się zgodzić. Podań nie wycofaliśmy i dalej przy zwolnieniu obstajemy.

28.X.1916 r.

Na żądanie majora Rylskiego powstała w pułku żołnierska herbaciarnia. Pod niewinnym płaszczykiem dostarczania po cenie kosztów herbaty i jedzenia, kryła się myśl odseparowania pułku od innych pułków i niedopuszczenia przez kontrolę agitacji do pułku.

Starania próżne i daremne.

Jednym z wesołych epizodów otwarcia tej kawiarni był fakt, że major Rylski na umożliwienie otwarcia jej zadeklarował z własnej kieszeni 500 koron, kiedy jednak zarząd herbaciarni zwrócił się po te pieniądze do niego odesłał do kasy oficerskiej, która naturalnie przeciwko postępkowi majora Rylskiego energicznie zaprotestowała. Zarząd herbaciarni za wyjątkiem niektórych osób, wbrew życzeniu majora Rylskiego, znalazł się w rękach osób jemu nieprzychylnych.

31.X.1916 r.

Wczoraj popołudniu odbyło się zebranie oficerskie w dowództwie pułku, na którem major Rylski wyjawił oficerom, że Niemcy zadeklarowali Niepodległość Polski, w sprawie zaś armji zadecydowali

jako kadrę użyć własnych oficerów, gdyż polski element Legjonów uważają za materjał niepewny, zrewolucjonizowany, mało zdyscyplinowany i rozagitowany. Uważa jednak, że o ile pułk wycofa złożone prośby o zwolnienia, to rehabilitacja będzie zupełna, a z nią uratowana i sprawa tworzenia armji polskiej. Pod wpływem powyższego i na propozycję jednego z oficerów zostało nad wnioskiem cofnięcia złożonych o zwolnienie podań przeprowadzone głosowanie, które w rezultacie za cofnięciem dało 16-cie głosów a 20-cia przeciw. Na szali głosowania silnie zaważyła nieobecność kapitana Sikorskiego,

Baranowicze. Brygadjer pułk. Szeptycki odbiera raport oddziału ćwiczącego na placu parad

który swym autorytetem prawdopodobnie nie dopuściłby do tego rozłamu, względnie ilość wahających się zmniejszyłby do minimum.

Podczas głosowania ujawnił się niehonorowy czyn majora Rylskiego, który przy liczeniu głosów policzył więcej niż było oficerów na sali.

Nieetycznie zapisał się również jeden z oficerów, który wobec wszystkich oświadczył, że wnoszenie podań o zwolnienie jest wynikiem jawnej namowy a nawet rozkazu Kapitana Sikorskiego, do którego siłą konieczności młodsi oficerowie dostosować się musieli. Mimo zwrócenia mu uwagi na konsekwencje jakie mogą spaść za to oświadczenie na kapitana Sikorskiego, słów swych nie cofnął.

Dzień 5 listopada 1926 r. w Baranowiczach.
II Brygada (3 i 4 p. p.) na placu parad

Dzień 5 listopada 1919 w Baranowiczach. I Brygada na placu parad

Chodzą słuchy, że delegacja w składzie: pp. Łempicki, Brudziński, ks. Radziwiłł, hr. Ronikier, Dzierzbicki, Dikstein wybrana przez Gen. Beselera, miała dnia 27.X wyjechać z przygotowanym i akceptowanym przez Gen. Beselera memorjałem do Berlina i Wiednia, celem uzyskania ostatecznej decyzji w sprawie polskiej.

O samej sprawie polskiej mamy najprzeróżniejsze wiadomości między innemi, że ogłoszenie Niepodległej Polski jest już definitywnie postanowione, ale narazie bez określenia granic, że ma powstać rząd polski, ale bez ministra wojny i spraw zagranicznych, które to resorty mają narazie pozostać w rękach władz okupacyjnych, że ma być utworzoną mieszana komisja niemiecko-austrjacka, która ma uregulować postępowanie i stosunek władz okupacyjnych do rządu polskiego. Praktycznym jednak wynikiem całej tej dużej reklamy ma być tylko zniesienie podziału na okupacje wewnątrz Królestwa.

Nie mało też mówią o zebraniu przedstawicieli, wojska, partyj i stronnictw w mieszkaniu Komendanta, którzy mieli zadecydować o dalszych krokach społeczeństwa.

3.XI.1916 r.

Pułkownik Szeptycki odbył przegląd całego pułku, badał amunicję, stan ekwipunku, warunki hygjeniczne i t. d. Przegląd trwał od godz. 10.20 do 12.30. Wypadł zupełnie dobrze.

5.XI.1916 r.

O godz. 12.10 nadeszła telefoniczna wiadomość o proklamowaniu „Niepodległego Państwa Polskiego" z dziedziczną monarchją, rządem i armją własną.

O godz. 14-ej pułk staje do parady. Stawiły się wszystkie pułki piechoty, delegacje pułków kawalerji i artylerji.

O godz. 14.30 brygadjer pułkownik Haller odczytał głośno ze stopni ołtarza rozkaz Komendy Legjonów Polskich Nr. 244 z dn. 5.XI. 1916 r.

Po odczytaniu rozkazu i proklamacji — wszyscy oficerowie dobywają szabel i podnoszą w górę, a całe zgromadzone wojsko trzykrotnie woła „Niech żyje". Muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła", następnie kapelan i chór odśpiewali suplikacje i Te Deum. Orkiestry pułkowe odegrały „Jeszcze Polska nie zginęła", hymn narodowy niemiecki i austrjacki przyczem wojsko sprezentowało broń.

Po odegraniu hymnów oficerowie podeszli do ołtarza, koło którego niemiecki generał von Adams (komendant 3 Samodzielnej Dywizji Niemieckiej) wygłosił mowę, stwierdzając w niej, że Polacy uzys-

kali własne Państwo i Niepodległość, której dalej bronić muszą i wyraził pewność, że obok czarnego orła pruskiego i dwugłowego austrjackiego znajdzie się w walce o ostateczne zwycięstwo i polski orzeł biały.

Po mowach i gratulacjach pułk w kolumnie półkompanijnej przedefilował przed generałem Adamsem i pułkownikiem Hallerem, poczem udał się do kwater.

Dzień 5 listopada 1916 r. w Baranowiczach. Sztab podczas „Te Deum" przed ołtarzem

Orkiestry grały na ulicach.

Wieczorem w pułkowem kasynie oficerskiem odbył się wieczorek towarzyski dla oficerów i żołnierzy. Był koncert orkiestry i kabaret. Na wieczorku tym obecni byli także oficerowie 3 p. p. oraz kilku oficerów z 1 i 6 p. p.

8.XI.1916 r.

Odczytali nam list biskupa Bandurskiego. Cieszy się serce każdego leguna, kiedy słyszy tego złotoustego kaznodzieję. Wierzy mu, zaufaniem, szczerością i miłością do naszego munduru, patrzą te mądre oczy. Serdecznem też przywiązaniem płacimy Mu za serce i wiarę w nasz czyn. List ten brzmiał.

W chwili dziejowej, gdy zwolna opadają kajdany długiej naszej niewoli, pierwsza myśl polska zwraca się ku Bogu, Twórcy wszelkiego Dobra i Królowej Korony Polskiej, co nad Swym narodem podczas wiekowego bezkrólewia, w bolesnej panowała koronie, z rubinów krwi i pereł potu uwitej, chroniąc nas od ostatecznej zagłady i rozpaczy.

A po odśpiewaniu dziękczynnego „Te Deum" jakiego w Polsce od wieku nie słyszano, ku Wam, Najukochańsi Synowie Narodu, kieruje się myśl nasza i serce nasze.

W roku 1915, pisząc do Was orędzie wigilijne składaliśmy gorące życzenia w słowach: „Bądźcie szczęśliwsi nad tych bohaterów wielkich walk o Niepodległość, którzy lejąc krew i ścieląc kości na pobojowiskach Europy, Ojczyzny wolności nie ujrzeli!

Bądźcie szczęśliwsi nad Legjonistów, co służyli pod znakami Napoleona, nad Belwederczyków zrzucających cara, nad tych z pod Grochowa i Ostrołęki, którzy niezapomniani są i będą w przyszłości, nad tych z krwawej ofiary z 1863 roku, którzy wydeptali szlak Sybirskiej drogi, na szubienicach imię Polaków męczeństwem pisali, wśród mogił deptanych grzebali ziarno przyszłości Ojczyzny! Oni wolnej Obiecanej Ziemi nie oglądali!".

Wy ukochani żołnierze nasi od nich wszystkich szczęśliwsi!

Choć ciężko i mozolnie musieliście przebijać się wśród grobów, ruin i zgliszcz, choć zranieni po wielokroć, chorzy, zbolali i utrudzeni srodze, nie straciliście ducha i zapału i oto dziś doczekaliście dnia najjaśniejszego, w którym Wolności skrzydła rozwijają się nad Polską!

„We krwi twojej żyw", wołałem do Was na froncie w maju b. r. w przeddzień najkrwawszych Waszych zapasów. I zawrzał nanowo najsroższy i najzaciętszy bój z odwiecznym wrogiem narodu... i spłynęła obficiej, niż dotąd bywało serdeczna krew najdzielniejszych dzieci Polski i z krwi ofiarnej Synowskiej zrodziło się życie Matki!

Dzień 5 listopada to dzień największego tryumfu Polskiego Żołnierza! To największe Legjonów święto! Wy Najukochańsi Żołnierze, orężnym Swym czynem uwalniacie dziś Matkę Ojczyznę z hańbiących Ją kajdan niewoli!

Wy ją stroicie w płaszcz purpury królewskiej!

Wy Jej podajecie berło, co wypadło z Matczynej dłoni przed 120-tu laty.

Wy koronę Piastów i Jagiellonów wkładacie na dostojną Jej skroń.

Wy jako Monarchinię wprowadzacie Ją w grono potężnych Narodów i mocarstw!

Waszym rycerskim czynom i bohaterskim wysiłkom, Waszemu trwaniu i wytrwaniu, winna ta Nasza Najmilejsza Matka nowe życie, wolność i chwałę!

A więc Wy już dziś szczęśliwsi od Ojców i Dziadów Waszych, którzy cudu Zmartwychwstania Polski nie widzieli!

Cześć Wam, Żołnierze Polski, za wielki, sławny, orężny Czyn! Cześć Orłowi, co wzbił się najwyżej do lotu i porwał Was za sobą w sfery Wolności i Słońca!

Błogosławieństwo Wam na dalszą trwałą, ofiarną i chwalebną dla Polski służbę!

Błogosławieństwo Wam na dalszą trwałą, ofiarną i chwalebną dla Polski obronę!

Mieliśmy marsz demonstracyjny za pozycjami niemieckimi, w celu zdezorjentowania nieprzyjaciela. Udział wzięła 1 i 2 Brygada wraz z taborami. Marsz trwał od godziny 9.30 do 5.30.

13.XI.1916 r.

W dodatku do rozkładu pułkowego odczytano nam liczne gratulacje jakie z okacji proklamacji Niepodległej Polski nadeszły do komendy Legjonów.

Dzień 5 listopada w Baranowiczach. Przemowa niemieckiego generała v. Adamsa

Dużo opowiadają o przeprawie jaką z gen. Beselerem miał pułkownik Szeptycki na temat tworzenia przez Legjony wojska polskiego, których kadrą generał Beseler uznać nie chciał. Mówią, że opór Beselera i jego nieprzychylne o nas opinje były podyktowane raportem N. K. N. Jednak pułkownik Szeptycki po raporcie w komendzie armji niemieckiej u gen. Ludendorfa przywiózł wiadomość, że Legjony będą kadrą polskiej armji, że mają tworzyć 16-cie pułków i że do 30 b. m. mają wyjechać wgłąb kraju, gdzie wraz z oficerami pruskimi i austrjackimi jako instruktorami mają ćwiczyć nowego rekruta. Przydzieleni jako instruktorzy obcy oficerowie mają być pochodzenia polskiego i poprawnie władać językiem polskim. Armja polska otrzymać ma uzbrojenie, zaopatrzenie i zaprowianto-

wanie od Niemiec, które to koszta Polska ma później Niemcom zwrócić. Powyższe płk. Szeptycki podał do wiadomości oficerom wszystkich pułków po próbnej defiladzie, którą od kilku dni ćwiczymy na przyjęcie króla bawarskiego Leopolda. Wiadomość ta została przez oficerów powitana okrzykiem: „Niech żyje brygadjer hr. Szeptycki".

Baranowicze — ulica C w obozie X. Kasyno oficerskie 4 p. p.

Podczas powrotu pułku z placu parad, gdzie obok siebie stały 4 i 5 p. p., odbyła się manifestacja zbratania, które przejawiło się w wymianie okrzyków „Niech żyją Czwartacy! — niech żyją Zuchowaci!"

16.XI.1916 r.

Podczas wczorajszej strasznej niepogody defilowaliśmy przed królem Bawarskim. Defilada wypadła doskonale co stwierdza rozkaz puł-

kowy Nr. 294 z dnia 15 listopada, który podkreśla, że wyróżnialiśmy się postawą i sprawnością.

Z rozkazu płk. Hallera zebrali się dziś o godz. 14-ej oficerowie wszystkich pułków w kasynie oficerskiem 4 p. p. dla złożenia życzeń i podziękowania za starania o Legjony obecnemu Komendantowi Legjonów pułkownikowi Szeptyckiemu. Wchodzącego pułkownika Szeptyckiego orkiestra 4 p. p. powitała pieśnią „Jeszcze nie zginęła", następnie brygadjer pułkownik Haller zwrócił się do niego z przemową, w której głosił jego zasługi i złożył mu życzenia w imieniu wszystkich obecnych, zapewniając go o pełnem zaufaniu, jakiem się wśród legjonistów cieszy, poczem wzniósł okrzyk: „Pułkownik hr. Szeptycki niech żyje". Po krótkiej odpowiedzi płk. Szeptyckiego, odbyło się ożywione „cercle" przy dźwiękach orkiestry 4, 5 i 2 p. p.

Mówią, że na uroczystość proklamacji w Krakowie zaproszono tylko płk. Roję i Sosnkowskiego, nie poproszono natomiast Komendanta. Gdy się o tem dowiedziano i niebecność Komendanta zauważono, Leguny pomaszerowały do mieszkania, zabrały Go na ramiona i zmusiły do wzięcia udziału.

Komendant stał się dziś duszą, sercem i myślą każdego leguna. Jego wola — to rozkaz dla wszystkich.

17.XI.1916 r.

Z rozkazu Komendy Legjonów wydzielono do służby werbunkowej wszystkich żołnierzy nienadających się do służby linjowej.

19.XI.1916. r.

Zbieramy jako pułk pochwałę za pochwałą. Po wizytacji naszych kwater przez niemieckiego doktora w randze generała, którego zdziwił nadzwyczajny i wzorowy porządek panujący w rejonie pułku tak, że wywołał zapytanie czy i tu kwaterują legjoniści, płk. Haller dziękując 4 pułkowi nadmienił, że przynosi to zaszczyt tylko jednemu pułkowi, kiedy inne nie są godne wspomnienia i jako całość dają marne świadectwo o wartości Legjonów:

Pułk nasz w opinji ogólnej uchodzi za jeden z najwięcej zdyscyplinowanych i karnych pułków, zaliczony jest do umiarkowanych, i w dowód uznania ma w dniu 29 b. m. wkroczyć do Warszawy. Dla podniesienia stanów ćwiczebnych uzupełniony zostaje przez żołnierzy z kadry.

21.X.1916 r.

Dochodzą nas słuchy, że zamiast stać w Warszawie, za obóz wyznaczono nam Modlin. Wielkie z tego powodu w pułku rozgoryczenie. W Warszawie ma stać prawomyślny 3 p. p.

24.XI.1916 r.

Rozkazem Komendy Legjonów został wprowadzony stary wojskowy ukłon polski dwoma palcami, dłoń na zewnątrz.

27.XI.1916 r.

1 i 5 p. p. odjechały do nowych miejsc postoju w Królestwie. Przygotowujemy się do wyjazdu.

Wejście 4 p. p. do Warszawy. Sztab 4 p. p.

30.XI.1916 r.

Jesteśmy w Warszawie, dokąd wyjechaliśmy z Baranowicz w nocy dnia 29.XI. Kwaterujemy w koszarach na ulicy Nowowiejskiej, oficerowie w hotelach. Dla żołnierzy wyjście na miasto wzbronione.

1.XII.1916 r.

Godz. 8.30. wymarsz pułku na paradę. Wszyscy posiadają gałązki świerkowe przy czapkach. Pułk maszeruje ulicą Nowowiejską, Marszałkowską do Al. Jerozolimskich, gdzie przed dworcem zatrzymuje się uszykowany w jeden rzut, mając na przeciw siebie 3 p. p. Następuje powitanie Legjonów przez delegację m. st. Warszawy i delegacje stowarzyszeń, na które odpowiada krótko płk. Szeptycki i kończy okrzykiem „Wolna Niepodległa Polska niech żyje". Wojsko powtarza „niech żyje". Po powitaniu uroczysty przemarsz przez Al. Jerozolim-

skie, Nowy Świat na Plac Saski, gdzie odbywa się dalszy ciąg parady, przed niemieckim generał-gubernatorem, gen. Beselerem. Po odbyciu przeglądu generał Beseler przemawia po niemiecku do Legjonów, tłumaczy z miejsca na język polski płk. Szeptycki. Mówi o osiągnięciu wolności i niepodległości, o tworzeniu armji polskiej i t. d., poczem mowę swą kończy okrzykiem: „Wolna Niepodległa Polska niech żyje!" Orkiestra niemiecka gra „Boże coś Polskę", następnie defilada przed generałem Beselerem, stojącym przed hotelem Bristol, poczem pułk

Wejście 4 p. p. do Warszawy. Parada na Saskim Placu

odchodzi na Pragę, gdzie w fabryce Wulkan zostaje przez obywatelstwo miejscowe przyjęty obiadem. Oficerowie udają się po defiladzie na Zamek, gdzie zostają przedstawieni generałowi Beselerowi, który na cześć Legjonów wydaje śniadanie urozmaicone toastami.

O godz. 16.30 pułk odjeżdża do Pomiechówka, pod Modlinem, gdzie zostaje zakwaterowany.

Przejęcie przez obywatelstwo warszawskie wkraczających z 3 i 4 p. p. i 2 p. ułanów odbyło się bez entuzjazmu i serdeczności. Wyczuwało się sztywność i rezerwę, patrzono na nas, jak na ludzi obcych, we wzroku obserwujących mieszkańców więcej było pytania i niepokoju niż uznania i szczerości. Jawnie szydzono, nazywano płatnymi żołdakami, jurgieltnikami i kiedy myśmy wzrokiem radości i miłości patrzyli na wszystkich i na wszystko, spotykaliśmy milczenie i chłód. Tak w początku przyjmowała nas Warszawa, później zaś kiedy się

zorjentowała w pułkach, pomijając wszystkich innych milczeniem, 4 p. p. witała okrzykiem „4 p. p. niech żyje, Komendant Piłsudski niech żyje, niech żyją wierni Piłsudskiemu Czwartacy". Tu lody nieufności trochę prysły, pokazał się uśmiech na niejednej twarzy, zawód jednak głęboki i przeświadczenie o nieporozumieniu pozostały.

29.XII.1916 r.

Liga kobiet przysłała do pułku upominki, i jest z tego powodu troszkę wesela i radości. Nie przedstawiają one wielkiej wartości pieniężnej, większą natomiast mają dla nas wartość moralną. Pamięć o nas zawsze nas cieszy i otuchy dodaje.

2.I.1917 r.

Znaleźliśmy się w Zegrzu pod Jabłonną w tak zw. przez Niemców „Polieranstalcie". Czyżby mieli nas tutaj zamiar wypolerować? Jak na Nowy Rok to tranzlokacja i zapowiedź niezła.

4.I.1917 r.

Zamiar polerowania pomału sprawdza się, zajęcia i ćwiczenia mamy od godz. 8.30 do godz. 18., w każdej kompanji jeden Niemiec jako instruktor. Wykłady w języku niemieckim — usiłują mieć z nas typowych Niemców. W karbach trzymają ostro, wyjazdy a nawet wyjście do wioski, odległej o jeden kilometr od koszar wzbronione.

5.II.1917 r.

Rozkazem wczorajszym paru oficerów i kilku starszych podoficerów zostało odkomenderowanych do niemieckiego obozu ćwiczebnego w Zegrzu północnym, dla odbycia trzechtygodniowego kursu oficerskiego.

26.II.1917 r.

Kurs ukończony, wracamy do pułku, szkoda jednak zmarnowanego czasu, bo Niemcy nas nic nie nauczyli i niewiadomo czy nie chcieli, czy nie mogli, w wyniku jednak zero dali. Materjał ludzki mają marny, jest albo za młody, albo za stary, przyczem djabelnie boją się frontu, a specjalnie frontu francuskiego. Dyscyplina tylko szalona, czy bardzo mądra nie powiem. To nie dla nas, my i bez tego swoje zrobimy.

6.III.1917 r.

Za waleczność na froncie posypały się na pułk odznaczenia austrjackie. Spóźnili się — nie bawią nas one.

Odczytano nam w rozkazie pułkowym Nr. 6 z dnia 5 marca 1917 r. następujący uroczysty adres Rady Stanu:

„Tymczasowa Rada Stanu z głębokiem uczuciem radości przyjęła adres Komendy Legjonów Polskich. Szczęśliwi jesteśmy, że bohaterskie pułki Legjonów, pod naszą przechodząc opiekę, staną się kadrami narodowego wojska.

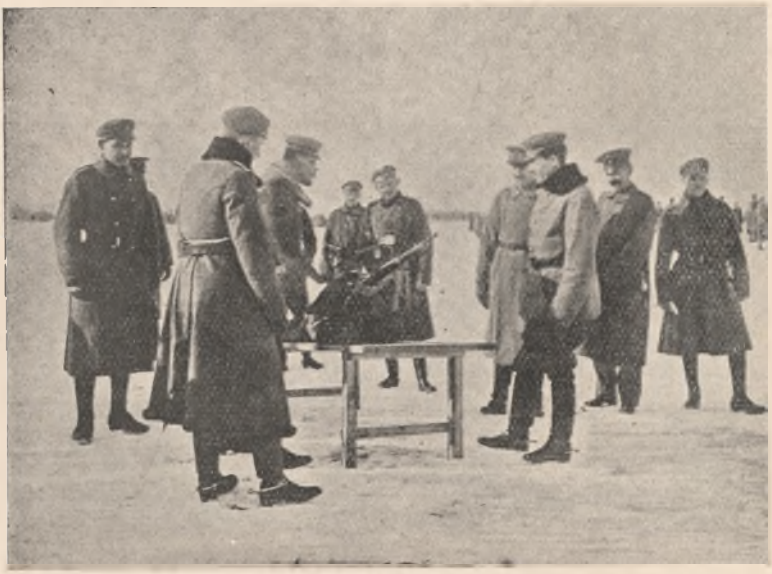

Obóz ćwiczeń w Zegrzu. Przegląd baonu rekrutów 4 p. p. przez bryg. Hallera

Hojna ofiara młodego życia w walce ze śmiertelnym wrogiem składana — bojowników o wolność krwawy obowiązek, od zarania wojny tak chwalebnie spełniany, — nową dla naszego życia przygotowały epokę. Odtąd Władza państwowa Polska stać będzie na polskim żołnierzem, na którym spocznie szczytny obowiązek obrony i utrwalenia granic Wolnej Ojczyzny.

W zespoleniu wszystkich sił młodego Państwa polskiego dla twórczej pracy wojskowej w oparciu się na dotychczasowych tradycjach wojennych Legjonów Polskich — Tymczasowa Rada Stanu widzi niewzruszoną rękojmię bytu i rozwoju polskiej Armji Narodowej.

Marszałek Koronny *W. Niemojewski,*
Sekretarz Tymczasowej Rady Stanu *Artur Śliwiński.*

(Odprawa Komendy Legjonów Nr 58 p. z dnia 4 marca 1917 r.".

1.IV.1917 r.

Mieliśmy niemałą awanturę. Posterunek niemiecki przy piekarni aresztował legjonistę z 3 p. p. za to, że miał kraść chleb przez okno, a kiedy legjonista chciał mu zbiec, Niemiec bez żadnej zapowiedzi oddał dwa strzały i czwartaka na miejscu trupem położył. Zajście to poruszyło wszystkich i gdyby nie natychmiastowe zarządzenie przez płk. Hallera dwudniowych ćwiczeń w Wieliszewie, kto wie czem by się to było skończyło.

13.IV.1917 r.

Wreszcie się odezwali. Ogłoszono nam następujący rozkaz pułkowy Nr. 99 z dnia 12 kwietnia 1917 r. (rozkaz Komendy Legjonów Polskich Nr. 285).

Podaję do powszechnej wiadomości nadesłany dziś do Komendy Legjonów telegram Jego Ces. i Król. Apost. Mości Cesarza Karola I.:

Nr. 61200/P.

Do Dowództwa Polskiego Korpusu Posiłkowego!

Dla celów wojska polskiego oddaję Korpus Posiłkowy Polski do rozporządzenia Generał-Gubernatora warszawskiego, któremu zorganizowanie wojska tego poruczono.

Oddanie Korpusu następuje według umowy zawartej między obu naczelnemi dowództwami. Okażcie się godnymi czasów wielkich, stanowiących o losie narodów, czasów, w zmartwychwstałe Państwo Polskie, jako przedmurze i religji i kultury zachodniej na żywot nowy. Wijcie świeży wieniec wawrzynu dokoła okrytego chwałą Orła polskiego! — Oby Najświętsza Matka Boża Częstochowska osłaniała Was we wszelkich potrzebach. — Wojsko moje zachowa Wasze męstwo, dowiedzione w wielu wspólnych bojach, w wiernej pamięci. Karol w. r.

Od Jego Ekselencji Generał-Gubernatora Warszawskiego von Beselera otrzymałem następujący Rozkaz dzienny.

Na mocy umowy między Niemcami a Austro-Węgrami Korpus Posiłkowy Polski wychodzi z dniem dzisiejszym ze związku armji austrjacko-węgierskiej i przechodzi pod moje rozkazy, ażeby utworzyć w myśl życzenia narodu polskiego i przy współdziałaniu Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego, rdzeń wojska polskiego, mającego powstać niezwłocznie. Polscy Towarzysze broni! Macie narazie, zdala od placu boju, pracować uporczywie nad wychowaniem rodaków waszych na tęgich żołnierzy, a przez to stworzyć dla Ojczyzny Waszej, dla Królestwa Polskiego oręż godny chlubnej tradycji dawnych wojsk polskich. Liczę na posłuszeństwo i karność Waszą i witam Was!

Są to pierwsze jaskółki rozwiązania sprawy wojska polskiego. Czy o warunki pytać nas nie będą? Idziemy pod komendę, której twardą rękę, butę i nieustępliwość dobrze znamy.

24.IV.1917 r.

Miał być wieczorek ku czci Komendanta, jednak i tego zrobić nam nie wolno, gdyż wszechwładny Beseler zabronił czcić czyn, myśl i wiarę jakie Komendant sobą uosabia. Sprzymierzeńcy zabronili, słuchać musimy, ale pozornie, bo bez próżnych gestów, mów i toastów wprawdzie potajemnie, ale wieczorek się odbył. Swoje zrobiliśmy czcimy Go i kochamy, a za kark nasz twardy wziąć się nie damy.

26.IV.1917 r.

Po odbytym przeglądzie przez brygadjera płk. Hallera, ogłoszono nam następujący rozkaz Komendy 2 Brygady Legjonów Polskich, Op. Nr. 132/II. z dnia 25.V.1917 r.:

„1) W dniach 21, 22, 23 b. m. odbyty przegląd obu pułkow 2 Brygady stwierdził wyborną postawę żołnierza w obu pułkach, co z zadowoleniem podnoszę, zaznaczając jednak, że wskazówki zawarte w rozkazie Brygady Nr. Op. 113/1 z dnia 5 maja b. r. zostały wypełnione z zupełnem zrozumieniem ważności sprawy jedynie przez pułk 4-ty.

Komenda 4 p. p. okazała gorliwość i inicjatywę w pracy nad udoskonaleniem swych oficerow, podoficerów i żołnierzy w sztuce wojskowej i podnoszeniem wartości kadrowej Legjonów, które mogą i powinny stać się gwardją polską.

Podnoszę wyborną sprawność tego pułku, okazaną zarowno na placu musztry jak w polu i na torze szturmowym, oraz ład i czystość, panujące w koszarach.

2) Komenda 3 p. p. przystąpi niezwłocznie do wypełnienia w całej rozciągłości wymienionego rozkazu, w szczególności zaś do budowy pola szturmowego celem przeprowadzenia kolejno wszystkich żołnierzy przez systematyczne ćwiczenia szturmowe.

3) Przypomina się, że do musztry i do ćwiczeń polowych należy tworzyć jednostki o stanie zbliżonym do bojowego t. j. najmniej 40 ludzi w plutonie.

4) Raz na tydzień należy przeprowadzić ćwiczenia polowe w rynsztunku z możliwie pełnem obciążeniem.

5) Przy ćwiczeniach polowych zasiewy należy uważać za przeszkody nie do przebycia (np. bagno lub jako ogród wysoko oparkaniony i t. d.) Haller".

28.IV.1917 r.

Dziś ogłoszono nam następujący rozkaz o zaszłej zmianie w Komendzie Legjonów:

„Komenda Legjonów Polskich. Warszawa, dnia 27 kwietnia 1917 r.

ROZKAZ Nr 289

Podaję do powszechnej wiadomości rozkaz Jego Ekselencji von Beselera z dnia 25 b. m. L. 157/17 Pers.

„Jego C. i K. Apostolska Mość zamianował płk. bryg. hr. Szeptyckiego Komendanta Polskiego Korpusu Posiłkowego wojskowym Generał-Guberna-

torem w Lublinie. Jego zastępstwo jako Komendant Legjonów Polskich obejmuje z kolei pułkownik brygadjer Zieliński. Zastępstwo płk. bryg. Zielińskiego obejmuje najstarszy rangą komendant pułku III Brygady piechoty który jednocześnie zatrzyma dowództwo swego pułku. v. Beseler.

Zieliński, płk. bryg.

Na mocy powyższego rozkazu obejmuję z dniem dzisiejszym Komendę Legjonów Polskich, Komendę III Brygady obejmie ppłk. Mieczysław Norwid-Neugebauer, przy jednoczesnem zatrzymaniu komendy 6 p. p. Leg. Pol.

Obejmuje nad nami dowództwo nie polityk, a żołnierz stary i doświadczony, wypróbowany w boju dowódca, o żelaznym charakterze i nieugiętej woli. Znają go Karpatczycy, cenią i kochają za rozumną brawurę, żołnierską szczerość i ojcowskie obchodzenie się. Na trudną przychodzi sytuację, liczymy, że jego prawy żołnierski charakter, nie znający układów i ustępstw, znajdzie drogę godną polskiego żołnierza.

Wyjeżdżamy do Łomży. O naszem zwolnieniu nic nam nie mówią. Wyczuwamy, że sprawy nasze z każdym dniem coraz gorzej stoją.

3.V.1917 r.

Kwaterujemy w Łomży w koszarach wygodnych, w których przed nami stał 1 p. p. Wśród miejscowego społeczeństwa spotykamy szacunek i pewną przychylność, to też lepiej się czujemy, a lepsze warunki codziennego bytu dodają nam otuchy i wiarę w przyszłość.

9.V.1917 r.

Złudna chwała, krótka radość. Wczorajszy oficerski rozkaz pułkowy Nr. 32 z dnia 4.VII.1917 r. brzmiał:

„Rozkazem dowództwa Leg. Pol. Nr. 136 z dnia 2 b. m. zostali przeznaczeni do obozu ćwiczeń:

Do obozu ćwiczeń Nr. 2 — kapitan Więkowski Mieczysław. Do obozu ćwiczeń Nr. 3 — kapitan Smolarski Władysław. Od obozu ćwiczeń Nr. 4 — kapitan Grzybowski Witold, Kustroń Józef, porucznik Hoszowski Józef, Maćkowski Zdzisław, pporucznik Krudowski Zygmunt, Berling Zygmunt, Jędrychowski Stefan, Jancarz Henryk, Jedynak Jan, Klimek Stanisław, Klementowski Stanisław, chorąży Sujkowski Władysław, Laliczyński Bronisław. Do obozu ćwiczeń Nr. 6 — chorąży Rakisz Mieczysław, Nowosielski Gustaw.

Przydzieleni do obozu oficerowie zameldują się w obozach ćwiczeń u Komendanta obozu w dniu 5 lipca b. r.

Odjazd oficerów przeznaczonych do obozu ćwiczeń Nr. 4 nastąpi jutro dnia 5 b. m. o godz. 7-ej rano z dziedzińca koszar. Na pożegnanie stawią się tamże o godz. 8.45 rano wszyscy oficerowie oraz muzyka pułkowa.

Tabor dostarczy na godz. 6.15 rano jedną furę na bagaże oficerskie pod cerkiew oraz cztery fury z siedzeniami dla oficerów odjeżdżających do Zambrowa na godz. 6.30 rano również pod cerkiew. Dowódca pułku Galica. ppłk.".

Stworzono więc obozy ćwiczeń, podzielono nas na t. zw. „Neben, nud National — Polen", wydzielono Królewiaków i wraz z wyznaczonymi na instruktorów oficerami wysłano do Zambrowa do t. zw. „Lebrbaonu", gdzie mają się szkolić na przyszłych instruktorów armji polskiej i stać się jej kadrą. O nas Małopolanach ani słowa. Narazie Komenda pułku zażądała dokładnej naszej ewidencji z podaniem daty powołania do wojska, ewentualnego zwolnienia z czynnej służby austrjackiej, numera przynależnego pułku austrjackiego, co jakoś nie bardzo różowo świadczy o naszej dalszej w wojsku polskiem egzystencji.

Jak słuchy chodzą mamy stworzyć austrjacką obronę krajową, ale nie mówią gdzie i z jakiem przeznaczeniem. Jeżeli liczą na naszą głupotę i niezachwianą wierność do tronu, to się głęboko zawiodą, za cesarza bić się nie myślimy a krwią za to co mamy, to po lichwiarsku już zapłaciliśmy.

Coraz więcej szykan ze strony Niemców. Nam poddanym austrjackim nic nie sprzedawać ani dawać nie chcą, twierdząc, że my ich już nic nie obchodzimy tylko Zambrów i inne obozy. Sprawa ta miała oprzeć się o Komendę Legjonów, ale czy gen. Beseler na lepsze załatwienie sprawy zezwoli, to jeszcze pytanie. Tu już dziś nie Komenda Legjonów decyduje, tu Niemcy warunki dyktują. Nienawiść też ku nim z każdym dniem większa.

Coraz więcej szepcą o rozruchach jakie mają przyjść w Królestwie. Chętnie pomoglibyśmy.

17.V.1917 r.

Horyzont zaczyna się trochę zaróżawiać. W związku z pobytem delegacji, która zgłosiła się dnia 14.V u Marszałka Koronnego z prośbą o nadanie austrjackim poddanym obywatelstwa polskiego, Rada Stanu miała na posiedzeniu dnia 15.V uchwalić wniosek, który projektuje wydanie następującego rozporządzenia:

Art. 1. Zgodnie z obowiązującem w Królestwie Polskiem prawem, żołnierze i oficerowie Legjonów Polskich i wogóle Wojska polskiego, nie będący poddanymi Królestwa Polskiego, mogą jeżeli tego zażądają w każdym czasie obywatelstwo Królestwa Polskiego uzyskać.

Art. 2. Dla urzeczywistnienia prawa, w artykule 1 wyłuszczonego, żołnierz lub oficer, życzący sobie przyjąć obywatelstwo Królestwa

Polskiego, składa odnośną deklarację w Komendzie pułku, do którego należy. Do deklaracji dołączone będą osobiste dowody legitymacyjne.

Art. 3. Żołnierze i oficerowie, nie należący do poszczególnych pułków, składają deklarację, o których mowa w artykule poprzedzającym w Komendzie Legjonów.

Art. 4. W komendach pułkowych i w Komendzie Legjonów prowadzone będą księgi, do których wciągane być mają imiona i nazwiska żołnierzy i oficerów, którzy poddaństwo polskie stosownie do niniejszych przepisów przyjęli, ze wskazaniem ich rangi i stanowiska wojskowego i z powołaniem na dowody osobiste, które do księgi dołączone będą.

Art. 5. Każdy żołnierz lub oficer, który przyjęcie do poddaństwa polskiego zadeklarował, otrzyma na żądanie od Komendy pułku lub Komendy Legjonów świadectwo o tem, że jest obywatelem Królestwa Polskiego.

Art. 6. Po wystąpieniu ze służby wojskowej każdy, przyjęty na zasadzie powyższych przepisów, obywatel Królestwa Polskiego będzie mógł zapisać się do ksiąg stałej ludności w jednej z gmin w kraju.

Art. 7. Przepisy niniejsze wchodzą natychmiast w życie".

Treść wniosku dosyć obiecująca.

O zachodzących nieporozumieniach między Niemcami i Austrją coraz to głośniej, fakt ten ogromnie nas cieszy.

Nie przeszkadza to jednak Niemcom by dalej butnie i pewnie występowali. W Zambrowie kazali wdziać królewiakom niemieckie mundury i na lewem ramieniu naszyć polski orzełek. Rozkaz ten wywołał kolosalny sprzeciw i gdyby nie natychmiastowy przyjazd płk. Zielińskiego, Berbeckiego i niemieckiego generała Bartha, doszłoby zapewne do ostrych zajść. Generał Barth i pułkownik Zieliński mieli oświadczyć, że zarządzenie to jest tylko tymczasowe, co odniosło ten skutek, że Królewiacy oświadczyli się dotąd cicho siedzieć, dopóki nie będą ich zmuszać do rzeczy wbrew ich tradycji i dotychczasowemu postępowaniu.

Ponieważ Zambrów mimo zajętego stanowiska czekał na nasze decyzje 4 p. p. uchwalił następującą rezolucję:

„Zważywszy, że mundur legjonisty trzechletnią tułaczką zszarzały i krwią ociekły z woli własnej i rozkazu Komendanta przywdziany, może być zrzucony względnie zmieniony li tylko rozkazem prawowitego rządu polskiego, lub prawowitej Polskiej Komendy Wojskowej, a nie rozkazem niemieckim z Abteilung Polnische — Wehrmacht, idącym wbrew woli i żądaniom społeczeństwa i Legjo-

nów, oświadczamy, że munduru pruskiego stanowczo nie przywdziejemy. Czynimy to nadto z powodu, by w zarodku stłumić wszelkie chytre plany pruskie, zmierzające do wywołania sztucznych różnic kordonowych w Legjonach z jednej, a między nim a społeczeństwem z drugiej strony".

Rezolucję tą natychmiast przesłaliśmy do Zambrowa. Doręczył ją sierżant Orlik.

6.VI.1917 r.

Coś źle dzieje się z naszymi sprzymierzeńcami, zaczynają się skarżyć i guzy obrywać. Ogłoszono następujący rozkaz:

„Komenda Legjonów Polskich.

ROZKAZ OFICERSKI Nr. 127.

Warszawa, dnia 2.VI.1917 r.

Mnożą się ustawicznie skargi ze strony władz ces. niem. na wrogie usposobienie żołnierzy polskich wobec podoficerów i żołnierzy niemieckich. W niektórych wypadkach dojść miało do użycia gróźb, a nawet usiłowania pobicia. Pożałowania godne starcia poza lokalnemi nieporozumieniami wpływają jeszcze na całość wzajemnego stosunku obu armji i wytwarzają trudną sytuację.

Komendanci oddziałów i pododdziałów wpłyną na podległych im żołnierzy w duchu uspakajającym i godnym honoru munduru żołnierza polskiego, należy użyć wszystkich swych wpływów dla usunięcia anormalnych stosunków. Liczę na wypróbowany takt i doświadczenie oficerów, którzy zaoszczędzą mi konieczności stosowania ostrzejszych środków.

Interesującym jest również następujący rozkaz:

„Komenda Legjonów Polskich. Rozkaz Oficerski Nr. 128. Warczawa, dnia 55 czerwca 1917 r.".

Doszło do mojej wiadomości, że niektórzy dowódcy pułków zezwalają na zebrania oficerskie, na których traktuje się o przedmiotach, przekraczających kompetencję zebrań oficerskich.

Wyjaśniam, że wszystkie sprawy służbowe winny być przedstawione wyłącznie w drodze służbowej, a to przez dowództwo kompanji — dowództwu bataljonu, a przez dowództwo baonu — dowództwo pułku, a przez to ostatnie — mnie.

Wyjaśniam dalej, że odpowiedzialność za te przedstawienia mają prawo i obowiązek przyjmować na siebie wyłącznie odpowiedni dowódcy i że występowanie w imieniu całego korpusu oficerskiego w sprawach służbowych świadczy o niechęci brania na siebie całkowitej odpowiedzialności.

Powtarzam — obozy ćwiczeń, jak to już kilkakrotnie było omawiane i podane w rozkazie, nie mogą być wyłącznie kadrami odnośnych pułków, ponieważ mają one za zadanie uzupełnienie nietylko pułków obecnie istnie-

jących, lecz i utworzenie nowych formacyj. Pułki same dla siebie są kadrami i w przysłości wydzielą swe własne bataljony uzupełniające.

Materjał instruktorski, żołnierski do obozów ćwiczeń został wybrany przez dowództwa pułkowe i obecnie na mocy raportów starszych oficerów jest wymieniany, przyczem, jak to widać z rozkazów wysłanych do wymiany, w liczbie nowo posyłanych podoficerów i żołnierzy większość pochodzi z Galicji. (W obozie ćwiczeń Nr. 3 na 28 wymienionych 18 z Galicji).

W każdej armji państw ucywilizowanych nie rozporządza się dowództwo pułku materjałem oficerskim poza obrębem pułku.

Dowództwa wyższe rozporządzają nim na mocy list kwalifikacyjnych, w koniecznych wypadkach zwracając się do dowództw pułków po więcej detaliczne dane.

Komenda L. P. dostała listy kwalifikacyjne, przedłożone w Baranowiczach, na mocy których ma się rozwijać armja polska.

Co dotyczy podawania próśb o zmianę poddaństwa, dowództwo Legjonów w porozumieniu z Radą Stanu rozesłało formularze do wypełnienia i uważa sprawę za załatwioną. (—) Zieliński, płk.".

Z powyższego należy wnosić, że ze strony okupantów przychodzą pierwsze ustępstwa, które zapewne będą wynikiem tych wszystkich objawów ogromnego wzburzenia, panującego wśród żołnierzy.

24.VI.1917 r.

Szef Sztabu Komendy Legjonów płk. Berbecki odczytał nam następującą odezwę Marszałka Koronnego z dnia 21.V b. r.:

„Do wojska polskiego. Krew, którą przelaliście, spełniła swe zaszczytne zadanie. Sprawa polska stała się ogólno-europejską i wszechświatową. Ojczyzna spisze złotemi zgłoskami imiona swych synów, którzy w obronie jej praw polegli.

Pamiętać ona będzie o tych, którzy w boju za nią zaszczytne blizny odnieśli, te prawdziwie narodowe ordery i o tych, którzy dokoła sztandaru skupieni do końca wytrwają, choćby w warunkach nad wszelki wyraz trudnych i ciężkich.

Tego sztandaru strzeże i Tymczasowa Rada Stanu.

Uważała ona zawsze sprawę Legjonów za swoją własną sprawę i uzależniała dalsze swe istnienie od tego, jak sprawa wojska polskiego postawiona zostanie.

Na mocy tego i przepisów posłuszeństwa względem rządu narodowego Rada Stanu, jako ciało rząd polski zastępujące i do tego dążące, wzywa wojsko polskie do spokoju i rozwagi; żąda przestrzegania najściślejszej karności i posłuchu względem ustanowionych Komend jawnych i oświadcza;

1) że wojsko polskie złoży przysięgę jedynie według roty zaakceptowanej przez Radę Stanu;

2) że podział na oddziały wojskowe i oddziały ćwiczeń rekrutów jest jedynie czasowym, a jednolite dla wojska mundury będą wykonane podług wzorów przyjętych przez Komisję Legjonową, komendantów brygad, pułkowników i oddziałów;

3) że językiem urzędowym w wojsku polskiem jest i pozostanie jedynie język polski;

4) że wszelkie obawy o wcielenie kogokolwiek wbrew jego woli do wojsk obcych uważa za płonne.

Przyczem Rada Stanu zwraca na to uwagę, że procedura karna dotychczasowa austrjacka była również obcą z powodu braku polskiej wojskowej procedury karnej.

Rada Stanu stoi wogóle na stanowisku:

1) że z istoty swojej wojsko winno być zawsze podporą prawowitego rządu i nie może brać czynnego udziału w walce o prawa państwowe bez wyraźnego rozkazu tego rządu;

2) że mieszanie się wojska do polityki jest oznaką zupełnego braku zaufania do rządu.

Nawet w najpotężniejszych państwach bywa to przyczyną zaburzeń wewnętrznych, obcej interwencji i rozkładu państwa.

Przeto wzywa Rada Stanu jeszcze raz do zachowania spokoju, równowagi i karności względem Komend właściwych, z któremi pozostaje w ścisłym kontakcie, gdyż inaczej położenie jej byłoby trudne, a wtrącanie się wojska do spraw, będących atrybutem rządu poniża powagę Rady Stanu tak na zewnątrz jak i na wewnątrz kraju i wywołać może wprost nieobliczalne i dla tak umiłowanej przez nas Ojczyzny zgubne skutki.

Marszałek Koronny Tymczasowej Rady Stanu Król. Pol. Niemojowski mp.

Odezwa ta pozostała bez wrażenia, do wiadomości jej nie przyjęliśmy stwierdzając, że nie jest to uchwała Rady Stanu a tylko list prywatny Marszałka i że polecenia zawarte w nim są dla nas najzupełniej niezrozumiałe. Wobec powyższego, listu tego jako rozkazu przyjąć nie możemy i respektować nie będziemy. Taką odpowiedź daliśmy płk. Berbeckiemu.

23.VI.1917 r.

Bunt coraz większy opanowuje żołnierzy. Chęć bezwzględnego oporu zyskuje na sile, żołnierz wierzy swym zaufanym i czeka na słowo Komendanta. Gotów do wszystkiego, więc też wszystko stawia na kartę, ponieważ grę rozpoczął więc też chce skończyć ją z honorem.

Płk. Berbecki po otrzymaniu we wszystkich pułkach odmownej odpowiedzi podał się do dymisji, którą umotywował:

1) faktem nieodpowiedniego postępowania z legjonistami w obozach ćwiczeń, gdzie obowiązują rozkazy wydawane tylko przez niemieckich oficerów, przyczem oficerowie legjonowi nie są respektowani;

2) wydawaniem w obozach komendy w języku niemieckim i dopiero przez tłumacza powtarzanie jej w języku polskim;

3) brakiem ścisłych danych co do organizacji wojska polskiego.

5.VII.1917 r.

Mamy wrażenie, że w stosunku do nas małopolan zostanie w całości zastosowane przysłowie: „murzyn swoje zrobił, murzyn może odejść".

Rada Stanu na posiedzeniu plenarnem dnia 3.VII b. r. po wysłuchaniu i rozważeniu roty przysięgi, ułożonej przez oba mocarstwa centralne, uchwaliła zwrócić się do gen. Beselera z wnioskiem o wydanie zarządzenia zaprzysiężenia wojska polskiego z tem, że przysięgę mają składać wyłącznie Królewiacy. Termin uroczystej przysięgi, która wraz z wojskową paradą ma odbyć się na stokach Cytadeli, wyznaczono na dzień 9.VII, w którym do Warszawy mają być wysłane jako delegacje kompanje poszczególnych pułków piechoty, składające się tylko z Królewiaków. Oburzenie na takie rozwiązanie sprawy ogarnia wszystkich bez wyjątku.

Nie jest nam znaną treść przysięgi, jak również niezrozumiałym jest dla nas powód wyodrębnienia Królewiaków. W pułku jak w ulu, grupki żołnierzy żywo dyskutujące przewalają się z miejsca na miejsce, zdania, sądy i wnioski w błyskawicznej szybkości krzyżują się ze sobą. Zambrów czeka na decyzję, chce wiedzieć co pułk postanowił.

A decyzję tak trudno powziąć nam przychodzi, tak ciężko przyjąć odpowiedzialność już nie za nas, ale za sprawę, którą reprezentujemy. Czujemy się bardzo odosobnieni tem więcej, że prócz wyrzutów nic więcej nie słyszymy.

Zdenerwowanie widać na wszystkich twarzach. Wspólne posiedzenia zaufanych rad oficersko-żołnierskich trwają bezustannie. Kurjerzy rozjeżdżają się we wszystkie strony. Oficerowie i żołnierze stanowią dziś jedną zwartą masę, jeden wspólny front tworzą i wspólne ciężar decyzji wziąć na barki mają. Nikt o wypoczynku nie myśli, wszystkich podtrzymuje myśl o oporze przeciwko przysiędze. Czekamy na wiadomości z innych pułków.

7.IX.1917 r.

Dowództwo pułku otrzymało następującej treści fonogram:

„Dowództwo Legjonów Polskich. Nr. Gen. Sztabu 596/11. Do dowództwa 4 p. p. Legjonów Polskich. Warszawa dnia 17 lipca 1917 r.

Dowódca 4 p. p. Legjonów Polskich (w razie jego nieobecności zastępca) zamelduje natychmiast pisemnie doręczając ten meldunek oficerskiemu kurjerowi, czy po odczytaniu rozkazu Rady Stanu i Dow. Leg. Pol. (rozkazy Nr. Nr. 310 i 311) przed frontem oddział jego złoży przysięgę. (—) Zieliński pułkownik".

na który po porozumieniu się wspólnem delegacji oficersko-żołnierskich dało następującą odpowiedź:

„Res. 234/17. Do Dowództwa Legjonów Polskich. W myśl rozkazu Dow. L. P. Sztab Gen. 596/11. z dnia 7 lipca 1917. melduje, że nastrój żołnierzy w 4 p. p. w sprawie składania przysięgi jest taki, że w ostatniej chwili mogą odmówić złożenia tejże. Dowódca 4 p. p. Galica, major".

Decyzja powzięta, pułk postanowił przysięgi nie składać. Łatwo nam to nie przyszło, wytaczano bowiem różne argumenty za i przeciw przysiędze, zwyciężył jednak rozsądek i zdrowa myśl, łamiąc równocześnie wojskową dyscyplinę.

Do Warszawy wraz z delegacją Królewiaków wyjechać ma kilku małopolanów — oficerów i żołnierzy, z zadaniem podtrzymania ducha oporu. Czeka nas tam ciężka przeprawa ale nie gorsza od tej, jaką ostatnio przebyliśmy. Mimo tendencyjnego wprowadzenia wśród nas różnicy kordonów, węzły łączące nas z frontu nie pękły, są silniejsze niż ich rozkazy. Przeliczyli się.

14.VII.1917 r.

Przeszliśmy dobry chrzest wytrwania. Zamiast hucznej parady na stokach Cytadeli, odbył się na dziedzińcu koszar 3 p. p. koło mostu Poniatowskiego smutny obrzęd grzebania ambicji i rozlicznych planów sławetnej Rady Stanu jak i Komendy Legjonów wraz z całą władzą niemiecką.

Przykry był to widok kiedy patrzało się na twarze stojącego w ordynku żołnierza, nacechowane zaciętością, z niepokojem i nieufnością patrzące w wysokich rangą zwierzchników. Most pusty, tylko licznie rozsiani niemieccy wartownicy z bronią nabitą krążą tam i z powrotem. Publiczność stłoczona od Al. Jerozolimskich stoi w milczeniu i czeka na finał tragedji. Koszary 3 p. p. otoczone Niemcami, po dziedzińcu uwija się delegat Rady Stanu, nakłaniając żołnierzy do złożenia przysięgi.

Służbę koszarową pełni 3 p. p.

Do zebranych pułkowych delegacyj przemówił szef sztabu komendy Legjonów, który w imieniu Rady Stanu oświadczył, że wszyscy ci, którzy przysięgi nie złożą będą zwolnieni, gdyż nieposłuszeństwo w wojsku tolerowane być nie może, a za takie uważać należy opór przeciwko Radzie Stanu, której Legjony się poddały, a która przysięgę uchwaliła i złożyć wojsku poleciła.

Następnie odczytał poniższy rozkaz:

„Komenda Legjonów Polskich. Rozkaz Nr. 312. Warszawa, dnia 8 lipca 1917 r.

W porozumieniu z T. R. S., rozkazuję ogłosić we wszystkich pułkach i oddziałach, że oficerowie i żołnierze, którzy w przepisanym dniu nie złożą przysięgi, będą uwolnieni z Legjonów i w najbliższych dniach odesłani do miejsca przynależności. (—) Zieliński, płk.".

Tak przemowa jak i odczytanie rozkazu zrobiły na żołnierzach jaknajfatalniejsze wrażenie. Niezadowolenie wyrażone chrząkaniem i pomrukiem przeleciało przez szeregi.

Przedstawiciel Komendy Legjonów zbliża się najpierw do 4 p. p., który wita go ciszą i robi wrażenie, że żołnierz skamieniał, że to nie ludzie a głazy, które lada moment swym ciężarem wszystko zgruchoczą. Twardą decyzję czytać można było we wzroku.

Zapytywany każdy z osobna żołnierz, czy przysięga lub nie, śmiało i bez zająknienia odpowiada „nie". Widać konsternację; liczono że 4 p. p. jako jeden z pułków najwięcej zdyscyplinowany przecież w ostatnim momencie się cofnie, ulegnie urokowi chwili i władzy, jeżeli niecałkowicie, to chociaż w części złoży przysięgę.

Było to dowodem jak mało Komenda Legjonów wczuwała się w duszę starego leguna, jak mało go rozumiała.

Delegacja 4 p. p. odmówiła, ale była to odmowa w imieniu całego pułku, który z raz zajętej pozycji cofnąć się nie mógł i nie umiał, który zdawał sobie doskonale sprawę, że o powodzeniu całej akcji decyduje jego stanowisko, że w jego rękach leżą losy przysięgi, załamanie się 4 p. p. to odwrót i innych.

Nic też dziwnego, że po żołniersku atak wytrzymał i pierwszeństwa pogrzebania niecnych planów wydrzeć sobie nie dał.

Odpowiedzi innych oddziałów były tylko zaakceptowaniem jego stanowiska, a świadczą o tem wyniki akcji, które w rezultacie dały, że:

w 1, 4, 5, 6 p. p., 1 p. ułanów, artylerji i 1 komp sap. — nie przysięgał nikt;

w 2, 3 p. p., 2 p. ułanów, 2 komp. sap. i oddziałach podległych wprost Komendzie Leg. Pol. — w sumie przysięgało 300 żołnierzy i 30-tu oficerów.

Jak na tak wielką propagandę i liczne groźby rzucane z najwyższego stanowiska władzy, to wyniki niżej niż mierne.

Fiasko przysięgi aż nazbyt widoczne.

Oporny 4 p. p., po odmówieniu złożenia przysięgi, umieszczono na strychu w koszarach 3 p. p. Do okien zbliżać się nie pozwolono, na

placu pozostała tylko mała grupka lojalnych i kiedy muzyka zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła", ze strychu nad głowami przysięgających zabrzmiała goryczą przesiąknięta pieśń: „O cześć Wam panowie magnaci".

Tak więc swym stanowiskiem 4 p. p. odpowiedział na okrzyk witającej przy wkroczeniu Warszawy: „niech żyją wierni Piłsudskiemu Czwartacy".

Cała akcja skończyła się stosunkowo lepiej dla Komendy Legionów, bez większej publicznej kompromitacji, niż gdyby przysięga odbyła się na stokach Cytadeli. Widać, że Komenda Legjonów była wczas przestrzeżona, a nie mogąc raz wydanego rozkazu odwołać, zamknęła całą paradę w ciasnym podwórzu koszar 3 p. p., niedopuszczając z obcych nikogo. Asystę smutnego obrzędu załmania się dyscypliny wojskowej sprawowała tylko nieszczęsna Rada Stanu.

Dla Komendy Legjonów i Rady Stanu innego wyjścia nie było, gdyż jak wtajemniczeni twierdzą przed przysięgą, t. j. dnia 7 b. m. miał zgłosić się u Marszałka Koronnego wysłannik Beselera, który zwrócił uwagę na niezadowolenie i bunt w Legjonach i radził termin przysięgi odłożyć, jednak Rada Stanu kierując się zdaniem Komendy Legjonów sprawę zlekceważyła i przysięgę złożyć nakazała. To też owoce krótkowzroczności sama zebrała.

Powody odmówienia złożenia przysięgi sprowadzały się dla wszystkich do jednego mianownika, a nimi były że:

1) tekst roty nie uzależnia nas od żadnej faktycznie istniejącej politycznej i wojskowej władzy polskiej, i temsamem sprzeciwia się naszemu dążeniu do Niepodległości, 2) nic nie mówi o Niepodległem Państwie Polskiem i operuje fikcją przyszłego króla polskiego, 3) nie obejmuje całości Legjonów Polskich, a stwierdza i wprowadza podział na poddanych austrjackich i Królestwa Polskiego, 4) niszczy jednolitość i uniemożliwia tworzenie armji.

Honor legjonisty-żołnierza wzdrygał się przed takiem ślubowaniem, nie mógł się z przysięgą tą zgodzić, przyciśnięty do muru, haniebnie zdradzony, odmówił złożenia — cierpiał wiele, szedł wbrew zasadzie o dyscyplinie i poszanowaniu rozkazu, ale wierny swym ideałom pozostać musiał.

Konsekwencji na miejscu w stosunku do opornych nie wyciągnięto i delegacja 4 p. p. dumna ze spełnionego obowiązku wobec narodu i własnego sumienia wróciła pod komendą pporucznika de Laveaux do Łomży.

Pułk odetchnął, linję postępowania bohatersko utrzymał, odwrót bez dyshonoru na zawsze sobie umożliwił.

16.VII.1917 r.

Ogłoszono nam następujący rozkaz Rady Stanu:

„Dowództwo Legjonów Polskich. Rozkaz Nr. 318. Warszawa, dnia 14 lipca 1917 r.

Załączony rozkaz Rady Stanu należy bezwłocznie odczytać przed frontem wszystkim podległym oddziałom. (—) Zieliński, płk.

Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego.

T. Rada Stanu, powołana do pracy nad odbudową Państwa Polskiego, od pierwszej chwili rozpoczęcia swych czynności przyjęła jako zasadę naczelną, że podstawą tej odbudowy winno być wytworzenie własnej armji narodowej i że kadrami tej armji winny stać się Legjony.

Na pierwszem zaraz organizacyjnem posiedzeniu wybrano Komisję wojskową, przyjęto oświadczenie wszystkich pułków Legjonowych witających w Radzie Stanu Rząd Polski, oświadczenie Polskiej Organizacji Wojskowej, iż oddaje swe siły i krew do rozporządzenia T. Rady Stanu oraz uczczono zasługi Legjonów i bryg. Piłsudskiego na polu bitwy i formacji Wojska Polskiego.

Odtąd Rada Stanu nie ustawała ani na chwilę w pracy nad posuwaniem naprzód sprawy Wojska Polskiego.

Zwrócono się więc do cesarza Karola z prośbą o przekazanie Legjonów Państwu Polskiemu, upomniano się o ich lepsze zaopatrzenie ekonomiczne, określono zasady tworzenia Armji narodowej, na koniec sprzeciwiono się stanowczo projektowi wycofania z nich poddanych austro-węgierskich, co też zostało uwzględnione.

Legjony zostały wreszcie przekazane jako kadry do formowania Wojska Polskiego, nad którem naczelne dowództwo wojskowe oddano gen. Beselerowi.

Zarząd polskiej siły zbrojnej zorganizowany został bez uwzględnienia wniosków Rady Stanu.

Na skutek jednak dalszych starań Rady Stanu o zabezpieczenie polskiego charakteru tworzącego się wojska, uzyskano co do tego zapewnienie ze strony gen. Beselera, który zaręczył uroczystem słowem, że wykształci i da temuż krajowi armję narodową.

Uzyskano udział oficerów polskich w zarządzie polskiej siły zbrojnej, oddanie komendy baonów, kompanij i plutonów w obozach ćwiczebnych oficerom legjonowym i zapewnienie, że wszystkie stanowiska oficerskie, aż do komendy pułku oddane będą oficerom legjonowym; uzyskano utrzymanie polskiej formy umundurowania i polskiego języka komendy, wreszcie zgodę w zasadzie na ujednostajnienie sądownictwa wojskowego dla wszystkich legjonistów.

Pertraktacja o formułę przysięgi T. Rada Stanu przed trzema miesiącami odrzuciła dwie takie formuły, przyjęła natomiast trzecią, ostateczną rotę, która nie napotkała żadnego protestu ani w Radzie Stanu, ani poza nią.

Dwa miesiące temu Rada Stanu otrzymała od wszystkich pułków zapewnienie, że tylko na rotę przysięgi, przyjętą przez Radę Stanu przysięgać będą.

Układy o tę mianowicie formułę trwały trzy miesiące i w końcu uzyskano na nią zgodę Rządów Państw Centralnych.

Gdy jednocześnie otrzymano deklarację ze strony Rządu austro-węgierskiego, że nie żąda i nie myśli żądać wycofania swych poddanych z Legjonów, Rada Stanu wezwała oficerów i żołnierzy z Królestwa Kongresowego do złożenia przysięgi, widząc w tym pierwszy krok do stworzenia Armji polskiej i oparcia na tej podstawie Rządu Polskiego.

Obecnie zaś T. Rada Stanu uroczyście oświadcza, że ci, co tę przysięgę złożyli, lub jeszcze ją złożą, jak równie ci patrjoci, co w dalszym ciągu zaciągi ochotnicze pomnażać będą, są pod względem wojskowym obowiązani do posłuszeństwa swej zwierzchności wojskowej, ale pod względem politycznym mają swoją najwyższą narodową instancję w Radzie Stanu, jedynej obecnie uprawnionej i uznanej przedstawicielce Państwa polskiego, t. j. tej Ojczyzny, której wierność zaprzysięgli.

Wojsko polskie nie może być użyte inaczej, jak dla sprawy ojczystej i za zgodą Rady Stanu. W chwili obecnej Rada Stanu nie chce rzucać w wir walki szczupłego zawiązku własnego wojska i nadwyrężać przez to kadrów przyszłej Armji polskiej.

Pracę rozpoczęto w celu wytworzenia narodowej Armji i Narodowego Rządu, Rada Stanu prowadzić będzie dalej, dążąc mocno i spiesznie do urzeczywistnienia tych pierwszych fundamentów Niepodległości państwowej.

Zabierając zaś głos w imieniu Narodu Polskiego, mającego prawo do samodzielnego stanowienia o polityce narodowej i o własnym losie, T. Rada Stanu dąży do tego, aby Naród polski i Polskie Państwo stało się czynnikiem pokojowym, kładącym kres krwawej wojnie obecnej i zaprzecza prawa komukolwiek-bądź na obczyźnie poza granicami ziem polskich do szafowania krwią polską.

Zanim sam naród w powszechnym i wolnym sejmie, na Zamku Królewskim w Warszawie zgromadzony, obejmie władzę zwierzchniczą, jedynie tymczasowe organy Rządu Polskiego na ziemi polskiej i w jej stolicy urzędujące, mają prawo i obowiązek do upragnionego przez wszystkich celu naród prowadzić.

T. Rada Stanu, jako jedyna obecnie reprezentacja Państwa Polskiego i jego Rząd polityczny przystąpi natychmiast do zorganizowania władz państwowych polskich, w myśl projektu, uchwalonego w dniu 3 lipca r. b., poczem funkcje swoje natychmiast tym władzom przekaże. Tymczasowa Rada Stanu, Warszawa, dnia 14 lipca 1917 r.".

Frazesy Rady Stanu budzą w pułku tylko politowanie i wstręt, taką się bowiem odznaczają uległością wobec Beselera. Ciężkie chwile przychodzą, opór zbrojny na ustach wszystkich, o dobrowolnem wydaniu Królewiaków nikt nie myśli. Czekamy na porozumienie z innymi pułkami.

Mamy wiadomość, że rozkaz Komendy Legjonów Nr. 313 z dnia 10.VII nakazuje zwolnienie z Legjonów Polskich tych wszystkich żołnierzy 3 p. p., którzy w dniu 9.VII nie złożyli przepisanej przysięgi. Dowódca pułku otrzymał polecenie odebrania im broni i odo-

sobmienia do czasu odesłania ich do miejsca przynależności, gdzie ma być im odebrane umundurowanie wojenne.

Zabierają się również i do nas, o czem świadczy następujący rozkaz:

„Dowództwo 4 p. p. Wojsk Polskich. Rozkaz Oficerski Nr. 33. Łomża, dnia 20 lipca 1917 r.

Rozkazem Oficerskim Dowództwa L. P. Nr. 146 z dnia 19.VII.1917 r. zwolnieni zostali z Legjonów Polskich bez prawa noszenia munduru legjonowego następujący oficerowie 4 p. p. Kpt. lek. dr. Kołłątaj Jan, por. Bosak-Pakowski Zenon ppor. Ostrowski Bolesław, chor. Borkowski Bolesław.

Wymienieni mają się zameldować do niedzieli dnia 22 b. m. do godz. 12-ej w południe w Lagerkommandatur w Zegrze-Nord. Dowódca pułku (—) Galica, ppłk.".

26.VII.1917 r.

Rozbicia dokonali, królewiaków zamknęli w obozie jeńców w Szczypiornie, Komendanta wraz z szefem sztabu Sosnkowskim aresztowali.

Łomża. Sztab 4 p. p. podczas ćwiczeń po odmówieniu posłuszeństwa

Myśleć i wierzyć się nie chce, że podłość ludzka tak daleko zawędrować może. Krew się burzy, z szaleństwem człowiek graniczy, kiedy przypomną się chwile pożegnania i kiedy najlepszy kwiat narodu, ranami długoletnim bojem zasłużony, dobrowolnie kładł na ręce pęta niewolnika.

Odprowadziliśmy ich sami do obozu, bo kiedy Niemcy na dwa dni przed ich odejściem zwrócili się do pułku z wiadomością, że eskortę sami dostarczą, pułk przez swego adjutanta porucznika Erwina Więckowskiego odpowiedział dowódcy garnizonu generałowi niemieckiemu, że jeżeli chce rozlewu krwi to niech spróbuje, ale niemiecki żołnierz legjonisty prowadzić nie będzie, chyba tylko siłą i to w walce pokonanego. Niemcy z asysty zrezygnowali, za spokój odpowiedzialność złożyli na pułk, zarządzili ostre pogotowie, a teren stacyjny na wszelki wypadek obsadzili własną tyraljerą. Z niedowierzaniem patrzyli, że mógł się znaleźć człowiek, któryby z własnej woli szedł

Łomża. 4 p. p. w powrocie z ćwiczeń po wypowiedzeniu posłuszeństwa

jako jeniec do obozu. Dla pustych, w bezkrytycznym posłuchu wychowanych żołdaków, był to fakt nie do wytłumaczenia. Patrzyli jak na warjatów, ludzi bezrozumnych, opanowanych nieuleczalnym szałem dobrowolnego cierpienia, ludzi, których trzeba się bać i dla ofiary szanować, ale których, by samemu nie zwarjować, trzeba o ile możności unikać.

Bo czyż przez ludzi „rozsądnych", może być np. taka odezwa zrozumiana:

„Obywatele. Za stałą wierność idei — jedziemy do obozu jeńców. Jedziemy dumni ze spełnionego obowiązku i jesteśmy pewni, że tak nas rozumiecie. Wiemy, że poza bandą pruskich pachołków, i sprzedawczyków

stoi jeden Wielki Naród — Naród, który łącznie z nami wkrótce podejmie walkę z bronią w ręku o wolność i niepodległość Ojczyzny.

Wiemy, że postępowanie nasze jest wynikiem zbiorowej woli całego Narodu i tej woli jak dotychczas tak i w przyszłości zawsze się podporządkujemy i dlatego jedziemy weseli i ufni w potęgę czystej sprawy.

Śmierć i hańba pruskim pachołkom i sprzedawczykom.

Precz z nowoczesną Targowicą — Radą Stanu. Niech żyje Komendant Józef Piłsudski. Niech żyje Armja Narodowa. Niech żyje Niepodległa Republika Polska, Ludowa i Demokratyczna. 5 p. p. Wojsk Polskich w pociągu dnia 17 lipca 1917 r.".

W tajemnicy przed władzami Legjonowemi i pruskiemi wyjechali do Szczypiorna wraz z żołnierzami jako prości szeregowcy zrzuciwszy swój mundur oficerski, kapitan dr. Srzednicki-Kołłątaj i porucznik Ostrowski. Poszli dobrowolnie, by dźwigać wspólnie niedolę swych kolegów z pułku, by dać przykład odporności i krzepić upadających na duchu. Gest niecodzienny.

Walą się na nas różne ulotki, różne sądy. Tysiące ich dziennie, naogół jednak za czyn nasz zdobywamy uznanie. Słyszymy „wytrwajcie, presji nie ulegnijcie".

Przeciwko Komendantowi zwraca się dziennik poznański z dnia 24.VII w artykule następującym:

„Aresztowanie Piłsudskiego. Ze strony urzędowej komunikują pismom warszawskim co następuje: Były brygadjer Legjonów Józef Piłsudski został aresztowany w Warszawie w nocy z soboty na niedzielę. Bezpośrednim powodem aresztowania była ta okoliczność, że Piłsudski przy przekroczeniu granicy Królestwa Polskiego posługiwał się dokumentem podróży, który przy bliższem zbadaniu okazał się fałszywy. Ubolewać należy głęboko, że człowiek który chciał i mógł się stać symbolem przyszłości polskiej, nie zdołał ostatecznie znaleść drogi prowadzącej z przeszłości w przyszłość, z podziemnej konspiracji, tak drogiej dla fantazji młodzieńczej, na otwartą widownię męskiego, państwowo twórczego działania. W epoce, w której powstać ma wobec całego świata, zbudowany na szerokiej, demokratycznej podstawie, Polskie Państwo, oparte na prawie, niema miejsca na rekwizyty teatralne spiskowego romantyzmu potępionego przez tylu wybitnych ludzi w Polsce, ludzi ze wszystkich obozów politycznych, począwszy od konserwatywnego a kończąc na socjalistycznym.

W samym toku poważnej pracy ku odbudowie Królestwa Polskiego, sfałszowane dokumenty podróży są uzmysłowieniem czasów, które zapadać zaczynają w oddalenie minionej przeszłości.

Świadome odpowiedzialności nietylko wobec własnych narodów, lecz także wobec ogółu polskiego, oraz w interesie pogłębienia poczucia prawa u tegoż ogółu, zdecydowane są władze okupacyjne pod żadnym pozorem nie dopuścić do tego, aby w tym kraju wytworzyły się stosunki, nie dające się pomyśleć w żadnem Państwie opartem na prawie".

Z licznie rozrzucanych odezw następujące, solidaryzujące się z naszym ruchem, są charakterystyczne:

„Oświadczenie. W dniu 9 lipca na żądanie i z inicjatywy T. Rady Stanu oraz Komendy Legjonów wydany został rozkaz, zmuszający Legjony do złożenia przysięgi na wierność przyszłemu królowi polskiemu i na braterstwo broni z wojskami mocarstw centralnych. Rozkaz ten ze strony olbrzymiej większości żołnierzy i oficerów wywołał opór i odmowę przysięgi. Wobec faktów, które zaszły, stronnictwa polityczne, reprezentujące warstwy ludowe i demokratyczne w Polsce, czują się zniewolone oświadczyć co następuje:

Żołnierz polski nie może przysięgać, bo narzucona mu rota przysięgi nie wymienia żadnej polskiej instytucji państwowej, którąby jego śluby przyjęła, którąby była cywilnym odpowiednikiem polskiego ruchu zbrojnego. Tem samem przysięga owa poddaje wojsko bezwzględnie obcym przełożonym, nieodpowiedzialnym przed Polskim narodem. Żołnierz nie może przysięgać, gdy po trzech latach wspólnych walk najwyższy w życiu jego akt oddania się Ojczyźnie dzieli Legjony na dwie kategorje obywateli, z których jednej tylko przysługuje miano Polaka.

Żołnierz nie może przysięgać, gdy rota przysięgi zawiera zobowiązania polityczne wobec obcych mocarstw, zobowiązania, których ustalenie należy do zakresu praw jedynie rządu odpowiedzialnego przed społeczeństwem.

Żołnierz nie może przysięgać nieistniejącemu królowi polskiemu, którego samowolnie T. Rada Stanu chce narzucić Polsce, nie zastanawiając się nad tem, czy instytucja monarchji odpowiadać będzie miarodajnej woli narodu, nie wiedząc, czy nawet dla najbardziej zdecydowanych zwolenników monarchji niewiadoma dziś osoba króla nie przesądzi kiedyś nowej formy zawisłości Państwa Polskiego.

Za narzucenie wojsku przysięgi mimo jednomyślnych z jego strony protestów, za doprowadzenie do niebezpiecznych dla istnienia wojska konfliktów bez żadnej istotnej potrzeby i wbrew ostrzeżeniom, nadchodzącym nawet ze strony czynników okupacyjnych, za zmuszanie opornych żołnierzy i oficerów do ustępstw szeregiem represyj, za małoduszne okłamywanie opinji publicznej fałszywemi o składaniu przysięgi komunikatami — oskarżamy przed narodem i jego historją Tymczasową Radę Stanu i Komendę Legjonów, które muszą przyjąć na swoje sumienie odpowiedzialność za grożące Legjonom rozbicie, stwierdzamy, że krok ten, grożący zniweczeniem owocu trzyletniego wysiłku żołnierza polskiego, był podyktowany nie koniecznością polityczną, ale poziomą rachubą partyjną. Stwierdzamy, że krok ten był jednym krokiem więcej na drodze do uczynienia z tworzącej się Armji Polskiej ślepego w rękach obcych narzędzia.

Gdy żołnierz Polski tym karygodnym próbom zepchnięcia go na śliską drogę ugody poddać się nie chce, napotka on zawsze całkowitą solidarność i współdziałanie wszystkich grup, dążących do istotnej niezawisłości narodu.

Partja Niezawisłości Narodowej. Polska Partja Socjalistyczna. Polskie Stronnictwo Ludowe. Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych".

„List otwarty do żołnierzy polskich, wszystkich pułków i kompanij — Liga Kobiet P. W.

Żołnierzu Polski!

W tej ciężkiej, może najtragiczniejszej chwili, jaka od czasu wojny nad Wami zawisła, gdy ujrzeliście się zmuszeni przeciwstawić własnej najwyższej instytucji państwowej, której zaślepienia trudno w tym wypadku pojąć, gdy odmówieniem złożenia przysięgi zaprotestowaliście przeciw obecnej w sprawie wojska ingerencji i rozbijaniu jednolitości kadr Legjonowych, gdy czynem tym podjęliście walkę o rozszerzenie praw przyszłego Rządu polskiego — wiedzcie, iż nie stoicie osamotnieni. My, kobiety polskie, złączone w Ligę Kobiet P. W. od początku wojny wierne Wam we wspólnej ideologji towarzyszki — oświadczamy, iż pojmujemy doniosłość czynu Waszego i solidarnie stoimy dziś z Wami. Pełne gotowości „wytężamy słuch", by podjąć wraz z Wami dalszą akcję i trud.

Cześć Wam, stojącym na straży honoru Ojczyzny, cześć tym, którzy się nie dali łudzić pustym frazesem i pomimo wszystko krzywoprzysięstwa popełnić nie chcą.

Niezaprzysiężonym dowódcom i żołnierzom wszystkich pułków i kompanij — cześć.

Liga Kobiet P. W.
Warszawa, dnia 14.VII.1917 r.

Dodaje nam to ducha, prowadzi do wytrwania. Znajdujemy uznanie wśród opornego dotychczas społeczeństwa.

O demonstracjach urządzanych w całym kraju przeciw aresztowaniu Komendanta i uwięzieniu Legjonistów coraz częściej nam mówią. Znać że budzą się z uśpienia. Fałsz publicznie zostaje piętnowany.

Szyderstwo z niemocy Rady Stanu na ustach wszystkich. O smutnym żarcie świadczy choćby następująca treść odezwy rozwieszonych dnia 19 lipca na murach Warszawy:

„Pałac Kronenberga z powodu śmierci moralnej Tymczasowej Rady Stanu do wynajęcia".

10.VIII.1917 r.

Na początku sierpnia oficerowie legjonowi przez swych delegatów powzięli następującą uchwałę:

„Ostatnie wypadki, które zaszły w naszem społeczeństwie i w wojsku w związku z przysięgą, w szczególności zaś aresztowanie brygadjera Piłsudskiego stworzyły w Legjonach Polskich nastrój, który grozi wywołaniem ostrej reakcji.

Dążenie do reakcji najłagodniejsze t. zn. podanie się pozostałych w wojsku obywateli austrjackich o przeniesienie do wojska austrjackiego, wkłada na nas obowiązek oświadczenia, iż w ramach tych

reakcję uda się wstrzymać tylko uzasadnioną nadzieją na szybkie spełnienie następujących postulatów:

1) Natychmiastowe ustąpienie T. R. S.; 2) utworzenie Rządu Narodowego, ze współudziałem brygadjera Piłsudskiego; 3) ustąpienie obecnej Komendy Legjonów; 4) powrót do swoich oddziałów żołnierzy i oficerów tak internowanych jak też i zwolnionych w związku z przysięgą.

Gdyby postulaty powyższe nie zostały przyjęte w formie stanowczej jako „conditio sine qua non" przez polskie czynniki, pozostali w Legjonach polskich obywatele austrjaccy nieodwołalnie podadzą prośbę o przeniesienie ich do wojska austrjackiego".

Uchwałę tą delegacja oficerska wręczyła Radzie Stanu i poszczególnym partjom politycznym. W dodatni skutek tej odezwy jednak wątpimy. Tragedję dokończyć mamy sami, decyzja w naszych rękach. Garstka nas mała, sami Małopolanie a odpowiedzialność tak duża. Brak nam Komendnta!

Chwytamy się środków ostatecznych i 6 sierpnia wydaliśmy natsępującą odezwę:

„DO
KOLEGÓW-ŻOŁNIERZY 2 i 3 P. P. I 2 P. UŁANÓW.

Koledzy!

My towarzysze wasi z pułków 1, 4, 5, 6, 1 p. ułanów, 1. artylerji, komp. saperów i t.d., ci wszyscy, którzyśmy zawsze hardo stawiali czoła nie tylko wrogom — wśród straszliwego posiewu śmierci — ale i wszelkim zakusom „rodaków", którzy dla interesów obcych rządów, a przytem i własnej wygody i ambicji, starali się zawsze przyciemnić jasną myśl czynu naszego — starali się ośmieszyć wszelkie wysiłki nasze, podjęte w imię najgorętszej miłości Ojczyzny bez żadnych obcych znaków, bez służalczych kompromisów.

Do was się zwracamy, Towarzysze nasi, z wezwaniem byście baczniej śledzili to, co się wokoło was dzieje i wszystko jasnym i czystym sądzili rozumem i sercem żołnierza polskiego

Wiemy, o tem, jak ciężką przebyliście dolę żołnierską — jak srodze właśni oficerowie Wasi karzą najlżejszy choćby odruch niezależnej myśli lub czynu, dlatego, oddzieleni od Was tysiącznemi przeszkodami, tą drogą bez uprzedzeń, zwracamy się do Was, koledzy, by wyjaśnić wprost stanowisko nasze — i obalić te wszystkie kłamstwa i oszczerstwa jakimi darzą Was przełożeni Wasi i ci politycy, którzy bez trudu i awantur, korzystając z pomyślnej sposobności, jaką im daje poparcie sprzymierzonych obcych rządów — chcą mieć „posłuszne i karne wojsko", oraz ministerja i urzędy intratne, przez swych zwolenników obsadzone.

Koledzy! W obecnej chwili solidarność żołnierska nakazuje nam zwrócić się do Was z wezwaniem, ażebyśmy razem, jak w walkach krwawych z ciemięzcą, tak i teraz zgodnie zaświadczyli jednolitem stanowiskiem

naszem, że honoru prawdziwego żołnierza hańbić nie damy i nie godząc się z obecnem postępowaniem pewnych czynników politycznych i wojskowych — nie będziemy służyć za przykrywkę ich niecnym czynom — pokażmy, że nam i nadal przyświeca ten sam cel, z jakim myśmy na bój poszli, dla którego osiągnięcia myśmy tyle poniewierki i trudu i strat ponieśli — Wolna Niepodległa Polska.

Wytężmy teraz wszyscy wzrok i słuch, serca, które dotychczas zdeptać się nie dało i rozumu, które nas przez trzy lata od zaprzedania się chroniło. W ostrem miejmy się pogotowiu, bo oto stado szakali i hyen wyrusza ku nam by bezpiecznie żerować na krwawym dorobku ludzi mocnych i czystych, którzy za to, że oprzeć się śmieli zdradzieckim zakusom, dziś jako jeńcy hańbieni są i przez „sprzymierzeńców" i im oddanych polityków polskich i komendantów.

Czy nie wzdryga się sumienie Wasze na widok tego, jak okrutnie obchodzono się z towarzyszami poddanymi Królestwa Polskiego, którzy złożyć nie chcieli przysięgi, oddającej ich w służbę obcą. Czy nie oburza Was to, że zwalniają i więżą w obozach jeńców tych, którzy pierwszymi byli i w boju i w radzie, a zostają ci, o których wszyscy wiemy, ile nieczystych i podłych spraw hańbi honor i cześć.

Koledzy! czyny nasze nie z polityki nie z agitacji, nie z „hypnozy„ wynikają. Czyny nasze i występy obecne, to walka, walka okrutna z zaprzedaństwem podłem, z partyjnymi i osobistymi ambicjami i intrygami.

Koledzy! My wiemy, jak cicho i karnie szliście przez Karpaty, przez zaśnieżone szczyty, poniewierani i hańbieni, bez słowa pociechy, „do Polski!" ale i wtedy z tęsknej pieśni leciały ku nam, już w Polsce walczących — słowa bólem ale i mocą wielką zaprawne — że „choć obca ziemia ciało żre, duch Wasz do kraju leci" — do Ojczyzny dla miłości której myśmy tyle poniewierki znieśli, tyle krwi ofiarowali.

Koledzy! I obecnie Was, jako żołnierzy wzywamy, byśmy razem w obronie honoru Ojczyzny, przeszli przez te przepastne zwały nowoczesnej targowicy polskiej, na której usługi i zawołanie, ochoczo i pomocnie otwierają prusacy wrota obozu jeńców w Szczypiornie i Benjaminowie, dla której ochrony są zawsze gotowi żandarmi niemieccy i wojsko.

Koledzy! Obok Waszych trzech pułków (i to nie w pełnym składzie) uznanych za „zdrowe jednostki" — stoją wszystkie inne oddziały legjonowe, które Komisja Szacunkowa w osobach pp. Berbeckiego, Januszajtisa, Zagórskiego itp. jurgeltników wraz z realnymi politykami polsko-niemieckimi za „zepsute" uznała. Pełni świadomości czekamy dalszego losu i nie obawiamy się sądu przyszłych pokoleń.

Politycy polscy i rządy okupacyjne wiedzą o tem, że tylko pod warunkiem utworzenia mocnego i niezależnego Rządu Polskiego, któremuby wojsko zupełnie podlegało, uwolnienie Piłsudskiego, oraz unieważnienie wszystkich zarządzeń, związanych ze sprawą przysięgi — możemy pozostać w wojsku.

W razie niewykonalnego załatwienia tej sprawy, — pozostawanie nasze w Legjonach — bez ujmy dla naszego honoru i czci będzie nie możliwe.

Nie będziemy dalej spokojnie osłaniać bezwstydnego frymarczenia skarbem uzyskanym bohaterskimi czynami Piłsudskiego i nas żołnierzy, w imię niepodległości Ojczyzny.

I w tą trzecią rocznicę walki zbrojnej naszej, raczej na poniewierkę pójdziemy, i tułactwo, ażeby nauczać tych rodaków i być żywym wyrzutem sumienia Narodu Polskiego, aniżeli po trzech latach walki okrutnej, dać się zaprzedać i zhańbić. — Nigdy! Koledzy! Nie uwierzycie chyba w uczciwość tych polityków z T. R. S., którzy tak daleko wepchnęli kilka tysięcy swych synów do obozu jeńców niemieckich, chyba po to, ażeby potem dla nich chleb zbierać, pieniądze i t. p. rzucać im jałmużny. Wara od filantropji. Nie wolno tym lokajom każdego rządu obcego, dotykać się świętości naszej i dorobku naszego, którego te padalcze lub wygodne osobistości zrozumieć i uszanować nie potrafią nigdy. Koledzy! spełniamy żołnierski obowiązek, zwracając Wam uwagę na grożące niebezpieczeństwo ze strony wrogów, którzy maskują się doskonale! — 6 sierpnia 1917 r.".

Stanowisko nasze w zupełności i dokładnie tą odezwą wyjaśniliśmy. Obawiamy się jednak, czy nie pomoże to tak, jak umarłemu kadzidło.

„Dowództwo 4 p. p. Wojsk Polskich. Rozkaz pułkowy Nr. 207. Łomża, dnia 28 lipca 1917 r.

Pobory oficerów i szeregowych L. P., którzy odmówili złożenia przysięgi. (odprawa Dowództwa W. P. Nr. 182 pkt. 4 z dnia 26 lipca 1917 r.). Jego Eks. Gen. piech. von Beseler zarządza pismem IV. a. Nr. 6907 z dnia 23.VII. 1917 co następuje: 1) Oficerom i żołnierzom, którzy odmówili złożenia przysięgi należy z dniem 31.VII wstrzymać wypłatę wszelkiego rodzaju poborów. 2) Oficerom takim nie należy wypłacić dodatku do strawnego należącego im się dnia 1 sierpnia za lipiec i wraz ze spisem imiennym uprawnionych do podjęcia ich, przesłać do Komendy uzupełniających oddziałów piechoty Warszawa (Inft. Ersatzgruppe Warschau) w Jabłonnie. 3) Ponieważ oficerowie zostają z wojska polskiego zwolnieni z dniem 31.VII, przeto należy wstrzymać również wypłatę ich poborów rodzinnych. 4) Kwoty, które należały się żołnierzom i podoficerom w dniu 21.VII nie należy wypłacać lub przesyłać im samym, lecz natychmiast wraz z imiennym spisem uprawnionych do odbioru odesłać do komendy obozu jeńców w Szczypiornie pod Skalmierzycami, która zarządzi dalszą wypłatę. 5) Rozliczenie nastąpi zatem przy oddziele, który jest również odpowiedzialny za właściwą wypłatę poborów oficerom tym i szeregowym (porównaj przepisy kasowe § 9 I). Dowództwo pułku zwróciło się w tej sprawie do Dowództwa Legjonów, które będzie oddziałom zakomunikowane. Dowódca pułku (—) Sikorski, kapitan".

Ten dalszy krok represyj uwidoczniony w powyższym rozkazie nie zaskoczył nas wcale. Nic nowego.

Pułkownik Berbecki odszedł na dwumiesięczny urlop, Szefostwo Sztabu w zastępstwie objął major Zagórski. Ten sobie na nas teraz użyje, zły to duch naszego życia legjonowego. Intryga, której jest mistrzem, w tym wypadku zdaje się, że mu nic nie pomoże. Znamy go, więc też odpowiednio do niego się ustosunkujemy.

W związku z tą nową nominacją oczekiwane są w Legjonach dalsze represje. Pułki 1, 4, 5 i 6 piechoty, 1 p. ułanów i artylerja mają być z Legjonów wyłączone i oddane do armji austrjackiej w pułkach tych Królewiaków niema wcale). Mają pozostać jedynie 2 i 3 p. p., w których część Królewiaków przysięgła, i które mają stanowić polską siłę zbrojną bezwzględnie uległą rozkazom i wskazaniom Komendy Leg. Polskich i T. R. S.

Grupa oficerów w Legjonach z prowiantury i intendentury wysłaną została do Niemiec do Magdeburga, w celu przestudjowania organizacji niemieckiej prowiantury i intendentury.

Na murach Warszawy w dniu 27 lipca rozlepiono następującą odezwę:

„Za to, że bronił czci Polskiego żołnierza, za to, że bronił Narodowego charakteru Armji Polskiej, za to, że przeciwstawił się stanowczo niemieckim gwałtom i wywożeniu żołnierzy polskich w pruską niewolę, za to, że nie dał się oszukać blichtrem kłamanych obietnic, za to, że nie poszedł w służbę ugody, za to, że nie sprzedał Sprawy polskiej za fałszywy grosz pozornych ustępstw, za to, że wysoko dzierżył sztandar godności narodowej, za to, że był sumieniem Narodu, za to, że służył Polsce jedynej i nikomu więcej, Józef Piłsudski został przez Niemców aresztowany. Niemcy teraz szerzą o nim fałszywe i oszczercze wieści, szerzą kłamstwa o fałszywym paszporcie. Niemcy piszą w komunikacie, że tylko dla dobra Polski aresztowali Piłsudskiego. Czyż są aż takimi głupcami, żeby myśleli, że ktokolwiek tym fałszom uwierzy...

Nietylko jednak Niemcy szerzą te oszczerstwa i kłamstwa, ugodowcy polscy z „Gońca", „Godziny Polskiej", „Głosu" pomagają Niemcom w rozszerzaniu łotrowskich kłamstw i fałszu. Zdawna oni pomagali już Niemcom, a teraz świeżo denuncjowali Piłsudskiego otwarcie. Teraz oni wołali, by Piłsudskiego aresztować, obrzucali go stekiem oszczerstw i fałszywych zarzutów. A są to ci sami na których opiera się i z których składa się T. R. S. Pamiętajcie"!

Czyż „sprzymierzeńców" naszych chociażby ta odezwa nie zastanowi? Szachowanie nas z ich strony nie ustaje, czego przykładem następujący rozkaz:

„Dowództwo Legjonów Polskich. Rozkaz oficerski Nr. 60 Warszawa, dnia 4 sierpnia 1917 r. Dochodzenie sądowe, jakoteż raporty poszczególnych dowódców oddziałów ujawniły istnienie w Legjonach Polskich różnych niedozwolonych organizacyj i „rad", co przeczy zasadom ustroju wojska regularnego.

Ponieważ Wojsko Polskie, którego kadrami jesteśmy, musi być i będzie budowane jako wojsko regularne, rozkazuję, aby wszyscy bez wyjątku oficerowie, od najstarszych dowódców rozpoczynając, podpisali oświadczenie

według załączonego wzoru tak, jak to zresztą jest przyjęte we wszystkich armjach regularnych.

W Wojsku Polskiem pozostać będą mogli tylko ci oficerowie, którzy podpiszą oświadczenia. Odmawiających podpisu będę zmuszony zwolnić z Legjonów Polskich. Wszyscy mianowani w przyszłości oficerowie winni będą przed ogłoszeniem nominacji podpisać będące w mowie oświadczenie, które wraz z listami kwalifikacyjnemi, będzie przechowywane w personaljach oficerskich.

Oświadczenie podpisane przez poszczególnych oficerów (wzgl. spis odmawiających podpisu), należy wręczyć kurjerowi Dow. L. P. najpóźniej dzień po ich otrzymaniu. (—) Zieliński, płk.".

Wypadki zaś biegną z tak zawrotną szybkością, że gdyby nie linja postępowania już zgóry wytknięta, trudno by się było w tych różnych podstępach zorjentować.

Ze Szczypiornem łączność utrzymujemy przez austrjackich poddanych, którzy jako eskorta wchodzą do obozu i po kilka dni nieraz tam zostają.

Niemałą w tym wypadku pomocą służą nam i panie z kaliskiej Ligi Kobiet.

17.VIII.1917 r.

Wielkimi krokami zdążamy do zakończenia bolesnej z nami komedji. Po porozumieniu się z innymi pułkami zapadła na posiedzeniu Rady żołnierskiej następująca uchwała:

„Wobec zaszłych wypadków, że Rada Stanu nie dopisała zupełnie swemu zadaniu, że nie wyciągnęła konsekwencyj z uchwalonego jej przez pułki Legjonów wotum nieufności, że Komenda Legjonów w dalszym ciągu działa na szkodę polskości i interesów wojska polskiego, że Komenda Legjonów jest ślepym i bezkrytycznym wykonawcą poleceń gen. Beselera jako dowódcy „Polnische Wehrmacht", że jej dziełem jest wywiezienie do Szczypiorna niezaprzysiężonych królewiaków, a oficerów do Benjaminowa, jak również jej dziełem było aresztowanie Komendanta i wychodząc z założenia, iż dalsza egzystencja pozostałej części Legjonów w takich warunkach jest niemożliwą, wobec nie uwzględnienia złożonych podań o przeniesienie do c. i k. Armji, Rada żołnierska uchwala wypowiedzieć posłuszeństwo Komendzie Legjonów, czyli tym samym uważać się już za zwolnionych z Legjonów Polskich".

Wykonanie uchwały tej jako ostatecznie decydującej o naszym losie jak i Legjonów, pułk na wniosek korpusu oficerskiego wstrzymał do dnia 21.VIII, celem zorjentowania się w całości stosunków i różnych możliwości, jak też konieczności otrzymania wiadomości od

wiedeńskiego Koła Polskiego. Przy powzięciu uchwały tej był obecny delegat 5 p. p.

Równocześnie dowództwo 4 p. p. za L. dz. 328/I wysłało do Dowództwa Legjonów następujący fonogram:

Wobec sytuacji w pułku prosi dowództwo 4 p. p. o jaknajszybsze możliwie odwrotne załatwienie podań wniesionych do Dwództwa Legjonów Polskich pod Res. 328".

W nocy z dnia 18 na 19.VIII po posiedzeniu Rady żołnierskiej zostaję delegowany do kapitana Sikorskiego by w imieniu żołnierzy

Kapitan Sikorski z oficerami przed parkiem w Łomży podczas ostatniego festynu 4 p. p.

złożyć zapewnienie bezwzględnej lojalności i posłuszeństwa jego osobie z tem, że za wyjątkiem jego rozkazów innych nie uznajemy jak i narzuconych nam dowódców słuchać nie będziemy. Oświadczenie to było wyrazem wielkiego zaufania wiary i przywiązania do kochanego dowódcy.

Rano dnia 19.VIII na zebraniu oficerskiem zapada większością głosów uchwała by, o ile sytuacja się nie zmieni, dnia 21.VIII wypowiedzieć posłuszeństwo Dowództwu Legjonów.

Po południu urządzamy festyn w miejskim parku. Ludzi bardzo dużo, jakby przeczuwali, że to ostatnia nasza z nimi zabawa. Dla podkreślenia w oczach Niemców naszej dyscypliny, a w rzeczywisto-

ści celem nierozdrabniania się, wracamy z festynu do koszar całym oddziałem, ze śpiewem i muzyką.

O godzinie 21-szej przyjęcie dla pułku w sali T-wa Wioślarskiego. Zaproszeni zostają tylko oficerowie oporni, a więc nielojalni, a z podoficerów sierż. Trella, Kolbuszewski, Korczyński, Węglowski i Krajewski. Były mowy i zapewnienie ze strony miejscowego społeczeństwa o kontynuowaniu naszych idei i myśli, które zrozumieli. Niestety, była to dobra wola, ale mniejszości, bo większość stała przeciw nam, względnie obojętnie się zachowywała.

Zabawa w Towarzystwie Wioślarskiem w Łomży.

20.VIII.1917 r.

Na polecenie D-twa Legjonów, by kpt. Sikorski stawił się w Warszawie, tenże fonogramem odpowiedział, że w interesie służby i utrzymania w pułku porządku do Warszawy przybyć nie może.

Była to gra na zwłokę.

Agitacja oficerów „lojalnych" za przejściem na ich stronę nie odnosi wśród żołnierzy i oficerów prawie żadnego skutku. Poza kilku podoficerami i własnymi ordynansami nie mają nikogo.

Oficerowie ci po zebraniu w dniu 19 b. m., na którem większością głosów zebranych oficerów zapadła uchwała, o ile sytuacja się nie zmieni, wypowiedzieć w dniu 21.VIII posłuszeństwo Komendzie Legjonów, wydali następującą odezwę:

„Do D-twa 4-go p. p. w Łomży. Łomża dnia 20.VIII.1917 r.

Na zebraniu oficerskiem w dniu 19.VIII.1917 r. przedyskutowaną była kwestja solidarności korpusu oficerskiego 4-go p. p.

Uważamy, że solidarność ta powinna być absolutnie utrzymaną, gdyż przez nią tem silniej zaznaczy się dążenie do usamodzielnienia się pod względem narodowym wojska polskiego i zdoła się utrzymać w całości Legjony te kadry armji polskiej aż do momentu pomyślniejszego do powstania tejże.

Uważamy, że trwać nam należy na stanowisku walki z wszelkiemi zakusami bijącemi w niezależność narodową armji polskiej, a tem samem Legjonów polskich, jednak stwierdzamy, że walka ta nie może przekroczyć granic legalności z tego powodu, by nie dać możności wrogim nam czynnikom do ewentualnego wmieszania się w nasze wewnętrzne sprawy, a następnie, by nie pozwolić oficerom i żołnierzom pójść po drodze rewolucyjno-anarchistycznej. Wobec tego naszego stanowiska oświadczamy, że na solidarność i jednolitą akcję całego korpusu się zgodzimy, w czem idziemy w myśl intencji P. Bryg. Roji, któremu w zupełności ufamy, o ile:

1) ze środków taktycznych postępowania usuniętą będzie sprawa wypowiedzenia posłuszeństwa, w jakiejkolwiekbądź formie stosowana.

2) o ile przez rozwiązanie rad żołnierskich położy się kres parciu tej anormalnej instytucji na wszelkie decyzje, stwierdzamy przytem, że nie chcemy wykluczyć przez to żołnierzy od możności wypowiadania się w sprawach politycznego bytu i niezależności armji pod względem narodowym, owszem sądzimy, że przez zawarcie ścisłego kontaktu oficerów z żołnierzami wszystkie prądy nurtujące tych żołnierzy będą mogły znaleźć swój odpowiedni wyraz.

Wobec tego prosimy D-two 4-go p. p. o zwołanie zebrania oficerskiego na którem powyższe stanowisko i myśli w nim zawarte przedyskutowane będzie i podejmie się odpowiednie uchwały".

Mając pewne wiadomości, że oficerowie nielojalni mogą być aresztowani, bierzemy ich pod swoją opiekę i lokujemy w koszarach. W nocy na skutek otrzymanej informacji, że jest zamierzoną interwencja garnizonu niemieckiego, mamy ostre pogotowie.

21.VIII.1917 r.

Godz. 4-ta rano wychodzę z patrolem na miasto, by zapobiec przeciwko zabraniu nam taborów przez „lojalnych" oficerów. Przychodzę w momencie, kiedy komendantowi taborów chor. Roji dają rozkaz natychmiastowego wyjazdu. Widząc mnie ze zbliżającym się patrolem, odjeżdżają galopem, a w ślad za nimi odjeżdża i tabor, ale do pułku.

Godz. 11-ta — złożyliśmy pisemnie kompanjami podania stwierdzone własnoręcznym podpisem, o wymówieniu posłuszeństwa Komendzie Legjonów.

W następstwie powyższego D-two pułku wysyła następujący meldunek:

4-ty pułk piechoty Legjonów polskich. Res. Nr. 339. Odmówienie posłuszeństwa.

Do dowództwa Legjonów polskich w Warszawie. Łomża dnia 21.VIII.1917. Ponieważ całe zachowanie D-twa Legjonów Polskich godzi w interesy Państwa Polskiego i szkodzi dobru służby — 4-ty pułk piechoty Legjonów Polskich na zasadzie § 66. D. R. I. Teil odmawia wykonywania rozkazów D-twa Leg. Polskich i żąda w myśl wniesionych podań jak najszybszego odtransportowania na teren okupacji austrjackiej. 4-ty pułk piechoty Legjonów Polskich. Dowódca pułku Sikorski kapitan".

Drugi meldunek zostaje przesłany do Naczelnej Komendy Armji Austr., który brzmi:

4. Infanterie Regiment Polnischer Legion. Res. No. 340. Gehorsams-verweigerung.

An das k. u. k. Armeeoberkommando (im Wege des Vertretes des k. u. k. A. O. K. beim General-Gouvernement Warschau. Łomża, am 21 August 1917 Jahre. Das Kommando des 4. Ilnfanterie Regimentes der polnischen Legion meldet hiemit, dass das 4. Infanterie Regiment polnischer Legion der K. K. Kommando der polnischen Legion den Gehorsam verweigert hat, in dem es dem Kommando folgendes Schreiben geschickt hatte:

An das Kommando der polnischen Legion in Warschau. Łomża, am 21 August 1917.

Da das ganze Verhalten des Kommandos der polnischen Legion gegen die Interessen des polnischen Staates und gegen den Dienst gerichtet ist, verweigert das 4. Infanterie Regiment der polnischen Legion auf Grund des P. 66. des Dienstreglements I. Teil die Ausführung der Befehle des Kommandos polnischer Legionen und fordert im Sinne der eingereichten Gesuche die ehebaldigste Abtransportierung auf das österreichische Okkupationsgebiet.

4. Infanterie Regiment polnischer Legion. Im Sinne des P. 66. des Dienstreglements für das k. u. k. Heer I. Teil erstattet das Kommando des 4. Infanterie Regimentes der polnischer Legion dem k. u. k. Armeeoberkomando die Meldung. Kommando des 4. Infanterie Regimentes der polnischen Legion".

Po dokonanym fakcie odmówienia posłuszeństwa w pułku nastąpiło kompletne uspokojenie. Ciężar walki i szamotania się spadł z piersi, ostateczny krok zrobiony, a skutków nie obawiamy się, bo gorsze od tych, jakie przeszliśmy, nie będą.

Obecnie w Łomży mamy dwa dowództwa pułku, jedno „lojalne", a drugie „nielojalne", z tą różnicą, że „lojalni" są bez wojska, a „nielojalni" mają prawie wszystkich u siebie. Mimo żalu za brak solidarności rozkaz o salutowaniu „lojalnych" oficerów jest przez żołnierzy skrupulatnie wykonywany.

24.VIII.1917 r.

Z rozkazu Naczelnego Wodza W. P. gen. Beselera został zwolniony z Legjonów Polskich rozkazem Nr. 341 z dnia 24.VIII.1917 r. kpt. Więckowski Mieczysław z 4-go p. p., celem wstąpienia do C. K. Armji Austrjackiej. Odchodzi oficer duszą i ciałem sprawie naszej i żołnierzowi oddany. Cichy, spokojny, mało zwracający na siebie uwagę, w pracy nieoceniony, ukochany przez żołnierzy — zawsze czynny, dodający swym niewzruszonym spokojem otuchy, podtrzymujący wiarę w powodzenie i słuszność naszych przekonań. Jeden z tych starszych oficerów, który konsekwentnie szedł od początku po obranej linji. Budził też szacunek i miłość.

Zostaje również zwolniony i ppor. de Lavaux. Pokutuje za d-two nad nielojalnym przy przysiędze w Warszawie oddziałem 4-go p. p. Stanowisko tam jego było nieprzejednane, więc też i z nim nieprzejednanie postępują.

Złą drogę do nas Komenda Legjonów wybrała, zwolnieniami nie przekona.

28.VIII.1917 r.

Wreszcie nas ruszają. Odczytano nam następujący rozkaz:

4. pułk piechoty Legjonów Polskich. Rozkaz Pułkowy Nr. 238. Łomża, dnia 27 sierpnia 1917.

1. W najbliższych dniach odjedzie Legjon Polski transportami kolejowemi do Galicji. 2. Oddziały biorą ze sobą broń (z wyjątkiem karabinów maszynowych niemieckich), pasy główne, żabki, ładownice, mundury, buty jak również wszystkie przedmioty otrzymane w swoim czasie od c. i k. austr.-węgier. zarządu. Wszystkie inne przedmioty dostarczane przez niemiecki zarząd wojskowy, jak wozy, narzędzie, rowery, binokle, całą amunicję, karabiny maszynowe, lekarskie instrumenta i lekarstwa, pościel, urządzenia izb chorych, koce niemieckie i cały inwentarz koszarowy zostaną oddane tutejszej komendzie obozu (Lagerkommandatur) w dniu odejścia przez pporucznika Boruckiego z dodanymi mu ludźmi, na kilka godzin przed odjazdem, tak, by pporucznik Borucki wyjechał razem z pułkiem. 3. W szczególności zarządzam: Wszystkie rzeczy mające się zwracać, będzie się zwracać na placu przed Dowództwem pułku bataljonami w dniu i godzinie, którą się oznaczy po otrzymaniu daty wyjazdu. Wozy, które mają być zwrócone, mają być ustawione na dziedzińcu koszarowym. Wszystkie baony wygotują podwójne spisy kompanjami, tak, aby można było stwierdzić, ile oddaje każda kompanja. To samo dotyczy Oddziału sztabowego, K.K.M., menaży oficerskiej i taboru, który w dniu wymarszu zwiezie swoje przedmioty do koszar.

Oprócz tego wyznaczą oficerowie administracyjni budynków natychmiast po otrzymaniu tego rozkazu po trzech ludzi z szarżą na budynek w celu oddania kluczy i mebli tam się znajdujących. Nazwiska zameldować adjutanturze pułkowej.

Wszystkie rzeczy z miasta (pobrane przez oficerów jak stołki, miednice, dzbanki, lampy etc.) mają być również zwiezione i oddane w koszarach. Można je oddawać nietylko w dniu odjazdu, lecz także natychmiast w magazynie administracyjnym pułku (leg. Jastrzębski). Po opuszczeniu koszar przez żołnierzy pozostaną u wejścia poszczególnych budynków wyznaczeni żołnierze i szarża aż do oddania budynku. Haczyków wykręcać nie wolno! Koszary zostaną opuszczone na kilka godzin przed odjazdem. Opuszczone rejony mają być jak najdokładniej wyczyszczone i uporządkowane. 4. Dla zamknięcia rachunkowości pozostanie w Łomży czasowo oficer rachunkowy z dwoma podoficerami kanc. rachu. Dowódca pułku (—)Sikorski, kpt.'".

Chciałoby się spojrzeć w przyszłość i odczytać z karty przeznaczenia, co nas tam oczekuje. Jesteśmy przygotowani na najgorsze.

Transport pierwszy w składzie 1 i 2 baon odjechał pod dowództwem kapitana Kustronia, żegnany przez licznie na dworcu zebraną publiczność, w imieniu której odjeżdżających mową pożegnało dwóch przedstawicieli miejscowego społeczeństwa i proboszcz, zapewniając o podjęciu ich idei i prac dla wolności Ojczyzny.

Odjeżdżających obdarowano kwiatami i jedzeniem. Na słowa pożegnania odpowiedział sierżant Korczyński, przyczem podkreślił, że „nie chcemy waszych łez i ubolewania, nie przekonywuje nas ta wasza kiełbasa i chleb, chcemy tylko by trud nasz i praca były zrozumiane i przez Was podjęte".

Wśród dźwięku Czwartackiego marsza transport odjechał.

30.VIII.1917 r.

Godzina 10-ta odjechał drugi nasz transport w składzie III baon i oddział sztabowy pułku wraz z dowódcą pułku kpt. Sikorskim. Na miejscu pozostali tylko sierżanci rachunkowi dla zlikwidowania rachunków. Na dworcu żegnani jesteśmy również przez zgromadzoną publiczność, przybyłą jednak w mniejszej liczbie niż wczoraj. Pociąg przybrany kwiatami.

Z rozmów podczas drogi z ludźmi spotykanymi na stacjach kolejowych dowiadujemy się, że mało o nas wiedzą i nie rozczulają się nami. Jedni lekko i ze współczuciem kiwają głowami, a drudzy twierdzą, że trzeba było zostać i za wszelką cenę tworzyć tą armję polską. Ten brak orjentacji w naszych stosunkach i położeniu tłumaczymy sobie z jednej strony brakiem odpowiedniej propagandy i bezstronnego oświetlenia naszych przejść jak i idei, którą reprezentujemy, z drugiej — pogonią zmaltretowanego i zgłodniałego tłumu za środkami utrzymania, których dotkliwy brak na każdym kroku odczuć się dawał. W każdym razie nienawiść do Niemców u wszystkich góruje,

nikt im nie ufa i nikt w ich szczere intencje nie wierzy, każdy złorzeczy i na odwet czeka.

Ze Szczypiórnem kontakt zerwany, wiadomości o naszych jeńcach mamy najgorsze, giną z głodu i zimna, traktowani są jak bydło. Wnoszone prośby o interwencję do władz niemieckich, jak i przeglądy przez delegatów Komendy Legjonów dodatniego skutku nie przynoszą. Trzymają się ostro, złamać się nie dają i kpią z Niemców i ich adherentów.

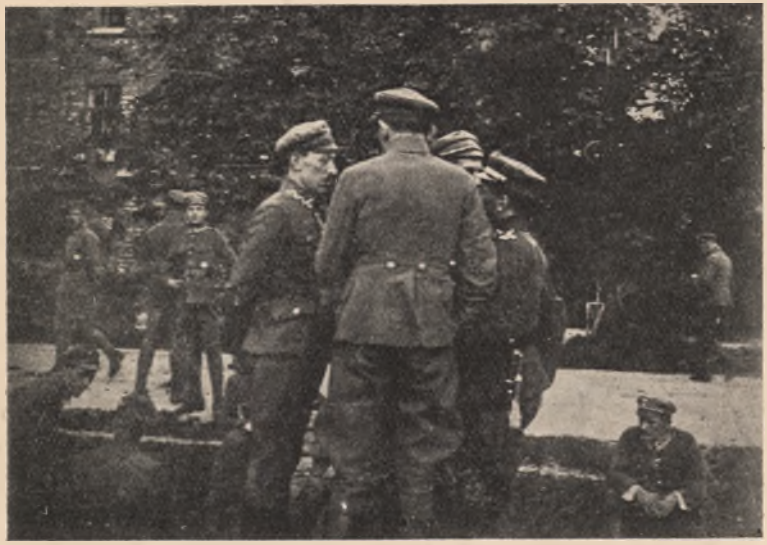

Łomża. Kapitan Sikorski przed koszarami 4 p. p. po odmówieniu przez pułk posłuszeństwa

Nasi oficerowie, którzy jako prości szeregowcy dobrowolnie i potajemnie z transportem żołnierzy odeszli do Szczypiórna, zostali przez legjonistę — żyda Kirschenbauma zdradzeni i przetransportowani do innego obozu. Są nimi kpt. dr. Kołłątaj i ppor. Ostrowski. Podłości tej zrozumieć nie możemy, obrzydzenie na myśl o niej nas bierze.

31.VIII.1917 r.

W południe przyjechaliśmy do stacji Bakończyce, gdzie zostaliśmy wyładowani i skąd odmaszerowaliśmy do Pikulic, wsi ruskiej, położonej koło Przemyśla.

Spodziewane podczas jazdy koleją aresztowanie oficerów jak i członków Rady żołnierskiej nie nastąpiło, w marszu jednak otrzymujemy zawiadomienie, że musimy się liczyć z możliwością aresztowa-

nia w Pikulicach. Kpt. Sikorski wezwany do telefonu przez Komendę Legjonów, melduje się kpt. Klebergowi, który na przedstawienie kpt. Sikorskiego, że musi przedtem pułk rozlokować, zgadza się na zgłoszenie tegoż w Komendzie Legjonów w dniu następnym.

Zajmujemy się rozlokowaniem pułku i czas spokojnie schodzi do godziny 19-ej.

Dowiadujemy się, że żandarmi już tego dnia rano próbowali aresztować z naszego pułku kpt. Kustronia i kpt. Terleckiego z 6 p. p.,

Koszary 4 p. p. w Łomży

ale żołnierze żandarmów rozbroili i rozbrojonych odesłali autem do Przemyśla.

4 i 6 p. p. stoją w Pikulicach, 3 p. p. w Przemyślu, 2 i 5 p. p., artylerja i kawalerja w okolicy.

O godzinie 19-ej dowiadujemy się nagle, że zostajemy otoczeni przez wojska austrjackie, co wkrótce się sprawdza. Widzimy wchodzące do wsi patrole i rozsypujące się tyraljery. Podchodzimy do żołnierzy, — starzy, zniechęceni i pełni obawy chętnie z nami rozmawiają; przeważnie są to Rusini i Polacy, mają po 40 naboi i otrzymali rozkaz bić się z nami, o ile dalej będziemy się buntować. Wiadomość ta serdecznie nas śmieszy.

Kapitan Sikorski dowiedziawszy się, że w 6 p. p. jest major Zagórski, idzie się do niego meldować, a ten wydaje mu rozkaz natychmia-

stowego zgłoszenia się u płk. Zielińskiego, który dowodzi otaczającem nas wojskiem austrjackiem.

Tymczasem wyprowadzamy z koszar muzykę i każemy grać, po kilku zaś przegranych kawałkach muzykę odsyłamy, a sami pędem biegniemy do koszar. Obserwujemy przestrach na twarzach austrjackich żołnierzy, chowają głowy, karabiny gotują do strzału, my tymczasem spokojnie siedzimy w koszarach i czekamy na dalsze rozwiązanie sytuacji. Nic już nas dziś nie przeczula, czujemy przez skórę, że to nasz koniec.

Kpt. Sikorski wraca i przynosi rozkaz, że wraz z por. Erwinem Więckowskim, kpt. Zulaufem i ppor. Klaresfeldem-Szczerskim ma o godz. 8-ej wieczorem stanąć na rozstaju dróg do koszar i szosy prowadzącej do miasta, gdzie ma się zameldować do dyspozycji płk. Brücknera. Wiemy co rozkaz ten znaczy, wśród oficerów i żołnierzy podnoszą się głosy protestu z żądaniem nie wydania ulubionych oficerów. Żołnierz chce się bić i z bronią w ręku bronić praw i honoru żołnierza polskiego, pomścić dotychczasowe krzywdy, pohańbienie i katusze wyczekiwania. Kpt. Sikorski, jak zawsze zrównoważony, spokojnie tłumaczy nasze położenie i twierdzi, że czynnem wystąpieniem sytuację pogorszymy a sprawie nic nie pomożemy. W końcu głos rozsądku przeważa i po wspólnem porozumieniu się w myśl życzenia kpt. Sikorskiego pada hasło „nie oponować".

Wspomniani oficerowie o wyznaczonej godzinie odchodzą i jak przewidzieliśmy zostają z miejsca aresztowani.

1.IX.191 7r.

Ogłoszono nam w rozkazie pułkowym Nr. 241. z dnia 1.IX. następującą obsadę oficerską pułku:

Dowództwo pułku w zastępstwie obejmuje kpt. Kustroń: dowództwo 1 baonu obejmuje ppor.. Jędrychowski Stefan, dowództwo II baonu — Jędrychowski Feliks, dowództwo III baonu — ppor. Ring Kazimierz, dowództwo 1 komp. — ppor. Klimek Stanisław, dowództwo 2 komp. — chor. Stawarz Stanisław, dowództwo 4 komp. — ppor. Kosiba Kazimierz, dowództwo 5 komp. — chor. Rakisz Mieczysław, dowództwo 9 komp. — chor. Kraus Jan, dowództwo 10 komp. — chor. Scheuring Stanisław.

Funkcję adjutanta pułku — ppor. Janicki Kazimierz, II baonu chor. Czub Roman. —

Na czas choroby ppor. Klakurki chor. Kasza Władysław zostaje przeniesiony z komp. 6-ej do 12-ej.

W Siedliskach w dniu dzisiejszym odbyło się międzypułkowe zebranie delegatów oficerskich, na którem uchwalono:

1) Oficerowie i żołnierze 4 i 6 p. p. wniosą w ciągu dnia 2.IX. na najwyższe imię podania o zwolnienie z Legjonów; 2) Stojąc zasadniczo na stanowisku uchwały delegacji międzypułkowej z dnia dzisiejszego (zebranie przedpołudniowe), a wyrażone w formie dołączonego do powyższego meldunku — delegacja międzypułkowa uchwala odroczyć wykonanie do czasu otrzymania instrukcji od płk. Roji i płk. Śmigłego. 3) Do czasu otrzymania powyższych instrukcyj zobowiązują się pułki wstrzymać wydanie zwolnionych oficerów i żołnierzy w miarę wszelkich legalnych możliwości. 4) Wykonanie pktu 2. — wysyła się oficerskiego kurjera z nałożonym nań obowiązkiem doręczenia odpowiedzi do 24. godzin. 5) Na dzień 3.IX. godz. 17-ta wyślą pułki upełnomocnionych delegatów na oznaczone miejsce do powzięcia ostatecznych decyzyj.

Na zebraniu obecni byli delegaci 1 i 4 p. p. z mandatami upełnomocnionemi od 6 i 5 p. p., 1 p. ułanów.

5.IX.1917 r.

Przedpołudniem odbywa się zapowiedziany przegląd przez gen. Schilinga. Został on przez austrjackie A. O. K. wyznaczony na komendanta nadzorującego nad całością Legjonów Polskich i otrzymał w tym kierunku daleko idące pełnomocnictwa. Po przeglądzie odczytał nam ustawę wojenną i opierając się na niej zakomunikował, że specjalne oko zwrócił na 4 p. p. i na powstałe w nim Rady żołnierskie i że zadaniem jego będzie wyciąć z całą surowością ten ropiejący wrzód. Twierdził, że jeżeli jest się żołnierzem, słuchać rozkazów trzeba i musi się być im bez zastrzeżeń posłusznym, a jako przykład postawił siebie, bo dlatego, że przez 40-ci lat słuchał, to dosłużył się tej rangi generalskiej, jaką posiada.

Równocześnie zakomunikował nam, że „Najjaśniejszy Pan" nasze prośby o zwolnienie uwzględnił, jednak w drodze wysokiej łaski zezwolił, byśmy się jeszcze raz każdy z osobna oświadczyli, czy chcemy zostać w Legjonach, czy też odejść do wojska austrjackiego. Do namysłu zostawił nam ten „inteligentny" w austrjackim mundurze generał czas 24-ch godzin, t. j. do dnia 3.IX. godz. 10-ej rano.

I takie kompletne, wiekiem zniszczone zero, zesztywniałe i zeskorupiałe w posłusznej służbie przysłane zostało, by nas przekonywać i straszyć. Wybór jak i mówca nieszczególny, a dla nas namysł najzupełniej zbyteczny.

W odpowiedzi na oskarżenie gen. Schillinga dowództwo pułku wysłało następujący meldunek:

„Dowództwo 4 p. p. Polskiego Korpusu Posiłkowego. Res. Nr. 351. Do Dowództwa Polskiego Korpusu Posikowego w Przemyślu, Pikulice dnia 2 września 1917 r.

Odnośnie do rozkazu Dowództwa Polskiego Korpusu Posiłkowego melduje Dowództwo pułku na podstawie własnych spostrzeżeń i opinji niższych dowództw, że w 4 p. p. niema żadnych Rad żołnierskich.

Pojęcie to, u nas nie odpowiadające żadnej konkretnej organizacji, zostało stworzone drogą analogji słownej ze stosunkami rosyjskiemi.

To jest prawdopodobnie przyczyną rozkazu Dowództwa Armji opartego na niewiadomo skąd urosłej potwornej pogłosce, że w 4 p. p. zbuntowani żołnierze, usunąwszy na bok oficerów ujęli Dowództwo w swoje ręce, podczas gdy w pułku ani na chwilę normalny tok służby nie został zakłócony.

Zaobserwowałem, iż żołnierze orjentują się w sytuacji politycznej jaka wokół Legjonu w Królestwie Polskiem istniała i że w postępowaniu swem nie byli inspirowani nawet z zewnątrz.

Nie wykluczam wpływu prasy politycznej, co trudno uchylić nawet przy usilnych zabiegach.

Dowództwo pułku melduje, że w razie najmniejszych podejrzeń co do istnienia poufnych instytucyj w podległych mu oddziałach, wystąpiłoby z całą stanowczością i zasobem środków, które mu stoją do dyspozycji.

Dowódca pułku (—)Kustroń, kpt.".

Popołudniu wyjechałem jako delegat do Koła Polskiego z postulatami od 1, 4, 5, 6 p. p. 1 p. ul. i artylerji, które w Krakowie miałem wręczyć posłowi Moraczewskiemu, względnie Daszyńskiemu.

W postulatach tych żądaliśmy: Rządu polskiego, oddania temuż rządowi Legjonów jako kadry armji polskiej, uwolnienia wszystkich internowanych legjonistów i odesłanie ich z powrotem do pułków, uwolnienie Komendanta i Sosnkowskiego. W przeciwnym razie żądaliśmy od Koła Polskiego przejścia do bezwzględnej wobec rządu austrjackiego opozycji i natychmiastowego rozwiązania Legjonów. W wypadku gdyby, mimo ogłoszenia przez Koło Polskie rozwiązania Legjonów, wcielono nas siłą bagnetów do P. K. P., Koło Polskie ma uważać Legjony za moralnie nieistniejące.

Jako drogę do Krakowa wybrałem kolej podkarpacką, gdyż wobec rozkazu wydanego przez D-two P. K. P., zabraniającego odddziałom wydawania dokumentów podróży, których prawo wystawiania Dtwo P. K. P. sobie zastrzegło, spodziewałem się na tej linji, jako mało uczęszczanej, spotkać jak najmniejszą kontrolę. W obliczeniach swych jednak zawiodłem się, gdyż na stacji w Nowym Sączu, za posiadanie nielegalnego dokumentu, zostaję przez austrjackiego żandarma aresztowany.

Wiezione postulaty miałem w kieszeni w kopercie, zaadresowanej do „Festungskommando in Krakau", jako bardzo pilne, tajne i ta nie-

winna koperta, posiadająca tak ważne i niebezpieczne dla mnie dowody, pomogła mi w wyplątaniu się, bo żandarm zdezorjentowany adresem i licznemi na kopercie lakowemi pieczęciami, jak również moim spokojem i gotowością pójścia z nim do miejscowej kmdy placu, przeląkł się podniesionej przezemnie odpowiedzialności za opóźnienie w doręczeniu tak ważnego i pilnego meldunku i zwolnił mnie, tylko na wszelki wypadek odnotował sobie moje nazwisko i przydział. Ale i tę notatkę w moich oczach później zniszczył, ujęty papierosami, któ-

Pikulice. Rada żołnierska 4 p. p. przed odejściem do wojska austrjackiego

remi go na pożegnanie obdarowałem. Był to Czech i pochodził z żandarmerji polowej.

W Krakowie przywiezione postulaty wręczyłem posłowi Daszyńskiemu, od którego w odpowiedzi na nasze żądania otrzymałem polecenie nieurządzania awantur i odejścia do wojska ustrjackiego z zapewnieniem, że Koło Polskie o nas nie zapomni. Wobec rozbicia przez konserwatystów w przeddzień mojego przyjazdu ostatniego posiedzenia Koła Polskiego, wydobycie innej oficjalnej informacji i wskazówek co do dalszych naszych działań, było niemożliwe.

Z takiemi, mało pocieszającemi wiadomościami dn. 5.IX. wróciłem do pułku.

12.IX.1917. r.

W dzisiejszym rozkazie pułkowym Nr. 252 pkt. 3 odczytano nam zwolnienie z P. K. P. bez prawa noszenia munduru, kpt. lek. dr. Bobrowskiego Emila.

13.IX.1917.

Wdzisiejszym rozkazie pułkowym Nr. 253 ogłoszono nam, że: „Próba oficerów i żołnierzy 4 p. p. o wcielenie ich do armji austrjac-

Pikulice. 12 komp. 4 p. p. przed odejściem do wojska austrjackiego

kiej została uwzględniona. W najbliższym czasie zostaną oni tamże odesłani. Wobec tego zarządzam likwidację pułku."

Wiadomość pierwsza, że odchodzimy do przynależnych kadr austrjackich, zostaje odwołana, antomiast wydano zarządzenie odesłania nas do Włodzimierza Wołyńskiego i Sokala.

Groźby zostają spełnione, żądaniu naszemu staje się zadość, zostajemy wcieleni do armji austrjackiej, złudne nadzieje możliwości załatwienia sprawy Legjonów w duchu naszych żądań prysły jak bańki mydlane, a okres zmagań, walk i trudów zostaje zamknięty zdjęciem z czapek polskiego orzełka i założeniem austrjackiego bączka. Stać się mamy wiernymi i lojalnymi obrońcami nie polskich, a austrjackich

interesów państwowych, mamy walczyć o sprawę tych, których życzliwość na każdym kroku tak boleśnie odczuwaliśmy. Karty wreszcie zostały nam odkryte — akt 5 listopada, szumne odezwy Rady Stanu i trzech brygadjerów okazały się świstkami nic nieznaczących papierów, podeptały je przemoc, fałsz i obłuda. Komedja tworzenia silnej i licznej armji bezpowrotnie skończona, Legjony historję oficjalnego swego istnienia przerwały.

W pułku spokój i obojętność co do dalszych losów, przygotowujemy się do wyjazdu, oczekujemy podziału na grupy i właściwych miejsc

Podoficerowie 10 komp. 4 p. p. przed odejściem do wojska austrjackiego

przydziału. Odebrali nam nam cały ekwipunek, pozstaliśmy w jednej parze bielizny. Twierdzą, że i tego warci nie jesteśmy.

15.IX.1917 r.

Wczoraj oddaliśmy tabory, dziś oddajemy kancelarję pułkową. Cały materjał skarbowy odbiera kpt. Szerauc wraz z podpor. Maćkowskim. Agitacja za wstępowaniem do P. K. P. trwa nieprzerwanie dalej, skutku jednak najmniejszego nie odnosi.

Popołudniu zarządzony zostaje odmarsz na stację Bakończyce, żegnają nas delegacje oficersko-żołnierskie I Brygady i cały 6 p. p. przyprowadzony przez podoficerów. Wyciągnięci w jedną długą kolumnę, trzymając w rękach zamiast karabinów proste kije, maszerujemy żołnierskim sprężystym krokiem, a choć dalsze koleje losu na-

szego nie są nam znane, przyszłość mglista i niepewna, odchodzimy z przekonaniem, że postąpiliśmy zgodnie z naszym honorem i obowiązkiem żołnierza-legjonisty i wiarą, że historji swej, dotyczącej nas jako Legjonistów, jeszcze nie zamknęliśmy. Skrępowani danem sobie wspólnie dobrowolnie słowem, idziemy do pracy dalszej, tajnej, zakonspirowanej, w warunki mniej nam znane — idziemy, by zniszczyć tych, którzy nas rozbili. Nie zemsty, a porachunków szukamy.

Przed odejściem wydaliśmy z datą 13.IX łącznie z wszystkiemi nielojalnemi oddziałami, odchodzącemi do wojska austrjackiego, następującą odezwę:

NARODZIE POLSKI!

Nikt nas nie wzywał, a jednak nie wołani poszliśmy w Jej służbę. I dziś nie wołani odchodzimy.

Zbrojne ramię nasze znosiło trzechletni trud z radością, a klęska wywoływała zaciśnięcie warg i pracę tem zawziętszą.

Doczekaliśmy wyników i uniezależnił się prawie duch Narodu i zapragnął niepodległości dla siebie i szczęścia dla wszystkich.

Z pomiędzy dwóch wrogów jeden jest usunięty, drugi tem zacieklej nas zwalcza i w nienawiści bezdennej mami pozorami i kłamie. Niema z nim współżycia, bo ustąpić on nie chce ani odrobiny. Dlatego my odchodzimy. Nie wolno nam bowiem w imię dobra Narodu podlić się dłużej, uznawać judaszowskie jego zamiary.

Narodzie! Legjony polskie ochotnicze i polityczne mówią Tobie, że trzeci dzień nastał i uznanem zostało prawo Twe do życia. Pracą i wysiłkiem jednak zdobyć musisz to, bo nikt nie da Ci tego zadarmo, a tylko za ofiary życia i mienia każdego z Twych synów bez wyjątku.

I ma być Polska nie koalicyj, czy centralnego bloku, lecz sama, swoja, dla siebie istniejąca i dla wszystkich.

Bracia! My młodzi wojownicy polscy, przeklinający niekiedy swój naród, weseli jesteśmy dzisiaj przyszłością społeczeństwa i idziemy na nowe bóle i walki z jednaką siłą, co towarzyszyła nam w obliczu śmierci i tryumfie życia.

My wzywamy Naród do walki z zaborcami i każdym wrogiem, do walki nieprzerwanej, do wyniku dla wspólnego dobra ludzkości. Ci, co zostają z nas, to część nasza, co nie zrozumiała jeszcze i nie doszła do tego punktu, co my. Oni także chcą podobnie i zrobią to samo co my, tylko później.

O ocenę naszego kroku nie pytamy, bo tak postąpić musieliśmy, nam obojętne co o nas powiedzą, pochwalmy się sami, bo sumienie pan nasz najwyższy.

Podjąć się i zrealizować zawsze rozkaz narodowy wykrzesać go z dobrej woli miljonów, świadomy ochotny potężny i będzie nie Legjonów tylko, lecz Narodu całego czyn:

Wyzwalające się, zapracowane i wysiłkiem strasznym zdobyte krwią i ofiarą uświęcone, świetlane cudne jutro Polski, co wstało do życia.

1, 4, 5, 6 p. p., 1 p. ul., 1 p. art. Leg. Pol.

Przemyśl 13.IX.1917 r.

Wypowiedzieliśmy ostatnie nasze słowo — odrzuciliśmy precz nasuwające się wątpliwości, żal i rozgoryczenie, daliśmy pełny wyraz wiary w przyszłość i moc czynu zbudzonego do życia narodu, w wschodzącą gwiazdę wolności.

Po naszem odjeściu do wojska austrjackiego w dziennikach ukazał się następujący komunikat komisji likwidacyjnej:

PO ROZWIĄZANIU PUŁKU „CZWARTAKÓW".

Sztandar 4 p. p. Legjonów Polsk., dar kobiet piotrkowskich, znajduje się w przechowaniu u osoby prywatnej, po wojnie zostanie oddany do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Gwoździe ze sztandaru otrzymał na pamiątkę każdy zwolniony oficer 4 p. p. Leg. Polsk.

Instrumenta muzyczne przechowano, po wojnie zostaną oddane pewnemu Towarzystwu dobroczynnemu.

Ze sprawozdania komisji likwidacyjnej Kasy pożyczkowej 4 p. p. Leg. Polsk. z powodu rozwiązania 4 pułku dnia 13 września 1917 r. w Pikulicach pod Przemyślem wyjmujemy następne dane:

1. Odjeżdżającym żołnierzom 4 p. p. Legionów Polskich do obozu jeńców w Szczypiornie wypłacono 15.086 kor. 30 hal.

2. Odjeżdżającym oficerom do obozu jeńców w Benjaminowie 3.820 kor. 65 hal. — Razem 18.906 kor. 95 hal.

Walne zebranie oficerów 4 p. p. Legionów Polskich, zebrane dnia 13 września 1917 r. znajdującą się gotówkę w kasie zapomogowej w kwocie 4.366 kor. 26 hal. przekazuje na następujące cele:

1) Na fundusz żołnierski (złożone oszczędności przez poległych lub zaginionych żołnierzy 4 p. p. Leg. Polsk. (1.003 kor. 29 hal.).

2) Na fundusz obrotowy i celem ściągnięcia wierzytelności Kasy zapomogowej 4 p. p. Leg. Polsk. przekazujemy powstać mającemu Ogólnemu Towarzystwu opieki nad wdowami i sierotami po legionistach 1000 k.

3)Na uporządkowanie grobów żołnierskich „czwartaków" szczególnie pod Jastkowem, Koszyszczami i Optową 300 K.

4) Stypendjum jednorazowe dla żołnierza „czwartaka" zwolnionego lub superarbitrowanego celem zdania matury szkół średnich 250 K.

5) Pozostałą gotówkę przekazujemy na zasiłki dla zwolnionych do wojska austrjackiego oficerów 4 p. p. Leg. Polsk. w kwocie 1813 K. 6 h.

6) Oprócz tego uzyskano z oszczędności menażowej, z likwidacji kantyny, bufetu, zakładu mundurowego, księgarni i t. d. 5186 K. 94 h.

Z dwu powyższych kwot wypłacono 37 zwolnionym oficerom zasiłki jednorazowe w kwocie 7100 K.

7) Wierzytelności Kasy zapomogowej 4 p. p. Leg. Polsk. w kwocie 13.160 K. 56 h. przekazujemy na fundusz mającego powstać Towarzystwa Opieki nad wdowami i sierotami po legionistach.

Wszystkie książki i zapiski zostaną oddane na ręce byłego prezesa Kasy pożyczkowej 4 p. p. Leg. Polsk. kpt. dra Emila Bobrowskiego.

Komisja likwidacyjna Kasy zapomogowej 4 p. p. Leg. Polsk.: przewodniczący Józef Lewicki, były porucznik 4 p. p. Leg. Polsk.

Czwartacy po ukończeniu wyszkolenia w austrjackich obozach ćwiczeń, zostali poprzydzielani w małych grupkach do poszczególnych pułków piechoty i w przeważającej ilości znaleźli się na froncie włoskim. Część z nich została tam później na rozkaz austr. komendy armji internowana w specjalnie do tego celu wyznaczonym obozie jeńców, położonym w miejscowości malarycznej w bagnach nad Piawą, gdzie pobyt w większości wypadków przepłaciła śmiercią, lub chronicznem kalectwem i nieuleczalną chorobą. Pozostała nieliczna w tym zbiorowisku różnych narodowości grupka, w myśl złożonego przyrze-

Byli oficerowie 4 p. p. i 5 p. p. Leg. jako austrjaccy kadet-aspiranci

czenia, podjęła dalszą pracę, pełną niejednych przejść i niebezpieczeństw, spotęgowanych czujnością wywiadu, ratującego w przedśmiertnych drgawkach zmurszałą i chylącą się do upadku potęgę. Kontakt w miarę możności z sobą utrzymywaliśmy, dodając sobie wspólnie otuchy i wiary w zwycięstwo Sprawy, dla której walczyliśmy. Bazą, skąd czerpaliśmy literaturę całą i ulotki, rozsyłane później po froncie, był Lwów i Kraków, a w tym ostatnim redakcja „Kultury" przy ulicy Florjańskiej. Tam zjeżdżając z frontu komunikowaliśmy się ze sobą i z tymi co w kraju przy pracy zostali, wspólnie omawialiśmy wytworzoną sytuację, odbierali dyrektywy do dalszego działania, by podać je drugim jako rozkaz władzy, rozkaz wojskowego P. O. W. Z Czwartaków najczęściej wskazówki do dalszej pracy dawali nam

kapitanowie Sikorski i Więckowski Mieczysław, Zulauf i ppor. de Laveaux, w sprawach zaś bardzo ważnych z początku płk. Śmigły, później kpt. Julian Stachiewicz.

Niezadowolonych na froncie z każdym dniem coraz więcej przybywało — głód, choroby, bezustanna niepewność dnia i godziny, malejące w zastraszający sposób stany oddziałów, ciężka służba i wyczer-

Podoficerowie III baonu 4 p. p. Leg. w wojsku austrjackiem

panie długotrwałą wojną, obawa o los swych najbliższych w kraju, dochodzące wiadomości o klęskach i głodowych rozruchach, upadek znaczenia militarnego państw sprzymierzonych, przygniatająca wyższość techniczna koalicji — były tymi naszymi nieocenionymi w pracy sprzymierzeńcami. Nie licząc się z żadnymi względami, biorąc przykład z danej nam nauki w Legjonach, nauki bezwzględności postępowania, wykorzystywaliśmy jak najskrupulatniej nadarzające się sytuacje, czynnie współdziałaliśmy w postępującym rozkładzie zlepku

różnojęzycznych narodowości, dążących z nami do wolności — by w dniu 30 października 1918 r. zebrać sowite plony z tej nieprzerwanej pracy i patrzeć na bezwładną ucieczkę powalonego mocarza, pragnącego za wszelką cenę ratować resztki walącego się domu, którego zguba bezpowrotnie przesądzoną była.

Porachunek ze „sprzymierzeńcami" solidnie przeprowadzaliśmy, długów wdzięczności nie zaciągnęliśmy -- jedną więcej kartę naszego życia zapisaliśmy.

Rozkaz powrotu do kraju zastał nas jeszcze na rozpadającym się froncie włoskim — do kraju, wolnego od najeźdźców, nad którym jasnym blaskiem zaświeciła gwiazda prawdziwej wolności.

Odezwa nasza, wydana w dn. 13.IX.1917 r. znalazła swój wyraz w przejściu II Brygady pod Rarańczą i w silnej woli wyrażonej przez cały Naród utrzymania własnego niezależnego bytu państwowego.

Idea i myśl Komendanta swój trjumf odniosła!!

Roman Starzyński

DZIEJE KRYZYSU PRZYSIĘGOWEGO W 5 P. P. LEGJONÓW.

Źródło kryzysu, który nastąpił w Legjonach Polskich w połowie roku 1917 tkwiło bardzo głęboko w dziejach legjonowych, gdyż zrodziło się już w chwili ich powstania.

Wyruszając na wojnę w roku 1914 nie byliśmy wszak legjonistami. Przygotowując się od kilku lat do wojny z Rosją jako z tym mocarstwem, które okupowało większość ziem polskich, marzyliśmy o powstaniu w stylu 1831 i 1863 roku, nie wyobrażając sobie możliwości podporządkowania się któremukolwiek z zaborców. Jeżeliśmy nie myśleli narazie o wojnie z Austrją i Niemcami, to jedynie dlatego, że nie wyobrażaliśmy sobie wojny odrazu na trzy fronty. Na podstawie przesileń, jakie miały miejsce w r. 1908 po okupacji Bośni i Hercegowiny przez Austrję, oraz w roku 1912 podczas wojny Bałkańskiej, wyobrażaliśmy sobie wojnę Austrji z Rosją, jednakże bez udziału Niemiec. Sądziliśmy, że uda się wyzyskać Austrję, t. j. to mocarstwo, które stosunkowo najprzychylniej odnosiło się do Polaków, jako mimowolnego naszego sprzymierzeńca, który swoją walką umożliwi nam zorganizowanie kadr powstańczych na terenie Królestwa i ułatwi oderwanie się tej dzielnicy od Rosji.

Po zjednoczeniu Włoch i Niemiec, po oswobodzeniu się z pod jarzma tureckiego Rumunji, Serbji, Bułgarji, ba, nawet Albanji, zdawało się, że niema nic naturalniejszego, jak oderwanie się od Rosji Królestwa Polskiego, którego powstanie winno leżeć zarówno w interesie mocarstw zachodnich, jak i antagonistki Rosji — monarchji austrjacko-węgierskiej.

To też, ćwicząc się w Związkach i Drużynach strzeleckich na terenie Galicji, w ośrodkach młodzieży, studjującej zagranicą, a nawet częściowo w Królestwie i Rosji, nie myśleliśmy nigdy o możliwości tworzenia jakichkolwiek kadr pomocniczych, ani dla armji austrjackiej, ani dla jakiejkolwiek innej. Dlatego też młodzież strzelecka nie

brała udziału w żadnych manifestacjach wiernopoddańczych, organizowanych dla Habsburgów przez społeczeństwo galicyjskie, w większości swej uznające słynną zasadę: „Przy tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy!" Jaskrawym wyrazem tych prądów, panujących wśród młodzieży, biorącej udział w ruchu strzeleckim, była wroga demonstracja, zorganizowana na dworcu Krakowskim na kilka tygodni przed wybuchem wojny, w chwili powitania przez obywatelstwo miasta Krakowa ówczesnego kandydata na następcę tronu, późniejszego cesarza, arcyksięcia Karola.

To też wszelkie zarzuty germanofilstwa, czy lojalności austrjackiej odpieraliśmy zawsze z całą siłą, jako na niczem nie oparte. A kiedy poseł do parlamentu austrjackiego ze stronnictwa narodowo-demokratycznego, Jan Zamorski ośmielił się te zarzuty postawić publicznie na łamach świeżo założonego pisemka brukowego w Krakowie, został również publicznie spoliczkowany na dworcu krakowskim w imieniu „Strzelca" krakowskiego, przez dwóch akademików krakowskich ś. p. Herwina[1]) i Andrzeja[2]).

Jako żołnierze „Strzelca" czy „Drużyny Strzeleckiej" uważaliśmy, że polityka nie należy do nas. Nie mając rządu narodowego, uznawaliśmy za swą tymczasową władzę polityczną Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, która do życia powołała Polski Skarb Wojskowy i finansowała nasze poczynania wojskowe. Zdawaliśmy sobie sprawę ze słabości tej naszej reprezentacji politycznej, złożonej jedynie z przedstawicieli ówczesnej lewicy niepodległościowej, ale równocześnie czuliśmy instynktownie, że mamy Wodza o żelaznej woli, który potrafi w czyn swe zamierzenia przeprowadzić i wierzyliśmy niezłomnie w gwiazdę naszego Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego.

To też przygotowywaliśmy się świadomie do walki o Polskę Niepodległą, którą pod Jego dowództwem zdobyć musimy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że walka ta musi być rozłożona na etapy, że czeka nas wiele trudów i rozczarowań, ale wiedzieliśmy, że On nas do zwycięstwa poprowadzi.

Naprzód musimy oderwać Królestwo od Rosji. Tam, w tej etnograficznie czysto-polskiej dzielnicy stworzymy sobie Piemont polski, który stanie się podstawą zjednoczenia wszystkich ziem polskich. Nie rezygnowaliśmy z niczego, czego najlepszym dowodem jest tworzenie ośrodków strzeleckich w Poznańskiem i na Górnym Śląsku, które je-

[1]) Kpt. Kazimierz Piątek (Herwin), zginął w r. 1915 pod Kozinkiem, jako dowódca V. Bataljonu I. Brygady.

[2]) Płk. Sawicki Kazimierz, obecnie dowódca piechoty dywizyjnej 29. dyw. piech.

dnak powstały zbyt późno, aby w chwili wybuchu wojny mogły się jakimś wydatniejszym czynem poszczycić. Nie zapominaliśmy i o Wilnie, o którem wielu Polaków nawet w roku 1919 nie marzyło. Na dowód dość przytoczyć refren popularnej w Legjonach piosenki „Przybyli ułani pod okienko", napisanej przez Feliksa Gwiżdża [1] w roku 1915:

„Gdy zwiedzim Warszawę, już nam pilno
Odwiedzić to stare nasze Wilno".

To też wyruszaliśmy na wojnę na pierwsze wezwanie naszego Komendanta Głównego, jako wolni strzelcy, od żadnej obcej władzy niezależni, pełni nadziei, że na umęczonych obszarach Królestwa znajdziemy dość palnych materjałów, by iskra, którą rzucimy, zapłonęła olbrzymim pożarem. Wierzyliśmy, że społeczeństwo Królestwa nie spodlało jeszcze do cna, że rany niewoli „nie pokryły się jeszcze błoną podłości", że hasło, które rzucimy, pociągnie masy do walki o Polskę wolną i niepodległą. A wiara nasza była tak potężna, że nie ostudził jej nawet potok zimnej wody, który na nasze rozpalone głowy wylał sam Komendant Główny. Oto 2. sierpnia w południe, wszystkich nas, zgromadzonych wówczas na kursie letnim Związków Strzeleckich w słynnych Oleandrach w Krakowie — wezwano do sali wykładowej. Wtedy to Komendant Główny mówił do nas o sytuacji mniej więcej w te słowa: „Królestwo zawiodło. Żaden nawet najsłabszy odruch żywiołowy nie odezwał się. Pójdziemy więc sami, aby rzucić iskrę, a chyba materjały palne znajdziemy. Musimy być jednak na wszystko przygotowani. Będę od Was dużo wymagał."

A myśmy wierzyli, że tam w okolicach Racławic, Małogoszcza, Chrobrza, czy Grochowisk wstaną z grobów cienie ojców i dziadów i pomnożą nasze szeregi, wierzyliśmy, że mogiły wołać będą i zbudzą naród ze stuletniej niewoli i nie trzeba będzie „sięgać do jego trzew i zatargać".

Z tą wiarą szliśmy na bój, pełni otuchy i nadziei, że „Polska będzie, a raczej już jest Polska w naszych sercach, które biją już, jako serca wolnych Polaków". Nie zachwiała w nas tej nadziei ponura cisza i milczenie Racławic i Skały, gdy wkraczaliśmy do tych miejscowości, bo oto w ciemną noc w Iwanowicach przejeżdżającą podwodami kolumnę V. bataljonu strzelców wita cała wieś orkiestrą wiejską, grającą „Jeszcze nie zginęła", a 19 tęgich chłopaków wiejskich, stanowiących tamtejszą tajną organizację strzelecką pomnaża nasze szeregi. Poty-

[1] Feliks Gwiżdż, ówczesny chorąży Leg. Pol.; obecnie poseł na Sejm.

czki pod Karczówką i Brzegami dodają nam otuchy, przeszliśmy pierwszy chrzest ogniowy, który daje nam świadomość, że jednak regularnemu wojsku możemy stawić czoło.

Dopiero po przemaszerowaniu całej niemal Kielecczyzny, kiedyśmy się zaszyli w lasach Samsonowskich, rozkwaterowani we wsiach Humrze i Tumlinie, kiedy kilkodniowy postój po prawie dwutygodniowych marszach, pozwolił na zebranie myśli i zestawienie tego wszystkiego, cośmy dotąd przeżyli, zrodziły się pierwsze wątpliwości, pierwsze uczucia goryczy wśród tych, co „na stos, rzucili swój życia los". Po raz pierwszy zetknęliśmy się z rzeczywistością polską, przekonaliśmy się, że Komendant się nie mylił: „Pójdziemy sami"!

Jeszcze przed drugim wmarszem do Kielc doszły nas pierwsze niejasne słuchy o powstaniu Naczelnego Komitetu Narodowego. Zjednoczenie wszystkich stronnictw, ale tylko galicyjskich, nie rokowało nic dobrego. Weszli tam nietylko ci, co zawsze wołali: „Przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy" obok tych, którzy od pewnego czasu, widząc jedynie niebezpieczeństwo pruskie, pogodzili się z losem zaboru rosyjskiego i chcieli jedynie tworzyć „strumyk polski w rosyjskiem morzu".

Po wejściu do Kielc przeczytaliśmy rozlepione na murach odezwy Koła Polskiego i nowoutworzonego Naczelnego Komitetu Narodowego, wzywające do tworzenia Legjonów przy boku c. i k. armji austrjacko-węgierskiej. Liczyliśmy, że chociaż Komenda Legjonów powierzona zostanie naszemu Komendantowi Głównemu. Ale i tu czekało nas rozczarowanie. To też kiedy Komendantem Legjonów został emerytowany c. i k. generał, ozy pułkownik Baczyński, podobno Rusin z pochodzenia, a szefem stzabu c. i k. kapitan Sztabu Generalnego Włodzimierz Zagórski, pocieszaliśmy się jedynie, że ta c. i k. komenda pozostanie w Krakowie, a my nadal tu w Królestwie będziemy od nich niezależni.

A więc już w chwili powstawania Legjonów zarysował się zasadniczy konflikt pomiędzy narzuconą nam obcą c. i k. Komendą Legjonów, a wolnymi strzelcami Piłsudskiego, nazwanymi obecnie 1 pułkiem piechoty Legjonów (późniejszą I. Brygadą). Od pierwszej chwili istniał ten rozdźwięk pomiędzy strzelcami, którzy wyszli w pole do walki o Polskę niepodległą, a tą powstającą na tyłach, obcą nam c. i k. Komendą Legjonów.

Tymczasem nowa komenda przedewszystkiem zaczęła od przysięgi. Dotąd nie składaliśmy żadnej przysięgi, prócz ślubowania strzeleckiego, że walczyć będziemy do ostatniej kropli krwi o niepodległość kraju, o państwo polskie i jego granice. Teraz wymagano od nas, aby-

śmy przysięgali nie Ojczyźnie, lecz monarsze, cesarzowi Austro-Węgier — Franciszkowi Józefowi.

Przeciwko tej przysiędze zrodził się w naszych sercach pierwszy bunt, hamowany jedynie wiarą w Tego, który nas w pole wyprowadził, któremuśmy złożyli nasze życie i krew u stóp, który za nas myśli i o nas decyduje.

Nadszedł pamiętny dzień 4. września 1914 r. Przyjechał nowy szef sztabu c. i k. Komendy Legjonów kpt. Sztabu Gen. Zagórski i przywiózł rotę przysięgi. Była to przysięga składana przez wojsko austrjacko-węgierskie różniąca się od tamtej roty, tylko tem, że po słowach: „cesarzowi Austrji, Królowi Węgier" wstawiono słowa: „Królowi Polskiemu". Wojsko o niczem nie wiedziało aż do 3 września wieczorem.

W Kielcach przydzielony zostałem z V. batalj onu do Oddziału Wywiadowczego. Komendantem Oddziału był ob. Świętopełk [1]), późnym wieczorem wezwał nas na odprawę i zawiadomił o przysiędze. Uderzyło to w nas, jak grom z jasnego nieba. Pierwszy bardzo ostro wystąpił przeciw przysiędze ob. Waligóra[2]). Inni oficerowie też mieli pewne wątpliwości. Wobec tego ob. Świętopełk zdecydował, że na przysięgę pójdzie sam, a oddział pozostanie w koszarach. W ten sposób w przysiędze kieleckiej nie brałem udziału, ale wszystkie bataljony przysięgę złożyć musiały.

Tak skończył się pierwszy miesiąc naszej wojny, prowadzonej przez strzelców Józefa Piłsudskiego, a my zostaliśmy legjonistami polskimi, sprzymierzonymi z c. i k. armją austrjacko-węgierską. W ówczesnej sytuacji politycznej nie było innego wyjścia. Moskale po chwilowem wycofaniu się aż po Dęblin i Pilicę powoli, lecz stale posuwali się ku Kielcom. W Kielcach, gdzie początkowo byliśmy wyłącznymi gospodarzami, zakwaterowały się oddziały austrjackie i niemieckie. Podobno Komendantowi postawiono ultimatum, że albo złoży przysięgę, albo zostanie rozbrojony. Z dwojga złego trzeba było wybrać lepsze, boć łagodził sprawę fakt, że przysięgaliśmy „Królowi Polskiemu". Wprawdzie tego króla naród na tron nie powołał, a rządu polskiego nadal nie było, ale w każdym razie było to pewnego rodzaju zobowiązanie do wskrzeszenia Królestwa Polskiego i oderwania go od najbardziej znienawidzonego zaborcy, t. j. Rosji.

C. i k. Komenda Legjonów wyobrażała sobie, że przez zażądanie przysięgi unieszkodliwi tych wolnych „czerwonych" strzelców, że

[1]) Kpt. Rajmund Jaworowski, obecnie prezes Rady Miejskiej w Warszawie i poseł na Sejm.

[2]) Obecnie oficer rezerwy Hempel.

wcieli ich poprostu do wojska austrjackiego. I pod tym względem zawiodła się.

Pomimo złożenia przysięgi zostaliśmy tem, czem byliśmy poprzednio, to jest zawiązkiem wojska polskiego, niezależnego od żadnej obcej władzy, dumnym ze swej niezależności, która wyrażała się w zasadach organizacji tego 1. pułku Legjonów, złożonego z sześciu batalj onów, własnej kawalerji, a z czasem i artylerji, który w końcu 1914 roku przekształcił się na I. Brygadę Legjonów.

A te zasady były następujące:

1) zupełna niezależność od obcych władz, wyrażająca się w samodzielności w działaniach operacyjnych, w których wbrew rozkazom wyższych władz austrjackich dokonywaliśmy nieraz czynów, wprowadzających w zdumienie, oraz w nieprzyjmowanie żadnych świadczeń austrajckich i utrzymywaniu się z własnych zasobów aż do chwili opuszczenia Królestwa.

2) zupełna odrębność od wojska austrjackiego, a także reszty Legjonów, upodobnionych do c. i k. armji, w zakresie umundurowania, norm wyposażenia, żołdu i t. p.

3) zupełna samodzielność w zakresie metod szkolenia i walki, służby wewnętrznej i karności, oparta na duchu obywatelskim, ożywiającym wzajemny stosunek oficera i żołnierza, wyrażający się zewnątrz w formie koleżeńskiej zwracania się do każdego szeregowca-obywatela.

4) uznawanie, że tylko polska władza ma prawo mianować oficerów i to tylko na polu walki oraz wydawć wszelkie obowiązujące nas rozkazy.

Te zasady organizacji 1-go Legjonu, czy późniejszej I. Brygady, przeciwstawiły ją od początku temu wszystkiemu, co tworzyło się na naszych tyłach. A tam „ton" nadawała c. i k. Komenda Legjonów. Nic więc dziwnego, że zasady, na których opierała się organizacja 2. i 3. p. p. Leg., t. j. późniejszej II. Brygady — były zupełnie inne. Wobec całkowitego podporządkowania tych formacyj władzy austrjackiej i zrównaniu ich pod względem prawnym z austrjackiem pospolitem ruszeniem, uznano je jako oddziały pomocnicze armji austrjacko-węgierskiej. To też poza odrębną czapką (konfederatką w przeciwstawieniu do pierwszobrygadowej maciejówki) przyjęto odznaki pospolitego austrjackiego „landsturmu", t. j. zielone wyłogi, ale nie z „gwiazdkami" oficerskiemi, lecz „rozetkami" urzędniczemi. Metody szkolenia, walki, regulaminy służby wewnętrznej i karności przejęto żywcem z wojska austrjackiego. Gaże, żołd, wyposażenie zrównano całkowicie z wojskiem austrjackiem. Starano się wpajać niechęć do 1. Brygady, wyzyskując rzekome niezdyscyplinowanie i niewojskowe

zachowanie się żołnierzy I. Brygady, którzy znajdując się na tyłach z reguły nie salutowali, ani austrjackich, ani drugobrygadowych oficerów.

W ten sposób powstały w Legjonach antagonizmy międzybrygadowe, które miały i inne źródła niechęci. Siła kadrowa I. Brygady była niezmiernie duża. Tu skupiła się cała młodzież strzelecka, to też nietylko oficerowie i podoficerowie, ale większość szeregowców złożona była z inteligentów. W II. Brygadzie elementu inteligentnego było znacznie mniej, to też wszyscy niemal inteligenci bardzo szybko uzyskali nominacje oficerskie i wyższe stopnie od starszych od siebie oficerów z I. Brygady. Pozatem II Brygada niemal wyłącznie dostarczyła kadr dla III. Brygady i wszelkich urządzeń tyłowych. To też na gwałt musiano tworzyć szkołę podchorążych, która uzupełniała braki w korpusie oficerskim II. Brygady. Młodsi podchorążowie, wśród których trafiali się czasem zabłąkani na tyłach szeregowcy I. Brygady, bardzo szybko uzyskiwali stopnie wyższe od niedawnych swych przełożonych z I. Brygady.

Dopóki jednak walczyliśmy sami, antagonizmy międzybrygadowe, wynikające z faktu, że tworzyliśmy w gruncie rzeczy dwa różne wojska, wybuchały jedynie sporadycznie na tyłach.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie, gdy na odcinek bojowy I. Brygady w Lubelskiem w końcu lipca 1915 roku przybył nowosformowany 4. pułk piechoty, a wraz z nim c. i k. Komenda Legjonów. Niechęć I. Brygady do reszty Legjonów wyraziła się pierwotnie w dość chłodnem przyjęciu, jakiego niesłusznie doznali Czwartacy. Dopiero bitwa pod Jastkowem, w której 4. p. p. Leg. poniósł szczególnie krwawe straty, przełamała pierwsze lody. Ale zupełna zmiana sytuacji nastąpiła dopiero wtedy, kiedy 4. p. p. Leg. łącznie z naszym 5. p. p. pod wspólnem dowództwem Komendanta Piłsudskiego znalazł się późną jesienią 1915 r. na wspólnym odcinku frontu pod Koszyszczami. Wtedy to „Czwartacy" zawarli z naszym 5. p. p. braterstwo, które sprawiło, że 4. p. p. Leg. zawsze szedł odtąd ramię w ramię z I. Brygadą. Czwartacy nadali swe piętno całej III. Brygadzie (t. j. 6 p. p. Leg. i formacjom pomocniczym), która niemal bezpośrednio po swym ukonstytuowaniu się na Wołyniu, pod austrjackiem zresztą dowództwem gen. Grzesickiego, stanęła ramię przy ramieniu z I. Brygadą.

A ta konsolidacja wobec przybycia na nasz front c. i k. Komendy Legjonów była wówczas rzeczą niezmiernie pilną. Musieliśmy wspólnemi siłami rozpocząć bezpośrednią walkę o polskość i niezawisłość Legjonów, musieliśmy wzajemnie się poznać, zlać w jedno ciało, co zresztą nie było tak trudne, gdyż serca nasze biły tem samem tętnem.

Stytuacja się nieco pogorszyła, kiedy na Wołyń przybyła zahartowana już w boju, „żelazna" II. Brygada. Jakkolwiek wśród żołnierzy karpackiej brygady mieliśmy wielu przyjaciół, to jednak antagonizmy systematycznie podsycane przez rok zgórą przez c. i k. Komendę Legjonów nie mogły nie pozostawić głębokich rysów w psychice, zwłaszcza oficerów II. Brygady. Gdy nas wychowywano w świadomości idei, której służymy, tam wpojono jedynie kult ślepego posłuszeństwa władzom przełożonym, a wszelką służbę idei ośmieszano jako „politykę w wojsku". To też o wiele trudniej poszło pozyskanie II. Brygady dla walki, która stanęła wówczas przed nami.

Mimo to jednak zetknięcie się wszystkich trzech brygad we wspólnych walkach na Wołyniu nie mogło pozostać bez śladu. To też choć dzielono nas wszelkiemi możliwemi sposobami, co objawiało się nawet w wyższych rozkazach komend austrjackich, nazywających II. i III. Brygadę „Division der polnischen Legionen", a nas krótko „I. Polnische Brigade", zdołaliśmy znaleść punkty styczne.

W ten sposób doszło na wiosnę 1916 roku do utworzenia się Rady Pułkowników" w której brali udział dowódcy wszystkich pułków legjonowych, nie wyłączając II. Brygady. W przededniu wielkiej bitwy pod Kostiuchnówką kilku oficerów I. Brygady odeszło nawet na dowódców bataljonów w III. Brygadzie. Wkrótce jednak potem wybuchł kryzys związany z ujednostajnieniem odznak. Nie mogąc uzyskać zgody gen. Grzesickiego, dowódcy III. Brygady, na przyjęcie odznak I. Brygady — oficerowie 4. i 6. pułku zrzucili odznaki austrjackie. Przez solidarność z III. Brygadą zrzucili również odznaki oficerowie I. a częściowo i II. Brygady. To też wielka bitwa pod Kostiuchnówką 4 — 6 lipca 1916 roku zastała wszystkich prawie oficerów legjonowych bez odznak. Bitwa ta scementowała wreszcie Legjony, to też Rada Pułkowników w sierpniu powzięła jednomyślną uchwałę, w której się domagała:

1) utworzenia z Legjonów - Polskiego Korpusu Posiłkowego z własną polską komendą, jednolitemi odrębnemi odznakami i mundurem, zrównanego pod względem praw i przywilejów z wojskiem austrjackiem i niemieckiem,

2) odwołania wszystkich oficerów austrjackich z Legjonów i „legjonizacji" Komendy Legjonów,

3) użycia Legjonów, jako kadry wojska polskiego lub rozwiązania ich, gdyż po oswobodzeniu całego Królestwa od Rosjan w innym charakterze Legjony nie mają racji bytu.

Ze wszystkich tych żądań uwzględnione zostało jedynie żądanie ujednostajnienia munduru. Przyjęto w zasadzie odznaki I. Brygady z tą różnicą, że zamiast wężyków czerwonych wprowadzono na koł-

nierzach wężyki srebrne, które do dziś nosimy. Ujednostajniono również wzorem I. Brygady salutowanie dwoma palcami, a nie całą ręką.

W tej sytuacji Komendant Piłsudski zdecydował się postawić wszystko na kartę. Postawił więc żądania uprzednio uchwalone przez Radę Pułkowników, zażądał ponadto jasnego postawienia sprawy polskiej przez mocarstwa centralne. W razie nieuwzględnienia tych żądań — zagroził dymisją.

Stanowcze postanowienie sprawy przez Komendanta, do czego przywykliśmy już w ciągu dwuletnich bojów legjonowych, zdawało

Oficerowie 5 p. p. Leg. na pozycji nad Stochodem w r. 1916

się rokować pomyślne rozwiązanie sprawy. Tarcia jednak pomiędzy Austrją i Niemcami uniemożliwiły jakiekolwiek rozwiązanie kwestji polskiej. To też jak zwykle nie orjentująca się w sytuacji Austrja — dymisję Komendanta przyjęła.

Wiadomość o dymisję Komendanta uderzyła w nas, jak piorun z jasnego nieba. Bezpośrednio po tem odwołano również szefa sztabu I. Brygady płk. Kazimierza Sosnkowskiego. C. i K. Komenda Legjonów tryumfowała. Zdawało się jej, że teraz opanuje sytuację w Legjonach. Łudziła się, że ci, którzy podjęli walkę w imię idei niepodległości, złamią się na samą wieść, że im Wodza zabrano. Pośpiesznie zdecydowano zmienić ordre - de bataille Legjonów, rozdzielić zżytą oddawna I. Brygadę, zabierając z niej nasz 5. p. p. Leg., a wcielając

do niej 2. p. p. Leg. z dawnej II. Brygady. Komendę I. Brygady powierzono płk. Januszajtysowi, byłemu komendantowi 2. p. p. Nasz 5. p. p. Leg. znalazł się o tyle w lepszej sytuacji od 1. p. p., że wraz z 6 p. p. wszedł w skład III. Brygady na której czele stanął wkrótce płk. Roja, dotychczasowy komendant 4. p. p., od roku już zdecydowany zwolennik I. Brygady i jej postulatów.

Wszystkie te zarządzenia bynajmniej nie wpływały na uspokojenie umysłów. Oficerowie wszystkich pułków poczęli masowo podawać się do dymisji (Królewiacy) lub żądali przeniesienia do armji austrjackiej (Galicjanie). W motywach wszyscy podkreślali, że z chwilą zabrania nam naszego Wodza, Komendanta Piłsudskiego, dalsze istnienie Legjonów niema żadnego celu.

Dotychczas walkę o niezależność Legjonów prowadziła nasza „góra" t. j. Rada Pułkowników. Teraz punkt ciężkości przenosi się na ogół legjonistów. Tworzą się po pułkach: Rady oficerskie i żołnierskie. I tu należy podkreślić, że tak niepopularne dziś rady żołnierskie najwcześniej w czasie wojny światowej utworzyły się w tem najmniejszem wojsku, jakiem były Legjony Polskie. Ale Legjonowe Rady Żołnierskie miały zupełnie inny charakter, niż rady żołnierskie w wojsku rosyjskiem, a nawet austrjackiem i niemieckiem. Rady te powstały zupełnie nie na tle zmęczenia wojną i antagonizmu w stosunku do oficerów. Wprost przeciwnie, przeniknięte tą samą ideą, która ożywiała oficerów, powstawały one celem poparcia walki prowadzonej przez oficerów o niezależność Legjonów, celem kontynuowania tej walki w razie, gdyby oficerów nie stało, celem uświadamiania żołnierzy o ich obowiązkach obywatelskich i wojskowych. Rady żołnierskie w Legjonach nie tylko nie przeciwstawiały się oficerom, ale wprost przeciwnie, traktują ich, jako swych starszych braci i kolegów, od których oczekiwały dyrektyw, jak mają postępować, w jaki sposób realizować ideę, której synonimem u wszystkich nas był zawsze — Komendant. To też w ślad za oficerami gremjalnie stają do raportu żołnierze, żądając bądź zwolnienia z Legjonów, bądź też przeniesienia do wojska austrjackiego.

Teraz jednak zarysowuje się bolesny rozłam w Legjonach. C. i k. Komenda Legjonów widząc, że ruch dymisyjny przyjął charakter masowy, stara się przynajmniej rozbić jedność Legjonów. Uwagę swą zwraca przedewszystkiem na najhardziej lojalną zawsze II. Brygadę. Oficerowie tej brygady przeciwstawiają się ruchowi dymisyjnemu, traktując go jako „politykę w wojsku". Temu stanowisku przeciwstawiamy nasze stanowisko. Zgadzamy się z oficerami II. Brygady że żołnierz politykować nie powinien. Polityka zawsze należy do rządu. Ale my rządu nie mamy. Naczelny Komitet Narodowy, który

przez pewien czas uważał się za surogat rządu, zrzekł się tej roli jeszcze na wiosnę 1916 r. Reprezentację narodu polskiego przyjęło na siebie Koło Polskie. O ile jednak Naczelny Komitet Narodowy, mając w swym łonie, choć częściowo, przedstawicieli zaboru rosyjskiego, mógł uchodzić za surogat rządu, o tyle Koło Polskie, jako reprezentacja jednej tylko dzielnicy, w żadnym wypadku za rząd narodowy uważać się nie może. To też wojsko, nie mając rządu, musi mieć przynajmniej ideę, w imię której walczy, w imię której krew przelewa. Tą ideą jest idea wywalczenia niepodległości i zjednoczenia ziem polskich. Legjony niejednokrotnie wykazały, że są wojskiem i to dobrem wojskiem, bo biły się w imię idei. Ucieleśnieniem tej idei, wobec braku rządu, był ten, który nas pod polskie sztandary wezwał, ten, który nam przewodził, który jeśli nie faktycznym, to w każdym razie był moralnym Wodzem Legjonów. Kiedy utworzył się Naczelny Komitet Narodowy, Komendant uznał go i liczył, że zdoła on postulaty polityczno-narodowe przeprowadzić. Ale skoro ułynęło dwa lata, Królestwo zostało całkowicie od Moskali uwolnione, a N. K. N. nietylko nie spełnił pokładanych w nim nadziei, ale nawet oficjalnie zrzekł się 28 kwietnia 1916 r. swej dotychczasowej roli, Komendant po raz wtóry, tak jak to już zrobił 6 sierpnia 1914 r. wziął inicjatywę w swoje ręce. Obecnie — niema Komendanta, niema Wodza, który nas do walki powołał. Nie mamy dalej co robić. Albo istotnie stworzymy wojsko polskie, za którego kadrę uważamy się od lat dwóch, albo na innej drodze trzeba szukać rozwiązania sprawy polskiej.

W tym czasie Komendę Legjonów, objął niedawno wyznaczony dowódca III. Brygady Legjonów na miejsce niedołężnego gen. Grzesickiego płk. Szt. Gen. Szeptycki. Był to bezsprzecznie najzdolniejszy ze wszystkich komendantów Legjonów. Ale był to oficer austrjacki, który nigdy nie mógł zrozumieć idei Legjonów. Płk. Szeptycki próbował najrozmaitszych sposobów złamania oporu Legjonów. Ale tak jak i jego poprzednicy — nic nie wskórał.

Dopiero ogłoszenie aktu 5. listopada 1916 roku, w którym państwa centralne zapowiedziały utworzenie Królestwa Polskiego, zmieniło nieco sytuację. Do aktów mocarstw centralnych nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi, ale zdawało się w jednej dziedzinie t. j. w dziedzinie wojska sytuacja zmieni się obecnie na lepsze. Łudziliśmy się, że powołany zostanie jakiś rząd i że temu rządowi zostaniemy oddani, jako kadra wojska polskiego. Trzymaliśmy się jednak w rezerwie, dopóki list Komendanta Piłsudskiego, nadesłany na ręce płk. Rydza-Śmigłego, który teraz z kolei stał się naszym moralnym wodzem, nie polecił nam cofnąć dymisyj.

Legjony zgromadzone w Baranowiczach, oczekiwały niecierpliwie powrotu do kraju t. j. do Królestwa gdzie miały stać się kadrą wojska polskiego. W końcu grudnia nastąpił wreszcie upragniony powrót, a nasz pułk stanął najprzód w Pułtusku, a później w Ostrowi Mazowieckiej.

15. stycznia 1917 r. oddano nas oficjalnie do dyspozycji Tymczasowej Rady Stanu. Projektowano utworzenie czterech dywizyj o szesnastu pułkach, wyznaczono już dowódców przyszłych formacyj. Zabraliśmy się gorliwie do pracy czysto wojskowej. Usiłowaliśmy wykorzystać wiedzę przydzielonych do nas instruktorów niemieckich,

Obchód 3 maja 1917 r. z udziałem 5 p. p. Leg. w Różanie

którzy przeważnie mieli bogate doświadczenia z frontu zachodniego. Rady oficerskie i żołnierskie przestały istnieć; czas płynął nam szybko na przyswajaniu nowej musztry, oraz zasad walki, opartych na doświadczeniach niemieckich z frontu zachodniego. Kończyliśmy przeróżne kursa, a nawet pułk nasz wysłał por. Wacława Stachiewicza [*]) i ś. p. por. Nilskiego-Łapińskiego na kurs oficerów Sztabu Generalnego do Warszawy.

Początkowo zdawało się, że Komenda Legjonów idzie na pewne ustępstwa. Odszedł znienawidzony szef sztabu kpt. Zagórski, a jego miejsce zajął dowódca naszego pułku ppłk. Leon Berbecki. Dowództwo 5. pułku objął mjr. Burhardt-Bukacki.

Życie w pułku, stojącym w Ostrowi Mazowieckiej, a następnie w Różanie płynęło szybko, dzięki intensywnej pracy wojskowej, jaką w tym czasie przeprowadzano. Stosunki z instruktorami niemieckimi

[*]) Obecnie płk. Szt. Gen.

były poprawne, choć chłodne. Z instruktorów naszych jeden tylko ppor. Knobelsdorf, z zawodu księgarz z Kościerzyny, mówił nieźle po polsku i zdawał się być przychylniej dla nas usposobionym.

Jednakże ciągle oczekiwaliśmy jakichś zmian, jakichś wieści z Warszawy. Niestety — żadne jednak pomyślne wieści nie nadchodziły. Tymczasowa Rada Stanu zbierała się i radziła, ale nic uradzić nie mogła. Wojsko teoretycznie oddane do jej dyspozycji, faktycznie znajdowało się ciągle w ręku władz okupacyjnych. Komendant widząc na co się zanosi — organizował na wielką skalę Polską Organizację Wojskową, werbunek do Legjonów wstrzymał. To też rekrut nie napływał. Nadużycia dokonywane przez okupantów nad ludnością cywilną raz po raz wywoływały pomiędzy nami,, a żołnierzami niemieckimi zajścia, które niejednokrotnie dla Niemców kończyły się krwawo.

Równocześnie dochodziły wieści o rewolucji w Rosji, o utworzeniu się tam Związków Wojskowych Polaków, to też uważaliśmy, że wróg nasz największy nie wchodzi już w rachubę, że nadchodzi chwila, w której będziemy się musieli zwrócić frontem przeciw pozostałym zaborcom, a dotychczasowym naszym sprzymierzeńcom. Z frontu zachodniego dochodziły wiadomości o niepowodzeniach niemieckich, które oficerowie nasi przyjmowali radośnie, w sposób tak niedwuznaczny, że nie uszło to uwagi naszych instruktorów niemieckich.

Czuliśmy, że nadchodzą czasy osobliwe. To też na gruncie dawnej Rady Oficerskiej powstało Stowarzyszenie oficerów 5. pułku, które żartobliwie nazwano „Towarzystwem analfabetów". Towarzystwo to miało na celu krzewienie podupadającego ducha wśród oficerów i żołnierzy i ewentualnie zorganizowanie oporu przeciwko wszelkim zakusom Niemców na niezależność Legjonów. Duszą towarzystwa był ppor. Adam Koc i ppor. Gad - Dobrodzicki.

12. kwietnia 1917 roku przyszedł ciężki dzień rozczarowania. Nastąpił akt oficjalny przekazania Legjonów przez Austrję, ale nie rządowi polskiemu, za który uważaliśmy wówczas Tymczasową Radę Stanu, lecz gen. Beselerowi, jako Naczelnemu Wodzowi Wojska Polskiego zakonspirowanego dotychczas p. n. „Polnische Wehrmacht". Po tym fakcie Komendant Piłsudski, który był dotąd członkiem Tymczasowej Rady Stanu i przewodniczącym Komisji Wojskowej, jako przyszłego Ministerjum Wojny, wypowiedział swą słynną mowę w dniu 1. maja, w której rzucił Radzie Stanu ciężkie oskarżenia i z Rady ustąpił.

Instruktorzy niemieccy, którzy dotychczas zachowywali się dość dyskretnie, zrzucili teraz przyłbice i usiłowali się rządzić u nas w pułku, jak u siebie w domu. Dowódcę pułku mjr. Burhardta Bu-

kackiego mianowano adjutantem generalnym „Naczelnego Wodza" gen. Beselera. Dowództwo pułku objął mjr. Ryszard Trojanowski.

Komendant Legjonów płk. S. G. Szeptycki podał się do dymisji, został jednak awansowany na generała i mianowany generał-gubernatorem Lubelskim.

Tymczasem ujawniła się cała robota „Polnische Wehrmacht" z szefem sztabu Beselera, Nehtem na czele, wraz z Inspekcją Wyszkolenia gen. Bartha oraz Krajowym Inspektoratem Zaciągu z płk. Sikorskim. Pierwszym krokiem nowych władz było podzielenie wszystkich oficerów legjonowych na „National - Polen", jak nazywano Królewiaków, i na Galicjan. Wszystkich „National - Polen" wydzielono z pułków pod pretekstem utworzenia kadr wyszkolenia i przydzielono do t. zw. kursów wyszkolenia, zorganizowanych na wzór pułków z dowództwami pułków, hataljonów i kompanij.

Dowódcami „kursów wyszkolenia" byli wyłącznie majorowie niemieccy. Dowódcami bataljonów kapitanowie niemieccy lub austrjaccy. Dowódcami kompanij częściowo oficerowie legjonowi - królewiacy, częściowo Niemcy lub Austrjacy. Wprawdzie oficerowie austrjaccy wszyscy władali językiem polskim. ale wielu z nich do polskości się nie przyznawało, choć byli między nimi tacy, którzy otwarcie od początku w miarę sił i możności stawali w naszej obronie.

Oficerów legjonowych przydzielono równocześnie do wszystkich „Kursów Wyszkolenia". Ponieważ, jak się okazało, nasz 5. pułk piechoty miał najwięcej Królewiaków, więc nas poprzydzielano do Kursów Wyszkolenia wszystkich pułków. W ten sposób ja dostałem się na kurs wyszkolenia Nr. 4 w Zambrowie.

Dzięki rozmieszczeniu oficerów 1. Brygady po wszystkich kursach zorganizowali się oni natychmiast i rozpoczęli walkę o naszą niezależność. Najstarszym oficerem polskim na naszym kursie był kpt. Zosik - Tessaro z 1. p. p., względnie por. Młodzianowski z tegoż pułku do czasu przybycia kpt. Zosika. To też pod ich przewodnictwem omawialiśmy nasze żądania na zebraniach oficerów polskich, które następnie na ogólnych odprawach stawiał w naszem imieniu najstarszy z oficerów polskich.

Rekrutów było stosunkowo bardzo mało. Kompanje liczyły, najwyżej po 20 żołnierzy. Cały dzień spędzano na ćwiczeniach. Ale już pierwszego dnia poza służbą mieliśmy cały czas wypełniony walką o polskość naszego wojska.

Zaczęło się od języka urzędowego. Rozkazy pułkowe wychodziły w języku niemieckim redagowane przez austrjackiego oficera adjutanta kursu por. Pauli, a podpisywane przez oficera niemieckiego komendanta kursu mjr. Wessiga. Otóż tych rozkazów nie przyjmo-

waliśmy do wiadomości najprzód my, oficerowie Kursu Wyszkolenia Nr. 4., a następniei oficerowie Kursu Wyszkolenia Nr. 6., również załogujący w Zambrowie.

Podobna walka toczyła się na Kursach Wyszkolenia Nr. 2 i 5, załogujących w Ostrowi i Kursach Nr. 1 i 3. w Zegrzu. Na wszystkich kursach starano się mieszać oficerów wszystkich brygad, co wielce przyczyniło się do konsolidacji wwszystkich oifecrów Kursów Wyszkolenia.

Później zaczęły się tarcia na tle wprowadzenia niemieckiego kodeksu karnego wojskowego, który nieobowiązywał w Legjonach, Wreszcie na tle odrębnych mundurów wydawanych rekrutom, odmiennych od mundurów legjonowych. Ferment wśród nas, jak również wśród żołnierzy wzrasta coraz silniej. Tworzą się znowu Rady Żołnierskie, rozwiązane po kryzysie roku zeszłego. Żołnierze odmawiają wkładania mundurów, wzorowanych na niemieckich.

Na tle tych starć zjeżdżają się delegaci pułków w Ostrołęce, gdzie 17. maja powzięli uchwałę domagania podporządkowania wyłącznie rządowi polskiemu i stwierdzają, że posłuszeństwo obowiązani są jedynie temu rządowi. Oficerowie Kursu Wyszkolenia stawiają swym Komendantom Kursów kategoryczne żądania:

1) uznania kursów za kadry ich pułków macierzystych,

2) stwierdzenia, że wyłącznie język polski jest językiem urzędowym Wojska Polskiego,

3) usunięcia rozdziału, jaki wprowadzono pomiędzy oficerami Królewiakami i Galicjanami,

4) uznania obcych oficerów, jako instruktorów, ale nie dowódców w Wojsku Polskiem.

Na skutek uchwał ostrołęckich oraz żądań oficerów kursów wyszkolenia zaczęły się represje ze strony Polnische Wehrmacht i Komendy Legjonów. Po ustąpieniu płk. Szeptyckiego, Komendę Legjonów objął były dowódca II. Brygady płk. Zieliński, oficer dzielny, prawy, kryształowy, który jednak całe życie spędził w zawodowej służbie wojskowej w Austrji, a powołany ze stanu spoczynku do Legjonów nie mógł już zrozumieć ducha, który tu panował. To też płk. Zieliński ulegał wpływom zwłaszcza majora Zagórskiego, który aczkolwiek, nie był już szefem sztabu Legjonów, w którym stale się jego duch unosił, mimo to stale czuwał nad polityką Komendy Legjonów. To też dzięki jego zapewne wpływom Komenda Legjonów wytacza dochodzenia oficerom, którzy brali udział w zjeździe ostrołęckim, rozwiązuje kursy Wyszkolenia Nr. 1 i 5. Wreszcie posyła swego szefa sztabu, który objeżdża powstałe kursy i namawia do niestawiania oporu. Do Zambrowa przybył zresztą i sam major Zagórski, który

wezwawszy do siebie byłych oicerów II. Brygady i niektórych zaufanych oficerów z III-ej poucza ich, jak mają postępować, aby nasz opór przełamać.

Wreszcie sam „Oberbefehlshaber" gen. Beseler wydaje słynny rozkaz o tem, że oficerowie polscy w stosunku do żołnierzy niemieckich są „machtlos" i „rechtlos".

Wreszcie przesilenie dochodzi do zenitu. „Polnische Wehrmacht" w porozumieniu z Komendą Legjonów dochodzi do przekonania, że wrzód trzeba przeciąć. Zapada decyzja co do zarządzenia przysięgi, na mocy której karność w szeregach legjonowych można będzie utrzymać. Gen. Beseler przedkłada tekst przysięgi Tymczasowej Radzie Stanu, która ją aprobuje. Na wszystkich kursach wyszkolenia rota przysięgi wywołuje zgrozę. Zawiera ona trzy punkty z naszego stanowiska nie do przyjęcia.

1) przysięgę składa się osobie nie istniejącej, bo „przyszłemu" Królowi polskiemu;

2) przysięga zawiera zobowiązanie wiernego dotrzymania braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro - Węgier, co należy do kompetencji rządu polskiego, bez którego wojsko niema prawa tej kwestji rozstrzygać;

3) przysięga zawiera zobowiązanie posłuszeństwa wszystkim przełożonym, którymi są dzisiaj obcy oficerowie.

Każdy po polsku czujący oficer i żołnierz legjonowy musiał w swym sumieniu rozstrzygać, że takiej przysięgi złożyć nie może.

Sytuacja jednak w Zambrowie uległa zasadniczej zmianie. Oficerowie liniowi obu kursów Nr. 4 i 6, którzy dotąd prowadzili jednolitą akcję w stosunku do okupantów zostali obecnie zmajoryzowani przez kilkudziesięciu oficerów werbunkowych, których nasłał do Zambrowa Krajowy Inspektorat Zaciągu — rzekomo celem przeszkolenia. Oficerowie ci w większości swej, nie posiadając żadnego wyszkolenia wojskowego, całą karjerę swą zawdzięczali płk. Sikorskiemu i jemu całą duszą byli oddani. Płk. Sikorski, jak wiadomo, stał na czele tych nielicznych oficerów legjonowych, którzy od początku szli na wszelkie kompromisy z okupantami i był przeciwnikiem wszelkiego oporu. To też sprawa przysięgi groźnie się przedstawiała w Zambrowie. Nie mogliśmy więc przeprowadzić po zebraniu oficerskiem wszystkich oficerów obu kursów jednomyślnej uchwały o odmowie przysięgi. Dzięki jednak świetnym posunięciom por. Młodzianowskiego udało się uzyskać tyle, że oficerowie werbunkowi zgodzili się nie składać przysięgi, o ile wszystkie inne pułki odmówią jej złożenia.

Po otrzymaniu tego zobowiązania uważaliśmy, że nie mamy co robić w Zambrowie. Zgłosiliśmy się do raportu z prośbą o odesłanie

nas do naszych pułków macierzystych. Zaraz też przysłano z pułków macierzystych 4. i 6. p. p. oficerów - Galicjan, którzy mieli objąć od nas funkcje.

W dniu 9. lipca opuściliśmy Zambrów udając się do swoich pułków. Nie pamiętam gdzie w drodze, czy na dworcu w Warszawie zawiadomiono mię, że mam osobiście się stawić w Komendzie Legjonów. Stosownie do rozkazu zameldowałem się. Wyszedł do mnie

Powrót kpt. Olszyny-Wilczyńskiego z więzienia na Dzikiej w lipcu 1917 r. do pułku w Zegrzu

szef sztabu a zaraz w ślad za nim sam Komendant Legjonów płk. Zieliński. Obaj podeszli do mnie uśmiechnięci i kolejno zadali mi to samo pytanie: Czy pan będzie przysięgał? Odpowiedziałem spokojnie, że solidaryzuję się z memi kolegami i postąpię tak, jak wszyscy inni oficerowie mego pułku. Po tej odpowiedzi uśmiechnięte oblicza obu pułkowników przybrały surowy wyraz twarzy, a płk. Zieliński powiedział mi „Tak, to jedź pan do swego pułku".

Tymczasem pułk mój przeniesiono z Różanu do Zegrza. W Warszawie dowiedziałem się, że właśnie z rozkazu Komendy Legjonów aresztowano dowódcę pułku i wszystkich prawie oficerów, którzy znajdują się w więzieniu wojskowem na Dzikiej, że w pułku zorganizowały się rady żołnierskie, które wyznaczyły z pośród podofice-

rów dowódców kompanij, batalionów i pułku i że podoficerowie ci prawdopodobnie maszerują z pułkiem na Warszawę, celem odbicia aresztowanych oficerów.

Nie tracąc więc czasu udałem się natychmiast na dworzec, aby coprędzej być w pułku. Tutaj już spotkałem oficerów naszego pułku, od których dowiedziałem się, że wszystko to, co mi mówiono na mieście jest prawdą, ale Komenda Legjonów widocznie przestraszyła

Powrót oficerów 5 p. p. Leg. z więzienia na Dzikiej do Zegrza w lipcu 1917 r.

się skandalu, gdyż wszyscy oficerowie już zostali uwolnieni. Na dworcu w Zegrzu zauważyłem, że w pułku coś się dzieje. Na peronie pełno oficerów i podoficerów, oczekuje pociągu z Warszawy i wiadomości o przysiędze, którą w tym dniu miał składać w Warszawie 3. pułk piechoty.

W całym pułku ogromne podniecenie. Na wszystkich ustach to groźne w tej chwili słowo: „Przysięga". Po aresztowaniu mjr. Trojanowskiego został wyznaczony na komendanta pułku mjr. Żymierski z 2. p. p. Zawiadomił o tem pułk telefonicznie i nie podając miejsca, gdzie się znajduje, wydawał jedynie telefoniczne rozkazy. Rozkazów tych oczywiście nikt nie wykonywał, mjr. Trojanowski po swoim powrocie znów faktycznie objął komendę pułku.

Ćwiczenia prawie nie odbywały się wcale. Oficerowie, którzy powrócili z kursów wyszkolenia, nie otrzymywali nawet przydziałów do pododdziałów. To też życie pułku skupiało się w Kasynie oficerskiem, gdzie dzień cały przesiadywali oficerowie debatując nad sytuacją. Co chwila do pułku przyjeżdżali łącznicy innych pułków: 1. p. p. z Modlina, 1. p. uł. z Ostrołęki, 1. p. art. z Ciechanowa, 4. p. p. z Łomży, 6. p. p. z Dęblina. Od czasu do czasu były wiadomości nawet z 2. p. p. z Pułtuska i 3. p. p. z Warszawy. Pułk nasz uznany

Kompanja honorowa wita kpt. Olszynę-Wilczyńskiego po powrocie z więzienia

przez Komendę Legjonów za najbardziej buntowniczy z natury rzeczy staje się ośrodkiem całej akcji antyprzysięgowej.

To też nazajutrz po przysiędze w 3. p. p. przybywa do nas kpt. Sokołowski, zwolniony z Legjonów za odmową złożenia przysięgi. Zaraz po nim przybywa grupa oficerów 2. p. p. z ppor. Minkowskim na czele. Pułk nasz wzrasta w ten sposób liczebnie, gdyż wszyscy zwolnieni z innych pułków oficerowie u nas znajdują schronienie.

Zbliża się jednak chwila przysięgi w naszym pułku. 12. lipca zawiadomiono nas, że przysięga odbędzie się nazajutrz rano. Komendant pułku wydał stosowne rozkazy.

13. lipca o godz. 9 rano na olbrzymiem błoniu przykoszarowem ustawiony został cały pułk w czworobok. Wygląda świetnie, zebrany, jakby na uroczystą paradę. Na twarzach oficerów i żołnierzy widać skupienie, jakiego chwila wymaga.

Dość liczni oficerowie nieprzydzieleni do pododdziałów ustawieni w środku. Komendant pułku chodzi pośrodku, oczekując na gości z Warszawy. Pogoda cudnie dopisuje. Lśnią w słońcu bagnety, które dobyliśmy z pochew przed trzema laty, aby wywalczyć Polskę niezależną. I dziś gotowi jesteśmy ubroczyć je każdej chwili we krwi w obronie naszych ideałów.

Po chwili oczekiwania zawarczał silnik samochodu, którym nadjechał z Warszawy delegat Tymczasowej Rady Stanu ś. p. inż. Kaczorowski w towarzystwie Komendanta naszej III brygady płk. Roji.

Rozległa się komenda: „Baczność", a później „Na ramię — broń". „Prezentuj broń" i komendant pułku składa raport brygadjerowi Roji. Po przyjęciu raportu Komendanta pułku, brygadjer Roja stanął po środku czworoboku i donośnym głosem przemówił do nas mniej więcej w te słowa: „Żołnierze! Wyszliście w bój, by walczyć o Polskę Niepodległą. Służyliście Polsce w miarę sił i możności, choć przysięgi żadnej od was nie wymagano. Teraz zażądano od was przysięgi. Postąpcie tak, jak wam wasze serca i wasze sumienia nakazują".

Po tej mowie zabrał głos członek Tymczasowej Rady Stanu inż. Kaczorowski, reprezentujący w Radzie — Narodowy Związek Robotniczy. Mówił głosem cichym, jakby złamanym. Miało się wrażenie, jakby mówił pod przymusem, wbrew własnej woli. Z mowy jego słychać było tylko pojedyńcze wyrazy. Treść jej była następująca: „Tymczasowa Rada Stanu uznała, że złożenie przysięgi w obecnej chwili będzie mogło wywrzeć pewien dodatni wpływ na rozwój sprawy polskiej. Wobec tego przysięga ma duże znaczenie dla przyszłego państwa polskiego. To też, choć jest to może przykre dla was, ale w imieniu Tymczasowej Rady Stanu wzywam was do złożenia przysięgi w następującem brzmieniu..." I odczytał znaną już rotę przysięgi.

Po mowie inż. Kaczorowskiego, komendant pułku mjr. Trojanowski donośnym głosem wezwał wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy chcą złożyć przysięgę, aby wyszli pięć kroków przed front ustawionych oddziałów.

Oglądamy się dokoła. Zwarte kolumny batalionów stały bez ruchu, jak mur. Ani jeden odgłos nie zamącił śmiertelnej ciszy, jaka panowała na placu...

Mjr. Trojanowski przeczekał chwilę, ogarnął raz jeszcze wzrokiem milczące kolumny i zawołał powtórnie: „k t o n i e c h c e p r z y s i ę g a ć niech wystąpi pięć kroków przed front". Jakby zamarłe dotychczas kolumny — ruszyły nagle z miejsca miarowym, rytmicznym krokiem, i odmierzywszy 5 kroków stanęły jak wryte. Na poprzedniem miejscu nie pozostał nikt.

Komendant pułku mjr. Trojanowski obejrzał się, uśmiech radosny przemknął mu prze usta, a potem wyprostował się i w postawie na „baczność" zameldował płk. Roji: „Panie Pułkowniku, cały 5 pułk odmawia złożenia przysięgi!"

Płk. Roja wyjął spokojnie papierośnicę i poczęstował inż. Kaczorowskiego papierosem. Inż. Kaczorowski blady i drżący podziękował, zdjął binokle i począł szkła przecierać. Płk. Roja zapalił papierosa, poczem rzekł do mjr. Trojanowskiego: „A teraz proszę uszykować pułk do defilady".

Odprawa oficerów 5 p. p. Leg. po odmówieniu przysięgi dnia 14 lipca 1917 r.

Płk. Roję otoczyli nieprzydzieleni do pododdziałów oficerowie, dopytując się o sytuację w Warszawie, a pułk tymczasem rozwijał się do defilady.

Defilada ta — była to ostatnia defilada sławnego, nieznużonego nigdy 5. pułku piechoty Legjonów! Przodem maszeruje orkiestra, a za nią kompanja za kompanją, bataljon za bataljonem idą miarowym, twardym krokiem wiarusy z pod Kielc i Krzywopłotów, Łowczówka i Marcinkowic, z pod Konar, Ożarowa, Tarłowa, Urzędowa, Jastkowa, Majdana Krasienińskiego, Kamionki, Raśnej, Stowygoroża, Koszyszcz, z pod Jezierc i Kostiuchnówki, Powurska i Rudki Miryńskiej. Idą ci, co przed trzema laty stanęli na pierwsze wezwanie Wodza i dziś posłuszni Jego rozkazom i wskazaniom — idą na niewiadomy los w imię niezależności Polski Niepodległej.

Patrząc na świetnie wyćwiczone kolumny, uderzające miarowo w takt marsza pułkowego, nikt nawet przypuścić nie może, że to

ostatnia defilada naszego pułku. Wprost wierzyć się nie chce, że za dni kilka z tego pułku już nic nie pozostanie, bo jedni zamknięci będą w obozach jeńców niemieckich w Szczypiornie, czy Havelbergu, w Benjaminowie, czy Rastatcie, inni w austrjackich mundurach siedzieć będą na dalekim włoskim froncie w kawernach wykutych w skałach alpejskich.

Oficerowie 5 p. p. Leg. niosą brygadjera Roję do kasyna oficerskiego po odmowie przysięgi 14.V.1917 r.

Tymczasem defilada skończona. Kompanje na „spocznij" odmaszerowują z radosnym śpiewem do koszar. Oficerowie wznoszą okrzyk na cześć naszego brygadjera płk. Roji. Chwytają go na ręce i niosą na ramionach do kasyna oficerskiego 5. p. p. Żołnierze kompanij, które doszedłszy do koszar, rozeszły się, tłumnie otaczają oficerów, wznosząc okrzyki na cześć płk. Roji i mjr. Trojanowskiego. Równocześnie słychać okrzyki: „Precz ze zdrajcą stanu", jak powszechnie nazywano, wówczas wśród braci legjonowej „radców stanu". Inż. Kaczorowski, opuszczony przez wszystkich, blady jak ściana idzie sam za tłumem oficerów i żołnierzy.

Tymczasem pochód cały z oficerami, niosącymi na rękach płk. Roję, dochodzi do drzwi wejściowych kasyna oficerskiego, zaprasza-

jąc płk. Roję na obiad do kasyna. Ostatni, uroczysty obiad oficerów 5. pułku legjonowej piechoty...

Inż. Kaczorowski stoi samotnie przed wejściem do kasyna. Nikt go nie zaprasza do środka. Spostrzegł to płk. Roja, czy mjr. Trojanowski i zwraca się do oficerów z prośbą, aby jednak zgodzili się na zaproszenie inż. Kaczorowskiego, bo przecież jest naszym gościem. Po pewnej chwili wahania, w czasie którego wielu oficerów zaznaczało, że nie mają ochoty siedzieć przy jednym stole ze zdrajcą „stanu", wychodzi wreszcie jeden z oficerów z zarządu kasyna i zaprasza inż. Kaczorowskiego do stołu, jako prywatną osobę, ale nie jako przedstawiciela Rady Stanu.

Wejście do kasyna oficerskiego 5 p. p. Leg. w Zegrzu w lipcu 1917 r.

W milczeniu przeszedł obiad, który przy obecności radcy stanu krępował wszystkich. Następuje chwila odjazdu. Oficerowie wychodzą przed budynek kasyna, gdzie oczekuje na gości samochód Rady Stanu.

W czasie obiadu żołnierze udekorowali prawą część siedzenia samochodu kwiatami i zielenią i przywiesili kartkę z napisem: „Miejsce płk. Roji". Na drugiej połowie (lewej), nieudekorowanej, umieścili stryczek z przypiętą karteczką: „Dla zdrajców stanu".

Demonstracja ta nie mogła ujść uwagi inż. Kaczorowskiego, który miał minę istotnie złamanego człowieka. To też z wyrazem niezwykłego przygnębienia siadł prędko w towarzystwie płk. Roji i adjutanta pułku ppor. Dobrodzickiego do samochodu i szybko odjechał w kierunku Warszawy.

Nazajutrz, zgodnie z otrzymanym rozkazem — wszyscy szeregowi - Królewiacy złożyli broń i zorganizowani w kompanje pod komendą sierżantów przygotowywali się do odjazdu do Szczypiorna.

Pułk zebrał się na tem samym błoniu na którem poprzedniego dnia miała się odbyć przysięga. Ale żołnierze - Królewiacy wydzieleni w osobne kompanje bez broni pod dowództwem kpt. Olszyny - Wilczyńskiego, stoją z jednej strony. Z drugiej — żołnierze Galicjanie w pełnym rynsztunku, zorganizowani jako bataljon honorowy.

Pod powieką niejakiego leguna - Królewiaka, który przemierzył w ciągu tych trzech lat ziemię polską od Krakowa, czy Nowego Targu aż po Kamieniec Litewski i daleki Styr na Wołyniu, lśnią się łzy,

Odjazd delegata Tymcz. Rady Stanu inż. Kaczorowskiego po odmowie przysięgi przez 5 p. p. Leg.

gdy żegna swego „sitwesa"-Galicjanina, z którym był niejednokrotnie pod wozem i na wozie, z którym z jednej menażki jadał zupę i kawę i dzielił się ostatnim kęsem chleba, i ostatnim ładunkiem w ogniu i kurzu bitewnym...

Ale naogół panuje nastrój wesoły. Żołnierz I. Brygady przywykł już do zmiennej kolei losu. Wszyscy wiemy, że choć nas doświadczył los i jeszcze czekają koleje, to jednak Komendant za nas myśli i nami kieruje. Skoro On chce, abyśmy szli do obozów jeńców, by dać żywe świadectwo prawdzie, że kraj, który ma swych żołnierzy, choćby w niewoli, żyje i żyć będzie — to tak być musi. Pocieszmy się myślą, że przyjdzie dzień, w którym spotkamy się znowu — by pod wodzą Wskrzesiciela walki o niepodległość, bić się już nie o zdobycie państwa, ale o jego moc i potęgę.

To też ze śpiewem na ustach maszerują Królewiacy na dworzec, wznosząc okrzyki na cześć Komendanta i jego sławnej brygady, na cześć komendanta pułku, komendantów batalionów i kompanij, wreszcie na cześć najpopularniejszego bodaj w pułku oficera kpt. dr. Sławoja Składkowskiego [1]), naczelnego lekarza pułku.

Batalion honorowy ustawił się na dworcu z orkiestrą i długo, długo salutował odjeżdżający pociąg, uwożący w nieznaną dal naszych

Pożegnanie przez majora Rysia-Trojanowskiego szeregowych 5 p. p. Leg., odjeżdżających do Szczypiorny

trzyletnich towarzyszy broni. Wraz z żołnierzami Królewiakami odjechali także czterej oficerowie pułku, ubrani w mundury sierżantów, a mianowicie ppor. Leon Koc [2]), ppor. Artur Maruszewski [3]), ś. p. ppor. Paweł Stefański [4]), oraz chorąży Witold Ojczulek-Czachowski [5]).

W pułku zapanowała cisza i smutek, gdyż stan jego zmniejszył się prawie o połowę. Oficerowie spokojnie oczekiwali swego wyroku.

---

[1]) Obecnego ministra spraw wewnętrznych.
[2]) Obecny pplk. S. G. i szef sztabu D. O. K. II.
[3]) Obecny pplk. S. G. i szef sztabu K. O. P.
[4]) Zmarły w r. 1922.
[5]) Obecny major W. P. — inwalida.

W Kasynie pułkowem odbywały się zebrania, na których ci, co kierowali akcją z por. Wacławem Stachiewiczem [1] na czele, informowali nas o rozwoju sytuacji. Co chwila przychodziły rozkazy Komendy Legjonów podające długie listy zwalnianych oficerów Królewiaków, za odmowę przysięgi, lub też oficerów - Galicjan za agitację czy kierownictwo „buntem". Dłużyły się nam chwile oczekiwania. Aż wreszcie przyszedł rozkaz dotyczący naszego pułku. Polecał on

Odjazd szeregowych 5 p. p. Leg. do Szczypiorny ze stacji Zegrze

wszystkim nam stawić się w dniu 22. lipca w forcie Benjaminów, o parę kilometrów od Zegrza.

Dnia 22. lipca przed południem przez kasynem oficerskiem ustawił się długi rząd wozów taborowych. Przyrządzono siedzenia, przygotowano miejsca na bagaże. Siadamy na wozy i z komendantem pułku mjr. Trojanowskim i komendantem I. bataljonu kpt. Narbuttem-Łuczyńskim [2] w pokaźnej ilości coś 42 oficerów 5. p. p. wyruszamy do Benjaminowa. Wraz z nami jadą oficerowie 2. i 3. p. p. oraz pojedynczy oficerowie innych pułków.

[1] Obecnie generał i dowódca 2 dyw. Leg.
[2] Obecnie płk. S. G. i dowódca 27 p. p.

Pułk, zdaje się pod komendą kpt. Karasiewicza-Tokarzewskiego[1]), komendant II. bataljonu żegna nas uroczyście, a wszyscy prawie oficerowie pułku konno lub na rowerach odwożą nas na miejsce do samego Benjaminowa.

W ten sposób 5. p. p. został całkowicie „oczyszczony" z Królewiaków. Odjechali wraz z nami dwaj obywatele austrjaccy, dezerterzy z c. i k. armji por. Pogoń-Dunin i por. Rokita-Maksymowicz, oraz obywatel pruski por. Wielkopolanin-Nowakowski.

Oficerowie 5. p. p. zamknięci w obozie jeńców w Benjaminowie, przesiedzieli tam całą zimę r. 1917/18. Na wiosnę poczęto zwalniać ich pojedyńczo. Ostatni z obozu wyszli mjr. Burhardt-Bukacki[2]) i ppor. Ulrych[3]). I tu podkreślić należy, że oficerowie ci, choć najliczniejsi, gdyż stanowili w Benjaminowie przeszło ½ wszystkich oficerów, okazali, obok 1 p. p. najwyższą solidarność ze wszystkich pułków legjonowych. Wszyscy ci oficerowie wytrwali na swym stanowisku do końca i w dniu 11 listopada 1918 roku znaleźli się ponownie w różnych okolicach kraju w zwartych szeregach rozbrajających Niemców i Austrjaków.

Podobna solidarność wśród żołnierzy 5. p. p. Leg. w Szczypiornie spowodowała, że oficerów tego pułku znajdujących się wśród żołnierzy, Niemcy nie zdołali wykryć do końca i oficerowie ci przetrwali dolę i niedolę żołnierzy, przez cały czas ich pobytu w Szczypiornie i Łomży, aż do likwidacji tego obozu. Ciężkie warunki pobytu w Szczypiornie nie obeszły się jednak bez ofiar, to też niejeden życiem pobyt w niewoli przypłacił z kapralem 1 kompanji 5. p. p. ś. p. Walterem na czele.

Jednakże po odjeściu Królewiaków do Szczypiorna i Benjaminowa, 5. p. p. nie przestał jeszcze istnieć. Zamknięty jednak w Benjaminowie nie brałem już czynnego udziału w jego życiu, to też pobieżnie tylko mogę opowiedzieć jego dzieje. Przez kilka tygodni naszego pobytu w Benjaminowie 5. p. p. stał nadal w Zegrzu i wówczas utrzymywaliśmy z nim jeszcze żywy kontakt. Codziennie ktoś przybywał do nas do Benjaminowa przywożąc wiadomości, rzeczy i prowianty, o które w obozie było coraz trudniej. W kilka dni po naszym odjeździe Komenda Legjonów przysłała mjr. Zająca[4]) z 3 p. p., który miał przejąć komendę pułku. Wobec jednak trudności z jakiemi spotkał się mjr. Zając ze strony oficerów 5. p. p. do faktycznego przejęcia

[1]) Obecnie generał i Szef Biura Person.
[2]) Obecnie generał i inspektor armji.
[3]) Obecnie ppłk. S. G. i dyrektor Państw. Urz. P. W. i W. F.
[4]) Obecnie generał i dowódca 23. dyw. piech.

pułku nie doszło. Mjr. Zając odebrał tylko broń i majątek pułku, budynki i t. p. poczem pułk odesłano do Przemyśla, gdzie nastąpiło ostatecznie jego rozformowanie.

Szeregowych i oficerów w stopniu sierżantów odesłano do wojska austrjackiego i w większości przeznaczono na front włoski. Część z nich zdołała się z wojska uwolnić i pracowała w P. O. W. na terenie Galicji i okupacji austrjackiej, niektórzy przedarli się do Rosji, gdzie

Odjazd oficerów 5 p. p. Leg. do obozu internowanych w Benjaminowie

brali udział w formowaniu tamtejszych formacyj polskich, inni wpadłszy do niewoli włoskiej dostali się następnie do armji gen. Hallera, z którą powrócili do Polski, większość dotrwała na froncie włoskim, aż do upadku Austrji i powróciła do Galicji aby wziąć udział w tworzącem się w listopadzie 1918 r. wojsku polskiem.

Jak silną była więź pułkowa, jak wielkie było przywiązanie oficerów 5. p. p. do swego pułku niech świadczy fakt, że mimo niesłychanego rozproszenia oficerów i szeregowych 5. pułku, ten pułk właśnie, obok 4. p. p., pierwszy stanął do szeregu i z tego Przemyśla, w którym został przed rokiem rozwiązany uderzył na oblężony przez Ukraińców — Lwów, walnie przyczyniając się do oswobodzenia tego drogiego każdemu sercu polskiemu, miasta kresowego. To też i dziś na cmentarzu Obrońców Lwowa, widzimy liczne mogiły wiarusów

5. p. p., którzy szczęśliwie przetrwawszy 4 lata wojny światowej u progu nowego bytu państwowego swe młode życie złożyli w ofierze na ołtarzu idei, której od 4 lat służyli.

To też kryzys przysięgowy w 1917 r. nie był faktem oderwanym, nie był żadną fantazją niedyscyplinowanego, ani rozpolitykowanego żołnierza I Brygady, ale był czynem świadomym — konsekwentnie wynikającym z całości dziejów Legjonów. W imię tej samej idei, w imię której wyruszyliśmy na front, w imię której walczyliśmy o polskość i niezależność Legjonów — odmówiliśmy złożeniu przysięgi. W imię tej samej idei znaleźliśmy się wszyscy pod sztandarami biało-czerwonemi w listopadzie 1918 r., aby pod wodzą naszego Komendanta, teraz już Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa walczyć o potęgę mocarstwową, świadomie przez nas zdobytej — Polski Niepodległej.

Tadeusz Zwisłocki

Z ROZKAZU KOMENDANTA...

(Odmowa przysięgi w 1 p. art. pol. Legjonów Polskich).

W chwili, gdy w roku 1917 wpłynęła sprawa przysięgi I pułk artylerji Legjonów garnizonował jak następuje:

Dowództwo pułku w Warszawie,

1 Dyon artylerji polowej w Górze Kalwarji (1-sza baterja) i w Garwolinie (2-a baterja),

2 Dyon artylerji polowej w Ciechanowie,

3 Dyon haubic, Ciechanów.

Pomimo tego, że grupa Ciechanowska była liczniejsza, silniejszy nacisk wywarto na grupę podwarszawską, gdyż 1-szy Dyon uważała Komenda Legjonów za więcej podległy swym wpływom i być może nawet miała nadzieję zrobienia z niego taranu dla swojej polityki. Przypuszczenia te opierały się na tym fakcie, że 1-szy Dyon początek swych walk odbył w Karpatach wspólnie z drugą brygadą i był dowodzony przez oficerów, jak (zdegradowany już w tym czasie) kpt. Jełowicki-Gałusiński, por. Łapicki i Bold, którzy utrzymywali więcej niż poprawny stosunek do polityki miarodajnego dla tych spraw kpt. Włodzimierza Zagórskiego. Ponadto postawa formalno-wojskowa tego Dyonu była tak poprawna, że w czasie przed konfliktem ideowym wszyscy dowódcy mogli się łudzić, że Dyon nie potrafi przełamać psychicznych więzów karności.

Nacisk na 1-szy Dyon mógł mieć jeszcze i ten cel, że w Górze Kalwarji stacjonowała szkoła ekwitacji, grupująca 16-tu oficerów wszystkich trzech dyonów i szkoła podchorążych, w której studjowali najlepsi podoficerowie całego pułku. W razie, gdyby pod naciskiem decyzji 1-go Dyonu udało się choćby część tych oficerów i podoficerów nakłonić do posłuszeństwa Komendzie Legjonów, powstałby w całym pułku głęboki rozdźwięk .

Wątpię, aby ta sytuacja w całej swej rozciągłości była brana pod uwagę. Przypuszczam, że interpretowano ją w pewnym skrócie względami ściśle personalnemi.

W tym czasie dowódcą garnizonu w Górze Kalwarji był kpt. Kleeberg Franciszek. Ponadto bawił w garnizonie rotmistrz niemiecki Wiese, kierownik ekwitacji, zaprzyjaźniony w pewnym stopniu ze swymi uczniami na płaszczyźnie sportu. Gdyby ponadto pozyskano por. Łapickiego i Bolda, co mogło się wydawać prawdopodobnem, można się było wiele spodziewać od czynnika dezorjentacji, co było wykluczone w Ciechanowie, gdzie na czele garnionu stał kpt. Knoll-Kownacki, członek rady oficerskiej, czuwającej nad tem, aby idea Komendanta Piłsudskiego przeniknęła do wszystkich garnizonów.

Z ramienia tejże rady — łączność z Górą Kalwarją utrzymywali kpt. lekarz Kunicki Ryszard, ppor. Kiliński Władysław, ówczesny adjutant pułku, oraz ppor. lotnik Janusz Beaurain.

Na dwa dni przed oficjalną uroczystością przysięgi w Warszawie otrzymaliśmy za pośrednictwem kpt. Kunickiego wiadomość o zakazie przysięgania wydanym przez Komendanta Piłsudskiego.

Czasu było niewiele, sytuacja niedostatecznie wyjaśniona. Nie było wiadomem, czy przygotowanie terenu jest takie, że dla spełnienia rozkazów Komendanta wystarcza groźba buntu Legjonów bez palenia mostów, czy też jest potrzebny sam ostateczny bunt. Należało rzecz tak prowadzić, aby rozwój wypadków mógł być we właściwym punkcie opanowany.

Wszystko to zostało wypowiedziane na krótkiej, ad hoc zebranej naradzie oficerów garnizonu.

Rezultatem jej było wysłanie kpt. Kunickiego i por. Wieleżyńskiego do kpt. Kleeberga z przedstawieniem motywów, dlaczego tekst przysięgi wydaje się nam, jako polskim żołnierzom, niemożliwy do przyjęcia i z prośbą, aby to nasze stanowisko poparł w Komendzie Legjonów.

Kpt. Kleeberg stanął na gruncie formalnym. Krok nasz uznał za przestępstwo i delegatów naszych aresztował, odmawiając wejścia w meritum sprawy.

Gdy ta decyzja została nam zakomunikowana, zdecydowano stanąć do raportu u kpt. Kleeberga celem zaakcentowania solidarności całego korpusu oficerskiego. Kunicki i Wieleżyński mieli odjechać o godz. 6-tej rano, zameldowano więc prośbę o odbycie raportu od godziny 5-ej. Kpt. Kleeberg się zgodził.

O godzinie 5-ej stał w wielkiej sali budynku oficerskiego wyciągnięty sznur oficerów garnizonu. Raport zdawał najstarszy szarżą por. Bold Maciej, meldując w słowach oględnych, ale stanowczych prośbę

o uwolnienie Kunickiego i Wieleżyńskiego i naszą z nimi solidarność. Kpt. Kleeberg odpowiedział odmownie i przedstawił nam konsekwencje takiego postępowania czasu wojny. Zapomniał, że mówi do tych, którzy swe życie „rzucili na stos", a gdy mu to, łamiąc niepożyteczne już formy wojskowe, przypomniano z szeregu, odpowiedział ponowną odmową, ponowną groźbą i rozkazem rozejścia się.

W tej sytuacji postanowiono apelować do dowódcy pułku, celem zyskania na czasie. Mjr. Śniadowski, człowiek dobry i szczery Polak, był jednak miękki i łatwo się dezorjentował. Stanowisko jego, bezpośrednio pod okiem i wpływem Komendy Legjonów, było trudne. Nie można było przewidzieć, na którą stronę się przechyli. Zdecydowano zaasekurować tę sprawę i spowodować natychmiastowe zaangażowanie się mjr. Śniadowskiego po stronie buntowników.

Z tą misją wydelegowano do Warszawy ppor. Kamińskiego i Zwisłockiego. Zmuszeni skorzystać z tego samego pociągu, w którym Kleeberg miał osobiście eskortować Kunickiego i Wieleżyńskiego, udali się wysłańcy korpusu oficerskiego boczną bramą i bocznemi drogami na stację, aby uniknąć spotkania i nieuchronnego w tym wypadku uwięzienia.

Tymczasem na głównej bramie rozegrała się dramatyczna scena. Kpt. Kleeberg wraz ze swoimi aresztantami napotkał na zwarty tłum żołnierzy prowadzony przez podoficerów. Przedostać się przez ten mur było niepodobieństwem, rozkaz ustąpienia się nie dał żadnego efektu. Wierny regulaminowi kpt. Kleeberg porwał za szablę, aby rąbać opornych. Pochwycono go jednak za ręce i pomożono włożyć szablę z powrotem do pochwy. Wobec zdecydowanej na wszystko postawy tłumu żołnierskiego i własnej bezsilności, wrócił kpt. Kleeberg wraz z aresztowanymi oficerami do domu oficerskiego.

Tymczasem my, wysłańcy do Śniadowskiego, zobaczyliśmy z okien wagonu zapowiedź znacznie większego dramatu. Oto minęło nas — jadąc w stronę Góry Kalwarji kilkanaście ciężarowych automobili niemieckich wiozących kilkuset żołnierzy w pełnem uzbrojeniu szturmowem. Kto ich wezwał — nie dowiedzieliśmy się nigdy. W tej chwili jednak zajmowała nas przedewszystkiem myśl o bezpośredniem starciu, które naturalnie paliło wszystkie mosty za nami i angażowało całe Legjony.

W pełnem poczuciu tej grozy przedstawiliśmy rzecz całą majorowi Śniadowskiemu, akcentując, że tak ostry przebieg zatargu spowodowany jest jedynie przez naszego niezręcznego kolegę. Motyw był szczęśliwie wybrany. Naturą Śniadowskiego było bowiem wszystko łagodzić i wielkiem jego oburzenie na sprawcę tej groźnej sytuacji. Łatwo nam było utrzymać go w tem usposobieniu.

Po przyjeździe do Góry Kalwarji zastaliśmy sytuację zmienioną. Piechota niemiecka nie dojechała — zatrzymana znowu przez nieznanego sprawcę w drodze. U bram koszar pojawił się jedynie półszwadron huzarów, przebywający w tych okolicach na rekwizycji. Wobec groźnej postawy naszych żołnierzy, którzy ciągle dowodzeni tylko przez podoficerów, przemocą opanowali niemiecki magazyn broni piechoty i uzbroili się wcale przyzwoicie, półszwadron nie mając widocznit wyraźnych rozkazów — cofnął się.

Oficerowie nie brali udziału w tych zajściach.

Pod wpływem obawy, że aresztowania mogą się rozszerzyć i że oficerowie mogą bez eskorty na rozkaz wyjeżdżać do Warszawy, rada podoficerów świeżo zorganizowana, czy też już poprzednio, lecz potajemnie istniejąca, obstawiła dom oficerski wartami i nikogo zeń nie wypuszczała.

Te wszystkie wypadki spowodowały korpus oficerski do ogłoszenia dowódcą porucznika Bolda — poczem karność przywrócono.

Decyzja oficerów mająca nikłe pozory związku z regulaminem wojskowym, została podtrzymana przez majora Śniadowskiego, który rozkazał kapitanowi Kleebergowi złożyć dowództwo garnizonu i zameldować się w Warszawie. Reszta dnia upłynęła w podniosłym nastroju, w którym umacniały się decyzje gotowości na wszystko.

Troską jednak naszą była II-ga baterja, której luton miał w Warszawie asystować przy uroczystej przysiędze.

Wysłaliśmy ppor. Künstlera, aby poinformował II-gą baterję o wypadkach zaszłych w Górze Kalwarji i skłonił ją do nieposłuszeństwa. Künstler napotkał pluton pod dowództwem chor. Rudzkiego, nie zdołał go jednak zatrzymać, przywiózł nam natomiast uspakajające wyjaśnienia. Oto dowódca II-giej baterji, por. Łapicki, naciśnięty przez ppor. Kilińskiego nie zgodził się wprawdzie na nieposłuszeństwo, wybrał natomiast drogę chytrze chroniącą od deklaracji. Odkomenderował do Warszawy pluton złożony z samych poddanych austrjackich, którzy do przysięgi nie byli obowiązani. Rola plutonu sprowadzała się do czysto formalnej asysty, bez składania jednak przysięgi.

Krok ten przedłużający okres wyjaśnienia sytuacji bez palenia mostów — mógł być nawet pochwalony.

Istotnie tego dnia złożyli przysięgę tylko Dzwonkowski i Leski, przykomenderowani do artylerji z Komendy Legjonów, nie należący jednak do naszego korpusu personalnego.

Nadszedł termin składania przysięgi w garnizonach. Do Góry Kalwarji przybyli: członek Rady Stanu, szef sztabu Legjonów i ks. kapelan Panaś.

Na wstępie uderzył ich zły prognostyk. Ołtarz polowy, którego przygotowanie nakazano, nie istniał. Oficer inspekcyjny Słobódzki zapytany, gdzie się zatem odbędzie przysięga, udał zdziwienie: „To będzie przysięga?..."

Zebrano nas w jednej z sal domu oficerskiego. Wysłaniec Rady Stanu, p. Ludwik Górski, z wielką przykrością, ale i przekonaniem płynącem z jego linji politycznej, usiłował nas pchnąć na drogę kompromisu. Znać było po nim, że czuł, jak jego motywy muszą się nam wydawać małemi.

W o wiele gorszem położeniu był ówczesny szef sztabu Legjonów. Z twarzą całą w czerwonych plamach usiłował daremnie trafić w ton prostoty żołnierskiego posłuszeństwa, niemożliwy tutaj do zastosowania, gdyż i my byliśmy posłuszni, ale tylko temu, którego mogliśmy uważać za wodza polskiego żołnierza.

W usiłowaniu nawiązywaniu do karności i prostoty żołnierskiej wskazał nam przykład obecnego majora Śniadowskiego, gotowego jakoby na posłuszeństwo Komendzie Legjonów. W tej chwili jednak major Śniadowski przerwał, stanął na baczność i blady jak ściana, ale zdeterminowany, zameldował prośbę o przeniesienie do armji austrjackiej.

Święte drżenie zapału przebiegło nas wszystkich. Nikt z oficerów Królewiaków nie zgodził się na przysięgę.

Przed próbą zaprzysiężenia żołnierzy odbyło się nabożeństwo. Odprawił je ks. kapelan Panaś, jedyny z pośród trzech wysłańców, który czuł się pewnym motywów swego postępowania i gotów był za nie cierpieć z tą gotowością do ofiar i niezrozumieniem skomplikowanych sytuacyj, które go i nadal nie miało opuszczać.

Nie miał jednak tym razem powodzenia.

W chwili, gdy rozpoczął nas przekonywać od ołtarza, byśmy rzucili politykę i byli posłuszni rozkazom, na znak dany przez Schatzla i przezemnie — oficerowie i żołnierze wyszli z kościoła, pozostawiając kaznodzieję samego wzamarłym ze zdumienia geście kaznodziejskim.

Przysięga żołnierzy spełzła na niczem. Duch wśród podoficerów, tej warstwy, która najwięcej dźwigała codziennej pracy i trudów, najmniej mając za to nagrody, był niezłomny. Wpływ ich na masy żołnierskie, wobec silnego zakadrowania i wysokiej ideowej wartości żołnierza, był wielki. Nie przysięgał nikt. Był to wspaniały widok tych szeregów zamarłych we wzorowej postawie żołnierskiej, a niezłomnych wobec fałszywej sugestji karności.

Misja delegatów Komendy Legjonów spełzła na niczem. Wierni polskim obyczajom pragnęliśmy jednak ugościć tych, z którymi spę-

dziliśmy kilka godzin na naszym terenie. Przez dziwne nieporozumienie największe potępienie spotkało księdza Panasia, najbardziej zaślepionego, ale kierującego się najszanowniejszymi motywami. Zbojkotowaliśmy go zostawiając go głodnego w automobilu przed kasynem, w którem podejmowaliśmy p. Górskiego i ówczesnego szefa sztabu Legjonów.

Dyskusja w czasie śniadania nie zbliżyła naszych stanowisk, ale może ulżyła cokolwiek nastrojowi tak, że przynajmniej p. Ludwik Górski odjechał w cokolwiek lepszem usposobieniu.

W tym jakoś czasie byłem u Komendanta razem z kpt. Knollem. Wizyta ta była pożądana przez część oficerów, których łączność z radą oficerską Piłsudczyków była zbyt luźna. Komendant okazał się dobrej myśli, pewny swojej drogi, troszczył się jedynie o to, czy nie przyjdzie nam zbyt wiele na niej wycierpieć. Na wyrażone przezemnie przypuszczenie, że wobec zaostrzonych z Niemcami stosunków może dojść do starcia zbrojnego i że w takim razie chcielibyśmy w walce wykonać odwrót na Dęblin, Komendant odpowiedział tylko śmiechem, nie zaprzeczając i nie potwierdzając.

Dnia 18. lipca rozegrał się w Górze Kalwarji epilog do tej pory opowiedzianych wypadków.

Na rozkaz Komendy Legjonów legjoniści — poddani rosyjscy, którzy odmówili złożenia przysięgi, mieli zostać odtransportowani do obozu jeńców w Szczypiornie.

Usiłowaliśmy uczynić wszystko, aby uświadomić żołnierzom doniosłość ich czynu i doniosłość przeżywanej chwili.

Wieczorem dnia odjazdu wydano dla odjeżdżających żołnierzy przyjęcie w kasynie oficerskiem. Oficerowie pełnili z zapałem rolę gospodarzy, starając się, aby drogim gościom na niczem nie brakło i aby zrozumieli, jak bliskimi sobie jesteśmy, pomimo tego rozdziału, które karność wojskowa wniosła powoli i w stosunki towarzyskie. Kilku oficerów przemawiało, między innymi por. Bold i ja. Szczere, pełne przejęcia się, krótkie przemówienia podniosły nastrój wszystkich zebranych.

Marsz na stację odbył się uroczyście przy pochodniach. Wzruszenie ogarnęło wszystkich do tego stopnia, że wielu oficerów i żołnierzy płakało jak bobry. Transport prowadził ppor. Wąsowicz Jan. Z oficerów: on, Goliński, Gnoiński, oraz Naramowski zdecydowali się podzielić nieznaną dolę żołnierzy oddzielając się w ten sposób od reszty oficerów. Niektórzy z wymienionych zdjęli odznaki oficerskie, aby móc uchodzić za żołnierzy i dzieląc wspólną dolę, podtrzymać ducha i zrozumienie uczynionego kroku, tak trudnego do zrozumienia dla zwykłej psychologji żołnierskiej.

W chwili, gdyśmy przyszli na stację — wojenne przyzwyczajenie do transportów zapanowało nad uroczystym nastrojem. Żołnierze poddali się chwilowej trosce o lepsze miejsca, o rozlokowanie zaprzyjaźnionych grup i transport buchnął rozgwarem pospolitego zawagonowania.

Jednakże nie tak miało się zakończyć nasze pożegnanie. Oficerowie pod komendą kpt. Juljana Stachiewicza ustawili się w rząd. Za nimi stanął drugi rząd z pochodniami. W chwili, gdy pociąg ruszył, padła komenda: „prezentuj broń". W uroczystem milczeniu, wyprężeni, jak na największej paradzie, salutowali niepewni swego jutra oficerowie udających się na nieznany los żołnierzy.

Niezapomniana chwila...

Buchający gwarą pociąg odjeżdżał, wagon po wagonie, przesuwał się zamarłym w uroczystym geście rzędem oficerów. I wagon po wagonie zapadał w taką samą uroczystą ciszę, wszyscy salutowali, a w krwawem świetle pochodni widzieliśmy w oczach te same błyski świętego zapału, który nas opromieniał w tej chwili.

Podobnie uroczyście odbył się wyjazd żołnierzy z Ciechanowa. Oba transporty spotkały się dopiero w Szczypiornie.

Oficerowie i podoficerowie otrzymali rozkaz udania się do swoich macierzystych oddziałów.

W ten sposób Góra Kalwarja spadła do poziomu miejsca postoju jednej baterji, a punktami ciężkości została Warszawa, gdzie obradowała rada oficerska, do której z naszego grona wchodzili: Bartel de Weydenthal, Knoll-Kownacki, Kunicki, Kiliński i Beaurain, oraz Ciechanów, miejsce postoju dwu dywizjonów. Wypadki potoczyły się teraz szybciej.

Rada oficerska postanowiła wezwać oficerów i żołnierzy, poddanych austrjackich, aby wnieśli podania o przeniesienie do armji austrjackiej, a gdy w odpowiedzi na to, Komenda Legjonów zaczęła stosować represje, zażądano otwartego wypowiedzenia posłuszeństwa. Obie te sprawy były dyskutowane w Ciechanowie na posiedzeniu plenarnem korpusu oficerskiego i obie zostały uchwalone po gorącej dyskusji olbrzymią większością głosów. Na posiedzeniach byli por. Bold i Łapicki, obaj dowódcy baterji terenowo oddzielonych i obaj znani z przyjaznego usposobienia dla Komendy Legjonów. Por. Bold nie należał do gorących, ale zgodził się z uchwałami i nawet w tym duchu usiłował wpłynąć na Łapickiego, który okazał się jednak nieprzejednanym i oświadczył wręcz, że ani podania nie wniesie, ani posłuszeństwa nie wypowie.

W kilka dni po ostatniem posiedzeniu nastąpiły dalsze wypadki. Oficerowie znani ze swego niezłomnego stanowiska zostali imien-

nie zwolnieni i przeniesieni do armji austrjackiej z rozkazem meldowania się niezwłocznie w XV korpusie armji w Krakowie. Oto ich nazwiska: por. Antoni Durski, kpt. lekarz Ryszard Kunicki, ppor. Leon Loria, ppor. Tadeusz Schätzel, ppor. Aleksander Wieleżyński, ppor. Feliks Kamiński, por. Tadeusz Zwisłocki. Równocześnie por. Łapicki Włodzimierz został kapitanem i zastępcą dowódcy pułku. Znając Śniadowskiego, sądzono w Komendzie Legjonów, że faktycznym dowódcą będzie od tej chwili Łapicki, nie chciano zaś usuwać lubianego majora, nie tracąc może nadziei przeciągnięcia go na swoją stronę, pomimo, że Śniadowski lojalny wobec powziętych uchwał meldował Komendzie Legjonów wypowiedzenie posłuszeństwa przez pułk.

Jeszcze przed temi, ostatnio opisanemi wypadkami, odjechali od nas oficerowie Królewiacy. Wśród nich znajdował się kpt. Knoll-Kownacki, najstarszy rangą oficer garnizonu w Ciechanowie i wobec nieobecności z powodu choroby kpt. Rożena i odkomenderowania kpt. Bartla de Weydenthal — najstarszy rangą w artylerji oficer Piłsudczyk.

W dzień jego odjazdu dowódcy baterji zarządzili defiladę i prosili kpt. Knolla, aby ją przyjął.

Defilowały wszystkie baterje w pełnym polowym rynsztunku.

Garnizon pruski, stojący w tych samych koszarach, zaalarmowany naszem wystąpieniem w pełnem uzbrojeniu urządził alarmową zbiórkę i stał pod bronią tak długo, dopóki nie odprowadziliśmy armat na miejsca.

Zaczęły się teraz ciężkie dnie. Nerwy nasze szarpane niezwykłemi dla psychologji żołnierskiej decyzjami, obciążone świadomością, że grozi nam nieubłagany wojenny los zdeklarowanych buntowników, musiały wytrzymać brzemię bezczynności i ciężar walki z własnymi towarzyszami broni, drogimi nam nieraz jak bracia.

Pod wpływem niecofającej się przed żadną represją i przed żadnem kłamstwem polityki kpt. Zagórskiego, naszego ówczesnego szefa sztabu, szereg słabszych jednostek zaczął się chwiać i ustępować. Odpowiadając terrorem na terror, ogłosiliśmy bojkot towarzyski tych oficerów, którzy się do naszych kroków nie przyłączyli, lub później zmienili stanowisko.

Ciężkie dni płynęły jeden po drugim. Rozkazy Komendy Legjonów nakazujące wyjazd zwolnionych oficerów pozostawiono bez skutku z obawy osłabienia ducha oporu. Komenda przysłała do Ciechanowa żandarmów z rozkazem aresztowania nas i wywiezienia. Z obawy przed naszymi żołnierzami, żandarmi przebrali się po cywilnemu. Mimo to nie uszli swego losu. Rozstawione bez wiedzy oficerów po-

sterunki żołnierskie zdołały prawdziwym węchem leguńskim rozpoznać przebranych żandarmów i odstawiły ich do dyspozycji dowódcy garnizonu por. Antoniego Durskiego. Tu, gdy się wykazywali rozkazami Komendy Legjonów i legitamacjami, zostali aresztowani i po trzech dniach odesłani do Warszawy pod eskortą z raportem tej treści: „Cywilnych opryszków podających się za żandarmów odsyłam do dyspozycji Komendy Legjonów — Antoni Durski por.". Eskortujący, dzielny ogniomistrz Juljan Tomaszewki, został wsadzony na miesiąc do paki, chociaż w tym wypadku wykonywał tylko rozkaz.

W tych ciężkich dniach otaczała nas bojaźliwa i chłodna sympatja społeczeństwa. Czy to nie rozumiejąc ogromu ryzyka, który na nas ciążył i ogromu bohaterstwa w rozbijaniu tego, z czem się dusza zrosła wszystkiemi włóknami, czy też obawiając się każdego śmielszego odruchu — stało obok nas społeczeństwo, dla którego poświęcaliśmy wszystko i patrzyło chłodnemi oczyma widza. Jedynie w naszych prywatnych stosunkach ton serdeczny nieco się podniósł. Jeżeli już przedtem nie byliśmy obcy w domach Cyprysińskich, Zawadzkich, Żarnowskich, Żurawskich, Konopnickich, Gostomskich, Antoniewskich i innych, to teraz wkradała się do rozmowy niejednokrotnie nuta szczerego uznania, której przedtem brakło. Do pełnego zrozumienia brakło jednak bardzo wiele. Nie czuliśmy jednak tego braku, nawykli już z dawna, że nie jesteśmy rozumiani, wdzięczni i za tę trochę serca, które nam okazano, wdzięczni za parę bukietów i liczne wiązanki kwiatów i zieleni, które otrzymaliśmy z pięknych rączek, gdy w piękny ranek sierpniowy wyjeżdżaliśmy z Ciechanowa na spotkanie naszej nieznanej doli.

Lecz i wtedy nie spotkano nas, jako tych, którzy: „swe życia rzucili na stos" dla Ojczyzny. Niezbyt liczni żegnający nas w przejeździe, to byli osobiście życzliwi, a liczba wiązanek więcej może mówiła o liczbie rozmarzonych serduszek, niż o zrozumieniu sprawy.

Mimowoli ciśnie mi się porównanie z naszym uroczystym wjazdem do Ciechanowa, gdy nie weszliśmy jeszcze na drogę martyrologji polskiej i gdy dla wielu z tych, którzy nas witali, byliśmy szkodliwie zabłąkanymi idealistami. Jakież tam jednak były wtedy tłumy, bramy trjumfalne, mowy i przyjęcia...

Droga nasza wiodła do Radymna pod Przemyślem.

W Radymnie, mimo iż nastrój pozostał napięty, gorączkowe tempo narad opadło. Przybywszy do nowej okolicy, w nowej sytuacji, nie uczywaliśmy już tak silnie nerwowego napięcia przejścia z roli wymarzonego polskiego żołnierza do roli buntownika-banity. Powróciła nawet do nas nasza piękna beztroska, najsilniejsza broń. Korzystając z pięknej pogody, odbywaliśmy długie wycieczki i harce konne, cie-

sząc się tym ulubionym sportem, który być może przyjdzie nam niedługo pożegnać. Ćwiczeń przerabiano mało, gdyż istotnie warunki moralne ogromnie je utrudniały. Nie chciano ich jednak zupełnie zaniedbać, bojąc się, że w razie długiego bezczynnego oczekiwania, może się wkraść do oddziałów rozprzężenie.

Przypuszczaliśmy, że przyjdzie czekać niedługo. W istocie wszystko było już powiedziane i akty buntu doprowadzone do tego stopnia, że tylko ci mogli zostać w Legjonach, którzyby wyraźnie zdezawuowali dokonane kroki. Przed tymi, którzy tego nie uczynią, otwierały się wszystkie możliwości, oczekujące żołnierza-buntownika w czasie wojny, ale zamknięta była droga zostania w Legjonach. W ten sposób mieliśmy nadzieję rozbić własne dzieło w chwili, gdy dokonawszy swego zadania, stało się już Narodowi niepotrzebnem, a nawet może szkodliwem.

W oczekiwaniu na wypadki hartowaliśmy swe dusze, aby mogły wytrzymać najgorsze. I wtedy właśnie, w zmęczeniu długotrwałą walką, pod naciskiem częściowo zresztą już rozmaitych zewnętrznych okoliczności, dojrzało kilka odstępstw...

Pewną nieznaczną ilość żołnierzy i podoficerów udało się Komendzie pułku przeciągnąć na swoją stronę. Major Śniadowski ustąpił, datując swój ostatni rozkaz pożegnalny z dnia 18. września 1917 roku.

Raz na chwilę błysnęła nam nadzieja, zresztą zupełnie nieokreślona. Przyjechał do syna dawny komendant Legjonów generał-porucznik Durski. Powitaliśmy go uroczyście na dworcu w nieokreślonej nadziei jakichś wyjaśniających rozmów i porady. Jakby to już było w tej chwili możliwe.

Generał jednak, który później w Preszburgu okazał nam wiele życzliwości i poparcia, zamknął się z synem i uchylił się od jakichkolwiek rozmów ogólnych. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się od Antka Durskiego, że ojciec domaga się od niego posłuszeństwa, przynajmniej dla ostatniego rozkazu, t. j. zgłoszenia się w Komendzie XV korpusu w Krakowie. W razie odmowy, nie mogąc wybrnąć z konfliktów wewnętrznych, w które go wtrąca stanowisko syna, grozi odebraniem sobie życia.

Wobec takiego postawienia sprawy i wobec faktów dokonanych, które wydawały się już nieodwołalne, postanowiono prosić pułkownika Śmigłego, ogólnie uznawanego za zastępcę Komendanta Piłsudskiego, o pozwolenie wyjazdu dla Durskiego. Pozwolenie nadeszło i Antek odjechał, żegnany i żałowany przez wszystkich, odjechał na dolę przygotowaną dla wszystkich tych, których imiennie zwolnił z Legjonów kpt. Zagórski. Został zdegradowany na prostego szeregowca piechoty, bez praw jednorocznych, przeznaczony z pierwszą

„marszkompanją" na front, gdzieby mu się już postarano o wyrok śmierci bez wzniecania oficjalnego hałasu. Losu tego uniknął on i inni dzięki sprytowi i zdecydowaniu, ale Durski przecierpiał porządnie dwa miesiące mimo wpływów ojca, który się starał ulżyć mu losu. Inni imiennie zwolnieni, znając dokładnie sposoby austrjackiej ewidencji, zdołali wśliznąć się w szeregi zwalnianych masowo, których los był o wiele lżejszy.

Zanim jednak nadszedł ten ostatni akt, trzeba było przejść małą operację. Przyjechał do nas generał-porucznik Schilling, wyznaczony do sanacji Legjonów wraz z gen. Zielińskim. Zarządzono zbiórkę. Wszyscy przechodzili przed prowadzącym protokół, który zapisywał przy każdem nazwisku jedno tylko słowo „zostac", albo „odejść". Zostać — znaczyło zostać w Legjonach, „odejść" — przejść do armji austrjackiej, przyznając się do buntu. Z żołnierzy pytano najpierw tych, których Łapicki przeniósł do dowództwa pułku. Tu było kilkadziesiąt „zostać". Potem przez oba dywizjony aż do końca prawie bez wyjątku „odejść". W pierwszej i drugiej baterji było trochę gorzej, ale i z nich pozostały tylko smutne resztki.

Po tej wizycie spodziewając się lada chwila wyjazdu na miejsce przeznaczenia i jakichś bardzo ciężkich przejść, prosiłem dowództwo pułku o trzy dni urlopu do Lwowa, dla pożegnania się z rodziną. Otrzymawszy go, wyjechałem i spędziłem te trzy dni w takiej beztrosce, jakby mi nic nie groziło. Gdy wróciłem, nie zastałem już nikogo. Rozkaz wyjazdu nadszedł w czasie mojej nieobecności i rozrzucił nasz pułk w trzy miejsca, t. j. do Włodzimierza Wołyńskiego, do Lwowa i na Węgry, nie pomnę już miejscowości.

Opowiedziano mi tylko kilka scen. Jedna z nich zasługuje na opowiedzenie dla odmalowania, jak silnemi były węzły, któremi nas związała wojna. Ulubiony przez wszystkich chorąży Jan Hubel zdecydował „zostać". W chwili jednak, gdy wagonowali się jego najlepsi przyjaciele, nie wytrzymał i powiedział „robicie same głupstwa, nie mogę przecież pozwolić, abyście jechali do piekła bezemnie". To rzekłszy, przeklinając rzewnemi słowy uczucie przyjaźni, wgramolił się do wagonu i przystał do buntowników. Buntownikiem też niegorszym od innych okazał się Albert Siems, Niemiec, prusak z rodu, a wiedeńczyk z przynależności, ale zżyty z nami w długich awanturach, tak, że wolał wstąpić na drogę buntu przeciw własnej armji, aniżeli opuścić towarzyszów broni. Głuchy żal do Komendanta Piłsudskiego nurtował go jeszcze długo za postawienie go przed takim dylematem. Żal ten nie ustąpił prędzej, aż potrzeba tłumaczenia całego czynu Legjonu oficerom armji austrjackiej nie kazała mu wynaleźć tylu argumentów na obronę stanowiska Komendanta, że na-

reszcie sam w nie uwierzył. Siems, jako Niemiec, był długi czas wiarogodnem źródłem informacji o nas dla oficerów armji austrjackiej. W takich chwilach nie można sobie wyobrazić wścieklejszego Polaka nad Siemsa.

Pozostawszy sam w Radymnie, wyszukałem sobie oddział, gdzie miałem najlepszych przyjaciół i prosiłem o przydział. Oddziałem tym okazała się czwarta baterja. Przydział uzyskałem bez trudności.

W chwili jednak, gdy już miałem dokumenta podróży, zgłosiło się do mnie kilku żołnierzy, znajdujących się w podobnem położeniu jak ja, z raportem, że ich siłą zatrzymują w Legjonach.

W chwili, gdy żołnierze pragnący opuścić szeregi Legjonów przestali napływać, zgłosiłem gotowość do wyjazdu. Przypuszczając, że istnieje możliwość skierowania transportu na Węgry lub do Włodzimierza, prosiłem, aby mnie dano rozkaz odprowadzenia transportu, a następnie zgłoszenia się w miejscu postoju czwartej baterji. Łapicki wydał mi ten rozkaz bez trudności. Umiejętnemu użyciu go w odpowiedniej chwili zawdzięczam późniejszą możność wzięcia żywego udziału w pracach P. O. W. Na razie myślałem jednakże tylko o tem, aby się nie rozłączyć z przyjaciółmi.

Nadszedł dzień wyjazdu. Odprowadzało nas kilka osób z miasta, między innymi doktorostwo Mały'owie, których przyjaźni i zrozumieniu sprawy zawdzięczaliśmy niejedno ułatwienie w Radymnie. Otrzymałem olbrzymią skrzynię smakołyków i bukiet pięknych kwiatów.

Z rozkazu otrzymanego dopiero na dworcu dowiedziałem się o celu podróży. Była nim Lublana, a więc front włoski.

Zmartwiałem. Za jednem pociągnięciem pióra zostaliśmy wyrwani z grona przyjaciół i rzuceni na najgorszy z frontów. Państwo Mały'owie błagali mnie, abym nie jechał, Łapicki ofiarował się napisać meldunek, że już wyjechałem i kazać transport odprowadzić komu innemu.

Nie mogłem przecież opuścić żołnierzy, którzy mniej odpowiedzialni odemnie i znosząc trudy większe niż ja, musieli w każdym razie wycierpieć skutki tej marszruty. Wsiadłem więc razem z całym oddziałem i po chwili już żegnaliśmy Radymno, śpiesząc na nieznaną, daleką dolę.

W ten sposób odjechał ostatni oddział pułku artylerji Legjonów i przed jego żołnierzami zamknęły się wszystkie żołnierskie drogi służenia Ojczyźnie, a otworzyły się drogi walki podziemnej.

Organizacją dominującą stawała się P. O. W.

Kazimierz Kierkowski

NIECO DOKUMENTÓW DO SPRAWY PRZYSIĘGI I ROZBICIA LEGJONÓW.

Przechodząc do porządku dziennego nad wspaniałemi bojami Legjonów — nad osobistem bohaterstwem legjonistów, chcę zwrócić uwagę czytelnika na trzy charakterystyczne okresy (może — chwile) triumfu moralnego formacyj Legjonowych, a mianowicie:

a) wymarsz kadrówki i pierwsze boje kieleckie, gdy Komendant i Jego żołnierze liczyli na powstanie Rządu Narodowego i — utworzenie Armji Narodowej;

b) drugie półrocze roku 1917, kiedy to Brygadjer Józef Piłsudski rozpoczął ze swoim szczupłym liczebnie wojskiem zdecydowaną walkę moralną przeciw Niemcom i Austrjakom;

c) Listopada 1918 r. — rozbrojenie przez żołnierzy Piłsudskiego Niemców i Austrjaków i... „wybuch Polski".

„Okresowi" środkowemi poświęcę ten fragmentaryczny zbiór dokumentów, które choć w oryginałach pożółkły juz ze starości (10 przeszło lat!), nie mniej tchną i dziś jeszcze świeżą miłością Ojczyzny.

Zarówno walka z okupantem, czy też z osławioną austrjacką Komendą Legjonów wymagała od legjonisty ofiarnego samozaparcia się, wiodącego za kraty i kolczaste druty...

Niechaj nikogo nie dziwi i — gorszy, że żołnierz się buntował i „politykował", bo przecież — musiał to czynić dla obrony polskości Wojska. W tych ciężkich chwilach Legjoniści byli nie tylko wojskiem, ale i niejako Rządem własnym: buntowano się przeciw najezdnikom!

W maju 1917 r. żołnierze legjonowi, pochodzący z Małopolski manifestowali swą polskość przez masowe składanie podań do ce-

sarza Karola o zwolnienie z poddaństwa austrjackiego; jednocześnie ci sami zwracali się do Tymczasowej Rady Stanu z oświadczeniem, iż życzą sobie być obywatelami Królestwa Polskiego. W tym celu zjechała nawet w dniu 15.V.1917 r. specjalna delegacja do Warszawy. Oczywista, akcja ta nie była tyle obliczona na istotne powodzenie, ile — urabianie opinji społeczeństwa, że już można z Austrją zacząć wstępne porachunki.

Formularz IV.

Do
Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego
w Warszawie.
(w drodze służbowej)

Imię i nazwisko . . . . . szarża . . . . . oddział . . . . . urodz. dn. . . . . roku . . . . . w . . . . . powiat . . . . kraj . . . . przynależny do . . . . . pow. . . . . kraj . . . . religji . . . . stanu . . . . . stale w . . . pow . . . . kraj . . . . . zamieszkały, oświadcza, że pragnie stosownie do odezwy Tymcz. Rady Stanu Królestwa Polskiego Nr. 2745 z dnia 18 maja 1917 r., przyjąć obywatelstwo Królestwa Polskiego i że równocześnie wnosi do J. C. M. Cesarza Austrji prośbę do tronu o zezwolenie na przyjęcie obywatelstwa Królestwa Polskiego i zwolnienia z poddaństwa austrjackiego.

. . . . . dnia . . . . . roku

podpis . . . . . .

własnoręczność podpisu uwierzytelnia Komenda . . . . .
(L. S.)

Tymczasem już w lipcu forsowano przysięgę, a do 5 p. p. dla podporządkowania go Komendzie Legjonów zjechał nowomianowany Kmdt ppłk. Żymierski Michał. Posunięcia przysięgowe nie powiodły się ppłk. Żymierskiemu, co przedstawia on w swym meldunku.

Dowództwo 5 p. p. W. P. Res. nr. 17.

Do Dowództwa Legjonów Polskich w Warszawie.

Zegrze, dnia 7 lipca 1917.

Melduje, że w myśl rozkazu Dowództwa Legjonów Polskich wydałem zarządzenie, aby każdy batalion wydzielił pluton z 16 rot. Zbiórkę naznaczyłem na godz. 3.00 popołudniu celem przećwiczenia całej kompanji. Na zbiórkę oddziały się nie stawiły, natomiast wpłynęły meldunki dowództw baonów, które niniejszym załączam, a które odmawiają wykonania rozkazu. Wskutek odmówienia posłuszeństwa przez dowódców baonów zawiesiłem kapitana Wilczyńskiego i kapitana Raczyńskiego w czynnościach dowódców baonów i odsyłam ich do dyspozycji Legjonów Polskich.

Melduję również, że ze względu na zorganizowaną akcję w korpusie oficerskim przeprowadzenie rozkazu Dowództwa Legjonów w sprawie wy-

jazdu oddziałów do Warszawy celem złożenia przysięgi jest nie do przeprowadzenia. Wskutek powyższych wypadków, proszę o zwolnienie mnie z obowiązków dowódcy 5 p. p., ponieważ nie jestem w stanie rozkazu Dowództwa Legjonów Polskich przeprowadzić.

M. Żymierski, ppłk. dowódca pułku.

Pułki postanowiły zdecydować oprzeć się Niemcom w nieszczerej akcji „tworzenia" t. zw. Wojska Polskiego, które miało przysięgać wierność naszym wrogom odwiecznym i prawdopdobnie — pójść na front zachodni — „wykańczać entantę".

„Wyklęty"

Posiadam w swych zbiorach orzełek polski czapkowy, pruskiej fabrykacji z liczbą „12" na tarczy: tyle pułków znać Niemcy zdecydowali się utworzyć...

Oto deklaracja przeciwprzysięgowa jednego z pułków:

5 pułk piechoty W. P. w Zegrzu dnia 7.VII.1917 r.

Korpus oficerski 5 p. p. na zebraniu dnia 6 lipca 1917 r. oświadcza:

5 p. p. odmawia złożenia przysięgi według przedłożonego brzmienia. Powyższa bowiem rota nie oddaje nas w zależność od jakiejkolwiek istniejącej władzy polskiej, — wyzuta jest z zasady politycznej własnej państwowości i zaprzecza naszym dążeniom do niepodległości.

Nie obejmując nas wszystkich[1]) jako jednolitą kadrę wprowadza rozdział potrzebny chwilowym założeniom wrogim budowie Armji.

Na straży honoru żołnierza polskiego, świadomi następstw tego sprzeciwu, wytrwamy w obronie naszej godności.

(następują podpisy całego korpusu oficerskiego).

[1]) Przysiędze legioniści-galicjanie nie podlegali.

Po otrzymaniu tego oświadczenia w Komendzie Legjonów — zarządzone zostały „po myśli § 137" dochodzenia przedwstępne, a na... zadatek aresztowano wszystkich trzech d-ców baonów (mjr. M. Trojanowskiego i kapitanów: Wilczyńskiego Józefa i Raczyńskiego Włodzimierza).

Z kartą służbową o następującej treści odesłano delikwentów na ul. Dziką.

Sąd polowy P. L.

Areszt polowy przyjmie z rozkazu Komendanta Legjonów 1) kapitana Józ. Wilczyńskiego i 2) kapitana Włodz. Raczyńskiego obu z 5 p. p. do aresztu śledczego i umieści ich w odrębnych celach.

Warszawa 8/7. 1917.

Dr. Krzemieński, por. aud.

Sprzyjający nam całkowicie por. aud. Krzemieński jako sędzia śledczy przeprowadza śledztwo w 5 p. p.; — bada wybranych dowolnie ze spisów dwudziestu Legjonistów (szeregowców); następują tego rodzaju zeznania (akta sądowe):

...„po odczytaniu roty przysięgi powziąłem wątpliwość, czy przysięgę złożyć należy, a to z tej przyczyny, że niema rządu polskiego, niema króla, a przysięga na wierność przyszłemu królowi musi być iluzoryczną; zaprzysięganie braterstwa broni nie jest w żadnem wojsku przyjęte; że w tem decyduje rząd, zawierając traktaty państwowe, słowem, że przysięgę mogę złożyć tylko dowództwu polskiemu, żadną zaś miarą — Besselerowi, który zresztą tej przysięgi nie złożył, zatem jego osobiście ona nie dotyczy"...

Śledztwo przeciw żołnierzom zastanowiono.

Pomimo to, a raczej może dla tego, do poszczególnych pułków zjeżdżają niebawem członkowie Tymcz. Rady Stanu w towarzystwie d-ców brygad, dla odebrania przysięgi. Pułki, tych „radców stanu" przyjmowały nie zbyt życzliwie, a już w 1 p. p. — p. Grendyszyński i płk. Januszajtis przeżyli bardzo ciężkie chwile. Oto wyjątek z listu jednego z oficerów, który był obecny na zbiórce przysięgowej.

...nie znalazło się ani jednego zdrajcy, któryby pozostał na miejscu chcąc przysięgać. Oficerom rozkazano złożyć szable; szli jeden za drugim, rzucając błyszczącą stal pod nogi Januszajtisa. . . . Brygadjer zbladł, zachwiał się — zdawało się, że padnie . . . .

. . . . . Bataljon stał nieruchomy, zasłuchany w szczęk padających szabel. Grendyszyński nie mógł znieść tego widoku i wyszedł za żołnierskie szeregi, ręce mu zwisły bezwładnie, głowa opadła na piersi. Widziałem, jak ppor. Szafranowski rzucił szablę tak, że odbijając się, skoczyła ku piersi Januszajtisa. . . . . .

5 pułk piechoty Wojsk Polskich

Sąd polowy Komendy Legjonów Polskich
Wpisano w Krzywicy dnia 7/7 1917.
L. ~ /1~
Rej. L. 163 /17. s. 5 załącz.

Łęczyce dnia 7 lipca 1917 r.

My Korpus oficerski 5 p. p. na zebraniu dnia 6 lipca 1917 r. oświadczamy:

5 p. p. odmawia złożenia przysięgi według przedłożonego brzmienia.

Powyższa bowiem rota nie oddaje nas w zależność od państw centralnych istniejącej władzy polskiej. Wyrażona jest z zasady (powtarzanej) własnej państwowości i zaprzecza naszym dążeniom do niepodległości.

Nie obejmując nas wszystkich jako jednolitą kadrę wprowadza podział potrzebny chwilowym zadaniom prowizorjum budowie armii.

Na straży honoru żołnierza polskiego, świadomi nastrojów tegoż przeciwni, pytowany x, obronie naszej godności.

Franciszek Obrad-Rickpor
Jan Zaorski
Aleksander Kpor.
Sprawiedliwy por
M. Czachowski obozny
M. Miniarski por
A. Pawełkiewicz
Jagielnicki ppor.
Bolesław Pikas por.
Piotr Szkaradek por.

M-Trzaskowski dyż
Wł. Bronisław Niedzwiecki kap
Kaz. Przyjałkowski
Mieczysław Wysocki por
Wacław Wysocki
Ignacy Boerner por.
Antoni Mazurkiewicz por
Franciszek Jasiński

Tad. Mińmicki potpor.
Eugenjusz Lasocki ppor.
Józef Matonia chor.
Kazimierz Jabłoński chor.
Franciszek Polmański ppor.

W. Raczyński kpt
Józef Stefanowicz
Wojciech Kaczyński por
Wincenty Jaworski por
Teodor Dzierżyński por

Deklaracja przeciwprzysięgowa 5-go p. p. (reszta podpisów niewidoczna — przeniesiona na odwrotną stronę oryginału)

. . . . Ostatni podchodził mjr. Fabrycy i w obłędzie szalonego bólu krzyknął: „nie oddam swojej szabli zdrajcy". — Ale potem popatrzył na stos szabel i uświadomiwszy sobie, że tam i jego broni nie może brakować, rzucił ją więc z taką siłą, aż odbiła się od stosu". I tak jedna po drugiej błyskały w słońcu jasne stale, aż padła ostatnia. A z wzburzonych piersi żołnierskich runął krzyk wielki, jak protest dziejącej się podłości: „Niech żyją oficerowie"! „Hańba zdrajcom"!

Brygadjer Roja i przedstawiciel T. R. S. po odmowie przysięgi przez 5 p. p. Leg. udają się do kasyna

W kilka dni później szły transporty kolejowe do Szczypiorna. Z transportów tych rozrzucano odezwy patrjotyczne, na których treść — w czasie największego powodzenia militarnego państw centralnych — mógł sobie pozwolić tylko żołnierz legjonowy. A oto jedna z odezw.

Obywatele!

Za stałą wierność idei — jedziemy do obozu jeńców. Jedziemy dumni ze spełnionego obowiązku i jesteśmy pewni, że tak nas zrozumiecie. Wiemy, że poza bandą pruskich pachołków i sprzedawczyków stoi jeden wielki Naród, który łącznie z nami, wkrótce podejmie walkę z bronią w ręku o wolność i niepodległość Ojczyzny.

Wiemy, że postępowanie nasze jest wynikiem zbiorowej woli całego narodu i, że tej woli jak dotychczas, tak i w przyszłości zawsze się podporządkujemy i dlatego też jedziemy weseli i ufni w potęgę czystości sprawy. Smierć i hańba pruskim pachołkom i sprzedawczykom. Precz z nowoczesną Targowicą — Radą Stanu! Niech żyje Komendant Piłsudski! Niech żyje Armja Narodowa!

Niech żyje Niepodległa Republika Polska ludowa i demokratyczna!

5 p. p. Wojsk Polskich.

W pociągu dnia 17 lipca 1917 r.

Gdy legjoniści — „Królewiacy", marząc o przyszłej wyzwolonej Polsce — przymierali już głodem w obozach internowanych Benjaminowa i Szczypiorny, — koledzy ich „galicjanie" nie chcą pozostawać w okrojonym już, tym razem naprawdę — „galicyjskim" Legjonie — i składają podania o zwolnienie ich z przetrzebionych ilościowo i jakościowo Legjonów. Komenda Legjonów zwalnia „na raty" najoporniejszych, wzgl. — najniewygodniejszych dla siebie oficerów, przenosi ich do c. i k. armji, czyniąc jednak wszystko, aby te zwolnienia nie zaszły zbyt daleko: do 100%.

Dowództwo Legjonów Polskich. Warszawa 12.VIII 1917 r.

Rozkaz Nr. 327.

Na własną prośbę i celem wstąpienia do c. i k. armji zwalniam z Legjonów z dniem 12.VIII 1917 r. kpt. Stachiewicza Juljana, kpt. Kulczyckiego Juljana, kpt. Kulę Leopolda, por. Zamorskiego Kordjana, por. Grzybowskiego Franciszka, por. Langnera Władysława, por. Ścieżyńskiego Mieczysława, por. Bratrę Jana, por. dr. Stryjeńskiego Władysława, ppor. Kozłowskiego Eugenjusza, ppor. Wasserbergera Józefa, chor. Łysakowskiego Zenona, chor. san. Buchsbauma Emanuela, chor. rach. Diducha Kazimierza — wszystkich z 1 p. p. leg.

m. p. Zieliński pułkownik.

Te zarządzenia wywołały znów cały szereg protestów.

1 p. p. Leg. Modlin 13.VIII 1917.

Do Dowództwa Legjonów Polskich
w Warszawie.

1 p. p. Leg. Pol. przeciwstawiając się częściowemu zwalnianiu oficerów, jakoteż zwalnianiu oficerów bez żołnierzy odmawia posłuszeństwa Dowództwu Legjonów Polskich i wysłanym przez nie oficerom, żądając natychmiastowego zwolnienia całego oddziału.

(podpisy oficerów).

Pismo to otrzymał mjr. Zagórski i nazwiska znacząco popodkreślał dwukolorowym ołówkiem...

Żądania oficerów o przeniesienie do c. i k. armji miały charakter żywiołowy, gdyż mało kto chciał paradować wtedy w mundurze legjonowym, w tym czasie, gdy 50% wojska trzymał Beseler za drutami. Już protesty nietylko z pułków nadchodziły do Kom. Legjonów. Oto pismo ś. p. kapitana art. Barthla de Weydenthala.

Dowództwo 3 Brygady Leg. Pol. Res. Nr. 160. Łomża, dnia 20.VIII 1917.

Do Dowództwa Legjonów Polskich
w Warszawie.

Ponieważ Dowództwo Legjonów Polskich wywołuje swem postępowaniem patrjotyczne wzburzenie w wojsku, samo zaś kieruje się politycznemi względami w swej pracy wojskowej i wprowadza polityczną agitację i demagogję do wojska, co szkodzi dobru służby, i ponieważ całe postępowanie Dowództwa Legjonów Polskich skierowane jest ku pozbawieniu wojska polskiego najwartościowszych czynników i ku odebraniu wojsku polskiemu charakteru narodowego, co szkodzi dobru państwa polskiego —

Sztab i Oddział Sztabowy 3 Brygady Legjonów Polskich odmawia wykonywania rozkazów Legjonów Polskich i żąda jak najszybszego załatwienia wszystkich podań o zwolnienie, z dowodzonego przez Generał-Gubernatora Warszawskiego, Wojska Polskiego.

Sztab i Oddział Sztabowy 3 Brygady Leg. Pol.
Adjutant 3 Brygady Leg. Pol.
Barthel de Weydenthal, kpt.

Większość pułków występowała solidarnie w 100 procentach: jednakże w niektórych jednostkach Komenda Leg. paraliżowała te odruchy. Np. korpus oficerski 6 p. p. pomimo nasłania doń nowego komendanta ppłk. Rylskiego w 90% złożył podania o zwolnienie z Legjonów. Tarcia na tym tle opisane zostały w I tomie niniejszego dzieła.

Dowództwo 6 p. p., Dęblin 18.8 1917 r. Poufne.

Do Dowództwa Legjonów Polskich
w Warszawie.

W uzupełnieniu dzisiejszej ustnej rozmowy z panem Brygadjerem i szefem sztabu upraszam o natychmiastowe zwolnienie następujących z 6 p. p.:

1) por. Maksa Kamskiego,
2) por. Wilhelma Rückemana,
3) ppor. Tadeusza Schöna i
4) ppor. Aleksandra Tumidajskiego.

Pierwsi dwaj, pomimo, że dostali odemnie rozkaz wyjazdu, pierwszy z powodu otrzymanego urlopu, drugi do szpitala z powodu choroby i de-

cyzji lekarza, skorzystali z mej nieobecności, by jeszcze dziś tu pozostać i prowadzić jak najintensywniejszą agitację przeciwko cofnięciu podań o dymisję i — mojej osobie. Dowiedziałem się również, że ppor. Schön także nie chce się uspokoić. Co do ppor. Jankowskiego, to proszę tego pana nie zwalniać, bo dowiedziałem się, iż on stoi pod wpływem i terorem Kamskiego, Świtalskiego et consortes. . . .

...Co do kapitana Popowicza, to prosiłbym bardzo, by go na razie nie zwalniać. Przekonałem się wielokrotnie, że on absolutnie sam żadnej agitacji nie prowadził, był pod wpływem Norwida i głównych prowodyrów, lecz gdy tych w pułku braknie, jestem przekonany, że się grubo zmieni [1]).

Z podoficerów proszę narazie o zwolnienie: 1) sierż. Stanisława Węgiela, 2) sierż. Jana Mazurkiewicza, 3) sierż. Józefa Jakubca i 4) sierż. Kazimierza Kierkowskiego.

(—) W. Rylski, ppłk.

Nie pomogły selekcyjne zwolnienia, ani kary i groźby. Dnia 22 sierpnia o świcie pułk pomaszerował z Krasnoglin z powrotem do koszar w Zajezierzu (gdzie przebywał ppłk. Rylski z sześcioma niesolidaryzującymi się z ogólnym nastrojem oficerami), wysławszy uprzednio oficera konno [1]) z piśmiennym żądaniem niezwłocznego wyjazdu ppłk. Rylskiego z rejonu koszar 6-go p. p.

Po niesławnym wyjeździe z pułku — ppłk. Rylski zostaje przesłuchany w Warszawie:

„Referat Sprawiedliwości.

Protokół sprawy dnia 23 sierpnia 1917 r. w biurze Referatu Sprawiedliwości Leg. Pol. w Warszawie.

Staje podpułkownik Witold Scibor-Rylski lat 46, urodzony w Wielopolu pow. sanocki, tamże przynależny, komendant 6 p. p., zeznaje:

Dnia 12 b. m. złożyli u mnie służbowo komendanci baonów pliki podań o zwolnienie z Legjonów Polskich wystosowane do Najjaśniejszego Pana, a złożone przez wszystkich żołnierzy. Równocześnie przedłożyli mi komendanci baonów podobne podania oficerów.

...W kilka dni po wniesieniu podań panował w pułku względny spokój, jednak zauważyłem robotę agitacyjną i na skutek doniesień zaufanych, kazałem aresztować podchorążych: Jana Mazurkiewicza i Kazimierza Kierkowskiego, jako podejrzanych o podżeganie. Ponadto dowiedziawszy się, że w półbaonie szkolnym, w którym był Kierkowski, a którego komendantem był kpt. Popowicz Bolesław, wre robota agitacyjna, rozwiązałem ten półbaon, rozdzieliwszy ludzi pomiędzy wszystkie kompanje. . . .

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

„Na tej podstawie [2]) kpt. Terlecki zwolnił Mazurkiewicza z aresztu, wobec tego zwolniłem także Kierkowskiego uważając, że to jest konieczne ze względu na poczucie sprawiedliwości.

---

[1]) Nie zmienił się (przyp. autora).

[2]) W tomie I. podano, iż z pismem jeździł ppor. Strzegocki; w rzeczywistości był to chor. Gruber Henryk (obecnie kpt. rez. i Prezes P. K. O.)

...Dnia 20 b. m. zawiadomili mnie komendanci baonów, że wszyscy żołnierze stanęli do raportu z prośbą o przeniesienie do c. i k. armji z tem, że mają być zwolnieni wszyscy, albo żaden. Równocześnie stanęli do raportu pułkowego z prośbą o przeniesienie do c. i k. armji wszyscy oficerowie . . . . .

. . . . . uczynili to pod wpływem por. Meraka Juljusza i chor. Świtalskiego Klemensa, których ruchy osobiście zauważyłem.

. . . . . w niedzielę 19 b. m. zauważyłem por. dr. Jakubskiego Antoniego, który bawił na urlopie w Nałęczowie i w Warszawie i już drugi raz podczas ostatnich dni zjawił się w pułku. Zapytałem go pół żartem, czy przyjechał agitować, na co on tłumaczył się, że — wprawdzie nie agituje, ale gdy kto go zapyta o zdanie, szczerze i otwarcie wypowiada swe przekonanie. Wobec tego kazałem mu najbliższym pociągiem odjechać, a do odjazdu — zatrzymać się u oficera inspekcyjnego. Tegoż samego dnia dowiedziałem się o przyjeździe chor. Świtalskiego pod pozorem zabrania rzeczy i wobec tego kazałem mu również wyjechać.

Dnia 20 b. m. przyjechał płk. Haller na inspekcję.

....Na rozkaz komendanta brygady i pułku wyszedł pułk następnego rana na ćwiczenia 14-dniowe w pole...

...Następnego dnia przysłał mi kpt. Popowicz postulat żołnierzy, który oni popierają bronią, a który złożyłem w Dowództwie Legjonów.

...Następnie przyszedł do mnie kpt. Popowicz i żądał wydania sztandaru, a na moje zapytanie, czy ręczy za spokój, oświadczył, że o ile postulaty żołnierzy będą przyjęte, to ręczy za spokój.

Zameldowałem o tem telefonicznie Dowództwu Leg., na co mi kazano przyjechać z odnośnymi oficerami do Warszawy.

...Mam niezłomne przekonanie, że wpływ na ten ruch miał dymisjonowany podpułkownik Norwid, mieszkający w Nałęczowie i skrajne żywioły, tudzież emisarjusze z 1 p. p.

(—) Witold Scibor-Rylski, ppłk.".

Zajścia w 6 p. p. spowodowały zatarg między brygadjerem J. Hallerem, a ppłk. Rylskim, co w piśmie odręcznym płk. Hallera brzmi następująco:

Pułkownik Józef Hallenburg Haller
Dowódca II Brygady.

Warszawa, 24 sierpnia 1917 r.

Do Dowództwa Polskiego Korpusu Posiłkowego
w Warszawie.

W myśl rozkazu melduję pisemnie ustny meldunek, złożony dzisiaj przed południem, jako uzupełnienie pisma w sprawie 6 pułku piechoty.

1. Dowódca 6 p. p. podpułkownik Rylski pomijał drogę służbową, odnosząc się bezpośrednio do Dowództwa, zwłaszcza niejednokrotnie ustnie nie meldując tego Brygadzie.

[1]) Mazurkiewicz wg. zeznania ppłk. R. miał dać przyrzeczenie, iż się będzie „spokojnie zachowywał".

2. Nie informował Brygady o sprawach pułkowych, lecz informował bezpośrednio Dowództwo, tak, że o wszystkich dotyczących sprawach dowiadywałem się od Dowództwa lub na miejscu w Dęblinie.

3. Pomimo, że nie pozwoliłem ogłaszać rozkazu ze zwolnieniami oficerów, podpułkownik Rylski rozkaz ten podał do wiadomości kapitana Popowicza.

4. Co się tyczy bytności podpułkownika Rylskiego przy bataljonie, który wymaszerował na ćwiczenia, podpułkownik Rylski tłumaczy się, iż sądził, że ja zaakceptowałem jego zamiar, o którym twierdzi, że mi mowił, iż rano dopiero dojedzie konno do bataljonu. Przypuszczać zatem muszę, iż zaszło nieporozumienie z powodu tego, iż to było w rozmowie z powrotem z ćwiczeń na wózku, wypowiedziałem może nie zupełnie w formie rozkazu moje życzenie, by podpułkownik Rylski był przy bataljonie.

Wreszcie otrzymywała Brygada z 6 p. p. pisma, kilkakrotnie podpisywane przez kapitanów w zastępstwie, co pisemnie wytknąłem, gdyż to jest niedopuszczalne, a o wyjazdach dowódca pułku powinien meldować, co też winno być zaznaczone przy podpisie zastępcy".

Po ostatecznem rozbiciu Legjonów — Komenda Leg., jako narzędzie w rękach austrjackich — ścigała sądownie tych wszystkich legjonistów, którzy intensywniej, natarczywie domagali się samodzielności i polskości. Na lewo i prawo zarządzano aresztowania; mjr. audytor Ganczarski Artur miał prawdziwe żniwa. Przesłuchiwano tysiące osób (pomagał w tem osobiście austrjacki generał Schilling); akta sądowe pęczniały, zbliżał się proces przemyski.

„P. K. P. Referat Sprawiedliwości. — Zarządzam postępowanie badawcze w kierunku zbrodni buntu z § 159 w. u. k. przeciw sierż. Kierkowskiemu, Krzyczkowskiemu, Czajkowskiemu, Strzelichowskiemu, Mazurkiewiczowi, Wadasowi i innym — wszystkim z 6 p. p. z aresztem śledczym po myśli § 171 c. 2. 3. 4. 5. w. p. k. — Ganczarski mjr. aud., referent sprawiedliwości P. K. P. — Przemyśl, 3.IX 1917 r.".

Dowódca Polskiego Korpusu Posiłkowego
jako komendant właściwy
L. 1639/17.

Rozkaz aresztowania.

W myśl § 177 p. k. w. zawieszam areszt śledczy nad byłym por. Leg. Pol. Wieleżyńskim Aleksandrem z bat. 1 art. p. w Wysocku, który dostatecznie okazuje się podejrzanym, że na podstawie zmowy odmówił posłuszeństwa Dowództwu Legjonów Polskich, które to działanie nosi na sobie znamiona zbrodni z § 159 u. k. w.

Zawieszenie aresztu śledczego uzasadniają względy z § 171 ust. 3., 4. i 5. w. p. k.

Przemyśl, dnia 15 września 1917 r. (—) Zieliński płk.
Referent prawny Komendy Legjonow Polskich (—) Ganczarski mjr. aud.

Czytelniku, nie dziw się, że takie sromotne dokumenty noszą podpis skądinąd szlachetnego męża, dobrego polaka, służbisty i żołnierza surowego — pułkownika Zielińskiego! Człowiek ten był jakby osaczony ludźmi tej miary jak mjr. Zagórski, z którymi musiał się liczyć, a którzy mu zawsze przypominali, że jest przedewszystkiem... austrjackim pułkownikiem, a dopiero później — Komendantem Legjonów.

Więzienie przemyskie. Grupa podoficerów - więźniów

Zasłaniano się osobą i podpisem płk. Zielińskiego!

Tu pozwolę sobie na małą dygresję i opowiem to, co kiedyś słyszałem od płk. Szt. Gen. Jerzego Ferka-Błeszyńskiego (dziś — attaché wojskowego w Paryżu)... „gdy się dowiedział Zieliński [1]), że i ja złożyłem podanie o zwolnienie z Legjonów — wezwał mnie do siebie prywatnie, chcąc pomówić ze mną szczerze o losie mnie czekającym i wogóle — o tem, co się działo w pułkach. Pomimo, że dość długo siedziałem w gabinecie D-cy P. K. Posiłk. — Zieliński nie mógł się zdecydować na poruszenie aktualnego, acz drażliwego tematu Legjonowego, a ciągle oglądał się na drzwi wejściowe, jakby nasłuchując...

Co chwila wchodził mjr. Zagórski i mierzył mnie badawczym wzrokiem; Zieliński wtedy rozmowę urywał i zmieniał temat. Wresz-

[1]) Ś. p. generał Zieliński był spokrewniony z pułkownikiem Błeszyńskim.

cie staruszek wstał od biurka, sprawdził, czy nikt nas nie podsłuchuje, a upewniwszy się, że możemy nareszcie mówić bez przeszkód— uskarżał się na swego anioła-stróża, obdarzając go dosadnym, a niezbyt pochlebnym epitetem...

— Długo żalił się biedny pułkownik na narzucone mu otoczenie"...

W Komendzie Pol. Korp. Posiłkowego, jak już wspomniałem, sądownicy pracowali w pocie czoła, gromadząc i porządkując dowody „buntu", sporządzając akty oskarżenia. W więzieniach oczekiwało na rozprawę dziesiątki oficerów i podoficerów.

My zamknięci na Bakończycach zwróciliśmy się z prośbą o wyznaczenie nam obrońców prawnych: dr. Liebermana H. z Przemyśla i dr. Marka Z. z Krakowa.

Wśród badających nas wówczas, a nawet — sądzących prawników — byli i sympatycy nasi, że wymienie np. chor. Kurowskiego, którego „referat" (znajduje się w archiwum) pisany po zakończeniu śledztwa, w sposób naprawdę nie austrjacki — ujmuje „przestępstwa" nasze w 6 pułku p.

....Pierwsza rada istniała od końca marca wzgl. — początku kwietnia 1917 r. do początku drugiej dekady lipca 1917r. W połowie lipca powstała druga Rada, do której weszła tylko część członków poprzedniej rady. Wydział jej wykonawczy liczący trzech względnie 4-ch członków składał się z jednostek bardzo energicznych. W przeciwstawieniu poniekąd do innych pułków ruch w 6 p. p. szedł zdołu, od żołnierzy wzgl. — podoficerów i — oddziaływał w rezultacie silnie na oficerów!

...„Wreszcie przez usiłowanie z rozkazu Rady Żołn. aresztowanie organu ppłk. Rylskiego — plut. Żand. pol. Widnera w kancelarji komendantury dworca niemieckiego w Dęblinie przez zbrojną patrol pod wodzą sierżantów Kierkowskiego i Krzyczkowskiego, która (patrol) na dworze obok kancelarji zwróciła się frontem przeciw otaczającym ją półkolem żołnierzom niemieckim"...

...„Jan Mazurkiewicz sierżant, 21 lat liczący młodzieniec szczupły, blady, przytomny; zimno spokojny — spokojem swym niezwyczajnym, energją, stanowczością i zdolnościami organizacyjnemi mógł wpływać na masy żołnierskie i je opanować".

— „Dyonizy Krzyczkowski sierżant, 20 lat o pogodnem usposobieniu, odznaczający się inicjatywą i zuchwałą energją, oraz odwagą".

— „Kazimierz Kierkowski sierżant 23 lat, nadzwyczaj czynny i mający posłuch u żołnierzy"...

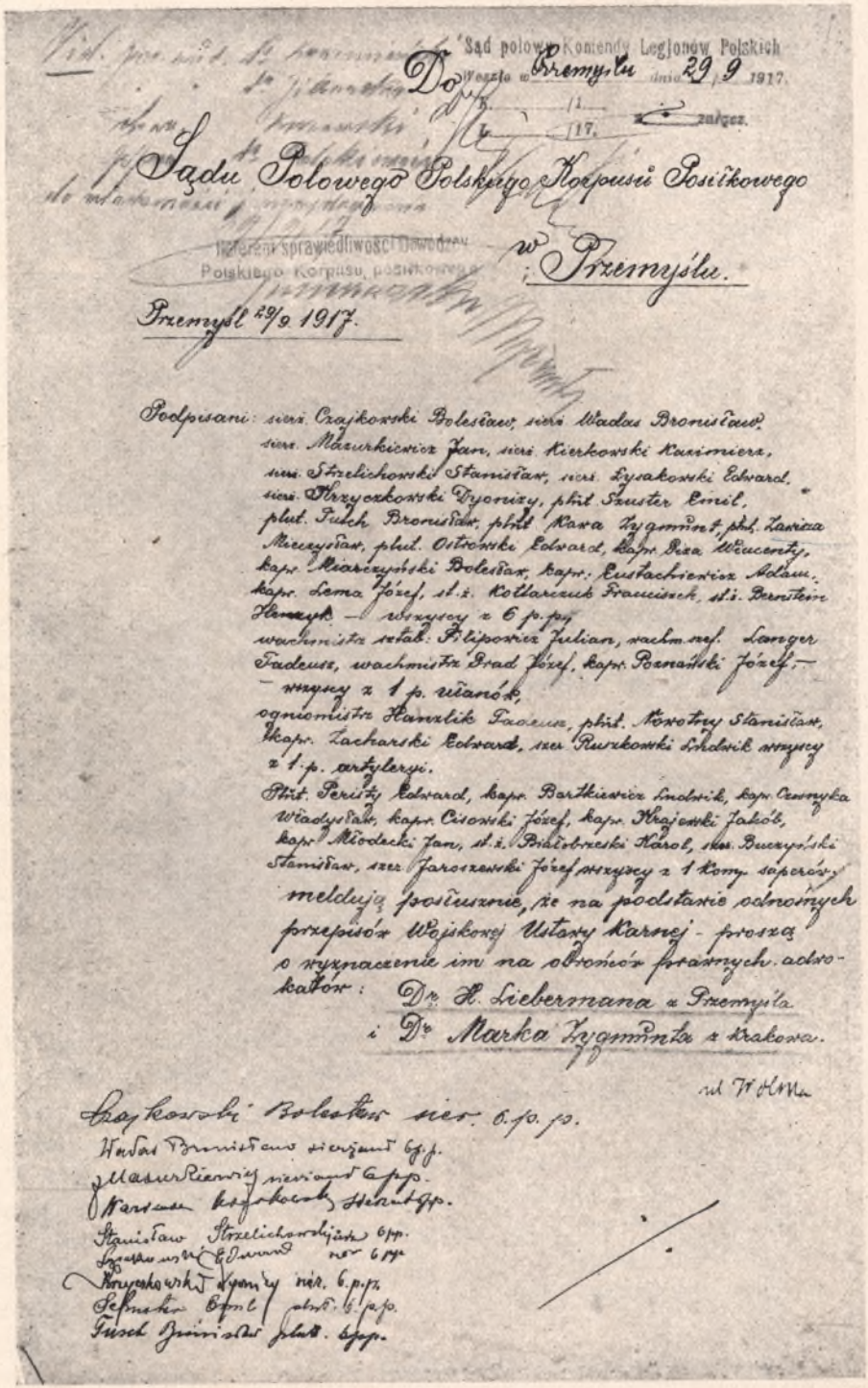

"Sąd polowy" Komendy Legionów Polskich
Wpisano w Przemyślu dnia 29 9 1917.
l. 117. z załącz.

Do
Sądu Polowego Polskiego Korpusu Posiłkowego
w Przemyślu.

Przemyśl 29/9 1917.

Podpisani: szer. Czajkowski Bolesław, szer. Wadas Bronisław, szer. Mazurkiewicz Jan, szer. Kierkowski Kazimierz, szer. Strzelichowski Stanisław, szer. Łysakowski Edward, szer. Krzyczkowski Dyonizy, plut. Szuster Emil, plut. Fulch Bronisław, plut. Kara Zygmunt, plut. Zawica Mieczysław, plut. Ostrowski Edward, kapr. Biza Wincenty, kapr. Miarczyński Bolesław, kapr. Kustachiewicz Adam, kapr. Lema Józef, sł. z. Kollarczuk Franciszek, sł. i. Bernstein Henryk — wszyscy z 6 p. pp
wachmistrz sztab. Filipowicz Julian, wachm. nsł. Langer Tadeusz, wachmistrz Drad Józef, kapr. Poznański Józef, — wszyscy z 1 p. ułanów,
ogniomistrz Hanzlik Tadeusz, plut. Korotny Stanisław, kapr. Zacharski Edward, szer. Rurkowski Szkolnik wszyscy z 1 p. artylerzyi.
Plut. Periży Edward, kapr. Bartkiewicz Smolnik, kapr. Czernyka Władysław, kapr. Cisowski Józef, kapr. Krajewski Jakób, kapr. Młodecki Jan, sł. z. Piekarzewski Karol, szer. Buczyński Stanisław, szer. Jaroszewski Józef wszyscy z 1 Komp. saperów,

meldują posłusznie, że na podstawie odnośnych przepisów Wojskowej Ustawy Karnej — proszą o wyznaczenie im na obrońców prawnych adwokatów: Dr. H. Liebermana z Przemyśla i Dr. Marka Zygmunta z Krakowa.

Czajkowski Bolesław szer. 6. pp. pp.
Wadas Bronisław szeregowy 6 pp.
Mazurkiewicz szeregowy 6 pp.
Kierkowski Kazimierz szer. 6 pp.
Strzelichowski 6 pp.
Łysakowski Edward szer 6 pp.
Krzyczkowski Dyonizy szer. 6. p. p.
Szuster Emil plut. 6. pp.
Fulch Bronisław plut. 6 pp.

Więźniowie przemyscy proszą o obrońców (reszta podpisów niewidoczna — przeniesiona na odwrotną stronę oryginału)

— „Zdolność, inicjatywa i energja wymienionych trzech ludzi, skierowana na odpowiednie tory wydałaby niewątpliwie niezwykłe rezultaty"...

Termin olbrzymiego procesu zbliżał się. Pol. Korp. Posiłk. zabiegał o odpowiednio dobrany komplet sędziowski, ale wyznaczani do tej czynności oficerowie wycofywali się z tej misji pod przeróżnymi pretekstami. Wreszcie jako sędziów (prócz prowadzącego sprawę por. dr. Krzemieńskiego) wyznaczono kapitanów: Dziekanowskiego Karola, Łuczyńskiego Jana i Okołowicza Józefa.

Jak już wiemy [1]) na pierwszy ogień poszła sprawa 1 pułku ułanów. W zbiorach moich dochowała się zapiska oświadczenie dla Sądu, jednego z podsądnych ówczesnego wachmistrza Langiera Tadeusza znanego w 1 brygadzie fotografa-amatora.

A. Zmowa.

Zmowy i uprzednich porozumień się nie było, gdyż nie zachodziła wcale ich potrzeba. Decyzję wypowiedzenia posłuszeństwa powziął każdy samodzielnie, jako naturalną konsekwencję ostatnich zajść w Legjonach.

Notorycznie znaną jest rzeczą, iż osoby żyjące wspólnie od dłuższego czasu w jednostkach zbiorowych upodobniają wzajem nie tylko swoje zwyczaje codziennego życia, ale i cały szereg zasadniczych pojęć, zamierzeń i idei. Zgrywają się tak dokładnie, iż na wszelkie zaszłe fakta reagują jednako, bez uprzednich agitacyj i namów, rad lub wzajemnych porozumień się.

B. Wypowiedzenie posłuszeństwa.

1. Dla zachowania solidarności pułku — jeśli bowiem chodzi o honor pułku — wówczas każdego obowiązuje solidarność. Jeżeli jest się innych przekonań, wówczas raczej z pułku wystąpić, niźli złamać solidarność.

W danym wypadku honor pułku polegał na tem, aby dalej społeczeństwa nie oszukiwać. Wstępując do Leg. przyjęliśmy na siebie nie tylko obowiązek czynnej walki z każdym wrogiem Polski, nie tylko obowiązek wywalczenia niezależnego rządu polskiego, opartego na własnem wojsku i vice versa, — niezależnego wojska opartego na

---

[1]) Patrz Tom. I. („Z 6 pułku Legjonów do więzienia w Przemyślu").

własnym rządzie, lecz przyjęliśmy na siebie także odpowiedzialność wobec całego polskiego społeczeństwa, iż nie pójdziemy na żadne ustępstwa i kompromisy, któreby powyższe nasze cele na szwank naraziły.

Rząd nie powstał, a wojsko popadało w coraz większą zależność od obcych.

Honor nakazywał więc — wobec niemożności utrzymywania nadal tej odpowiedzialności — szeregi wojska polskiego opuścić i przenieść się do obcej armji, niźli dalej społeczeństwo oszukiwać.

2. Ponieważ Komenda Legjonów działała świadomie przeciw dobru Państwa Polskiego i przeciw dobru służby wojska, przeto skorzystałem z przysługującego mi na podstawie przepisów wojskowych prawa wypowiedzenia posłuszeństwa tejże komendzie:

Udowadniam:

a) Komenda Legjonów wydała rozkaz składania przysięgi tylko Królewiakom — wyłączyła przez to 60% (t. j. „poddanych" austrjackich) od udziału w tworzeniu armji Polskiej.

Stanowisko to było konsekwencją dokonanego już poprzednio przez Poln. Wehrmacht, a przez Komendę aprobowanego podziału Legjonistów na National — i Oesterreich Polen. Rozkaz ten, który sprzeciwiał się rozkazowi tejżesamej Komendy, aby poddani austrjaccy wnieśli podania o poddaństwo Król. Polskiego, sprzeciwiał się dobru służby wojskowej, gdyż armję Polską uszczuplał o $^{1}/_{3}$ części.

b) Wojsko Polskie miało z rozkazu Komendy Legjonów w ślad przedłożonej roty składać przysięgę na wierność obcemu generałowi, co sprzeciwiało się dobru Państwa Polskiego i służby wojskowej, gdyż wojsko — oddawało pod obce rozkazy;

c) Komenda Legjonów zarządziła wywiezienie wzbraniających się składać przysięgi królewiaków do Szczypiorna i Benjaminowa, przez co działała przeciw dobru służby wojskowej;

d) kiedy poddani austrjaccy dla solidarności z wywiezionymi kolegami postanowili opuścić Legjony, które swoim zakładowym celom dalej nie służyły i w tym celu wnieśli podania na najwyższe imię, o zwolnienie ich z Legjonów — wówczas Komenda Legjonów na podania te wcale nie reagowała, lecz bezprawnie poczęła w zastępstwie cesarza lub gen. v. Beselera zwalniać najlepszych oficerów i przenosić ich do armji austrjackiej.

Po kilkudniowej rozprawie ułani zostali „uwolnieni od winy i kary". Ten wyrok uwalniający był dowodem, że żaden sąd składający się z porządnych Polaków — nie może nas ukarać.

Ale sprawy innych pułków (sprawy daleko poważniejsze) czekały na swą kolejkę jeszcze do 22 listopada, w którym to dniu płk. Zieliński „z wyższego polecenia" (z Wiednia) — podpisał następujący akt:

> Dowódca Polskiego Korpusu Posiłkowego, jako Komendant właściwy. — Zarządzenie. — Z powodu odejścia P. K. P. na front z końcem b. m. i wynikłych nadzwyczajnych trudności dalszego prowadzenia niniejszego postępowania karnego, odraczam je na czas nieograniczony, w myśl § 470 w. p. k. Zarazem zarządzam w myśl § 182 w. p. k. wypuszczenie pozostających w areszcie śledczym na wolną stopę. — Poczta polowa 378, dnia 22 listopada 1917 r. (—) Zieliński płk.

W rok później, rozproszeni legjoniści zebrali się z powrotem pod sztandary pułków już naprawdę NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Stefan Kozłowski

FRAGMENT Z DZIENNIKA SZCZYPIORNIAKA

Koszary 3 p. p. Legjonów Polskich w Warszawie, na Solcu, obok mostu ks. Józefa Poniatowskiego.

7. lipca 1917. roku.

Byliśmy na ćwiczeniach, gdzie ćwiczyliśmy na tempa „do przysięgi". Wiara jakoś na tą przysięgę nie bardzo się zapatruje. Zrobiliśmy próbę na placu Traugutta i po przedefilowaniu przed Zagórskim, pomaszerowaliśmy do koszar. Od południa objąłem służbę żołnierza inspekcyjnego. Meldowałem w raporcie zarazem swój powrót do kompanji. Chodziłem parę razy z rozkazem do por. Ć., który jest gburem okropnym. Bije żołnierzy po twarzy.

Po południu odbywał się ogólny porządek. Przenoszenie sienników i szorowanie. Powoli zaczyna się protest przeciwko przysiędze.

8. lipca, niedziela.

Protest zaczyna wzrastać. Przysięgać mają tylko Królewiacy, co pogarsza sytuację. O godzinie 10-ej usłyszałem, jak major Zagórski wymyślał przy raporcie sierżanta Radomskiego, że ten miał prowadzić agitację przeciw przysiędze. Zagórski krzyczał tak głośno, że słychać było aż na moście. Ale było to tylko dolaniem oliwy do ognia. Protest zaczyna ogarniać wszystkich Królewiaków. Dzisiaj, gdy tylko pułk wrócił z kościoła, Zagórski natychmiast kazał zrobić zbiórkę Królewiaków i zaczął mówić, iż się dowiedział, że podobno znajdują się tacy, którzy nie chcą przysięgać i że on by chciał z takimi porozmawiać. Na to wystąpiło ze wszystkich stron mnóstwo żołnierzy i na zapytanie Zagórskiego: „to z was nikt nie chce przysięgać", wiara wrzasnęła: „nikt"! Wziął więc wszystkich do kaplicy i zaczął przekonywać. Żołnierze zaczęli mówić, o co im chodzi, a on odpo-

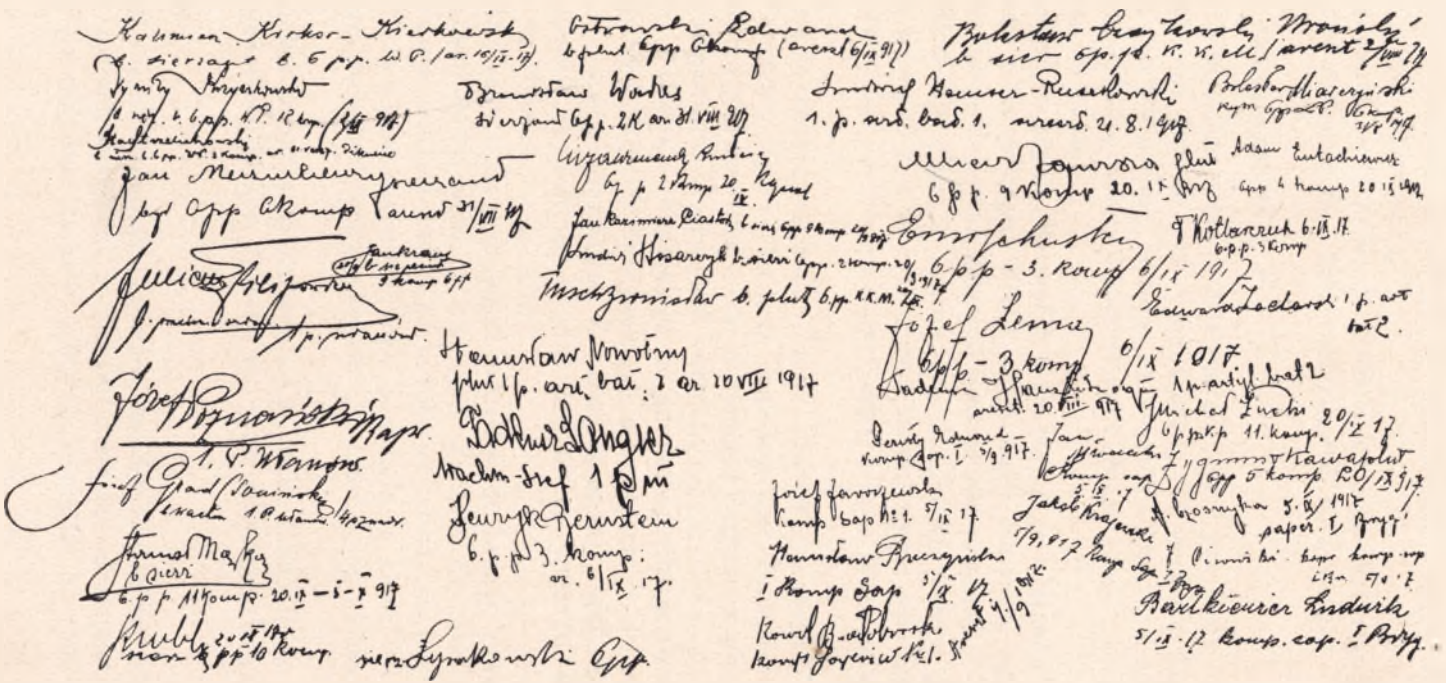

Więzienie w Przemyślu. Autografy więźniów

wiadał na te wszystkie zarzuty. Wreszcie zakończył tem, że kto się czuje przekonanym, iż ta przysięga jest pożyteczną — niech wystąpi. I wystąpiło około czterdziestu.

Reszta opornych rozeszła się. W pułku jak w ulu. Wszystko wzburzone. Bardzo ostrożnie się trzeba zachowywać, bo aresztują.

9. lipca, poniedziałek 1917. r.

Według ogłoszonego rozkazu dziś ma się odbyć przysięga na placu Traugutta. Od samego więc rana zaczyna się wściekła agitacja. Zaczyna ją por. Ćwiertniak, agitując na wszystkie strony, tłumacząc na wszystkie sposoby, wreszcie zapytywał każdego z nas z osobna— ale wszystko na próżno.

O 8-ej zaczęły napływać delegacje, 4-go, 6-go p. p. Legjonów i 2-go pułku ułanów oraz artylerji. Wśród nich zaczęła się także agitacja. Szef sztabu, Ostoja-Zagórski tłumaczą konieczność przysięgi. Nareszcie wszystkich nas zbierają i prowadzą do Hallera, który gorąco przemawia, iż znosił z nami tyle trudów, został nawet przy nas kaleką, iż dotychczas mu zawsze wierzyliśmy, więc i teraz winniśmy przysięgać.

Na nic się to jednak wszystko zdało. Ułanów przysięgało tylko siedmiu. Z artylerji, 4-go i 6-go p. p. Legjonów nikt. Zaczęło się wobec tego ostatnie zapytywanie — kto przysięga? Zagórski z pisarzami latał po kompanjach i zapytywał osobiście. Mnie widocznie sobie przypomniał z oddziału skautowego, bo gdy powiedziałem swoje nazwisko, zapytał: „więc wy Kozłowski nie przysięgacie"? — „nie panie majorze" — odpowiedziałem. Z naszej kompanji zląkł się tylko Struski i zgodził się przysięgać, gdyż zaczęto nas straszyć, że wywiozą nas do Niemiec i tak dalej.

Wszystkich, którzy nie przysięgali, odesłano do koszar, a zwolenników przysięgi powyciągano z kompanji. Zaczęła się tam z nimi msza na podwórzu koszarowem, gdzie również odbyła się przysięga.

Artylerja wówczas demonstracyjnie odjechała, a kawalerja podczas uroczystego nabożeństwa śpiewała: „O cześć wam, panowie magnaci"...

Z 3-go pułku przysięgało najwyżej 120 ludzi. Mimo to na drugi dzień w dziennikach pisano, że cały 3-ci pułk przysięgę złożył.

10. lipca.

Przyszedł rozkaz Komendy Legjonów, że wszyscy, którzy nie chcą przysięgać, zostaną zwolnieni do domów i odesłani do miejsc przynależności. Po południu zaczęto odbierać wszystkie skarbowe rze-

czy. Odebrano mi więc, mój tornister pamiątkowy, który miałem od bitwy pod Kuklami, porządną aluminjową „kochmaszynę", a nawet i spodnie, które sobie zabrał zaraz plutonowy, dając mi swoje podarte.

Po południu przyjechali Ostrowiacy — instruktorzy i pomimo całego nieszczęście — ucieszyłem się, że znów jesteśmy razem. U nich wiara dobrze się trzyma. Śpiewają i protestują przeciw przysiędze. Umieszczono ich w kapliczce koszarowej, również osobno umieszczono niezaprzysiężonych z III. bataljonu.

Wśród Ostrowiaków zaczyna się znów agitacja. Oficerowie przekonywują na wszystkie strony, co niestety nie zostaje bez skutków. Wychodzić nie wolno.

11. lipca.

Rano oglądał Ostrowiaków Zagórski i ostatecznie zapytywał kto na przysięgę się zgadza. Zgodziło się 40, lecz i tylu nie zgodziło się. Przysłano ich zaraz do nas na strych. Przysięgała pozatem partja nowo-zwerbowanych. Ja wyrwałem się wieczorem na Warszawę do pp. Salinger. Dostałem na rzeczy porządną walizkę.

12. lipca.

Cały dzień w denerwującem oczekiwaniu. Wieczorem znów się wyrwałem do miasta, dostałem trochę pieniędzy i chleba. Dziś w nocy ma wyruszyć partja 50-ciu ludzi z pierwszego i drugiego baonu. W nocy ich pobudzono na zbiórkę. Zasnąłem, a w nocy słyszałem, jak szli przez most i krzyczeli: „nie przysięgać"... nie przysięgać!..."

13. lipca.

Znów niepewne oczekiwanie. Wieczorem byłem u pp. Salinger pożegnać się, bo już mnie wyczytali w spisie odjeżdżających. Ostrowiacy także jadą. Bardzo mnie to cieszy, gdyż będziemy razem. Pożegnałem się więc i przyszedłem do koszar.

O godz. 10.30 kazali iść po kawę. O 11.30 w nocy — zbiórka. Wyczytali wszystkich. Wyczekiwaliśmy jeszcze sierżanta Zalasa, plut. Karcza i Anulewicza, którzy poszli do teatru, jednak napróżno.

Transport prowadził por. Ćwiertniak. Przemówił do nas, abyśmy się zachowali cicho, lecz to nie poskutkowało, gdyż jak tylko wyszliśmy — zaczęliśmy śpiewać: „O cześć wam panowie"... i krzyczeć „precz z Radą Stanu" i „z Besselerem na latarnię". Pomimo, że to już późno było, bo po pierwszej w nocy, ale ludzi jeszcze było trochę na ulicach, którzy wspólnie z nami krzyczeli. Hałas był ogrom-

ny tak, że na Alejach Jerozolimskich ludzie budzili się w mieszkaniach i wyglądali oknami. Szedł za nami jakiś oficer-Beliniak i mówił: „chłopcy, trzymać się, nadzieja w Komendancie"! Oficer ten odprowadził nas do koleji, gdzie transport zawagonowano. Zasnąłem.

14. lipca. Warszawa — Kalisz — Szczypiorno.

Obudziłem się pod Łowiczem, gdy już świtało. Zaraz wziąłem się do pisania listu do Zgierza. Opisałem swoje położenie, do Łodzi napisałem również. Ciekawym czy list dojdzie?

Jedziemy w stronę Kalisza. Przyjechaliśmy tam w południe i zaraz pomaszerowaliśmy do Szczypiorna. Warta z 3-go pułku Legjonów już nas nie eskortowała tak ściśle, a tylko część na przodzie i część w tyle kolumny. Przyprowadzono nas za druty do obozu jeńców i tu porucznik Ćwiertniak, wyczytywał każdego z osobna. Wyczytanego brali Niemcy.

Wszyscy z osłupieniem patrzyliśmy na siebie. Następnie Niemcy odprowadzili nas do baraków. Odbyła się rewizja. Wszystkie dokumenty odebrali do przeglądu. Dali nam zupy z jakiegoś zielska, której dużo legunów nie jadło zupełnie. Komitet rosyjski przysłał nam herbaty. Koców jeszcze nie dali. Poszliśmy spać. Przykrywaliśmy się mundurami. Zimno było, więc budziłem się parę razy.

15. lipca.

Na śniadanie dostaliśmy jeden chleb na sześciu i kawy. Ja dojadam trochę ze swoich zapasów. Trochę dzielę się z Wilusiem i Jankowskim. Poprowadzono nas do odwszenia i dezynfekcji. Musiałem dać wszystko, nawet mój chleb i słoninę zdezynfekowali, ale to nic nie szkodzi, bo się odświeżyło. Ostrzygli i ogolili nas zupełnie, dosłownie — wszędzie. Potem poprowadzili do baraków, dali koce, miski i sienniki. Po obiedzie rozłożyliśmy się w barakach. Baraki na 50 ludzi. Na kolację dostaliśmy kartofli z łupinami, nie mogłem tego jeść.

16. lipca.

Rano wszyscy budzą się z nadzieją, że się będzie jadło chleb. Chłopcy nie mają co robić, więc się opalają na słońcu, chodzą bez koszul. Niektórzy już czerwoni, jak raki. Jankowski i ja także próbowaliśmy. Na naszem dawnem miejscu są już leguny z werbunku ze wszystkich pułków. Przyszło ich 150. Po dezynfekcji przyszli do naszych baraków. Rozmawialiśmy przez druty. Opowiadali, że ich

też okropnie przekonywano, by przysięgać, ale wytrwali. W drodze uciekło pięćdziesięciu.

Dziś dostaliśmy trochę brukwi i trochę peluszki. Była dość smaczna, bo wszyscy zjedli. Na kolację to samo, przez co poprawiły się humory.

17. lipca.

Rano co dzień o dziewiątej zbiórka na apel. Bolkowi Jankowskiemu zrobiło się nie dobrze. Kropnął jak kłoda na ziemię, aż jęknęło. Zaraz go odnieśliśmy do baraku. Wiarę zaczyna ogarniać apatja.

Zaczęła się dziwna komunikacja o żywność. Chłopcom pasącym za drutami rzuca się pieniędzy, a ci przynoszą wieczorem chleb, przerzucając przez druty jakieś piętnaście kroków. Po południu wiara dojrzała daleko jakąś kolumnę między barakami, aż nareszcie dojrzeliśmy ich bliżej. Był to piąty pułk w pełnym rynsztunku, oprócz pasów i broni. Szli z oficerami. Prowadził transport kapitan Olszyna-Wilczyński, Galicjanin, który ma tu być komendantem obozu. Niemcom kapitan nie pozwolił się wtrącać i sam wszystkim rozporządzał. Zakwaterowano piątaków w sąsiedztwie tak, że tylko jesteśmy przegrodzeni dwiema ścianami drutów. Zaraz też zaczęło się informowanie o sytuacji. Gwar taki się zrobił, jak na jarmarku. Pociągnęły się te rozmowy do capstrzyku, t. j. aż nareszcie zatrąbiono, jako że 5-ty pułk posiada trąbki. Ogółem teraz nas jest: z 3-ego pułku 214, ułanów 2-go pułku 60, werbunkówców 120, 5-go pułku 460, razem ludzi 854. Stoi to wszystko w 2-ch blokach, gdzie jest miejsca na 2000 ludzi. Można się teraz spodziewać poważnego polepszenia, gdyż mamy za sobą opiekę kapitana Olszyny.

18. lipca.

Rano próbowałem kupić chleba, ale nie udało się, bo gdy przerzuciłem pieniądze, złapał je Niemiec, chłopców odgonił, a pieniądze po jakimś czasie z chusteczką odrzucił. 5. pułk w dalszym ciągu wszystkie zbiórki urządza po wojskowemu.

Przyjechał wóz z kantyną i sprzedawano chleb, ale został rozdrapany tak, że nie zdążyłem nic kupić. Nastrój morowy. 5 pułk złożył broń na rozkaz Komendanta. Nad wieczorem rozeszła się wiadomość, że jeszcze idą leguny. Zaraz więc wiara pousadawiała się przy drutach do obserwacji. Przeciągłe „hura" i „niech żyje" co chwila rozlegało się na powitanie przybywających. Niemcy nie mogą dać sobie rady, bo niektórzy legjoniści, którzy w drodze zostali, meldują się znowu do obozu.

Francuzi bardzo podnieceni. Murzyni odtańczyli swój taniec na naszą cześć, wiara nasza ze wszystkich bloków i baraków oklaskiwała ich. Jest nas od dziś około 1300. Czem nas więcej, tem wiara nabiera większej otuchy. Wieczorem przy prowizorycznej orkiestrze odtańczyli leguni przy śpiewie parę kawałków.

19. lipca.

W nocy się przebudziłem i wyszedłem. Oryginalny jakiś majestatyczny widok przedstawia nasz obóz. Lampy elektryczne wysoko wiszące sprawiają wrażenie iluminacji, jak na zabawę. W mrokach kryją się dachy baraków, w których roztoczyła się cała nędza obozu. Naraz — podczas głuchej ciszy — usłyszałem śpiew legunów przy miarowem tempie marszu. W nocy echo roznosiło się daleko, śpiew z każdą chwilą przybliżał się. Dziwne muszą wrażenie sprawiać na cywilach i Niemcach nasi leguni, którzy z taką ochotą i śpiewem idą do niewoli, jakby po zwycięstwo.

Jak się rano dowiedziałem — przymaszerowali: 6-ty pułk oraz instruktorzy i artylerja. Przy wmaszerowaniu 1. pułk zrobił wielką furorę, a mianowicie ze stacji nie poszedł do obozu, a wprost do Kalisza, gdzie ich z entuzjazmem przyjęto i ugoszczono, czem było można.

Coraz też więcej zaczynamy nabierać poważania. Dali nam do dyspozycji kuchnię, którą od jutra sami prowadzimy. Ma nastąpić także poprawienie wiktu z jenieckiego na żołnierski. Bardzo poczciwi są oficerowie 1-ej brygady. Rozmawiają z nami, jak z kolegami, bardzo współczują naszym prześladowaniom w pułku. Kilkunastu oficerów przybyło w stopniu sierżantów i ci się opiekują żołnierzami.

20. lipca.

Pogoda od rana śliczna. Jest nas już około 2000. Szykują też więcej baraków — Francuzów, Anglików i Murzynów wyrzucili do baraków dalszych. Przyszedł do nas jakiś oficer z pierwszej brygady, ma się rozumieć, jako sierżnat i rozmawiał o wszystkiem, pytał, jak się obchodzili z nami w trzecim pułku, opowiadał co oni robią, aby ulżyć naszej doli. Podobno całe Kaliskie chce nas prowiantować, potworzyły się komitety.

Jaka to szalona różnica pomiędzy oficerami 3-go pułku, a pierwszej brygady. Rozmawiał ów oficer z nami jakieś trzy kwadranse, jak z kolegami o wszystkiem, co tylko nas interesowało. My dostaniemy porucznika na komendanta naszego bloku, bo u nas wcale niema oficerów, więc oni muszą o nas myśleć. Dostaniemy również żołd

z kasy pierwszej Brygady, którą z przeróżnych dochodów tam zebrano. Porucznik przydzielony do nas będzie kwaterował z nami. Chłopcy stroją mu i szykują miejsce.

21. lipca.

Deszcz zaczyna znów padać. Siedzimy w barakach i śpimy. Obiad był dość smaczny. Podczas obiadu dowiedzieliśmy się, że przyjechali kapitan Rittner i podporucznik Michalski, dawny komendant naszego oddziału. Każdy więc wyleciał, aby go zobaczyć. Znaczy się, że przysięgał. Wiara zaczęła im dogadywać, „dać mu żaby" i „dać mu trawy". Pozatem zawiadomiono nas, że o 4-ej przyjdą transporty Beliniaków i Czwartaków. Znów wiara witała nowych kolegów.

Oficer, który do nas przyszedł nazywa się Miszewski i nie jest porucznikiem, a tylko chorążym. Kapitan Olszyna wrócił z Warszawy.

22. lipca 1917. r. 2-ga niedziela w niewoli.

Rano pobudki nie było, bo dziś niedziela. W nocy przyszły znów transporty. Między innemi przyjechał szpital koński z Łodzi. Myślałem, że może jakie wiadomości przywieźli lub listy, ale tylko trochę wiadomości. Odjeżdżali w dzień, byli odprowadzeni z kwiatami. Cały dzień prawie spaliśmy, bo deszcze leją nieustannie

23. lipca 1917. r.

Od rana mamy służbę przy noszeniu jedzenia. Leguny zaczęły podrabiać i przerabiać różne przepustki, na które przechodzą przez bramę, a następnie idą do Kalisza, gdzie kupują różne prowianty, albo też dostają od Ligi kobiet i wracają z pełnymi plecakami. Nasz chorąży wczoraj wyszedł i dzisiaj wrócił z pełnym plecakiem. Przyniósł białego chleba, który podzieliliśmy jeden na pięciu. Malbrocki dzisiaj wyjeżdża na sfałszowaną przepustkę. Ciekawe, czy się to uda, bo już Karcz próbował — ale się nie udało. Musiałem kapitanowi Zosikowi zadeklamować, „nie będę przysięgał".

W nocy wrócili wszyscy, Malbrocki, Pisarski, Wadzynski, Hajdrych. Przynieśli jabłek w plecakach. Niemcy zatrzymali ich pod Kaliszem i odeskortowali do obozu.

24. lipca.

Do południa włóczyliśmy się po obozie. Przyjechał por. Dobrodzicki. Zaraz też po obozie rozeszły się wiadomości, że wracamy do pułków, że przysięga zostaje unieważniona, bo 6000 razem z Gali-

cjanami zostało, a 7000 nie chce przysięgać. Chorąży Miszewski przyniósł odezwy różne o przysiędze. Wiara znów podniosła się na duchu. Przed przyjazdem por. Dobrodzickiego zdarzyła się awantura, a mianowicie, gdy leguny za bardzo zaczęły przechodzić przez posterunki niemieckie na różne sfałszowane przepustki — Niemiec nie chciał puścić. W odpowiedzi leguny nabiły wartę i jakiegoś podoficera, z czego wynikła awantura i kapitan Zosik miał przemowę, nawołującą do karności i porządku. Gotowałem wtedy herbatę i poczęstowałem nią chorążego Miszewskiego i kapitana Zosika. Cały wieczór z powodu wiadomości od por. Dobrodzickiego, marzyliśmy o powrocie do pułku. Bardzo ładnie gra na organkach plutonowy Karcz i codzień wieczorem daje nam prawdziwe koncerty.

25. lipca.

Rano dali — o dziwo! — kakao. Robią znów spisy ewidencyjne, w których wyłuszczają, czy się otrzymywało zapomogę. Wieczorem chciało kilkunastu uciekać, ale że jeden przez drugiego chciał to robić, narobili hałasu, przyszli Niemcy i kilku aresztowali. Udało mi się kupić przez okazję chleb, który przyniósł mi chłopiec o 10 w nocy. Byłem tak głodny, że zaraz z całego bochenka rwałem i jadłem.

26. lipca.

Przyjechał z komisji spraw dla jeńców z Warszawy książe Sapieha i ksiądz Skobryn, którzy mają nam udzielić pomocy materjalnej w prowiancie i pośredniczyć w wysłaniu do cywila. Ksiądz Skobryn chodził do każdego baraku i mówił, że poczynią wszelkie starania, celem wyciągnięcia nas jaknajprędzej z tej biedy. Dano nam podarunki po jakie 10 łutów chleba i 3 łuty kiełbasy. Łącznie z ich przyjazdem przeczytano nam wieczorem rozkaz, aby każdy wysłał do domu list, by rodzice posłali do komisji spraw dla jeńców zawiadomienie o możności utrzymania syna i przysłanie cywilnego ubrania. Wszystko to bardzo niejasne. Wiara do późnego wieczoru rozprawiała o cywilu, wysłaniu tych listów i t. d.

27. lipca.

Zaraz po śniadaniu zaczęliśmy pisać listy do domu o zaświadczenie. Do południa wiara pisała prośby do domu, a ci, którzy nie mają rodziców, do znajomych. Po południu znów przyszedł transport uciekinierów 6-go pułku w liczbie 37-miu. Przynieśli znów odmienne wiadomości: że rada pułkowników uchwaliła zażądać utworzenia rządu

regencyjnego, w przeciwnym razie, reszta legunów Galicjan poprosi o przydzielenie do austrjackiego wojska. Możliwe więc, że jeszcze wrócimy do pułku.

Przed przyjściem transportu — wysłanie listów zostało cofnięte. Taki stan rzeczy może doprowadzić do ostateczności, to też dziś rano byliśmy zbudzeni 3-ma strzałami, — to legun jakiś wiał i na rozkaz Niemca nie stanął. Ten strzelił, drasnąwszy go lekko w rękę. Wczoraj podpisywaliśmy list do arcybiskupa Kakowskiego, donosząc w nim o naszem rozpaczliwem położeniu i prosząc o załatwienie najprędzej naszej sprawy. „Kurjer Polski" donosił, że Komendant został na granicy aresztowany ze sfałszowanemi dokumentami podróży. Szkalują go, ma się rozumieć, niemiłosiernie w tym artykule. Ma być osadzony razem ze Sosnkowskim w jednej z twierdz niemieckich. Spotkałem Lekstona, którego już nie widziałem od Kukli i pogadaliśmy o dawnych czasach.

29. lipiec.

Zaczynają już przychodzić posyłki pocztą. Grabowski już dostał. Znów przyszedł transport Moskali z pod Tarnopola. Przyszedł także transport legunów. Eskortę werhmachtową wygwizdano.

30. lipca.

Opalam się. Komitet bardzo nam pomaga. Obiady lepsze. Wczoraj mieliśmy chleb jeden na 10-ciu. Do 23-go byliśmy jeszcze na etacie żołnierskim, za co należy się nam prowiant, który też zaczęli zwozić wozami. Przywieziono sześć furmanek. Chleb ma być większy. Od pierwszego mamy fasować po 3 marki na głowę, gdyż 1-szy pułk piechoty i 1-szy pułk ułanów, dali nam ze swojej kasy zapomogę, pieniądze przyniósł kapitan Zosik. Chorąży Miszewski prosił, aby urządzić orkiestrę improwizowaną. Zebraliśmy się więc wszyscy i zagraliśmy kilka kawałków urozmaiconych śpiewem i monologami. Kapitanowi bardzo się to podobało. Przed odejściem podziękował i wyraził się że, chwile spędzone obecnie tutaj, należą do najweselszych w obozie.

31. lipca.

Dziś mam służbę przy znoszeniu prowiantów. Wczoraj przyjechało dwóch z Ostrowia, którzy opowiadali, że rekruci dopiero 15 maja będą przysięgać. Przysłano już nowych instruktorów na miejsce naszych chłopców (do 3 p. p. ćwiczebnego). Coraz więcej gadają o powrocie do pułku. 28-go wysłałem list do Turku.

2. sierpnia.

Rano była msza święta na intencję trzeciej rocznicy wojny. Mszy za drutami słuchała też jakaś kobieta, podobno „peowiaczka". Umarło dwóch artylerzystów na dezynterję.

3. sierpnia.

Rano czułem się bardzo wesoło, jakby w przeczuciu dobrej wiadomości. O 10-ej przyszedł Dr. Zamoyski i przyniósł do mnie list, w którym ojciec donosił, że znajduje się w Kaliszu i ma zamiar ze mną się zobaczyć i że przyśle paczkę. Zaraz napisałem odpowiedź, że z zobaczeniem to będzie trudna sprawa, ale z posyłką to można. O 5-ej dostałem aż 3 paczki z chlebem, serem, masłem, kiełbasą i jajkami. Nadzwyczajnie się ucieszyłem, bo dużo ulży naszej biedzie. Bardzo mi przykro było, że z ojcem nie mogłem się zobaczyć. Prowiantem poczęstowałem także chorążego Miszewskiego.

4. sierpnia.

Rano napisałem list do ojca i odniosłem do naszej komendy obozu. Peowiaków przybywa coraz więcej, jest ich już około dwudziestu kilku i wśród nich jakaś kobieta. Po południu poszedłem spisywać rozkaz obozowy. W naszym baraku wybrano zarząd, skład którego był następujący: Malbrocki — furażer, Dukland, Wielki i ja — sąd baraku, Dukland — prezes.

5. sierpnia.

Nic ważnego.

6. sierpnia.

Dziś trzecia rocznica wyruszenia strzelców z Krakowa. Wszyscy ubraliśmy się odświętnie i pomaszerowaliśmy pomiędzy druty, gdzie odbyła się msza. Na mszy był cały obóz. Po mszy kapitan Zosik miał porywające przemówienie, w którem piętnował postępowanie Rady Stanu. Po przemowie odśpiewano „Rotę" i „Jeszcze Polska". Nasz pierwszy blok odliczył czwórkami i odmaszerowaliśmy do bloku ze śpiewem „Hej strzelcy wraz". W bloku chorąży podziękował nam „za wspaniałe żołnierskie zachowanie". W południe major (niemiecki komendant) kazał zgłosić się do siebie oficerom. Poszło dwóch: kapitan Zosik i porucznik, jego adjutant. Wydać ich miał jakiś legun z 1-go p. p. Oczekujemy z niepokojem, czy nie wyda reszty oficerów. Wieczorem chorąży Miszewski przyszedł w różowym humorze.

Poprosił chłopców, aby się zebrali, to nauczy ich parę piosenek. Dopiero wtedy zauważyliśmy, że ma trochę w głowie. Pośpiewaliśmy sobie trochę i tak zakończyliśmy nasz dzień 6. sierpnia.

7. sierpnia.

Po południu zaczęły się dziwne rzeczy. Najpierw zdwojono posterunki, następnie przyszedł baon niemców i kompanje stanęły przy wejściu bloków, dano rozkaz zupełnego przygotowania się. Przypuszczaliśmy, że wyjedziemy do Prus. Byliśmy nawet pewni tego, bo zwołano wszystkich podoficerów. Nareszcie dowiedzieliśmy się, że będzie przeprowadzona rewizja. Cały garnizon obozu podczas tych czynności był w pogotowiu. Karabin maszynowy stał na wieżyczce i dwie armaty nabite kartaczami stały w pogotowiu do strzału. Myśleli, że my będziemy stawiać opór. Przed rewizją przyszedł z Niemcami legun-szpicel i obejrzał, czy czasem oficerowie nie zostali. Gdy wchodził z papierosem w gębie, a ręką w kieszeni, w której miał rewolweer, przeprowadzany przez 3-ch podoficerów niemieckich, wiara wydawała tylko dziki pomruk i niektórzy wyrywali się z okrzykiem: „zdrajca"! Nareszcie przyszli zrewidować nas. Mnie rewidował jakiś porządny Niemiec, bo tylko po wierzchu rzeczy przejrzał — nie potrzebowałem rozpakowywać. Nareszcie przyjechał Niemiec oficer na koniu i kazał wrócić do baraków. W barakach oczekiwaliśmy losów oficerów i podoficerów. Wreszcie się dowiadujemy, że chorąży Miszewski wraca i że sierżantów oddzielili osobno, a na blok dano tylko jednego plutonowego i 10-ciu sekcyjnych na komendantów sal. Z naszych wrócili: Karcz jako komendant bloku. Gliwicz — komendant 4-ej sali i Anzlewicz jako sierżant służbowy bloku. Zrobiliśmy zaraz porządek w baraku, bo kilku ubyło. Sierżant Zalas został w 8 bloku razem ze wszystkimi sierżantami.

8. sierpnia.

Rano już wszystko szło dawnym trybem. Wart zdwojonych nie zluzowano. Wczorajsze represje były wynikiem depeszy z Warszawy, w której zawiadomiono, o rzekomo zamierzonym wypadzie przez nas na warty niemieckie.

9. sierpnia.

Komitet coraz lepiej funkcjonuje. Wczoraj dostaliśmy po ¾ funta chleba, grysiku i kawy na kolację. Posterunki wewnętrzne nikogo nie puszczają. Wczoraj dostaliśmy paczkę z Ligi Kobiet, na którą po-

stališmy cztery marki. Dostaliśmy bochenek chleba za 2.50 i za 1 markę kartofli. Miałem zajęcie z Grabowskim.

Przyjechał sierżant Radomski, który był głównym organizatorem 3. p. p. Przyciśnięty straszliwemi represjami złożył oświadczenie, że będzie przysięgał, następnie cofnął to oświadczenie, za co wsadzono go do więzienia na Gęsią, gdzie przesiedział dwa tygodnie, wreszcie przysłano go tutaj. Opowiedział nam jak się przedstawia sytuacja. Szefem Sztabu jest już z powrotem Zagórski. Ma się utworzyć rząd regencyjny, złożony: z Lubomirskiego, arcyb. Kakowskiego. Kto trzeci — niewiadomo. Przy regencji zostanie utworzone ministerium a następnie Rada Stanu, złożona z 50-ciu ludzi.

Pułk w Warszawie wychodzi na ćwiczenia 5-dniowe, tak żołnierzy w Warszawie ludność prześladuje.

10. sierpnia.

6 p. p. dostał zapomogi 1000 marek, z czego wypadło na jednego po 10 m. Dostałem list od ojca, na który zaraz odpisałem. Podobno wypuszczono Komendanta Piłsudskiego.

12. sierpnia.

Piąta niedziela w obozie. Wczoraj do następnego bloku przywieziono chore prostytutki z Częstochowy. Mamy teraz już istną menażerję: Moskali, Francuzów, Rumunów, Włochów, peowiaków i kobiety. Zagrożono nam rozwiązaniem naszego bloku, o ile będą się jeszcze zdarzać wypadki dezercji.

13. siarpnia.

Zawiadomiono obozy, że o ile złapią Niemcy jeszcze jakiego z oficerów, to wyślą ich do Niemiec. Bieda zaczyna już dokuczać. Chleba od dwóch dni nie fasowaliśmy. Odpowiedzi na list nie otrzymałem. Przysłano z ramienia Komendy Legjonów dwóch lekarzy. Komunikacja więc polepsza się i będzie można więcej wysyłać. Po kolacji dostaliśmy paczkę na nas trzech, na którą wysłaliśmy 3 marki. Dostaliśmy aż 3 bochenki, oprócz fasunku z komitetu. Jesteśmy więc zupełnie zadowoleni.

14. sierpnia.

Oczekiwałem rano listu od ojca, ale nie dostałem. Dziś była na obiad zupa z ikrą i tak było nie przyjemnie po niej w ustach, że trzeba było płukać zaraz zęby.

Ładne się rzeczy dzieją w naszem kochanem społeczeństwie. Niektórzy chłopcy ukrywali się w Łodzi, gdzie ich teraz wyłapują. Jednego z nich wydał jakiś peowiak Różycki. Przyjechali wysłani przez Komendę Legjonów Polskich oficerowie: chorąży Sujkowski i jeszcze jakiś, którzy się mienią naszymi opiekunami, a w rzeczywistości, przyjechali po to, by nas przerabiać na swoje kopyto.

Po południu napisałem list do ojca na Ligę Kobiet, bo na probostwo dotąd nie dostałem odpowiedzi. Dziś rano przebudziłem się

Szczypiorno. Wejście do „willi"

z przykrem uczuciem, słysząc trzy wystrzały. Widocznie jakiś legun próbował wiać. Podobno w Galicji urządzają strajki, stawiając za warunek — wypuszczenie nas z obozu.

15. sierpnia.

Rano przyszła delegacja z naszego I i II baraku z oświadczeniem, że nie mogą dłużej wytrzymać, gdyż wielu jest nałogowych palaczy, którzy zmuszeni są sprzedawać swoją ranną porcję chleba na papierosy. Narzekają, że inne pułki mają się lepiej, otrzymały zapomogi lub żołd, a oni są przez wszystkich opuszczeni, wobec czego są zmuszeni robić tak jak im wygodnie. Znaczy się będą uciekać, zapisywać się na roboty i t. d. Chorąży jak mógł, tak im tłumaczył, ale oni ciągle przy swoim. Poszedł następnie do doktora kapitana Kaplic-

kiego i wyrobił to, że kapitan przyrzekł wystarać się o chleb dla 3 pułku codziennie.

Smutną sławę nawet w obozie będzie mieć nasz pułk. Gębę mu trzeba chlebem zatykać, aby się nie wyłamywał z ogólnej solidarności. Broni nas tylko to, że jesteśmy tu najdłużej. Dziś znów aresztowano kapitana Orlicz-Dreszera i por. Grzmota. Zdaje się, że to skutek pobytu oficerów wysłanych z Komendy Legjonów. Ładnie się nami opiekują.

Legjonowa opieka składa się z 3 doktorów: z 5-go pułku i dwóch oficerów z Komendy. Doktorzy pomagają rzeczywiście, a ci z Komendy zdaje się, że tylko przeszkadzają i psują. Po południu przysłali żołd dla 3 p. p. ćwiczebnego. Był także żołd dla Adamka, który zbiegł w drodze. Nasi chłopcy zaraz skombinowali, abym ja podpisał i ani się obejrzałem jak mnie wypchnęli i musiałem podpisać. Tymczasem Niemiec czyta telegram, że Adamek był za coś zaległy i teraz się kwituje. Było też marnie z kasą naszej trójki, bo miałem tylko 2 m., no, ale teraz mamy znów 12.

16. sierpnia.

Przed śniadaniem poszliśmy się kąpać. Widzieliśmy zbliska legjonistów rosyjskich. Dostałem od ojca paczkę z Turku. Przysłał mi ojciec 2 bochenki chleba, kiełbasy i parę gruszek. Dostał także Jankowski. Znów więc prowiantura naszej trójki się podwyższyła. Przyszedł kapitan Kaplicki z wiadomością, że dostał dla naszego bloku 1500 m.

17. sierpnia.

Przyszła wiadomość, że 3 p. p. w czasie manewrów przeszedł na granice okupacji austrjackiej. Była to podobna robota legunów z 1 p. p.

18. sierpnia.

Całymi prawie dniami gramy w szachy. Inni znów w karty tak, że cały barak przemienił się w jakąś jaskinię gry. Przed południem zaczęto wypłacać zapomogę całemu prawie blokowi. Dawali po 4 marki. Mam teraz po południu trochę zajęcia z wyczytywaniem nadeszłej poczty. Wysłaliśmy 5 mk. na zakupy chleba. Zapisywano pozatem na kursy średnie, na które się zapisałem. Wieczorem zaczęliśmy śpiewać, śpiew ten przemienił się po jakimś czasie w ryk, a następnie w istną menażerję i jakieś 5 minut trwał taki piekielny chałas, że aż ludzie z 5 p. p. przybiegli do drutów dowiedzieć się, co się stało.

21. sierpnia.

W nocy zebrało się kilku legunów do ucieczki i akurat naradzali się przed naszym barakiem. Chorąży Miszewski nie mógł tego zcierpieć i wyszedł z Karczem, wzywając ich do rozejścia się. Usłuchali go wszyscy oprócz jednego, który szedł i klął na wszystko i że z każdym da sobie radę, kto mu w drogę wejdzie. Wtedy chorąży kazał mu iść z sobą do baraku, zapewne aby mu dać dekę, ale gdy przechodzili koło dziury pod drutami, legun dał nurka, ale Karcz schwycił go w porę za kark. Urwał jednak tylko kołnierz, a wtedy chwycił go za uszy, a chorąży walił, gdzie mógł i ile się dało i to dość dotkliwie, bo legun rozdarł się przeraźliwie „rany Boskie"! i to tak, że rano cały obóz tylko o tem mówił.

22. sierpnia.

Rano poszła delegacja z naszego bloku w liczbie 7-miu na pogrzeb leguna Gałki, zmarłego w szpitalu. Ledwie oni odeszli, a tu słyszymy „halt"! Wybiegli wszyscy. To posterunki strzelają do jakiegoś człowieka, biegnącego przez pole. Nie można było rozpoznać, czy to legun, czy Moskal. Miał dość zimnej krwi, bo gdy strzelili, to padał i oglądał się, aż wystrzelił i znów biegł. Podrywał się tak 3 razy. Strzelili do niego 5 razy, ale bezskutecznie. Nareszcie legun, widząc bezcelowość dalszej ucieczki, padł i czekał aż Niemcy go zabiorą.

23. sierpnia.

Dziś było ogółem 237 listów. Rano chorąży Miszewski zrobił zbiórkę. Dał nam następujące wiadomości: gen. Beseler zaproponował arcybiskupowi Kakowskiemu przyjęcie regencji, na co arcybiskup odpowiedział, że nie przyjmie, chyba, aż będziemy wypuszczeni wraz z Komendantem, a nawet wiadomości mniej już pewne — o ile Komendant nie wejdzie w skład regencji. W trakcie tego przyszła wiadomość, że arcybiskup przysłał swoje błogosławieństwo i, że podziela nasze zdanie i przysyła 10.000 mk., czy też rubli na poprawienie wiktu.

24. sierpnia.

Od rana mam służbę dyżurnego. Nadzieja nas nie zawiodła, — dostaniemy dodatek $^1/_6$ chleba. Odbyła się nowa organizacja bloku. Odeszła część 5 p. p. a w zamian przysłano wiarę z 6. i 2. p. p. Po południu dostaliśmy chleb komitetowy i marmoladę. Takiego fasunku jeszcze nie było w czasie naszego pobytu w obozie.

26. sierpnia.

Miałabyć msza, ale w ostatniej chwili została odwołana. Zabrałem pocztę. Przepisywałem mowę kpt. Zosika.

27. siarpnia.

Po południu poszedłem na wykład kursu gimnastycznego, na który się zapisałem. Stosowne notatki trzeba robić. Przyda się to w różnych wypadkach. Misio przyszedł mnie zawiadomić, że przyszła paczka. Zaraz pobiegłem i przyniosłem. Przysłał mi ojciec 3 bochenki chleba, kawał boczku, cukru, herbaty, kajet i samouczek Reusnera. Niezmiernie mnie to ucieszyło, bo chleba już zaczynało brakować. Znów jesteśmy zaopatrzeni. Jeden z kolegów Prądzyński, widział się dziś z ojcem. Przybyło z transportem około 300 Peowiaków. Niektórych zasądzono na kary 1. i $1^1/_2$ roczne.

29 sierpnia.

Rano wyjechało z naszej sali trzech legunów na ordynansów, a mianowicie: Kijek, Podsiadło i Ciesielczuk. Zajęty byłem cały dzień pisaniem teorji i dziennika.

30. sierpnia.

Rano odniosłem pocztę. O godz. $10^1/_2$ poszliśmy na ćwiczenia gimnastyczne. Bardzo dobrze prowadzi wachmistrz. Czas mam bardzo ograniczony, bo gdy z ćwiczeń przyjdziemy, to już obiad, a po obiedzie do drugiej uczę się niemieckiego i idę po pocztę. Tak schodzi czas szybko do wieczora.

31. sierpnia.

Do południa uczyłem się niemieckiego. Po południu dostałem list od ojca pisany 19.VIII. Szedł więc 12 dni. Po lekcji znów się uczyłem niemieckiego. Po kolacji odbył się konkurs. Program był trochę podobny do poprzednich, oprócz walki koni, które były bardzo interesujące i żywe. Nagrody dawał chorąży Miszewski ze swoich własnych zapasów, które przysłano dziś popołudniu, a mianowicie: 3 worki chleba i wędlin. Było się więc o co ubiegać.

1. września.

Dziś były wolne ćwiczenia, bardzo ciekawe. Pozatem ma się odbyć konkurs na wielką skalę z walkami i przy współudziale orkiestry. Druga sala jest podła do ostateczności. Chorąży dziś oddał część

chleba dla biednych i nie otrzymujących paczek, a ci podli, zaczęli awantury, że o ile nie dostaną chleba i papierosów, to będą robić dalej awantury.

Zabawa zaczęła się o godz. 7-ej, na którą przyszedł nawet major (komendant obozu) Niemiec i z wielkim zajęciem przyglądał się zapasom. Rozegrano dwie walki, a walkę Kołodzieja z Pytlem, już po raz drugi nie rozgrywano. Podczas konkursu grała orkiestra złożona z mandolinistów.

5. września.

Dziś odbyła się wystawa prac I bloku. Było dużo wyrobów bardzo starannie odrobionych, jak: wiatrak, domek, rysunki, krzyże pamiątkowe, dewizki z włosia i t. d.

7. września.

Rano odbył się apel zrobiony przez Niemców. U nas było wszystko w porządku.

Byłem u spowiedzi i jutro idę do komunji. Trzeba pokrzepić się trochę. Nasz obóz zupełnie się zmienił, bo większa część uczęszcza na kursy naukowe. Kurs nauki odbywa się od 8 — 11 i od 2 — 5.

8. września.

Pułki legjonowe odmówiły posłuszeństwa, do czasu aż nas ztąd wypuszczą.

14. września.

Dziś przeleżeliśmy na pryczy, aż do obiadu, z powodu niepogody i znacznego oziębienia. Po lekcji anatomji poszedłem się dowiedzieć o niemiecki. Są już lekcje trzy tygodnie przy kursach maturalnych i można na nie uczęszczać. Nareszcie przyszedł chleb. 16.IX ma być ogłoszona regencja. Celem utrzymania porządku w obozie, ustawiono policję, która nosi czerwone opaski i chodzi patrolem.

15. września.

Dziś rano, Jaczemski, Jankowski i ja poszliśmy na wykład historji polskiej, przy kursach średnich, na które zamierzam chodzić. Dziwnie się przedstawia sala wykładowa. Słuchacze rozmieszczeni są na pryczach i prowizorycznych ławkach. Komplet stanowi bosy profesor. Pomimo to, wszyscy słuchają z powagą i ciekawością.

16. września.

Do południa uczyłem się niemieckiego, a po południu poszliśmy na lekcję gimnastyki. Ładnie wyrabia się chór obozowy. Obóz nasz przedstawia widok bardzo różnorodny: tu chór, tam gimnastyka, tu leguny, tam jeńcy Polacy z rosyjskiego wojska, w następnym bloku całe rodziny z dziećmi, cygany, prostytutki tańczące jakieś kabaretowe kawałki, ku wielkiej uciesze przyglądających się dzieci, dalej peowiacy, a wszystko to przeplatają druty i powolnie kroczące warty pruskie.

W tej chwili przyszła wiadomość, iż nie żyje sierżant 5 pułku Socha-Lipiński, łódzki skaut, który poszedł do Legjonów z początkiem wojny, w pierwszej partji i był bez przerwy do końca w polu. Przeszedł ogień 50-ciu bitew a teraz zmarł w mieście. Podobno z powodu kryzysu przysięgowego zastrzelił się [1]).

Coraz więcej gadają o zwolnieniu nas po ogłoszeniu Regencji. Leguny rozprawiają, który z bloków pierwszy wyjedzie.

W oczach wszystkich zwiało dziś czterech ludzi. Na warcie był jakiś morowy Niemiec i odgiął im nawet drutów. Z naszej sali uciekło dwóch.

19. września.

Nie udała się jakoś ucieczka, bo Niemcy rano przyszli już z ich nazwiskami. Trochę później przyszedł Niemiec z nazwiskiem chorążego. Chorąży Miszewski zorjentował się, o co idzie i powiedział, że jest jeszcze drugi Miszewski. Zaraz jednak przyszła wiadomość, że takież wezwania do kancelarji przyszły do wszystkich oficerów. Wkrótce przyszedł znów Niemiec z zarządzeniem, że mają przyjść obydwaj Miszewscy. Wykręcić się już nie było można i chorąży musiał iść. Jak się później dowiedzieliśmy, w kancelarji wszystkich, t. j. coś 6 oficerów aresztowano. Jest to robota prawdopodobnie przydzielonego chorążego Szykowskiego. Doktorów z 5. p. p., t. j. kapitana Kaplickiego i chorążego Felę, także zawrócono do pułków, a na ich miejsce przysłano kapelana 3. p. p. i kapitana Gądka z 2. p. p. Kapelan zapowiedział, że mamy być podobno przetransportowani do Dęblina, gdzie już robią dla nas baraki. Wieczorem przyszła wiadomość, aby odnieść wszystkie rzeczy do aresztu. Zaraz zgłosiłem się z Kubikiem, bo chciałem się pożegnać, ale i Niemcy przyprowadzili jeńców Polaków i wyznaczyli nas do odniesienia rzeczy. W nocy obudziłem się od krzyków i słyszałem, jak komendant obozu pytał

[1]) Wiedomość nieprawdziwa (przyp. red.).

się, gdzie śpi Chojnacki i zawiadomił go, że jest zwolniony i, że rano jedzie do domu. Ten z radości nie mógł nic mówić, tylko machinalnie powtarzał wskazówki do zabrania obozowych rzeczy, a mianowicie: „miskę, łyżkę, dobrze, dobrze".

21. września.

Od rana pada deszcz. Nie ubieram się, tylko piszę. Przeczytano nam odezwę 1, 4, 5, 6 p. p. i 1. ułanów i 1. art., o ich postanowieniu złożenia broni, o ile nie zostaną uwzględnione ich żądania, t. j. wypuszczenie nas ze Szczypiorna, a oficerów z Benjaminowa. Ma przyjść kapelan. Wiara agituje, by nie krzyczano „baczność" na jego powitanie.

13. października.

Chodzą pogłoski, jakoby galicyjski urząd krajowy dał zapotrzebowanie na 4000 ludzi do robót w Galicji, które posady ofiarowano dla nas. Por. Mokłowski wyjechał w tym celu do Warszawy, by dowiedzieć się, czy zwolnienie nasze możliwe, bo radziłby na roboty zapisać się. Cały obóz o tem rozmawia. Coraz u mnie gorsza bieda. Sprzedałem chusteczki do nosa, aby kupić fotografję ze zdjęciem baonu.

14. października.

Dziś obchód Kościuszkowski, który mamy obchodzić uroczyście. Od rana więc wszyscy się ubierają, bo odbędzie się msza św. i odczytanie rozkazu nadzwyczajnego na uczczenie obchodu. O 9-ej stanęli wszyscy przed barakami. Na placu, ustawiliśmy się czworobokiem i wysłuchaliśmy rozkazu. Komicznie wyglądały nasze leguny, bo wielu przyciśniętych biedą, posprzedawało buty, a wobec nadchodzących chłodów otrzymali drewniaki holenderskie. Toteż, gdy maszerowali — robił się ogromny tupot i kapitalnie wyglądały ich nogi. W takim stanie nie było możliwe maszerowa na plac, na którym miała odbyć się msza, więc sierżant Zalas wydał rozkaz, aby ci tylko maszerowali, co mają dobre buty.

Msza odbyła się uroczysta śpiewana, w trakcie której chór obozowy odśpiewał kilka pieśni. Kapelan miał krótkie kazanie, po którem zaintonował „Boże coś Polskę", a następnie „Rotę". Po południu odbył się obchód. O godz. 2 zebrali się ciekawi na placu, Program składał się: odśpiewanie kilku pieśni przez chór, deklamacje, odczyt, znów chór i znów deklamacja. Odczyt pożyteczny dla ogółu, bo prelegent przesunął przed oczyma cały życiorys Kościuszki....

Kazimierz Kierkowski

Z AUSTRJACKIEGO WIĘZIENIA DO PRUSKIEGO OBOZU INTERNOWANYCH

(Urywki z pamiętnika)

Po zlikwidowaniu, a raczej po odłożeniu procesu przemyskiego, w końcu listopada 1917 r. jako królewiak — miałem możność powrotu do domu. Jednakże przez solidarność legjonową — zażądałem odesłania do obozu internowanych w Szczypiornie. Trudno mi było zdecydować się na dalszą udrękę i nędzę, aliści fakt, że część braci legjonowej „forsuje" front włoski a reszta — w obozach teutońskich przebywa — nie pozwalał mi korzystać z pomyślnej konjunktury, — ze złotej wolności.

Pragnąłem dzielić losy olbrzymiej większości legjonistów, pragnąłem wziąć udział w tej hostji głodu szczypiornańskiego, jednocześnie rozumując, że w zwartem kole eks-legjonistów nawet w tak ciężkich jenieckich warunkach, nie zatracę pewnej wartości żołnierskiej i — aktywności przeciw okupanckiej.

Pomimo ojcowskie, życzliwe rady ś. p. bryg. Zielińskiego, skłaniające mnie do cofnięcia swej pozornie naiwnej prośby — uparłem się i poczciwy pułkownik-mazur rozkazał wydać mi dokument podróży tudzież kartę służbową.

A więc w dalszym ciągu traktowano mnie jako więźnia czy też jeńca. Upokarzający los legjonisty jako jeńca wojennego pośród własnego społeczeństwa!

Dla scharakteryzowania tarapatów prześladujących Legjonistów w 1917/1918 r. — oddaję linotypom skrawki swych wspomnień z końcowych lat niewoli, sądząc iż te kronikarskie notatki na coś się przydadzą, szczególnie tym co przyjdą po nas.

* * *

23 listopada 1917.

Udowodniłem, żem Królewiak i idę do Szczypiorny. Major-audytor Ganczarski jakby się ucieszył z tego, że jego dotychczasowy „wychowanek" pleśnieć nie przestanie..

Podpisał skwapliwie protokół i polecił natychmiast odtransportować mnie do warszawskiej (wehrmachtowej) żandarmerji, skąd dalej mam powędrować pod Kalisz...

Wachmistrz żand. Galos dał mi podoficera „do towarzystwa" z którym to krążyłem po Przemyślu, likwidując swe sprawy. Udałem się do Komendy Polskiego Korpusu Posiłkowego po zaległy żołd za 10 więzienych dekad; pieniądze te przydadzą mi się na drogę. Porucznik Roman Górecki telefonicznie, powołując się na jakieś paragrafy, polecił Sądowi wypłacić mi zaległe „pobory". Sprawa zdawała się być załatwioną.

Gdym się jednak zgłosił po odbiór pieniędzy mjr. Ganczarski oparł się ich wypłaceniu, co już oburzyło nawet jego oficera sądowego chor. Chrzana i towarzyszącego mi żandarma Skirmunta. Pan audytor mścił się we wszelki możliwy sposób na „rebeljantach" przeciwaustrjackich!

Wieczorem wyjeżdżam do Warszawy w asyście pchor. automob. Szarocha. W ekspozyturze żandarmerji czekałem do pociągu przez kilka godzin. „Kanarki" tymczasem grają w karcięta; tylko żand. Lewicki urzęduje: dużym kawałkiem drzewa wydobywa zeznania z przewijających się legjonowych rozbitków...

24 listopada.

W Krakowie mam pozostać do wieczora. Uzyskałem przepustkę w Komendzie Stacji Zbornej i odwiedziłem kpt. Gigiela, który pracuje w Centrali Odbudowy Kraju. Spotkałem i dr. Diamanda, wydobywszy odeń nieco krzepiących wiadomości politycznych. W „Kulturze Polskiej" (ul. Florjańska 53) przyjęty zostałem przez płk. Rydza-Śmigłego, gdzie zastałem kpt. Sokołowskiego i sierż. Wójcickiego. Złożyłem meldunek Śmigłemu o przebiegu likwidacji sprawy przemyskiej, o czem jeszcze w Krakowie nie wiedziano. Wieczorem spotkanie u Michalika z kpt Stachiewiczem Juljanem i por. Kamskim. Ten ostatni w mundurze feldwebla opowiada z humorem o swej doli i — bezpośredniej „władzy": feldweblu austrjackim.

Pomyśleć, ile poświęcenia i samozaparcia jest u tych ludzi! Niedawno temu w szlifach oficerskich odrodzonego Wojska Polskiego, dziś z własnej woli, rzuciwszy pułki, baony, kompanje; wygody, honory, dobrobyt i sławę — tułają się już to w „komyśnych" mun-

durach rakuskich, już to w porzuconych r. 1914-ego tużurkach. Patrząc na Śmigłego odzianego w cywila — pomyślałem sobie, kiedy go ujrzę z powrotem w mundurze polskim! Kpt. Stachiewicz mówi, że po zwinięciu obozu jeńców „wracamy" do wojska. Jest możliwość, po ewentualnych ustępstwach państw centralnych, powrotu kolegów odeszłych do c. i k. armji.

Miła, serdeczna pogawędka kończy się; spieszę na dworzec kolejowy. Pchor. Szaroch w celu pozyskania oddzielnego przedziału (aby mógł spać) objaśnia władze kolejowe, że wiezie „bardzo niebezpiecznego przestepcę" Mój wygodny konwojent rozbroił się i — zasnął. Rankiem na jednej ze stacyj, zagadawszy się z jakąś dzieweczką, pozostał na peronie; w przedziale pozostałem sam, ściśle mówiąc, z pozostawioną szablą i pistoletem konwojenta....

25 listopada.

Udało mi się odnaleźć Szarocha w Warszawie; rad był, że mnie ujrzał. Udaliśmy się do Żandarmerji na ul. Rysią. Osławiony wachm. Getter spisuje ze mnie generalja; rzucam okiem na druczek: w poprzek napis stemplem odciśnięty: „areszt". Chciano mnie „zakwaterować" na Dzikiej. Zwróciłem się z protestem do dowódcy por. Witeckiego, prosząc o prawo przebywania w domu zanim wyjadę do Szczypiorny. Witecki, znający mnie z Przemyśla, oznajmił mi iż „jeńców-legjonistów niema, — są tylko żołnierze, lub aresztanci". Po pewnym namyśle zwrócił się telefonicznie do Departamentu Woj. Tymcz Rady Stanu, a otrzymawszy stamtąd zgodę — puścił mnie na wolną stopę, zaleciwszy codzienne meldowanie się w Komendzie Placu.

Spotkałem sierż. Falkiewicza z 1 p. p. Leg. — chodzi na medycynę; pocieszamy się, że nasza włóczęga nie pójdzie na marne. Widziałem się w red. „Nowej Gazety" z Tadeuszem Święcickim; depczą mu Niemcy po palcach. Święcicki przedstawił mnie Strugowi, któremu musiałem opowiedzieć o przeprawach pikulicko - bakonczyckich. Jest w Komunikacie Inf. Nr. 100. wzmianka o naszej abolicji Beseler wydał rozkaz, aby wszyscy b. legjoniści pochodzący z Małopolski, a nawet należący do t. zw. Wojska Polskiego — opuścili niezwłocznie Warszawę i zgłosili się w P. K. P. Z tej racji w Komendach wehrmachtu popłoch.

30 listopada.

Widziałem scenę w tramwaju, jak publiczność obległa jakiegoś żołnierzyka z wehrmachtu, wiozącego bochenek rządowego chleba;

nawet panie z towarzystwa zapytywały „szczęśliwca", czy nie ma zamiaru chleba sprzedać. Naprawdę, nędza w Warszawie straszna.

Dopiero za dwa dni mam dostać kartę służbową do obozu jeńców. Na ten czas zezwolono mi odwiedzić matkę w Rawie Maz.

Akcentując, że nie jestem „w służbie czynnej", co w oczach specyficznie nastrojonego społeczeństwa nie było dobrze widziane, — chodziłem bez pasa i szabli, jako żołnierz II klasy...

3 grudnia.

Powracam z Rawy. W Skierniewicach spotkałem braci Starzyńskich również powracających z urlopu jenieckiego do Benjaminowa. Są oni bez orzełków, pasów i dystynkcyj!

Sujkowski (ten znany w Szczypiornie) namawia mnie, abym dał spokój ze Szczypiorną; twierdzi, że beznadziejny jest los internowanych, a „przecież oficerów potrzeba jest dużo". Miał mu powiedzieć Januszajtis, że Rada Reg. nic nie uczyni w sprawie zlikwidowania obozów, jako że „Rząd nie chce takich żołnierzy". Kaptuje mnie Sujkowski do Wehrmachtu, dając lekko do zrozumienia iż gotów mnie poprzeć gdzie trzeba i szlify podporucznika pewne. Ani na chwilę nie dałem się skusić.

4 grudnia.

Leninowcy robią pokój na serjo. Że też nikt tym żydowinom nie wpakuje trochę ołowiu we łby. Niemiaszki pysznią się coraz więcej — pewni wygranej — a nam i Polsce to nie na rękę.

Chodzą ploteczki, że dzięki wpływom... pań Lubomirskiej i Sapieżyny obozy jeńców legjonowych znikną.

Krąży nowy „kawał" po stolicy, że „kucharz" gotuje rosół Bez... selera...

A Szczypiorna grozi głodówką, o ile Rada Reg. nie zajmie się energicznie dolą jeńców.

8 grudnia.

Dziś od rana poprawił mi się humor, bo Ameryka wypowiedziała wojnę Austrji, zawsze to naszych „opiekunów" nieco przygniecie. W Komendzie Placu dotąd niema dla mnie papierów: nie nadeszły z Inw. Straszą mnie znów Dziką i nawiawiają do Wehrmachtu. Spotkałem Wacka Frankowskiego (moja sitwa z wojny) — studjuje prawo; rozczulony.... kupił mi 100 papierosów u Kępińskiego na moją książkę wojskową.

9 grudnia.

Dziś odbyły się energiczne manifestacje na rzecz Komendanta i— internowanych; są liczne ofiary pałek schutzmanów: (poturbowano studentów).

W Komendzie Placu spotkał mnie ppłk. Berbecki. Długo ze mną rozmawiał, na wstępie radził mi wrócić do wojska, przyrzekając automatyczny awans, ale po wysłuchaniu mych argumentów — przyznał mi jednak rację, że ciągnę do „piętaszków". Berbecki mówi, że na

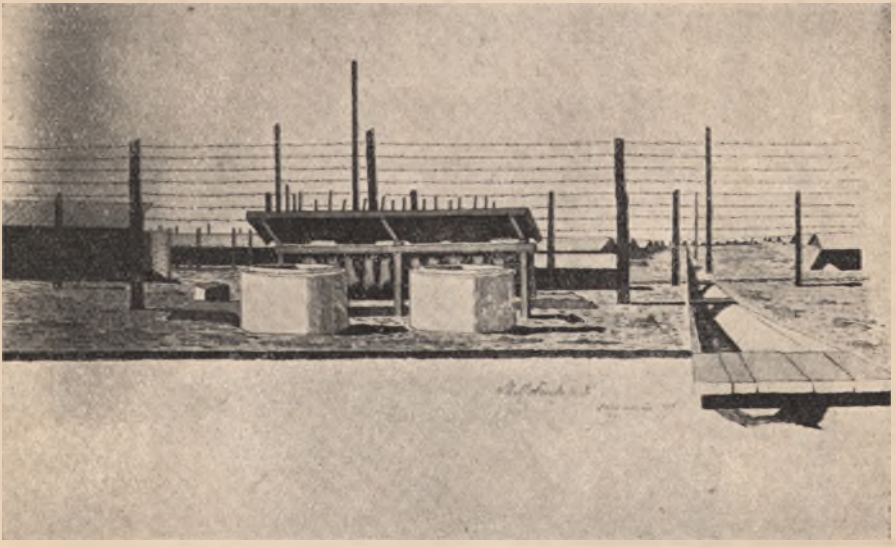

Szczypiorno

gwałt „fabrykuje oficerów" w szkole podchorążych; — „ot, jak ślicznie chłopcy wyglądają ze znakami S. P. [1]) na ramionach"...

13 grudnia.

Przyjechałem rankiem do Kalisza. Tak mi było przykro kwitować ze swobody. Udałem się pieszo w kierunku Szczypiorny. Zbliżając się do obozu — biło mi serce tak silnie! — Niziutkie baraki toną we mgle. Usiłuję wejść za druty, ale posterunek niemiecki sprzeciwia się temu. Krzyknąwszy groźnie „loss", — zorjentował mnie w stronę Kalisza; gdy to nie pomagało, — groził użyciem broni....

Po długich ceregielach prusak zadzwonił na d-cę warty i ten dopiero wpuścił mnie do wnętrza legjonowego osiedla. Po zamknięciu

[1]) W tym czasie powstała obecnie istniejąca Szkoła Podchorążych Piechoty.

się furty za mną czytałem wszędzie w imaginacji: „Lasciate ogni speranza"...

W Komendzie obozu Niemcy przyglądali mi się z zaciekawieniem, a komendant obrzucał mnie podejrzliwem spojrzeniem.

Za chwilę znalazłem się już w gronie kolegów pułkowych, opowiadając sobie wzajemnie przeżycia ostatnich miesięcy.

Koledzy nie starają się imponować mi swem „jenieckim starszeństwem", gdyż wiedzą iż czas ich głodówki spędzałem w więzieniu.

Szczypiorno. Apel — komendant obozu major Kaupisch

„Zamieszkałem" w bloku IV, w ziemiance Nr. 6. W ziemiance błoto, że się z pryczy schodzić nie chce. Dano mi legowisko (barłog zabłocony) po wywiezionym kapitanie Zosiku. W naszej budzie ciągną się sznurem podarte sienniki i kolorowe (papierem wypchane) kołdry. Nad głowami wiszą małe półeczki na sznurkach, a plecaki i mnóstwo wag prymitywnych dopełniały „umeblowania". Leżę obok sierż. Jabłońskiego i Ratajki, który pełni funkcję blokowego poczciarza. W ziemiance wieczorem wszyscy strugają długie patyczki i zapaliwszy je — bawią się ogniem.

15 grudnia.

Dziś odchodzi pierwszy transport jeńców (10 kompanij po 100 ludzi) na nowe leże do Łomży. Żandarmi wehrmachtowi, mający eskor-

tować legjonistów wystraszeni; Getter wprost blady. Internowani niesłychanie wynędzniali, zarośnięci, obdarci oczekują, z tobołkami na plecach, odmarszu na stację kolejową; wielu z nich okryło się jaskrawemi kołdrami, znaczny procent nie posiada obuwia pomimo że zimno dojmujące. Niemcy nie dopuszczają ludności cywilnej, wręczającej legunom paczki pożegnalne z żywnością.

16 grudnia.

Drugi transport na zbiórce. Jeńcy życzliwym okrzykiem żegnali mjr. Kaupischa komendanta obozu, który miał u nas opinje wcale przyzwoitego człowieka. Kaupisch często w rozmowach z legjonistami podkreślał, że jest spowinowacony z... Królem Leszczyńskim!

Szczypiorno. Kurs gimnostyki

Do zebranego transportu przemówił inny oficer niemiecki o bazyliszkowym spojrzeniu (hauptman) gwarą ludową poznańską, ostrzegając, że eskorta dostała rozkaz strzelania do uciekających. Czytam myśli szwaba: martwi się, iż odchodzimy, gdyż materjalnie było mu wygodnie z nami; słał podobno na „Hinterland" prowiant pochodzący z paczek nadsyłanych dla legjonistów... W drodze towarzyszy nam 3-ch oficerów z wehrmachtu (kpt. dr. Gondek, por. Mokłowski).

Gdyśmy wyszli na szosę, z tłumu zebranego słychać było nawoływania: to dziewczęta i panie kaliskie chciały poznać, zobaczyć po raz pierwszy, tych swych „pupilków", „synków", z którymi utrzymywały kontakt listowo-paczkowy. Byłem świadkiem następującej sceny. Jakaś młodziutka, elegancka panienka rozegzaltowana dolą legjonistów nawiązała korespondencję z kapralem M.....im, nad wyraz brzydkim, nie widziawszy go nigdy zblizka, ani na fotografji. Kilkomiesięczny pobyt internowanych w Szczypiornie pozwolił na

obustronną, przeczuloną, bodajże miłosną korespondencję. Nareszcie ujrzy swój ideał. M-ski musi być śliczny, inteligentny legun!

Nawołuje go przy przemarszu jeńców. M-ski usłyszał swe nazwisko i ....przedstawił się panience. Dziewcze nie chciało wierzyć, iż ma przed sobą tego, który tak poetyczne listy pisywał...

— Widziałem łezki w jej oczach i usta w podkówkę ściągnięte.

Dr Kopicki w ambulatorjum Szczypiorny

— Walczyła ze sobą, aby nie uciec do M-go, który jak demon brzydoty uśmiechał się, poprawiając koc na ramionach... Sądzę, że się już między tymi ludźmi korespondencja urwała.

* * *

Jedziemy w wagonach III klasy. Przeciętnie, na 7-iu legjonistów wypada jeden niemiec - eskortant. Ale eskortanci (rekruci z obozu szkolnego Jabłonna) spali tak mocno, że nasi ich pilnowali przed inspekcjonującemi szarżami niemieckimi. Poza nielicznemi wyjątkami nikt nie korzystał z ucieczki, a uciekać było można, choć Niemcy wszystkie stacje po drodze obsadzili z 2-ch stron landszturmem. W Koluszkach dano nam kolację. Sierż. Fabiszewski opowiada mi swoje przeżycia przedwojenne z Legji Cudzoziemskiej. Warszawę minęliśmy w nocy (koleją obwodową).

17 grudnia.

Świta! W Małkini w sali kina polowego śniadanie. W hali kłęby dymu z tanich papierosów i cygar. Kilku legjonistów brzęka na fortepjanie.

Ludziska przyglądają się nam z boleścią i współczuciem. Około południa transport przybył do Łomży. Z wielkim zaciekawieniem szukaliśmy oczyma naszych „pałaców". Wyładowanie transportu. Wiodą nas do koszar, których solidny wygląd zaspakaja naszą ciekawość. Wnętrze naszych siedzib w porównaniu z Szczypiorną wywiera korzystne wrażenie. Nakarmiono nas znośną grochówką i rozmieszczono pułkami (część 5 p. p. Leg. tworzy kompanję czwartą).

Odtąd kwateruję razem z sierż. Jakubiakiem, Baczyńskim i Staszkiem Sadowskim (prycza I-go piętra). Często gawędzę z chor. Ojczulkiem — Czachowskim, ppor. Maruszewskim i ppor. Kocem Leonem. Ta trójka oficerów (oraz Piasecki z kawalerji) cudem ocalała — innych Niemcy wywieźli ze Szczypiorny do obozów wgłąb Niemiec, odrywając ich od szeregowych.

19 grudnia.

Dni schodzą mi na grze w szachy z Orkiem, zresztą szachy są bardzo popularne w całym obozie. Wieczorami prowadzimy dyskusje polityczno - społeczne i stawiamy horoskopy na przyszłość. Wierzymy, iż Polska być musi. Sierżant Orek jako „wytrawny" jeniec imponuje mi swą praktycznością i zaradnością. Częstuje mnie kaszą własnego preparowania.

Wybrano sąd w IV kompanji: Jakubiak, Różycki i Lifszyc. Sierżant dr. Mateusz Frenkiel objął naszą kompanję. Poznałem dziś art. mal. Waroczewskiego — też jeniec. Pocztę odbierają od nas 2 razy tygodniowo, w ograniczonej ilości.

20 grudnia.

Dziś czmychnął na wolność jeden legun; poszedł z eskortą po wodę za druty, a że był w ubraniu cywilnem, — oddał swe wiadro koledze, a sam zręcznie dołączył się do przechodzącej nieznajomej kobieciny, z którą najspokojniej oddalił się. Naogół uciec stąd łatwo: druty rzadkie, choć dwurzędne, a posterunków niewiele.

Bolączką obozu jest t. zw. „czarna giełda", wyprowadzająca swój ród jeszcze ze Szczypiorny; — paskuje na chlebie i papierosach, biorąc za chleb i papierosy 300 — 400%-towe ceny.

Posterunek niemiecki uderzył kolbą matkę jednego z internowanych, która przez druty dopytywała się o swego syna — w obozie z tego powodu duże wzburzenie.

22 grudnia.

Ranną „kawę" (płyn koloru i smaku nieokreślonego, a o zapachu pluskiew) wydają na kompanję dzbanami, obficie, jednak nie ma ona dużego powodzenia. Chyba, że człek w nocy zmarzł dobrze, wtedy tą lurą gorącą, mdło - gorzką wypędza się mróz z kości.

Zjechał do obozu oficer łącznikowy kpt. dr. Gondek. Objąłem służbę starszego sierżanta inspekcyjnego w bataljonie. Meldowałem się u Dana — Stachlewskiego. Noszę oznakę „władzy" na ramieniu: opaskę biało - czerwoną.

Kartka pocztowa — produkt jednego z jeńców

W czasie wydawania strawy z kotła najwięcej wygłodniali zdążywszy zjeść już swą porcję (za ścianą kuchni) — nacierali na kucharzy, chcąc zdobyć dodatkowo jedzenie. Tego rodzaju wyskoki, wywołane nędzą, likwidowało się z taktem, bez udziału „generalnego" kucharza — Niemca.

23 grudnia.

Podobno Komitet łomżyński jeździ po mieście wózkiem i zbiera datki na nasz obóz; jednak to przykre. Wprawdzie, jest tu wielu biedaków, których ratować trzeba od śmierci głodowej, ale ten wóz krążący po mieście!

Ponieważ Komendant obozu, nie żywiący dla nas przyjaznych uczuć, nakazał oddawanie „honorów" niemieckim szarżom czapką— stąd na sali (na zbiórkach) i — podwórzu jesteśmy zawsze bez czapek. Szwaby niekonsekwentne: raz uważają nas za żołnierzy i to

silnie akcentują — to znów demilitaryzują internowanych. W instrukcjach urzędowych rozwieszonych wewnątrz obozu — Niemcy nakazują internowanym salutowanie podoficerów legjonowych, ale tego ani ci ostatni nie wymagali, ani koledzy ich młodsi — nie przestrzegali. Przeciętny legun nie zwracał uwagi na gzygzaki naramienne. Zresztą we wszystkich obozach (angielskich, francuskich włoskich) stosunki są podobne.

24 grudnia.

Wieczór wigilijny. Karbidowa lampka słabo oświetla salę nie opaloną. Zasiedliśmy na ławach przy stołach — krzyżakach. Menu kolacji wigilijnej: kartofle w łupinach (po 5 sztuk) i kawałek śledzia.

Odrutowany obóz jeńców w Łomży. Kapelan Sikorski

Mamy i opłatek oszczędnie podzielony na kapralstwa; obcałowujemy się i życzymy sobie różnych pomyślności...

Ksiądz kapelan Sikorski obchodzi sale i ściska nasze dłonie. Przemawia Wiktor (Maruszewski) serdecznie wspominając o Łowczówku; — oczy jego wilgotne od łez świecą jakimś blaskiem; w tem blasku widzę nadzieję lepszej doli nas żołnierzy polskich: przetrwamy, dochowamy się dla Ojczyzny.

25 grudnia.

W obozie rozwinął się „przemysł" kościany. Ogólnie fabrykują cygarniczki z kości wołowych porzuconych przez kuchnie. Głodomory dopraszają się do noszenia wody na kuchnię — za tę pracę otrzymują podwójną porcję obiadu, boć t. zw. obiad — nietylko że jest wstrętny, ale i — mały dla rozwijającego się dopiero chłopaka. Bezpośrednio po zjedzonym obiedzie było się najwięcej głodnym.

Przekonałem się o prawdzie znanego przysłowia: „apetyt wzrasta przy jedzeniu". Otrzymałem kartkę od prof. Tokarza; poczciwy, proponuje mi pomoc do zwolnienia się z obozu w drodze „poręczenia". Podziękowałem i poprosiłem o interwencję na rzecz ogniomistrza Raczko Bolesława, któremu trzeba pomóc, aby się wydostał z za drutów.

Co do mnie — wyjdę z obozu, ale razem ze wszystkimi.

26 grudnia.

Głód doskwiera. Fasunku na święta nie poprawiono. Spadł duży śnieg. Przypominają mi się lepsze czasy, gdy sanki sunęły po śnieżnym puchu, a konie parskając, podzwaniały...

Kaganek ledwie że się tli; Borek kapral, zdecydowany suchotnik (Szczypiorna!) z braku chleba do wieczornej kawy przyśpiewuje sobie melodję: „Eto dieło było tak"...

Jakkolwiek nie jestem rozrzutny — dziś pod wieczór za jednego papierosa oddałem skórzaną papierośnicę.

31 grudnia.

Sylwester. Cała przyjemność to kąpiel dziś odbyta i dezynfekcja. Pamiętam, że kilka lat temu w Warszawie — strzelały butelki Pommery sec... Moc światła - towarzystwo rozbawione — muzyka, śmiech.

— Dziś karbid syczy, odmawiając światła; głód, zimno i ogólne zdenerwowanie chłopców.

Maruszewski chcąc rozruszać drzemiących legunów, budził ich, życząc od nowego roku... gęstej kolacji (czasami na kolację dawano nam zamiast kawy płynną kaszę jęczmienną, co było już rarytasem).

1 stycznia 1918 r.

Słuchałem dziś opowiadań o stosunkach w Szczypiornie. Gorączka głodu trawiła nie tylko legjonistów. Podobno któregoś dnia kilkudziesięciu wynędzniałych jeńców rosyjskich pchało dwukółkę, w tem jeden z nich spostrzegł na śmietniku przedkuchennym wyłaniające się z pod popiołu szczątki skóry i wnętrzności rybie. Rzucili się z piskiem i skowytem na śmietnik, nie zważając na razy kolb eskortantów — niemców; — rozrywali przegniłe szczątki odpadków nieprzyjemnie pachnącej ryby i pożerali na miejscu. Jeńcy -

rosjanie chłopaki w wieku 20 — 25 lat wyglądali jak starzy: Ziemista cera, zapadnięte oczy, skóra na twarzy w zwitkach, woreczkach zwisa...

Widziałem ich. Biedacy ci pod drutami wyrywali wszelką trawę i naparzając ją wodą — spożywali!

O ile o jeńcach francuskich, czy angielskich pamiętają ojczyzny, o tyle moskale giną z głodu jak muchy; nikt się o nich nie troszczy, ani nikt nie wie w świecie jak ich tyfus głodowy zmiata.

Szczypiorno. „Sąsiedzi"

Jak dalece moskale - jeńcy nie orjentowali się w naszych stosunkach do niemców świadczy następująca uwaga jednego z nich: „nas wzjato w plen na pozicji i wział nas wrag, a was plenit sojuznik"...

Bez komentarzy.

2 stycznia.

Plutonowy Gorgoń fabrykuje t. zw. kroniki obozowe, pisze rondem w zeszytach uczniowskich i przyozdabia je ornamentami przerysowywanemi z pism ilustrowanych....

Taka „kronika" kosztuje 5 marek i znajduje nabywców. Pozatem wielu inteligentów zajmuje się ornamentowaniem papierów, na których wychodzący z obozu na wolność jeńcy — zbierają podpisy kolegów. Wśród tych podpisów znajdziesz znane nazwiska, są i— gryzmoły półanalfabetów, którzy jednak w boju byli wysoce piśmienni... W obozie można było widzieć dużo ciekawych prac, częstokroć niepozbawionych talentu np. znane obozowe karykatury Krukowskiego.

Zamknięci pracowali (tworzyli) pod presją grożącego im głodu, względnie — z nudów.

Najpopularniejszym sprzętem jest tutaj waga. Każdy prawie legun sporządził sobie z patyczków i sznurków ten instrument do ważenia chleba". „Bochenek na sześciu" — trzeba go „sprawiedliwie'! rozważyć, co się dało uskuteczniać ważeniem porównawczem, gdyż o ciężarkach mowy nie było. Drobiazgowość w rozważaniu chleba była tak daleko posunięta, że malenki „dodatek" — skrawek, okruch jeszcze dzielono na kilka równych części...

3 stycznia.

Znów mam służbę inspekcyjną.Leguny przychodzą po drugą porcję obiadu, bo — pierwsza się „wylała", jednak śladu rozlania nigdzie nikt nie znalazł....

Widziałem taki obrazek: „pontoniarz" [1]) z ostrożnością niesie miskę z obiadem i klnie zirytowany: „psiakrew, wietrzysko zdmuchnęło mi tłuszcz"...

Podobno jeden z internowanych odrysował zręcznie 20-tu markówkę i kupił za nią od niemca większy zapas chleba. Głód jest głównym motorem przestępstw... Specjalista w „naciąganiu" Niemców jest piątak, Warszawski; ten chwali się, że sprzedał prusakowi nowy płaszcz, ale mu pod mundur zręcznie wsunął inny — stary....

Złośliwi mówili, że przy tej manipulacji szwab zgubił resztę posiadanych pieniędzy... Tylko naiwni i pozci mogą się łudzić, że wśród nas nie może się znaleźć tego rodzaju typ. Skądinąd ten Warszawski był na froncie dobrym żołnierzem, ale że jest materjałem dla prokuratora to nieulega najmniejszym wątpliwościom.

9 stycznia.

Zamieć śnieżna. Wiatr huraganowy. Wiara korzysta z okazji i ucieka, bo o posterunkach mowy niema.

[1]) Chodzący w „pontonach", tak nazywano drewniane saboty, w które Niemcy obuwali internowanych.

Wymieniłem swą całodzienną porcję chleba za 3 papierosy.

Rozmawiałem z Łaguną o konieczności wywierania większego wpływu na tych biedakach, którzy w swej słabości charakteru i nie wytrzymałości na głód zapisują się na roboty do Niemiec. Ale trudne jest położenie nasze i pięknemi słowami nie zapełnimy żołądka głodnym. Charakter wyrobiony, inteligent może podtrzymywać swe siły choćby czytaniem, pisaniem, wreszcie marzeniami o lepszej przyszłości, ale taki chłopaczyna — analfabeta przez 24 godziny o niczem innem nie myśli, jak tylko o jedzeniu, nie potrafiąc wypełnić sobie czasu jakimś zajęciem.

W obozie, po cichu, skrycie, wielu szyje ubrania z koców, które w zastraszający sposób stają się coraz krótszemi; zmusiło to Niemców do częstego przeprowadzania kontroli kołder.

Dzięki zamieci, przez przecięte druty zbiegło kilku jeńców z 3 kompanji. Niemcy grożą, że o ile się to powtórzy, cały baon zostanie usunięty z budynku przydrożnego.

W nocy okradziono magazyn: znikło 10 bochenków chleba i słoniny kilka kilogramów. Podczas rewizji znaleziono słoninę w piecu (sieni), a chleb dopiero po 2 dniach spostrzegł ktoś w śmietniku.

Stuk „pontonów" denerwuje mnie, szczególnie gdy schodzi kompanja z góry. W czasie mrozów, na grudzie, w drewnianych sabotach często się chłopcy wywracają. Ale i nie każdy może się szczycić drewniakami — wielu legunów obwija nogi gałganami, omotawszy je sznurkami. Także z braku płaszczy zziębnięty jeniec okrywa się kocem.

Kapelan z jednej strony burzy nas przeciw Radzie Reg. i Komendzie W. P., z drugiej — ostrożnie namawia do wojska. Zdaje się, że logika nie miała miejsca w jego procesach myślowych.

Kupiłem sobie dzisiaj cały kałamarz inkaustu i dużą paczkę papieru: w obozie jeńców to cenna rzecz!

Rewizja! Niemcy poszukują nożyc, któremi uciekinierzy cięli druty. Za 10 papierosów oddałem dziś nowiutki „baszłyk" wełniany. Przez całą noc zasnąć nie mogłem z głodu; śnił mi się świeży chleb razowy i pachniał mi tak pod nosem. Niechcę w życiu żadnych dobrych rzeczy do jedzenia tylko niech mi grubego, czarnego, chleba nie braknie! Zaraz po obiedzie wydawanie chleba, który ma wystarczyć i na kolację i na jutrzejsze śniadanie. Ileż to razy przyrzekałem sobie, że chleb utrzymam do rana; ale, gdzie tam! Jeść się tak chciało, a forma chleba była tak nierówna, że należało rację chlebową nożem wyrównać, obcinki zjeść...

— Ale znów mi się nie podobała forma prostokąta w chlebie — po pewnej operacji — przybrał on formę sześcianu. Myślałem że już

jako sześcian chleb nie skusi mnie, bym go nierozważnie już zaraz zjadł; w pół godziny chleb miał już wygląd rombu, a narożniki, były tak apetyczne!.... Wreszcie, powiadam sobie: „u licha, dla czego zwlekać do jutra — kiedym dziś głodny— jutro wytrzymam, nie pierwszyzna mi głodować". I chleb znikł w czeluściach żołądka. Skorom się spostrzegł, że chleha już niema, ogarnął mnie poprostu strach przed jutrzejszym głodem...

Tego rodzaju walkę z chlebem przeprowadzałem bardzo często.

Łomża. Szkoła rzemieślnicza

11 stycznia.

Komitet Żołnierski obozu atakuje komisję kuchenną z racji niedopuszczenia członka Komisji Rewizyjnej do kuchni. Z tego powodu Dan zgłosił swoją dymisję. Ferment; za Danem złożyli swe czynności inni (Bard-Kucharski, Orłowski). Rozdrażnienie ludzi ma swe źródło w biedzie, tęsknocie za rodziną i wolnością.

Zachodzi obawa, że w tem zamieszaniu Niemcy mogą dowiedzieć się o pobycie wśród nas tej i tak malenkiej grupki oficerów...

12 stycznia.

Sierżant J. zapisuje kandydatów do szkoły elementarnej; szkółkę tę zorganizowali byli nauczyciele. Towarzystwo gimnastyczne zaczy-

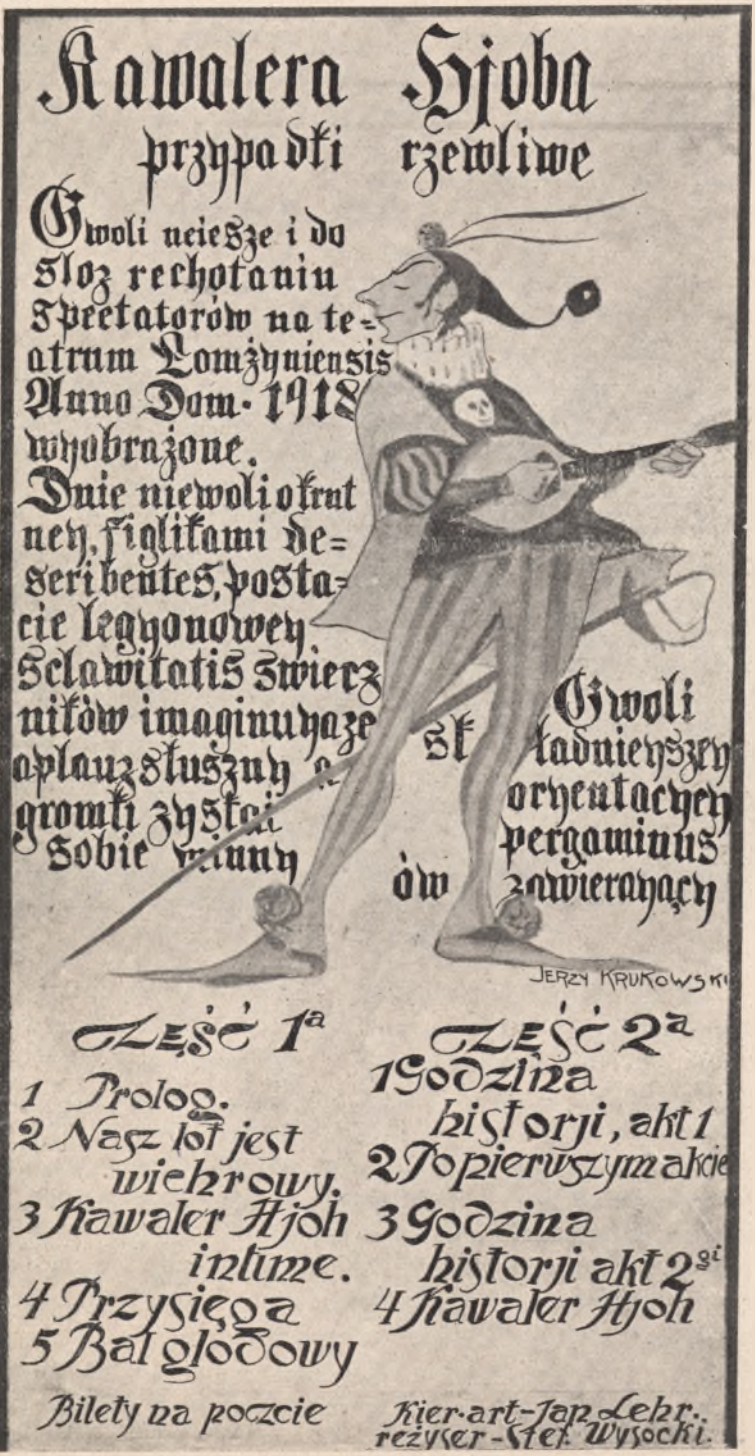

Afisz kabaretu legjonowego w obozie jeńców w Łomży

na też pracować. Powstało i kółko artystyczne. Trzeba przyznać, że skala zainteresowań legjonisty jest bardzo wielka.

Uczęszczam na wykłady „Koła wojskowego", odbywające się między 6 a 8 wieczorem. Wykładają: Koc Leon — historję wojskowości, Maruszewski — „Taktykę", Staszek Sadowski — „Organizację armji niemieckiej", Wyrzykowski — „Minerstwo", Kostek Zaborowski — „Terenoznawstwo i Kartografję". Ponadto Koc omawia przed-

Łomża. Koło wojskowe

miot z działu „Nauczanie żołnierza". Sierżant Orek dostał paczkę z domu (suchary). Dziwne okazuje mój commiliton zdenerwowanie w stosunku do mnie. Co się stało? Toć to najserdeczniejszy mój przyjaciel!

Po dłuższej obserwacji i — analizie szczegółowej tej zmiany nastroju u Orka, — doszedłem do wniosku dość ciekawego, który zresztą później znalazł potwierdzenie u mego poczciwego druha. A więc: Orek znoszący chroniczny głód, po otrzymaniu posyłki cieszył się, że przynajmniej przez jaki tydzień chleba mu nie braknie. Tymczasem, licho dało przyjaciela! po co razem 2-ch przyjaciół, skoro chleb nawet dla jednego niestarcza...

Człowiek ten blizki był znienawidzenia mnie, że ja mogę spostrzec malujący się na jego obliczu strach o chleb. Biedak z jednej

strony (jako chłop serdeczny) chciał się ze mną sucharami dzielić, ale z drugiej — ciało jego wygłodzone reagowało na ten akt koleżeństwa nieżyczliwie dla mnie. Nadmienić muszę, że ja osobiście nie tylko, że nie liczyłem na podział sucharów, ale byłem nawet przygotowany odmówić przyjęcia poczęstunku.

Jest to charakterystyczny obraz domu ziejącego nędzą: kochany Julku, ani na chwilę nie miałem do ciebie żalu, bo znam cię jako oddanego, wypróbowanego kolegę! Warunki w jakich tu żyjemy przypominają tonącą łódź, na której zadużo osób....

Łomża. Kabaret jeniecki

16 stycznia.

Rozkaz niemiecki, aby jeńcy pisali do domu po pieniądze i ubrania cywilne.

— Zdaje się, że to nie w przewidywaniu likwidacji obozu, a raczej w celu zasilenia „rynku pieniężnego" w obozie, bo szwaby robią dobre interesy na papierosach, miodzie, chlebie i t. p.

Zdzierają z internowanych trzykrotne ceny.

Na ścianach izb rozlepiono instrukcję dla zwalnianych i urlopowanych; jeden z paragrafów głosi, że „jakakolwiek działalność polityczna legjonistów spowoduje zesłanie do obozu jeńców cywilnych w Modlinie"...

Wyglądam z okna. „Giełda" zebrana tłumnie w pewnym baraczku dyskretnym...

Dostałem dzienniki. Rada Regencyjna przyjmowana uroczyście w Berlinie i Wiedniu. Żołnierze nie spodziewają się wiele po tej „trójcy".

17 stycznia.

Premjera kabareciku. Śliczny afisz, naprawdę artystyczny. Programy drogie: po 1 — 2 marki.

Łomża. Obóz internowanych. Wnętrze kaplicy w suterynie

19 Stycznia.

Drugie przedstawienie „Kabaretu". Obecny oficer niemiecki i kapelan. Ustęp o Beselerze i płk. B. wyrzucony. Otrzymałem list od p. Tarnawskiej z Przemyśla: z treści jej słów można się domyślać, że z „trepami" też źle. Zaspy śnieżne wstrzymały ruch pociągów do Łomży. Zresztą, co nas to obchodzi: na wolność wypuszczeni pójdziemy choć pieszo!

20 Stycznia.

Dzisiaj odbyło się poświęcenie cerkwi na kościół jeniecki. Suszy kieliszek z czerwonym nosem — podoficer niemiecki przyszedł po

ludzi do kościoła; każda kompanja ma dać 40 ludzi. Nie można było znaleźć tylu ochotników, dopiero gdy Or - Sowiński obiecał „nabożnym" kościół policzyć za kolejkę porządkowych robót — komplet kościelny dał się zebrać.

Krążą pogłoski, że nas Niemcy mają przewieźć do Modlina, a tu ma przybyć jakiś oddział P. K. P.

Wykłady wojskowe z braku światła przesunięto na godziny popołudniowe.

Pod wieczór przyszły zakupy z Komitetu, zamówione (kto miał pieniądze) przed tygodniem. — Olbrzymie kręgi chleba zległy na stole. Furjer wydaje zamówienia. Leżę w kącie na swej pryczy i zatykam nos przed zapachem razowca; aby nie patrzeć na śliczne okrągłe, jak kamienie młyńskie, chleby — wzrok utkwiłem w sufit i liczę nerwowo wszystkie sęki w deskach: było ich 43, pamiętam dobrze.

Dzielenie chleba tak się długo przewlekało, a ja tak się co raz silniej rozdrażniałem, że bliski byłem wściekłości. Coś mi szeptało, by par force dorwać się do stołu i łapczywie najeść się obcego chleba.... Niewola wypełniła miarę niedoli.

— Zerwałem się z pryczy jak oszalały i dopiero na placu koszarowym, okrążając go kilkakrotnie, zapomniałem o drażniącym nozdrza i podniebienie chlebie. Za ostatni pieniążek obozowy z napisem „Skalmierschitz" kupiłem pół papierosa, a paląc go po dwudniowej przerwie — omdlałem.

Mówią, że bolszewicy aresztowali króla rumuńskiego, a gubernator Moskwy szeregowiec Iwanow uwięził Polski Komitet Wojskowy.

22 stycznia.

Przed południem w sali „teatralnej" odczyt o 1863 roku (Zielińskiego). W rozkazie niemcy zalecają szanować koce, jako że „każdy czwarty koc jest własnością Rządu Polskiego"...

Godzina 12. Do marchwianego obiadu jeszcze kawał czasu, — co chwila ktoś okno otwiera i nosem stara się odgadnąć, co będzie na obiad. Najlepsze pożywienie to peluszka z owsem, omaszczona jakimś podejrzanego pochodzenia tłuszczem.

Ksiądz zażądał od niemieckiej Komendy Obozu po 60-ciu ludzi z każdej kompanji do kościoła; unteroficery niemieckie zabierają legunów na modły . . . .

Wieczorem „Obchód Styczniowy". Sala nabita po brzegi. Obecny oczywista, kapitan niemiecki, lekarz i jego sztab sanitarjuszek. Sio-

stry" miały szczególne względy do ułanów, bo ci się jakoś nieco lepiej prezentowali (byli mniej obdarci). „Samarytanki" rzucają omdlewające spojrzenia w stronę niedobitków Beliny....

Rozpoczął się obchód od odśpiewania (przez zorganizowany chór) Mazurka Dąbrowskiego. Dan czytał coś o Traugucie. Koncert skrzypkowy podobał się wszystkim: wykonano kilka mazurków Wieniawskiego; mandoliniści z temperamentem grali melodje legjonowe. Kapelan ze swadą opowiadał swe przygody z Moskalami, jak to bronił kiedyś honoru Matieri Bożiej.

23 stycznia.

Niemcy agitują do zapisywania się na roboty „dla polskiego rządu". Na to jeden z „piętaszków" zwrócił się do „korporala": „nie strzęp sobie szwabie języka i wynoś się pókiś cały"; — przytem tak się nasrożył, że szwabina czemprędzej opuścił salę.

24 stycznia.

Fasunek chleba komitetowego: wypadło na osobę po kawałku wielkości kostki cukru.

Niemcy wsadzili biedaka Uziembłę na 10 dni aresztu za przerobienie koca na spodnie. Wyszło rozporządzenie, że o ile przy zwolnionym znajdą się listy, to go internować będą do końca wojny.

Niemiaszki się co raz więcej stawiają, bo obiecują sobie zawarcie odrębnego pokoju z t. zw. Ukrainą. W Rosji zaburzenia.

25 stycznia.

Spisano nieuleczalnie chorych, których mają niemcy zwolnić. Koło wojskowe złożyło się po 20 fenigów na karbid. Wyjechał z obozu Waroczewski.

W obozie ktoś puścił plotkę, że oficerowie nasi z obozu łomżyńskiego mają odejść do wojska.

Oczywista, wieść tę ktoś wyssał z palca.

Napływają do obozu z Warszawy nie pożądane elementy: ci, co odsiedzieli więzienia za pospolite przestępstwa. Komendant niemiecki namawiał Dana, by w imieniu internowanych zwrócił się z prośbą do Warszawy o wstrzymanie nadsyłania złoczyńców.

29 stycznia.

Zjechał p. Kasperowicz. Na odprawie komendantów kompanij, spoglądając na zebranych z dobroduszną prostracją, powiedział, że niema widoków na uczciwe, szybkie nas zwolnienie.

W Warszawie w dzień imienia Wilusia spodziewano się naszej „amnestji". Społeczeństwo warszawskie zawsze dużo liczyło i liczy na galówki!

Zdaje się, że p. Kasperowicz po zawodnej amnestji (urodziny potomka wasalów Polski już minęły) — rozczarowawszy się zjechał do nas.

A jednak powszechnie mówią o likwidacji obozu; ma się to odbyć w drodze:

1) zwolnienia chorych i kalek,
2) odesłania rodzicom małoletnich,
3) wcielenia do Wehrmachtu,
4) reklamacji gwałtem potrzebnych rodzinom.

W ostatnim numerze „Świata" jest zdjęcie fotograficzne „Pierwszej Rządowej Szkoły Oficerskiej" (większość to rekruci).

30 stycznia.

Wybrano mnie do Komisji Rewizyjnej obozu i ogłoszono to w rozkazie dziennym. Pozostali dwaj członkowie Kom. Rew., to: Wojciechowski Antoni i Święcicki Ksawery.

„Do przysięgi"

W obozie słyszeć się daje, iż ktoś agituje wśród żołnierzy za pójściem do wojska... Podobno agitacja odnosi skutek; krąży jakaś list kandydatów z kilkuset złożonemi już podpisami....

Są i tacy, którzy zasadniczo chętnie by poszli do Wehrmachtu, ale chcą poczekać wiosny, aż będzie trochę cieplej. . .

Maruszewski usiłował opanować ten ruch „militarny", ale natrafił na duże przeciwności. Trudno, nędza łamie słabych, a nie mogą być wszyscy tak nieugięci! Dzisiejszej nocy zbiegło znów 2-ch legunów.

31 stycznia.

Niemcy ogłosili ,że w razie próby ucieczki internowanego — posterunki mają rozkaz strzelać bez uprzedniego ostrzeżenia. Dziś, na zakupy komitetowe wielu stałych nabywców chleba pieniędzy nie dawało: to przedewszystkiem ci, którzy już się zgłosili do wojska i czekają aż się uzbiera większy transport.

1 lutego.

Niemcy spodziewając się jakiejś inspekcji z Warszawy pośpiesznie zawieszali lampki w każdem kapralstwie. Mróz. Ze schodów o wydeptanych stopniach obdarci chłopcy zeskrzybują śnieg naniesiony. Jutro Święto Matki Boskiej Gromnicznej. Noc. Gwarzymy jeszcze; na sali cisza; jakiś dłubinosek naklnie przez sen i naciąga koc na głowę ze szkodą dla nóg: te koce co raz to krótsze!

— Szeregi jeńców śpiących zalał potok światła księżycowego; każdy z tych biedaków śni niewątpliwie o wolności....

Julek zasypia i mnie sen morzy.

3 lutego.

Strajk w Niemczech. Stan oblężenia ogłoszony w Berlinie, Hamburgu i Altonie. W Berlinie aresztowano wybitnego socjalistę Dittmana.

Alzatczycy pełniący służbę w naszym obozie okazują nam swą sympatję i wyrażają się ujemnie o uciekinierach do Wehrmachtu.

Dziś rozmawiałem z żołnierzem niemieckim - górnoślązakiem; powiada między innemi: „prusok wos nie puści na fraj, bo byśta mu śtreke popsuli". . . . .

— albo: „wy myślita, że prusoki głupie, ukrywota deki, a une przecie na przodek (znaczy: front) potrzebne, wy to ta na tyłku". Uczę kolegów francuskiego. Po zgaśnięciu karbidówki — opowiadam kamratom o piękności Włoch.

4 lutego.

Poszedł do Wehrmachtu sierż. Fiegler. Jon z bratem też się tam wybiera, a nawet otworzył swego rodzaju biuro werbunkowe. Komitet Żołnierski uchwalił przeciwstawić się energicznie agitacjom werbunkowym. Na tem tle powstał zatarg honorowy Dana z Jonem...

A znów legjonista Kordelasiński, który świeżo powrócił z urlopu, opowiada, iż Wehrmachtowi żołnierze proszą o przebaczenie, że nie są z nami i że tego mocno żałują. Niemcy dążą do tego, aby na-

Łomża. Pogrzeb sierż. Gomólińskiego

szą dotychczasową spontaniczną jedność rozbić i kark nasz ugiąć. Pozbyłem się zegarka za 20 papierosów: pektoralik był srebrny i pamiątkowy....

Niemcy obiecują, że pod karabinami będą nas do kościoła prowadzić; internowani zziębnięci i wygłodniali nie mają w tej ponurej atmosferze inklinacji do nabożeństwa.

Kontrolując magazyn prowiantowy, znalazłem pozycję rozchodu 2-ch funtów masła; była to tak zwana łagodząca feldwebla łapówka (pieniędzy nie brali). Wczoraj zmarł w obozie na suchoty sierż. 4 p. p Leg., Gomóliński. Posiadał krzyż pruski i order waleczności austrjacki. Jako cały spadek po sobie pozostawił kilka zblakłych frontowych fotografij: szczątek i wspomnienie sławy bojowej.

6 lutego.

Otwarto pralnię; zatrudnieni w niej jeńcy otrzymują podwójne racje chleba i obiadu. Supiński, rekrut z 1917 r., odjeżdża zwolniony do domu. Kupił sobie od kogoś odznakę 1-ej brygady...

Pod wieczór pogrzeb Gomólińskiego. Karawan czarno-brudny; trumna flagą narodową okryta. Tuż za zmarłym kroczy pluton jeńców, przeważnie ułanów, którzy swe mundury potrafili doprowadzić do stanu wytworności... Kapelan radził wysłać delegację raczej w „pontonach", jako lepiej, trafniej reprezentującą legjonowy obóz jeńców. Ludność łomżyńska wyszła pod koszary, na spotkanie pogrzebu. Szli w kondukcie mieszczanie, inteligenci, kobiety z ludu i dzieciarnia biedna.

Orkiestra pruska gra marsz Chopina... Prusak na przodzie przed krzyżem. Oficerowie niemieccy idą obok Dana. Kondukt zamyka sekcja landszturmu z karabinami. Cały obóz wyległ przed druty; okna pełne jeńców.

Wieczorem powrócił pluton honorowy, śpiewając przez całą drogę marsz strzelców. Ludność cywilna odprowadziła ich pod koszary. Słyszę okrzyki: „Niech żyją szczypiorniacy", „Niech żyją łomżynianie i łomżynianki". Jakiś legun na ostatku wrzeszczy: „Do widzenia, do czasu śmierci drugiego".

Opowiadają, że na cmentarzu była awantura; podobno ksiądz cywilny nie polecił w porę wykopać mogiły, dąsając się, że kapelan przysłał do parafji urzędowy nakaz z podpisem komendanta obozu — Niemca. Także, były pewne trudności z kosztami za plac na cmentarzu.... Bohaterowi nie stało miejsca na mogiłę w polskiej ziemi! Ksiądz Sikorski w mowie nad zwłokami wyrzucał społeczeństwu, że nie grzebie należycie nawet swych żołnierzy; mówiąc to, kazał otworzyć trumnę. Niemcy oponowali, ale kapelan postawił na swojem i zebrani ujrzeli kościstego trupa w brudnej i podartej koszuli bez munduru.

Na piersiach zmarłego leżały odznaczenia bojowe. W przemówieniu kapelan przyczepił łatę i Niemcom. Trumnę spuszczono do cokolwiek za krótkiej mogiły.

Niemcy oddali salwę — z tych ładunków, które były i są przeznaczone na żywych uciekinierów z obozu.

7 lutego.

Tłusty czwartek. U nas też uczta, bo dostaliśmy ekstra po funcie chleba i słodką kawę. Ksiądz się nam zwierza, iż miał dzisiaj ostrzeżenie od Niemców za wczorajszą demonstrację.

Jakiś zniemczony poznańczyk-żołnierz usiłował dać nam szkołę, wygrażając się: „jo wom pokoże, co jo znacze"! Wiara w śmiech i urządziła zarozumiałemu pachołkowi niemieckiemu kocią muzykę. W śmiechu jeńców grzmiały akcenty groźby. Żołnierzysko salwowało się ucieczką.

Gazety piszą, iż w Rosji wojska polskie zajęły Mohilów i aresztowały Krylenkę z całym sztabem. Biją się nasi z Moskalami. Kiedy my się weźmiemy do Niemców!

Obóz internowanych w Łomży. Spowiedź

8 lutego.

Na Litwę jeńcowi wolno pisać tylko do osob najbliższych. Otrzymałem z Benjaminowa kartkę od Drojewskiego. Oni tam również łudzą się nadzieją zwolnienia. Zakazany jest w obozie „Przegląd Poranny". Są wieści o Muśnickim. O, Boże! niedajemy się pogrześć wrogom. W obozie żartują z mojego protokółu rewizyjnego, bo w tekście użyłem następującego zwrotu: „Kółko artystyczne i pralnia funkcjonują należycie"... Kapral niemiecki, Czernow, zły na mnie, bo mu tłumaczę, że każdy Prusak pochodzi, niestety, od branek-Polek, uprowadzonych przez Krzyżaków. Nie zależało mi tyle na ścisłości historycznej, ile na podrażnieniu zaciętego Niemca. — Nie podobało mu się również i to, że zawsze odpowiadałem na jego „Morgen" na-

stępującem zdaniem, wypowiedzianem po niemiecku: „Niech żyje Polska od morza do morza"! Czernow uczył się polskich komend i wcale dobrze powtarzał zamiast „na ramię broń" — „na Rumynię broń"....

16 lutego.

Doszła nas wieść o nowym podziale Polski.

19 lutego.

Odbyło się nabożeństwo żałobne z powodu odłączenia Chełmszczyzny. Warszawa zapłaciła kontrybucję. Wiemy o odezwie Rady Regencyjnej, wiemy o P. K. P., który miał przejść do Muśnickiego. Zieliński i Sikorski podobno internowani. Szkoła bolechowska i rekruci rozsypani błąkają się w Karpatach. Podobno razem z II. Brygadą przeszły granicę i trzy pułki austrjackie: to jednak nie pewne.

22 lutego.

Postanowiliśmy nie palić papierosów, aby nie wzbogacać Niemców. Ciężki to wysiłek. Komendę obozu objął Frenkiel. Wysłaliśmy adres do Artystów Scen Warszawskich, jako odpowiedź na przysłane nam i „benjaminkom" słowa otuchy, również w formie adresu.

Ze względu na silne mrozy i brak opału — wszelkie kursy nieczynne. Ma być wprowadzony kurs fechtunku; zwrócono się z zapytaniem do Gen. Gubernatorstwa, czy rapiry są bronią...

Niemcy stawiają naokoło obozu silne lampy łukowe. Hiller z 6 p. p. Leg. ma zuchwały zamiar wyrywać do Muśnickiego.

3 marca.

W cerkwi (w kopule) ukryło się w czasie nabożeństwa 6-iu legjonistów, między innymi i bracia Sokołowscy (blondynki); wieczorem mają wyrywać. Obóz z tego powodu trwał w niewypowiedzianej męce wyczekiwania pomyślności tej ucieczki.

4 marca.

Dostałem list pełny serdeczności od Jadzi, boć to dziś imieniny moje. Kiedy ją niebogę, znów zobaczę? W obozie rwetes. Niemcy wściekli z powodu ucieczki sześciu; przecięte druty (dla odwrócenia uwagi) przez cały dzień badali niemczury. Wiara się śmiała z naiwności naszych opiekunów. Represyjnie zamknięto nam kantynę obozową. Rozwścieczony na posterunki kapitan Mescheide kazał usunąć

budki wartownicze, zarzucając gemajnom spanie w nich; trzech żołnierzy wsadzono na dwa tygodnie aresztu, że pozwolili przeciąć druty i przez nie uciec jeńcom.

5 marca.

Znów ucieczka. Tym razem znikł sanitarjusz, korzystający z niebieskiej opaski. Niemcy głowami kiwali i dziwili się, iż to mogło się zdarzyć. „Przecież on nam dał słowo, że nie ucieknie. Jakże to mogło się zdarzyć! Toć wy panowie nie jesteście Francuzami, którym nie wierzymy i którzy zawsze próbować będą ucieczki, pomimo dane słowo".

Oj, nie lubią niemiaszki Francuzów: to oni tak przedłużają wojnę!

Zjechał do obozu gubernator łomżyński. Niemcy zamykają nas już o godz. 7 wieczór. Wykłady wojskowe zastanowione. Z Orem pitrasiliśmy kluski z kartofli, ale zrobiła się z nich jakaś kleista papka.

9 marca.

Wysłaliśmy dziś dużo kartek do Magdeburga pod adresem Komendanta. Rozbili naszą kompanję; podzielono nas alfabetycznie między inne kompanje. Do wojska idzie zgórą 200 ludzi. Kucharzymy z Frenklem w jego izbie, ale jakoś idzie niezręcznie. Dostałem kartkę od Dyzia Krzyczkowskiego z wojska austrjackiego; oni też mają tam za swoje.

Kpt. Gondek przywiózł wiadomość, jakoby zaproponowano oficerom w Benjaminowie powrót do wojska za cenę złożenia deklaracji, że działali nieświadomie i że w... państwach centralnych widzą przyjaciół i jedynych opiekunów Polski, oraz że po wyjściu z obozu nie będą przeciwdziałali w tworzeniu wojska. Ksiądz widać w celach agitacyjnych kolportuje wiadomość, że oficerowie tę ohydną deklarację podpisali. Prawie nikt temu nie wierzy.

13 marca.

Dziś nad ranem odeszli Wehrmachtowcy. Mamy zamiar uchwalić odbieranie odznak pułkowych i brygady tym, co nas porzucają. Ale to przekracza nasze kompetencje. Jest wiadomość, że brygadjer Haller został uwięziony przez Austrjaków; podobno artylerję i tabory odcięto Polskiemu Korpusowi Posiłkowemu.

Niemcy, jak zawsze, ostrożni, zbudowali obok drutów platformę na karabin maszynowy: obawiając się „durchbruchu", choć nie mamy żadnej broni.

Zabroniono nam wyglądać z okien na szosę śniadowską. Kpt. Gondek, jako oficer łącznikowy, odwołany. Zainicjowany został koleżeński 5% podatek na rzecz najbiedniejszych, od kwot nadsyłanych do obozu. Wniosek ten został uchwalony. Janecki otrzymał list od ppor. Kalabińskiego z wiadomością, że idzie do wojska. Powiedziałem o tem Wiktorowi, który list czemprędzej wycofał, aby przedwcześnie nie rozstroić obozu. Głód się szerzy. Czachowski zarósł niemożliwie i opuścił się nieboże: front, wojna nie zniszczyła go tak, jak jeniecka atmosfera.

16 marca.

Kapelan został przez Niemców na trzy dni usunięty z obozu, aby w czasie imienin Komendanta nie urządził nabożeństwa, na które każdyby, nawet najleniwszy, poszedł. Lieberman pojechał do Huszt bronić oficerów P. K. P.; — będzie dziś bronił tych, których niedawno temu w naszym przemyskim procesie gromił: Zielińskiego i innych.

Legjonista Warzyński w swoim czasie uległ agitacji i zapisał się do Wehrmachtu; gdy przyszedł moment odejścia — pod jego nazwiskiem opuścił obóz inny jeniec, a Warzyński się cofnął. Ukarany został przez Niemców aresztem. Idzie do wojska i Uziembło. Kasperowicz pisze do Frenkla, że innej drogi do likwidacji obozu, prócz wojska, niema.

Chłopi na małych zdegenerowanych konikach przywieźli 50 korcy ziemniaków, które będą po taniej cenie rozsprzedane między internowanymi. Niemcy zachęcają nas do powrotu do wojska, „bo już 5 tysięcy Muśnickiego przychodzi do Zegrza, więc nie macie tu celu siedzieć"...

17 marca.

Gotowałem kartofle w kochmaszynie, ale woda szparą wyciekła, ognisko słabe zagasło i ziemniaki trzeba było jeść napół ugotowane; próbowałem je deseczką pomiażdżyć, ale potworzyły się tylko grudki surowe. Trzeba resztę na jutro przechować: gdy się w piecu zapali dokończę gotowania.

19 marca.

Imieniny Komendanta. Teutony surowo zabronili świętować. Dzień śliczny. Niemiaszki mają „pogotowie". Pomimo wszystko, nastrój świąteczny; dusze i serca nasze ożywiają się. Kto ma — wyciąga drogą legunowi podobiznę Dziadka i zawiesza ją na ścianie, obok swego legowiska. Powrócił z urlopu Baczyński i powiada, że teraz

to już nieodwołalnie skończył z wojskiem, bo mu w pociągu skradziono legjonową kartę wojskową z poświadczonemi bitwami, i dowód na prawo noszenia odznaki 1 Brygady z podpisem Komendanta. Jestem pewny, że wolałby brodacz Baczyński stracić cały swój majątek, jaki posiada, aniżeli książkę wojskową I Brygady, która była dlań więcej, niż dyplomem uniwersyteckim.

„Gdzież barwne lampasy, srebrne ostrogi?"

23 marca.

Niemcy zażądali od nas listy pseudonimów; może poszukują oficerów pośród nas?

Wezwany zostałem na naradę Komitetu. Apel Śmigłego — pójść do Wehrmachtu. Przesłał nam tę wiadomość por. Wojsznar. Benjaminów podobno już się zdecydował na powrót do wojska.

Uchwalono wykonać lojalnie rozkaz Śmigłego. Zebranie długo trwało i miało charakter bardzo gorączkowy. Część ułanów sprzeciwiała się powrotowi do Wehrmachtu, a złośliwi mówili, że to dlatego, jako Wehrmacht słaby jest w kawalerję, w konie. Niemcy już wiedzą o wrzeniu w obozie.

25 marca.

Zjechał pan Głuchowski (z Rady Regencyjnej) i ksiądz Bliziński (z ramienia Min. Pracy). Przeczytali nam odpis listu Rady Regencyjnej (Chełmickiego) do Benjaminowa. Pułkownicy: Berbecki i Januszajtis obiecują, że kto nie będzie chciał służyć w wojsku takiem jakie jest, to w ciągu 2 tygodni zostanie zwolniony. Wojsko ma być tylko etapem do cywila.

Niemcy ostrzeliwują Paryż z odległości 120 km.!

28 marca.

Odbyła się znowu rewizja. Niemcy poszukiwali zakazanych fotografij i karykatur. Najwięcej władze niemieckie ścigają kartki z „Głodówką" i „Balem maskowym". Dziś 5-ta kompanja była na tak zwanej superrewizji lekarskiej. Na 78 uznano za zdrowych 63-ch legjonistów.

Widać Niemcy zaniepokoili się naszym dużo-procentowym grawitowaniem do wojska, a doszukując się w tem dalszej jakiejś akcji antiwojskowej — zajęli stanowisko wyczekujące.

Tymczasem badania lekarskie w dalszym ciągu trwają, a kompanje są wzywane nie w kolejności numerów, a to dlatego, aby niektórzy z badanych nie mieli już czasu na zażycie proszków „sercowych".

31 marca.

Rezurekcja o g. 5.30 rano, na wieczorną mszę ubiegłej nocy Niemcy nie chcieli pozwolić. Odbyła się procesja naokoło kościoła. Poczułem nowy przypływ sił — wiosna. Calewski za jakąś awanturę przeciwniemiecką dostał się do aresztu. Dziś dostaliśmy nieco lepszy wikt.

1 kwietnia.

Zabawa w piłkę ręczną, w t. zw. „Szczypiorniaka"; jedni z lepszych graczy, to Brymora i Niewęgłowski. Wiosna w całej pełni.

9 kwietnia.

Przyszła okropna wiadomość. Muśnicki podobno poddał się Niemcom! Dostałem kartkę polową od Ostrowskiego z Odesy, jest tam z austrjackim pułkiem.

14 kwietnia.

Zmarł żołnierz 3 p. p. Leg. na galopujące suchoty. Eksportacja nieboszczyka do cerkwi. Niosło go sześciu kolegów, „pontonami" klekocąc rytmicznie. Ksiądz na cmentarzu miał powiedzieć, że Niemcy się radują, gdy nasi odchodzą w zaświaty...

17 kwietnia.

Na placu koszarowym sport kwitnie: rzucanie dyskiem, oszczepem. Świderski dużo pracuje dla podniesienia sportu wśród nas. Z każdym

Łomża. Gra w „Szczypiorniaka"

dniem coraz mniej przebywamy w koszarach: bo wściekłe pchły gryzą nielitościwie. Wczoraj na jednej ręce naliczyłem 96 ukąszeń.

Przy tej nikczemnej pchlej notatce — trzeba jeszcze i to dodać, że podobno łajdak Czernin ustąpił.

Na dzisiejszym meczu piłki ręcznej są i Niemcy jako widzowie: niektórzy śledzą rozgrywkę z wielkiem zdenerwowaniem i wężowem wyginaniu swego ciała. Zwycięzcom meczu koledzy biją brawa.

27 kwietnia.

Z okna widzę grupkę grających jeńców w loteryjkę, która jakoś się ostatnio rozwielmożniła. Słyszę głosy co pewien czas: „kozak",

„księże buty", „syn ojca przewrócił"; albo: „pół mary do wygrania", „misiać" (co znaczy potrząsnąć numery w mieszku); „dosić", „trzydzieścia" (tak wymawiają legjoniści urodzeni na Litwie). Pocieszne, a obrazowe określanie liczb przez analfabetów uderza wielkiem poczuciem zmysłu spostrzegawczego. Przytoczę szereg tych liczb, a wiec: okulary (8), krzesło (4), nastka (13), kozak (1) księże buty (77), syn ojca przewrócił (69), po cesarsku (25), babcia (90), kurze nóżki (11), w te i nazad (96), merzer (42[1]), garbata familja (33), i t. d.

Łomża — obóz internowanych. Znaczek na Szkoły Chełmszczyzny.

Ktoś krzyknął „obiad" — z loteryjką pobiegł „bankier" na górę po miskę.

Po południu orkiestra szwabska gra w ogrodzie obok. Wśród oficerów niemieckich widać i kapelana. Plotkują, że Dan jest w szkole podchorążych. Frenkiel zwolniony do domu. Komendę objął ogniomistrz Barciński.

Przez druty widzę już od kilku dni długie kolumny wozów chłopskich: to uciekinierzy przymusowi powracają z Rosji.

3 maja.

Msza śpiewana i grana. Na placu koszarowym przemawiał Staszek Sadowski o roku 1791. Sprzedaż znaczka w obozie na szkoły Chełmszczyzny i Podlasia.

9 maja.

Dziś, w biały dzień, przez druty (podwójne rzędy), wśród kręcących się posterunków i przechodzących żołnierzy niemieckich zbiegło dwunastu legjonistów. Pocieszne to było widowisko, jak legun skacząc z górnej linji drutów wyrastał niespodziewanie przez oczyma posterunku, a ten się nie domyślał, że to zbieg; jeden z tych skoczków prawie że się już „wsypał", przewróciwszy się (od skoku) przed nosem przechodzącego szosą Niemca; legun nie traci fantazji i prosi landszturmistę o zapałkę, a ten trochę się zastanowił i zapalił dezerterowi papierosa... Po przeprowadzonym nadzwyczajnym apelu i po stwierdzeniu braku 12 ludzi, szukali Niemcy podkopu, stukając w ściany murów.

[1]) Mörzer — działo 42 centymetrowe.

Z tej bezczelnej ucieczki są porobione przez sprytnych amatorów-fotografów zdjęcia, a Niemcy dalej szukają zbiegłych w kanałach, na strychu i innych zakamarkach. Aresztowano artylerzystę Skrybusia, za uśmiech poprostu: dostał 14 dni ciemnicy. To już nie obóz jeńców, a zdecydowane więzienie. Obiad dzisiejszy składa się z wyki i owsa.

12 maja.

Ogłoszono „niepodległość" Litwy. Ciekaw jestem, kiedy litewska jakaś tam znów „Rada Regencyjna" pojedzie do Berlina!...

Kilku jeńców przystąpiło do kopania podziemnego chodnika wyjściowego na zewnątrz. Przedsięwzięcie okryte rąbkiem tajemnicy. Szczęść Boże w pracy!

13 maja.

Ranny klangor ptactwa budzi mnie ze snu i do spaceru po podwórzu zachęca. Prawosławni (nieliczni) legjoniści przez usta Sumnika zwrócili się do komitetu o interwencję. Jakiś legun z prawosławnego, cerkiewnego ornatu chciał sobie zszyć pantofle. — Uszanowaliśmy uczucia religijne delegacji przez odpowiednie zarządzenie.

Komitet karnie zamknięty będzie do 10 czerwca. Coś mówi się o głodówce. Z 7 drużyny zgłosiło się „na pałę" kilku ludzi gotowych do służby „choćby w armji bułgarskiej". Oczywista, ci ludzie już z głodu gorączkują.

16 maja.

W izbie Wiktora redaguje się pismo do Steczkowskiego. — Jestem na „koncercie" u Kocha: dwoje skrzypiec i gitara rzępoli; znalazła się dla gości (było nas ze dwudziestu) herbata i chleb z marmoladą. Około północy rozległ się strzał. Jeńcy słuchając muzyki w sieni na 1 piętrze, splunęli na stojącego niżej Niemca. Wkroczył do pokoiku naszego patrol i zabrał nam lampę. Rozeszliśmy się po kapralstwach.

19 maja.

Trzepanie sienników i koców. Ksiądz, wracając z kościoła złorzeczył leżącym, nagim prawie legunom, że w kościele nie byli. Wiara na to: „Za drutami są pobożni, a nam tu pozwolą w niewoli siedzieć". Ksiądz na to: „właśnie trzeba się modlić, to Pan Bóg waszą niewolę skończy". Jeden z wylegujących się żołnierzy wtrąca swe słowa: „Cóż Pan Bóg zrobi, kiedy Beseler nas nie wypuści?"...

Ksiądz splunął i skończył rozmowę. Dzień upalny. Niemcy nie pozwalają roznegliżowanym chodzić po placu. Kwitną akacje. Jakiż zapach silny! Głód bardzo doskwiera.

Rozmawiałem z żołnierzem niemieckim — Polakiem toruńczykiem; miły chłopak z ślicznie sklepioną czaszką; gdym się zdziwił, skąd tak poprawnie po polsku mówi, — odpowiedział: „matka mnie uczyła, po polsku umiem lepiej, niż po niemiecku", — „Toruń, proszę pana, Oliwa, Gdańsk, to wszystko polskie. W Gdańsku są jeszcze słupy graniczne polskie". — Patrjota-toruńczyk zakończył: „Wcześniej czy później Polska swoje odbierze".

24 maja.

Dziś znów rewizja. Wyprowadzono nas na podwórze, a tymczasem grzebano w naszych rzeczach na górze. Wzrok Niemca adjutanta ślizga się po naszych nędznych plecakach, walizeczkach: szuka „zatrutych", jak powiada, przeciwniemieckich druków.

26 maja.

Julek wspiął się po mnie i narwał zczerniałego, przeszłorocznego nasienia akacji, — gryzł je i mnie częstował. Rozchorowaliśmy się obaj „na akację": jakieś nieznośne boleści!

Podobno odbyło się w Warszawie zebranie gabinetu w naszej sprawie: co też z tego będzie? Muśnicki istotnie rozbrojony. Grabski aresztowany.

30 maja.

Święto Bożego Ciała. Na rannym apelu znów brakło jednego leguna! — Niemcy, oczywista, wściekli, że nie mogą przeciwdziałać ucieczkom. A prace nad podkopem nie ustają. Dowiedziałem się, że chłop wjeżdżający beką asenizacyjną do obozu, pod siedzeniem wwozi wielki bochen chleba i sprzedaje go wtajemniczonym: głodni nie przejmują się tem, czy chleb jest czysty! — A jednak jabym tego chleba do ust nie wziął. Przeczytałem w „Dzienniku Wspólnym" ogłoszenie oficera ex legjonisty, proszącego o ubranie cywilne... Polska tak duża i bogata, a oficer Jej obdarty prosi o ubranie... — Inna sprawa, że mógłby ten pan nie robić nam takiej reklamy.

5 czerwca.

Sierżant Orek całemi dniami, prawie omdlały z głodu, leży pod ścianą goły i wygrzewając się czeka na peluszkę obiadową. Dosta-

łem komunikat informacyjny o 4-dniowej bitwie Korpusu II-go polskiego z Niemcami. Straty duże po obu stronach.

Jeden z żołnierzy mej drużyny na czytanej książce pod tytułem „Od niewoli do wolności" — skreślił ostatni wyraz i poprawił na: „Od niewoli — do niewoli"... — Biedakowi uśmiecha się swoboda, marzy o niej. Jutro w obozie obchodzić będziemy 100-letnią rocznicę śmierci jen. Dąbrowskiego.

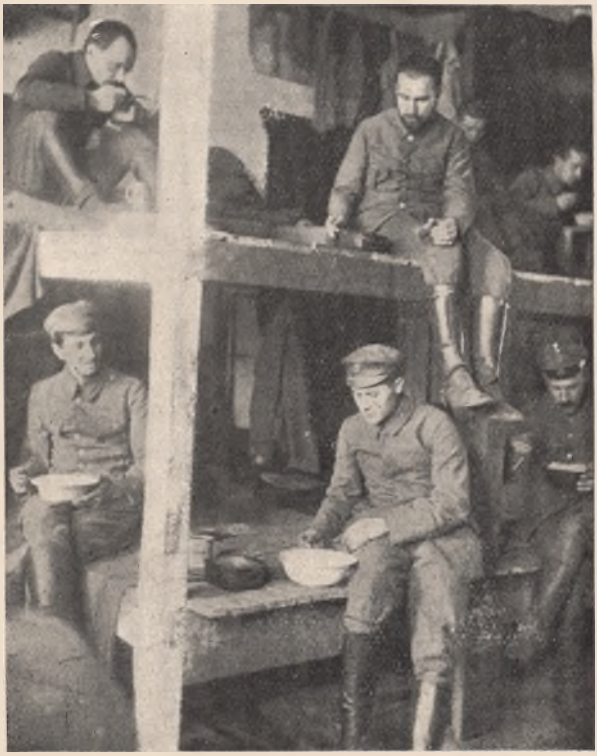

Łomża — wnętrze izby jenieckiej.
Na pryczy I-go piętra siedzi ppor. Koc Leon

6 czerwca.

O 1 rano obudził mnie strzał karabinowy i krzyki „halt", „halt". To dwaj jeńcy uciekali niefortunnie; jeden z nich zdołał się w porę wycofać do koszar, zgubiwszy po drodze pantofel, — drugi został złapany między drutami. W obozie alarm. Sprawdzanie przez „patronów" kompanijnych — Niemców, kogo brak. — Rano Niemcy poszukiwali w koszarach pojedyńczego pantofla, chcąc dojść do ustalenia w ten sposób nazwiska niedoszłego uciekiniera. Obchód Dą-

browskiego został zabroniony. Rękami legjonistów (ironjo losu!) szwaby zadrutowali, na wszelki wypadek, okna parteru. Pomysłowe leguny przygotowują ucieczkę przez łaźnię. Naprawdę, wielu ucieka nie dlatego, że mu zależy na tej ucieczce, ale poprostu aby Niemcom dokuczyć i samemu bawić się w hazard: przecież może być zastrzelonym.

11 czerwca.

Ma się odbyć przegląd mundurów. Internowani liczą na wymianę zniszczonego ubrania, więc dla większej pewności pogarszają stan odzieży, aby mieć większe szanse wymiany. Oficer i krawiec dali tylko wskazówki do reperacji i — sporo łat, oraz kilkanaście igieł i pasma konopi. Przebiegli leguny, jak niepyszni, zaszywali z powrotem swieże potargania swych kiedyś świetnych mundurów!

13 czerwca.

„Opuściła szapirograf" jednodniówka „Monitor odrutowany". Jest w tem pisemku dużo humoru wisielczego. Koca nazywają „Jezuskiem obozowym". — I mnie tam zaczepiają. Dobre są przysłowia w „Monitorze": „Trafił jak legun do Szczypiorny" — „Wyszedł jak Mościcki na przysiędze"...

15 czerwca.

Adjutant obwieścił Barańskiemu, że transporty nasze „do wojska" odejdą wkrótce. Odbywa się selekcja tych, co są fizycznie zdolni do służby wojskowej (K. V.).

17 czerwca.

Jestem świadkiem w sprawie honorowej 2-ch sierżantów. Jeden z nich chciałby zmierzyć się z przeciwnikiem na długość szpady. Jakże tu się pojedynkować, skoro brak jakiejkolwiek broni. — Mają się bić po wyjściu z obozu.

25 czerwca.

Jaroszewicz coś nagadał lekarzowi, który nie chciał go uznać chorym i Niemcy mu długoletniem grożą więzieniem.

Odwrót Austrjaków z nad Piave. — A może i pludrów na zachodzie stłuką! Daj Boże.

2 lipca.

Likwidacja obozu postępuje spiesznie. Za kilka dni jedziemy do Ostrowia, a stamtąd może do cywila!

Pierścionki pamiątkowe srebrne przygotowane. Z listy „wojskowej" skreślony został ktoś urodzony w Zwierzyńcu Lubelskim. Nie może on służyć w Wojsku Polskiem, bo Zwierzyniec, to.... Ukraina! — wysoko posunięta lojalność do hajdamaków.

12 lipca.

Exodus z Łomży. Idziemy z czystem czołem naprzód, gotowi życie oddać za Ojczyznę. W jakąkolwiek świtkę pierś osłonimy — serca nasze biją tylko dla Polski, jedynie dla Polski!

Wacław Kobyłecki

WSPOMNIENIA ZE SZCZYPIORNY I ŁOMZY

I. Przysięga.

Wiosną 1917 roku wszystkie oddziały legjonowe, a więc zarówno z frontu, jak i etapów, porozrzucanych po całym kraju, zostały skoncentrowane na terenie okupacji niemieckiej, celem podporządkowania ich władzy wojskowej niemieckiej. Całość miała nosić nazwę „Polskiej siły zbrojnej" (Polnische Wehrmacht). Oddziały i poszczególne formacje stały w Ostrołęce, Zambrowie, Ostrowie, Zegrzu. Przydzielono nam instruktorów niemieckich i rozpoczęto ćwiczenia według systemu armji niemieckiej.

Już w owym czasie pozbawieni byliśmy faktycznego i duchowego wodza Piłsudskiego, który świadomy swoich dążeń i celów opuścił wojsko i zamieszkał w Krakowie.

Aliści rozłaka ta była tylko pozorna, bowiem ani na moment nie traciliśmy kontaktu z naszym duchowym przewodnikiem.

Kiedy byliśmy już na dobrej drodze do całkowitego przyswojenia sobie wszystkich arkanów niemieckiej sztuki wojennej, poczęto sobie szeptać na ucho, że „coś się poczyna psuć w państwie wehrmachtowem", że Niemcy liczą się z potrzeba zrewidowania swego stosunku do formacyj legjonowych, że nie maja najmniejszego zaufani do naszej w stosunku do nich lojalności, że zamierzają odebrać od nas przysięgę, a potem wysłać nas na front francuski i t. d *). Rzecz prosta, że w tym stanie rzeczy, orjentacja nasza i stanowisko były jednolite i w żołnierskiem ujęciu bardzo proste:

*) Zastrzegam się co do wierności historycznej powyższych twierdzeń, gdyż nie kuszę się o to w swojem opowiadaniu. Zbyt daleko stałem od sfer kierowniczych, bym miał co do tego informacje miarodajne. Zamierzam tylko oddać, możliwie wiernie, nastroje, panujące wśród szarej braci żołnierskiej. Zastrzeżenie to rozciągam na całe moje opowiadanie.

— Żadnej przysięgi! Nie pójdziemy nigdzie i — koniec.

Atoli czynniki, nie sprzyjające orjentacji I brygady, natomiast forsujące koncepcję nietylko utrzymania status quo, ale dążące do wyhodowania na gruncie „Wehrmachtu" wspaniałego kwiatu przymierza polsko-niemieckiego i płynących stąd bajecznych horoskopów co do przyszłości narodu polskiego, — nie ustawały w wysiłkach, aby zniweczyć jednolitość naszego stanowiska, zmącić naszą orjentację i udaremnić wszelkie nasze „wichrzenia".

Zambrów. Przeszkolenie przez Niemców. Pułk. Śmigły rozmawia z gen. Barthem, za którym stoi pułk. Januszajtys i pułk. Szeptycki

Jakoż w tej atmosferze zdenerwowania nie brakło głosów, potępiających polskie warcholstwo, siejących zamieszanie i dezorjentację, ostrzegających przed zgubnemi następstwami nieobliczalnego, a szalonego czynu.

Nie można nie przyznać, aby te głosy przebrzmiały bez echa. Znajdowały one częściowo posłuch wśród niezdecydowanych słabych duchem, albo zgoła zdeklarowanych przeciwników idei przeciwstawiania się rozkazom swoich nowych władz.

W przeddzień ceremonji przysięgi, rozdzielono nas na 2 grupy: królewiaków i „franciszkanów" t. j. poddanych państwa austro-węgierskiego. Tych ostatnich czekał inny los i dlatego nie brano ich

w r a c h u b ę. Nas (królewiaków) spisywano w olbrzymiej ilości egzemplarzy, sprawdzano broń i inne rekwizyta cesarsko-niemieckiego pochodzenia. Dość, że czas mieliśmy urozmaicony.

Nie pozwolono nam się nudzić i spędzać bezczynnie czasu na głupiem politykowaniu, zresztą bez żadnej dla nas straty, bo polityka nasza była krótka i węzłowata: nie!

Nadszedł dzień 13 lipca. Dzień ładny, więc wesoło i raźno na duszy. Nad wszystkiem przemaga ciekawość: jak to będzie.

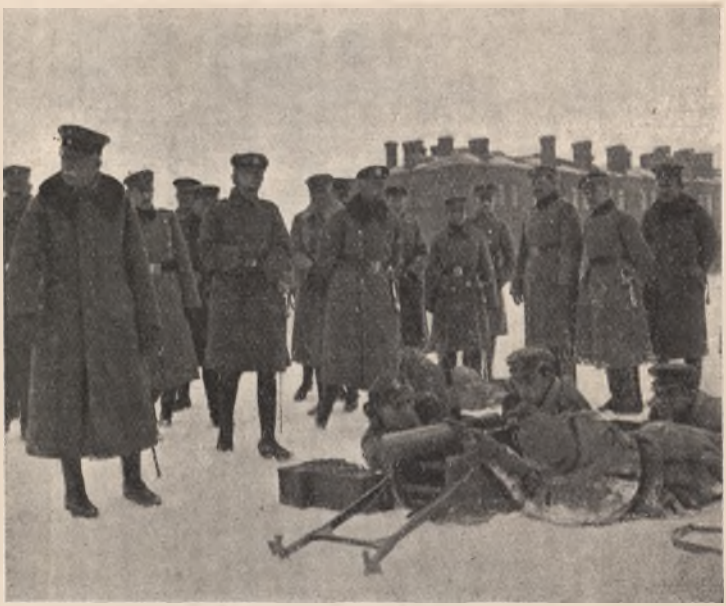

Zambrów. Na pierwszym planie gen. Barth

Ale cokolwiek będzie, to głupstwo, bo idziemy kupą. Tak powiedziane.

Czujemy za sobą jakąś ogromną siłę. Nikt o tem nie mówi, ale wszyscy czują, skąd ona pochodzi. To — jeden człowiek. Dla nas to wystarczy.

* * *

Przysięga nie została złożona.

Droga do Szczypiorna była wolna...

* * *

— Wiecie co, chłopcy, niepodoba mi się ten interes. Te ..... syny nas pewnie do Prus wywiozą. Nie bądźcie frajerami, Trzeba wiać póki czas.

Pociąg posuwał się wolno. Cudowny zachód słońca, które ostatnie blaski rzucało na dojrzewające łany zbóż w okresie przedżniwnym. Spędzano z pastwisk bydło, które pozostawiało za sobą na drodze tumany kurzu.

Jak nigdy, odzywa się tęsknota za swobodą. A ta swoboda tak blisko! Tylko jeden zręczny skok i uważać, żeby nie na kamienie, a na piasek, lub trawę.

Co będzie potem? Tymczasem nikogo o to głowa nie boli.

Przytem pociąg posuwa się tak wolno... Słońce zaszło.

— No, serwus, stary. Nie zgub mi plecaka, bo tam mam ważne rzeczy. Jeżeli mi się uda dostać do domu, to dam znać twoim, że żyjesz i żeby się o ciebie nie martwili. Do widzenia!

— Czekaj, nie spiesz się. Pociąg teraz za prędko idzie. Skręcisz kark. Złap się prawą ręką za ten pręt... powoli... czekaj, przytrzymam cię... jeszcze nie... no teraz... tylko skacz naprzód...

— Dobra!

Jedna sylwetka zginęła w ciemnościach.

— Wiecie co, — zwracam się do sąsiada, — musimy i my wiać. Będziemy przejeżdżać przez Bednary. Mam tam w pobliżu rodzinę. Dostaniemy się do nich i jakoś ukryjemy. Będziemy, powiedzmy, spełniać rolę fornali. Tak, chociaż tydzień, dopóki się nie uspokoi. A potem powędrujemy dalej.

— Ano, dlaczego nie. Spróbować można. Cóż mamy do stracenia.

Przykucnęliśmy w kąciku. Przy takim tempie jazdy, możemy tam być za 2 — 3 godziny. Sen klei powieki. Dobrze się przespać choćby 2 godziny.

* * *

— Wstawajcie, mamy dostać śniadanie.

— Jakie śniadanie? Po co?... Zaraz... Czy to Bednary? Która godzina? Gdzie Sowiński?

— Sowiński śpi. A Bednary przejechaliśmy od świętej pamięci. Jest piąta rano.

Oprzytomnieliśmy. Z miną skruszonych synów marnotrawnych zgłaszamy się do kolegów z prośbą o zwrot rozdarowanych insygniów żołnierskich, plecaków z ich zawartością i wszelkich akcesorjów, któreby mogły zdradzić podczas ucieczki nasz związek z wojskiem.

— No i cóż? — zwracam się do Sowińskiego.

— Ano, nic. Niech się dzieje wola Boża.

* * *

Wysiadamy. Długa kolumna maszeruje. Kieruje wzrok w stronę naszej nowej „siedziby".

Duża, kilkudziesięciomorgowa przestrzeń, zabudowana szeregiem niskich, długich baraków. Całe miasto z prawidłowo wytkniętemi ulicami. Miasto, otoczone kilkoma rzędami drutów kolczastych.

Miasto powolnego konania z głodu. Miasto niewoli.

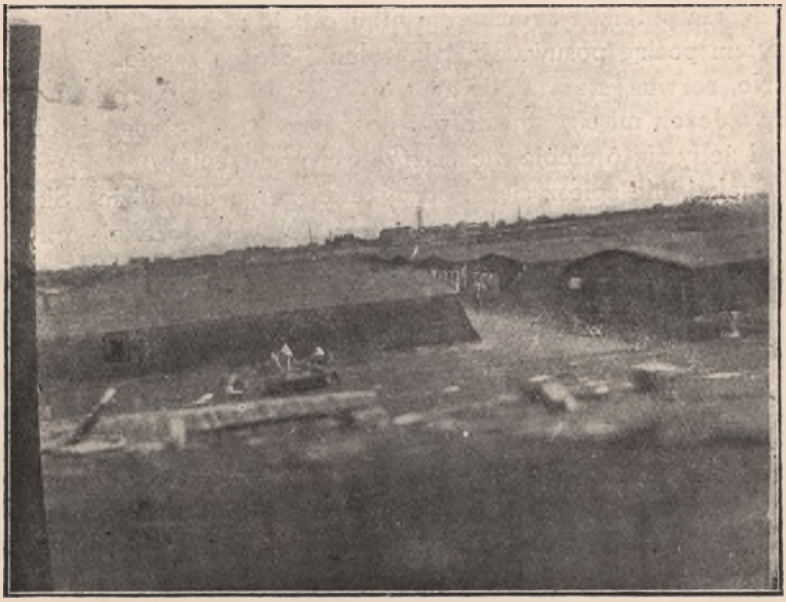

Szczypiorno. Ogólny widok baraków

II. Szczypiorno.

Dochodzimy. Rozeznajemy już sylwetki tamtejszych mieszkańców. Jakieś, szaro-ziemiste, wychudłe widma. Byli kiedyś ludźmi. Dziś na szkieletach tych ludzi zwieszają się luźno szczątki ubrania.

Jeńcy rosyjscy.

Brama przed nami gościnnie się otwiera.

— Coście wy za jedni? — pytają ciekawie poprzez druty sąsiedniego bloku Rosjanie.

— My jesteśmy Polacy. Wojsko Polskie — odpowiadamy po rosyjsku.

Spojrzeli po sobie. Zdumienie. Obserwują nas. Szepczą: „I po ruski goworiat".

— Ej, kak eto wy Polaki? I po ruski goworitie. Znaczit wy Awstryjcy?

— Nie.

— A powiedzcie nam, skąd wy po rosyjsku mówić umiecie? Nie możemy się w tem jeszcze zorjentować.

— A bo przecież my wszyscy z tej części Polski, co do waszego batiuszki należała. Wielu z naszych w rosyjskiem wojsku służyło.

— Udiwitielno... udiwitielno...

Wszystko to pięknie, radby człowiek naiwnie sobie pogadać z niedawnym swoim przeciwnikiem, ale głód dokucza, bo poza śniadaniem w Zgierzu i wiśniami na stacji w Kaliszu nic się w ustach nie miało. Zwracamy się do komendy obozu. Oświadczają krótko, że jesteśmy dopiero od jutra w ewidencji.

— Mniejsza o ewidencję, ale jeść dawajcie!

— Powiedziano, że jesteście od jutra w ewidencji.

— Więc jakto, nie dostaniemy dziś nic?

— Nic.

Cóż w takiej sytuacji nawet najzaradniejszy legun poradzi? Tu nawet „zafasować" kury nie można. Nietylko kury, ale żadnej rzeczy, która jego jest.

Niema nic, tylko goła ziemia, puste baraki i naokoło druty. Sam Zagłoba nicby nie wymyślił. Jedyna pociecha, to zakląć siarczyście i czekać zmiłowania.

— Ej, pany, poczekajcie, my tu dla was coś skombinujemy. To długo nie potrwa.

— A co takiego?

— Ano, zobaczycie. Dużo nie damy, bo sami nie mamy. Ale jak się jeść chce, to i to dobre. My to wiemy, bo tu już prawie 3 lata z głodu umieramy. I tak jeszcze tu sobie z naszych porcyj odkładamy skromne zapasy. Na wszelki wypadek. Ot, jak raz, dzisiaj przydało się.

Jakoż istotnie w ciągu kilkunastu minut zjawił się kocioł dymiący, niesiony uroczyście przez zataczających się z wycieńczenia, wynędzniałych z głodu żołnierzy rosyjskich.

Na ziemistych twarzach widać było napoły dumę i zadowolenie, wypływające ze świadomości spełnienia koleżeńskiego czynu, napoły prostą bezpretensjonalność, właściwą dobremu chłopu rosyjskiemu.

— Ot i jest! Prosimy, kto bardzo głodny, niech podstawi miskę. Chleba nie mamy, ale zupą służymy. Jedzcie koledzy.

Ustawiono się, jakby to teraz powiedziano, w ogonku. Zupę nalewało dwóch Rosjan równocześnie, to też ogonek szybko posuwał się naprzód.

Nalano i mnie tej... nazwijmy to „zupą", bo dotąd nie wiem, co to było. Kolor miało biało-fioletowy. Bardzo płynne, bez żadnych do-

mieszek. Nie było bardzo dobre... I ten kolor taki podejrzany... A może chcą nas otruć?...

Jakkolwiek g ł ó d, — to najlepszy kucharz, ale jakoś apetyt nie przychodził.

Spostrzegli to Rosjanie. Przykro im się zrobiło. Przecież oni to sobie od ust odjęli. Przecież gdyby im to wypadało, to w okamgnieniu pochłonęliby całą zawartość tego kotła. Serce ich zaofiarowało nam tę zupę, ale organizm ich tej zupy pożądał. Oni nie mają nic lepszego, bo napewnoby dali. To dostają od Niemców i to zaoszczędzili „na wszelki wypadek".

A dlaczego my tego jeść nie chcemy?

Ich smutny wzrok nas o to pytał, choć słowa tego nie powiedziały. Przestali nalewać i oczy w ziemię utkwili.

Wreszcie jeden z nich, z boku stojący, odezwał się:

— Nie smakuje?... My, wprawdzie do tego już przyzwyczailiśmy się, choć, zdaje się, to naprawdę nie jest dobre. Ale radzimy zjeść. Musicie się do tego przyzwyczaić. Nic lepszego tu nie dostaniecie. Jeszcze i żaby jeść będziecie.

Zupa została momentalnie wypita (zęby, ponieważ nie miały tu nic do roboty, — dostały urlop).

Naprawiliśmy krzywdę, wyrządzoną towarzyszom niedoli, choć nie danem nam było zrewanżować się tym najwięcej maltretowanym żołnierzom świata, o których nikt się nie troszczył. Nie byli już nikomu potrzebni.

— Co to oni gadali o tych „laguszkach" — pyta mnie leżący obok na posłaniu żołnierz, — to chyba nieprawda. Podobno wielcy panowie to jadają żaby, ale jabym tego do gęby nie wziął. Takie świństwo... brr...

Ale skądby oni tyle żab nabrali?

Powoli obóz się napełniał. Zjawiły się w całości pułki 1, 2, 4, 6 piechoty, 1 kawalerji i artylerja. W ciągu kilku dni odszukaliśmy się wszyscy. Nie brakło i oficerów, którzy dla sprawy dobrowolnie podzielili nasz los. Kapitan Zosik-Tessaro, porucznik Koc, Orlicz-Dreszer, Grzmot-Skotnicki, kapitan doktór Kołłątaj, porucznik Ostrowski i wielu innych. Zmieszani z szarą bracią żołnierską świecili przykładem, podtrzymywali ducha i zachęcali do wytrwania.

Pułki rozlokowały się po blokach, sąsiadujących z sobą, a odgrodzonych od siebie jednym rzędem drutów.

Za mała to była przeszkoda, aby nie nawiązano sąsiedzkich stosunków przez wyrobienie całkiem wygodnych przejść pomiędzy drutami.

Nie było i to potrzebne, albowiem wzdłuż wszystkich bloków mieliśmy obszerną promenadę, z której było wejście do każdego oddziału.

Przy tej właśnie alei, stał „gmach", który mieścił najważniejszą instytucję — kuchnię i s k ł a d prowiantów, dla nas przeznaczonych.

Najbliższymi naszymi sąsiadami byli z jednej strony Rosjanie, zaś z drugiej (od strony Skalmierzyc) nieliczni Francuzi i Anglicy.

Zorganizowaliśmy się odrazu. Nie straciwszy zupełnie swoich odrębności pułkowych, wybraliśmy własne władze autonomiczne, które zastępowały nas w stosunkach z komendą obozu. Nie potrzebuję dodawać, że żadnego z tych stanowisk nie przyjęli na siebie obecni w obozie oficerowie, którzy dla zrozumiałych względów zachować musieli ścisłe incognito.

Wybrano delegatów do sądu koleżeńskiego, do spraw gospodarczych. Całość ogarniał wybrany przez nas komendant, którego zresztą i władze niemieckie uznawały.

Stanowisko nasze w obozie było odrazu wyraźnie postawione. Nie uważamy się za jeńców. O tem, żeby nas używano do jakichkolwiek robót, jak to było z jeńcami rosyjskimi, nawet Niemcom do głowy nie przyszło. Bo któżby zresztą dał sobie radę z takim niesfornym narodem, jak legjoniści.

— Pierwszy raz widzę takich jeńców — mówił kilkakrotnie zaambarasowany, brodaty niemiecki feldwebel, który miał powierzoną pieczę nad naszą „gromadką".

Bo też to kłopot nielada dla takiego prusaka, który wogóle nie wie, ilu ma jeńców.

Jakiego tłumaczenia użyje przed swoją władzą?

Czyżby rachować nie umiał? Nie byłby przecież został feldweblem.

Więc jak? Dlaczego nie wie?

— Bo takich jeńców jeszcze nigdy w życiu nie miał.

Najważniejsza rzecz, że nie umie się nigdy obliczyć z prowiantem. Bo proszę sobie wyobrazić, że w nocy ktoś uciekł, a rano liczba „jeńców" przybyła.

Niemało z tem ma kłopotu „nasz" major, poczciwina staruszek, który stara się nam naszą niedolę złagodzić. Jest nam życzliwy, bo i w nim polska krew płynie. I to nie byle jaka. Jest podobno (jak twierdzi) wnukiem siostry króla Stanisława Leszczyńskiego.

Nie darmo o tem wspomina, bo istotnie, gdzie może, tam nas broni.

Szczególnie przed głównym komendantem całego obozu, którym jest podpułkownik Graf von Oenhausen.

Zasłużony, bo nie przypadkowo znalazł się na liście zbrodniarzy niemieckich, których wydania domagała się koalicja.

Gorliwa szelma i zaciekła. Nienawidzi nas.

Ale bo to z nami dasz sobie radę, bratku?

Właściwie radę sobie daje, bo morzy nas głodem. Wydziela takie racje, że może obliczyć nasze istnienie na 2 miesiące.

Zrobi z nas to, co zrobił z jeńcami rosyjskimi. Będzie dawał na śniadanie po kawałku chleba, na obiad brudną wodę (zupę) i na kolację brudną wodę. Ten brud w wodzie pochodzi naprzykład z wygotowanych liści buraczanych.

Ale to nic — wytrwamy.

Przecież chyba społeczeństwo o nas się upomni.

Jeżeli to będzie niemożliwe, to przynajmniej z głodu nie pozwoli umrzeć.

Francuzi i Anglicy, pozatem, że się nudzą, nie odczuwają, że są w niewoli. Dostają co tydzień paczkę z prowiantami od rządu, drugą od licznych komitetów w swoim kraju. Od Niemców nie biorą nic.

To ich upoważnia do okazywania swoim aniołom-stróżom pełnej pogardy.

Nie mają wogóle ochoty wdawać się w rozmowy z Niemcami. Są dobrze ubrani i palą dobre cygara. Do Niemców odwracają się tyłem.

A my? My coprawda to samo robimy. Ale... jesteśmy głodni. Pomimo to śpiewamy. Cudowny letni wieczór i noc gwiaździsta rozbrzmiewają pieśnią legjonową.

Słuchają nas Francuzi i Anglicy z sąsiednich oddziałów. Biją brawo. Nie rozumieją słów:

„Nie chcemy już od was uznania,
ni waszych słów, ni waszych łez
skończyły się dni kołatania
do waszych serc . . . . . .

ale biją brawo, bo podoba się im nasz śpiew, który dalekiem echem odbija się o wieże Skalmierzyc i ginie wśród równych pól Szczypiórna.

Cudowna, ciepła i cicha, gwiaździsta noc lipcowa...

Piłsudski aresztowany! Wiadomość ta spadła na nas, jak grom z jasnego nieba. Już teraz znikąd nadziei, ani pomocy. Już chyba tylko cud uratować sprawę naszą może. Ta beznadziejność położenia, osamotnienie nasze i naszej idei, świadomość swojej bezsiły przyprawiały nas o udrękę moralną, stokrotnie gorszą, aniżeli wszelkie dolegliwości fizyczne, spowodowane głodem i niewolą.

Pod tym względem nastąpiła pewna poprawa, bo zawiązany Komitet w Kaliszu, począł wysyłać nam prowianty w postaci chleba, kartofli i kapusty.

W tych warunkach nieco dłużej wytrzymamy, choć myliłby się ten. ktoby myślał, że w ten sposób widmo śmierci głodowej zostało usunięte. Zostało tylko odłożone jeszcze o parę miesięcy.

Zaraz w początkach naszego pobytu w Szczypiornie umarło kilku żołnierzy. Szczupła gromadka kolegów odprowadziła nieboszczyków pod eskortą na cmentarz wojskowy.

Komitet kaliski

Ostatniej posługi udzielał ksiądz ze Skalmierzyc. Żołnierzy naszych grzebano w rozmaitych miejscach cmentarza. Zwrócono się tedy do księdza aby wyjednał u Niemców wyznaczenie jakiegoś oddzielnego kącika na cmentarzu dla naszych żołnierzy, by ich razem grzebano.

Już po następnym pogrzebie ksiądz mógł się pochwalić odniesionym sukcesem i z uradowaną twarzą oświadczył swoją gwarą poznańską:

— No, więc to już mom obiecane, że ten placyk będzie ino dla was.

„Placyk" ten mógł być pośmiertnem schronieniem conajmniej dla tysiąca osób.

Dziękujemy, za dobre chęci i... miłą dla nas perspektywę.

Nie było więc dnia, aby nie próbowano ucieczek. Trudna to była sprawa, ale dla legjonistów nie beznadziejna.

— A co mam do stracenia — mówił jeden i drugi, czy tu mnie djabli wezmą za miesiąc, czy jutro kulą dostanę. Jedno licho. A może się uda.

Do takiej ucieczki trzeba się było zabrać wieczorem. Musiało sie pełzać pod kilku rzędami zasieków, miejscami przecinać druty, godzinami leżeć bez ruchu, przywarłszy do ziemi, a w żadnym wypadku nie można było poruszyć nieostrożnie drutów, by nie wywołały dzwonienia pozawieszanych blach i całego asortymentu pudełek.

A jednak przed wschodem słońca trzeba było już być po tamtej stronie.

Pełzać można było tylko wówczas, kiedy się miało przed sobą wartownika tyłem odwróconego, podczas jego bezustannego spaceru.

Zdarzało się jednak, że uciekinier dostał się do ostatniego rzędu drutów, kiedy wschodzące słońce zdradzało jego obecność w tem zgoła niewesołem położeniu.

Wówczas nie mający wyjścia desperat, nie zachowując żadnych środków ostrożności, poprostu wstawał i rzucał się do ucieczki w oczach przerażonych landszturmistów. Ci początkowo baranieli, lecz ochłonąwszy z chwilowego osłupienia przypomnieli sobie o konieczności strzelania za uciekającym. Tu jednak nie przewidywali, że zostaną zaatakowani kamieniami i przeraźliwem wyciem zgromadzonych na dachach swoich niskich baraków legjonistów. Wartownicy mierzyli kolejno z karabinu, to w uciekającego, to w poszczególne grupy nasze na dachu, które każde takie celowanie spotykały bezczelnym chóralnym śmiechem.

Skończyło się na tem, że zdenerwowany stary szwab strzelił kilka razy na chybił trafił w kierunku uciekającego, chociaż go w zbożu widać nie było.

Nie umniejsza to w niczem odwagi uciekającego, że zwykle tego samego dnia wieczorem sprowadzono go z powrotem do obozu, karząc go kilkunastodniowem zamknięciem w ciemnicy na urzędowym wikcie, co bodaj było najdotkliwszą karą.

Wówczas to aresztant, pozbawiony dodatków komitetowych, jadał historyczne szczypiorniańskie zupy, urozmaicane od czasu do czasu smakiem wygotowanych „laguszek", które nie były zwykłemi żabami, ugotowanemi w całości w zupie, jakby to sobie ktoś nieświadom rzeczy mógł wyobrazić.

Były to jakieś ślimakowate twory morskie, posiekane na kawałki wielkości fasoli, zasuszone i obsypane sproszkowaną substancją niewiadomego pochodzenia. W tym stanie wygląda to bardzo niewinnie. Tragedja zaczyna się dopiero po ugotowaniu. Sproszkowana substancja niewiadomego pochodzenia znika, zaś w „zupie" pozostaje ob-

ślizgła przeźroczysta galareta. Rzeczą indywidualną jest sądzić o smaku tego wyszukanego, a niepospolitego dania.

Drugą specjalnością szczypiorniańską jest dużych rozmiarów, śmierdząca ryba, którą przed skonsumowaniem trzeba obedrzeć ze skóry, poczem gotować tak długo, iżby w odpowiedniej temperaturze wyginęły znajdujące się w niej bakterje.

W dniu, kiedy na obiad gotowano tę rybę, promenada świeciła pustkami, albowiem w promieniu stu metrów od kuchni nie można się było pokazać bez maski gazowej, ażeby tej śmiałości chorobą nie przypłacić, albo zgoła na wieczną utratę powonienia się nie narazić.

Szczypiorno. Ruch obozowy

Zaobserwowana przezemnie scena utwierdziła mnie jednak w przekonaniu, że zapach ten nie na wszystkich działał zabójczo. Trzeba było tylko być bardziej głodnym, niż to o sobie powiedzieć mogliśmy.

W czasie przyrządzania ryby ośmiu jeńców, Rosjan, przyciągnęło pod naszą kuchnię wóz z węglem. Ludzie, którzy słaniali się jak widma, przyciągnęli wóz z ciężarem. Kiedy część z nich zajęta była znoszeniem węgla, jeden z pozostałych szybko doskoczył do leżącej obok kupy śmieci i wszelkiego rodzaju odpadków kuchennych. Nachylił się i szybkim ruchem wyciągnął stamtąd skórę, przed chwilą zdartą z ryby i wyrzuconą na śmietnik. Otrzymał cios kolbą karabinu i upadł. Pewnie tej skóry już nie zjadł.

My jednak, jak powtarzam, otrzymywaliśmy coś niecoś z Kalisza. Niewiele, ponieważ na więcej nie stać było Polski. Zawsze to zgórą 3000 darmozjadów, którzy tylko zabagnili sprawę polską. Ten i ów otrzymywał paczki z domu. Ale to wyjątki. Reszta śpiewała, jak

zwykle, wieczorami. Inni urozmaicali sobie czas, każdy na swój sposób. Zorganizowano wykłady z różnych dziedzin nauki. Urządzano widowiska na zaimprowizowanych scenach. Byli jeszcze tacy siłacze, którzy popisywali się walką francuską. Asystował na tych przedstawieniach poczciwina major, który tak się cieszył, jakby nic lepszego w życiu nie widział. W niedzielę ksiądz ze Skalmierzyc odprawiał nam nabożeństwo.

Wszystko to nie mogło jednak odegnać od nas myśli o naszem odosobnieniu w społeczeństwie. Powodzenia Niemców na froncie zachodnim rozzuchwalały ich. Codziennie prowadzono do obozu ogromne ilości jeńców rosyjskich.

Ryga wzięta! Wiemy o tem nie z gazet, których nie otrzymujemy. Dowiadujemy się tego od trjumfujących Niemców, którzy dekorują chorągwiami budynek komendy obozu. Zaczęto stosować wobec nas obostrzenia. Powybierano z pułków wszystkich podoficerów i umieszczono ich w osobnym bloku, aby nie oddziaływali na żołnierzy w duchu nieprzyjaznym dla Niemców. Dzięki zdradzie jakichś ciemnych indywiduów z pośród żołnierzy zdemaskowano obecnych w obozie oficerów i stopniowo wywożono ich do Westfalji (Werl).

Wreszcie Niemcy, ufni w swoją siłę, skasowali blok podoficerski.

Zjawił się w obozie ksiądz legjonowy Kwapiński i oficer Mokłowski, który miał utrzymywać łączność pomiędzy nami, a Komendą Legjonów, względnie Tymczasową Radą Stanu.

Odwiedzał nas w tym czasie książę Sapieha. Potem znów jakaś pani. Oglądali nas, współczuli i pocieszali. Potem odjeżdżali.

W naszej niedoli nic się nie zmieniło.

Ucieczek nie zaprzestano. To przyprawiało Niemców o wściekłość. Kilkakrotnie „traktowano" z nami w sprawie przyszycia numerów. Do niczego to nie doprowadzało, bowiem wnet wytłumaczono Niemcom, że nie wypada im plamić munduru swojego niedawnego sprzymierzeńca, jakkolwiek role obecnie nieco się zmieniły.

Niemcy jednak w ciągu kilku dni rozmyślili się i zkolei zaczęli nam tłumaczyć, że żadnej to hańby nie przynosi, że to tylko dla porządku i obopólnej wygody, że robią duże ustępstwo, nie zmuszając nas do przyszywania numerów ani na plecach, ani na piersiach*), a zwyczajnie na lewym rękawie.

Oczywiście w tej formie przemawiać mógł do nas tylko zacny major z zawartością królewskiej krwi polskiej. Biedaczysko miało wy-

*) Duża ilość legjonistów, obok odznaczeń austrjackich, była udekorowana żelaznym krzyżem niemieckim. Niezręcznie więc było Niemcom dekorować legjonistów obok orderu żelaznego krzyża, orderem niewoli.

raźny rozkaz grafa Oenhausena, aby numery nam przyszyć, ale chciał to zrobić elegancko.

Było nam niewypowiedzianie przykro nie zastosować się do jego prośby, ale nie mogliśmy się na żaden sposób z tem pogodzić.

To też kiedy sprawa się nadto długo przewlekała, zaś my ofiarowanych nam numerów nie przyszywaliśmy, zajął się nami sam graf, ale już mniej elegancko.

Pewnego ranka brodaty feldwebel zakomunikował komendantom bloków, aby po śniadaniu wyprowadzili nas przed baraki i uformowali w dwurząd, bo będzie po blokach chodzić komisja z grafem na czele.

Uroczystość zaczęła się od wmaszerowania na promenadę oddziału Niemców w pełnem uzbrojeniu. Stali naprzeciwok nas z bronią u nogi.

Ukazała się „komisja" pod przewodnictwem grafa. Był i „nasz" major. Za nimi gromadka jeńców rosyjskich. To krawcy, którzy ceremonji szycia mają dokonać.

Rozpoczyna się od I bloku, gdzie stoi I pułk kawalerji — Beliniacy.

Pierwszy na prawem skrzydle stoi wachmistrz Osiński (jednocześnie nasz komendant obozu).

Graf skinął na feldwebla, aby rozpoczął urzędowanie.

Osiński wysuwa się nieco naprzód. Moskale przystępują do pracy.

Wachmistrz Osiński wsparł lewą rękę o bok, przechylił nieco głowę i z zajęciem przygląda się swojemu lewemu rękawowi, który szybko się przystraja w kawałek szarego płótna opatrzonego Nr. 1.

Po skończonej operacji, Osiński szybkim ruchem zrywa numer i rzuca go na ziemię pod nogi wysokiej komisji.

Graf skamieniał. Twarz drgała mu nerwowo.

— Zwei Mann! Aresztować i odprowadzić natychmiast!

Osińskiego wyprowadzono z bloku.

Następnemu z kolei poczęto przyszywać numer.

Mylił się graf, sądząc że po usunięciu głównego buntownika, reszta będzie powolna jego rozkazom i bierna na wszelkie jego zarządzenia.

Następne numera spotkał ten sam los.

Oszalały z wściekłości graf, nie znajdujący ujścia dla swego gniewu, wycisnął z siebie, przez zgrzytające zęby, rozkaz:

— Wpędzić wszystko do baraków. Wrzucić im numera, niech sobie sami przyszyją. Postawić wartę przy drzwiach. Bez numerów nikogo nie wypuszczać!

Niemiecki rozkaz musi być spełniony.

Weszliśmy do swoich baraków i porozkładaliśmy się na swoich posłaniach, nakrytych papierowemi kołdrami.

Przyniesiono nam numera, odpowiednie dla każdego baraku. Przy drzwiach stanął prusak z karabinem.

Za chwilę, wychodzące z kominów dymki obwieściły urbi et orbi, że numera... zostały przyszyte.

Wnętrze baraków napełnił gryzący dym, jak gdyby się jakieś szmaty paliły.

— Takich jeńców jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, mruczał sobie pod nosem brodaty feldwebel.

* * *

— Panie! Puść mnie pan. Muszę iść „za swoją potrzebą".

Niemiec spojrzał nieufnie, potem pokiwał głową, że nie rozumie. Legjonista bardzo dokładnie opisał szwabowi na migi, o co tu chodzi. Niemiec dał znać, że się domyśla, i rzecze:

— Ja, ja, aber wo haben sie Numa (Numer)?

Nasz batiar z łobuzerskim smutkiem rozkłada ręce i z miną, która ma oznaczać wielką przykrość, odpowiada:

— Nie mam.

— Zurück!

„Batiar" wraca i dzieli się wrażeniami.

— Wiecie, ten drań rzeczywiście nie wypuszcza. Mnie się coprawda nic nie chciało, tylko poszedłem się przekonać. Ale co będzie, jeżeli ten szwab cały dzień albo i dłużej nas nie wypuści?

Pytanie takie sprawiło, że ten i ów przypomniał sobie, że nie tylko dnia, ale nawet i godziny nie ma zamiaru czekać. Poczęto więc się zastanawiać jakby temu złu zaradzić. Jak zwykle dyskusja do niczego nie doprowadziła, bo wśród Polaków zgody niema. Na jedno się wszyscy zgodzili, że gwałtu naturze zadawać nie można.

— A co będę pytał! Jak mnie nie puści, to mu pod nosem zrobię...

Tak się też i stało. Przytem odbyło się to tak szybko, że szwab nie zdążył nawet kolbą uderzyć zuchwalca. A warto mu było to zrobić, bo jak tu teraz przez 2 godziny służbę pełnić w takiej zgoła nieprzystojnej atmosferze. Trzeba się wynieść o parę kroków dalej, bo by można przez zapomnienie... wdepnąć...

Popołudniu wolno już było wychodzić w koniec bloku do niezamieszkiwanej stale ubikacji. Gorzej natomiast z kuchnią, bo ta mieści się przy promenadzie poza obrębem bloków. Kucharzy nie wypuszczono bez numerów. Więc co będzie?

Głodówka!!...

Widmo głodu, które stale nam towarzyszyło, stanęło wyraźnie przed oczyma.

Niema wyjścia Bez numerów nikogo nie wypuszczą, ani naszych kucharzy do kuchni, ani naszych delegatów po chleb. A my numerów bezwarunkowo nie przyszyjemy. Więc niema wyjścia: głodówka. Zresztą to wszystko jedno, czy konać powoli, miesiącami, czy skrócić to. Długo się nie będziemy męczyć, bo jesteśmy i tak zupełnie wyczerpani. Przykra jest tylko ta świadomość nadchodzącej śmierci. Powoli, powoli... Zupełnie co innego zginąć odrazu. Jedna tylko pociecha, to solidarność. Wszyscy zginą.

Pora obiadowa. Dziś nikt po obiad nie idzie. Choć wszyscy o tem wiedzą, ale każdy się łudzi, że może nam ktoś zgotuje niespodziankę i obiad przyniesie. Wyglądają przez drzwi z baraków. Widać tylko spacerującego Niemca z karabinem. Ciężko.

Trzeba wrócić na swoje posłanie i spróbować usnąć. Lepiej przespać i nie myśleć. Ale sen nie przychodzi. Mijają godziny. Leży się z oczyma nieruchomo w sufit niskiego baraku utkwionemi. Chciałoby się nie myśleć o zbliżającem się przeznaczeniu, ale ta myśl uporczywie wraca. Nikt nie wstaje, choć już wolno wyjść i chodzić wewnątrz bloku.

Nadchodzi wieczór i mrok napełnia wnętrze baraku. Panuje przeraźliwa cisza, aż w uszach dzwoni. Nikt nic nie mówi. Pięćdziesięciu żołnierzy, zamieszkujących barak, w skupieniu cierpi i ból swój w sobie zamyka Panure wizje opanowały umysł. Dom, rodzina, Polska. Czy chociaż Piłsudski wie o tem? Pewnie nie wie. A choćby wiedział, to co nam poradzi!

Usta wiecznie pracują. Połyka się ślinę, aby żołądek nie był pusty. Zwilża się zeschnięte wargi. Nie pali się światła. Niema potrzeby, a zresztą nikomu się nie chcę wstać. Noc...

„Na stos rzuciliśmy swój życia los"... Dziś darmo czekać będą Francuzi naszego śpiewu...

* * *

Ranek wstał trochę pochmurny. Pora śniadania przeszła niepostrzeżenie. Na wyniszczonych naszych organizmach taka jednodniowa przerwa w jedzeniu odbiła się bardzo, choć dla przeciętnego człowieka nie jest jeszcze tragiczną.

Osłabienie i wycieńczenie na wynędzniałych twarzach żołnierskich było widoczne. Tylko oczy bardziej błyszczały w słabem oświetleniu wnętrza baraku Nie słychać zupełnie rozmów: każdy tkwi w zamyśleniu, jakby nie śmiał mącić tej uroczystej chwili, jakby w oczeki-

waniu jakiejś wielkiej misterji. Ten i ów robi wrażenie, że śpi, tylko twarz ma niespokojną.

Zdaje się, że dzisiaj jest już lżej, bo zwykle o tej porze dostawaliśmy obiad, a jakoś jeść się nie chce.

Żeby nie ten instynkt samozachowawczy, który ciągle podpowiada i wskazuje człowiekowi drogę ratunku, żeby nie świadomość zbliżającego się powoli przeznaczenia, żeby nie żal matki czy żony i dzieci, którym serce pękać będzie za takim „wykolejeńcem", co to mu głupstwa, a wojenka w głowie, — toby człowiek zatonął w myślach, zapadł w odrętwienie i śniłby dziwne, a chorobliwe wizje, ażby mu

Głodówka

umysł stępiał i zapadł w zupełną martwotę. I nic to, żeby potem gryzł własne ciało i pił krew swoją, iżby przedłużył swój byt doczesny, żeby się w ziemię wpijał zębami, iżby żołądek swej pracy nie przestał, bo czynić to będzie fizyczna połowa jego życia, zasie duchowa martwą zostanie.

Ale ten instynkt samozachowawczy ciągle umysły podnieca i ciągle buntuje i kusi zdradziecko i walkę zaciętą z wolą stacza

Chwilami instynkt zwycięża, to znów wola trjumf odnosi.

I tak walczą ta wola z instynktem już drugi dzień, a walczą zaciekle, bo aż gorączkę w organiźmie wzniecają. Wargi schną bezustannie, choć się je zwilża. Przed oczyma migają czarne płaty.

Zbliża się wieczór, już drugi wieczór głodowy. Ten wieczór, to ten nadchodzący mrok, co zawsze zwątpienie w duszę zaszczepia, co co resztki nadziei odbiera, co jak kruk czarny złowróżbnie kracze. Ten wieczór, co zawsze instynktowi z pomocą przychodzi, co rozpacznie woła: ratuj się, albo zginiesz bezpowrotnie.

W głowie się majaczy: możeby wstać i poszukać czego. Obok baraku rośnie trawa... Żeby tylko jeszcze tę noc przetrwać.

— Nie, nie, nie!

Wszyscy leżą nieruchomo. Wtem w końcu sali słychać poruszenie. Kilku żołnierzy z trudem wstaje z posłania i coś w milczeniu szykuje. Podnosimy głowy. Rozkładają kołdrę, drugą, żeby było mocniej. Potem z wysiłkiem coś na to kładą. Wynoszą.

— Co to?

— Ano, zemdlał. Niosą go do ambulatorjum. Słabszy był, więc poszedł na pierwszy ogień. Ale powoli czeka nas to wszystkich. Jakoż w ciągu 2 godzin wyniesiono kilkunastu.

Żołnierzy, którzy dźwigali swoich omdlałych kolegów, nie pytano o numera. Snać wartujących landszturmistów jakiś lęk ogarnął przed majestatem cierpienia i ofiary.

Usuwali się na bok, jakby się bali, że ich kara lub nieszczęście jakie dotknię za sprawą omdlałego z głodu żołnierza polskiego.

Późnym wieczorem nadeszła wiadomość z komendy obozu, ażeby wysłać delegatów po chleb. A numera? Mówią, że bez numerów puszczą. A więc wygraliśmy sprawę! Niemcy się ulękli odpowiedzialności za śmierć z górą trzech tysięcy żołnierzy bez Ojczyzny.

Chleb został przyniesiony. Został przez nas rozgotowany w wodzie, aby nie zaszkodził i kurczu żołądka nie wywołał. Widmo głodu zostało usunięte.

— A co z omdlałymi?

— Dostali kawy i coś tam jeszcze. Nic im nie będzie.

W barakach obudziło się życie. Opowiada się o swoich przejściach. Dyskutuje się nad tem, dlaczego Niemcy odwołali swoje postanowienie o przyszyciu numerów.

Przypisuje się to interwencji oficera łącznikowego, który po wybuchu głodówki wyjechał do Warszawy, żeby tam kołatać w Radzie Stanu, czy niemieckiem Generał-Gubernatorstwie i wyjednać zmianę rozporządzenia komendy obozu. Widocznie mu się to udało.

Noc przeszła spokojnie.

Rano wychodzą kucharze do kuchni.

— Wo haben sie Nummer?

— Jakto? Coscie oszaleli? Przecież numerów nie potrzeba. Wczoraj byliśmy bez numerów.

— Nie, mamy polecenie bez numerów nie wypuszczać.

Co za szatańska komedja? Dlaczego ci barbarzyńcy po dwóch dniach głodu dają nam po kawałku chleba, by potem znów zmusić do głodówki? Czyżby na to, aby przedłużyć nasze męczarnie? Czy

sądzą, że to już wystarczy, aby złamać nasz opór i zmusić do przyszycia numerów?

Nie! My jednak numerów nie przyszyjemy.

— Więc co będzie?

— Więc... w dalszym ciągu głodujemy!

Bo — nam wszystko jedno...

Bo my... na stos rzuciliśmy swój życia los...

Bo my... nigdy nie będziemy niewolnikami.

Bo w obozie Szczypiorniańskim niema zgóra 3000 „numerów", ale w obozie Szczypiorniańskim jest zgórą 3000 żołnierzy polskich. Bo każdy z tych 3000 żołnierzy polskich ma nazwisko i to nazwisko. dobrze zapisane w dziejach walk wyzwoleńczych.

Czy myślicie, że wystarczy nasza bezbronność nato, abyście nam honor żołnierski zabrali?

Nie!

Więc dalej głodujemy.

Niechaj do księgi waszego bohaterstwa wojennego przybędzie jeszcze jedna chlubna karta. Zaczęliście od Kalisza i skończycie pod Kaliszem. Księga będzie zamknięta.

Podniecony wczorajszym kawałkiem chleba organizm na nowo i jeszcze więcej cierpieć zaczyna, a nerwy szaleją, jak opętane.

Koło południa w tym trzecim dniu naszej ofiary uczucie głodu doszło do największego napięcia. Zdaje się, że człowiek tego nie wytrzyma, że coś z sobą zrobi, że będzie pędził przed siebie, jak oszalały, że będzie rwał zębami wszystko, co mu stanie na drodze. To podniecenie i wysiłek nerwów osłabia i człowiek pozostaje w bezruchu na swojem posłaniu.

Godziny mijają. Uczucie głodu zda się słabnąć, organizm ogarnia bezwład i gorączka.

Marzą się jakieś dawno czytane i słyszane historje o starych tajemniczych zamczyskach z zamurowaną na wieki ścianą, za którą leżały kości skazanychh na śmierć głodową.

Marzy się Maciej Borkowic z obrazu Matejki z tem strasznem przerażeniem w oczach.

Przychodzi do głowy bezwstydna myśl, aby te oczy zobaczyć u leżących obok kolegów.

Ciekawa rzecz, czy oni mają też takie straszne oczy.

Ale oni leżą spokojnie, a oczy mają przeważnie z a m k n i ę t e. Zresztą już ciemno.

Zasypia się snem gorączkowym, przerywanym. Ktoś przez sen krzyczy, to imiona jakieś wymawia. Ktoś zapala zapałkę i układa w plecaku podartą bieliznę. Inny wstał i chodzi szybkim krokiem

środkiem baraku. Odpoczywa i znów chodzi. Pewnie się boi zasnąć, by nie dać się zabrać we śnie. Nad ranem sił mu nie starczyło i zasnął.

— Stachu, daj papierosa.

Dostał. Zapalił, dwa razy pociągnął i opadł zemdlony na poduszkę słomianą. Wynieśli go, ale w ośmiu, bo sami iść nie mogli.

Do wieczora czwartego dnia baraki się przerzedziły. Wyniesiono około stu siedemdziesięciu.

Szczypiorno. „Bałagan obozowy"

Ci, co wracali z ambulatorjum, po spełnieniu koleżeńskiej przysługi dla omdlałych, aby czekać kolei, kiedy ich samych wyniosą, przynosili wiadomości.

— Wrócił oficer łącznikowy z Warszawy.

— No i co?

— A nic. Był u Beselera. Opowiedział, że trzy tysiące legjonistów umiera z głodu w Szczypiornie. Adjutant Beselera major Nothe, odpowiedział mu: „Tak? To bardzo dobrze! Przynajmniej raz skończy się z tą hołotą"!

* * *

Komendanci bloków i starszyzna, która utrzymywała łączność z por. Mokłowskim uradziła, że dalszy opór z naszej strony jest bezcelowy, temwięcej, że nadeszły instrukcje z Warszawy, zalecające wykonanie zarządzenia komendy obozu co do przyszycia numerów.

Numery zostały przyszyte.

Ale nie skończyły się jeszcze ciężkie próby, na jakie ogół żołnierzy został wystawiony.

Podjęto szereg ukrytych ataków na nadwątlone przejściami charaktery żołnierskie. Zaczęto prowadzić agitację za zgłaszaniem się do czynnej służby w szeregach „Wehrmachtu".

Akcję tą prowadzono w różnych kierunkach, w największej tajemnicy, łatwo się bowiem domyśleć, że zmierzała ona do wyłapania najsłabszych jednostek drogą indywidualnego w każdym wypadku skaptowania ofiary.

W tym okresie wielu legjonistów przystępowało do spowiedzi u księdza Kwapińskiego.

Po kilku dniach takich praktyk, Niemcy zarządzili zbiórkę po blokach, wywołując poszczególne nazwiska żołnierzy.

Wywołani zabierali z sobą cały dobytek wraz z kocami i siennikami.

Nie orjentujemy się zupełnie o co chodzi, temwięcej, że zbiórki takie były dość częste.

Przypuszczamy, że nastąpi jakieś „przegrupowanie sił" po blokach, według nieznanych nam bliżej planów, wyrosłych w mózgach znakomitych strategów z komendy obozu.

Kiedy jednak wywołani żołnierze ustawili się w czwórki na głównej „promenadzie" i na komendę niemieckiego kaprala skierowali swój krok ku bramie głównej, z tysiąca piersi należących do pozostałych „jeńców" legjonowych wyrwał się krzyk i wycie, przypominające hasło bojowe Tuaregów:

„Zdrada!".

Równocześnie posypały się ze wszech stron kamienie, które raz po raz trafiały to w grupkę świeżo nawróconych wehrmachtowców, to w eskortujących żołnierzy niemieckich.

Pierwsi byli w szczęśliwem położeniu, bowiem zrobili sobie naturalną osłonę z niesionych na plecach sienników i koców; drudzy natomiast otrzymywali częste razy i uniknęli losu św. Szczepana tylko dlatego, że atakującym zabrakło broni.

Rozebrany naprędce kawałek ścianki okazał się niewystarczającym. Tymczasem grupka odeszła na odległość, gdzie strzał z cegły już nie dosięgał.

W tej chwili ujrzano księdza Kwapińskiego stojącego obok ambulatorjum. Otoczono go w koło i zaczęto rozmowę. Po krótkiej chwili, ksiądz szybkim krokiem skierował się ku wejściu do budynku. Przeciskał się przez gęsty szpaler żołnierzy, zasłaniając twarz rękoma. Z twarzy i rąk jego spływała ślina...

W tym też czasie zjawił się w Szczypiornie szef sztabu Legjonów. Widzieliśmy go tylko zdaleka, rozmawiającego z niemieckimi oficerami. Szybko się jednak usunął poza budynki komendy, bowiem niezręcznie mu było wysłuchiwać tysięcznych obelg i być wobec Niemców przedmiotem niezwykłego widowiska.

Szeregi nasze stopniowo malały. Zwalniano pojedyńczych legjonistów, potem zaś odsyłano do domów wszystkich nieletnich.

Powoli zbliżała się zima. Zaprzestano opalania się na słońcu. Znikały charakterystyczne typy nagusów. Zaniechano zabaw i rozrywek na otwartem powietrzu. Całe życie przeniosło się do baraków.

Brak jakichkolwiek urozmaiceń dawał się ogromnie we znaki. Żołnierze całymi dniami nie wstawali ze swoich legowisk. Nic to dziwnego, bo i nie było w czem wyjść na mroźne powietrze. Niskie drewniane baraki nie zabezpieczały od mrozów. Przykrywano się w nocy papierowemi derkami z głową, która rano siwiała od mrozu.

Usłyszeliśmy wówczas słowo: Łomża.

* * *

Nadszedł dzień wyjazdu. Dzień 15 grudnia 1917 roku.

Od rana panował ruch niezwykły. Od szeregu miesięcy niespotykane ożywienie. Obojętne, dokąd jedziemy, poco jedziemy — w każdym razie zmiana. Widmo Szczypiorna już będzie poza nami.

Człowiek się zawsze łudzi, że może będzie lepiej, a tajemnica nieznanego tak podrażnia nerwy.

Jakoś wesoło.

Człowiek zbiera wszystko, co nawet niepotrzebne, byle tylko nic nie zostawić po sobie. Potem zbiera się „pamiątki". Przychodzi jakieś głupie roztkliwienie. Ile tu człowiek z siebie zostawił! Tyle cierpienia i smutku. Nawet do Szczypiorna się można przyzwyczaić.

Ale czasu niema. Zbiórka. Sprawdzanie.

Każą numera oddać.

O nie! To sobie schowamy. Każdy szybko zrywa numer i chowa do kieszeni.

Nie mamy numerów. Już dawno wyrzuciliśmy. Brodaty feldfebel zakłopotany.

Formalności skończone. Ostatnie spojrzenie na obóz i jesteśmy za drutami.

Wychodzimy na szosę i kierujemy się na stację, gdzie oczekuje nas pociąg.

Po drodze spotykamy grupki pań. Trzymają w rękach jakieś wątłe, zimowe kwiatki. Raz po raz słychać z ich ust dyskretne szepty:

— Boże drogi, jak oni strasznie wyglądają!

— Biedni chłopcy...

Wątły, zimowy kwiatuszek pada na szosę. Niemcy brutalnie odsuwają widzów i coś gniewnie mamrocą. Nie wolno rozmawiać z jeńcami.

Ładujemy się do wagonów. Wagony osobowe, czyste. Ciepło. W każdym przedziale 5 — 6 legjonistów i jeden eskortujący Niemiec. Przeważnie młodzi żołnierze, prawdopodobnie z ostatnich rezerw. Może mają po 18 — 19 lat. (Stare landszturmaki pozostały w Szczypiornie). Nie wiedzą również, kto my jesteśmy. Wielu z nich mówi po polsku, oczywiście gwarą śląską lub poznańską.

Koło godziny 1 popołudniu pociąg rusza. Jedzie się dobrze i wesoło. Poznajemy się z naszymi opiekunami.

Młody chłopak w mundurze niemieckim pilnie nas obserwuje i nic nie mówi, chociaż jak się okazało, rozumie po polsku. Zaczynamy rozmowę:

— No, ale teraz to byłoby trudno zwiać.

— Żebym tylko chciał, to jużby mnie nie było, wtrąca drugi.

— Jak? Przecież ten szwab tu siedzi.

— No to co? Nie wolno mi iść „za swoją potrzebą"? Przecie za mną nie będzie łaził i przyglądał się. Niech się tylko ściemni.

— A bo myślicie, że jemu się nie zachce?

Niemiec zaczyna się niespokojnie ruszać. Orjentujemy się, że rozumie, co mówimy.

— Panie ładny, czy pan masz tę pukawkę nabitą?

Niemiec nasrożył się, ale nic nie mówi. Jest widocznie zdenerwowany.

— Panie! Byłeś pan na froncie? Zdaje mi się, żeśmy się już kiedyś spotykali.

Konwojent się nie odzywa.

Nasz batiar jednak nie traci rezonu.

— Panie! Dam se łeb uciąć, żem pana widział nad Stochodem. No, prawda?

Niemiec nie wytrzymał:

— Nie mówcie gupstwo, bo na stacyji zamelduję.

— Nie zrobi pan tego. Ale toś pan też Polak? To już pana kocham. Choć pan sobie założyłeś ten koziczek na karabin, ale wiem, żebyś pan mnie nie zgnał, bo, widzisz pan, prawdziwy dobry żołnierz, drugiego bezbronnego nie zgnie. Jak ja będę pana kiedy wiózł

do gefangenlagru, to naumyślnie schowam koziczek, żeby panu nie było przykro. No kolega, na zgodę!

Nasz batiar wyciąga łapę.

Młody chłopak w mundurze niemieckim rumieni się cały czas, jak dziewczyna... wreszcie... podaje rękę.

Jest jednak ogromnie zdenerwowany i czuje się bardzo źle wśród nas. Chociaż ma „koziczek". Jest onieśmielony z jednej strony, zaś z drugiej boi się odpowiedzialności.

Zdajemy sobie z tego sprawę i dajemy mu spokój.

Wyglądam przez okno wagonu. Widzę na torze niemieckiego landszturmistę. Przypuszczam, że pilnuje mostu. Ale znów stoi drugi, trzeci, dziesiąty. Co to znaczy? Obserwuję dokładnie i stwierdzam, że przy każdym słupie telegraficznym stoi żołnierz. Czyżby Wiluś miał tędy jechać?

Pytam się chłopaszka w niemieckim mundurze. Okazuje się, że ten zaszczyt, to dla nas.

Brawo! Możemy jechać spokojnie. Nieszczęście nam się w drodze nie przytrafi.

Nie spodziewaliśmy się takiego wyróżnienia. Musimy być dużo warci, jeżeli z nami w pociągu jedzie cała kompanja niemców, w pierwszym i ostatnim wagonie karabiny maszynowe i prócz tego wszystkiego cała droga obstawiona wojskiem!

Nie wiem, czy trzebaby zastosować więcej ostrożności, gdyby cały Bank Rzeszy niemieckiej razem z Wilusiem przewozić tym pociągiem.

— I czego się ty denerwujesz chłopaszku w mundurze niemieckim? Cała nasza siła w gębie i trochę desperackiej fantazji. Możesz sobie z nami pogadać, bo my cię nie wsypiemy.

— No ja, ale przecie to je verboten.

— Panie, my się na tem nie znamy, chociaż takie wożenie kriegsgefangenów to nie nasza specjalność. Masz pan się co napić?

— Oo — ni! We służbie to nie idzie. Ale chceta trochę wusztu?

— Co się kolega pytasz! Jak tylko jest na zbyciu, to się weźmie.

Wieczór wcześnie zapadał. Monotonny postuk wagonów działał usypiająco. Ominęliśmy Łódź.

Noc.

W przedziale wszyscy drzemią. Konwojent również śpi. Jeden z legjonistów zaczyna obserwować sytuację. Wszystko w porządku. Od niechcenia potrąca delikatnie niemieckiego żołnierza, który jednak na to nie reaguje. Ośmielony, próbuje dalej. Dotyka karabinu, który bezwładnie zwisa na lewej ręce żołnierza. Powoli wyciąga. Za

chwilę karabin jest już w rękach legjonisty. Ostrożnie wstaje i wynosi karabin do sąsiedniej ubikacji. Wraca i układa się do snu.

Ale nie długo symuluje sen. Trąca sąsiada i mówi szeptem:

— Idź no do tego salonu i posiedź tam trochę. Jak cię zawołam, to wrócisz. Stoi tam karabin, ale go nie ruszaj i nie bój się.

Za chwilę wszystko w porządku. Tylko jednego „jeńca" brak.

Nasz bohater zapala zapałki, kaszle i rozmyślnie hałasuje. Konwojent się budzi.

— Zapomniałem się kolegi spytać, cobyś zrobił, gdyby tak rzeczywiście który z nas próbował uciec?

— Tobym strzylol.

— A czem?

— Jakto czem? Gewe... Jezus Marja! Gdzie mój Gewehr? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... A gdzie jeszcze jeden?

Jak rozjuszony tygrys w klatce, tak zaczął rzucać się po przedziale wagonowym młody żołnierz, który, zdawało się, postradał zmysły.

Pobudzili się wszyscy, nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło. Żołnierz wydawał z siebie jakieś dźwięki dla nas niezrozumiałe. Wreszcie uczynił ruch, jakby chciał chwycić za hamulec bezpieczeństwa.

Legjonista zatrzymał mu rękę.

— Kolego! Przebaczam ci, bo nie wiesz, co czynisz. Chcesz sprowadzić nieszczęście na swoją głowę? Czy wiesz, że czeka cię sąd polowy? Siadaj, uspokój się. Chciałem ci udowodnić, że dla chcącego niema nic trudnego. I uciec też by się poradziło, ale, psiamać niema gdzie. To też nie bój się, nikt nie uciekł. Franek! wyłaź no z salonu.

W innych przedziałach zamiary ucieczek w czyn wcielono.

Dla kilku jednak postanowienie takie było podpisaniem wyroku śmierci na siebie. Jeden wyskoczył podobno z wysokośći okna wagonu i całym rozpędem uderzył głową o słup telegraficzny. Nie zobaczył już ani wolności, ani znikającego w mroku nocy pociągu, unoszącego kolegów.

Inny spadł z wysokiego nasypu i doznawszy ciężkich obrażeń, nie mógł nawet podjąć dalszej ucieczki. Przejeżdżający konno oficer inspekcyjny strzelił z mausera do leżącego bez ruchu legjonisty z odległości 2 kroków. Prawdopodobnie nie chybił, bo strzałów nie powtarzał.

Nasza gromadka znów się zmniejszyła o kilku kolegów, którzy, przeszedłszy piekło ognia. Łowczówków, Konar i Polskich Gór, przetrwawszy udrękę moralną niewoli i głodu Szczypiorna zginąć chcieli u progu wyzwolenia.

Jeśli nie można było nazwać wyzwoleniem przeniesienie nas do Łomży, gdzie wprawdzie warunki pobytu były znacznie lepsze w porównaniu ze Szczypiornem, to w każdym razie był to ostatni etap epopei legjonowej.

Łódź i Warszawę ominęliśmy w nocy. Pierwsze, słabe promienie mroźnego, zimowego poranka oświetliły wnętrze wagonów, i zmęczony po źle przespanej nocy wzrok chwycił pierwszy krajobraz na północ od Warszawy. Rzadkie, rosnące na moczarach, powyginane dziwacznie, karłowate sosny ustępowały miejsca borom potężnym, zwartym, jak wojska kolumny w postawie na baczność.

Stały poważne i dumne, jak grenadjery na paradzie. Jeno zlekka kiwały głowami, bo takich dziwów, choć po sto lat żyły, nie oglądały: przez ich serce z hukiem pomykał żelazny smok dymiący i w łonie swem więził dzieci tej ziemi pod czułą wroga opieką. Unosił je dalej na północ, by poprzez mur lasów, Polski dojrzeć nie mogli.

Więc dziwowały się drzewa i głowami kiwały, szepcąc coś pocichutku pomiędzy sobą, żeby ich wróg nie usłyszał i na karę śmierci nie skazał.

Przypomniały sobie stare konspiratory, jak to kilkadziesiąt lat temu, kiedy były trochę młodsze, ukrywały we wnętrzu swojem inne, starsze pokolenia, szukające wiecznie Polski. W szarych kurtkach myśliwskich, zarośnięci, ze strzelbami na ramieniu polowali na zwierzynę tak niezwykłą.

Dziś jechały tamtych wnuki. Aż się nagle ożywiły te potężne, dumne bory:

— Jedźcie, chłopcy, spokojnie!

Z korony naszych drzew widać już Polskę wyraźnie!

Stanisław Pewnicki

SPRAWA PRZYSIĘGI W 2 P. UŁANÓW.

Już w pierwszych dniach lipca dowiedzieliśmy się w Warszawie o mającej się odbyć oficjalnej przysiędze na rzecz państw centralnych. Ponieważ znany był u nas stosunek oficerów do podoficerów i żołnierzy, zwróciliśmy uwagę na I Brygadę, jakie stanowisko zajmie. W Mińsku Mazowieckim nie mieliśmy żadnego kontaktu z 1 p. ułanów Beliny, znane nam jednak było wobec przysięgi wrogie stanowisko Komendanta I. Brygady Józefa Piłsudskiego.

W tej sprawie dwukrotnie jeździliśmy z Januszem Kiersnowskim do Warszawy. Mimo usilnych zabiegów, nie wiele mogliśmy się w Warszawie dowiedzieć.

Zbliżał się dzień 7 lipca. Była to sobota. Od południa objąłem służbę podoficera inspekcyjnego w szwadronie. Koło godziny 3-ej popołudniu dowiedziałem się o nadesłaniu z Komendy Legjonów odezwy Tymczasowej Rady Stanu, z apelem, nawołującym do przysięgi na wierność Niemcom i Austrji. Przed szóstą kapral dzienny ogłosił zbiórkę. Kiedy 6 szwadron zebrał się, przyszedł mdt. por Machnicki. Po odczytaniu rozkazu pułkowego i załatwieniu spraw służbowych w szwadronie, por. Machnicki odczytał odezwę Tym. Rady Stanu, a następnie znany rozkaz Komendy Legjonów, nakazujący złożenie przysięgi, a podpisany przez pułk. Zielińskiego. Podczas odczytania pierwsze słowa protestu wyrwały się z moich ust i J. Kiersnowskiego.

Za nami poszli inni. W 6-ym szwadronie z górą 50% było Królewiaków, a wśród małopolan prawie wszyscy solidaryzowali się z nami. Por. Machnicki przyjrzał się nam, jakby nas pierwszy raz na oczy widział i dał rozkaz „rozejść się". W całym szwadronie zawrzało od oburzenia. Po porozumieniu się z Kiersnowskim, poszedłem na służbę w szwadronie, a po spełnieniu obowiązku, wróciłem do oddziału.

Na zapytanie moje, gdzie jest Kiersnowski, żaden z ułanów nie mógł mi dać konkretnej odpowiedzi.

Z kapralem J. Kiersnowskim poznałem się w szwadronie w 1915 r. Naogół był lubiany przez kolegów, lecz jako piłsudczyk nie cieszył się sympatją byłego komendanta szwadronu por. Pryzińskiego. I ja również popadłem w niełaskę za nieukrywanie sympatji do I. Brygady. Królewiacy w 2 p. uł. byli szykanowani, a dawało się to odczuć szczególnie w okresie awansów.

Po godzinnem oczekiwaniu kapr. Kiersnowski przyszedł i przedstawił mi całą sprawę. Okazało się, że przyjechało dwóch oficerów z 1 p. uł. z Ostrołęki, jako delegaci w sprawie przysięgi. Ponieważ podoficerów wezwano niespodziewanie, Kiersnowski nie zdążył mnie powiadomić.

Otóż delegaci z 1 p. uł. przywieźli potwierdzającą wiadomość, że cała I. Brygada odmawia złożenia przysięgi. Korpus Oficerski z 2 p uł., po porozumieniu się z delegatami, odmówił przystąpienia do akcji wraz z I. Brygadą.

Postanowiliśmy więc kolegów broni uświadomić i przygotować zdecydowany opór. Następnego dnia poleciłem kapralowi dziennemu, aby wszystkich ułanów, wraz z obozowymi, zwołał na zbiórkę o 8-ej rano. Sam biegałem do opieszałych obozowców, aby cały szwadron w komplecie mieć na wyznaczoną godzinę. Kiedy już szwadron był gotów, posłaliśmy kaprala dziennego po zastępcę kom. szwadronu, ppor. Jerzego Świdzińskiego, por. Machnicki bowiem w nocy wyjechał na dwudniowy urlop. Kapral dzienny wrócił z oświadczeniem o nieobecności zastępcy komendanta szwadronu. Nie dając za wygraną, sam zająłem się odszukaniem ppor. Świdzińskiego który przebywał na zebraniu oficerskiem u rotmistrza Rabińskiego Zebranie było informacyjne. Po zastukaniu do drzwi wszedłem do pokoju, w którym znajdowali się prawie wszyscy oficerowie z 2 pułku ułanów. Pośrodku pokoju siedział kpt. dr. Korolewicz, nadesłany jako kurjer z Komendy Legjonów, który informował obecnych o wytworzonej sytuacji. Swoją obecnością sprawiłem konsternację. Zwróciłem się służbowo do rtm. Rabińskiego po otrzymaniu zezwolenia do ppor. Swidzińskiego.

Ostatniemu zameldowałem o stawieniu się szwadronu do raportu. Ppor. Świdziński natychmiast wyszedł. Po oznajmieniu w drodze celu swego przybycia, ppor. Swidziński zwrócił się do mnie temi słowy: „Ciężka dla mnie sytuacja, por. Machnicki wyjechał, a wiecie najlepiej, że duszą jestem z wami. Raport przyjmę. Jak panu wiadomo, wraz z odezwą, otrzymaliśmy wczoraj rozkaz przysłania do Warszawy reprezentacyjnego szwadronu do przysięgi, która ma od-

być się na stokach Cytadeli. Widząc nastrój w szwadronach, Komenda pułku podobno zwróciła się do Warszawy o cofnięcie rozkazu wyjazdu. Dotychczas jednak kurjer nasz nie wrócił". Tak wymieniając zdanie, na całokształt sprawy, doszliśmy do szwadronu, gdzie po spełnieniu formalności służbowych, wystąpiło z całego szwadronu czterech ułanów, a pierwszy kapr. J. Kiersnowski zameldował w imieniu całego 6-go szwadronu, że ułani odmawiają złożenia przysięgi. To samo oświadczyli pozostali trzej. Po przyjęciu raportu, ppor. Świdziński zwrócił się do szwadronu temi słowy: „Żołnierze-Koledzy, jestem tegoż zdania i stoję po stronie waszej, jednak jako żołnierze musimy zachować subordynację. Jeśli kurjer nasz nie przyjedzie, lub przywiezie nam odmowną odpowiedź do 1-ej po poł., w takim razie my, jako żołnierze, musimy jechać do Warszawy, a tam każdy postąpi według własnego uznania".

Aby być przygotowanymi na wszelką ewentualność, porozumieliśmy się z kolegami innych szwadronów, jak kapr. Kowalskim z 5-go szwadronu, wachm. Boguszem z 2-go szwadronu i postanowiliśmy wybrać odpowiednich ludzi do utrzymania solidarności.

Godzina pierwsza po południu minęła, a odpowiedzi nie nadesłano. O godzinie wpół do drugiej przybiegł do szwadronu zastępca komendanta 2-go plutonu, wachm. Kierwiński, w stanie nietrzeźwym, i wydał w ostrej formie, rozkaz siodłania koni, w swoim plutonie. Nie czekając na dyspozycję również i inne plutony zaczęły przygotowywać się do wymarszu.

O godz. 3-ej po południu reprezentacyjny szwadron, składający się z 200 ułanów, stanął na placu pułkowym. Wkrótce, po ustawieniu się w dwuszereg, ujrzeliśmy nadchodzących do nas oficerów wraz z komendantem pułku mjr. Ostoją - Zagórskim [1]). Spodziewaliśmy się agitacji za przysięgą, byliśmy zdecydowani przeciwdziałać. Spotkał nas jednak zawód: z pośród oficerów wystąpił najstarszy wiekiem rtm. Kordecki, który zwrócił się do żołnierzy w te słowa: „Żołnierze, jedziecie spełnić swój obowiązek, czyńcie co uważacie za stosowne, postąpcie według własnego sumienia — z Bogiem".

Ceniliśmy rtm. Kordeckiego, jako dobrego żołnierza, głębszej jednak sympatji w pułku nigdy sobie nie zjednał, od powyższej zaś przemowy przylgnęliśmy do niego całą duszą. Treść mowy rtm. Kordeckiego była dla nas miłą niespodzianką, a co ważniejsze, nie kolidowała ona, jak się nam zdawało, z intencjami mjr. Ostoji-Zagórskiego. Z Mińska-Mazowieckiego wyjechaliśmy do Wawra, gdzie mieliśmy oczekiwać na dalszą dyspozycję.

[1]) Zaginął bez wieści w r. 1918-ym.

Rano 9 lipca, otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do Warszawy. Uzbroiwszy się w cierpliwość, czekaliśmy dalszego wyniku. Wjeżdżając na Pragę, zorjentowaliśmy się, że nie na stoki Cytadeli, a do koszar na Solcu skierowano nasz oddział.

Jadąc ulicami Pragi, zauważyliśmy wśród publiczności przygnębiający nastrój. Na pytanie kilku poważniejszych obywateli, czy będziemy przysięgali, odpowiedzieliśmy przecząco. W bramie koszar usłyszeliśmy komendę: „plutonami wprzód do frontu marsz". Jako podoficer byłem w szwadronie flankierem, ściągnąłem więc konia i stanąłem przy plutonie. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zauważyłem na podwórzu koszarowym grupę oficerów z naszego pułku, między innymi mjr. Ostoję-Zagórskiego, por. Grabowskiego, rtm. Pryzińskiego, ppor. Wąsowicza. Padła komenda „do frontu", a następnie „z koni". Zbliżył się mjr. Ostoja-Zagórski z oficerami i polecił, aby wszyscy nieparzyści podeszli do niego. Do tych należałem i ja. Zbliżywszy się do oficerów, mjr. Ostoja-Zagórski począł agitować za przysięgą, starając się nas przekonać i zjednać. Przemawiał do uczucia, wspomnieniem współpracy w polu i poniesionych dla Ojczyzny trudów i niewygód. Po skończonej przemowie, zwrócił się z rozkazem do wachm. Gilewskiego, z naszego szwadronu, aby wszystkich przysięgających wciągnął na listę. Po zapytaniu, względnie zwróceniu się do nas wachm. Gilewskiego, jakie stanowisko zajmujemy, odpowiedzieliśmy jednogłośnie „nie przysięgamy".

Inne szwadrony poszły za nami. Trudno sobie wyobrazić niezadowolenie mjr. Ostoji-Zagórskiego, kiedy wachm. Gilewski składał raport. W tak przykrym momencie, z 3-go szwadronu wystąpił do przysięgi chorąży Koj, warszawianin, wraz z bratem i pięcioma nowozaciężnymi.

Nie brakło i humorystycznych momentów, jak ten, w którym szef szt. Legjonów biegał od jednej reprezentacyjnej kompanji piechoty do drugiej z zapytaniem „kto przysięga" — otrzymując tylko urągliwe odpowiedzi

Tak przyglądając się ich gorliwej pracy, usłyszałem głosy żołnierzy z koszar 2 p. p., którzy na przechodzących swoich oficerów krzyczeli: „oddaj 30 marek". Zainteresowało mnie tego rodzaju nawoływanie i postanowiłem zasięgnąć języka. Poinformowano mnie wówczas, jakoby niektórzy oficerowie z 2 p. p. starali się przekupywać żołnierzy, płacąc, a właściwie ofiarowując im po 30 marek, za złożenie przysięgi na rzecz okupantów.

Charakterystyczny był pozatem wjazd, przed samą przysięgą, baterji z 1 p. art. pol. Objechała stępem całe podwórze, i nie zatrzymując się, oddaliła się do miejsca postoju swego pułku. W rezultacie, ze wszystkich pułków legjonowych, przystąpiło do przysięgi 84

(słownie osiemdziesięciu czterech) żołnierzy. Aby nadać więcej nastrojowy charakter całej tej ceremonji, sprowadzono uzbrojony bataljon z 2 p p.. Bataljon ten po skończonej przysiędze defilował przed garścią uległych.

Przez cały czas przysięgi, z wjaduktu i baszt mostu Poniatowskiego w naprężonem oczekiwaniu, przyglądało się tej ceremonji moc publiki. Po ukończonej ceremonji, odjechaliśmy na Aleje Szucha, gdzie Niemcy wydali nam obiad. Po godzinnym odpoczynku zjawił się chorąży Koj, który, jako mąż zaufania, w drodze powrotnej, objął komendę nad całym oddziałem.

W Wawrze zanocowaliśmy, a następnego dnia, t. j. 10 lipca, wróciliśmy do pułku. Przejeżdżając przez Mińsk Mazowiecki do koszar dowiedzieliśmy się od st. ul. Surmiaka, że Ostoja-Zagórski od rana agituje za przysięgą w pułku, podając wszystkim do wiadomości, jakoby cały szwadron w Warszawie złożył przysięgę. Jednocześnie Surmiak wymienił kilka nazwisk kolegów, którzy mają być aresztowani. A więc: Bogusz, Kiersnowski, Piotrowski i jeszcze dwóch, których naogół mniej znałem. Okazało się, że mjr. Ostoja-Zagórski wiedział, którzy z podoficerów byli na zebraniu w dn. 7 lipca. Nie namyślając się, Bogusz z drugim, nazwisko którego zapomniałem, zsiedli z koni i pozostali w mieście.

Wjeżdżając do koszar zwróciłem uwagę na podwójne warty. Służbę pełnił nasz 6-ty szwadron. W bramie ułan z 3-go plutonu, Patroński zakomunikował nam, że chorąży Spychalski, który objął służbę oficera inspekcyjnego od południa, przygotowuje się na nasze przyjęcie. Warcie wydano ostre naboje. Na końcu aleji wjazdowej—przed wartownią ujrzeliśmy mjr. Ostoję-Zagórskiego ze swoim sztabem. Wartę wezwano pod broń, na czele której stanął chorąży Spychalski. Mjr. Ostoja-Zagórski zatrzymał szwadron, wymienił kilka nazwisk, między innymi Kiersnowskiego. Rozkazał wyjechać naprzód z szeregów, dał rozkaz „z konia", a następnie polecił chorążemu Spychalskiemu rozbroić ich i zamknąć w areszcie. Na ten widok powstał głuchy pomruk, aby ich nie dać aresztować, aby zbrojnie kolegów odbić, względnie zasiec mjr. Ostoję-Zagórskiego i chorążego Spychalskiego. Z wielką trudnością udało się opanować rozjątrzone umysły, tłumacząc im, że na niesubordynację nie pora i czas, a aresztowanym nic złego się nie stanie.

Po powrocie do koszar ułani z naszego szwadronu nie dali za wygraną, lecz domagali się, aby iść zbrojnie uwolnić aresztowanych. Nie dopuszczając do podobnego czynu, postanowiłem z A. Mostowskim i Konstantym Skowrońskim uspokoić więcej nerwowych. Wieczorem, chcąc rozejrzeć się w sytuacji, rozmawiałem na temat oporu z ułana-

mi z 2-go, 3-go i 5-go szwadronu, a następnie udałem się na chwilę do aresztowanego kapr. Kiersnowskiego. Po powrocie do szwadronu zastałem ułanów politykujących. Nic dziwnego, umysły były podminowane, nikt nie myślał o śnie. Przed dwunastą jeden z ułanów wbiegł do szwadronu z oświadczeniem, że mjr. Ostoja podsłuchuje pod oknami. Kilku ciekawych podbiegło do okien i zwrócili uwagę mjr. Ostoji, który, przestając się ukrywać, wstąpił do koszar. Przeszedł przez salę i w delikatnej formie zwrócił uwagę, aby wszyscy szli spać. Po jego wyjściu szwadron nie spał do drugiej w nocy.

Jedenastego lipca rano poszedłem do 5-go szwadronu. Okazało się, że mimo agitacji ze strony oficerów wszyscy trwali na dawnem stanowisku. Porozumienie z innemi szwadronami było utrudnione o tyle, że wstępu do 2-go i 3-go szwadronu wzbraniał ppor. Wąsowicz, i chor. Koj. W południe byłem jeszcze w 5-ym szwadronie, starając się podtrzymać ducha opornych, nawołując ich do utrzymania solidarności. Następnie udałem się do J. Kiersnowskiego, do którego, mimo zakazu, wartownicy przepuszczali. W areszcie dowiedziałem się, że po kolei mjr. Ostoja wzywał dwóch aresztowanych, których nakłaniał do złożenia przysięgi, obiecując im szybki awans. Po obiedzie, przyszedł do naszego szwadronu były nasz komendant, rtm. Pryziński. Jak na wstępie oznajmił, chciał nas, jako dawny towarzysz broni, poinformować o stanie rzeczy. Zebraliśmy się, z udanem zainteresowaniem, w pierwszym plutonie, a pan rotmistrz zwrócił się do nas w te słowa: „wiadomości co do stanowiska I Brygady są jeszcze niepewne. My nie możemy oglądać się, co I Brygada czyni, drugi pułk ułanów jest bowiem odrębną jednostką bojową i powinien sam o sobie stanowić. Należy się zastanowić nad nieopatrznem postępowaniem, zastosować się do poleceń mjr. Ostoji-Zagórskiego, przysiąc i pozostać w pułku". W końcu przedstawił nam groźne widmo warunków, w jakich możemy się znaleźć, postępując opornie. Mianowicie, mogą nas Niemcy wziąć do bicia kamieni na szosie, lub do kopalni węgla, a będzie to dla nas upokorzeniem tak fizycznem, jak i moralnem. Niezrażony horoskopami przyszłości, odpaliłem rtm. Pryzińskiemu, że jeżeli dobro Sprawy i konieczność będzie tego wymagała, najcięższa praca będzie dla nas błahostką. W podobny sposób odpowiedzieli również Antoni Mostowski i Konstanty Skowroński. Widząc bezowocność swych zabiegów i wzburzone twarze ułanów, rtm. Pryziński zakończył upomnieniem, abyśmy swego kroku nie żałowali.

Po zebraniu wyszedłem do 5-go szwadronu, gdzie się dowiedziałem, że i tam na rzecz przysięgi była prowadzona agitacja. Rozmawiając i obserwując nastrój, uwagę moją zwróciła pewna chwiejność u nie-

których żołnierzy. Następnie, mimo obostrzeń, udałem się do Kiersnowskiego, który na wstępie zakomunikował mi, że był wzywany przez Ostoję i obietnicą awansu namawiany do przysięgi. Rano, 12 lipca będąc w 5-ym szwadronie, przekonałem się, że agitacja swoje zrobiła, trzymała się już tylko połowa królewiaków. W 2-gim i 3-cim szwadronie garść się jeszcze trzymała. W południe dowiedziałem się, że aresztowany z 5-go szwadronu Kowalski przysiągł. Po obiedzie zjawił się komendant 6-go szwadronu, por. Machnicki, zarządził zbiórkę opornych, zmuszając do pozostawienia nawet własnych rzeczy, grożąc że Niemcy wszystko odbiorą.

Nie namyślając się, pozostawiłem własny kożuszek i szable u wachm. Ejsermana, który jeden nie trzymał z nami i pozostał.

Co go zniewoliło do pozostania, było ogólną zagadką. Dobry żołnierz, miły kolega tylko bez woli. Kiedy oddawałem mu swoje rzeczy pod opieką, polecając doręczyć rodzicom moim w Kielcach, przy pożegnaniu, mimo znacznej różnicy wieku, rozpłakał się, jak mały dzieciak.

Wychodząc z koszar, przy wejściu, spotkałem się z Kiersnowskim, którego wypuszczono z aresztu. Przed budynkiem szwadronowym wszyscy stali. Por. Machnicki chodził wzburzony, usuwała mu się komenda z rąk, 6-ty szwadron trzymał się twardo. Z wyjątkiem dwóch parobczaków, 46 Królewiaków odmówiło złożenia przysięgi. Wśród opornych w 6-tym szwadr. znajdowali się: kpr. Kiersnowski Janusz akademik-ziemianin, kpr. tyt. plutonowy Stanisław Pewnicki mag. farm., starszy ułan Antoni Mostowski agronom-ziemian, st. uł. Konstanty Skowroński mag. farm., uł. Borchowski-Latomski słuch. politechniki Lwów, Plewiński L. rządca-rolnik, Goldsztajn Stefan, buchalter, Kieszkowski maturzysta, Niedbalski naucz. ludowy, Ziółkowski naucz. ludowy, Brandt A. maturzysta, Domański H. maturzysta, st. uł. Bocheński Teodor geometra, Beer Zygmunt maturzysta, Drewnowski 7 kl., Ryl Antoni 6 kl., Małecki Stefan 7 kl., Kulesza A. 6 kl. ziemianin, Franke E. 6 kl. ziemianin, Świerszczewski Antoni maturzysta. Pozostali ułani byli z niższym wykształceniem, z wyjątkiem Szmidta K. i Jaworskiego Antoniego — ziemianin, ze średnim wykształceniem.

Po sprawdzeniu, otrzymaliśmy rozkaz odmaszerowania do kasyna żołnierskiego. Weszliśmy pierwsi. Wkrótce zaczęli przychodzić małemi grupkami żołnierze z innych szwadronów. Z 5-go szwadronu, na solidarność którego liczyłem, przyszło zaledwie kilkunastu. Okazało się, że w ostatniej chwili, namówieni podoficerowie, wyrywali opornych z szeregów. Z całego 2 p. uł. zebrała się nas garść. Po upływie pół godziny przyszedł do kasyna chorąży Spychalski z 16-ma

uzbrojonymi w karabiny ułanami. Po spisaniu obecnych począł do nas przemawiać. Początkowo nie sprzeciwialiśmy się, uśmiechając się pobłażliwie z jego wysiłku. Widocznie uroił sobie, że w ostatniej chwili przestraszy opornych. Kiedy jednak zaczął całe dążenie I. Brygady nazywać warcholstwem, a nas odszczepieńcami, niegodnymi noszenia munduru żołnierskiego, krew we mnie zagrała, nie mogłem dłużej słuchać. Nie dając mu już dojść do słowa, nazwałem go

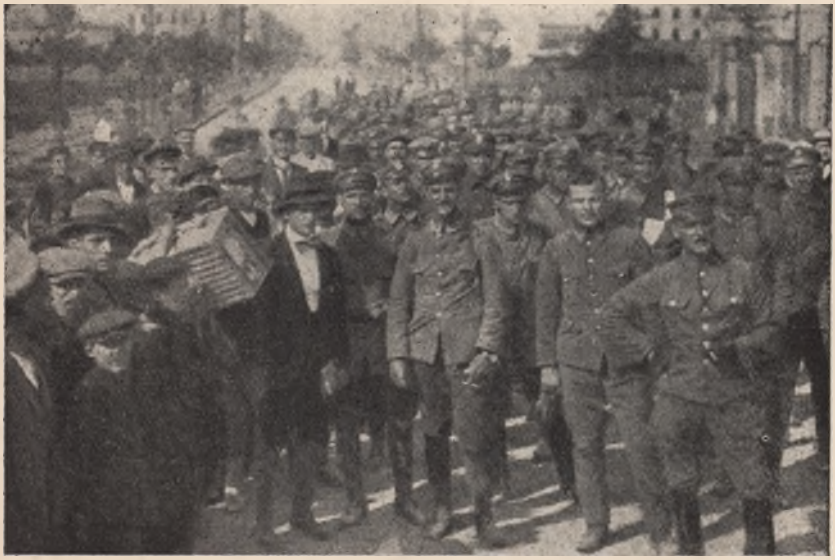

Przemarsz przez Kalisz

zdrajcą Idei Legjonowej, pruskim parobkiem etc... Za mną poszli inni, powstała wrzawa, chor. Spychalski zmuszony był zamilknąć. Eskorcie wydał rozkaz założenia ostrych naboi, bagnetów na karabiny, a przed wyjściem oświadczył, że do uciekinierów będzie strzelał.

Wyszliśmy dwójkami, otoczeni eskortą ze Spychalskim na czele. Godne zanotowania jest stanowisko instruktorów niemieckich, przebywających w naszym pułku. Mimo wrogiego naszego stanowiska, na każdym kroku okazywali nam niekłamaną sympatję i szacunek. Żegnali nas z życzliwością, uśmiechając się ironicznie z eskortujących. Aby się nie narazić na przykrą przygodę, ze strony mieszkańców Mińska-Mazowieckiego, którzy od południa wyczekiwali na rogatce, chor. Spychalski poprowadził nas przez pole na dworzec kolejowy. Tam żegnani i błogosławieni przez mieszkańców 12 lipca 1917 roku wieczorem odjechaliśmy w dwóch towarowych wagonach w nieznaną drogę. W Warszawie zatrzymano nas do godziny 4-ej rano, w ocze-

kiwaniu na dalsze dyspozycje, po otrzymaniu których, chor. Spychalski ruszył z nami w dalszą drogę. W Sieradzu spotkaliśmy transport 38 żoł. opornych z II Brygady, których eskortowano również. Tam dopiero dowiedzieliśmy się, dokąd nas skierowano. Do Kalisza przyjechaliśmy o 5-ej popołudniu, skąd pieszo udaliśmy się do Szczypiorna. Był to dzień 13 lipca. Komenda niemiecka obozu, początkowo nie wiedziała, co z nami zrobić.

W czasie europejskiej wojny, został w Szczypiornie zbudowany obóz kwarantannowy. Obóz tworzył kwadrat, zawierający cały kompleks baraków drewnianych, pokrytych papą i do połowy wkopanych w ziemię. Baraki nadawały się do użytku, tylko w porze letniej. Cały obóz składał się z tak zwanych „bloków", zawierających po 5 baraków. Każdy blok otoczony był podwójną linją płotu z drutu kolczastego. W takim stanie obóz, mógł tylko wywrzeć na nas przygnębiające wrażenie. Kto wie, w jaki nastrój moglibyśmy popaść, gdyby nie Idea, która była dla nas gwiazdą polarną wśród pomroki, a która nakazywała nam wierzyć w lepsze jutro.

Po sprawdzeniu obecnych, odprowadził nas podoficer pruski do baraków. W drodze wydał nam z magazynu po jednym papierowym kocu i takimże sienniku. W pierwszym t. zw. „bloku" dokąd nas skierowano, zetknęliśmy się z przybyłym oddziałem piechoty II. Br.

Pierwsze dziesięć dni pobytu w Szczypiornie były bardzo ciężkie. Niemcy głodzili, wydając nam strawę niemożliwą do spożycia, a równocześnie surowo zabraniali, zakupywania prowiantów na własną rękę. Porcja dzienna żołnierska składała się: rano ¼ litra „ersatz" herbaty, coś w rodzaju naparzonego kwiatu lipcowego i 150 gramów chleba, zawierającego 25% mąki. Pozostałe 75% składało się z mielonych kasztanów, ziemniaków i t. p. cudownych odżywek. Na obiad wydawało pół litra wody zagotowanej z mielonymi ślimakami morskimi i ciętymi liśćmi z pastewnych buraków.

Niestety, mimo głodu, tej strawy nie skosztowało nawet 2% ludzi. Po upływie 10 dni, przybył aresztowany 5-ty p. p. z kpt. Olszyną. Z innych pułków również napływały do obozu większe partje internowanych. Jedynym z ostatnich większych transportów był 1 p. ułanów mjr. Beliny-Prażmowskiego, który przybył do obozu w pierwszych dniach sierpnia. W tym to czasie nastąpiła wewnętrzna organizacja w obozie. Utworzył się Komitet Żołnierski, który wyłonił z pośród siebie Komendę Obozu, a kierownictwo Komendy powierzono wachm. J. Olszamowskiemu. Był to jeden ze zdolniejszych legjonistów w naszym obozie, inteligentny, obrotny, ujmujący w obejściu z internowanymi, władający kilkoma językami, sprostał w zupełności swojemu zadaniu. Swoim taktem nietylko zaskarbił

sobie sympatję wśród internowanych, lecz i u władz niemieckich. Z wachm. J. Olszamowskim poznałem się w Szczypiornie. Po kilkakrotnej szerszej wymianie myśli zawiązała się między nami przyjaźń. Dziś z bólem serca wspominam o tym ś. p. zacnym druhu, dobrym Polaku, ideowcu, oddanym duszą dla swej Ojczyzny. Zawdzięczając Olszamowskiemu strawa obozowa znacznie się poprawiła. Nawiązano stały kontakt z utworzonym w Kaliszu komitetem niesienia pomocy internowanym. Choć mimo zabiegów Komendy Obozu, głód i chłód był nieodstępnym naszym towarzyszem, humor jednak dopisywał. Utworzono Koło miłośników sportu, kursa rolnicze, kursa handlowe, maturalne, urządzano przedstawienia amatorskie. Rozrywek umysłowych, w postaci odpowiedniej lektury, dostarczał nam kaliski komitet. W czasie pierwszych dni głodu, udało się nam nawiązać kontakt z pastuchami, którym w oryginalny sposób doręczyliśmy gotówkę, w celu zakupu prowiantów. Chłopcy nadspodziewanie się spisali, przynieśli wszystko w worku na wartownię, której komendant wprzód przez nas poinformowany i niby skaptowany, obiecał pocichu przerzucić przez druty. Stała się jednak rzecz przewidziana, Niemcy nasze prowianty zarekwirowali i skonsumowali.

Nauczeni doświadczeniem, zmuszeni byliśmy szukać innych, szczęśliwych dróg. W naszym 2 p. uł. postawiliśmy sprawę od pierwszej chwili przybycia w ten sposób, aby zamożniejsi dzielili się z będącymi w ciężkich warunkach materjalnych. Funkcja równomiernego podziału, jako inicjatorowi, przypadła mnie w udziale.

Zmuszony jestem zaznaczyć, że z powierzonej funkcji, w pierwszych najcięższych tygodniach, kiedy Komitet Obozowy nie istniał, kiedy koło strawy niemieckiej nie można było nawet przejść, tak miłą woń wydzielała, wywiązałem się możliwie, stwarzając wśród internowanych z 2 p. uł. rodzaj ciepła rodzinnego. Towarzyszami szczypiórniańskiej doli, byli oficerowie: rtm. Orlicz-Dreszer, kpt. Olszyna-Wilczyński, kpt. Zosik-Tessaro, por. Grzmot-Skotnicki, ppor. Dublańczyk-Piasecki, ppor. Koc Leon, chor. Naramowski i inni.

Wdniu 6 sierpnia 1917 roku, w rocznicę wyruszenia kadrówki z Oleandrów, odprawiona została wewnątrz obozu msza o 10-ej rano, przez kapelana armji pruskiej, ks. Brandta. Po skończonej mszy, przemawiał do internowanych kpt. Zosik-Tessaro. Treść mowy została umieszczona w rozkazie dziennym.

Niemcy nie wiedzieli o obecności wśród nas oficerów. Dopiero w dniu 6 sierpnia, po odbytej uroczystości, jeden z szeregowców żydków zdradził, podając Niemcom nazwiska. Tegoż dnia wieczorem nastąpiła rewizja, wynikiem której aresztowano i wywieziono 7-iu oficerów. W obozie pozostali jednak ppor. Dublańczyk Piasecki i ppor.

Koc Leon. Po upływie krótkiego czasu otrzymaliśmy wiadomość o ustąpieniu Tymczasowej Rady Stanu i o objęciu władzy przez Radę Regencyjną. Po kilku zebraniach, Komitet Żołnierski postanowił wysłać w dn. 19.XI.1917 r. do Nowego Rządu adres powitalny z prośbą cofnięcia przysięgi i przyjęcia internowanych powrotnie do szeregów. Po upływie kilku dni dało się w obozie odczuć prowadzoną agitację za przysięgą. Wersja krążyła, jakoby Wehrmacht przysłał kilku zaufanych podoficerów, którzy jako niby internowani mieli szerzyć ferment w obozie. Niezależnie do obozu wolny wstęp uzyskali: Chorąży Sujkowski i kapelan ks. Kwapiński, którzy pod pretekstem niesienia pomocy, prowadzili akcję za przysięgą.

Kapelanowi Kwapińskiemu, podczas jednej z wizyt, internowanymi zgotowali tak miłe przyjęcie, że ten, obawiając się o całość swej osoby, więcej się nie pokazał. W dniu 28.X. Wehrmacht zabrał z obozu kilkuset internowanych z piechoty. Z Bloku 6-go ułańskiego, ani jeden z żołnierzy nie zgłosił się do przysięgi. Był to dla nas przykry dzień. Z obozu wyszła coprawda partja ludzi słabych, zgnuśniałych, zobojętniałych na wszystko, grono nasze jednak zostało poważnie uszczuplone. W parę dni później nasz łącznik obozowy z Warszawą, por. Mokłowski, powrócił, przywożąc nam od Rady Regencyjnej odpowiedź odmowną.

Po tem oświadczeniu oceniliśmy naszą sytuację. Wehrmacht miał wpływ na Radę Regencyjną, postanowił nas złamać moralnie. Że nie myliliśmy się w przypuszczeniach, poniższy fakt najlepiej zilustruję akcję Wehrmachtu. W pierwszych dniach listopada, otrzymaliśmy z komendy niemieckiej nakaz przyszycia numerów, którymi pieczętowano każdego jeńca. Był to niecny manewr Wehrmachtu, aby nam ostatecznie zadać cios. W dniu 5 listopada przyszedł do naszego bloku, sprzyjający nam pruski komendant naszego odcinka major Kaupisch i zakomunikował nam o powyższym fakcie. W godzinę później, podoficer niemiecki przyprowadził do bloku dwudziestu krawców rosyjskich z numerami, po dwóch na tak zwaną salę. Krawców zatrzymaliśmy koło dwóch godzin, po upływie których zjawił się podoficer i zabrał ich. O pierwszej popołudniu kilku podoficerów wpadło do naszego baraku, nakazując wychodzić. Po ustawieniu się w dwuszereg, odmaszerowaliśmy na wolny placyk przy pierwszym baraku, gdzie czekał na nas ppłk. X., komendant obozu w Szczypiórnie. Od strony wejścia, wzdłuż placyku, za płotem drucianym, ustawiono w dwuszereg, koło dwóch kompanij piechoty pruskiej z bronią. Na czele oddziału stało dwóch oficerów. Czterdziestu Moskali, sprawujących role krawców stało na uboczu. Kierownik nasz wachm. J. Olszamowski będąc wezwanym przed oblicze hakatysty, starał się złagodzić napiętą

sytuację. Wszelkie jednak polityczne jego wysiłki skierowane w celu opanowania rozjuszonego hakatysty, nie odniosły skutku. Oddział pruski otrzymał rozkaz „gotuj broń" lufy karabinów skierowano do nas.

Był to zaiste tragiczno - komiczny moment. Ani jeden nerw w nas nie zadrgał. Byliśmy przekonani, że Niemcy nie użyją broni, byłby to dla nich ostatni dzień sądu. Ponieważ wachm. Czarski z na-

Zwolennicy „Wehrmachtu"

szego pułku został w międzyczasie zwolniony do domu, opiekę nad pozostałymi w obozie objąłem ja z Kiersnowskim. Mózgownice nasze mocno tedy pracowały nad całą sytuacją, aby, w razie użycia broni, rozbroić prusaków.

Hakatysta tymczasem rozkazał Moskalom przyszywać numery. Pierwszy krawiec zbliżył się do stojącego przy I plutonie wachm. Brzęk-Osińskiego, który krawca odepchnął. Na ten widok, ppłk. pruski rozkazał aresztować wachm. Brzęka. W chwili, kiedy kilku żołnierzy pruskich zbliżało się do niego, cały I pluton, około 50 ludzi, odmaszerowało z nim do aresztu. Widząc to Niemcy do reszty ogłupieli, a ich komendant stał bezradny, patrząc wytrzeszczonemi oczyma, za odchodzącymi. Orjentując się w sytuacji, w mgnieniu porozumieliśmy się, aby na moment dać hakatyście odrobinę satysfakcji.

Pozwoliliśmy Moskalom lekko przyszywać, aby tem łatwiej można było ich dzieło usunąć. W chwili, kiedy podoficer pruski, na kilkakrotne zapytywanie, meldował ppułkownikowi, że numery wszystkim przyszyto, zerwaliśmy je i bez zezwolenia skierowaliśmy się do baraków. Był to punkt kulminacyjny. Podpułkownik zapienił się w swej bezsilności, zbrunatniał, zzieleniał, trząsł obu rękoma, tupał, słowem szalał.

Wachm. J. Olszamowskiego natychmiast aresztowano i wywieziono. Następca maj. Kaupischa, kpt. Gliwitz postawił wartę przy wszystkich oknach i drzwiach, nakazując wartownikom nie wypuszczać z baraków nikogo bez numerów. Ponieważ zerwane numery porzuciliśmy na placu, nie można było nawet myśleć o wydostaniu się w nagłych wypadkach. Wieczorem, kucharze nasi, wracając z kuchni, przynieśli rozkaz kpt. Gliwitza, że bez numerów nie puści ich do kuchni. O godz. 9-ej wieczorem, wartę nadzwyczajną w naszym broku zdjęto. Po ustąpieniu prusaków, porozumieliśmy się z innymi oddziałami, poczem nastąpiło zebranie się Komitetu Żołnierskiego. Zdecydowano na wypadek presji, stawić bierny opór, nie posyłać kucharzy i nie przyjmować strawy, następnego dnia kucharzy niewpuszczono do kuchni.

W południe, Niemcy ugotowali obiad i przynieśli pod druty, nie chcieli jednak nikomu wydać bez numeru. Zajście powyższe miało miejsce 12 listopada i odtąd datuje się początek głodówki. Mimo kilkumiesięcznego złego odżywiania, zdecydowaliśmy się na podobny czyn, kosztem własnego życia, aby nie pozwolić Niemcom, względnie Wehrmachtowi, deptać naszego honoru żołnierskiego.

W całym obozie nastrój był zdecydowany. Wśród naszych z 2. p. uł. postawiłem sprawę w ten sposób, że wszystkie mizerne zapasy, zostały złożone do worka, zawiązane i oddane pod opiekę kpr. J. Kiersnowskiego. W ten sposób znaleźliśmy się w jednakowych warunkach. Mieliśmy jeszcze na osłodę niewielki zapas papierosów, ale i ten, wskutek dzielenia się ze wszystkimi, wkrótce wyczerpał się. Aby nie dopuścić do jakiejśkolwiek epidemji, zabroniliśmy pić wody. W piechocie dozwolono było korzystać z mizernych zapasów. Trzynasty listopad upłynął spokojnie, czternastego jednak, popołudniu, słabsze organizmy zaczęły mdleć. Silniejsi odnosili chorych do sanitarjatu.

Piętnastego listopada, niespodziewanie przyszli podoficerowie niemieccy i wydali rozkaz I Blokowi przenieść się na drugi koniec obozu. Widocznie otrzymali z Wehrmachtu instrukcję, aby zapobiegnąć naszemu wpływowi na piechotę. I w danym wypadku poradziliśmy sobie, ponieważ żołnierze słabsi w dalszym ciągu padali z wycieńczenia, wynosiło każdego z nich po 4-ch lub 6-ciu silniejszych, z których je-

den lub dwóch przechodziło do baraków piechoty. W ten sposób udało nam się utrzymać kontakt i zapewnić solidarność. Szesnastego listopada wyjechał z obozu łącznik nasz por. Mokłowski, aby interwenjować u Rady Regencyjnej. W niedzielę 18-go rano, por. Mokłowski wrócił, przywożąc nam hiobową wieść: „Rada Regencyjna odmówiła interwencji w naszej sprawie u władz pruskich".

Wtedy po porozumieniu się wspólnem, cofnięto głodówkę. Otrzymaną porażkę moralną zawdzięczaliśmy pseudo-Rządowi, któremu brakło cywilnej odwagi, na zdecydowane postawienie sprawy okupantom.

Następnego dnia, po przyszyciu numerów, haniebnych pieczęci jeńców, przeniesiono nas powrotnie do I Bloku, po upływie tygodnia przyjechało z Warszawy dwóch delegatów, z ramienia Rady Regencyjnej, aby naocznie sprawdzić warunki obozowe. Te ostatnie pozostawiały wtedy wiele do życzenia. Przy końcu listopada mróz był po kilka stopni. Spadł również śnieg. W prowizorycznych barakach, bez ogrzewalni, internowanym nie wystarczył cieplik własnego organizmu. Delegat, p. Staniszewski oświadczył, że poczyniono wszelkie starania, aby przenieść nas na wygodniejsze kwatery. W parę dni później, por. Mokłowski przywiózł nam wiadomość, jakoby postanowiono w Warszawie, przenieść nas do koszar pod Łomżą. W krótkim czasie nadeszła potwierdzająca wiadomość. W dniu 14 grudnia zarządzono zbiórkę internowanych w blokach, a po kontroli i zerwaniu pamiętnych numerów obozowych, odmaszerowaliśmy pod eskortą na kolej, skąd, po załadowaniu się do wagonów, ruszyliśmy w drogę. W Kaliszu na dworcu pociąg zatrzymał się. Tam też nastąpiło serdeczne pożegnanie nasze z Komitetem, który, przez cały czas naszego pobytu w Szczypiórnie, niósł nam, w ramach swej możności, ofiarną pomoc.

Szczerze żegnając, byliśmy i pozostaniemy wdzięczni Zespołowi Kaliskiego Komitetu, za tyle okazanego serca w naszej niedoli. Z Kalisza ruszyliśmy do Warszawy, skąd przez Ostrów i Komarów, Czerwony Bór, przyjechaliśmy do Łomży. Mimo obecności w każdym wagonie eskorty pruskiej, w drodze wyskoczyło z pociągu kilkunastu ludzi. Drogę mieliśmy ciężką: z braku ciepłej odzieży, wszyscy, w wagonach nieopalonych, drżeli z chłodu.

Po Szczypiórnie, ogrzane koszary w Łomży, jakoś nas lepiej nastroiły. Przeznaczono dla nas dwa budynki, oddzielone od całego kompleksu, podwójną linją trzechmetrowych płotów drucianych, nazewnątrz obozu ustawiono ośm posterunków warty pruskiej, a przy wartowni, na umyślnie przygotowanem podwyższeniu, ustawiony był

na obóz karabin maszynowy. W parę dni, po przybyciu, nawiązaliśmy kontakt z nowoutworzonym Komitetem w Łomży.

Ze względu na poprawę warunków, życie wśród internowanych zaczęło się ożywiać. Praca wewnętrzna obozowa spoczęła w rękach naszych. Zadanie podoficerów pruskich początkowo polegało na jednorazowem kontrolowaniu obecnych, a po ucieczce kilkunastu internowanych, na dwukrotnem sprawdzaniu. Komendę w obozie pełnił

Łomża. Wnętrze koszar

wachm. I. p. uł. Dan. Do Łomży, razem z nami przybyli ze Szczypiorna ppor. Dublańczyk-Piasecki z I. p. uł. i ppor. Koc Leon z piechoty.

W obozie zostały utworzone kursy ogólno-dokształcające, warsztaty stolarskie i ślusarskie, pralnie i t. p.

W pierwszej połowie stycznia, został zwolniony do domu J. Kiersnowski i uł. Domański. Kierownictwo nad internowanymi z 2 pł uł. ja objąłem i sprawowałem do ostatniej chwili, t. j. do dn. 13.VII.1918 r. Sanitarjatem w Łomży kierował pruski lekarz dr. Pawlak, asystentem jego był nasz sierżant sanitarny Ryll-Wardzewski. Przy końcu lutego, na miejsce zwolnionego do domu wachm. Dana, został wybrany na kierownika obozu sierżant Frenkiel. W pierwszych dniach marca, na jednem z wieczornych zebrań Komitetu Obozowego, uchwaliliśmy przesłać, z racji imienin na dzień 19 marca, szczere żołnierskie życzenia Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu w Magdeburgu,

dając w ten sposób dowód żołnierskiego oddania niezachwianej wiary i ufności w Jego pracę.

Zmuszony jestem nadmienić, że już od chwili przyjazdu do Łomży krążyły najrozmaitsze plotki obozowe, jakoby kawalerja i część piechoty miały być wysłane do robót przymusowych, bądź przy froncie zachodnim, bądź do kopalni węgla. Wersje podobne można było zrozumieć jako jeszcze jedną intrygę Wehr-

Łomża — Obozowy Komitet Żołnierski
Siedzą od lewej strony: chor. Czachowski, ppor. Mariszewski i Kpr. Leon

machtu, w celu zdemoralizowania zwartego zespołu ułańskiego. W tym to czasie dało się odczuć w obozie, cichą akcję Wehrmachtu, który wszystkich zgłaszających się do niego, miał zwalniać do miejsca przynależności, lub wcielać w swe szeregi. Po odejściu takich dwóch partyj po kilkunastu ludzi, zaczęliśmy się poważnie troszczyć o dalsze losy pozostałych. Z liczby czterech tysięcy z górą internowanych w Szczypiornie, do Łomży przyjechało koło dwóch tysięcy, reszta została w połowie zwolniona do domu, w połowie zaś, pod wpływem agitacji, zgłosiła się do Wehrmachtu. Wyjściem z tego labiryntu trosk naszych, było otrzymanie w dn. 23 marca listu od pułkownika Rydza-Śmigłego, który nas wzywał do wydostania się za wszelką cenę z obozu. Treść listu, była przeczytana w dwie godziny po otrzymaniu. na ogólnem zebraniu Komitetu Żołnierskiego. Wymieniony był sposób wyjścia, aby wszyscy zbiorowo zgłosili się do Wehrmachtu.

List powyższy doręczył komendzie naszej przyjaciel szczery druh nasz obozowy, zacny ks. kapelan Sikorski. Treścią listu byliśmy zaskoczeni, a po części przygnębieni. Zgłoszeniem zbiorowem, spodziewaliśmy się upokorzenia przed tymi, którzy ideę niepodległościową, zamienili na awans i marki pruskie. Wiedzieliśmy, że płk. Rydz-Śmigły jest zastępcą Komendanta Józefa Piłsudskiego, jasnem nam było, że w imię dobra Sprawy polecenie wykonać obowiązani jesteśmy, a jednak, w pierwszej chwili, wielu z nas protestowało przeciw zgłoszeniu się do Wehrmachtu.

Nic dziwnego, zbyt wiele upokorzeń przeżyło się w 2 p. uł., za nieukrywaną sympatję do I Brygady. A co przeżyliśmy podczas pamiętnych dni przysięgi, ile szykan znieśliśmy!... Zwalczyłem wszelkie trudności, rozbiłem cały szósty szwadron, 46 Królewiaków odeszło do obozu. Starałem się odciągnąć i z innych szwadronów o ile tylko możliwem było, a teraz po 9 miesiącach poniewierki iść i spotkać się z Zagórskimi lub im podobnymi zdrajcami, którzy Ideę Niepodległościową starali się miażdżyć na każdym kroku, dla których Sprawa Narodowa była na ostatnim planie, lub wcale Jej nie chcieli znać, nie — na samą myśl o tem pięść się zaciskała.

W takim oto nastroju toczyły się tarcia, w łonie Komitetu Żołnierskiego przez dwa dni, w poszukiwaniach za modus vivendi. Drugiego dopiero dnia wieczorem nastąpiło odprężenie i w konkluzji zastosowanie się do wskazówek płk. Rydza-Śmigłego[1]).

Po upływie paru dni otrzymaliśmy gazety, z których dowiedzieliśmy się o zawarciu pokoju przez państwa centralne z Bolszewją w Brześciu Litewskim. Tragedją nowego rozdarcia naszej ziemi byliśmy zaskoczeni, jednak na tych sąsiadów nigdy nie liczyliśmy, a co się tyczy ich wspaniałomyślności żadnych złudzeń nie mieliśmy. Byliśmy coprawda zdeterminowani na wszelką ewentualność, dziwnie jednak wierzyliśmy w lepsze jutro. Kwiecień upłynął spokojnie i monotonnie, psychicznie byliśmy silniejsi, bowiem Wehrmacht, po zgłoszeniu się doń wszystkich, przestał nam wykradać ludzi z obozu.

W dniu 6 maja, spacerując po placu obozowym z Antonim Mostowskim, zostałem wezwany przez podoficera niemieckiego do Komendy Obozu. Tam mi zakomunikowano, że na podstawie starań rodziców i poręczeń Kielczan, będę zwolniony za parę dni do domu. Rano ósmego maja, dwaj ułani z I p. oświadczyli w całej kompanji, o ułożonym przez nich planie ucieczki przez druty, a ponieważ w magazynie obozowym, mieliśmy na składzie ofiarowane przez komitet w Łom-

[1]) Powyżej cytowana dyrektywa pułk. Rydza-Śmigłego będzie przedstawiona szczegółowiej w jednej z publikacyj, omawiającej ten okres. (Przyp. Red.).

ży, ubrania cywilne, ułani, po przebraniu się, spróbowali o 10-ej rano szczęścia, które im się w zupełności uśmiechnęła. A było co podziwiać. Do podobnego fortelu tylko byli zdolni „leguni". Jak już wspominałem, obóz w Łomży tworzył prostokąt, przylegający do szosy. Dla nas wydzielono dwa budynki, otoczone podwójną linją płotów z kolczastego drutu. Wysokość płotu wewnętrznego była 3 metry, zewnętrznego $3^1/_2$ metra. Dokoła obozu płoty dzieliła trzechmetrowa przestrzeń.

Pierwszy budynek, zamieszkały przez piechotę, położony był rownolegle do szosy. Z tej to strony frontowej, długość płotu zewnętrz-

Ucieczka 12-tu legjonistów z obozu w Łomży

nego była koło 30 metrów, nazewnątrz którego bezpośrednio przylegając rosło dziewięć drzew kasztanowych. Drzewa w tym czasie nietylko były okryte listowiem, lecz i bielą kwiecia. Na tej 30-metrowej przestrzeni stały dwa posterunki wyborowych niemieckich żołnierzy. Obowiązkiem każdego z nich było chodzić na przestrzeni 15-metrowej. Wolnym krokiem zbliżali się do środka płotu, a następnie rozchodzili się w przeciwną stronę. Moment ten był doskonale wyzyskany przez amatorów większej swobody, Aby im ułatwić ucieczkę, urządziliśmy promenadę wzdłuż wewnętrznej linji ogrodzenia.

Wszyscy byliśmy w mundurach. Początkowo wartownicy zwracali uwagę, wkrótce jednak oswoili się i przestali się interesować naszym widokiem. Był to czas najodpowiedniejszy, w którym ludność okolicznych wsi spieszyła do kościoła w Łomży. W momencie kiedy wartownicy rozeszli się, uciekinier w cywilnem ubraniu wyskakiwał na pierwszy płot, następnie w dwóch krokach dopadał płotu zewnętrz-

nego i dostawał się na kasztan, z którego zeskakiwał na ziemię, a przez rów na szosę przechodził już normalnym krokiem. W ten sposób, w przeciągu 4 godzin wydostało się z obozu 12 ludzi. Wiadomość o tem sprawiła na Niemcach piorunujące wrażenie. W przeciągu pietnastu minut wszyscy internowani znaleźli się w koszarach. Cały obóz otoczono tyraljerą pruskich żołnierzy. Do wnętrz weszli oficerowie i podoficerowie pruscy. Po ścisłej kontroli, zaczęli szukać podkopu w piwnicach, a nie znalazłszy go udano się na strychy. Po bezowoc-

Szczypiorno. Głodowy marsz

nych poszukiwaniach i surowych zarządzeniach wewnątrz obozu, Komenda Pruska opuściła teren.

W nocy ktoś jednak zdradził, ponieważ następnego dnia, koło 11-ej rano Gubernator w Łomży przyjechał i badał miejsce ucieczki. Nie wierząc, aby tą drogą w dzień ktoskolwiek mógł się wydostać, kazał żołnierzom pruskim przechodzić przez płoty. Mocno współczuliśmy biednym kamratom, którzy po tej gimnastyce wyszli zupełnie poszwankowani, z pokaleczonemi rękami i podartemi „onemi". Obu wartowników, którzy stali wtedy na posterunku, zamknięto na sześć tygodni ścisłego aresztu. W obozie natomiast zastosowano presje; zamknięto pocztę i wszelkie zwolnienia z obozu, zabroniono utrzymanie kontaktu z Komitetem w Łomży, słowem odcięto obóz od świata na sześć tygodni.

W końcu czerwca 1918 roku nadesłano z Wermachtu rozporządzenie, aby internowanych poddać przeglądowi lekarskiemu i zdrowych wysłać do obozu ćwiczeń w Ostrowiu, chorych zwolnić do domu.

Z 63 ułanów z 2 p. 9 ratowało się ucieczką, 4 zwolniono jako małoletnich, 22-ch zwolniono na podstawie starań rodzin, 28-iu pozostało do ostatniej chwili. Z tych dziesięciu uznano jako słabszych i ci mieli być zwolnieni, ośmnastu, do których i ja byłem zaliczony przeznaczono do obozu ćwiczeń w Ostrowiu - Łomżyńskim. W dniu 13 lipca zarządzono o godz. 8-ej rano zbiórkę na placu, a po kontroli obecnych, odprowadzili nas podoficerowie i żołnierze pruscy z bronią na dworzec kolejowy.

Tam też zastaliśmy przybyłą delegację wermachtowców, składającą się z kilkunastu oficerów i takiej że ilości podoficerów.

Wytworzyła się ciężka sytuacja. Przyprowadziła nas eskorta pruska, oni zaś wolni, błyszczący, pobrzękujący szablami. Stanęliśmy naprzeciw siebie.

Mimo, że każdy z nas znał niejednego z tej paczki, mimo, że sami przypominali się, ani jedna ręka z naszej grupy nie wyciągnęła się na powitanie. Podstawiono pociąg towarowy, z jednym wagonem osobowym. Dla internowanych przeznaczono wagony towarowe. Do każdego wagonu przydzielono po dwóch żołnierzy pruskich z bronią.

Aby mieć pełną satysfakcję nie składania przysięgi okupantom, poleciłem współtowarzyszom podzielić się moimi prywatnemi rzeczami, sam natomiast wyskoczyłem z pociągu w biegu. Do Lublina doszedłem pieszo, a po dziesięciodniowej kuracji, udało mi się pociągiem dojechać do Kielc.

Tam już byłem w domu, wolny od Niemców, głodu i strasznej obozowej poniewierki...

PRZYPIS Nr 1.

ROZKAZ DZIENNY.

Szczypiorno dn. 6.VIII 1917 r.

Żołnierze! Trzy lata mija od chwili, gdy narody Europy walkę wzajemną słowem i piórem zdecydowały zawiesić...

Ryknęły działa, kurtyna strasznego teatru wojny światowej wśród trzasku karabinów, zerwana. Pierś zwarła się z piersią, trysnęła krew, słupy dymu i ognia w niebo buchnęły. Wrzawa walczących, jęk mordowanych napełniły powietrze.

Struchlała Polska.... blada i bezradna stanęła w pierścieniu ognia i żelaza. Każdy pocisk choć nie do Niej skierowany, w Nią godzi. Gdzie spojrzy, ręka polska, pierś polską bagnetem roztwiera. W koło ogień i dym, co Jej gniazda rodzinne wniwecz obraca. Na Jej łonie walczą, ale nie za Nią, a przeciw Niej. O Nią się biją, ale nie dla Niej, Jej synów krew się leje, ale nie w Imię Jej praw, Jej interesów. I oto wśród ogólnego zdrętwienia znalazł się jeden w Polsce Człowiek, co głowy nie stracił i rąk nie opuścił, Miał siłę głosem doniosłym wołać: „Żołnierzu Polski, nadeszła chwila rycerskiej dla Ojczyzny potrzeby". A w głowie Jego tyle było potęgi i siły, tyle żaru miłości Ojczyzny, tyle wiary w Naród i w siebie ufności, że... stał się cud. I ten, który był umarł... zmartwychwstaje. I Polska szczęknęła bronią i Polski błysnęły bagnety. I błonia Krakowskie powlokły szare polskie mundury. I spojrzawszy w żołnierskie oblicza, młodzieńczym zapałem tchnące, szczęściem promieniejącego, na rękę wątłe żądzą czynu nerwowo drgające, mówił Komendant: „Żołnierze! Rozpoczęte są śmiertelne zapasy wszechnarodów o prawa swoje. Oto polskiego Narodu tam brak, bo nie stało tych, co krew swoją w Jej imieniu przelewać mogli. Pójdziesz Ty postawić Naród polski w gronie wolnych walczących narodów. Krew Wasza wpły-

wać ma do serc wystygłych rodaków i żarem swoim zapalić je tak, by potęgą i żądzą czynu zabiły. Krew Wasza ma się z krwią wrogów Ojczyzny pomięszać i łącznym popłynąć strumieniem, bo on jedynie moc noszenia kajdan Narodu posiada. Pod moimi pójdziecie rozkazami. Wszechświatową sławę oręża Polskiego w Wasze złożono ręce. Z ufnością, że czynami swoimi blask Jej nie tylko zachować, lecz podnieść będziemy zdolni. Prowadzić Was będzie Królewski Ptak, co niegdyś Państwa, a dziś Narodu naszego jest znakiem. Przewodzić nam będą rycerskie duchy przodków naszych". I padły słowa polskiej komendy i ruszył żołnierz polski śladami Ojców na pole krwi, trudów i chwały. To dzień 6 sierpnia 1914 roku. Potem długie trzy lata okrutnych walk, bohaterskich wysiłków w nadludzkich ofiarach. Wędrując borem, lasem, żołnierz polski obficie skrapiał krwią i kośćmi własnemi zasiewał ziemię Ojczystą. Wśród szczęków broni, nieustannej wrzawy bitewnej minęły dnie 6.VIII 1914 — 1916 roku.

Dziś tom naszych dziejów zamknięty. Spójrzmy poza siebie i obrachunek zestawmy. Nie czynów, nie krwi i trudów, nie zwycięstw żołnierskich, bo na to mamy czas, ale obrachunek rzeczywistych celów. I oto widzimy! Naród nasz z gnuśności i apatji wyrwany, z pleśni niewoli podlącej, coraz goręcej czuje i myśli po polsku. Stare tradycje oręża polskiego nowemi, żywemi się stały.

Sprawa Narodu przed forum Europy i świata całego wzniesiona. To są zdobycze wagi pierwszorzędnej, zdobycze, których wartość dyskusji podlegać nie może i których nikt wydrzeć nam nie jest w możności. Są i rezultaty tak zwane realne. A więc, ustąpienie z ziemi naszej tych, przeciw którym ostrza polskich bagnetów zwrócone były. A więc ustanowienie Rządu polskiego, a ściślej mówiąc nie polskiego, jeno złożonego z polaków.

Te ostatnie zdobycze acz realne, są wartościami zmiennemi, to też znaczenie ich jest dzisiaj pojęciem względnem.

Marzeniem, celem ofiar, wysiłków i znoju żołnierza polskiego było i jest utworzenie własnego Rządu, krwią żołnierza tego cementowane, stanęło dla Rządów przeznaczone. Niemcy uwierzyli. Nim Rząd dla polaków chwiejny, bojaźliwy, bez władzy i powagi zgodził się trwać, choć mając pretensję Polskim się nazywać, wiedział dawno i wie, że parawanem jest tylko, przysłaniającym rzeczywisty stosunek Niemiec do Polski, przed oczyma Świata. I Rząd ten w najdrobniejszej kwestji, prawa decyzji nie posiadał, który o włos ciężkiej doli mężnego Narodu Polskiego poprawić nie był mocen. A jednym z wypadków, otrzymuje od swych mocodawców upoważnienie, uchwala swą kompetencję, wydaje żołnierzowi polskiemu rozkaz złożenia pamiętnej przysięgi. W rocie przedłożonej, detronizuje siebie, każe,

by ślubował wierność i ślepe posłużeństwo okupantom. I oto z rąk tego Rządu pada grom, co w puch rozbija nasze wojsko, dorobek trzyletniej pracy niwecząc. I oto z woli tego Rządu, tysiącom żołnierzy polskich broń z ręki wytrąconą zostaje, z Jego woli i ku Jego pohańbieniu żołnierzom, których bohaterskim wysiłkom i krwi przelanej Rząd istnienie swoje zawdzięcza, do niemieckiego obozu jeńców wtłoczono. Ten, co wskrzesicielem i prawdziwym wodzem żołnierza polskiego był w boju, co ster nawy Narodowej ujął w silne dłonie, gdy burze dziejowe szaleć poczęły i w otchłań pogrążyć Ją chciały, a odwagi i rąk do pracy zabrakło, — dzisiaj w więzieniu. Żołnierz polski, którego Ojczyzna przez Jego usta, do potrzeby rycerskiej wezwał, jak zbrodniarz dziś drutem i bagnetami otoczony. To jest dzień 6 sierpnia 1917 roku. Ale Jego Komendanta żołnierzy nic nie zdoła zachwiać.

Więc w górę serca! Choć dziś w kajdanach, jutro z podwójnym zapałem staniemy do pracy.

Wiemy, że sprawa nasza jest Świętą i będzie zwycięską. Wierzymy, że kiedyś zwyciężył Chrystus Judasza choć wielu padnie. Lecz przyszłość nasza.

Komendant obozu *Tessaro - Zosik.*

PRZYPIS Nr 2.

ROZKAZ DZIENNY.

Szczypiorno dn. 19.X. 1917 r.

1. Blok służbowy VII.
2. Inspekcyjny obozu sierżant X.
3. Komenda obozu w porozumieniu z żołnierskim Komitetem obozowym wysyła do Rady Regencyjnej adres powitalny tej treści:

Z wyrazami hołdu i powitania dla powstałej Władzy Narodowej Państwa Polskiego śpieszymy żołnierze polscy, odsunięci od dzieła tworzenia armji polskiej i w obozie przez obcych osadzeni za to, żeśmy przysięgać chcieli tylko prawowitemu i samodzielnemu Rządowi Polskiemu.

Śpieszymy dać wyraz wielkiej radości ogarniającej jako tych, którzy od dn. 6 sierpnia 1914 roku i później w przebiegu wielkiej wojny narodów za przewodem Komendanta Józefa Piłsudskiego o to wyłącznie walczyli, by na polskiej ziemi mógł powstać Rząd Polski.

Nadzieja nie opuszczała nas, gdyśmy broń ukochaną składać w pułkach byli zmuszeni i wtedy nawet, gdy pułki, do których przylgnęliśmy całą duszą naszych istnień, przestawały egzystować. Nadzieji naszej widzimy urzeczywistnienie. Oświadczając się służyć zbrojnie Ojczyźnie w potrzebie, uważamy za najdroższe dla nas prawo i obowiązek.

Z najgłębszym zaufaniem witamy obejmowanie Naczelnego Zarządu sprawami Narodu Polskiego, przez Wysoką Radę Regencyjną, widząc w Niej uosobienie Majestatu powstającej do nowego życia Polski Niepodległej.

Kom. *J. Olszanowski.*

Wacław Sokolewicz

GARŚĆ WSPOMNIEŃ Z ZA KRAT OBOZU HAVELBERSRIEGO

Zgórą już 11 lat upłynęło, gdy w konsekwencji udziału swojego w pracach P. O. W., po miesięcznym pobycie w wojskowem więzieniu niemieckiem w Łodzi, dzieliłem niedolę braci legjonowej i peowiackiej w obozie Szczypiorniańskim.

I oto pewnego pięknego poranku sierpniowego wraz z kilkoma kolegami peowiakami wyprawiono mnie do obozu karnego w Hawelbergu.

Havelberg, małe miasteczko w Prusach północnych, wywarł na mnie przygnębiające wrażenie. Miasteczko same, położone nad rzeczką Havel, schludne, czyste, ładnie zabudowane zdawało mi się w swej prostolijności i nieskomplikowanych bryłach architektonicznych symbolem czy wyrazem mojego ówczesnego stanu duszy: wyludnione, powleczone głębokim smutkiem zamarłego życia, nosiło na sobie wyraźne piętno zadanego gwałtu. Jakaś przeraźliwa pustka wyzierała z każdego kąta, czaiła się na każdym rogu ulicy, wychylała się z każdego zaułka, ziała beznadziejnie z zasnutych zielonemi lub ceglastemi żaluzjami domostw. Bogata zaś, aczkolwiek jednostajna, zieleń roślin i drzew wzdłuż ulic i na placach miejskich podnosiły jeno ten nastrój przesmutny.

Minorowym akordem dostrojonym do całości tej jedynej w swoim rodzaju symfonji przykrych nader wrażeń był następujący obrazek: chudy, żółty pies, poszczekując jękliwie i żałośnie, ciągnął wózek biednej staruszki, wypełniony grochowinami... Staruszka dreptała w drewnianych trepach, z suchą witką w ręku, którą poganiała nieszczęsne zwierzę.

Wszystko to powodowało, że chwilami ogarniało mnie przygnębienie i uczucie osamotnienia, ale były to tylko krótkotrwałe chwile, jakby refleksy wywołane nastrojem otoczenia. Natomiast coraz silniej utrwalała się we mnie żądza odwetu i bezwzględny nakaz: wy-

trwać! Nakaz ten potęgowała myśl: Komendant w kazamatach magdeburskich!

Tymczasem konwojujący nas landszturmiści, jakby znudzeni już docna i obojętni aż do stępienia na wszystko, co się wokół nich działo, doprowadzili nas do Komendy obozu, położonego o jeden kilometr za miastem, na wydmie piaszczystej. Po załatwieniu formalności przez prowadzącego konwój podoficera w kancelarji komendy obozu, przejął nas do niego jeden z podoficerów obozowych i zaprowadził do baraku przeznaczonego dla jeńców politycznych, do których zaliczano oficerów legjonowych, peowiaków, pepesowców i socjaldemokratów.

Zaraz na wstępie, na podwórzu przed barakiem, natknąłem się na kolegów peowiaków, którzy przybyli tu ze Szczypiorny na jakies dwa tygodnie przedemną. Wesołe powitanie i dopytywania o kolegów, którzy pozostali jeszcze w Szczypiornie, odrazu wywołały inny nastrój, nastrój niefrasobliwej radości życia. Obywatel Marek, peowiak z płockiego, wziął na się trud zapoznania mnie z nieznanymi mi jeszcze mieszkańcami baraków. Przedewszystkiem przedstawił mnie dyżurnemu, który stał wówczas pod daszkiem przy zaimprowizowanem na środku podwórca ognisku kuchennem i warzył w wielkim garnku zupę dla kolegów, mieszając ją cięgiem i pilnując bacznie, by się jadło nie przypaliło. Któżby odgadł w tym obywatelu kucharzu dzisiejszego pułkownika d-ra Kołłątaja - Srzednickiego, Szefa Sanitarnego O. K. I.

Ulokowano mnie w części ogólnej baraku, wśród młodszej braci legjonowo - peowiackiej. Zmęczony podróżą i wrażeniami przespałem snem twardym noc na sienniku, wypchanym papierowemi odpadkami, a rozesłanym na dwóch deskach dwupiętrowej kondygnacji drewnianych prycz. Nazajutrz jednak, za wstawiennictwem starszych kolegów, bezpośredni komendant części obozu, do której należał nasz barak, prusak jakiś, jak widać z nazwiska, renegat, kapitan Zyzewitz pozwolił mi przenieść się do t. zw. „kopfsztuby", którą stanowiła izba w tymże baraku, oddzielona przepierzeniem i przeznaczona dla uprzywilejowanych kilkunastu współwięźniów. Było tam znacznie wygodniej i przytulniej. Prycze były tylko jednopiętrowe. Miejsce dostałem na piętrze, obok poruczników: Zinth - Rzeckiego i Ostrowskiego, a nad kapitanem doktorem Kołłątajem. W „kopfsztubie" oprócz wyżej wymienionych miałem tak godne towarzystwo, jak znanych ze swoich bojów legjonowych kapitana Orlicza - Dreszera, porucznika Grzmot - Skotnickiego, kpt. Krok - Paszkowskiego, kpt. Zosika - Tessaro i ppor. Morusa - Szafranowskiego. Z cywilnych zastałem tam czcigodnego rejenta Dreszera, ojca kpt. Orlicza, który był „dolme-

czerem" baraku, coś w rodzaju starosty więziennego i zarazem tłumacza, oraz obywateli Pruszkowskiego i Naziębłę.

Przeprowadzka moja nie była ani trudna, ani zbyt skomplikowana, gdyż kilku kolegów peowiaków pomogło przenieść moje, jak na stosunki hawelberskie, dość obfite wyekwipowanie.

Pamiętam, w parę dni po mojem zainstalowaniu się w „kopfsztubie" przyniósł pocztę dla jeńców w baraku ogólnie przez nas znienawidzony pruski podoficer, przydzielony do naszego baraku, jakiś po-

Havelberg. Grupa internowanych

dobno w cywilu właściciel sklepu z konfekcją damską w Berlinie. Arogancki ten żołdak stanął przed naszą „kopfsztubą i, nie wyjmując cygara z ust, zawołał z butą prusaka: „Kolontaj — list!". Milczenie. Nikt się nie podniósł z naszej strony, by list odebrać, chociaż wiedzieliśmy dobrze, o kim mowa, tem bardziej, że Dr. Kołłątaj był między nami i słyszał wyraźnie wezwanie.

— „Czemu Kolontaj nie zgłasza się po list?" — zagrzmiał powtórnie bas prusaka, zwróconego tym razem dobitnie w stronę kapitana Kołłątaja.

— „Bo niema tu żadnego Kolontaja, a jest kapitan Kołłątaj"! — padła donośna odpowiedź, gdzie siedział wzburzony nasz ogólnie kochany obywatel Kołłątaj.

Zaczerwieniony ze złości prusak na te słowa podszedł do kapitana i mówiąc „proszę", wręczył mu list.

Zresztą nieprzejednane stanowisko do pruskiego wroga staraliśmy się zaznaczać na każdym kroku i przy każdej sposobności.

Szczególnie jaskrawo to wypadło, gdyśmy święcili uroczyście rocznicę powstania Kościuszkowskiego.

Od wczesnego rana w baraku naszym zapanowała atmosfera święta narodowego. Na podwórcu, w przeddzień należycie uporządkowanem, zaimprowizowaliśmy ołtarz polowy. Uproszony ksiądz Litwin

Havelberg.

Siedzą od lewej: kpt. Dr Jan Kołłątaj-Srzednicki, Roman Pruszkowski, J. Dreszer, Wacław Naziembło, Wacław Sokolewicz, ppr. Szafranowski. Stoją od lewej: por. Skotnicki, ppor. Ostrowski, rtm. Orlicz-Dreszer, i. p. por. Zinth-Rzecki, kpt. S. Tessaro

odprawił mszę polową, do której służyli nasi peowiacy. W czasie mszy chór peowiaków wykonał pieśni patrjotyczne „Boże coś Polskę", „Rotę" Konopnickiej oraz kilka pieśni legjonowych. Po nabożeństwie ksiądz wygłosił kazanie, z którego zapamiętałem charakterystyczny ustęp: „nawet u nas, na Litwie, w Wilnie, świętują dzisiaj również rocznicę wielkiego waszego wodza Kościuszki". Następnie odbyła się defilada w ordynku wojskowym kilkudziesięciu legjonistów i peowiaków, którą prowadził ppor. Szafranowski, dzisiaj pułkownik t. zw. „Morus" lubiany przez wszystkich za swój niewyczerpany humor i niefrasobliwość. Defiladę zaś przyjmował w otoczeniu starszyzny legjonowej kpt. Krok-Paszkowski ceniony i szanowany po-

wszechnie ówczesny komendant szkoły podchorążych P. O. W. Na przedzie oddziału kroczył w otoczeniu asysty honorowej chorąży Drymar (dzisiejszy kapitan), niosąc rozpięty sztandar z Orłem Białym.

Chwila była rzeczywiście osobliwa

Ze wszystkich baraków wylegli jeńcy na swoje podwórza przedbaraczne, a dookoła drutów naszego podwórca skupili się landszturmiści: żołnierze i podoficerowie, oraz jeńcy Francuzi i Anglicy, podziwiając garść Polaków, którzy nawet za kratami nękani głodem, chłodem i nostalgją za swoim ukochanym Wodzem -- Komendantem i za krajem, umieli wysoko nieść sztandar ojczysty. Pod stropy zaś pruskiego nieba płynęły dźwięki chóralnej pieśni legjonowej, opiewającej nasze bóle, nasze skargi, nasze tęsknoty i nadzieje. Pełne znaczenia naówczas słowa przysięgi „Roty" Konopnickiej zapalały w nas samych męstwo i odwagę, utrwalając w sercach naszych moc dążenia do zwycięstwa, hartując na spiż i stal uczucia i nerwy...

Po defiladzie odbyło się w naszej izbie „kopfsztubie" — skromne śniadanie, na które zaprosiliśmy księdza oraz gości jeńców Polaków z innych baraków. Między innemi obywatela Czyża, dzisiejszego wiceprezydenta Wilna i ob. Filipowicza, obecnego Prezesa Rady miejskiej w Białymstoku.

Po obiedzie w odświętnie przybranej zielenią izbie ogólnej baraku urządziliśmy akademję. Po wstępnem zagajeniu przez ob. Piotra Góreckiego, dzisiejszego dyrektora P. A. T.'a referat o powstaniu Kościuszkowskiem wygłosił ob. Stanisław Targowski (dzisiejszy redaktor Hasła Łódzkiego). Referat był ujęty w formie nowelistycznej opowieści o Kościuszce i jego czynach i wywołał żywe wspomnienie o Komendancie, z którym nas rozłączyła wówczas wraża przemoc. Ale zrządzenie Opatrzności chciało, że Wódz nasz i my trwaliśmy na jednej i tej samej ziemi pruskiej, oczekując sposobności, by tęsknie wysyłany z za krat więziennych wzrok objął wreszcie wolną i zjednoczoną Ojczyznę.

A czas dłużył się nam niewymownie. Brak wiadomości z kraju, niepewność sytuacji politycznej, a przedewszystkiem troska o Komendanta i jednocześnie więzienie, niemoc własna, skrępowanie ruchu — to wszystko acz hartowało, ale nie mniej gnębiło i powodowało depresję. Byliśmy jednak silni wiarą w niespożytość naszej świętej sprawy i mocni ufnością w Komendanta, do którego przywiązanie i miłość łagodziły w znacznym stopniu udrękę naszą. Chóralne śpiewy wieczorowe braci peowiackiej pieśni patrjotycznych i smętne lub wesołe piosenki legjonowe jakoteż przepiękne opowiadania naszych współtowarzyszy niedoli Hawelberskiej — bohaterskich oficerów legjonowych z Orliczem na czele o ich przeżyciach bojowych podtrzy-

mywały w nas wszystkich nastrój i ducha, wywołując wciąż tak niedawno przez nas samych przeżywane chwile czyto w bojach, czyto w pracy konspiracyjnej P. O. W., gdy zwalczało się nieprzyjaciela z dwóch stron: wroga, okupującego bezlitośnie kraj oraz opieszałość, nieufność i nawet nieprzyjacielski stosunek własnych rodaków do umiłowanego przez nas Wodza i Jego idei.

Zdarzały się jednak w obozie wypadki, że tak powiem tragi - komiczne, które pozwalały na chwil kilka dłuższych lub krótszych zapomnieć o naszem ciężkiem położeniu. Naprzykład pamiętam, ile wesołości wywołała u nas inspekcja sanitarna przeprowadzona przez dwóch lejtenantów - lekarzy, przysłanych ze sztabu generalnego z powodu szerzącej się wówczas w Prusach epidemji duru brzusznego. W dniu inspekcji wywołano nas do apelu na podwórze i tam uszykowano w dwuszereg zwrócony twarzami do siebie. Na rozkaz jednego z tych pruskich lekarzy najsampierw jeden, a potem drugi szereg musiał wysunąć języki, a następnie stać z wysuniętemi dotąd, dopóki Niemcy nie przeszli tam i z powrotem między szeregami. Z naszych języków orzekli krótko: „alles gesund" i poszli do następnego baraku, aby w ten sam sposób badać stan zdrowia pozostałych jeńców w obozie i zapobiegać epidemji.

Na szczęście choroby omijały mieszkańców naszego baraku. Sytuację ratowała i nasza postawa: stanowiliśmy oddział zorganizowany wojskowo, stosując się pilnie do wymogów higjeny, choćby najprymitywniejszych, ale poniekąd gwarantujących nam ogólny stan zdrowotny. Nad higjeną w baraku i zdrowiem naszem czuwał niezmordowany dr. Kołłątaj.

Chociaż przeżycia nasze w obozie Havelberskim były ciężkie, a częstokroć i bolesne, jednak teraz, po latach, gdy święcimy wielkie zwycięstwo naszej idei, wydają się one nam jako chwile radosne i szczęśliwe, gdyż z nich wykwitła wolność.

Tadeusz Münnich

WŚRÓD C. K. „TREPÓW"

Długą i wyboistą była ta święta droga, po której wiódł swojego żołnierza Komendant Piłsudski do Niepodległej Polski. Na jej ciężkim, pełnym utrudzenia szlaku zbiegły się jakby wszystkie echa mrocznych dni niewoli. Rozpoczęta u pól Racławic, po przez krwawe pobojowiska 63 roku Małogoszcza i Miechowa, sięgająca swojemi ścieżkami niemal pod mury Warszawy — wiodła przez teren najdalszych zagonów 31 roku, na Wołyń, aż do krańców dawnej Rzeczypospolitej.

Taką była na mapie. Jeszcze bardziej i żywiej zwarła w sobie całe przekleństwo wiekowej niewoli droga druga, szlak moralny, którą dążyły za Komendantem serca Jego wiernych Strzelców. Bo choć była z nimi wolna Polska, którą w sercach nieśli, choć był z nimi Komendant, w którego każdy żołnierz strzelecki wierzył, że to „On zwoła sejmowe stany, że na Sejmie się pojawi sam w stolicy, że nas zbawi" — to jednak rzeczywistość, idąca krok w krok za nimi i obok nich, brzmiała im ciągle bolesną nutą niewoli, w której się zrodzili i z której mieli się oczyścić, idąca w krok w krok za nimi i obok nich, brzmiała im ciągle bolesną nutą niewoli, w której sę zrodzili i z której mieli się oczyścić dopiero w ogniu walki i w czyścowej wędrówce przez druty obozów i szeregi obcych żołdaków. I nie były symbolem jeno narzucane żołnierzowi Komendanta czarno-żółte opaski z pogardą wdeptane butem polskiego piechura w błota Szczucina; piętno poddaństwa obcego ścigało nas stale, robiło z nas żołnierzy bezimiennych, żołnierzy pseudonimowych, wiodło Króla — Kaszubskiego na szubienicę carską, wiodło innych przed „kriegsgerichty" — aż wreszcie jako ostatni etap trójpoddańczego życia zapędziło żołnierzy Komendanta w pruskie obozy jeńców i w austrjackie, wraże szeregi.

I była ta Legjonowa epopeja jakby skrótem okresu wszystkich walk niewoli. Szedł żołnierz Komendanta w bój ze stałą przemocą, bez broni, źle odziany, w kurtce strzeleckiej i bluzie peowiaka, w zbrojnym szeregu lub w samotności konspiratora, wywiadowczyni czy kurjerki — szedł na Sybir, czy na szubienicę do obozów jeńców lub w obce szeregi najeźdźcy, jak jego przodkowie po 31 roku, bić w obcym mundurze wroga swoich wrogów. Tak jak ongiś jego dziadów, gdy ich z munduru polskiego odarto, pędzono na zgnębienie kaukazkich górali, walczących o wolność z carską przemocą, która i ich własną gnębiła ojczyznę, tak żołnierza legjonowego pędzono w niewolę, innych wcielano w szeregi austrjackie, jako poddanych tego państwa, które zawsze znajdowało dla stłumienia porywów wolności, drogę najmniej rycerską, najbardziej perfidną i chytrą.

Skoro więc wydobyć dziś pragnę wobec towarzyszy broni i historji i odtworzyć garścią wspomnień te górne i chmurne chwile, gdy zawarte w tej księdze wspomnienia odtworzyć mają obraz tego, co przeżywały serca i wykazać jak rozległym był plac boju, na którym wiódł Komendant walkę z zaborcami, jak różnorodne były odcinki tej walki, gdy ożywić zamierzany te ogniska, gdzie gorzała Jego idea poza polami legjonowych bitew, kiedy nie stało już zwartych szeregów — niechże wśród przeżyć tych, których przemoc zaborców wpędziła w mury więzień lub za druty obozów, — nie zabraknie i tych, którym nie było danem ulec jawnej przemocy, którym poskąpiono nawet tej osłody, jaką daje znoszenie przewagi wroga we wspólnej braterskiej gromadzie. Niech nie zabraknie słowa pamięci o tych, których wcielono w obce szeregi, przyobleczono we wrogi mundur, poniżono i rozsiano między różnojęzyczne ludy i dla dopełnienia goryczy kazano służyć i pracować dla znienawidzonej przemocy.

* * *

Chcę tu rzucić kilka wspomnień o tych żołnierzach 1. Brygady i związanych z nimi wspólną ideą innych pułków legjonowych, którzy jako austrjaccy poddani w pamiętnym okresie odmówienia przysięgi już po zabraniu ich towarzyszy do Szczypiorna i Benjaminowa — zostali jakby okaleczonem ciałem dawnych pułków Brygady, żeby po krótkim okresie znękania i niepewności rozprószyć się po armji austrjackiej i obiec w jej szeregach wszystkie fronty.

Los ten dotknął prawie że połowy starych żołnierzy 1. i 3-ej Brygady Legjonów, jak również całego szeregu zasłużonych w walkach dowódców: płk. Rydz-Śmigłego, kapitanów — Karaszewicza-Toka-

rzewskiego, Olszynę-Wilczyńskiego, ś. p. kpt. Lisa-Kulę, kpt. Bolesławicza, ppor. Fydę, Wira-Konasa, Pandora-Furgalskiego, Więckowskiego i wielu, wielu innych, oraz tysięce szarego żołnierza legjonowego.

Wspomnienia te żyją jeszcze niezatarte w ich pamięci, trudno więc ująć je tutaj w całości. Rząd Habsburgów był bowiem przezorny. Po odejściu bowiem Królewiaków do Szczypiorny, rozdzielił najpierw pozostałe oddziały pułków 1, 4, 5 i 6-go oraz 1. ułanów i art., — dzieląc nawet poszczególne bataljony i każdą z tych partyj rozsyłał dopiero na różne odcinki swoich rozlicznych frontów. Odchodziły te transporty nagle, nikt nie znał ich kierunku, zaś po przybyciu w pobliże frontu rozbijano je na coraz drobniejsze grupki, wydzielano z nich oficerów legjonowych, rozsiewano po różnych austrjackich pułkach. Stąd każdy z nas niemal inne miał przeżycia, inne przechodził koleje, na różnych walczył frontach. Jedno tylko łączyło ich wspólną nicią: wiara w zwycięstwo i wspólna moralna siła jak i moralna udręka.

Pragnąłbym też, żeby ci, którzy ten okres przebyli w armji austrjackiej — mogli przez swoje wspomnienia dać całkowity obraz twych przeżyć. Będą one nietylko świadectwem dla przyszłości, ale raportem złożonym Wodzowi, a dla kolegów z obozów niemieckich — jakby gawędą żołnierską z walki, którą stoczyliśmy na dwóch różnych pobojowiskach — dla wspólnej sprawy.

Gdy z końcem lipca odjechały z Zegrza do Szczypiorna transporty „Królewiaków" i gdy odprowadziliśmy konno gromadę kolegów oficerów do pobliskiego Benjaminowa, rozpoczęły się dla reszty 5-go pułku, złożonego już tylko z samych „Galicjan" — ponure dni.

W ten stan odrętwienia, jakby po stracie połowy rodziny, padła w kilka dni wieść, że Komendant porwany został do Niemiec. Ciężko i trudno wyrazić ówczesne nastroje, tak były ciężkie i bolesne.

Wreszcie przyszło i nam 28 sierpnia 1917 roku odejść na teren panowania Austrji. Zawagonowani w Zegrzu na transporty, ocknęliśmy się dopiero pod Przemyślem, dokąd skierowano pozostałe legjonowe oddziały, już wówczas przemianowane oficjalnie na „Polski Korpus Posiłkowy".

Dla naszego pułku wyznaczono rejon fortu Siedliska, inne pułki legjonowe rozlokowano również w rejonie twierdzy.

Czuliśmy zbliżającą się chwilę, kiedy na nas, ostatnie szczątki wspaniałego pułku „Zuchowatych", spadnie rola jego likwidatorów.

Dni biegły na bezdusznem już odbijaniu ćwiczeń, na ciągłem krzyżowaniu się kurjerów i na naradach z przedstawicielami bratnich pułków. Od czasu do czasu zjechał jeszcze jakiś zabłąkany na odkomenderowaniu „piątak", by dzielić z pułkiem ostatnie jego dni.

Zewsząd dochodziły wieści o grupujących się wokół nas pod różnymi pretekstami oddziałach wojsk austrjackich. Zjechała wreszcie c. i k. komisja, by zapytać ostatecznie, czy podejmiemy się w ówczesnych warunkach roli kondotierów, gdyż w przeciwnym razie czekają nas szeregi austrjackie.

W początkach września przyjechał do pułku austrjacki generał Schilling w otoczeniu przydzielonych do Komendy Korpusu oficerów austrjackich. Kości miały zostać rzucone jeszcze raz.

Powtórzyła się jednak znów ta wspaniała scena jak w Zegrzu, kiedy to zebrane w czworobok oddziały „piątaków" na wezwanie do przysięgi na sojusz z zaborcą, ani jednym głosem nie odpowiedziały „tak".

Ze szmerem spadających jesiennych liści padały od ich towarzyszy zebranych na dziedzińcu Siedliskich koszar, tylko słowa „nie". Z tą chwilą przerwał swój żywot ostatni zespół 5 pułku Legjonów I. Brygady.

Podobny przebieg miał przyjazd tej komisji do pułku 1, 4 i 6 Legjonów i ten sam los przygotowały sobie tamte pułki. Odebrano nam broń, zacieśnił się pierścień austrjackich oddziałów. Niespodziewanie, nocą, poczęły nadchodzić rozkazy natychmiastowego odmarszu oddziałów, do czekających już na nie w tajemnicy transportów.

Dnia 18. września odeszły transporty 1. pułku i części 5-go. Wreszcie 22 września odejść miały dalsze kompanje II-go naszego baonu, moja 7. kompanja, 8-ma ppor. Beresa, oraz kompanja karabinów maszynowych chor. Sabatowskiego.

Kompanje po odejściu „Królewiaków" zostały znacznie uszczuplone, przeciętnie stan wynosił po 40 ludzi. Nadliczbowi oficerowie mieli odejść oddzielnie, jednak zostali przy kompanjach, by towarzyszyć możliwie najdłużej żołnierzom w dalekiej, niepewnej wędrówce, dzieląc żołnierski ich los.

O 1-ej w nocy dnia 22 września wyruszył nasz transport pod dowództwem ppor. Pandora-Furgalskiego z Siedlisk do Przemyśla. Już nas nikt nie żegnał, bo żegnać nie miał kto.

Przez głuchą noc, przez ciemne ulice Przemyśla, szły nasze trzy kompanje ku stacji kolejowej. Rozlegało się ponuro echo kroków polskiego piechura, które na rok jeszcze przeszło miało zamilknąć na polskiej ziemi.

O 5-ej nad ranem ruszyły transporty i wyjaśniać się począł kierunek podróży. Jechaliśmy na Kraków. Gdyśmy pod wieczór do niego przybyli, żywiej zabiły serca.

Wszak to stąd wczesnym rankiem sierpniowym też przez puste, uśpione ulice przed trzema laty wiódł nas Komendant na nowe życie. A gdy na dworcu zastaliśmy ś. p. Panią Marję Piłsudską, która z grupą oficerów przybyła nas żegnać na nowy odcinek tejsamej co przed laty drogi, równie nieznanej i dalekiej, serdeczne wzruszenie połączyło się z zapałem. Z Nią witała nas gromadka naszych kolegów ppor. Gad-Dobrodzicki, Hozer, Kaden-Bandrowski i Liebermann. Wkrótce jednak poniósł nas pociąg dalej i porzuciliśmy polską ziemię. Nazajutrz przez Morawy przybyliśmy do Wiednia. Nasze mundury i śpiewy, niezrozumiałe dla mieszkańców, różne wśród nich budziły domysły. „Bulgaren! — Bulgaren"! rozlegały się głosy poczciwych wiedeńczyków, cieszących się, że to jadą bułgarskie oddziały naprawiać sytuację na włoskim froncie.

Szybko poczęły się rozpościerać przed nami potężne, przepaściste góry i szumiące rzeki, dzieląc nas od kraju. Wreszcie po trzech dniach podróży transport zatrzymał się. Na małej stacyjce styryjskiej czekały już rozkazy. Kazano nam się wyładować i za przewodnikiem udać do miasteczka. Po chwili marszu zbliżył się oddział do zabudowań i tu uwagę naszą zwróciła wielka brama z dużym napisem. Stanęliśmy jak wryci. Na tablicy widniał wielki napis..... „Kriegsgefangenenlager Knittenfeld". Czyż by to był cel naszej podróży? Myśli poczęły plątać się, szukać orjentacji i decyzji.

Jakieś niejasne poczęły błyskać myśli... „Więc i nas także", jakieś jakby uczucie ulgi łączyć się poczęło z zarzewiem protestu. Chwila wahania i wkroczyliśmy za druty obozu.

Nic od nikogo nie można się było dowiedzieć. Gdyśmy odpoczywali w blokach obozu, na gołych deskach prycz, gubiąc się w domysłach — nadeszły wreszcie rozkazy i zaczęły się dziać jakieś rzeczy niesamowite. Poczęto nas najpierw partjami prowadzić do łaźni. Zanim jednak kąpiel zdołała nas orzeźwić, jacyś landsturmacy z maszynkami i brzytwami w rękach poczęli usuwać z ciał naszych żołnierzy wszelkie ślady owłosienia. Nas oficerów spotkało to wyróżnienie, że włosy tu i owdzie pozwolono nam zachować, zaś radykalnie odmłodzonych podoficerów naszych i „dłubinosków", przywróconych do chłopięcego zgoła wyglądu — wykąpano i wymyto. Za chwilę jednak czekały nas nowe zabiegi. Poprowadzono legunów szeregiem przed ustawiony na dziedzińcu stolik, gdzie każdemu wręczano skrawek szarego papieru. Jak nam wyjaśniono, miało to być wstępem do dalszych badań, czy nie wleczemy z sobą jakiej ukrytej zarazy.

Wreszcie padła komenda „rozejść się", poczem każdy miał meldować się ze swoim wykorzystanym papierem. Ano rozkaz — zrobione! I jak na komendę kroczyliśmy sznurem do stojącego przy innym stoliku lekarza, który na poczekaniu wykonywał analizę.

Wielki kłopot miał biedny Pandor-Furgalski, gdyż jak nazłość był od dwóch dni w silnej niedyspozycji. Bał się więc serdecznie by nie wzbudziło to podejrzeń i nie spowodowało odłączenia od nas. Chętnie jednak udzielona mu bezwrotna pożyczka — jako że dla

Rejestracja „legunów" po przyjeździe na włoski front

Austrjaków żądanego „przedmiotu" zawsze mieliśmy dowoli w myśl starego polskiego przysłowia: „Idź złoto do złota"... — wybawiła Pandora z chwilowego kłopotu.

Nadeszła noc. Długo jednak nie zamykały się oczy, gubiliśmy się w domysłach. Następny ranek i południe nie zmieniły położenia i dopiero pod wieczór kazano nam szykować się do drogi. Więc mamy jechać dalej, gdzie i dokąd, czyżby to była tylko kwarantanna?

Z niewyraźnem uczuciem opuszczaliśmy „bramę złudzeń" obozu jeńców. Na stacji czekały już na nas wagony, ruszyliśmy w drogę. Po dwóch prawie dobach transport nasz przybył 28-go w nocy do miejscowości Hermagor — na pograniczu włosko-korynckiem. Oczekujący nas oficer, jak się okazało Polak, oświadczył, że to kres naszej podróży. Poszliśmy do baraków na kwatery.

Hermagor — to mała mieścina karyncka, leżąca w pobliżu frontu, biegnącego tutaj wśród urwistych Alp wapiennych, frontu prawie zupełnie martwego. Śliczna szafirowa rzeka Żila (Geil) przepływa dolinę równoległą do frontu. Tutaj to jak również i w sąsiedniej wsi, Mädendorfie mieściła się ćwiczebna grupa przyfrontowa X. Armji austrjackiej, przez którą to grupę przechodziły przysyłane na front formacje marszowe. Dowódca I. podgrupy kpt. Potocznik, zniemczały słoweniec, miał już widać rozkazy. Zaraz bowiem na drugi dzień utworzono z naszych kompanij kompanję osobną, dokonano przeglądu szeregowych i szarż, wyznaczono dowódcę kompanji, oficerów młodszych Niemców i rozpoczęły się ćwiczenia oraz przeglądy coraz to wyższych dygnitarzy.

Kapitan Potocznik obiecał, iż wszystkie nasze stopnie będą zachowane i widać było w jego postępowaniu wiele ku nam sympatji. Tylko z nami oficerami — nie wiedziano, co zrobić. Oddzielono nas od oddziału, dano nam kwatery, dopuszczono nawet do kasyna — trwało to jednak nie długo. Po paru takich dniach, wypełnianych stałemi odwiedzinami kompanji — przyszła decyzja i o nas.

Znany ów rozkaz brzmiał, że legjonowe stopnie oficerskie nie będą nam przyznane, że oficerowie dostaną stopnie feldwebli jednorocznych, jedynie podoficerowie legjonowi zatrzymają stopnie dotychczasowe. Największą przykrość sprawiło to poniżenie nas naszym poczciwym sierżantom, których długo musieliśmy uspakajać.

Kto był natomiast oficerem rezerwy austrjackiej, — ten stopień swój odzyskiwał, — innych natomiast degradowano, — po 3 latach oficerskiej służby na wojnie. Jeszcze jednak nosiliśmy nasze legjonowe mundury i stopnie.

Co miało nas spotkać wkrótce, przekonaliśmy się na widok naszych chłopców. Krajało się serce, gdyśmy ich zobaczyli. Na zgrabnych dotychczas sylwetkach legjonowych żołnierzy zwisały obszerne bluzy austrjackie, a szerokie bufiaste spodnie strzelców alpejskich gubiły się gdzieś w olbrzymich, ciężko okutych górskich trzewikach. Tak miłe i kochane pyski vel mordy legunów ledwo wyglądały z pod zapadających głęboko na uszy austrjackich czap. Pożal się Boże! Jakich „trepów" żałosnych z nich zrobiono.

Różne horoskopy snuł tymczasem przed nami kapitan, jakby chcąc uspokoić swoje i nasze oburzenie; oburzał się na takie potraktowanie nas i zezwolił na noszenie oficerskiego munduru legjonowego, póki nie nadejdzie wezwanie przydzielające nas do szkoły oficerów rezerwy, czego się wkrótce spodziewał — wróżąc, że nasze poniżenie nie potrwa długo. Już nazajutrz jednak, widać na rozkaz zgóry —

kazał się i nam przemundurować na c. k. apostolskich „trepów". Dano nam więc „komyśne" mundury górskich oddziałów, tabaczkowego koloru, wielkie podkute trzewiki, zrobione na miarę chłopów z dawnych gwardyj. Z naszych głów zniknęły strzeleckie orzełki, wędrując z maciejówkami do plecaków, a nienawistny „bączek" żółcił wielką czapę, zaś na kołnierzu wielkie żółte pasy i trzy białe gwiazdki, oraz żółty guzik, odznaka posiadanej matury — czyniły z nas feldwebli. Te odznaki rychło ochrzczone nazwą „jajecznicy", pokrywały już kołnierze naszych sierżantów. Nie mogli się też dość nadziwić oficerowie austrjaccy, iż tak wielu wśród podoficerów naszych posiada maturę i cenzus oficerski. Nowy nasz jednak stopień nosił natomiast piękny, szumny i srodze brzmiący tytuł: „einjähriger-Freiwilleger Feldwebel Kadett Aspirant"... Pozatem dnie płynęły na ćwiczeniach w nieznanej dla naszych chłopców komendzie i górskiej taktyce — wreszcie i do nas się dobrano.

Zostaliśmy przydzieleni na t. zw. „Offiziersfortbildungskurs" X. Armji, w oddalonej o kilka kilometrów, górskiej wiosce Ober-Veilach. W ulewny dzień poczłapała nasza czwórka z plecakami na kurs, który miał trwać trzy tygodnie, poczem miano nas rozesłać do pułków. Przywitał nas specjalną przemową oberstleutnant Planner, wyranżowany sztandowiec. Widać było, że ma nas za niepewnych i że dopisek „PV" [1]) zrobił nam opinję. Rozpoczęła się wytężająca i męcząca praca. Największą szkołę dawała nam t. zw. „Hochgebirgsdienst" wysokogórska służba, prowadzona przez jakiegoś tyrolczyka, leutnanta rezerwy, zwarjowanego alpinistę. W ciężkich butach z plecakiem i karabinkiem, sznurem alpejskim i dużym czekanem, trzeba było piąć się i biegać po przyprószonych już śniegiem, łamliwych Alpach wapiennych, za łażącym jak kozica tyrolczykiem. Nieraz człowiek myślał, że ducha wyzionie z wycieńczenia, a wspomnieć trzeba, że nikogo z nas przed wcieleniem w „trepy", ani nie badano, ani przeglądano lekarsko, poza bardzo jednostronnym zabiegiem na kwarantannie w obozie. Szczególnie mnie po przebytej przed laty i niedoleczonej ciężkiej chorobie płuc, te górskie eskapady dobrze dały się we znaki. Gorzej jednak było z cierpiącymi na zawroty głowy. Tych brało się poprostu jak barany na linę i ciągnęło półprzytomnych po wertepach. Celował w tym sporcie jeden rezerwowy leutnant, żydek wiedeński, stale na pół martwy, sprowadzany z takich ćwiczeń. Gdy nas już zapoznano jako tako z arkanami górskiej wojny, z wykuwaniem kawern i walką szturmową na poblis-

[1]) „PV" oznaczano w wojsku austr. dokumenty osób politycznie niepewnych (Politisch Verdächtig) oraz wszystkie papiery wędrujące za byłemi legjonistami.

kim poligonie, obfitującym stale w nieszczęśliwie wypadki, gdy kurs zbliżał się już ku końcowi, zaczęto się zastanawiać, dokąd nas odesłać. Nie miano o nas widocznie żadnych ewidencyjnych danych, gdyż nagle nas tu rzucono. Każdy więc z nas miał sam podać dokąd jest przynależny. Trudna była sprawa z tym wyborem. Gdybyśmy

Leguny wśród c. k. „Trepów". Grupa ćwiczeń artylerji.

choć wiedzieli, gdzie jakie pułki na froncie się znajdują, na włoskim, czy rosyjskim, możnaby było jakoś kombinować z tą przynależnością. Pierwszy dawał możliwości wiele, nawet w szczęśliwym wypadku przedarcia się do Włoch, ale i wiele sztrapaców górskiej wojny. Front rosyjski położony bliżej kraju, budził wspomnienia niedawnych walk i znane dawał środowisko. Można też było liczyć na pomoc moralną i materjalną w kraju, a bieda dokuczała. Jedyną wiadomością, jaką otrzymałem w tych czasach od swoich, była karta po-

lowa od kpt. Stachiewicza, że sytuacja bez zmiany i czekać wiadomości. Dołączone pozdrowienia od mego pierwszego w Legjonach dowódcy kompanji były miłem pokrzepieniem. Całe nasze pobory pozatem wynosiły 9 koron na dekadę i żołnierski wikt, tak podły podówczas w wojsku austrjackiem. Z krajem trudno było nawiązać jakikolwiek kontakt, bo pisać nie było wolno. Za jedyny środek zawiadomienia o sobie służyły karty polowe z wydrukowanym na nich w dziesięciu językach sakramentalnym zwrotem „Jestem zdrów i dobrze mi się wiedzie". Gdy dla dania wiadomości, gdzie jestem, podkreśliłem słowa tekstu po włosku wydrukowane „Sono sano e stobene" ledwo mogłem się z tego wytłumaczyć. Jako miejsce przynależności Pandor podał Tarnów i dostał przydział do 57 p. p., a ja i Beres Kraków, wobec czego dano nas do 13 p. p., zaś Sabatowskiego do 77 p. p. Skoro tylko złożyliśmy wymagane „Prüfungi" pierwszą myślą było pójść do Hermagoru, pożegnać naszych chłopców, z którymi nazajutrz mieliśmy się rozstać. Choć przez czas kursu wzięci w jego kierat nie mieliśmy chwili wolnej, były jednak wiadomości i kontakty utrzymywane wzajemnie i wspólnie krzepiliśmy ducha. Teraz trzeba się było rozstać. Ciężkie to było pożegnanie, choć nie tracili chłopcy ducha i fantazji. Z szacunkiem też odnosili się wówczas do nich narzuceni oficerowie, nic zresztą dziwnego, takich drobnych i inteligentnych żołnierzy zapewne nigdy nie mieli.

Chłopcy nasi też mieli pójść lada dzień na front, któż mógł wiedzieć, czy i w jakich warunkach kiedyś się zejdziemy. Ale była taka silna wiara, że to wszystko nie idzie na marne i mimo chwilowych depresyj taka ufność w zwycięstwo, że dla rozpaczy, czy rezygnacji nie było dostępu.

Z rozkazów podróży wynikało, że ja z Beresem mamy jechać do Stanisławowa, a Pandor i Sabatowski do Lublany. Wkrótce niósł nas pociąg na przeciwny kraniec tej strupieszałej, a rozległej monarchji. Rzucaliśmy góry Karyntji, które nas tyle wysiłku kosztowały, ale i jedynym naszym były powiernikiem. Jechaliśmy do 13 pułku. Pocieszało nas, że będzie to przynajmniej pułk złożony ze swoich, z Polaków, że i popracować będzie można nad nimi, spotkał nas jednak wkrótce duży zawód. Gdy w przejeździe przez Wiedeń dostaliśmy w rękę pierwszy po tylu miesiącach, bodajże nawet polski dziennik, wpadła nam w oczy odezwa Roji, by zgłaszać się z powrotem do Korpusu Posiłkowego. Zastanowiła nas ona, lecz na krótko. Odczuliśmy wnet, że nie ta odezwa powoła nas w nasze już szeregi. Po przejeździe przez Kraków, gdzie niestety z braku czasu nie spotkaliśmy nikogo z naszych, dotarliśmy przez Lwów i Stanisławów do Czernio-

wiec, skąd już pieszo wędrowaliśmy do Czahur, m. p. 7 dywizji, do której należał nasz pułk, stojący opodal w Ostrycy. Po noclegu w izbie chorych, przydzielono mnie do 16 kompanji, zaś Beresa do K. K. M. w innym baonie. Zostaliśmy już teraz sami zupełnie wśród obcych lub garstki swoich, a jednak dalekich. Dawna trzynastka dzieci krakowskich wystrzępiona w walkach, uzupełniona już była przez wszystkie nacje austrjackie, tworząc niesamowitą mozajkę. Oficerowie Niemcy lub gorsi od nich zniemczali Czesi, tu i ówdzie jakiś leutnant Polak lub młodzieńczy fähnrich ginął zupełnie w tłumie ob-

Leguny na włoskim froncie u stóp Alp

cych, opanowany specyficznym wówczas duchem tych oddziałów, rezygnacji lub pogoni choćby za „Karltruppenkreutzem".

Odcinek pułku na froncie był beznadziejnie nudny. Wyczerpane i rozkładające się, po nieudanej ofensywie Kiereńskiego rosyjskie oddziały, tkwiły w bazwładzie, naprzeciw nich nie lepsze duchem „trepy" ledwo powłóczące staremi, zerwanemi nogami, bez jakiegokolwiek nastroju. Dowódca kompanji, w której dostałem pluton, zniemczały Czech, szowinista i tchórz niemożliwy, nie szczędził ironji i docinków. Dopuścili mnie jednak, jako dowódcę plutonu, do t. zw. kuchni oficerskiej, która polegała na tem, że uczestnicy za wpłacone relutum i dopłatę z gaży dostawali lepszy wikt, oraz leguminy. Będąc jednak wobec nich nędzarzem i mając 9 koron na dni 10, ledwo papierosy mogłem za to kupić. Znikąd na żadną pomoc liczyć nie mogłem. Uradzili przeto dowódca kompanji z „kolegami", że mogę z nimi jadać

przy wspólnym stole, ale tylko to, co wypada za relutum, bez dodatków i legumin. Podziękowałem za tę serdeczność i wolałem kocioł. Tak płynęły dni, aż przyszło zawieszenie broni między zbolszewiczałym XI. rosyjskim korpusem, a armją Litzmana. Zaczęły krążyć wieści, że pójdziemy na włoski front, tymczasem zaś wzmacniano pozycje.

Te szare dni przerwał rozkaz, że spotka nas zaszczyt odwiedzin na froncie samego cesarza Karola. W śnieżny wilgotny dzień wyciągnię-

Postój legjonistów po przybyciu na włoski front

to nasz bataljon z bliskiej rezerwy i popędzono kilkunastokilometrowym marszem ku tyłom, by mimo zawieszenia broni zbliżyć „front" do przybywającego „Majestät". Wymarznięci i zmachani nocnym marszem, po kilka godzin trwającem ustawicznem równaniu wzdłuż szosy, doznał baon zaszczytu, który miał mu wszczepić nowy zapał do walk. W futrze, poprzedzany przez grubego ks. Lobkowitz, kroczył cesarz Karol ze świtą i kiwając ręką do żołnierzy powtarzał banalne jakieś słowo „spokojno — brawo — spokojno", co widocznie wobec rzekomo polskiego pułku miało w jego pojęciu coś po polsku, względnie po słowiańsku znaczyć.

Przyszły wreszcie najsmutniejsze święta Bożego Narodzenia z dotychczas spędzonych, w środowisku tak obmierzłem. W kilka dni potem nadszedł rozkaz z Krakowa, żeby wnosić podania o powrót. Przysłano ich tekst i termin do 31 stycznia 1918 roku, podpisane przez

Thorna. Coś się więc zbliżało i zmiany nadchodziły. Podanie więc wniosłem, lecz skutku się nie doczekałem, a tymczasem wlokły się leniwie dalej beznadziejne dni. Czasem przyszła wieść, że ten, czy ów z kolegów został już chorążym, co znaczyło 300 koron miesięcznie, stanowiąc grubą różnicę pomiędzy poborem feldwebla. Mój jednak dowódca był daleki od postawienia takiego wniosku. Może mu dojadły ciągłe słowne utarczki na temat końca wojny i naszej sytuacji. Dzięki temu zapewne dostąpiłem też możności uganiania się na jeszcze jednym kursie, tym razem już na Węgrzech, w Töcse koło Huszt. Tam bieda najwięcej dała się we znaki. Od ciągłego karmienia się najtańszą tam strawą, bo rodzajem gotowanego chleba z kukurydzy, już sam jego zapach wywoływał wstrząs i obrzydzenie, a na lepsze nie można się było zdobyć. Przyszło wracać do pułku. Gdy wybierałem się w powrotną drogę, zaczęły napływać do pobliskiego Huszt jakieś transporty, o których wieść niosła, że to zbuntowani Polacy. Ktożby to był, trudno było dociec. Uświadomił mnie o tem po powrocie mój oberleutnant. Gdym meldował mu powrót z kursu, przywitał mnie pięknym niemieckim językiem i tonem wysokim w te słowa: „Cóż, jeszcze pana nie powieszono", na zapytanie dlaczego, w tymże języku, lecz o gamę wyżej, wyjaśnił mi to grzecznie „was wszystkich powinni już dawno wywieszać!, wy tylko bunty robić umiecie, jak pana koledzy, co chcieli przejść do Rosji, aleśmy ich wybili prawie do nogi, a reszta będzie wisieć"; — zrozumiałem; myślał o przejściu 2-go i 3-go pułku Legjonów pod Rarańczą, gdzie otarli się o 13 p. p. w czasie mojej bytności na kursie. Ścisnęło się serce na wieść o opowiedzianej przez niego masakrze naszych, która dopiero później okazała się przechwałką. Ale takiego powitania nie można było zostawić bez odpowiedzi. Więc stanąwszy na „hab acht" zameldowałem głośnym tonem „jestem c. k. austrjackim Kadettaspirantem i poddanym Jego Cesarskiej Mości — jakiem prawem pan oberleutnant tak do mnie się odzywa". To go uspokoiło i dzisiaj gdy wspominam te chwile, przyznać muszę, że był to jedyny w mem życiu moment, kiedy poddaństwo austrjackie na coś mi się przydało.

Tymczasem po pokoju brzeskim pułk poszedł na Besarabję okupować ją i okrążać broniącą się jeszcze Rumunję. Zawsze była to pewna rozmaitość — pełniliśmy służbę nad Dniestrem. W tym też czasie podzielono pułk na dwie części, robiąc z jednej 13-ty, a z drugiej 113-ty regiment. Lada chwila mieliśmy odejść na front włoski. Aż tu niespodzianie pewnego dnia wezwał mnie do siebie mój oberleutnant i oświadczył, że postanowił podać mnie na fähnricha. Zdumiałem się — zawsze jednak coś to znaczyło. Przy raporcie pułko-

wym sprawa niestety się popsuła. Pokazało się, że zaszczyt ten spotkać mnie nie może, bo nie jestem wcale „asenterowany", t. zn. badany i pobrany do wojska, że te długie miesiące służby i udręki pełniłem od tak „na gapę". Iluż to z nas tak „na gapę" bez asenterunku oddało swoje zdrowie czy życie.

Adres Szczypiorniaków do artystów Teatrów Warszawskich

Długo zachodził w głowę dowódca pułku i inni sztabowcy, jak to było możliwem, żebym bez asenterunku znalazł się w wojsku. Dla wyjaśnienia niezrozumiałego dla nich położenia, uradzono wreszcie wysłać mnie do kadry, gdzie też miała być dokonana ceremonja „asenterunku".

Kadra znajdowała się w Ołomuńcu. Podróż wypadła mi z kilku oficerami, którzy jechali starać się o t. zw. urlop na studja. Dotyczyło to tych, którzy przed wojskiem rozpoczęli studja uniwersyteckie i przebyli przynajmniej 12 miesięcy na froncie. Plan po drodze był już gotów. Z dwojga złego lepsze przecież 12 tygodni urlopu, niż szarża fähnricha, a że przed wojną miałem rozpoczęty 4-ty semestr na uniwerku w Krakowie i frontu nieco więcej, niż wymagano, więc nie o asenterunek zameldowałem się w kadrze, lecz o urlop przy raporcie i urlop ten dostałem.

Początkowo poczęło kołatać w głowie studjowanie. Lecz mając urlop, mundur i „Offener Befehl" mogłem się przecież lepiej przydać. To przeważyło. Zameldowawszy się w Krakowie u płk. Śmigłego, wysłany zostałem z rozkazami do Komendy P. O. W. w Warszawie. Czułem, że już w „trepy" nie wrócę. Przy pomocy Styka-Stachiewicza i Stefana Starzyńskiego za 20 mk. niem. dostałem nietylko nowe poddaństwo, tym razem Generalnego Gubernatorstwa Warschau, ale i paszport na mieszkańca Warszawy. Tak zabezpieczony od niedoszłego asenterunku, zostałem wyznaczony na opróżnione po odejściu na Ukrainę ś. p. Lisa-Kuli, stanowisko Komendanta P. O. W. Rzeszów.

Służba w sołdatach się skończyła — przestałem być trepem — byłem znów tylko żołnierzem Komendanta.

A gdy w krótki czas potem, w listopadzie 1918 roku opuszczałem Rzeszów, na czele trzech pierwszych kompanij rzeszowskich peowiaków, by zameldować się w pamiętnym dla nas Przemyślu, w powstającym w walce moim 5-tym pułku i gdy z nim pod dowództwem gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego, w dawnym pułkowym mundurze, ruszałem na odsiecz Lwowa, był to najpiękniejszy odpoczynek, po tym koszmarnym śnie, jakim wydawał mi się pobyt niemal roczny w szeregach austrjackich.

Należałem w tej fazie mojej służby do tych szczęśliwych, którym dane było wrócić do macierzystych szeregów, by rozpoczętą pracę ukończyć i ugruntować. Danem mi było zameldować się, na nowym odcinku, we Lwowie Komendantowi, gdy wkrótce po opuszczeniu murów Madgeburga w Swoim 5-tym pułku się zjawił.

Inni liczni bezimienni towarzysze broni i wspólnych przeżyć w obcych szeregach życie swoje złożyli.

Ich to serdecznej i drogiej pamięci tę garść wspomnień poświęcam.

Roman Górecki

ARESZTOWANIE SZTABU POLSKIEGO KORPUSU POSIŁKOWEGO.

Działo się to w Łużanach — w siedzibie Polskiego Korpusu Posiłkowego dnia 15 lutego 1918 roku, po południu.

Protestując przeciw traktatowi Brzeskiemu, jako czwartemu rozbiorowi Polski — Brygada Karpacka szykowała się do nocnego marszu, by zerwać z wrażą potęgą państw centralnych i pójść na Ukrainę, połączyć się z formacjami, które się tam tworzyły i walczyć dalej o WolnąPolskę.

Ubiegłej nocy omówione zostały i ustalone wszystkie szczegóły marszu, a więc czas wymarszu, marszruta, miejsce zbiórki, miejsce przegrupowania, jednem słowem wszystko.

Cały plan ułożony został bez udziału i bez wiedzy Dowództwa Korpusu Posiłkowego i jego Sztabu.

Mając sobie powierzone dowództwo nad formacjami i zakładami podległemi bezpośrednio Korpusowi, wydawałem od rana potrzebne zarządzenia, mające na celu wymianę koni dla artylerji, wydzielenie taborów, by zbytnio nie obciążać kolumny marszowej, rozdział nielicznej bardzo amunicji, wydanie racyj rezerwowych dla ludzi i koni — słowem wszystko, co jest koniecznem dla sprawnego rozpoczęcia marszu.

Zarządzenia te nie mogły ujść uwagi Sztabu Korpusu. W pewnym momencie zapytuje mnie szef służby weterynaryjnej mjr. Postolka, co to ma oznaczać, że jego ordynans otrzymał świeże racje rezerwowe, a piekarnie polowe wyjeżdżają na szosę? Powiedziałem, że musiałem uzupełnić racje rezerwowe, bo żołnierze je dawno pozjadali, a piekarni polowej nakazałem ćwiczenie w instalowaniu się w innem miejscu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, iż niemożliwem będzie wyruszenie w drogę bez zwrócenia uwagi na to ze strony Sztabu Korpusu. Wie-

działem jednak, że na nocnej odprawie ustalonem zostało, że sprawę samego Sztabu Korpusu, a raczej ściśle mówiąc Dowódcy Korpusu gen. Zielińskiego Zygmunta załatwi brygadjer Haller, który miał do niego przyjechać i z nim się rozmówić,

Gen. Zieliński był przed południem na ćwiczeniach w 1 p. artylerji. Przyjechał późno na obiad. Tymczasem z brygady nikt nie przyjeżdżał; w sztabie korpusu widać było niepokój jakiś i podniecenie, spowodowane niepewnością co do stanowiska generała, który już wyczuwał, że coś się dzieje i żądał coraz natarczywiej informacji.

Dopiero koło godz. 3-ej popołudniu przyniósł mi chor. Gruszka rozkaz z Brygady: „Za wszelką cenę nie dopuścić, aby Austrjacy, czy Niemcy dowiedzieli się przed czasem o zamierzonym marszu brygady, gdyż w przeciwnym razie wszystko stracone".

Wobec tego, że od frontu dzieliło nas 30—40 km., że należało przechodzić obok Czerniowiec, gdzie była kwatera austrjackiej grupy operacyjnej (Operationsgruppe von Kossak) wystarczyłby jeden sygnał alarmowy, by całe przedsięwzięcie zniweczyć w samym zarodku. To też należało działać ostrożnie i stanowczo. Wezwałem do siebie por. Ocetkiewicza, który był dowódcą placu w Łużanach i zażądałem od niego 12 szeregowców z sierżantem na czele. Zastrzegłem, że muszą to być ludzie dobrani, pewni, gotowi na wszystko. Zdecydowałem się bowiem aresztować Sztab Korpusu, a następnie każdego oficera austrjackiego, któryby w tym czasie przyjechał do Łużan lub przez Łużany przejeżdżał.

Porucznik Ocetkiewicz poszedł wybierać dla mnie ludzi, a ja skierowałem się do Kwatery Komendy Korpusu. Przedewszystkiem należało sobie zabezpieczyć wyłączne dysponowanie wszelkiemi środkami łączności. Wydałem więc odpowiednie zarządzenia chor. Wallnerowi, dowódcy oddziału telefonicznego i kolumny samochodowej.

W razie żądania ze strony Sztabu połączenia z komendami austrjackiemi, należy połączenie dać, ale natychmiast przerwać i meldować uszkodzenie linji.

Po pewnym czasie słyszę zbliżające się kroki w stronę kwatery Korpusu. To Ocetkiewicz przysyła mi żądany patrol. Przyprowadził ich sierżant; melduje mi dwunastu ludzi. Spojrzałem po twarzach; poważni, zawzięci — z oczu można wyczytać, iż gotowi na wszystko. Część ich zostawiłem pod domem, a resztę wraz z sierżantem wziąłem ze sobą do Kwatery Korpusu.

Z pokoju wychodzi do mnie por. Malinowski i daje mi plik dokumentów podróży (t. zw. Offener Befehl), bym je dla pewności schował, by ktoś czasem nie wyjechał w niepożądanym kierunku. Następnie zwraca się do mnie z prośbą, że już najwyższy czas, żebym rozmówił

się z generałem, bo ten wydaje rozkazy kpt. Pomazańskiemu, by czy to telefonicznie, czy samochodem nawiązał łączność z Komendą Armji.

Wszedłem więc do pokoju gen. Zielińskiego, gdzie był zebrany cały sztab korpusu. Generał stał przy stole, wpatrując się we mnie swemi zmrużonemi, jakby w głąb czaszki zapadłemi oczyma.

W tym krótkim momencie przeżyłem całą tragedję bezpańskiego żołnierza. Oto stałem wobec mego generała-dowódcy, którego kochałem i czciłem, jak ojca i któremu miałem meldować, że jego pułki

Czerniowce

„zbuntowały się" wobec swej dotychczasowej „władzy" i że za godzinę, dwie ruszą na wschód, by sobie nowych dróg szukać i o Polskę dalej walczyć. Chciałem mu przeciwstawić jakiś autorytet, na czyjś rozkaz się powołać, nie mogłem poprostu powiedzieć: „oficerowie II-ej Brygady idąc za wolą całego żołnierstwa postanowili wypowiedzieć posłuszeństwo Naczelnej Komendzie armji austrjackiej".

Te rozważania jednak i refleksje, to była kwestja sekundy. Stanąwszy przed generałem meldowałem, salutując: „Panie Generale, melduję posłusznie, że z rozkazu Naczelnego Komitetu Polskich Organizacyj Wojskowych wypowiedzieliśmy posłuszeństwo armji austrjackiej...." Generał mi przerwał: „Z czyjego rozkazu?!" „Z rozkazu Polskiej Organizacji Wojskowej". I dalej jednym tchem meldowałem o całym planie i wszystkich jego szczegółach; nadmieniłem, że mamy nadzieję, że i 16 pułk austrjackiej Landwehry, (w której służyli sami

Polacy) także z nami pójdzie; w końcu prosiłem Generała, by szedł z nami, że to jest jedyna nasza odpowiedź dana państwom centralnym za czwarty rozbiór Polski!

Generał, wsparty o krzesło, słuchał uważnie mego meldunku, w pewnych momentach żądał uzupełnienia, utkwił we mnie swoje siwe, stroskane oczy...; widziałem przed sobą człowieka, pod którym ziemia się zapadała.

Wtedy powiedziałem: „Panie Generale! Zapytuję posłusznie, czy Pan Generał pójdzie z nami, czy nie?"

Generał jakby z odrętwienia się obudził, machinalnie ręką do kieszeni sięgnął, a potem mierząc mię swym złamanym wzrokiem powiedział: „To wy mnie tutaj zabijcie!". Wtedy oświadczyłem: „Biorę Pana Generała pod przymus wojskowy" — nie chciałem, nie mogłem powiedzieć: „Aresztuję Pana, Panie Generale!" — potem zawołałem do sieni: „Sierżant! jeden posterunek do mnie!". I wszedł do pokoju żołnierz; stanął z bronią u nogi, na karabinie osadzony miał bagnet. Wskazałem ręką generała; żołnierz stanął za nim w odległości 2 kroków.

Generał spojrzał po obecnych; do mnie powiedział: „Jestem do Pańskiej dyspozycji" i usiadł na krześle.

Wtedy zwróciłem się do szefa sprawiedliwości mjra Ganczarskiego z zapytaniem, czy pójdzie z nami. Ganczarski oświadczył, że on słucha tylko rozkazów swego generała — dowódcy i zwrócił mi uwagę na konsekwencje, jakie ściągam na siebie mojem postępowaniem. Wobec tego aresztowałem go, stawiając przy nim drugiego żołnierza.

Wtedy zwróciłem się do szefa sanitarnego ppłk. dr. Rogalskiego, który oświadczył, „jak wszyscy idą, to i ja pójdę".

Wreszcie aresztowałem również szefa służby weterynaryjnej mj. Postolkę i zastępcę szefa sztabu kpt. Pomazańskiego.

Po wyjściu z pokoju, w którym został aresztowany Sztab, zostałem tam ponownie wezwany przez generała Zielińskiego.

Generał starał się mnie przekonać, że go niepotrzebnie biorę ze sobą, że on po tamtej stronie frontu dowództwa nad nami z powrotem nie obejmie, cudzych laurów zbierać nie będzie a wobec tego że jest stary i schorowany, więc pożytku z niego żadnego nie będzie. Wreszcie zaproponował mi, bym go zostawił na miejscu, a on ręczy słowem oficerskiem, że do przyjścia Austrjaków z miejsca się nie ruszy. Nie mogłem odmówić dużej słuszności argumentacji generała. W drugim pokoju natknąłem się na rotmistrza Okołowicza i podpułkownika Rogalskiego, którzy, gdy im zakomunikowałem prośbę generała, zaczęli mi radzić, bym się na pozostawienie go nie godził i zabrał go z nami.

i obejmie z powrotem dowództwo Korpusu. Najbardziej zaś przekonywającym był ich argument, że po naszem przejściu odbierze sobie życie.

Dość było zresztą spojrzeć na niego, by się upewnić w tem przekonaniu.

Wróciłem więc i zameldowałem generałowi, że jego prośbie zadośćuczynić nie mogę, co tenże przyjął z rezygnacją do wiadomości. Obaj nie tracili jednak nadziei, że po przejściu da się przeblagać

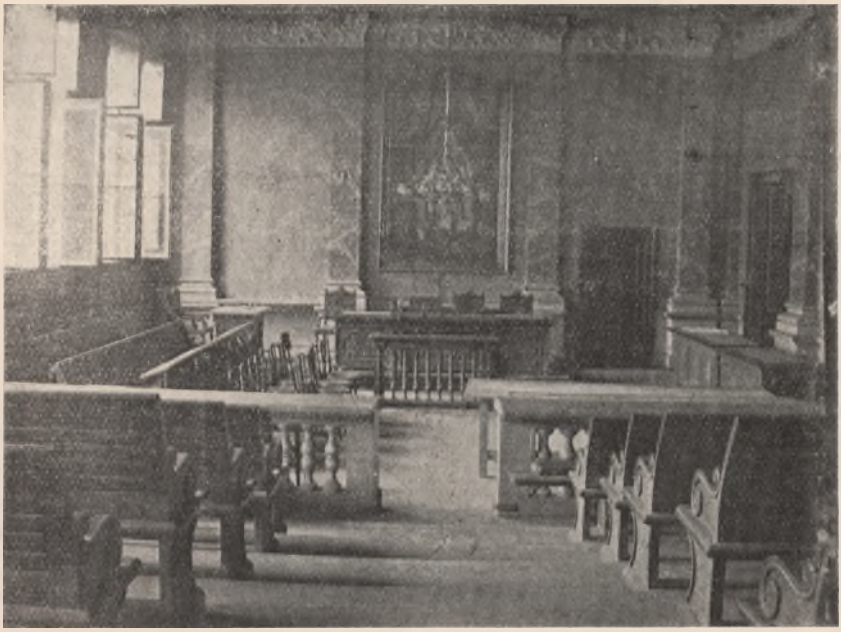

Marmaros-Szigel. Sala rozpraw

Potem zacząłem się naradzać z Okołowiczem, jak zaaranżować eskortowanie generała.

Czas naglił. Udałem się do generała i zapytałem go, z kim chce jechać w samochodzie w czasie marszu. Zburczał mię za to, mówiąc: „Poneś tutaj komendantem! Z kim pon każesz, z tym pojadę". — Wtedy oświadczyłem: „Pojedzie Pan Generał z ppłk. Rogalskim, a rotmistrz Okołowicz pojedzie z Panami, jako eskorta". Generał odpowiedział: „Widzisz Pon. Tak to rozumiem! Jestem do Pańskiej dyspozycji".

Za chwilę ruszył w stronę frontu samochód wiozący Generała.

Nie przypuszczał wtedy, że za kilka godzin będzie ponownie aresztowany — tym razem... przez wojska austrjackie.

Załatwiwszy się w ten sposób ze Sztabem, wychodziłem z kwatery by dosiąść konia i wyjechawszy naprzód, nawiązać łączność z piechotą, która w tym czasie już była w marszu.

Wtedy zwrócił się do mnie por. Barzykowski Stanisław i zwrócił mi uwagę na sytuację, w jakiej znajdą się rodziny aresztowanych zawodowych oficerów austrjackich, a mianowicie: gdy nie będzie stwierdzone, że przeszli pod przymusem, wtedy władze austrjackie wstrzymają im uposażenie i stosować będą różne szykany.

Pod opieką „aniołów stróżów"

Wobec tego postanowiłem wystosować do Naczelnej Komendy armji austrjackiej jakieś pismo czy protokół, z któregoby wynikało, że protestując przeciw IV rozbiorowi Polski wypowiadamy Austrji posłuszeństwo. a następnie, że sztab cały poszedł z nami pod przymusem.

Wtedy podyktowałem sierżantowi Mielechowi, który pisał na maszynie, następujący protokół:

Dowództwo Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Protokół

Dnia 15 lutego 1918 o godzinie 6.30 wieczór z rozkazu mej chwilowej bezpośredniej władzy przełożonej przedstawiłem generałowi Zielińskiemu w formie służbowego raportu, że drugi i trzeci pułk piechoty, 1 pułk artylerji

kompanja saperska i inne oddziały podległe bezpośrednio Dowództwu Polskiego Korpusu Posiłkowego zakwaterowane na Bukowinie w ciągu dzisiejszej nocy wypowiadają posłuszeństwo c. i k. armji austrjackiej, jako protest przeciwko IV rozbiorowi Polski, a następnie przechodzą celem połączenia się z Naczelnem Dowództwem Wojsk Polskich, t. j. z generałem Muśnickim. Gdy na zapytanie moje, czy generał Zieliński, ppłk. Rogalski, mjr. Ganczarski, mjr. wet. Postolka i kpt. Pomazański decydują się pójść z nami oświadczyli odmownie, zameldowałem, że z tą chwilą wszyscy wyżej wymienieni oficerowie zostają zmuszeni do tego przemocą wojskową. Następnie oddałem ich wszystkich pod straż.

Łużany, dnia 15 lutego 1918 r. godz. 7 po poł.

Jako świadek: N. Okołowicz rtm.

Wykonawca rozkazu: Dr. Górecki Roman kpt. int.

Dla nadania temu dokumentowi większej wiarogodności, poleciłem rotm. Okołowiczowi, by go podpisał jako świadek, co też uczynił.

Protokół ten zostawiłem kpt. Lewartowskiemu dla doręczenia odnośnym władzom austrjackim.

Noc z 15-go na 16-ty lutego 1918 r. stanowi ważny przełom w dziejach Legjonów; II Brygada wypowiedziała wojnę Austrji i pod Rarańczą stoczyła pierwszą bitwę z wojskami austrjackiemi — by pójść dalej na Wschód i w kilka miesięcy później stoczyć bitwę z wojskami niemieckiemi — pod Kaniowem.

Norbert Okołowicz

NOC Z 15 NA 16 LUTEGO 1918 R. W II BRYGADZIE.

Górecki odjechał już, aby dopilnować odmarszu podległych mu oddziałów gospodarczych i nawiązać łączność z pułkami piechoty. Mieliśmy się spotkać u zbiegu dróg, prowadzących z Żuczki i Sadogóry.

Zostałem sam. Sam, gdyż prócz wartowników i por. Malinowskiego, który odszedł do innych pokojów, by zająć się ekspedjowaniem kancelarji; — wszyscy inni byli to aresztowani albo, jak się to nazywało w języku Góreckiego „wzięci pod przymus wojskowy".

Na mnie więc teraz spadł obowiązek przewiezienia generała i uchronienia go od wszelkich możliwych przykrości.

Przez okno zobaczyłem raptem światła zajeżdżającego samochodu.

Nie chciałem już dłużej zwlekać z odjazdem, sytuacja zaczynała mi ciążyć.

Wszedłem do drugiego pokoju. Generał Zieliński siedział na krześle z głową opuszczoną; dwa kroki poza nim stał wyprężony posterunek. Byłem tak zajęty osobą generała, że nie pamiętam, co wtedy robili inni oficerowie. Przypominam sobie tylko, że na mój widok przerwali żywą rozmowę. Zamilkł też, głośno w następnym pokoju perorujący major Ganczarski.

Stanąłem wyprostowany przed generałem. Ten uniósł głowę do góry i spojrzał na mnie pytającym, bolesnym wzrokiem.

„Panie Generale" — meldowałem „samochód czeka". Generał podniósł się z krzesła i odrzekł: „To znaczy jedziemy, panie rotmistrzu".

Skłoniłem tylko głowę, gdyż głosu wydobyć nie byłem w możności.

Generał ubrał się w płaszcz, ubrali się również ppłk. Rogalski i kpt. Pomazański i wyszliśmy przed dom.

Pierwszy postępował generał, za nim nieodstępny posterunek, potem wspomniani oficerowie, a nakoniec ja.

Przed wsiadaniem zawołałem komendanta warty, kazałem mu zabrać z powrotem posterunek i zawiadomić dowódcę oddziału szta-

bowego, ażeby zajął się eskortowaniem pozostałych oficerów t. zn. majora Ganczarskiego i majora Postulki.

Generał, ppłk. Rogalski i kpt. Pomazański zajęli miejsca, ja siadłem obok szofera i ruszyliśmy.

Otoczyła nas ciemna i mroźna noc rozświetlona reflektorami samochodu. Okolica pozbawiona zupełnie śniegu robiła ponure wrażenie.

Nigdzie żadnego ruchu, wszędzie pustka.

Dopiero dojeżdżając do Łużan zauważyłem ruch wzmagający się w miarę zbliżania się do środka wsi. Wszędzie pełno furmanek taborowych i kręcących się koło nich legjonistów. Obok wozów grupy ciekawych wieśniaków.

Przed dotarciem do końca wsi zauważyłem długi łańcuch taborowy, posuwający się już naprzód w pewnym porządku. Stwierdziłem równocześnie, że ukazanie się samochodu sprawiło wśród legjonistów zaniepokojenie, a miejscami nawet popłoch. Widocznie oślepieni światłem reflektorów, brali nas za Austrjaków.

Kazałem więc przygasić częściowo reflektory i posuwalismy się powoli wzdłuż kolumny wozów, zdającej się nie mieć końca.

Raptem już poza wsią usłyszałem przed sobą dziwne jakieś głosy; coś jakby bicie dzwonów, to znów grzmoty, szczekanie psów, raz znów jakby jęki i dudnienie jednocześnie. Głosy te stawały się coraz to wyraźniejsze. Zaniepokojony nie wiedziałem, co o tem myśleć. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że to nasi rozpoczęli już jakąś awanturę z Austrjakami, którzy alarmują, stacjonowane w Czerniowcach pułki, przy pomocy bicia w dzwony cerkiewne. Kazałem więc zgasić reflektory i powoli posuwaliśmy się naprzód. Nie miałem ochoty, ze względu na moich „jeńców", wpaść na jakąś gotową awanturę.

Głosy coraz to przeraźliwsze zbliżały się do nas, przyczem doszły do moich uszu głosy ludzkie. Zorjentowałem się po chwili, że hałas ten dochodzi z gościńca. Jeszcze kilkaset kroków i kazałem zaświecić reflektory.

Oczom moim ukazały się w świetle elektryczności dziwne jakby potwory, śmiesznie podrygujące i posuwające się jeden za drugim lewą stroną gościńca. One to właśnie wydawały ten piekielny i ogłuszający hałas. Przyjrzawszy się bliżej, parsknąłem śmiechem, szofer zawtórował mi ciszej.

Były to nasze piekarnie polowe, wybierające się na wyprawę wojenną. Ciągnione po kamienistym i zmarzniętym gościńcu, trzęsły się, jęczały, zmieniając tony za każdym niemal krokiem koni.

Pomyślałem sobie, że jeżeli te potwory po przybyciu pod Czerniowce nie zaalarmują całego garnizonu austrjackiego, no to będzie wielkie szczęście.

Wyprzedziwszy owe potwory w szybkiem tempie dojechaliśmy do Mamajowiec. Tu wzdłuż gościńca stały tabory 2-go i 3-go pułku. Ruch panował duży, wszędzie było jednak widać porządek i jakiś system. Na końcu wsi wyprzedziliśmy długie kolumny piechoty a potem ogarnął nas względny spokój i ciemność, gdyż z powodu zbliżania się do kwater austrjackich, kazałem zupełnie zgasić reflektory.

Suchowerchy — Bukowina. Tabory kolumny sanitarnej P. K. P. w lutym 1918 r.

Zaalarmowani raptem wykrzykami „stój" — „kto jedzie", zatrzymaliśmy samochód. W świetle latarń zobaczyłem, stojącego na środku drogi, mojego żandarma. Wyglądał bardzo groźnie. W prawej ręce trzymał podniesioną w górę siekierę, a lewą ciągnął kłąb drutów. Poza nim kilku żołnierzy usiłowało zwalony słup telegraficzny zatoczyć do rowu. Żandarm poznawszy mnie po głosie, poskoczył do samochodu zameldował jednym tchem: „Panie rotmistrzu, wszystko „w porządku, nic nowego". — Ładnie wszystko w porządku, pomyślałem, patrząc na powalone słupy oraz na porozrywane i poplątane kłęby drutu telegraficznego. Gdy zapytałem, co się dzieje z tutejszym posterunkiem żandarmerji austrjackiej, zameldował mi z radością, że już około 5-ej po południu uciekł do Czerniowiec. To „skonstatowa-

nie" porządku mniej mnie uradowało, gdyż byłem pewny, że Austrjacy w takim razie wiedzą już o naszym wymarszu.

Ruszyliśmy dalej z coraz większą ostrożnością, gdyż byliśmy już teraz niejako przednią strażą. Samochód bez przeszkód dotarł do umówionego rozstaju dróg. Po drodze, w pobliżu kwater austrjackich, widziałem oficerów i żołnierzy. Z zachowania ich jednak odniosłem wrażenie, że nic nie wiedzieli jeszcze o naszych zamiarach.

Zjechałem z gościńca na częściowo ogrodzone podwórko i umieściłem generała z towarzyszami w przestronnej izbie chłopskiej cha-

Kolumna sanitarna po wymarszu dnia 15—16.11 1918 roku w Mamajowcach

łupy, a sam poszedłem zbadać sytuację. W odległym o kilkadziesiąt kroków dość dużym domku ujrzałem przez okna kilku żołnierzy austrjackich siedzących przy telefonach polowych oraz oficera, leżącego na pryczy. Bez namysłu wszedłem do środka.

Po przywitaniu z oficerem, prosiłem o pozwolenie zagrzania się, poczem zacząłem opowiadać o rzekomych naszych ćwiczeniach nocnych, mających się rozpocząć za godzinę. Ponieważ wiadomość tę przyjęto obojętnie, przeto wywnioskowałem, że tu nic jeszcze nie wiedzą.

Stwierdziwszy jednak w rozmowie, że mają tu bezpośrednie połączenie telefoniczne z baterjami na froncie i brygadą kawalerji w Mahali oraz pośrednie z Czerniowcami, za pośrednictwem urzędu pro-

wiantowego w Żuczce, zacząłem się obawiać, czy ta stacja telefoniczna nie będzie dla nas szkodliwą.

Przypomniawszy sobie jednak równocześnie, że źle spełniam obowiązki swe, jako eskortujący, pędem powróciłem do chaty. Przy bladem świetle kopcącej lampy zauważyłem przez okno generała rozmawiającego z ppłk. Rogalskim, który nerwowo chodził po izbie. W tej chwili wyszedł kpt. Pomazański i zobaczywszy mnie oświadczył, że generał bardzo jest niespokojny, „iż go nie pilnują". Uspokolwszy go powiedzeniem, że ani na chwilę nie przestaję pilnować generała, zacząłem go informować dalej jak wyglądają warunki przejścia. Wysłuchawszy mych informacyj kpt. Pomazański powrócił do izby i zaczął powtarzać to wszystko generałowi, który widziałem, jak się ożywił i z zajęciem zaczął się przysłuchiwać relacjom.

Wtem przyszło mi na myśl, że dobrzeby było jednak poprzecinać te druty telefoniczne. Wziąłem się zaraz do dzieła, wyszukując omackiem poszczególne druty. Starałem się równocześnie tak manipulować, aby nie dostrzeżono mnie w promieniach światła, wychodzących z trzech okien chaty. Zadanie to nie było iednak tak łatwe, jak mi się początkowo zdawało. Nie dysponowałem bowiem żadnem narzędziem w rodzaju szczypiec czy obcęgów i musiałem się ograniczyć do mojego scyzoryka. Równocześnie musiałem uważać, żeby zbytnio nie naciągać drutów od strony połączenia z aparatami w chacie, gdyż mogłem się zdradzić. Nie wiem, ile ich zdołałem przerwać, ale w każdym razie pamiętam, że namozoliłem się nie mało. Prócz tego po każdorazowem „zoperowaniu" drutu biegłem do moich „jeńców", ażeby zamarkować czynności warty.

Raptem na środku gościńca zamajaczyła w ciemności grupa ludzi. Podszedłszy bliżej, przekonałem się, że to nasza straż przednia, pluton szturmowy pod dowództwem ppor. Stawarza.

Ucieszony bardzo, iż wreszcie doczekałem się kogoś z naszych, udzieliłem dowódcy straży przedniej wszystkich informacyj sytuacyjnych, o jakich wiedziałem. Poczem pożegnaliśmy się i oddział, powoli maszerując pod górę, zniknął niebawem w ciemności.

Pozostałem znów sam i powróciłem do dalszego operowania austrjackich drutów.

Nie upłynęło jednak i 10 minut od chwili, gdy wreszcie zdołałem przerwać ostatni ze znalezionych drutów, kiedy gościńcem od Żuczki nadpłynęła ciemna kolumna żołnierska. Był to jeden z bataljonów 2 pułku. Wszystko szło bez hałasu, nie rozmawiając, nie paląc.

Miałem zamiar początkowo wyruszyć razem z nimi; nie chcąc jednak narażać generała na niepewną przeprawę postanowiłem porozumieć się wpierw ze starszymi oficerami.

Jakoż po chwili, po przejściu kilku wozów, należących do taboru bojowego, wyłoniła się ciemna kolumna żołnierska, która doszedłszy do stoku wzgórza, zatrzymała się. Rozpoznawszy po głosie kilku starszych oficerów z 2 ej brygady poprosiłem ich o poradę, czy mam do nich dołączyć z samochodem, czy jeszcze czekać.

Po naradzie postanowiliśmy, że mam pozostać i czekać wiadomości, kiedy będzie można wyruszyć.

Zadaniem piechoty było bowiem oczyścić i przygotować drogę dla artylerji i taborów.

Moje przyłączenie się z samochodem do kolumny było jeszcze z tych względów niemożliwe, iż piechota miała iść krótszą drogą na przełaj.

Pożegnawszy z żalem piechotę, znów sam pozostałem, zdecydowany jednak ruszyć z artylerją, gdyby nadeszła jeszcze przed umówionemi wiadomościami z frontu.

Gościniec ożywił się teraz, gdyż w ślad za pułkami zaczęły ciągnąć ich tabory.

Nie zachowywały już jednak tej ostrożności, co poprzednie kolumny. Wozy skrzypiały, woźnice głośno poganiali. Z obu stron taboru maszerowało dużo legunów; o ile mi się zdaje była to „ochotnicza" osłona taborów. Panował tu wesoły nastrój, spowodowany, o ile z głośnych rozmów mogłem wywnioskować, radością na myśl, jakiego figla spłatamy austrjakom.

Potem tabory zaczęły rzednąć, a po przerwie nadciągały tabory urzędów korpusu.

Droga do Sadogóry, skąd miała przybyć artylerja, była jednak ciągle cicha i pusta.

Ja zaś wędrowałem bezustanku od chaty do gościńca i z powrotem, coraz bardziej zaniepokojony.

Raptem zdawało mi się, że usłyszałem strzały karabinowe. Nie mogłem się tylko zorjentować, czy to od strony wschodniej, t. zn. frontu, czy od strony drogi, po której miały maszerować tabory korpusu. Znów zamajaczyła nowa kolumna taborów idąca jednak dość bezładnie i z pośpiechem. Zasięgnowszy informacyj, dowiedziałem się, że podobno Austrjacy w Żuczcie zaczęli ostrzeliwać koniec naszych taborów. Po chwili w stronie Żuczki ujrzałem rakiety, a wiatr doniósł słaby głos karabinu maszynowego. Postanowiłem wreszcie ruszać z miejsca, nie czekając na artylerję. Zanim jednak zdołałem wydać dyspozycje do drogi, gościniec od strony Żuczki zaroił się znów taborami, sunącemi bezładnie i z dużym pośpiechem. Wszyscy mówili, że Austrjacy zdołali wstrzymać i zaaresztować koniec taboru korpusu.

Na tę wiadomość ogarnęła mnie złośliwa radość, gdyż pomyślałem, że te hałaśliwe potwory, te piekarnie polowe dostawszy się do „austrjackiej niewoli" nie będą już więcej robić bezpotrzebnego alarmu.

Równocześnie i od strony Sadogóry zaludnił się gościniec. Był to nasz bataljon stacjonowany w Sadogórze i odbywający tam kurs szturmowy. Wówczas zorjentowałem się, że i na mnie czas najwyższy, gdyż baon ten według planu miał osłaniać częściowo artylerję,

Rarańcza, Nowa cerkiew – luty 1918 r.

a częściowo obejmować tylną straż. Poprosiłem więc generała i towarzyszy do samochodu. Na wsiadanem dowiedziałem się, że baon szturmowy wychodząc z Sadogóry, otrzymał wiadomości o ściągnięciu przez naszą artylerję dział z pozycji, nie mogąc się jej jednak doczekać, postanowił ruszyć.

O ile początkowo drogę odbywałem gładko i stosunkowo bez przeszkód, o tyle teraz od razu natknąłem się na trudności. Samochód poruszał się ostrożnie i powoli wśród licznych wozów taborowych jadących bez ładu. Czasami trzy furki jechały równolegle, to znów któraś stanęła wpoprzek drogi. Gdzieindziej znów konie, nie mogąc uciągnąć pod górę przeładowanych wozów, ustawały, a wóz zaczynał toczyć się z powrotem. Wreszcie minęliśmy zakręt i dalej posuwając się z trudnością w górę, zaczęliśmy wyprzedzać wozy ja-

dące tutaj w większym stosunkowo porządku. Zdawało mi się znów, że mimo hałasu, ciężko pracującego silnika usłyszałem gęste strzały po za mną. Wyjrzałem z samochodu i zobaczyłem w stronie Żuczki gęsto puszczane zielone i czerwone rakiety, znacznie już jednak bliżej, jak poprzednio. Strzały karabinowe słychać było to słabiej, to silniej. Biły dość nieregularnie, a chwilami trajkotał karabin maszynowy. Kilka razy wychylałem się z samochodu i zawsze widziałem rakiety, migocące bardzo efektownie na tle ciemno-granatowego

Ogólny widok Rarańczy w 1918 r.

nieba. Zrozumiałem wtedy, że część taboru korpuśnego nie przejdzie i żałowałem czasu, który straciłem na czekanie.

Zacząłem więc przynaglać szofera do szybszej jazdy, będąc przekonany, że w drodze do Rarańczy na żadne już przeszkody nie natrafimy i że to wszystko, co mogło nam grozić, pozostało już po za nami.

Raptem usłyszałem przed nami jakieś nawoływania, a potem wrzaski. Szereg jadących równolegle z nami furek taborowych zatrzymał się nagle. Samochód rozpędzony na małym już teraz wzniesieniu jechał dość szybko. Okrzyki i nawoływania, wśród których odróżniałem węgierskie słowa, wzmogły się tak, że przez chwilę zagłuszyły turkot silnika. Ujrzałem przed sobą czarną linję, przecinającą drogę trochę ukośnie. Czarna ta gęstwa poruszała się gwałtownie i wy-

dawała wspomniane już wrzaski. Ponagliłem szofera i nie hamując samochodu wpakowałem go w tę ciżbę żołnierską rozkrzyczaną, machającą rękami, klnącą po węgiersku i usiłującą nas zatrzymać.

W ostatniej jednak chwili zrobiło się nieco przestronniej przed nami. Przezorny szofer skierował samochód w tę lukę. Wóz podskoczył dwukrotnie na jakiejś przeszkodzie, jakby na pniu w poprzek leżącym, skręcił następnie raptownie raz w lewo, potem w prawo i znów zaczął nabierać rozpędu.

W czasie tej przeprawy ktoś usiłował gwałtem wyciągnąć mnie z samochodu. Otrzymałem też kolbą karabinu uderzenie w ramię; ktoś wrzasnął mi w ucho po węgiersku. Nie zważając na to wszystko popędziłem głosem szofera, usiłując równocześnie machinalnie wydobyć rewolwer. Nie byłem jednak zdecydowany, czy mam w takich warunkach robić z niego użytek .

Samochód zwolniony z przeszkód, wyskoczył, jak kamień z procy i ruszył całym pędem pustym w tem miejscu gościńcem. Słyszałem za sobą coś, jakby tupot nóg i strzały, zdawało mi się, że słyszę i gwizd kul karabinowych.

Nie wiem, czy ujechaliśmy kilometr, gdy usłyszałem przed sobą nowe krzyki i ujrzałem kłębiącą się przed nami drugą jeszcze większą zaporę z żołnierzy austrjackich.

Postanowiłem i tę przeszkodę przebyć, jak poprzednią.

Tymczasem przed dotarciem do grupy stojącej na gościńcu, szofer zwolnił gwałtownie, ażeby wyminąć stojących tu kilka furek taborowych. Jedna zwłaszcza stała prawie w poprzek drogi. Znaleźliśmy się raptem nad samym rowem przydrożnym i wjechaliśmy w środek kupy szutru. Samochód raptem stanął i silnik zgasł. Otoczyła nas chmara wrzeszczących po węgiersku żołnierzy. Z rowów przydrożnych wyłazili coraz to nowi. Wszystko to krzyczało i gestykulowało, oświetlając nas latarkami.

Gdy szofer wysiadł z samochodu, ażeby korbą wprawić silnik w ruch, otoczyła go chmara żołnierzy i pomimo mojego protestu uprowadziła go w ciemny tłum. Zbliżyło się potem kilku oficerów i zaczęli nas wzywać po niemiecku do opuszczenia samochodu.

Widąc beznadziejną sytuację wysiadłem. Generał i towarzysze uczynili to samo.

Oficerowie austrjaccy więcej od nas poddenerwowani tłumaczyli nam, że mają rokaz aresztować wszystkich legjonistów, a oficerów legjonowych odprowadzać do najbliższej komendy. Ruszyliśmy tedy na przełaj przez pole, otoczeni chmarą żołnierzy i oficerów. Na przedze postępował generał z pułkownikiem, potem szedł kpt. Poma-

zański a ja wlokłem się na końcu zły i przygnębiony, rzucając tęskne spojrzenia w kierunku Rokitny, gdzie jak spodziewałem się, nasze pułki piechoty już powinny front przekraczać.

Z nastroju tego wyrwał mnie gwałtownie drut telefonu polowego, poskręcany w niezliczone pętle, które zdawały się nie mieć końca. „To nasza robota", pomyślałem nie bez radości, uwalniając się z trudnością z tych nieskończonych zwojów. Nietylko ja jednak trafiałem na te przeszkody; eskortujący mnie Węgrzy jeszcze więcej i częściej wplątywali się i upadali, zaczepiając w ciemności o coraz to nowe przeszkody z drutu. W czasie tej przygody znalazłem się na lewem skrzydle grupy, idącej w ciemności dość bezładnie. Koło mnie i za mną postępowało z dziesięciu żołnierzy i jeden oficer bezustannie pomstujący po węgiersku. Kontakt z generałem i towarzyszami chwilowo wtedy utraciłem.

Za to moje „eksponowane stanowisko na lewem skrzydle" zaraz zapłaciłem, gdyż nie uszedłszy nawet stu kroków, zwaliłem się gwałtownie w jakąś dziurę. Zanim zdecydowałem się wyleźć, jakiś Węgier spadł mi z krzykiem na głowę. Gramoląc się z tego starego, jak zaraz poznałem, rezerwowego okopu austrjackiego, skonstatowałem raptownie, że, prócz tego kawalerzysty i mnie, znajduje się w rowie jeszcze drut kolczasty i to w dużej ilości.

W krótkim czasie zawarłem z nim bliższą znajomość, zdoławszy nietylko pokłuć sobie dotkliwie nogi, ale i podrzeć spodnie, co skonstattowałem zaraz przy wydatnej pomocy mroźnego wiatru.

Dalsza droga odbyła się stosunkowo bez przeszkód.

Potykaliśmy się tylko, nieszkodliwie zresztą, o grudy zamarzniętej roli.

Przed dotarciem do głównej ulicy wsi Mahala dogoniliśmy generała. Wieś roiła się żołnierstwem, biegającem gorączkowo. Wszędzie słychać było poddenerwowane głosy węgierskie; rozróżniałem też i polskie. Na tej podstawie wywnioskowałem, że nietylko my jedni dostaliśmy się do „niewoli". Tu i ówdzie w oknach chałup błyszczały światła.

Wprowadzono nas do dużej chaty. W izbie dość przestronnej, oświetlonej kilku lampami naftowemi, znajdowały się trzy tapczany wojskowe oraz duży stół, założony mapami. Prowadzący nas rotmistrz wszedł do następnej izby.

My zatrzymaliśmy się na środku, reszta eskortujących oficerów też wcisnęła się do izby; żołnierze zostali na dworze.

Raptem do izby wszedł austrjacki generał, drżącemi rękami usiłujący zapiąć bluzę. Wysoki, typowy kawalerzysta austrjacki.

Wpatrywał się w nas przerażonemi i jakby błędnemi oczyma. Olbrzymie wąsy i nastroszona, nieuczesana czupryna uzupełniały jego dość śmieszny wygląd.

Zrozumiawszy, że to jest dowódca brygady kawaleryjskiej, która z takim trudem nas i tyle wozów taborowych „wzięła do niewoli", przysunąłem się naprzód i zameldowałem, wskazując na generała

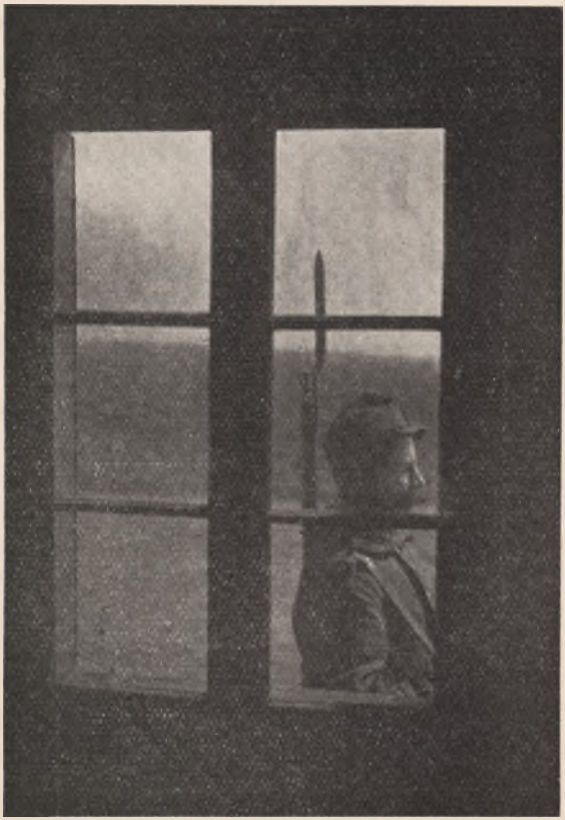

Przed celą w Huszt

i towarzyszy, że to ja jestem eskortujący, a oni szli z musu. Osłupiały wzrok tego generał-majora, świadczył, że nic nie rozumie. Wtedy generał Zieliński odsunął mnie lekko, ale stanowczo na bok i opowiedział, że tu niema żadnych eskortowanych i eskortujących.

Patrząc w dalszym ciągu na austrjackiego generała widziałem, że i wyjaśnienie generała Zielińskiego nie zostało zrozumiane. Przypatrywał się nam przez chwilę ogłupiałym wzrokiem, wreszcie machnął ręką jakby na znak, że nie rozumie, czy nie chce rozumieć, dlaczego

legjoniści przerywający austrjacki front eskortują jedni drugich, poczem wydusił z siebie zdanie, że ma rozkaz wszystkich legjonistów aresztować i rozbrajać. Na to jakiś kapitan austrjacki rzucił się na mnie i drżącemi rękami począł ze mnie ściągać duży polowy pistolet; czynił to nerwowo i śpieszył się jakby w obawie, bym nie zrobił z tej broni użytku.

Generał Zieliński usiłował generałowi austrjackiemu na nowo wyjaśnić sytuację i wytłumaczyć, że tu chodzi o odmarsz legjonistów bez pozwolenia, przyczem zniżał chwilami głos i patrzał zatroskanemi oczami na mnie.

Zrozumiałem w tej chwili, że chce usprawiedliwić moją rolę jako tego, który eskortował swego dowódcę wbrew jego woli. Wzruszył mnie tem tak bardzo, że odwróciłem się raptem do ciemnego okna, ażeby ukryć łzy cisnące mi się do oczu wbrew woli.

Generał wraz ze swym austrjackim gospodarzem i towarzyszami przenieśli się po chwili do drugiego pokoju.

Moja rola eskortanta skończyła się. Teraz ja już miałem eskortę, narazie dwóch oficerów.

Zmęczony siadłem na tapczanie. Nie zdawałem sobie jasno sprawy z sytuacji; myślą goniłem ciągle za tymi wszystkimi, którzy przeszli, gdyż wówczas wyobrażałem sobie, że nie wielu z nas tylko zostało.

Na dworze rozległy się raptem hałasy, a po chwili wprowadzono do izby kilkunastu oficerów legjonowych a między innemi i dwie nasze sanitarjuszki.

Zrobiło się ciasno i gwarno.

Zaczęły się gorączkowe pytania, kto przeszdł, kto aresztowany, gdzie Górecki, gdzie artylerja, co się dzieje z generałem.

Wśród tego gwaru wszedł jakiś oficer i kazał nam wychodzić.

Po wyjściu owionął mnie znów ziąb i przypomniało mi się moje spotkanie z drutem kolczastym.

Na dworze zaczynało już świtać.

Obejrzałem się, generała z towarzyszami pozostawiono w chacie, nas otoczyła gromada żołnierzy i ruszyliśmy teraz drogą polną w kierunku Żuczki.

W drodze zaalarmowały nas dalekie strzały armatnie od strony Rokitny.

Zaczęliśmy robić najrozmaitsze przypuszczenia. Jedni z naszych twierdzili, że to nasza artylerja przedarłszy się od północy oczyszcza drogę. Drudzy, że to 2-gi i 3-ci pułk. ostrzeliwany jest przez austrjacką artylerję.

Zatrzymano nas w pobliżu rozstaju dróg, niedaleko miejsca, gdzie czekałem tak długo, eskortując generała Zielińskiego. Poczem wepchnięto nas do stojącej przy drodze chaty.

Mała izdebka pełna była naszych oficerów. Przeważnie byli to oficerowie z Dowództwa Korpusu, nie brakło jednak i oficerów piechoty, którzy jakimś trafem dostali się też w austrjackie ręce. Co chwila otwierały się drzwi i wprowadzano któregoś z nowych oficerów. Każdemu wejściu towarzyszyły okrzyki zdziwienia. Następowała potem bezładna gorączkowa dyskusja.

W izbie robiło się coraz ciaśniej i duszniej.

Ktoś głośno zauważył, że Górecki napewno przeszedł. Wiadomość tę przyjęto z westchnieniem ulgi, gdyż jemu groziła największa odpowiedzialność, przedewszystkiem za aresztowanie sztabu.

Chwilę potem otworzyły się drzwi i wprowadzono Góreckiego. Wrzawa i bezładna gadanina wzmogła się jeszcze.

Następnie weszło dwóch austrjackich oficerów i zaklinając nas słowem honoru prosili o oddanie broni. Oddałem im browning, a oprócz mnie oddało broń jeszcze kilku oficerów.

Ktoś otworzył okno i znów usłyszeliśmy dalekie odgłosy strzałów artyleryjskich.

Zmęczony, wciśnięty w kąt izby oparłem głowę o ścianę i marząc o tych, którzy przeszli, usnąłem.

Tak się skończyły „ostatnie moje czynności żandarmskie" w Polskim Korpusie Posiłkowym.

Alfred Walner

Z LEGJONÓW DO WIĘZIENIA W MARMAROS-SZIGET.

W zimie 1917-18 r. wchodziła w skład P. K. P. kompanja telegraficzna w składzie 3 plutonów, pod dowództwem ppor. Wallnera Alfreda, dowódcy 1 i 3 plutonu ppor. Popiela Stefana, dowódcy 2 plutonu ppor. Łużeckiego Józefa. W Bolechowie kadra i składnica pod dowództwem ppor. Doskoczyńskiego Henryka. Dowództwo kompanji z 1 i 3 plutonem stacjonowane w Łużanach obsługiwało Komendę Polskiego Korpusu Posiłkowego, 2-gi pluton w Mamajowcach przy Dowództwie II Brygady Legjonów.

Referent telegraficzny P. K. P. por. Rotarski Stefan przebywał wówczas z kilku podoficerami od kilku miesięcy na kursie radjotelegraficznym w St. Pölten koło Wiednia. Agendy referenta telegraficznego przy Komendzie P. K. P. sprawowałem wówczas ja, jako dowódca kompanji.

Pokój podpisany w Brześciu zastał kompanję telegraficzną przy spokojnej pracy w rezerwie, t. j. patrolowaniu i obsłudze sieci telefonicznej, wybudowanej w obrębie P. K. P., wchodzącego w skład 7. armji austrjackiej, operującej na granicy Rumunji i Bukowiny. Po otrzymaniu pierwszych wiadomości o zawarciu tak haniebnego traktatu na niekorzyść Polski, zawrzało w kompanji. Podawano sobie z rąk do rąk nadeszłe gazety i oczom nie chciano wierzyć, że tak oszukano nas i sprzedano za zboże ukraińskie, które miało nasycić naszych głodnych sprzymierzeńców.

Widzieliśmy, że już się miarka przebrała, że tak dłużej z nami nie można igrać i czekaliśmy tylko na rozkaz, jaki padnie z ust naszych przełożonych, którzy razem z nami boleli nad położeniem drogiej Ojczyzny i którzy musieli nas dalej poprowadzić. Tak rozumował oficer i szeregowiec. Czekaliśmy rozkazu, aby go przeistoczyć w czyn. Po gorączkowem wyczekiwaniu zawezwał mnie w dniu 15.II 1918 roku kapitan Górecki Roman, który zaznajomiony z sytuacją,

jaka się wówczas wytworzyła w Komendzie Polskiego Korpusu Posiłkowego, poinformował mnie, że Korpus przejdzie w nocy z 15 na 16 lutego przez linję frontu i pomaszeruje w kierunku północno-wschodnim, aby połączyć się z formacjami polskiemi, które wówczas zbierał gdzieś pod Bobrujskiem i Mohylowem gen. Dowbór Muśnicki. Przedstawił mi również, że w tym celu należałoby zerwać w odpowiedniej chwili połączenia telefoniczne z odnośnemi władzami i sąsiadami, aby ci nie dowiedzieli się o tem i nie przeszkodzili nam w wykonaniu naszego planu. Wymarsz kompanji miał nastąpić o godzinie 18 wieczorem, jednak połączenia telefoniczne i kontakt z 7 Armją i sąsiedniemi dywizjami miał być zachowany do godziny 21-szej. Punkt zborny dla oddziałów P. K. P. był naznaczony na szosie między Łużanami i Mamajowcami.

Po otrzymaniu powyższych dyrektyw udałem się do kompanji, gdzie zarządziłem pakowanie sprzętu pod pozorem, że ma wyjść podobno rozkaz większych ćwiczeń. Wtajemniczyłem tylko mego zastępcę ppor. Popiela, który miał czuwać nad wykonaniem rozkazu, oraz nad tem, by wszyscy szeregowi byli na miejscu. Zawezwałem natomiast sierżantów Drewnowskiego Ignacego,, Stasiaka Augustyna obecnie kapitanów w M. S. Wojsk. oraz Działę Tadeusza i wydałem im polecenie, gdzie i które linje telefoniczne i telegraficzne mają uszkodzić o godz. 21-szej, poczem konno mieli dołączyć do maszerującej kolumny. Przy centrali telefonicznej pozostawiłem kaprala Grochowskiego, który miał z drugim podoficerem uskuteczniać połączenia telefoniczne między Dtwem 7 Armji a Komendą Polskiego Korpusu Posiłkowego, a po jej wymarszu, w razie zawezwania kogokolwiek do telefonu, miał mylnie informować odnośnych abonentów n. p., że odnośny oficer jest w kasynie, gdzie niema jeszcze telefonu i poszle się po niego, lub też że wyjechał na urlop lub do II Brygady, gdzie jest chwilowo połączenie uszkodzone itp. Udawało się to do samego końca t. j. do godziny 21-szej, pomimo, że oficerowie sztabu 7 Armji denerwowali się i klęli na opieszałość odnośnych oficerów, którzy nie spieszyli się do telefonu. W rzeczywistości ci już dawno wymaszerowali. Telefoniści obsługujący centralę telefoniczną porąbali ją w ostatniej chwili i konno dołączyli do kompanji, jak również uczynili to sierżanci Drewnowski, Stasiak i Działo, spełniając chlubnie powierzone im zadanie do końca w myśl otrzymanego rozkazu.

Posądzenia, jakoby nie wszystkie połączenia zostały przerwane i jakiś tam drut nieszczęśliwy pozostał, którym się mieli Austrjacy dowiedzieć o wymarszu Polskiego Korpusu Posiłkowego, są zupełnie niesłuszne. Sytuacja przedstawiała się następująco:

Wzdłuż szosy Czerniowce — Śniatyn, gdzie stało D-two 7 Armji, biegła trasa główna, która łączyła je z podległemi dywizjami austrjackiemi, stacjonowanemi w Czerniowcach i okolicy.

Komenda Polskiego Korpusu Posiłkowego stała w Łużanach na uboczu i przez jej centralę telefoniczną nie przechodziła wcale trasa główna telefoniczna, a Polski Korpus Posiłkowy był jedynie jej bocznem dołączeniem. Ponieważ piechota Polskiego Korpusu Posiłkowego stacjonowana w Mamajowcach samowolnie uszkodziła za prędko, bo około godz. 18-ej główną trasę, ścinając słupy telegraficzne, powstał z tego powodu niepokój tak w Dowództwie 7 Armji w Śniatynie jak i w dowództwach dywizyj położonych na froncie i zaczęto interesować się tą sprawą, a nawet wydała się ona podejrzaną, gdyż prócz związku z Komendą Polskiego Korpusu Posiłkowego w Łużanach od około godz. 18-ej do 21-szej, nie miało dowództwo 7 Armji ze swemi dywizjami żadnego połączenia.

Rarańcza. Cmentarz legjonowy

To był jedyny powód, dlaczego dowództwo 7 Armji tak szybko się o tem dowiedziało. Kolumna kompanji telegraficznej Polskiego Korpusu Posiłkowego, prócz II plutonu, przydzielonego do II Brygady, była ostatnią jednostką, która opuściła Łużany maszerując w stronę Rarańczy przez Mamajowce. Po drodze dołączyli do kompanji różni oficerowie i szeregowcy Polskiego Korpusu Posiłkowego.

W czasie marszu, który odbywał się pod mojem dowództwem, nadjechały naraz na szosie ze strony Czerniowiec 2 samochody z żandarmami austrjackimi, a przedewszystkiem z naszym pseudo-przyjacielem, znienawidzonym generałem feldmarszałkiem polnym Schillingiem von Schillingsfürst, które na widok maszerującej kompanji zwolniły biegu. Wtedy to nastąpiła rzecz niebywała w historji austrjackiej. Z boku nadjechał na koniu ks. kapelan Panaś, który jechał na kilkanaście kroków przed kompanją telegraficzną, zatrzymał jadące samochody i tylko ze szpicrutą w ręku, aresztował generała Schillinga, kazał samochodom zawrócić, a stare leguny maszerujący wzdłuż drogi skorzystali z okazji, że mogą ulżyć swoim plecom i nogom, powrzucali plecaki do samochodu i zaszczycili ekscelencję swojem towarzystwem.

Tak więc obydwa samochody eskortowane z tyłu przez kompanję telegraficzną posuwały się wolno naprzód. W czasie dalszego marszu chwilowo nie natrafiono na żadne przeszkody tylko nadszedł rozkaz, aby samochody puścić naprzód, które też odjechały. Po drodze leżały obalone słupy i rozrzucone druty telegraficzne, które świadczyły o wydarzeniach nadzwyczajnych.

Tak domaszerowano na kilkaset kroków do toru kolejowego, przecinającego szosę wpoprzek, a biegnącego z Sadogóry do Czerniowiec. Przed kompanją toczyły się wozy kolumny taborowej Polskiego Korpusu Posiłkowego, które ostatniemi wozami miały przekroczyć tor kolejowy, lecz naraz zostały zatrzymane, gdyż na torze pojawił się pociąg, który wstrzymał dalszy jej pochód. Noc była ciemna i w pierwszej chwili nie zdawano sobie sprawy z jakiego powodu akuratnie w tem miejscu zatrzymał się pociąg. W okamgnieniu jednak padły z pociągu pierwsze strzały karabinów maszynowych i wtedy ujawniło się, że to pancerka, która przybyła, aby odciąć drogę i wstrzymać cały marsz Polskiego Korpusu Posiłkowego. Całe szczęście, że wszystkie oddziały i większość taboru były za torem kolejowym i im już nie groziło odcięcie. Ha, stało się! Trzeba było rozwijać się w tyraljery i kompanja telegraficzne oraz pozostałych 22 wozów taborowych Polskiego Korpusu Posiłkowego skupiły na sobie cały ogień Honwedów, którzy obsługiwali pociąg pancerny. Kompanja telegraficzna odstrzeliwała się jako tako, mając rozkaz odemnie oszczędzania amunicji karabinowej, która niewiele by pomogła pancerce, a przydałaby się w dalszej podróży.

W czasie walki, która trwała dość długo, bo od 10.30 do 2.15 nad ranem, otoczono nas z boków i od tyłu silnymi oddziałami austrjackiemi, które nas aresztowały. Żal miałem do artylerji, na którą tak długo czekaliśmy, a która mogła w naszym kierunku z Sadogóry le-

żącej z lewego boku, t. j. północy otworzyć ogień, a temsamem kilka bataljonów, które nas otoczyły nie znając sytuacji i wśród ciemnej nocy miałyby dłuższą z nami przeprawę.

Otoczono nas, skupiono, odebrano karabiny, no i pognano w tył w stronę Czerniowiec, leżących na wzgórzu z prawej strony, t. j. na południe Sadogóry.

Rarańcza. Grób ś. p. rotm. Wąsowicza

Po drodze miałem możność zaobserwować te liczne kolumny piechoty austrjackiej, które udawały się w pościg za oddziałami P. K. P. Dość oberwało się nam różnych epitetów po drodze w wielu językowym słowniku austrjackim.

Tak zaprowadzono nas jako pierwszych na jakiś dziedziniec koszarowy, gdzie rozłączono oficerów z żołnierzami, starymi towarzyszami broni. Uścisnęliśmy sobie ręce i w kilku oficerów, którzy znajdowali się przy komp. telegraficznej i taborze, zaprowadzono nas do koszar, gdzie w izbach żołnierskich na pryczach za okratowanemi oknami doczekaliśmy rana na pogawędce, czy też uda się II. Brygadzie przedostać na drugą stronę frontu.

Austrjacy widocznie nie dowierzali, ani nam ani też i grubym kratom okiennym, bo co chwilę wchodząc do izby i świecąc nam w oczy liczyli nas.

Rano i w ciągu dnia doprowadzono pojedyncze grupki oficerów, których umieszczono bądź też w naszej izbie, bądź też w sąsiednich obok. Po południu 16. lutego nakazano odmarsz, otoczono nas znów podwójnym szpalerem piechoty, t. zw. oddziałów szturmowych, uzbrojonych w karabiny i granaty ręczne, z odpowiedniem ubezpieczeniem przedniem w sile baonu z karabinami maszynowymi i takiem samem ubezpieczeniem tylnem i popędzono zgłodniałe, zziębnięte,

Huszt. Cele internowanych oficerów P. K. P.

zmęczone całonocną walką resztki Żelaznej Brygady bocznemi drogami otaczającemi Czerniowce w stronę Mamajowiec. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tam gdzieś nad Prutem nastąpi rozstrzelanie oficerów i dziesiątkowanie żołnierzy.

Maszerowaliśmy jak żołnierze zwartą kolumną, mając zakaz porozumiewania się z sobą i tak dotarliśmy aż do szkoły w Mamajowcach, gdzie nas w jakimś pustym budynku umieszczono, a dom cały otoczono gęstym podwójnym szpalerem. Teraz dopiero zauważyliśmy, jak jesteśmy cennym dla Austrji nabytkiem, kiedy nas tak pilnują, dziwiło nas tylko to, że nas przez kilka dni trwającego sądu doraźnego nie karmiono. Przypuszczaliśmy tylko, że nasze dusze, lżejsze prędzej będą mogły się dostać do nieba. — Ponieważ jednak żołądek upominał się o swoje prawa podzieliłem się z moim współ-

towarzyszem niedoli ppor. Popielem ostatnią konserwą, jaką z juki w chwili rozbrojenia wydostałem i postanowiłem nadal aprowidować nas własnym sprytem. Zażądałem więc od komendanta warty wody. Ten poprowadził mnie pod silną eskortą do chałupy leżącej w rejonie strzeżonym i tam nabierając z konewki wodę do manierek, któremi mnie zaopatrzyli towarzysze niedoli, zapytałem w języku ruskim kobiet znajdujących się w izbie, czy nie mają chleba na sprzedaż. Zabroniono mi mówić, a jedna z kobiet widząc to, ułamała kawał chleba kukurydzianego i rzuciła mi go w powietrzu. Złapałem chleb ze ściśniętem sercem, podziękowałem wzrokiem i poniosłem, by się podzielić z moim kolegą. Jeść go jednak nie mogłem.

W Mamajowcach trzymano nas trzy dni, poczem czwartego dnia po otrzymaniu kawy i kwaśnej fasoli pomaszerowaliśmy rano znów pod silną eskortą do stacji kolejowej Łużany, gdzie zostaliśmy umieszczeni pod konwojem w wagonach nieopalonych III. klasy.

Pociąg ruszył w kierunku Kołomyi, dokąd przyjechaliśmy po obiedzie. Na stacji kolejowej Kołomyi postawiono nasz pociąg na bocznym torze i obstawiono wartami. Tu mieliśmy możność przysłuchać się ciekawej rozmowie, prowadzonej na głos przez cywilnego i księdza na temat wypadków, jakie toczyły się w Galicji, a zwłaszcza w Bolechowie, gdzie były oddziały zapasowe P. K. P.

Nie mając żadnej komunikacji ze światem, łaknęliśmy wiadomości o kraju, społeczeństwie, a przedewszystkiem o naszych współtowarzyszach broni. Z prowadzonej rozmowy dowiedzieliśmy się, że oddziały nasze w Bolechowie nie oddały dobrowolnie broni, że społeczeństwo nasze zaczyna się w kraju ruszać i że solidaryzuje się z nami. Dalsze rozmowy zostały przerwane, ponieważ pociągi ruszyły w kierunku granicy węgierskiej, gdzie ze st. kol. Körozmözo zaczęto stosować do nas represje i zapowiedziano, że każde nieposłuszeństwo lub opór będzie karany sądem wojennym, a w razie chęci ucieczki konwojenci otrzymali rozkaz użycia broni. Poszczególne transporty kierowano do różnych miejscowości. Kompanję telegraficzną wraz z wszystkimi oficerami przychwyconymi na gorącym uczynku skierowano do Huszt, zaprowadzono na otwarte pole i wydano rozkaz złożenia wszystkich rzeczy skarbowych i osobistych na polu, a zezwolono zabrać jedynie umundurowanie, jakie mieliśmy na sobie, pieniądze, zegarki, po jednym kocu i menażce. Reszta to był łup wojenny. Pieniądze i zegarki zabrano nam tego samego dnia w kancelarji obozowej.

Oficerów rozlokowano po kilkunastu w małych domkach, stojących w jednym rzędzie przy szosie za miastem, natomiast szeregowych umieszczono we wspólnych barakach. Obok domków tych prze-

chodziłem pierwszy raz w październiku 1914 roku, jako komendant straży przedniej 9 kompanji por. Florka w III. baonie kpt. Fabrycego (obecnie generała — wiceministra spraw wojskowych). Nie myślałem wtedy o tem, że walcząc przy boku Austrjaków, w kilka lat po tem będziemy tu zamknięci jako zdrajcy. Kwatery nasze przeznaczone przed wojną na domki robotnicze dla kolonistów były nie odpowiednie. Brak podłóg, pieców, okna i drzwi nie zaopatrzone, ściany w stanie gnicia. Brak ustępów, studni i t. p. też dawał się nam we znaki, a władze nasze nie spieszyły się z tem, bo nie wiedziały, co

Marmaros-Sziget. Widok z celi kpt. dr. Romana Góreckiego

z nami będzie, mając jednak rozkaz pilnować nas bezwzględnie i traktować jako zdrajców. Słowo „Verräter" były stale na ustach naszych opiekunów. Jak się nami opiekowano świadczy fakt, że po ograbieniu nas z osobistej własności, jak bielizny i t. p. nie dostarczono nam innej na zmianę, nie dano mydła ani innych środków, które by umożliwiły nam prowadzić jaką taką egzystencję. Nie chcąc tedy siedzieć w brudnej bieliźnie prałem ją w tej samej izbie, w której kwaterowało kilku innych kolegów, lecz wkrótce musiałem zaniechać tego ze względu na niemożliwą atmosferę, jaka się wytworzyła, bowiem nie wolno było otwierać okien lub drzwi.

Wikt mieliśmy więcej niż podły. Na śniadanie kawa i chleb z kukurydzy, $^1/_4$ bochenka na cały dzień, w południe woda zabarwiona

papryką, nazwana szumnie rosołem i parę kęsków koniny z brukwią. Na kolację znów kawa. Szczęście, że w czasie późniejszym udało mi się okazyjnie nabyć worek fasoli. Gotowałem ją na okopowym piecyku, jaki nam ustawiono i częstowałem tym darem bożym choć nie solonym (z braku soli) tych kolegów, którym „fasunek" nie smakował.

Przebiegu dalszego pobytu nie podaję ponieważ uczynią to zapewne inni koledzy, a przystąpię do opisania chwili naszego wyjazdu z Huszt.

Marmaros-Sziget. Podwórze więzienne

Dnia 28. maja pod silną eskortą przewieziono nas do Maramarossziget i umieszczono w więzieniu, w którem w oddzielnych skrzydłach były pomieszczone różne wyrzutki społeczeństwa obojga płci. Zamknięto nas w celach, które otwierano jedynie w celu prowadzenia nas bądź to na salę rozpraw lub też na spacer popołudniowy po dziedzińcu więziennym. Doręczono każdemu akt oskarżenia i w kilka dni potem rozpoczęła się rozprawa. Jako obrońcy stawili się dobrowolnie Dr. Liebermann, Dr. Loewenstein, Dr. Przeworski, Dr. Ostrowski, Dr. Kwieciński i Dr. Dwernicki, którzy też zależnie od treści oskarżenia poszczególnych oficerów rozdzielili pomiędzy siebie obronę. Mnie bronił Dr. Liebermann, który miał grupę najbardziej zaangażowanych w procesie, mimo, że większości oskarżonych groziła,

według § 328 a i b autsrjackiego kodeksu karnego, kara śmierci przez powieszenie. Pierwszy zeznawał kpt. Górecki, jako główny oskarżony, następnie inni, wreszcie ja odpowiadałem jako 16 z rzędu. Ponieważ do winy przejścia przez front z chęcią udania się do gen. Dowbór Muśnickiego przyznałem się, zeznawałem wobec tego zaledwie 3 godziny, poczem przesłuchiwano resztę 99 oskarżonych oficerów i szeregowych.

Po ukończeniu przesłuchania oskarżonych zaczęto postępowanie dowodowe, t. j. przesłuchanie świadków, które trwało bardzo długo, a więc do pierwszych dni października i nie zostało ukończone z powodu abolicji, t. j. umorzenia całej sprawy.

Dalszego mego pobytu w więzieniu nie podaję ponieważ uczynią to inni opisując obszerniej wspólne nasze przeżycia i stosunki, w jakich wegetowaliśmy, czekając zakończenia sprawy. Nie upadaliśmy przez cały czas na duchu, trzymaliśmy się dziarsko i czekaliśmy kiedy Austrja się rozleci, a bramy więzienne staną dla nas otworem i wypuszczą na świat do kraju, gdzie nas czekała nowa praca.

W kilka dni po ogłoszeniu abolicji przyznano nam z łaski szarże c. k. sierżantów i udzielono po 4 tygodnie urlopu wypoczynkowego, a w dniu 10 października 1918 roku nastąpił przez Stanisławów odjazd do Lwowa, skąd część udała się wprost do domu. Ja odjechałem ze Lwowa do Sambora, gdzie przebywałem 7 dni. W międzyczasie wystarałem się o fałszywy dokument podróży, zabrałem ze sobą jakiegoś studenta, który się rwał do W. P. i w mundurze oficera legjonowego przedostałem się przez kordon austrjacki i niemiecki do Warszawy.

Przedostanie się przez oba kordony zawdzięczam znajomości języka niemieckiego, który był mi w kilku wypadkach bardzo przydatny jechałem bowiem w mundurze, jako oficer legjonowy.

Po przyjeździe do Warszawy spotkałem się znów z moim współtowarzyszem broni i przyjacielem ppor. Popielem Stefanem. Obydwaj zgłosiliśmy się w Komisji Wojskowej, przy ul. Królewskiej 35. u wiceministra płk. Wroczyńskiego, który nie dał nam chwilowo żadnego przydziału i kazał nam czekać i zgłosić się w odpowiedniej chwili. W dniu 11.X.1918 r. rano, w chwili wybuchu powstania w Warszawie znów zgłosiliśmy się w Komisji Wojskowej i otrzymaliśmy rozkaz stawienia się w pułku inżynierji na Mokotowie. Przedtem jednak poszliśmy w stronę ul. Fredry, (dawniej Kotzebue) aby zobaczyć, jak zachowują się zrewoltowani Niemcy w telegrafie państwowym. Zauważyliśmy, że i tam dotarły echa rewolucji, a urzędnicy niemieccy zaczynają napychać kieszenie pieniędzmi i znaczkami pocztowemi. Dobraliśmy sobie 4 uzbrojonych cywilów, ustawiliśmy

odpowiednie posterunki przy drzwiach wejściowych i weszliśmy do środka gmachu, aby zrobić porządek. Zadanie było tem trudniejsze, że wyjść było parę i jedno do tego wspólne z tajną policją niemiecką, która na Wierzbowej Nr. 9 miała swoje biura.

Odebrane urzędnikom pieniądze i znaczki pocztowe, zabezpieczyliśmy wspólnie w odpowiedniej kasie. Następnie ppor. Popiel pełnił służbę bezpieczeństwa na parterze gmachu, ja zaś poszedłem na II. piętro, gdzie był pomieszczony właściwy telegraf. Wezwałem naczelnika (oberpostdirektor) i jego zastępcę, zebrałem urzędników, przemówiłem do nich, aby nie stawiali oporu i dostosowali się do moich rozkazów, poleciłem im odejść od aparatów telegraficznych, złożyć broń włącznie broni osobistej i przejąłem telegraf państwowy. Całe urządzenie techniczne zostało odebrane w stanie dobrym i nie uszkodzonym. W dalszym ciągu poleciłem zebrać wszystkie świeżo nadane telegramy, odpowiednio je posortowałem i wysyłałem telegramy z treścią szyfrowaną do Insp. Sił Zbrojnych na ręce gen. Berbeckiego, do wglądu, a telegramy o treści innej, zwłaszcza mogącej przynieść szkodę państwu polskiemu w odpowiedniej chwili paliłem. Dotyczyło to zleceń wydawanych władzom niemieckim na prowincję co do wywozu zboża i produktów do Niemiec. W chwili objęcia telegrafu państwowego zameldowałem o tem telefonicznie wicemistrowi spraw wojskowych płk. Wroczyńskiemu, prosiłem go o dodanie mi jakiejś załogi i zostałem przez niego zamianowany komendantem telegrafu warszawskiego. Wieczorem nadesłał mi wiceminister posiłki w sile 3 ofic. młodszych i 12 studentów techników, którzy odtąd pełnili tam tymczasową załogę. W międzyczasie zwróciłem się do Związku Pocztowców przy ul. Jasnej 12., aby przybyli i objęli służbę bezzwłocznie. Nastąpiło to w dniu następnym, t. j. 12.XI.1918 r. o godz. 8 rano, w którym przekazałem zarząd telegr. w ręce Pana Kozłowskiego obecnie w Min. Poczt. i Telegr., ja natomiast pełniłem nadal służbę wojsk. komendanta telegrafu do 4.XII.1918 r., poczem zostałem zamianowany zastępcą dowódcy 1. pułku telegraficznego W. P. na Cytadeli, który odtąd zacząłem formować.

Ppor. Popiel zajął w dniu 12.XI.1918 r. stację telefoniczną „Cedergren", gdzie też pełnił pewien czas funkcję komendanta.

Zygmunt Popiolek

Z OBOZU W SZEKLENCZE NA WŁOSKI FRONT.

Po wzięciu do niewoli tych legjonistów II. Brygady, którzy nie przeszli dnia 16 lutego 1918 r. do Rosji — rozpoczęły się dla nich dnie goryczy, niedostatku i ponurej niewoli. Z Mamajeszti zostaliśmy odstawieni, rozumie się pod eskortą, do najbliższej stacji kolejowej i tam załadowani do wozów.

Nie jedliśmy nic. Coprawda coś się gotowało, coś się krajało, ale tego tak mało było, że nie wszyscy otrzymywali należne im porcje, a jeśli nawet ktoś je zjadł — to też był głodny.

Przejeżdżaliśmy przez Kołomyję wieczorem. Zdołałem wydostać się z wozu z zamiarem ucieczki, jednak przy przechodzeniu torów zatrzymano mnie i z powrotem wtłoczono do klatki. Z wycieczki mej odniosłem tę korzyść, iż przywołałem jakiegoś kolejarza, któremu wręczyłem listy do znajomych, napisane w Mamajeszti. Postój w Kołomyji był krótki. Jechaliśmy dalej. W wagonach odczuwać się dało przejmujące zimno — to też kuliliśmy się i przytulali jeden do drugiego, chcąc usnąć. Zimno spotęgowało się znacznie, gdyśmy przejechali granicę węgierską.

Miarowy stuk kół i trzęsienie wozu nie pozwoliło zasnąć.

Mróz przenikał szparami i okienkami i mroził nas dotkliwie. Braliśmy się więc na różne sposoby, by nie zmarznąć — jednym z takich sposobów było kładzenie rąk na gołym brzuchu. Stamtąd szło ciepło przez ręce i przez to odnosiło się wrażenie ciepła na całem ciele — jakżeż długo jednak można było stać czy leżeć w takiej pozycji?

Rano, gdyśmy wychylili głowy z poza niedomkniętych drzwi, ujrzeliśmy krajobraz obcy... pola śniegiem zawiane...

Gdzie jesteśmy? Dokąd nas wiozą?

Nie przypominam sobie, czy dano nam coś jeść — wiem jednak, że i tego dnia byłem głodny i niewyspany. Wieczorem wyładowano nas i polecono maszerować; dość długo szliśmy wlokąc się, drżąc z zimna i zmęczenia.

Halt!... stanęliśmy. Niebo skrzyło się gwiazdami.

Staliśmy na drodze we wsi. Psy poszczekiwały — zresztą było cicho. Pomęczeni kładliśmy się w przydrożnych rowach, nie na długo, bo już wartownicy nasi krzyczeli „auf". To kładzenie się i wstawanie powtarzało się conajmniej z dwadzieścia razy. Była to pewnego rodzaju dobrze obmyślana katusza cielesna, bowiem gdy tylko ktoś się kładł na śniegu, momentalnie zasypiał — sen jednak trwał dziesięć sekund i już było się budzonym brutalnym popchnięciem lub ordynarnym: „basa-mega, isztenet"...

Dulfalva

Dobrze po północy zjawili się oficerowie i na ich rozkaz zostaliśmy wprowadzeni do baraków.

Niech błogosławioną będzie ta chwila, w której nareszcie dostaliśmy swój kąt... te trzy dni naprężenia nerwów, głodu i chłodu najmocniejszych powaliło z nóg.

Po wtłoczeniu się do baraków, pozajmowaliśmy miejsca na pryczach i nie rozbierając się, zasnęliśmy.

Rano! Są różne poranki. Piękne, ciepłe, zimne, podniosłe, zachwycające... Rano nasze było beznadziejne!

Podniosłem się do pozycji siedzącej i uderzyłem się głową o dach. Uderzeniem tem wytrzeźwiłem się natychmiast. Jąłem spoglądać

wokół — duży barak z cienkich desek, długi na 25 metrów, szeroki na sześć. Wzdłuż pod ścianami prycze-parter i piętro, środkiem wąskie przejście. Dwa piecyki żelazne. Prycze podzielone w ten sposób, że w każdej klatce mieściło się pięciu ludzi. Przy mnie leżał Zając, Czerkawski, Buś z jednej strony — Witek z drugiej strony. Leżeliśmy na deskach, zaścielonych liśćmi bukowemi.

Bustynhaza — Msza polowa

Spojrzałem w dół. Przy piecyku leżało kilku legjonistów skulonych — rzuceni jak łachman... byli tacy, co już wstali, lub też wcale się nie kładli — błąkali się po kątach.

Nagle drzwi się otwierają. Prąd zimnego powietrza oblatuje barak, wciska się wszędzie, budzi, chłoszcze.

— Auf!

To znaczy wstawać. Krzyczał to „auf" kilkakrotnie żołnierz austrjacki, stojąc w otwartych drzwiach i dzierżąc karabin w ręku. Nie tak to łatwo było podnieść nas — przecież to nasz kąt i my teraz też mamy coś do powiedzenia. Jeśli jest śniadanie to wstajemy, jeśli niema to leżymy dalej. Śniadania nie było. Leżeliśmy lub siedzieliśmy tedy na pryczach — gawędząc. Wielu przytując się do siebie, spało. Kilku rozpoczęło śpiewać. Inni zamieniali miejsca między sobą, układali rzeczy, podsypywali liście. Wyjąłem paczkę papierosów częstując kolegów.

Niech błogosławioną będzie ta chwila — mieliśmy swój kąt.

Mogliśmy mówić, opowiadać, przemyśliwać, wreszcie leżeć czy siedzieć i nie mieliśmy przy sobie strażników. Oni byli tam na zewnątrz. Trzymali wartę.

Zeszło tak do południa. Po południu odbyła się rewizja w sposób mongolski. Nic nam nie mówiąc, kazali się rozebrać, rzeczy zostawić

Zabawy internowanych legjonistów w Bustyahaza

i wyjść na dwór — jednak to jeszcze nic nadzwyczajnego. Nie! Nadzwyczajne okazało się dopiero później. Wychodząc na dwór, tchnięty przeczuciem, schowałem pierścionek w usta — pieniądze zwinąłem w tulejkę i wepchnąłem... papierosy włożyłem w buty. Radziłem to innym — kto co ukrył dobrze, to mu zostało. Na dworzu trzymali nas godzinę — rabując pozostawione rzeczy w baraku, gdy rabunek wewnątrz już skończyli rozpoczęło się wpuszczanie nas... po jednemu, każdy był dokładnie obmacany, jeśli co znaleziono — odbierano i bito winowajcę...

Oto ten sposób złodziejstwa nazywam nadzwyczajnym i wyrafinowanym. Ja przepchałem się ze swojemi bogactwami, t. j. z pierścionkiem, pieniądzmi i papierosami. Na pryczach nieład, wszystko poprzewracane, co wartościowsze pozabierane. Wszelkie zapasy papierosów, koce, płaszcze lepsze — poznikały.

Rozpacz była ogólna. Nadzieja snu jednak ożywiła nas tak dalece, żeśmy zaczęli śpiewać. Dziwowali się madjary — co to z djabły! Zbici, zziębnięci, obrabowani, bez Ojczyzny, głodni, a śpiewają...

A myśmy śpiewali:

Tej nocy śniło mi się, że jestem w Warszawie. Byłem w ciepłym, ładnym salonie. Wesoło. Twarze zebranych roześmiane... Jakiś pan, z monoklem w oku, opowiadał mi, jak to dobrze, że Niemcy utrzymują porządek w mieście, bo gdyby ich nie było, to ta hołota przejśćby spokojnie nie dała porządnemu człowiekowi.

Słuchałem zachwycony... wpatrzony w niego, w jego pulchne policzki, w jego piwne oczy, w rubinową muszkę w krawacie i słuchałem...

Taką śniła mi się Warszawa... A nazajutrz rano budziłem się w baraku Nr. 5 w Szeklencze. Budziłem się z bólem głowy, z wyschniętem gardłem — nogi miałem skostniałe — jeść się chciało...

Zupa!

Jest zupa, tak zwana—aresztancka. Ta, co nam była tego rana daną, była gorsza od aresztanckiej. Zjedliśmy jednak ze smakiem, przynajmniej była gorąca.

Tak to zaczęła się niewola. Niewola tem przykrzejsza, że niewiadomo było jak długo ona trwać będzie Więzień skazany — wie na jak długo jest skazany — myśmy nie znali przeznaczenia. Coprawda w Huszcie trwało przygotowywanie materjałów do procesu, jednak wszystko zależało w tym okresie od nastrojów politycznych czynników rządzących w Austrji.

Niewola była dla nas tem boleśniejsza, że staliśmy się nieużyteczni dla Ojczyzny! Bolało nas to, że zamknięci jesteśmy i nic dla Polski robić nie możemy. Zazdrość nas ogarniała na myśl, że ci co przeszli do Dowbora, mogą dalej Polsce wiernie służyć.

Pierwsze dni niewoli były okropne. Zimno, głód, przygnębienie — robiły z nas milczących manekinów. Błąkaliśmy się z kąta w kąt mało mówiąc — lub wychodziliśmy z baraku i stojąc przy drutach patrzyliśmy przed siebie...

Barak naokoło otoczony był drutami kolczastemi do wysokości 3 metrów. Kilkunastu wartowników strzegło go dniem i nocą.

Gdym tak stał i patrzył poza druty i gdym widział tam, za niemi wolne życie, nieskrępowane — to czułem, jak wewnątrz coś drze, jakiś żal, czy tęsknota a może rozpacz! Patrzyłem na niedaleki omarznięty gościniec, na cerkiewkę poza drogą stojącą — śniegiem przyprószoną—na chaty Słowaków, podobne do chat naszych chłopów— patrzyłem na wlokące się sanie z drzewem i myślałem, kiedy te druty opadną i kiedy drzwi baraku się roztworzą...

Przeszło kilka dni. Przyzwyczailiśmy się do niewygód — zaczęliśmy walczyć o poprawę bytu. Zezwolono nam na wybranie komitetu dla pilnowania kuchni.

Zapełnialiśmy czas, jak umieliśmy i jak mogliśmy. Znalazły się szachy, karty. Graliśmy, śpiewaliśmy, projektowaliśmy sobie różne rzeczy w przyszłości.

W dalszym ciągu komunikowanie się ze światem zewnętrznym było niemożliwe — niemożliwe było nawiązanie nici z sąsiedniemi barakami, ani z chatami, w których mieszkali nasi oficerowie. Uzyska-

Gen. Schilling sprawdza przynależności internowanych legjonistów

liśmy tylko to, że codziennie przychodził do nas doktór Kończacki i od niego łapaliśmy nieco wiadomości. W tym okresie powstawały w naszych głowach zamiary ucieczki.

Po 3-ch tygodniach oddano nam część zrabowanych rzeczy a więc i pieniądze—zezwolono też wychodzić delegacjom, złożonym z trzech osób na wieś. Delegacje te w towarzystwie patroli robiły zakupy. Można było dostać chleba, słoniny. Poprawiło się więc pożywienie.

Przez tamtejszą ludność byliśmy życzliwie traktowani. Słowacy, uciskani przez tyle lat srogiemi rządami madjarów, rozumieli, co to jest niewola. Nie obdzierali nas. Żałowali.

W tym czasie doszły nas słuchy, że z któregoś baraku uciekło kilku legjonistów — rzekomo zostali schwytani i rozstrzelani. To rozstrzelanie nie działało jednak na nas mimo specjalne podkreślania ze strony madjarów.

Turbiny w Udine

Z kraju nie mieliśmy wiadomości. Nie można było do wiadomości zaliczać fantastyczne wymysły, że Piłsudski został zwolniony z Magdeburga — że niedługo pojedziemy do Warszawy... choć byli tacy, którzy temi bredniami cieszyli się bardzo.

W marcu śnieg stajał i pewnego poranku zaroiło się pod barakami. Żołnierze austrjaccy uzbrojeni od stóp do głów, zapełnili podwórze barakowe. Nie mogliśmy zrozumieć, po co oni się zebrali? Kazano nam ubrać się i wyjść. Gdyśmy wyjść nie chcieli tłumaczono nam, że to będzie tylko spacer. Wyszliśmy i w towarzystwie uzbrojonych odbyliśmy spacer. Bardzo dobrze i pożytecznie!

Za kilka dni spacer powtórzył się. Prowadzili nas długo. Przeszliśmy wieś i polnemi drogami doszliśmy do lasu. W lesie było dużo ściętego drzewa. Wspaniałe sosny, długie, grube — leżały w leśnym błocie. Te sosny kazano nam brać i nieść do wsi. Nie chcieliśmy. Na upór nasz znaleźli przymus — tłuczenie kolbami i kłucie bagnetami... Cóż było robić? Wzięliśmy sosny i po grząskich i błotnistych ścieżkach rwaliśmy naprzód. Przywlekliśmy się do wsi w nocy. Mimo zmęczenia, przemoknięcia — byłem wówczas wesoły!

Prawdziwa niewola wojenna. Jesteśmy zamknięci, źle żywieni, odcięci od świata i... pracować musimy dla władców.

Pod koniec marca sytuacja nasza zmieniła się — coś zostało postanowione — co, nie wiedzieliśmy. Kilka razy maszerowaliśmy do Huszt, gdzie ściągano z nas zeznania. Mieliśmy też wizytę pana generała Schillinga.

Ustawiono nas w dwurzędzie na drodze. Pan generał przyszedł groźny. Kazał sobie zdać raport — wypytywał o różne rzeczy i poszedł. Ktoś mu krzyknął na odchodnem: oddaj samochód.

Nareszcie przyjechali do nas rodacy tuż przed świętami Wielkiej Nocy. Przywieźli, co mogli — mówili, co się dało mówić. Nikt z nich nie wszedł jednak do baraku — to było wzbronione — ksiądz tylko jakiś dostał pozwolenie wejścia i on nas wyspowiadał.

Nastrój tych dni był podniosły. Zapomnieliśmy o wszystkiem — myśleliśmy tylko o Polsce. W pierwszy dzień świąt odbyła się msza polowa — zebrały się wszystkie baraki i oficerowie. Po mszy krótkie kazanie, po kazaniu zaśpiewaliśmy. Wartownicy nasi w zadumie słuchali i z zazdrością patrzyli na nas niewolników a duchem tak mocnych!

Z uroczystości wróciliśmy do baraków pokrzepieni. W baraku ustawiliśmy się do ostatniego legjonowego raportu. Sprężyście odbył się ten ostatni raport legjonowy i legjonowemu oficerowi zdany.

Było to dnia 31 marca 1918 r.

Któregoś dnia w kwietniu 1918 roku wyprowadzono nas pod silną eskortą z baraków w Szeklencze, do najbliższej stacji. Tam znowu nas załadowano do wozów i rozpoczęła się podróż do Włoch. Szeklencze żegnaliśmy przekleństwami — mieliśmy dość tych drutów, marnej zupy i widoku głupich, otumanionych wartowników.

Jechaliśmy w nastroju nijakim — chwilowo zobojętnieli na to, co z nami wyprawiają. Im bliżej jednak byliśmy granicy włoskiej, tem prędzej nastrój klarował się i opanowywała nas głucha wściekłość, że przecież dadzą nam radę... rozpraszając niewielką gromadkę legjonistów w kotle armji austrjackiej. Jak długo było się w gromadzie, tak długo czuło się pewną wspólną siłę, swoją, legjonową — teraz stała nad nami groźba zupełnego rozbicia tej siły.

Zabawa legunów z włoszkami

Pamiętam dzień przyjazdu naszego do Udine we Włoszech. Dzień był niełaskawy. Mocny wiatr sypał piaskiem w oczy. Brnęliśmy po tym piasku obszarpani, wynędzniali, otoczeni strażą. W Udine czuć było front, aczkolwiek rzeczywisty front był daleko, nad Piawą, to przecież transporty amunicji, samochody, hangary wskazywały, że stąd się zaczyna to, co chce zgnębić wolność i podbić świat. Niemcy wszędzie, nastroszeni, pyszałkowaci, pobrzękujący groźnie bronią.

Przeszliśmy kilka ulic Udine. Miasto zburzone, zrujnowane... Komendant transportu „zdał" nas władzy w Udine i już bez wartowników, odbywaliśmy z tego miasta dalszą wędrówkę. Płynęły dni, zmieniały się miejscowości w jakiemś żółwim tempie, — wiem, że nas najpierw oficjalnie potraktowali jako rekrutów — przeszliśmy komisje poborowe. Potem ubrali nas w austrjackie czapki. Podzielili

na oddziały, a wszystko to było nazwane K. u. k. Kommando Gruppe „P"...

Stanęliśmy ostatecznie we wsi Attimis. Jakiś porucznik austrjacki, czech, został naszym komendantem. Miał nas ćwiczyć, urabiać i zrobić z nas żołnierzy jak się patrzy.

Wszystko więc szło po wojskowemu. Komenda austrjacka, szarże, raporty, rzucanie granatami, zupa i t. d. ...

Mój Boże! W 1918 roku trzeba było jeszcze tłuc się po wypieczonej trawie włoskiej — pokuta rzeczywiście dobrze obmyślona. Nastrój wśród nas nieco się jednak poprawił, bo jeszcze byliśmy w gromadzie, jeszcze czuliśmy jaką taką siłę. Komunikowaliśmy się często z innemi oddziałami.

Po różnych drogach włoskich szły całe czeredy legjonistów na wizyty. Od wsi do wsi. Pogoda była prześliczna. Maj, czerwiec...

Mimo, że austrjacy skąpo nas żywili, to przecież mieliśmy co jeść, gdyż drzewa morwowe dostarczały nam strawy, może niezbyt wykwintnej, lecz w ilości obfitej... pozatem jak umieliśmy, podjadaliśmy Włochów. Zawsze po ćwiczeniach z zapasami papierosów robiliśmy wycieczki do wsi nieobsadzonych przez wojsko i w takich to wsiach można było za nasze mizerne papierosy wydostać trochę mąki czy kartofli.

W czerwcu zachorowałem i wskutek tego odtransportowany zostałem do szpitala w San-Daniele del Friuli. Jakiś legjonista, którego zastałem w szpitalu, udawał chorego na ślepą kiszkę, chciał koniecznie za cenę operacji na sobie, dostać urlop i wydostać się do kraju, dowiedziałem się później, że muu się to udało — rozumie się, iż operację przeszedł.

Będąc w szpitalu zacząłem się zastanawiać nad sytuacją, w jakiej znaleźliśmy się. Doszedłem do przekonania, że to, cośmy zrobili do tej pory od 16 lutego — zamknęło się już w przebrzmiałym efekcie honoru — obecnie giniemy w masie obcej bez śladu. Szukałem sposobu, by wedle sił przeciwstawić się owemu rozpłynięciu się zupełnemu i bez szkody dla wrogów. Nie znajdowałem jednak sposobu... Dalej buntować? kogo... i jak? I zresztą cóż ja, pionek znaczę? Ostatecznie postanowiłem znaleźć możność ucieczki nietylko dla siebie, ale i dla swoich kolegów. Nauczono mnie w tym szpitalu różnych sposobów fabrykowania dokumentów. Tam też zaopatrzyłem się w większą ilość kart przejazdowych, t. zw. Offener Befehl — in blanco.

Po wyjściu ze szpitala znalazłem się z kilkunastu legjonistami w kadrówce frontowej 20-go pułku piechoty austrjackiej. Znowu przeszkolenie, ale już pod twardą ręką feldwebla-zupaka. Niewesołe

to były czasy dla nas żywych, spragnionych ruchu w tej masie starych chłopów ukraińskich — myślących o swoich śmieciach gdzieś pod Tarnopolem, czy Łańcutem. Robiliśmy najrozmaitsze żarty, kiwaliśmy szarże, wyłgiwaliśmy się od ćwiczeń — wszystko to jednak nie pomagało, czuliśmy, że giniemy.

Rozpocząłem swój plan. Któryś z kolegów przerysował na bibułce pieczątkę pułkową — z bibułki przeszła ona po poślinieniu jej na Offener Befehl, wypisałem też na nim „drei Mann zum Kader itd... do Przemyśla... nazwisko komendanta transportu, szarże...

Leguny pod włoskiem niebem

Zebrało się wieczorem tych pięciu — dałem im dokument — wiejcie. Szczęść Boże!

Poszli weseli. Niedaleko była stacja. Nadsłuchiwałem gwizdu maszyny. Zagwizdała wreszcie, zasyczała i wzięła ze sobą pierwszy transport chcących żyć dla Polski i dla niej umierać.

Długo nie mogłem zasnąć. Przeszło kilka godzin... Udało się chyba... Pojechali. Na drugi dzień zdołaliśmy zatuszować nieobecność uciekinierów, na trzeci dzień jednak wydało się. Zrobiliśmy głupie miny, interpelowani odpowiadaliśmy naiwnie, że widocznie uciekli, nie uważając tego za jakieś przewinienie.

Robili rewizję, poszukiwania, wypytywali, wysłali patrole... kamień w wodę, nic nie znaleźli.

Muszę podkreślić, że ci pierwsi moi pacjenci byli ludźmi odważnymi, należało bowiem wypróbować dokumenty; gdyby się było okazało, że dokument łatwy do rozpoznania, byliby przepłacili śmiercią. Ponieważ słuch o nich zaginął, utwierdziłem się w przekonaniu, że dokumenty są dobre i można dalej z nich korzystać. Rozdałem kilka sztuk posiadanych dokumentów — zostawiając sobie jeden.

1 sierpnia 1918 roku kilku nas legjonistów zostało przez pułk wydzielonych do szkoły oficerskiej.

Faedis — maj 1918 r. Legjoniści na włoskim froncie traktowani jako oddziały robocze

Odjechaliśmy do Friaco, w której to miejscowości szkoła owa się mieściła. Nie była to zwyczajna szkoła oficerska, a raczej kurs przeszkoleniowy dla oficerów frontowych. Różnej rangi oficerowie i aspiranci wspólnie przechodzili przeszkolenie rozmaitej broni — specjalny nacisk kładziony był na obznajomienie się szczegółowe z miotaczami min, czołgami i miotaczami ognia, tudzież organizacją i dowodzeniem tymi broniami.

W szkole byliśmy około dwóch miesięcy, z końcem września wróciliśmy do pułku. W pułku żyliśmy tylko w swojej grupce — razem kwaterując, wspominając dawne czasy na służbie legjonowej. Minęły te czasy, jak mija wiosna, jak mija młodość... czy wrócą jeszcze? Cóż my teraz jesteśmy? Pytaliśmy się samych siebie... Nie wiedzie-

liśmy, co się w kraju dzieje... jesteśmy, jak suche kamienie rzucone daleko... ręką nielitościwą — pozbawieni wiadomości. Korespondencja nasza była cenzurowaną. Gazet polskich wogóle nie mieliśmy. Porozrzucani po pułkach, oddziałach, zginęliśmy w masie ludzi zgnębionych wojną i ludzi bez ideałów. Otaczała nas wroga atmosfera nieufności, niechęci.

W tym to okresie czułem niezmożony żal do społeczeństwa polskiego — zdawało mi się, że nieudolność, brak odwagi, brak poczucia godności doprowadziły do tego, iż nie mamy nic.

Magredis — czerwiec 1918 r.

W pierwszych dniach października 20-ty pułk dostał rozkaz odjazdu na front macedoński. Przyjechaliśmy do Belgradu, a stamtąd marszami posuwaliśmy się naprzód. Oziębiło się. Deszcze lały prawie codziennie. Służba zaczynała być ciężka — wlekliśmy się po górach, dzikich wertepach — patrolując, czuwając, wszystko to wobec braku jakiejkolwiek chęci ku temu, męczyło niepomiernie. Dowiedzieliśmy się, że w ewentualnym boju będziemy mieli przeciw sobie Francuzów. Wiadomość ta ucieszyła nas o tyle, że postanowiliśmy przy najbliższej sposobności przejść na ich stronę. Ja jednak sceptycznie zapatrywałem się na to przejście, — może się nie udać. Postanowiłem wreszcie uciec do kraju. Nie wszyscy decydowali się na to, pięciu jednak wyraziło swą zgodę. Oznaczyliśmy dzień. Wieczorem tego dnia zebraliśmy się w pełnem uzbrojeniu ruszyliśmy w kierunku Belgradu.

Przeprawa była okropna. Nie znając dróg, przedzieraliśmy się na przełaj, łąkami, lasami. Przeszkody braliśmy wszystkiemi siłami. Najgorzej było w lesie. Straciliśmy kierunek, noc ciemna, deszczowa, jakże się tu orjentować?

Byliśmy już pewni, że się nie uda ta nasza wyprawa, szczęście nam jednak dopisało. Las się skończył, a przed nami biegł tor kolejowy. Doszliśmy do jakiejś stacyjki. Ruch tam panował nadzwyczajny, pociąg szedł za pociągiem; to z frontu transporty rannych i na front transporty z amunicją. Na drugim torze stała maszyna. Podeszliśmy do niej — w obsłudze prusacy. Po dłuższej konferencji zabrali nas do środka i nie długo jechaliśmy do Belgradu.

Nie pamiętam dnia, którego to nad ranem stanęliśmy w Belgradzie i nie pamiętam nazwisk moich współtowarzyszy, przypominam sobie jednak charakterystyczny moment: trzeba było w kasie kolejowej ostemplować nasz dokument. Czy leżało w tem jakie niebezpieczeństwo? Może tak; wiem, że gdy podchodziłem do kasy, w której jakiś feldwebel stemplował dokumenty, zadrżałem.

Obojętnie jednak podałem dokument, oglądając się wokół. W sali kręciło się kilku żandarmów — zorjentowałem się, że w razie czegoś jedyna droga ucieczki była przez drzwi pilnowane; ha trudno! Rzuciłem wzrokiem na feldwebla — czytał, jeszcze parę wierszy i dojdzie do pieczęci pułkowej, pozna fałszerstwo. Cofnąłem się w tył, — w tej chwili jakiś pułkownik podszedł do kasy podając swój dokument. Feldwebel podniósł zwrok i wyrzucił z siebie natychmiast „sofort Herr Oberst", waląc równocześnie na mój dokument pieczątkę kolejową. Porwałem dokument i jak oparzony wyleciałem za drzwi, do kolegów. Widocznie obserwowali mnie, a widząc, że ceremonja przy kasie zbyt długo trwała, zabezpieczyli się — szukałem dosyć długo, nim ich znalazłem. Weszliśmy na peron. Na torze stał pociąg... Belgrad — Berlin... wsiedliśmy. Przejechaliśmy Budapeszt, Wiedeń, Bogumin. W Boguminie przesiedliśmy się na krakowski pociąg.

Do Krakowa przyjechaliśmy wieczorem. Znowu strach, trzeba dokument przedstawić w komendzie dworca. Wszedłem do pokoju komendy, oddając dokument sierżantowi, ponieważ jednak urzędujący tam sierżant podejrzliwie na mnie spojrzał, i z dokumentem wyszedł do drugiego pokoju, nie czekałem już na jego powrót a wybiegłem na peron. Nawinął się jakiś kolejarz i wyprowadził nas na miasto... Tam już byliśmy wolni.

Jan Wilczyński

OBÓZ W TALABORFALVA.

Kadra artylerji dawnych Legjonów, przekształconych w r. 1917 w Polski Korpus Posiłkowy, kwaterowała z początkiem r. 1918 w Huziejowie pod Bolechowem, w Małopolsce.

Mimo rozbicia Legjonów i częściowego internowania, względnie przejścia do wojska austrjackiego znacznej większości kolegów, znalazła się jednak w kadrze jeszcze wcale pokaźna grupka dawnych artylerzystów I pułku legjonowego. Moją obecność zawdzięczam chorobie, skutkiem której w czasie przejść legjonowych w Przemyślu udać się musiałem do austrjackiego szpitala. Nie w smak nam była kadra P. K. P. — parodja dawnych Legjonów — i wszyscy traktowaliśmy okres ten przejściowo, byle przeczekać, byle zachować siły do dalszej pracy. Naprężona sytuacja doszła do punktu kulminacyjnego po pokoju Brzeskim. Końca nie było dyskusjom, co czynić, jak zaprotestować przeciw haniebnemu postępkowi Austrji. Dlatego też wiadomość o przejściu naszych kolegów na froncie nie zdziwiła nas zupełnie i wszyscy bez wyjątku wyraziliśmy im za to uznanie, solidaryzując się z nimi. Byłem wtedy jednym z najstarszych podoficerów, t. zw. ogniomistrzem-instruktorem, względnie aspirantem oficerskim, mianowany nim przez Dowództwo Korpusu Posiłkowego. Zarządziliśmy zbiórkę tych kilkuset żołnierzy, z których składała się kadra, przedstawiliśmy im sytuację, uprzedzając, iż czeka ciężka przeprawa i że na wszystko najgorsze trzeba być przygotowanym.

Dnia 18 lutego 1918 r. znaczna większość karnie pomaszerowała na miejsce wyznaczonej przez Dowództwo Kadry zbiórki, by rzucić broń znienawidzonym austrjakom, a samym pójść do więzienia, by dzielić dolę i niedolę kolegów z frontu, by czekać lepszej przyszłości i odpowiedniej chwili, kiedy będzie można znów za broń pochwycić. Mimo nęcących propozycyj życzliwych znajomych cywilów, którzy przyjechali do mnie ze Stryja z ubraniem, papierami i t. d., nie zgo-

dziłem się na opuszczenie żołnierzy, zdając sobie sprawę, że stokroć więcej teraz, niż kiedykolwiek indziej potrzebują oni pomocy i opieki. Pierwsze dnie spędziliśmy w Dolinie, gdzie nastąpiło oddzielenie żołnierzy od oficerów, by pierwszych internować w obozie

Huszt i Bustyahaza

Talaborfalva, drugich zaś w Dulfalva. Naturalnie zostałem z żołnierzami.

Po męczącym transporcie — załadowano nas do wagonów dla bydła, ilu tylko można było najwięcej pomieścić, przyczem obstawiono ze wszystkich stron żandarmami — przybyliśmy dn. 25 lutego 1918 r. do stacji Bustyahaza na Węgrzech. Tu dopiero, na ziemi węgierskiej rozpoczęło się znęcanie nad nami „dzielnych" Austrjaków, hamowanych w Małopolsce obawą przed miejscową ludnością.

Zziębnięci, głodni, wyczerpani, zostaliśmy spędzeni na pole. Kazano nam zdjąć płaszcze i zabierając wszystkie rzeczy, literalnie wszystko, co tylko posiadaliśmy, przeprowadzono nas pod eskortą na drugie, odległe o kilka kilometrów miejsce. Po kilkugodzinnem czekaniu i nie dostawszy nic z powrotem z naszego dobytku, popędzono nas dwadzieścia kilometrów za wieś Talaborfalva. Tam czekał na nas barak drewniany, ze wszystkich stron gęsto odrutowany, który miał nas ugościć na kilka miesięcy. Do baraku prowadziły jedne

Bustyahaza

małe drzwiczki. Szczegół nie bez znaczenia, bo drzwi te przyprawiały nas o formalne męki.

Barak — pozostałość po letnim obozie niemieckim — mocno zniszczony, wiatr hula, jak na dworze, o żadnych piecach mowy niema. Dookoła piętrowe nary, nietylko bez sienników, ale nawet bez wiórów i nic więcej. Niema też mowy, aby ktoś zatroszczył się o jakiekolwiek pożywienie. Nie myślało się jednak o niczem, straszne zmęczenie fizyczne wpłynęło na zanik czucia, popadaliśmy pokotem, przytuleni wzajemnie do siebie i w ten sposób ogrzewając się, zasnęliśmy. Na drugi dzień dano nam jakiejś letniej brudnej polewki na śniadanie. Słońce zaświeciło, niedola zbliżyła wszystkich do siebie, sen pokrzepił tak, że pogoda ducha powróciła i zaczęliśmy znów

Dulfalva

Bustyahaza. Komitet z Kołomyi urządza „święcone" 31.III.1918

normalnie myśleć. Jako jeden z najstarszych szarżą, wybrany zostałem przez kolegów komendantem baraku. Przedewszystkiem pragnąłem nawiązać kontakt z oddzielonymi od nas oficerami i nie dopuścić do upadku ducha wśród żołnierzy. Zebrałem zatem starszyznę: Bałaban (obecnie major), Czajkowski (obecnie kapitan), Biłyk (obecnie kapitan), Jugendfein, Bezek, Pliszewski i t. d. i radziliśmy,

Bustyahaza. Adres Polaków z Kołomyji do internowanych legjonistków

co robić. Trudna była rada, bo nietylko nie można było dowiedzieć się o miejscu pobytu oficerów, ale wogóle znikąd o niczem języka zaciągnąć. Żołnierze strzegący nas, milczący, na wszystko odpowiadający skierowaniem karabinu z najeżonym bagnetem.

Nadeszło południe. Dostaliśmy jakiś płyn, którym niewątpliwie w normalnych warunkach nierogacizna gardziłaby. I znów przyszedł długi wieczór lutowy. Najbardziej przykre były drzwi, o których wyżej wspomniałem. Kilkuset ludzi w baraku, a skoro ktokolwiek

po dłuższych pertraktacjach z wartownikiem został wypuszczony na zewnątrz, wartownik ryglował drzwi, a sam odprowadzał delikwenta o kilkadziesiąt kroków dalej. Tam, nie spuszczając go z oka, z wymierzonym karabinem czekał, poczem odprowadzał z powrotem do baraku. Ileż scen komiczno-tragicznych odbyło sie przy tych nie-

Komplet odznak legjonowych, znajdujących się w obozie Dulfalva w marcu 1918 r.

szczęśliwych drzwiach. Z nastaniem zmroku nikt nie był wypuszczany na dwór, a tylko na środek baraku wstawiano koryto drewniane cieknące i cuchnące. Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w ciemności.

Po kilku, czy kilkunastu dniach zostałem dopuszczony przed oblicze oficera austrjackiego. Leutnant, żyd węgierski, na moje uwagi krzyknął po niemiecku: „Nie jesteście jeńcami, nie jesteście ludźmi, a jesteście zdrajcami i tak was traktujemy, jak na to zasłużyliście".

Słowa poparł kolbą wartownika i wpędzeniem mnie z powrotem do baraku.

Niedługo potem sytuacja jednak zmieniła się zupełnie. Przyjechał na inspekcję jakiś dygnitarz austrjacki, zdaje się generał Schilling, i zapytał mnie, czy mam jakieś życzenia. Opowiedziałem mu zdarzenie z leutnantem. Skutek był nadzwyczajny. 24 godzin nie minęło i dzielny leutnancik został wysłany na front. Dziwną życzliwość generała należy przypisać naturalnie interwencji Koła Polskiego w parlamencie austrjackim.

Odznaka więźniów z Marmaros-Sziget

Następca leutnanta, oberleutnant, Węgier — o ile się nie mylę nazwiskiem Den, był człowiekiem ludzkim, orjentującym się w naszej doli. Rozpoczęła się druga epoka naszego więzienia, znacznie łagodniejsza, która nam, zahartowanym, wydała się rajem. Przedewszystkiem w dzień pozwolono wychodzić gromadnie przed barak, skończyło się więc tłoczenie przed nieszczęśliwemi drzwiami. Następnie pozwolono mi — naturalnie pod eskortą żołnierzy, udać się do oficerskiego obozu w Dulfalvae, a w kilka dni później wydano nawet przepustki masowe (zawsze pod eskortą), oraz dopuszczano do obozu osoby, przychodzące do nas w odwiedziny.

W obozie oficerskim najlepszej opieki doznałem ze strony kpt. lekarza dr. Korolewicza, który dobrem słowem, jak również książkami i pieniędzmi niósł ulgę naszej doli. Zakupywałem więc chleb dla baraku, rozdzielałem prowianty, udzielałem drobnych zapomóg, sprawione zostały świece, papier i przybory do pisania. Prowianty i pieniądze zaczęły nadchodzić i z innych stron, z domów, z Komitetu Kobiet w Stanisławowie, od dr. Jugendfeina z Krosna, a wreszcie z Komitetu Węgierskiego Pomocy dla Jeńców.

Równolegle z załatwianiem spraw gospodarczych trzeba było zorganizować zajęcia dla tych kilkuset towarzyszy niedoli, by dzień prędzej schodził, by utrzymać ducha i rygor wojskowy. Urządziłem zatem rozkład dnia podobnie, jak w koszarach: z pobudką, gimnastyką, ćwiczeniami, wykładami i t. d. Posłuch był idealny i nie zdarzył się ani jeden wypadek niesubordynacji, czy jakichkolwiek oznak niezadowolenia.

Z końcem kwietnia przyszła decyzja wywiezienia nas z obozu. Opuszczaliśmy Talaborfalvę nie złamani na duchu, ale przeciwnie więcej jeszcze zahartowani. Chociaż otoczeni bagnetami konwojen-

tów, jednak w ordynku ruszyliśmy z przed baraku. Przed komendą austrjacką zatrzymałem oddział, by podziękować oberleutnantowi Denowi za ludzkie traktowanie, poczem rozpocząłem pieśń „Nie rzucim ziemi". Podchwycili ją koledzy i potężnie musiała rozbrzmiewać, gdyż oficerowie austrjaccy wyprężyli się na baczność i salutowali, a nie jeden miał łzy w oczach. Po uścisku dłoni z Denem i po rzuconem nam życzeniu „Elien" ruszyliśmy na stację kolejową, by po kilkudniowej podróży w wagonach towarowych przybyć do pięknej Italji i znów być otoczonymi bagnetami aż do chwili wcielenia, względnie zwolnienia z wojska austrjackiego.

Z czasu pobytu w Talaborfalve pozostała mi najmilsza pamiątka z wojny. Jest nią adres wręczony mi przez kolegów na kilka dni przed opuszczeniem obozu, a zaopatrzony w podpisy wszystkich internowanych z napisem: „Towarzyszowi niedoli, komendantowi i orędownikowi naszemu".

Tadeusz Malinowski

OD RARAŃCZY DO KANIOWA

Muszę zaraz z początku zaznaczyć, że opisując marsz Brygady Karpackiej i II. Korpusu na wiosnę 1918 od Chocima po Kaniów, pomijam w opisie dwie bitwy u początku i końca tej drogi — Rarańczę i Kaniów. Opis ich i ujęcie taktyczne wymagałoby przestudjowania ich planu i rozkazów, których nie posiadam, a które zapewne uzupełni ktoś ze starszych wówczas dowódców.

W szkicu niniejszym ograniczam się do moich osobistych wrażeń, odtwarzając je niejako we formie pamiętnika przeżyć własnych, w ramach chronologicznie naszkicowanych ówczesnych wypadków[1]).

Od czasu pamiętnych świąt Bożego Narodzenia 1917 roku, z których wróciłem z Mamajowiec, wcześniej niż należało, skróciwszy urlop dobrowolnie o kilka dni, nie mogłem sobie znaleźć miejsca.

W domu zapytano mnie, dlaczego właściwie aresztowano Szczypiorniaków, a nas nie?

Jakie są cele istnienia Polskiego Korpusu Posiłkowego?

Z Warszawy dochodziły mnie gorące listy starych kolegów, targające najgłębsze struny mojej duszy.

W szpitalu w Krakowie dogorywał major Władek Mężyński, ukochany nasz kolega i najlepszy oficer naszego pułku.

Z gazet, a przeważnie t. zw. pantoflową pocztą dochodziły nas głuche wieści o tworzeniu kilku korpusów wojska polskiego na terenie Rosji, nazwisko generała Dowbora Muśnickiego powtarzano sobie z radością z ust do ust, jako nazwisko tego, który skupia i organizuje wszystkich wojskowych Polaków, tworząc z nich wojsko niepodległej Polski na terenie Rosji, zwłaszcza, że to w kraju po uwięzieniu w lipcu 1917 Brygadjera Piłsudskiego i rozbiciu Legjonów nie było możliwe.

[1]) Wielką pomocą dla pamięci jest mi dziełko kpt. Rajmunda Bergela „Dzieje II korpusu Polskiego". Warszawa, 1921.

Front, podobno, właściwie już nie istniał. Kilku kolegów, jak major Wyspiański Stefan, major Matczyński Wiktor, wróciło z niewoli rosyjskiej, opowiadając rzeczy nie do wiary.

Wogóle cały bieg wydarzeń i nastrój wówczas panujący gnębi mnie moralnie, utrudnia t. zw. normalną pracę w Polskim Korpusie Posiłkowym, gdzie my z czystym jak łza, lecz zasępionym i widocznie również gnębiącym się wewnętrznie naszym generałem Zielińskim, stoimy pod komendą „Gruppe Kosak", 25 kilometrów od frontu pod

Bukowina 1918. Pozycje legjonowe

Czerniowcami, rzekomo ćwicząc piechotę, organizując artylerję i kadry, a właściwie czytając gazety i łapczywie, jak wygnańcy, chwytając każdą wiadomość „z kraju".

Styczeń 1918 spędzamy na długich wieczornych dyskusjach z Zygmuntem Durskim, Barzykowskim i dojeżdżającymi z pułku kolegami, chodząc wszyscy jak struci i słuchając z roztargnieniem Ocetkiewicza, który nie chcąc się zagłębiać w nękające go i nas problemy, huczy, odbywa raporty i bierze żelazną ręką swą kompanję sztabową.

Pod koniec stycznia i w początkach lutego wypadki zaczynają się toczyć z błyskawiczną szybkością.

W napiętej atmosferze nadchodzącej burzy spadają na nas z gazet wiadomości o poczynaniach Beselera i Austrjaków, o śmierci majora Włodka Mężyńskiego, o coraz trudniejszem położeniu Rady Regencyjnej wobec brutalnego eksploatowania kraju przez

okupantów, by wreszcie na wiadomość o zawarciu 9 lutego 1918 traktatu Brzeskiego wybuchnąć po żałobnem nabożeństwie za Włodka Mężyńskiego i płomiennem kazaniu księdza Panasia — nagłą decyzją czynu. Oficerowie postanawiają na tajnem zebraniu przejść front pod Rarańczą.

Lont jest zapalony.

Zapału nie może już powstrzymać ani mitygująca odprawa naszego generała, składającego ordery austrjackie, ni wysyłanie szefa sztabu Korpusu do Warszawy, ani słanie posłów do Dowbora Muśnickiego w celu porozumienia się z nim.

Dnia 14 lutego 1918 zostaję wezwany przez generała Zielińskiego do jego kwatery, gdzie oznajmia mi, że jutro rano mam z nim wyjechać na strzelanie pułku artylerji do Kocmania. Tejże nocy dowiaduję się, że pod pozorem ćwiczeń brygady mamy w najbliższych dniach przedrzeć się przez front, by połączyć się z wojskami polskiemi, tworzonemi na terenie rosyjskim.

Rankiem jadąc z generałem wyczuwam z toku rozmowy, że i on domyśla się wrzenia w pułkach, gdy jednak generał Zieliński zapytuje mnie, co się to właściwie dzieje, odpowiadam mu, czując się skrępowanym ważnością powierzonej mi tajemnicy, że proszę o przeniesienie mnie ze sztabu Korpusu do 2 pułku.

Po powrocie koło południa, gdy generał zasiadł do obiadu Zygmunt Durski z beztroską miną radosnego wzruszenia oznajmia mi w kącie, „że to dziś w nocy", że wszystkie moje rzeczy spakował i wysłał, zostawiając mi jedynie szczotkę do zębów, mydło i 2 koszule.

Wobec tego nie mam już poco wracać na kwaterę.

Postanawiamy z Zygmuntem starać się o konie, poczem z przybyłym do sztabu Korpusu kapitanem dr. Góreckim ustalamy po dłuższej debacie, że jednak starego Zielińskiego nie można zostawić poza nawiasem naszego czynu. Licząc się jednakże z jego nieubłaganym w karności legalizmem, postanawia dr. Górecki zameldować o tem generałowi dopiero wtedy, gdy gros oddziałów będzie w drodze, poleca mi przygotować sztab P. K. P. i pozostać do końca na miejscu, poczem wraz z nim mam wejść do generała Zielińskiego.

Zostaje trzy godziny czasu, podczas których moi chłopcy w sztabie bez jednego słowa, porozumiewając się tylko oczyma, czynią gwałtowne przygotowania, pakując tornistry, czyszcząc po kątach karabiny, podczas gdy ja, siedząc specjalnie za biurkiem, spisuję wszelkie polecenia generała, urzędującego wraz z kapitanem Pomazańskim, z wyjątkową gorliwością.

Po godzinie szóstej wieczorem odbyło się wszystko według planu. Generał Zieliński oddał szablę kapitanowi Góreckiemu, przyczem

dziwny ten więzień zapytał odrazu, czy i jakie wzięliśmy pieniądze, ile mamy zaopatrzenia i czy buty żołnierskie wystarczą, poczem na rozkaz kapitana Góreckiego, który powierzył mi straż, pozostaję w izbie sam z generałem Zielińskim i zalega głuche milczenie.

Generał siedzi ukrywszy twarz w dłoniach. Szczupła jego postać wydaje mi się jeszcze drobniejszą w olbrzymim bolesławowskim fotelu, który własnemi rękami wyciosaliśmy temu ukochanemu i czczonemu powszechnie dowódcy. Stoję opodal pod ścianą ubrany do drogi w kożuszek, rewolwer na pasie i chlebak, w którym cały mój majątek podróżny jest spakowany. W głowie dziwna mieszanina radosnego podniecenia, że nareszcie ruszamy i doraźnej obawy, że nie zdołam dołączyć do swoich, którzy przecież musieli już wymaszerować. Czas się dłuży. W pewnym momencie spostrzegam z przerażeniem, że po przez chude palce generała spada na stół kilka kropel.

Zieliński płacze?

Ten człowiek, którego widziałem pod Pniowem, Mołotkowem, na Bukowinie, pod Rarańczą jak uśmiechał się stojąc sam wśród gradu pocisków, a gromiąc legunów jedynie za to, że się nie dobrze kryją i maskują. Ten człowiek, który umiał swą nieskazitelną duszą żołnierską, swą żelazną wolą złączoną z dziwną pogodą ducha i mazurską dobrotliwą rubasznością zdobyć sobie serca nas wszystkich — ten człowiek płacze?

Po chwili generał podchodzi do ciemnego okna, by obróciwszy się nagle do mnie zapytać wolno:

— Pozwolisz mi Pan napisać do rodziny?

Milczę, skłoniwszy głowę.

I to pan mi to zrobiłeś Panie Tadeuszu, czemu mnie nie uprzedziliście?

Mówię coś szybko i gorączkowo, że przecież Pan generał byłby nam przeszkodził, że już trudno było wytrzymać, że przekraczamy front, zwrócił przecież wszystkie ordery austrjackie i t. p.

„A czy wy wiecie, co to za jeden ten Muśnicki? a wiesz Pan, że ja do niego wysłał potajemnie oficera, zanim wy jeszcze o tem zaczęliście myśleć? Więc to Haller urządza te ćwiczenia?

A macie wy pieniądze, konie, żywność a przedewszystkiem amunicję, amunicję?"

Generał mówi długo chodząc, jakby rozważał sam ze sobą możliwości powodzenia.

Za oknami dudnią długo wozy taborów i — o naiwności legjońska — olbrzymich pieców piekarni polowych.

Przelatuje mi przez głowę myśl jak błyskawica: nie dogonię pułku!

Nagle generał odwraca się z energiczną zapowiedzią starego żołnierza: „chodźmy na kolację, przed marszem trzeba coś zjeść."

Stołownia oficerska pusta, charakterystyczny wygląd opuszczonej nagle i pozostawionej w nieładzie kuchni i kwatery.

Przed kasynem stoi auto, w którem siedzi major Ganczarski i dwóch innych oficerów. Kapitan Górecki wydaje ostatnie dyspozycje Norbertowi Okołowiczowi, który ma ich eskortować.

Oddaję mu generała i upewniwszy się, że jestem wolny, znikam jak cień w ogrodach, biegnąc prawie na przełaj ku szaletowi kolejowemu, gdzie ma na mnie czekać Zygmunt Durski.

16. lutego.

Baśka pułkownika Dr. Rogalskiego była poczciwą kobyłką. Mały hucuł, ale mocny i rzeźki.

20 kilometrów dzielących nas od frontu lecimy z Zygmuntem Durskim, jak na skrzydłach. Noc niezbyt ciemna. Na gościńcu czerniowieckim ruch gorączkowy. Mijamy Goldmana, porającego się z taborem 2. p. p. Leg., ks. Panasia i o ile pamiętam kpt. Sidorowicza z kasą P. K. P. Suniemy szosą, schodząc czasami z drogi autom i maszerującym oddziałkom Austrjaków. Jakiś samochód z silnemi reflektorami zbliża się szybko. Zaskakujemy za wierzby przydrożne. Zaledwie nas minął, nagła strzelanina — światła gasną. Mkniemy dalej. W Sadogórze przejeżdżamy stępa koło jasno oświetlonego kasyna austrjackiej dywizji zwanej 5 K. T. D. Widać oficerów grających w karty i pijących piwo. Wartownik odaje nam honory. Kłusujemy dalej.

Nareszcie góra na drodze z Czerniowiec do Rarańczy. Cisza jeszcze zupełna. Czyżby się jeszcze nie zaczęło?

Wtem daleka salwa granatów ręcznych.

Wjeżdżamy na górę — w rowach po obu stronach szosy leży batalion 3 pułku Leg.

Ktoś z oficerów krzyczy za nami „z koni".

Istotnie kulki zaczynają zrzadka świstać. Spotykamy pierwszych „jeńców" — osłupiałych Chorwatów, których nasi odstawiają na drogę do Czerniowiec.

Schodzę na dół ku wsi Rarańczy i powierzywszy Baśkę pierwszemu z brzegu, ochoczo ją biorącemu legunowi, dołączam się do środkowego baonu 3 pułku. Przekraczam z nim rzeczkę i wchodzę pod górę ku okopom austryjackim w Rarańczy.

Bój rozpoczęty.

Nad ranem, błądząc już tylko z busolą w ręku po labiryncie starych i nowych okopów rosyjskich, przymaszerowuję z 80 ludźmi na grzbiety starych rokitniańskich wzgórz, gdzie spotykam garść zbiera-

jących się oficerów. Kompanje i plutony dołączają powoli. Oba pułki szykują się w głębokiej dolince u stóp wsi Rokitna. Bilans oddziałów, które się przedarły nie przedstawia się świetnie. Przeszła tylko piechota i kilka koni, cała artylerja i tabory ugrzęzły.

Na kupie gliny wyrzuconej ze starego rosyjskiego okopu — siedzi generał Haller i kilku starszych oficerów, czekając na dołączenie reszty oddziałów, które przeszły.

Ranek jest mglisty i zimny, mimo to witamy radośnie każdego przybyłego z iście wiosennem usposobieniem.

Nie miałem nigdy większego poczucia wyzwolenia i prawdziwej wolności, jak w tym momencie.

Nareszcie raz jestem sobą, zerwawszy wszystkie więzy, starych skrupułów, wolny od męki podejrzeń o chytrość i oskarżeń o słabość własnego sumienia.

Chłodne powietrze lutowego poranku tchnie dziwną świeżością. Wciągam je w nozdrza jak koń, który poczuł przed sobą wolną przestrzeń.

Na stokach Rokitny pierwsze szrapnele austryjackie, wysłane w mściwy pościg za nami nie przynoszą nam jednak szkody, gdyż żołnierze samorzutnie prawie rozsypują się w luźne grupki i tyraljery, by z powrotem na przeciwległym stoku góry spłynąć się znów w kolumnę marszową. Mam wrażenie, że ochota i radość wolności rozpiera wszystkim piersi. Kolumna posuwa się w dość szybkiem tempie. Od czoła słychać już piosenkę.

Dnia 16.II.1918 nocujemy, o ile pamiętam, w Stawczanach. Otrzymuję tam rozkaz od generała Hallera, aby zbadać przeprawy na Dniestrze w rejonie Chocima i zorjentować się wogóle w sytuacji w Chocimiu.

W stosunku do napokanych wojsk mam zachowywać się przyjaźnie, starać się wybadać ich ilość, siłę i stan moralny.

Otrzymuję w tym celu jedynie 4 konie, które zdołaliśmy przeciągnąć przez okopy Rarańczy i mam jako mały patrol oficerski przesunąć się szybko przez Orliczany do Chocimia.

Z napotkanemi ewentualnie dowództwami rosyjskiemi nawiązać kontakt, akcentując naszą neutralność.

Wczesnym rankiem 17. lutego jesteśmy już w drodze z kapitanem Czadkiem i dwoma wsadzonymi na konie legjonistami. Bez przeszkody dostajemy się, — ostrzeliwani jedynie, nie celnie zresztą w jednej ze wsi, gdzieś z za płota,—do wioski opodal Chocimia. Niestety, mapy nie posiadamy. Widząc nieco żołnierzy rosyjskich, postanawiam wjechać do wsi otwarcie, aby zasięgnąć języka.

Po chatach i na szosie grupki rozprawiających żołnierzy bez broni, wałęsające się jak w obozowisku gapią się na nas zewsząd. Naraz jakiś wyrostek, wybiegłszy z chaty, krzyczy: „Rumuńcy" — co w okamgnieniu gromadzi wokół nas tłum żołnierzy i chłopów.

Zapytawszy o dowódcę, dowiaduję się, że sowiet radzi właśnie w gminie i że starszy właśnie tam jest.

Na moje żądanie prowadzą mnie tam wszyscy procesjonalnie komentując nasz wygląd raz jako Rumunów, to znów jako Austrjaków. Wogóle widzę ogromną obawę przed wkroczeniem Rumunów. Zanim dojechaliśmy do gminy wychodzi na przeciwko nas stary wąsal rezerwista, prosty żołnierz o jasnych bardzo poczciwych oczach, jak się później przekonałem, analfabeta. Wskazują mi go jako dowódcę oddziału.

Wchodzę z nim do izby, gdzie odbywa się posiedzenie sowietu, na którym kapral jeszcze z pomarańczowo czarną wstążką na płaszczu, klaruje chłopom, że powinni koniecznie nabyć od kolumny taborowej skład drutu kolczastego. Pertraktacje trwają przydługo, a my musimy podczas nich czekać. Ostatecznie decyduję się odesłać kapitana Czadka z dwoma żołnierzami i końmi do brygady i, napisawszy krótki meldunek do generała, sam zaś udać się do Chocimia pod opieką przydanego mi przez sowiet ryżego komisarza.

Z miejsca jednak doświadczam przykrości z powodu moich epoletów oficerskich, albowiem towarzysz mój, ryżawy, piegowaty pan, gdy byłem dość zwięzły w odpowiedziach, czyniąc aluzję do niemiłosiernie trzęsącego po zmarzłych koleinach drabiniastego wozu, z sarkastycznym uśmiechem na wąskich wargach odzywa się nagle dość czystą polszczyzną: „a no pańskie oficerskie kości nie przyzwyczajone do chamskiego sposobu jeżdżenia".

Zirytowany odpieram, że więcej, — myślę, — jeździłem niż on wozami, na co ryży pan zaczyna żywo mówić o obecnych stosunkach w Rosji, o wyzwoleniu ludu z pod ucisku burżuazji, nowej rewolucyjnej organizacji, przybierając równocześnie ton i pozę agitacyjnego mówcy.

W międzyczasie wjeżdżamy w niesłychanie brudne uliczki Chocima.

Obraz, jaki się przedstawia moim oczom, jest dosyć niezwykły. Na rynku całe gromady uzbrojonych w karabiny, niejednokrotnie z nasadzonymi bagnetami, żołnierzy oglądają pojedyncze kramiki, kłócąc i spierając się z żydami. Sklepy częściowo porozbijane, tylko jadłodajnie i herbaciarnie otwarte. Raz w raz rozlega się tu i owdzie strzał karabinowy na wiwat i gardłowe przyśpiewki podochoconych żołnierzy.

Wóz staje przed jakimś budynkiem, zdaje się szkołą. Równocześnie mój przewodnik, zeskoczywszy kieruje się ku wychodzącemu z bramy młodzieńcowi w rubaszce, w dużym szynelu i czapce bez odznak, wskazując mi go jako dowódcę korpusu. Jest to były chorąży (praporszczyk), dosyć miła, trochę nalana twarz, długie blond włosy, oczy hytre, pod pachą... gramatyka francuska. Krótka, obojętnym tonem, bez zainteresowania prowadzona rozmowa przekonuje mnie, że dowódca korpusu temi sprawami nie interesuje się, że wszelkie decyzje w tych sprawach organizacji i układów musi rozpatrzyć i powziąć sowiet, który urzęduje na piętrze. Idę tam.

W dużej sali, oświetlonej słabo kilkoma świeczkami, przylepionemi do zestawionych wzdłuż stołów, w głębi siedzi człowiek w skórzanej nieco zniszczonej smarami kurtce, wzdłuż stołów zaś około dwudziestu cywilnych i żołnierzy.

Człowiek w kurcie podpisuje jakieś ćwiartki, które wyglądają na przepustki. Ogólna uwaga zwrócona na mnie. Półgłosem komentuje się moje odznaki oficerskie i pochodzenie — nastrój wrogi — mają mnie za schwytanego Rumuna. Z czynionych uwag odczuwam dyktowaną strachem przed inwazją rumuńską — nienawiść. Wreszcie prezes zaczyna mnie indagować. Odpowiadam spokojnie, że jesteśmy Polakami, że przechodzimy tędy bez zamiaru zaczepiania ich lub przeszkadzaniu im w organizowaniu kraju i chcemy tylko tego samego od nich, w myśl zasady samostanowienia narodów.

Siłę naszych odziałów określam jako kilka doskonale zorganizowanych kolumn, maszerujących przez Ukrainę.

Zaczyna się gwar, w którym rozpoznaję spłoszone szepty: „szpion rumuński" — „skończyć" — „bezorużyt".

Widzę jednak, że wiadomość o wkroczeniu jakiejś zorganizowanej siły robi na sowiecie ogromne wrażenie.

Prezes skrobie się w głowę i wyjaśniając, że wszystko musi się rozbroić, oświadcza mi, że jestem przytrzymany, wyznacza jako eskortanta drugiego szofera, zapytując wreszcie, czy nie jestem głodny i czy dziś co jadłem.

Sprawa sama będzie traktowana jutro rano.

Udajemy się z szoferem eskortantem do kawiarni, gdzie tenże chętnie ze mną zjada kolację, pijąc gęsto za moje zdrowie. Udaje się wówczas dowiedzieć od niego, że jedyny dobry most na Dnieprze pod Żwańcem jest strzeżony przez słabą wartę, która pilnuje, aby go niewysadzono. Pozatem po Dniestrze idzie silna kra, która uniemożliwia przeprawę.

Po kolacji przewodnik prowadzi mnie do tak zwanego hotelu, gdzie na piętrze otrzymujemy pokój, pełen zaduchu i brudu. Okna zamk-

nięte, na miednicy dosłownie ekskrementa ludzkie, poduszka powalana do niemożliwości.

Mój stróż siada na stołku w korytarzu, ja zaś zasiadłszy w rogu ceratowej kanapy zaczynam rozważać swoją sytuację. Przyznać muszę, że wydarzenia i stan w jakim znajduję oddziały rosyjskie zdumiały mnie do tego stopnia, że czuję w głowie chaos i przemęczenie. Uświadamiam sobie jednak, że właściwie wszystko już wiem, czego mi było potrzeba, a teraz trzeba będzie myśleć o wydostaniu się. Głowa cięży mi niewymownie, jest północ.

Nagle od strony drzwi sąsiedniego pokoju cuci mnie blask świecy. Cicho jak duchy zbliżają się do mnie major Jerzy Trojanowski z drugim oficerem, położywszy palec na ustach. Przechodzę z nimi przez sąsiedni pokój na boczny korytarz na dół i przez ogrody wyskakujemy do żydowskiego fiakra, który po kilkugodzinnem tłuczeniu się bocznemi drogami przywozi nas nad ranem do brygady do Orliczan.

18.II otrzymawszy meldunki majora Trojanowskiego i moje, że dowództwa bolszewickie będąc w stanie zupełnego rozkładu, obstają z uporem przy swem żądaniu rozbrojenia — generał decyduje się ominąć Chocim, nocnym marszem osiągnąć most pod Żwańcem i pójść w głąb kraju, zanim zgromadzone w rejonie Chocimia oddziały bolszewickie zdołają się zorjentować. Mnie każe się generał wyspać, a potem dołączyć do Sztabu Brygady.

Tegoż dnia, 18.II. wieczorem przybywam z Orliczan do kwatery generała do Dankowiec, skąd około godz. 22 wyruszamy z całą brygadą drogą ku Chocimowi. W brygadzie zastaję jakiegoś starszego cywilnego, i wnioskuję z rozmowy że ma on być naszym przewodnikiem. Jest to leśniczy, który rozwodzi się nad krzywdami wyrządzonemi mu przez Austryjaków. Przyłączam się do majora Gniadego. Idziemy razem.

Wspaniały nocny marsz. Lekki mróz. Niebo ciemne, z początku gdzieniegdzie gwiazdy potem zaczyna prószyć śnieg. Długa na 2 i pół km. kolumna obu pułków, sunie cicho, cichuteńko bez jednego dźwięku lub błysku papierosowego ognika.

Około godz. 24 opływa jak ciemna wstęga, szeleszcząc jedynie po sypkim śniegu, chrzęstem miarowych kroków — błyskające swawolą, rozpasane miasteczko. Zielonawe parasole bladego wnikliwego światła rakiet śledzą, jak wielkie pijane oczy ten dziwny marsz, lecz nie widzą nic. Chocim pryskający jak wielkie świętojańskie ognisko iskrami i suchym trzaskiem strzałów karabinowych na wiwat, huczący jeszcze zdala pijanym gwarem obozowiska nad czerwonemi łanami ognisk i ta milcząca, ciemna, sunąca jak duch w ciemni opłotków kolumna marszowa — stanowią dziwny niezapomniany kontrast.

Około 1-ej w nocy minęliśmy dawno gasnący za nami Chocim, mróz jeszcze zelżał — żołnierze maszerują ochoczo. Słychać teraz cichy szmer rozmów, a nawet jakaś zuchwalsza żołnierska pałka nuci półgłosem „Gotowe mam miejsce u świętego Pietra"; za chwilę powinniśmy osiągnąć wieś (Atary) przy moście na Żwaniec. Jakoś się jednak dziwnie dłuży ta droga. Jeszcze dwa — trzy kilometry, a orjentuję się, że mieliśmy dawno minąć most, że zatem chyba błądzimy. Wysuwam się szybko na czoło kolumny i dołączam do porucznika Aleksandra Stawarza, który prowadzi oddział przedni i maszeruje ze szpicą. Przewodnik zapewnia jeszcze, że idziemy w dobrym kierunku. Równocześnie chmurzy się, noc ciemnieje coraz więcej, schodzimy nad jakieś urwisko drogą biegnącą wąwozem — w dole jakiś staw, czy zalew i wieś. Por. Stawarz zatrzymuje kolumnę na górze, schodzimy z kilku żołnierzami do wsi i przychwyciwszy — ku jego wielkiemu przerażeniu — chłopa, który wyszedł na próg chaty, wywabiony szczekaniem psów — stwierdzamy, że istotnie zbłądziliśmy tak dalece, że jesteśmy znów o 1 — 2 km. od okopów austrjackich (okopy św. Trójcy) i że musimy corychlej zawrócić, aby zdążyć przedniem na most pod Żwańcem.

Bierzemy niefortunnego przewodnika pod straż, opierającego się chłopa za kołnierz, obiecując mu parę rubli nagrody albo kulę w łeb i po zameldowaniu dowódcy brygady ruszamy szybko z powrotem. Te zmiany niepokoją nieco żołnierzy, mimo to jednak, gdy ta sama uparta legińska pała z odcieniem ironicznej rezygnacji nuci znów „Gotowe mam miejsce u świętego Pietra" — zaczynają się śmiechy i komentarze.

Tym razem wysuwam się już na czoło pilnując mego chłopa, który jednak wprowadza nas pomyślnie na polną, ale dobrą drogę tak, że z szarzejącym brzaskiem dnia stoimy u mostu. Jakieś wozy wjechały na most. Kompanja Władka Czapińskiego naprzód! za niemi. W szarawem powietrzu świtu suną pod mostem po czarnej jak atrament wodzie dniestrowej majestatyczne masy kry, ścierając się z suchym szelestem siwych płyt. Po drugiej stronie wysypała się nagle z wartowni mostowej warta bolszewicka i... postawszy chwilę zwiała w nieładzie, nie oddawszy nawet strzału.

Dnia 19.II. tedy o świcie przechodzą oba pułki bez przeszkód — Dniestr i wchodzą na rynek, sławetnego miasta Żwańca.

Właśnie żydówki i bachory podnoszą się z betów, a ich ojcowie piekarze strudzeni całonocną pracą w piekarniach zamierzają właśnie swój gorący jeszcze towar powierzyć zmysłowi handlowemu kupcowych, gdy zwala się moc wojska i w przeciągu 10 minut wyjadłszy nocną produkcję zaprzęga czeladź do nowej roboty. Albo to

jest wyłącznie miasto piekarzy ten Żwaniec, albo to miał być jarmark. Doprawdy nigdy świeży chleb nie smakował mi przedtem ani potem — tak — jak tego ranka. Wolny już od trosk służbowych, kupuję pachnący bochenek chlega i zasiadłszy w jakiejś opuszczonej bryczce, która stoi na podwórzu jednego z domostw — jem śniadanie.

Pod koniec tej uczty wzywają mnie jednak do brygady — gdzie przybyli pierwsi polscy oficerowie po stronie rosyjskiej z Kamieńca. Słucham chciwie pierwszych wieści o skupianiu elementu polskiego w morzu rewolucyjnej demobilizacji rosyjskiej. Już sam widok Polaków w mundurach rosyjskich, ich zachowanie się, mowa interesują nas niezmiernie, patrzymy i słuchamy chciwie — czy my zdołamy znaleźć wspólny język?

21.11. otrzymuję rozkaz udania się z majorem Gniadym i majorem Trojanowskim do Kamieńca Podolskiego dla nawiązania kontaktu z tamtejszym oddziałem polskim.

Cudownie położone miasto. Most nad głębokim wąwozem i bazary zwracają szczególnie naszą uwagę. W Kamieńcu ma być sformowany rzekomo bataljon polski, który stoi w tutejszych koszarach. U komendanta miasta w jakimś pałacu, o ile pamiętam zwanym biskupim, nieład, porozrzucana garderoba nie robi na mnie dobrego wrażenia. Rozmowy noszą cechy ostrożnej gościnności, można z nich wywnioskować, że oficerowie sami nie mają najmniejszego zaufania do owego polskiego baonu, i do własnego nań wpływu. Ostrzegają, że jest on zbolszewiczały, że niewiele zeń da się zrobić — natomiast można wywnioskować, że mają znaczne zapasy żywności i sprzętu, które pragnęliby ochronić.

Mjr. Gniady toczy układy o wcielenie baonu polskiego do brygady pod warunkiem natychmiastowego wymarszu i dostarczenia brygadzie kilku kuchni polowych i wozów. Czekając na niego, jem obiad z lotnikami oficerami - Polakami — mimo całej gościnności uderza mnie jednak fakt, który dopiero w tej chwili jasno mi się kształtuje w umyśle, że oni wszyscy są albo przerażeni, albo zniechęceni rozkładem, który widzą wokół siebie.

Koszary brudne robią na mnie wrażenie zajazdu. Kto chce wchodzi, kto chce wychodzi, wart niema. Żołnierze wałęsają się bez pasów, zaniedbani.

Ostatecznie tego dnia wracamy bez pozytywnych rezultatów i orjentujemy generała, że na wojsko z Kamieńca liczyć trudno. Zostaje więc druga część zadania należy zdobyć dla brygady kuchnie polowe i parę wozów.

Wyjeżdżam nazajutrz drugi raz celem układów, ale z postawienia sprawy odrazu widzę, że normalną drogą do porządku nie dojdziemy.

Dowódca oświadcza mi, że się obawia oporu ze strony żołnierzy. Po południu przybywa pluton z brygady, który ma pobrać kuchnie polowe i wozy. Zaczyna się wiec i awantura, żołnierze nie chcą dać otworzyć magazynów. Dowódca pozwala sprzęt wydać w myśl zarządzeń Komendy, ale rozkłada bezsilnie ręce. Chodzę wśród gromadzącego się tłumu po wyłożonym deskami chodniku błotnistego dziedzińca i czuję że dłużej tą sytuację przeciągać trudno. Zapowiadając więc, że sam zostaję, aby sprawę załatwić, każę kategorycznie pod groźbą wyważenia drzwi otworzyć i daję rozkaz legjonistom wytoczyć corychlej kuchnie, jechać pod stajnie i zabierać się z tem natychmiast, by przed nocą zdążyli do brygady.

Żołnierze miejscowi widząc postawę plutonu, całą masą ruszają pod dowództwo baonu — gdzie zaczyna się rodzaj wiecu, moi tymczasem są w mig za bramą. W baonie jedni machając rękami, argumentują, że brygada maszeruje, więc jej kuchnie potrzebne, większość jednak występuje agresywnie, odgrażając się i klnąc, że mnie nie wypuszczą.

Z całego tego zajścia wydobywa mnie kapitan Roklan Hofbauer, który wpadłszy na salę daje mi kategorycznym służbowym tonem rozkaz, że mam się natychmiast służbowo stawić u dowódcy brygady.

Wychodzę z nim szybko i wskakuję na jednego z dwu przyprowadzonych przezeń koni.

Po chwili zostawiwszy swemu losowi baon Kamieniecki, z którego tylko kilku ochotników potem przybyło, mkniemy już przez bazary. Mijamy je wśród nagłych wyzwisk i strzelaniny, która nas — jak mówi znany angielski żart — wprawdzie nie dotyczyła — tylko dwóch band, które się biły o łup z rozbijanych sklepów — niemniej jednak przyspieszyła tempo naszego kłusa.

Wieczór jest przepiękny, księżycowy, jedziemy ostro, do taktu nuconej przez Hofbauera frywolnej piosenki.

Po powrocie z Kamieńca dowiaduję się, o ile pamiętam, we Wróblówce, o fakcie, który ma zmienić cały plan i kierunek marszu brygady.

Przywiezione z Kamieńca przez żyda gazety donoszą, że 19. lutego 1918 r. w dniu, kiedy Niemcy po zerwaniu zawieszenia broni ruszyli w głąb Rosji, generał Muśnicki, przyjąwszy wysłańców generała niemieckiego Hofmanna, wszedł z nimi w układy. Istotnie, te gazeciarskie wiadomości miały się potwierdzić.

25. i 26. lutego zawarty został znany układ Dowództwa I. Korpusu z Niemcami.

Fakt ten robi na nas zrozumiałe wrażenie. Dotychczas bowiem panował w Brygadzie pogląd, przedstawiający nam generała Muśnickiego w aureoli niepodległościowca, bezwzględnie wobec Niemców

i wogóle zaborców wrogo usposobionego. Ponadto znana nam wówczas czerwcowa 1917 r. uchwała zjazdu 373 delegatów wojskowych Polaków w Piotrogrodzie, mianująca honorowym prezesem zjazdu Brygadjera Piłsudskiego, a wyzyskana podstępnie w liście Beselera do Tymczasowej Rady Stanu[1]), jako powód internowania Brygadjera, stawiała w związku z nominacją generała Dowbora Muśnickiego przez wydział tego samego zjazdu na dowódcę sił zbrojnych polskich po stronie rosyjskiej, osobistość tę w świetle uzasadniającem powyższe przypuszczenia ideowe.

Sądziliśmy, że dotarłszy do I-go Korpusu uratujemy dobytek naszej wojskowej pracy, dopomożemy do skupienia Armji Polskiej, dla której tworzenia warunków w kraju nie było i wrócimy do kraju, wyrzucając okupantów i orężem zdobywając jego wolność.

Tymczasem przypuszczenia te i plany zawodzą.

Zamierzenia nasze z gruntu poderwane, a Brygada widzi się nagle sama, zawieszona w powietrzu, rzucona w morze bolszewickiego, obcego elementu, prawie bez środków i widoków na jakąkolwiek pomoc.

W sztabie Brygady zalega milczenie. Siedzimy po kątach, kombinując możliwości dalszej akcji Brygady. Czekamy na decyzję generała.

Z tego ponurego nastroju wyrywa nas nagle przyjazd czterech delegatów z jakiegoś, jak się później okazało, oddziału konnych zwiadowców piechoty, którzy poczuwszy w sobie wenę apostolską, przybywają nagle na własną rękę, żądając rozmowy z dowódcą Brygady. Poruszam ten szczegół dlatego, że poszczególni członkowie tej delegacji stanowią typy ówczesnych żołnierzy bolszewickich, o bardzo niskim poziomie umysłowym, częstokroć analfabetów, skłonnych jednak na kształt wiejskich mówców do pryncypialnych dyskusyj, mielących wkoło kilka oklepanych frazesów. Przysłuchujemy się z ciekawością tej oryginalnej rozmowie generała z 3-ma delegatami, gdyż czwarty, mający wygląd inteligenta, milczy zawzięcie. Rozmowa ta zaczęta przez jednego z delegatów pytaniem, czy generał zna Liebknechta ma nas doprowadzić do przekonania, że obowiązkiem naszym jest „obezorużytsia". Rozweseleni nieco przez to intermezzo zabieramy się do codziennej pracy, ja zaś specjalnie na polecenie generała piszę płomienną odezwę do kraju, wzywającą do powstania

[1]) Patrz „Receuil des Actes diplomatiques La question polonaise pendant la guerre mondiale". Paris 1920. str. 209. Beseler pisze do Tymczasowej Rady Stanu w lipcu 1917 r.: „co się tyczy Piłsudskiego jest wiadomem, że na zjeździe polskim w Piotrogrodzie został on wyznaczony na dowódcę Polskiej Armji po stronie Rosji".

przeciwko okupantom, która jak mnie potem słuchy doszły, odczytana na jakimś wiecu przed ratuszem we Lwowie, miała ostatecznie Brygadę pogrążyć w opinji sprzyjających okupantom sfer krajowych.

Do 27. lutego posuwa się Brygada jeszcze około 30 kilometrów przez Kitajgorod, Żwańczyk, Buczaj po dawnej osi marszu.

28. lutego jednak Austryjacy pod pozorem pacyfikacji Ukrainy zajmują Kamieniec Podolski i posuwają się szybko w głąb kraju. Sytuacja Brygady staje się nie do pozazdroszczenia. Zamknięta jakby w kleszcze między Niemców, którzy zajęli Berdyczów i obie linje kolejowe na Kijów, a posuwającymi się również dość szybko wojskami austryjackiemi, które rzucają swą kawalerję wzdłuż Dniestru aż po Mohilów, Brygada musi zrezygnować z dotarcia do I korpusu i musi szukać nowych dróg.

W tej sytuacji generał Haller postanawia:

dążyć do połączenia się Brygady Karpackiej z II-gim Korpusem W. P. jako jedynym niezależnym od zaborców ośrodkiem organizacyjnym wojska polskiego,

maszerować większymi etapami po 30 kilometrów, obierając kierunek wzdłuż Dniestru aż do Sorok, miejsca postoju II-go Korpusu,

wysłać do II-go Korpusu oficerów dla ostatecznego porozumienia się obu formacyj.

Decyzja i plan ten są jasne. Tempo naszego posuwania się ożywia się. Brygada maszeruje przez Wierzbowce, Popieluchy, Żerebiłówkę, Kukawkę, Ożaryńce, Wojewodczyńce do Bukatynki.

Jest to koniec lutego. Aura, niestety, niezbyt nam sprzyja w tym okresie. Wicher dmie ciągle. Śnieg z deszczem pada prawie codzień.

Generał unika szos i wykorzystując lekkość Brygady, nieposiadającej artylerji ani taborów, puszcza kolumny drogami bocznemi, by się niepotrzebnie nie natknąć na większą siłę okupantów. Zwiększa to jednak czasem skoki po ścianach niezliczonych jarów i parowów, przerzynających tamtejszy płaskowyż, na których dnie płyną bystre dopływy Dniestrowe.

Mimo jednak biedy, niedostatku, i zimna nastrój żołnierzy niespodziewanie dobry. Odwiedzam nieraz chaty na postojach i widzę, że żołnierze wyrwali, naprzykład skądś kilka egzemplarzy Trylogji i zaczytują się wieczorami, śmiejąc się naprzemian i strasząc ludzi po jarach rozmaitemi Horpynami i Czeremisami.

Ranne zbiórki i chóralny śpiew zwyczajnej żołnierskiej modlitwy robi niezwykłe wrażenie na mieszkańców, a ogromna dyscyplina moralna żołnierzy usposabia stosunkowo życzliwie nawet najniechętniejszych. Ciągła obecność oficerów, przebywających wciąż z żołnie-

rzami, śpiących tak samo, jedzących to samo i biorących tesame pobory co szeregowi wzmaga niebywale pogodny nastrój ducha i powoduje, że żołnierze nie czują się osamotnieni. Również stan zdrowia pozostawia nie wiele do życzenia do tego stopnia, że do Mohylowa nie było ani jednego marudera z wyjątkiem jednego chorego legjonisty odesłanego do szpitala w Kamieńcu Podolskim.

Wogóle cały ten marsz Brygady samotnej w morzu obcego bolszewickiego elementu spaja i cementuje niebywale nasze szeregi.

Ludność cywilna naogół nie odnosi się wrogo.

Trochę się boi, trochę się boczy.

Zdumiewają ją łobuzerskie, wesołe miny legunów, tak odmienne od ich własnych smutnych i spodełba spoglądających demobilizantów. Ostatecznie za wszystko, w miarę możności, płacimy gotowymi groszakami, co także nie pozostaje bez wpływu na nastrój ludności.

Z tem wszystkiem chłopcy rozumieją, że cała ta życzliwość kończy się z chwilą przemarszu Brygady i że pojedyńczy żołnierz nie bardzo byłby bezpieczny poza szeregami. Dlatego trzymają się kupy.

W Bukatynce natykamy się wieczorem na wesele. Chłopi przychodzą prosić, ażeby żołnierze potańczyli. W jednej z chat dostrzegam makatę słomianą z zatkniętemi w nią kartkami z widokami Krakowa. Uderzony niezwykłością tej ozdoby w tamtejszej chacie, obracam kartkę i znajduję adres, znanej mi doskonale z uniwersyteckich krakowskich czasów p. Lili Zaleskiej. Zapytany o informację gospodarz z przerażeniem błaga mnie, że on temu nie winien, że to „detyna prynesła". Ostatecznie dowiaduję się, że kartki pochodzą z pobliskiego dworu w Gruszce, który chłopi spalili i częściowo rozebrali.

„Panna zaś żyje w Hałżbijówce".

Znajduję ową Hałżbijówkę na mapie na osi naszego marszu o 4 km. od Jampola, w rejonie którego mamy następny postój.

Nie mówiąc nic generałowi, napraszam się na kwatermistrza brygady i otrzymawszy kilku konnych i resztę oddziału na wozach, ruszam rankiem do Hałżbijówki.

Około południa zajeżdżamy z porucznikiem Łużeckim przed wspaniały dwór, mający stosunkowo niewiele śladów zniszczenia.

Wywołuję pannę Zaleską. Staje przedemną owa światowa dama, ozdoba salonów wykwintnego krakowskiego towarzystwa, w zrudziałej spódnicy i łapciastych butach, w czarnej bez koloru chustce włóczkowej na głowie, owiniętej z chłopska koło szyji.

Nie patrzy na mnie.

Na zapytanie nasze odpowiada martwym głosem, że wszystko swobodne, kwaterować można wszędzie".

Nawet spojrzawszy, nie poznaje mnie. Zaczynam rozumieć moją brodatą metamorfozę i przypominam sobie, że od miesiąca jednak nie widziałem lustra.

Po chwili wymieniam swoje nazwisko. Panna Zaleska wydaje się przerażona i uradowana — tego się najmniej spodziewała — Legjonistów?

Brak jej słów.

Ze środka trawnika biegnie ku domowi już nie biedna, znękana kobieta, lecz dawna gościnna gospodyni Hałżbijówki.

Zostawiam por. Łużeckiego, a sam z dwoma żołnierzami jadę dalej na wywiad do Jampola.

Polacy w Jampolu ostrożni i przerażeni. Natomiast w Sorokach stoi ów upragniony II. Korpus, w którym spodziewamy się bratniego przyjęcia i realizacji naszych dążeń.

Generał wysyła naprzód majora Gniadego Trzecieckiego dla nawiązania kontaktu z dowództwem II. Korpusu i „Polskim Komitetem Wykonawczym Rumuńskiego Frontu".

II. Brygada, ściśnięta z obu stron, między wyciągniętemi po ukraińskie bogactwa chciwemi ramionami okupantów, werbowana przez bolszewików do uchodzenia wraz z nimi eszelonami w głąb Rosji, zmrożona, bez butów, wygłodzona, ma nareszcie znaleźć ostoję w samodzielnej formacji polskiej, zasilić jej kadry, wzmóc i skupić wspólne siły dla wspólnych celów.

Tymczasem stoimy w Hałżbijówce, gdzie jest nam bardzo dobrze. Oba pułki skupione, dobrze zakwaterowane, dowództwo zaś w tak gościnnym, mimo prawie doszczętnego rozgromienia domu p. Zaleskiej. Odpoczywamy i porządkujemy się jak oddział przed wejściem do miasta, przygotowując się do godnego wymarszu do Sorok.

Poza wspomnianemi przygotowaniami idą rozkazy, orjentujące żołnierzy, powstają projekty sposobów złączenia obu formacyj i pierwsze koncepcje nowych planów dalszej pracy [1].

W zasadzie mało wówczas wiem o dotychczasowym biegu wydarzeń w Rosji i stanie wojskowych organizacyj polskich Legjonów na terenie Rosji.

Wiadomo mi jedynie, że wszędzie w rejonach przyfrontowych powstały komitety i związki wojskowych Polaków, wykorzystujące ogólną bezładną demobilizację rosyjską dla wydobycia, skupienia i organizowania polskiego elementu wojskowego.

Dowiaduję się, że przy II. Korpusie istnieje taki komitet zwany „Polskim komitetem wykonawczym rumuńskiego frontu" — złożony

[1]) Rozkaz dzienny Brygady Nr. 2 z 5.III.1918. patrz Bergel str. 28.

z kilku delegatów, a wyłoniony na zjeździe wojskowych Polaków w Kiszyniowie 8.XII.1917.

Zadaniem jego ma być organizowanie i skupianie formacyj polskich i wydobywanie wszelkich potrzebnych w tym celu środków od rosyjskiego dcy frontu rumuńskiego gen. Szczerbaczowa.

Otóż ten właśnie komitet, składający się z kapitana Bobickiego jako prezesa, z kap. Sikorskiego, Bronisława Nakoniecznikowa i kilku innych młodszych ideowców wydaje się jedynym czynnikiem postępu i żywej ideologji niepodległościowej w biernej atmosferze II korpusu. Stąd odrazu nawiązana nić żywej sympatji między Brygadą, a komitetem pociąga w kierunku współpracy z tem, co żywe i daje rękojmię jakiejś zdecydowanej pracy i postępu.

6.III. dostaliśmy z bogatych magazynów II korpusu kuchnie polowe na cały stan i buty dla brygady przysłane w sam czas, gdyż już niejednokrotnie leguny świeciły gołemi palcami.

Świetnie. Szwadron ułanów wysłany z Sorok wita nas serdecznie 6.III. 1918 w Jarudze. Zapowiadają, że generał Stankiewicz oczekuje nas w Sztabie korpusu, maszerujemy tedy przez Jampol do Sorok. Na rynku w Sorokach czeka nas jeszcze jedna niespodzianka, major Władysław Gniady wysłany swego czasu jak wspomniałem naprzód do Sorok dla nawiązania kontaktu z komitetem wykonawczym powrócił właśnie z Jass od króla rumuńskiego, dokąd jeździł już w składzie delegacji komitetu z prezesem Bobickim. Zdawszy krótko sprawę generałowi uradowany Władek idzie ze mną na kwaterę, podczas, gdy generał udaje się do Sztabu korpusu.

Dowiaduję się, że delegacja polskiego komitetu wykonawczego rumuńskiego frontu, w skład której wszedł major Gniady uzyskała audjencję u króla rumuńskiego, gdzie na posiedzeniu z czterema ambasadorami państw ententy ustalono oświadczenie niezmiernie dla nas korzystne.

Mianowicie pan Fascioti, minister pełnomocny Włoch i doyen ministrów ententy wręcza naszej delegacji następującą deklarację:

Podpisani ministrowie: (posłowie): na podstawie uroczystego zapewnienia rządów ententy stwierdzają:

1. Że jakikolwiek traktat pokojowy zawarty poza Ententą i niezgodny z zasadami prawa narodów jest nieważny,

2. Że jednym z głównych celów Ententy w wojnie obecnej jest wskrzeszenie Polski w granicach geograficznych i etnicznych z zapewnieniem wszystkich warunków potrzebnych do jej istnienia i rozwoju ekonomicznego.

3. Że to wskrzeszenie będzie dla zwycięskiej Ententy jednym z podstawowych warunków zawarcia pokoju.

Podpisy:

G. Bassley — poseł Anglji.

Charles Vopicka — Stanów Zjedn.

Sainte - Anlaire poseł Francji.

Fascioti poseł Włoch.

Jest to pierwsze znane nam zdecydowane oświadczenie Ententy co do sprawy polskiej.

Ponadto przywiózł Gniady wiadomości o wydarzeniach na froncie włoskim, o ruchu Polaków amerykańskich i o Legjonach polskich we Francji.

Wogóle wiadomości te są dobre, nabieramy nowego rozpędu do pracy.

Przedewszystkiem przeglądam i przygotowuję mapy rosyjskie przysłane przez szefa sztabu korpusu pułkownika Sołohuba i ekwipuję swą mocno nadszarpniętą garderobę. Widocznie poważnie zagospodarowana, może nawet zanadto zagospodarowana atmosfera II korpusu z niezliczonemi taborami i obfitemi magazynami zaczyna działać i na mnie — kupuję sobie drewniany kuferek — gdzie wchodzą nowe buty, dwie pary nowej bielizny rosyjskiej, 2 rubaszki szare, bronzowy frencz i nowy żołnierski szynel. Ponadto jest przecież w Sorokach apteka, a w niej mydło i nowa szczotka do zębów — jestem na nowo bogaty.

Brygada zostaje rozmieszczona w rejonie Cekinówka, Kosońcy — Dowództwo Brygady pozostaje narazie w Sorokach.

Wogóle Soroki stają się punktem zwrotnym w pracy i dążeniach Brygady.

Przedewszystkiem nominalnie brygada karpacka przestaje istnieć i zlewa się faktycznie z II korpusem wschodnim. — Troska o zaopatrzenie, uzbrojenie i wyżywienie redukuje się do minimum. Przejmuje ją intendentura korpusu. Powtóre wraz z pewnem ustaleniem organizacyjnem, krystalizuje się ostatecznie nowa linja pracy, nowy cel dążeń brygady. Jest nim dalszy marsz na wschód za Dniepr, aby w którejś z nadnieprzańskich gubernij utworzyć centrum, skupiające wojskowych Polaków i ochotników — wyszkolić ich w takim obozie i dopiero ze zorganizowaną w ten sposób siłą zbrojną wracać do kraju. Idea ta, dziś może naiwnie wyglądająca, stwarza wówczas jedynie możliwe dla brygady horyzonty pracy. W Sorokach zjawiają się również wysłannicy i organizatorowie P.O.W. na Ukrainie płk. Barthel de Weydental i p. Hołówko, solidaryzujący się z naszą ideologją. Równocześnie jednak piętrzą się trudności i przeszkody.

Rumunja związana postanowieniami traktatu z państwami centralnemi żąda natychmiastowego opuszczenia przyznanych jej Sorok, gro-

żąc w przeciwnym razie wymuszeniem rozbrojenia i demobilizacją oddziałów polskich. Przykry ten na pozór moment wychodzi jednak ostatecznie raczej na dobre II korpusowi, bo go rusza z posad i wykorzenia ze Sorok, a przecież niepomierny ciężar taborów, magazynów i nagromadzonego wszelakiego wojskowego i prywatnego dobra, a nawet znaczna ilość rodzin oficerskich i podoficerskich czyni z korpusu jednostkę nieruchomą — ciężką, wprost niezdolną do szybszych marszów. Dalszą trudność stanowi inercja i niechęć żołnierzy II korpusu, którzy zupełnie prawie nie wyrobieni ideowo — widząc wokół siebie demobilizację, chcą iść, chcą wracać do domów.

Wreszcie najważniejszy szkopuł stanowi bierny opór samego dowództwa korpusu gen. Stankiewicza i gen. Glassa, którzy w zupełnym rozdźwięku z pozyskanym dla planu II Brygady Polskim Komitetem Wykonawczym, — stawiają opór dalszemu marszowi na wschód, będąc za powrotem do kraju — drogą układów z Austrjakami.

Od samego bowiem początku sam generał Stankiewicz wraz z częścią sztabu korpusu zrobili na mnie wrażenie solidnej, staroświeckiej trochę spłoszonej bystrością fluktów, po których żeglować przyszło — komendy terytorjalnej.

Co żywsze, młodsze ideowe elementy przyjmują Brygadę z otwartemi ramionami. Polski Komitet Wyk. frontu rumuńskiego podkreśla ten moment w oficjalnej enuncjacji. Pewna jednak część starszych oficerów z dowódcami korpusu i dywizyj na czele uważa właściwie Brygadę za jakiś awanturniczy właściwie niepotrzebnie przybyły element, który może snadnie ściągnąć na spokojną atmosferę rozbrojenia i upragnionego powrotu do domu, nowe iskry, nowe burze. Ten nastrój wyczuwa się często w ostrożnych rozmowach z niektórymi oficerami korpusu.

I od samego też początku zarysowuje się ta różnica ideowa i programowa między brygadą a dowództwem korpusu, która się miała szybko pogłębić i na szczęście rychło skończyć rozłamem.

Korpus jest wprawdzie rezerwoarem wojskowych Polaków front. rum., ale tylko rezerwoarem. Jego ówczesna ideologja jest bierna — zebrać ludzi, czekać co będzie, wykorzystać okazję, by powrócić do kraju.

Brygada była garścią zdeterminowanych żołnierzy, którzy zerwawszy wszystkie więzy za sobą dla idei protestu i możliwości pracy na wolności zdecydowali się iść naprzód.

Brygada wyrywa się zatem na wchód za Dniepr do jakiegoś możliwie swobodnego ośrodka i tam chce tworzyć niezależną polską siłę zbrojną. Dowódca Korpusu chce szukać dróg powrotu do kraju wiodących przez okupację austrjacką.

Brygada chce mobilizacji sił polskich dla walki z mocarstwami centralnemi. Korpus chce demobilizacji i układu z Austrjakami.

Brygada chce organizować lekkie sprawne do boju oddziały, Korpus chce gromadzić i ratować dobro i tabory i wieść to wszystko do kraju.

Dnia 8.III Polski Komitet wykonawczy frontu rumuńskiego akceptuje i stawia ideologję Brygady jako właściwą i wydaje odezwę Nr. 1, która brzmi:

„Cały naród polski z oburzeniem zaprotestował przeciw nowym rozbiorom Polski (dokonanym w warunkach brzeskiego traktatu). We wszystkich dzielnicach Polski wzmaga się ruch rewolucyjny, skierowany przeciw okupantom ziem naszych: Austrji i Niemcom. W tej dobie zmagań się narodu naszego z gwałtem i przemocą, najsilniejszym protestem było przebicie się polskiej brygady karpackiej Hallera poprzez łańcuchy wojsk austrjacko-niemieckich celem połączenia się z naszemi korpusami, które się tworzyły tutaj. Brygada ta, dla jej bitności i karności zwana żelazną, powstała przez ukochanie Ojczyzny drogą najwyższych poświęceń po to, by być zawiązkiem armji polskiej, która jedynie potrafi zabezpieczyć granice i potęgę Polski, by tutaj wespół z nami prowadzić wielkie dzieło odbudowy całej, niepodległej, z wyjściem do morza Polski Ludowej.

Ci z naszych braci, którzy przeszli bez broni przez okopy do Niemców, nie dotarli do gniazd rodzinnych, a harują w kopalniach Westfalji, cierpiąc głód w niewoli. Pozostaje jedno: utworzyć tutaj poza granicami Polski, taką zbrojną potęgę polską, by w chwili odpowiedniej wkroczyć orężnie napowrót do swej ojczyzny i samym wskrzesić i ustalić jej granice. Chwila ta nadejdzie wtedy, gdy Niemcy zaczną ponosić porażki na froncie zachodnio-europejskim, gdy wewnątrz ich państw zacznie się szerzyć niezadowolenie i rewolucja. Najbliższem naszem zadaniem musi być przemarsz w takim kierunku, w którym możemy przyłączyć do siebie jak najwięcej jednostek bojowych polskich i złączyć się z I Korpusem (wówczas przyjmowano, że gross I Korpusu nie poddało się układowi z Niemcami, lecz uszło w głąb kraju). Decydujemy się na krok stanowczy i postanawiamy bez względu na to, co nas w przyszłości czeka, obecnie kłaść podwaliny pod Wolną Polskę Ludową, tworząc armię rewolucyjną. Kto się obawia głodu, chłodu, trudu i mozołów pochodu, a może i śmierci bohaterskiej na polu chwały za Wolność Ojczyzny, ten niechaj zostaje i nie idzie z nami".

Słowa te stawiają jasno nowy program pracy.

To też wypadki zaczynają się toczyć szybko po nowych torach. Normalnie funkcjonujący dowódca korpusu nie mając siły oprzeć się prądowi tej roboty — aprobuje ją biernie — ster cały spoczywa jednak już w rękach wyłonionej z pol. komitetu wykonawczego i II Brygady „Rady Naczelnej Korpusu".

Problem organizacyjny ujęty zostaje w ten sposób, że tworzy się dwie dywizje piech. 4 i 5-tą, pułk inżynieryjny organizuje brygadę artylerji i formacje kawalerji, redukuje tabory, a wreszcie przeprowadza nową obsadę stanowisk oficerami i podoficerami korpusu i brygady.

Plan wojskowy jest również sprecyzowany i jasny: Maszerować corychlej na wschód, przekroczyć Dniepr, w guberni Czernichowskiej stworzyć własny ośrodek organizacyjny by, jak mówił rozkaz generała Hallera 37/I z 15.III.18 „w odpowiedniej chwili z bronią w ręku, wejść jako regularne wojsko Polskie do oswobodzonej od Niemców Ojczyzny".

Po powzięciu tego planu chodzi już tylko o taktyczne rozpoznanie poruczone 6. p. ułanów i ubezpieczenie marszu korpusu.

Najważniejszem jednak zadaniem, jakiemu musi sprostać brygada jest przemiana duchowa i ideowa żołnierzy korpusu. Należy ich przekonać, pozyskać, porwać dla naszej ideologji.

Osiąga się to w ten sposób, że początkowo przydzielono znaczne ilości legjonistów do pułków II korpusu, ostatnio zaś z końcem marca rozwiązano zupełnie pułki II Brygady, rozdzielając oficerów i szeregowych Brygady na wszystkie pododdziały korpusu, i dając im w rozkazie Brygady następującą dyrektywę:

„Wzmocniwszy fizyczne siły korpusu naszemi dwoma tysiącami żołnierzy, dokonaliśmy zaledwie połowy naszego dzieła. Na tem bowiem misja nasza nie kończy się, musimy wzmocnić na duchu naszych towarzyszów broni. Oficerowie i szeregowi brygady przydzieleni do wszelkich oddziałów korpusu, mają być apostołami niosącymi wiarę w siebie, we własne siły, w odrodzenie i nadzieję lepszego jutra, mają zaszczepić w braciach z korpusu miłość i zaufanie do nas. Trzeba bowiem, gdy przyjdą ciężkie czasy aby wytrwali z nami"[1].

Ryzykowny ten krok organizacyjny, dokonany w sam czas, daje jednak rychło doskonały rezultat. Zbliża się bowiem przełomowy moment ostatniej próby sił, biernych tendencyj dotychczasowego dowództwa z nową rodzącą się ideologją korpusu.

Cała ta praca dokonywa się już w ruchu. Korpus bowiem opuściwszy dnia 11 marca Soroki, posuwa się wolno na Pawłówkę, Zabokliczkę, Czeczelnik. Powolny ten ruch ma na celu umożliwienie wyciągnięcia kolum i niestety jeszcze zbyt ciężkich wówczas taborów korpusu.

Dnia 15 marca 1918 zostaję wyznaczony przez generała Hallera jako jeden z trzech reprezentatów Brygady karpackiej, mających wejść w skład t. zw. „Naczelnej Rady Wojskowej II Korpusu" W. P. Cele tej instytucji określa następujący jej komunikat Nr. 1.

„Dnia 2 (15) marca 1918 roku Komitet Wykonawczy frontu rumuńskiego wyłonił wspólnie z Karpacką Brygadą, która weszła w skład II Korpusu Wojsk Polskich:

[1]) Bergel str. 37.

„Naczelną Radę Wojskową II Korpusu Wojsk Polskich" — w następującym składzie:

1) Prezes — kpt. Leon Bobicki,
2) Zastępca prezesa — płk. Michał Żymierski,
3) Sekretarz — żołnierz Władysław Piotrowski.

Członkowie:

4) chorąży — Władysław Bądzyński,
5) porucznik dr. Adam Kiełbiński,
6) porucznik Franciszek Lubas,
7) kapitan Tadeusz Malinowski,
8) lekarz wojskowy Bronisław Nakoniecznikoff,
9) podporucznik Bolesław Sikorski.

Za cel swój zasadniczy postawiła sobie Nacz. Rada Wojskowa II Korpusu W. P. odbudowę Niepodległej Ludowej, Zjednoczonej Polski z ujściem do morza przez własne wybrzeże i organizowanie armji narodowej, mającej jedynie dobro sprawy ojczystej na oku, a niezawisłej od jakichkolwiek wpływów partyjnych.

Dla spełnienia celów powyższych postanowiła Naczelna Rada Wojskowa II Korpusu Wojsk Polskich:

1) Podjąć jak najszerszą akcję ku koncentracji wojskowej i narodowej wszystkich sił polskich wojskowych.

2) Czuwać nad jednolitością powyższych wytycznych i uświadamiać w tym kierunku żołnierza polskiego.

3) Postarać się o niezbędne środki materjane da utrzymania wojska.

Dnia 15 (2) marca 1918 roku, na skutek wiadomości o ogłoszoym w dziennikach rozkazie Rady Regencyjnej z dnia 6 marca 1918 r., tudzież deklaracji likwidacyjnej Naczelnej Rady P. S. Zbr. z dnia 1918 roku, uchwaliła Naczelna Rada Wojsk. II Korpusu W. P. wejść bezzwłocznie w kontakt z jedynie upełnomocnionym do tego przez Radę Regencyjną por. Władysławem Raczkiewiczem dla jak najrychlejszego skoordynowania pracy, oraz o ile okaże się ku temu potrzeba, wysłać raport (nieczytelne), do Rady Regencyjnej o swoich dążeniach i o stanie formacji II Korpusu W. P., tudzież celem przejęcia bezpośrednio od Rady Regencyjnej dyspozycyj dla dalszej swej działalności.

Z chwilą otrzymania ścisłej dyrektywy od Rady Regencyjnej, wzgl. wyłonienia centralnej organizacji wojskowej polskiej, Naczelna Rada Wojsk. II Korpusu postanowiła przelać swe funkcje na odnośne władze.

Prezes: Bobicki.
Sekretarz: W. Piotrowski.

Udział nasz, oficerów Brygady w Naczelnej Radzie Korpusu ma zespolić akcję i dążenia Brygady z akcją dotychczasowego komitetu wykonawczego.

W organie II Korpusu W. P. „Niepodległość" Nr. 1 z dn. 26 marca 1918 czytamy: „Komitet Wykonawczy frontu rumuńskiego, wybrany na 2-gim ogólnym zjeździe Polaków w grudniu r. z. zważywszy, — że front ten przestał istnieć, że lokalny komitet nie może mieć tej powagi, jaka jest potrzebna w dzisiejszej ciężkiej i poważnej sytuacji, że mamy wśród siebie nowych kolegów, którzy też powinni mieć głos w kwestjach obchodzących nas wojskowych, — Komitet Wykonaw-

czy wyłonił z siebie Naczelną Radę Wojskową II Korpusu Wojsk Polskich....“ tamże na str. 2-ej: „W rozkazie Naczelnej Rady Wojskowej II Korpusu z dnia 24 marca r. b. czytamy: „Wobec układu z Niemcami, zawartego przez I korpus, oraz przez gen. Michaelisa; wobec zrozumienia istotnego interesu, jaki ma dziś Rada Regencyjna w istnieniu i utrzymaniu niezależnego od centralnych mocarstw niepodległego wojska polskiego,

Rada Naczelna II Korpusu W. P. postanowiła dla 2 korpusu cel:

Nie łączyć się z Niemcami, nie wchodzić w stanowisko I korpusu, maszerować na miejsce, gdzie korpus usunie się z terenu, będącego pod wpływem mocarstw centralnych“.

Takie są zadania i cele, jakie sobie i korpusowi jasno i wyraźnie stawia Naczelna Rada II Korpusu.

Niestety, dowódca korpusu, gen. dywizji Stankiewicz i gen. Glass, dowódca 4-ej dywizji piechoty, są tym planom przeciwni, określają je jako szaleństwo i chwytając się oferty dowództwa austrjackiego, namawiają do powrotu do kraju lub przynajmniej do pozostania na miejscu.

Dowódca korpusu nie decyduje się na wydanie żadnego pozytywnego rozkazu, ogłasza tylko znaną odezwę Komitetu z komentarzem, że do dalszego marszu na wschód obowiązani są tylko ci, którzy się zgodzą dobrowolnie na tezy tej odezwy.

Zaczynają się dyskusje i debaty po oddziałach, grożące fermentem i zamętem.

W tym krytycznym momencie Rada Naczelna wydaje rozkaz, który czytamy w numerze 1-ym „Niepodległości“ dnia 24 marca 1918 r.:

„Wszystkie oddziały i żołnierze zdecydowani na pozostanie w szeregach niezależnych od Niemców wolnych kadr wojska polskiego, ściągają dnia 25 marca 1918 roku do 5-ej dywizji, która stanowi ośrodek w tym kierunku.

5-ta dywizja maszeruje pod dowództwem brygadjera Hallera w wykonaniu planu taktycznego, który opracuje dowództwo“.

Istotnie dnia 25 i 26 marca 1918 r. wszystkie oddziały korpusu z wyjątkiem 300 ludzi, którzy z ogromnym taborem pod dowództwem gen. Glassa odchodzą do Winnicy — skupiają się w rejonie Berszady.

Generał Stankiewicz przyjeżdża do gen. Hallera i oddaje mu dobrowolnie i definitywnie dowództwo nad korpusem.

W międzyczasie, 21. marca, z pod Olgopola, w dniu ostatecznego przełomu w korpusie, wyjeżdżam z d-rem Bronisławem Nakoniecznikoffem do b. prezesa Naczpola, Raczkiewicza, pełnomocnika Rady Regencyjnej, aby z nim nawiązać kontakt — otrzymać dyrektywy i ewentualnie opiekę dla korpusu.

Nie była to wcale przyjemna jazda. Podróżowało się bowiem wówczas na dachu, na półkach pod walizy, a nawet, jak mi się to właśnie zdarzyło po wtłoczeniu się przez okno wagonu, przez 12 godzin w nocy, w ubikacji wagonowej, pozbawionej właściwego sprzętu, a ziejącej jedynie otworem, na zatkanie którego czterech pasażerów, zgniecionych w tem miłem pomieszczeniu, podwiewanych nieznośnie od spodu, poświęciło derkę, przydeptawszy ją na brzegach.

Również Kijów, oglądany przezemnie wówczas po raz pierwszy, robi na mnie wrażenie dość niesamowite.

Na tle szeroko roztarasowanych, przewalających się ulicami i po dworcu mas ludzkich, zdemobilizowanych, wałęsających się rozpiętych szyneli, błyszczący rygor pruskiej komendy placu, wzorowe zmiany wart i t. p.

Nocuję na Puszkińskiej 22, z żołnierzami. Prycze gołe, jak na wartowni. Rozmowy chytre grupkami.

Rankiem, o g. 8-ej idziemy do p. Raczkiewicza i przedstawiamy mu sytuację w korpusie, zamiary i plany marszu i dalsze cele korpusu. Zobowiązuje się poinformować Radę Regencyjną — ostrożnie między wierszami rozmowy chwali nasze plany.

Po powrocie zdajemy sprawę Radzie Naczelnej, która uznawszy jednak konieczność bardziej zdecydowanej enuncjacji, ogłasza w komunikacie Nr. 2:

„Wolą kraju jest stworzenie tutaj poza granicami kraju, polskiej siły zbrojnej, niezależnej od obcych wpływów, podporządkowanej jedynie władzy kraju.

Obowiązkiem naszym podtrzymać wiarę naszych najbliższych, pozostałych w kraju w to, że pamiętamy o nich i, że wierni nakazowi ich, oddajemy się na służbę Ojczyzny".

28 marca 1918, nareszcie koniec zamętu, bezładu i groźnego zamieszania. Dowództwo wojskowe w rękach generała Hallera Mazowieckiego. Rada Naczelna składa swe funkcje na ręce Rady Regencyjnej w uroczystej deklaracji, poruszającej wszystkie delikatne momenty naszej sytuacji. Cała władza nad korpusem skupiona w rękach jednego dowódcy [1]).

[1]) Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że rozwiązanie Rady Naczelnej II Korpusu, oddanie plonu jej pracy i przekazanie pełnionej władzy i obowiązków jedynej wówczas widocznej naczelnej władzy państwowej polskiej, jaką była Rada Regencyjna — przychodziło w sam czas. Pokrewieństwo bowiem nazwy z tworzonemi wówczas w Rosji radami deputatów, złośliwość siedzących w kraju komentatorów i informatorów, snadnie mogły pomówić tak Radę Nacz. II Korpusu, jak i II Brygadę w najlepszym razie o kopjowanie wzorów rosyjskich. Próbkę tej, najgrzeczniej mówiąc, podejrzliwości kraju, miałem, wysławszy pierwszy list do kraju do mej rodziny. Powierzony oficerowi, przekradającemu się do Krakowa,

Z władzą tą przychodzi cały ciężar odpowiedzialności za taktyczne kierownictwo ruchów, za należyte zorganizowanie oddziałów, ich sprawność bojową i administrację, wreszcie stworzenie na miejscu warunków, w których korpus ma żyć na obcej ziemi i w obcem środowisku.

Ciężar ten podejmuje nowe dowództwo ochoczo [2]).

W ciągu najbliższych dni następuje gruntowna reorganizacja pułków, rozpoczyna się stosowanie jednolitego regulaminu, przyniesionego przez Brygadę, wreszcie obcinanie niepomiernych ogonów taborów.

Korpus zaczyna żyć i pulsować nowem tchnięciem weń życiem i energją.

Przydzielony do sztabu Korpusu obejmuję kierownictwo i zorganizowanie kancelarji i rysowni Korpusu. Oddział sztabowy Korpusu ma być zredukowany. Tabor sztabu Korpusu ograniczony do 19 wozów. Jako osłona — szwadron jazdy. Wielki z tem kłopot i śmieszne epizody.

Jeden wóz wypada na wiezienie bagażu 5 oficerów. „Jakże to zrobić" biada jeden ze starszych panów — „gdy ja mam sam 4 pełne wozy, bryczkę i swoją powózkę — ot, bieda" mówi z tak dobroduszną i poczciwą miną.

28. marca Korpus wyrusza z Ustia, przechodzi Bug, przez Dżułynkę, Antonówkę do rejonu Maksymówki pod Humaniem (Gromy), gdzie generał zatrzymuje Korpus na kilka dni dla ukończenia reorganizacji, aby dnia 7.IV. w Humaniu dokonać przeglądu i przyjąć, 4½ godziny trwającą defiladę oddziałów nowo zorganizowanego Korpusu.

Cudny dzień, ochoczy wygląd żołnierzy, którzy się sami po raz pierwszy widzą w takiej masie, entuzjazm licznie zebranego społeczeństwa z Humania i okolicy, pierwsze wiosenne kwiaty, wszystko składa się na niezapomniane wrażenie. Jakieś wiosenne uczucie odrodzenia rozpiera pierś i sercu każe bić mocniej.

był on dla bliższej informacji napisany na odwrotnej stronie drukowanego komunikatu Nr. 2 N. Rady W. II korpusu Niestety nie doszedł on do rąk mej rodziny. Oddany przez naiwnego wysłannika jednemu z działaczy małopolskich, zamiast do domu mego, zawędrował w Krakowie na ul. Gołębią, gdzie wezwanej mej najbliższej rodzinie pokazano go jedynie zdaleka, nie dając do rąk i radząc zgryźliwie, aby się rodzina mnie wyrzekła, gdyż wszedłszy do Rad wojskowych, jestem na zawsze straconym, wykolejonym elementem, do którego, Polakom, obywatelom Krakowa, przyznawać się nie wolno.

[2]) Patrz Bergel, str. 42, 43.

W Humaniu jest już jednak oddziałek niemiecki.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdy stojąc konno za majorem Gniadym i generałem podczas defilady, istotnie imponującej, spostrzegam na balkonie bocznej uliczki wychodzącej na plac, popielatego podoficera niemieckiego, skrzętnie co pewien czas fotografującego nasze oddziały.

Niemca spędzono. Był to zwiadowca z Kijowa, pierwsze ostrzeżenie żywego zainteresowania nami generała Eichhorna.

Po rewji humańskiej Korpus posuwa się szybkiemi marszami ku Dnieprowi dla połączenia się w gubernji Czernihowskiej z resztą I. Korpusu, która się wyłamała od układu z Niemcami [1]

Kierunek marszu i przekroczenia Dniepru obiera generał na Kaniów, dokąd Korpus zdąża przez Krosnopolkę, osiągając 10.IV. Mankówkę i dalej, o ile pamiętam, przez Rusałówkę, Bojarkę 14.IV Medwin.

Jesteśmy wszędzie witani entuzjastycznie i obrzucani kwiatami przez Polaków po miasteczkach.

Dnia 15.IV. np., wjeżdżając na czele szpicy kawaleryjskiej do Bogusławia jestem przedmiotem takiej owacji kwiatowej: gromadka dziewcząt zarzuca mnie formalnie garściami fiołków, podając nawet bukiety do rąk. Niestety, jak się później przekonałem, była temu winna moja broda, którą wzięto za brodę generała Hallera.

Wiosny tej nie zapomnę nigdy. Urok cudnego, bujnego, wonnego kraju, pęki pierwszej bujnej zieleni i kwiatów, gdzieś od południa i wschodu sunące ciepłe podmuchy stepowych wiatrów, pogodne suche stosunkowo dni, a nadewszystko ochota i radość, wiosna w samychże sercach żołnierskich stwarzają ten wesoły pełen optymistycznych myśli nastrój.

Maszerujemy, śmiejąc się i śpiewając, ciesząc się z dziwnego zrośnięcia i upodobnienia się wszystkich żołnierzy Korpusu, tych, którzy może wogóle po raz pierwszy rozmawiają, tak jak wówczas, z oficerami i tych młodszych, beztroskich robiących zapamiętale i z humorem ważne miny starych wiarusów, legunów.

Zdaje się nam, że w morzu olbrzymiego, dziejowego kataklizmu rosyjskiego, zapatrzonego osłupiałemi oczyma bladych twarzy we własną tragiczną głębinę, płyniemy jak dziwny beztroski, wiosenny kwiat prawdziwej, nowoczesnej, polskiej, żołnierskiej swobody i braterstwa, prawdziwie obywatelskiej przyjaźni oficera i szeregowca — ra-

[1]) Koncepcja ta zostaje ujęta w układzie z ministerstwem wojny Ukraińskiej republiki Ludowej z 3.IV.18, które ją zaakceptowało.

dośni, że nas Polaków już na nią stać i pełni wiary w przyszłość naszego kraju. Wśród tej wiosny w polu i odrodzenia duchowego zaczynają się jednak nad korpusem gromadzić chmury.

Dnia 17.IV., maszerując ciągle ze szwadronem straży przedniej, spostrzegam baony szturmowe, wyładowujące się na stacji w Mironówce. Otrzymuję rozkaz rozmówienia się z dowódcą kompanji, stojącej na szosie i zagradzającej rzekomo drogę naszej kolumnie.

Tępy, stary rezerwoy porucznik niemiecki melduje mi, że ma rozkaz zatrzymania maszerującej kolumny polskiej i że musi to zrobić, bo to jest rozkaz samego generała Eichhorna. Mimo wszelkie tłomaczenia, rozsypuje po kilka sekcyj z jednej i drugiej strony szosy i stawia dwa karabiny maszynowe. Wyjaśniam mu energicznie, że zostaję przy nim i że marsz Korpusu w żadnym wypadku ani na chwilę nie zostanie wstrzymany, a swoją drogą, znalazłszy się w tak oryginalnem położeniu przy dowódcy zamierzającym strzelać do moich, macam się po rewolwerze i liczę w myśli naboje.

Tymczasem nadchodzi czołowy oddział Korpusu, w tym dniu pułk inżynieryjny, który z muzyką grającą na czele wyłania się z za wzgórza.

Mój Niemiec wściekły, gdy poszczególne kompanje pułku zaczynają go mijać, każe złożyć w kozły broń, manifestując jedynie swe oburzenie odwróceniem się plecami do szosy.

Widocznie są jeszcze słabi, żeby rozpoczynać walkę.

Jak widzimy korpus, jednostka liczna i sprawnie organizowana zwraca coraz bardziej uwagę i niepokój niemieckiego gubernatora Kijowa generała Eichhorna. Powtóre konieczność życia z kraju według ustalonego przez dowództwo cennika maksymalnego usposabia źle ludność ruską. Jakkolwiek korpus płaci za dostawy godziwe ceny — jednak licytowany przez Niemców płacących każdą choć wygórowaną cenę wydrukowanemi przez siebie kierenkami, oczerniany i pomawiany o rabunki, nie może wszędzie reagować tak, że powoli udaje się Niemcom doprowadzić ludność ukraińską do wrogiego nastroju, kijowskie władze polskie do niepewności, a kraj i Radę Regencyjną usposobić wraz z niezadowolonem obywatelstwem do korpusu jak do zbaczających na śliskie drogi straceńców.

Zaczynają przychodzić listy za listami, odezwy i orędzia.

Dnia 13.IV.1918 r. dowódca Korpusu ulegając zaklęciom Rady Regencyjnej, aby nie narażać kraju, nie rozpoczynać walki z Niemcami — zatrzymuje Korpus na ostatni długi postój przed Kaniowem w rejonie Kozin, Jamczycha, Potok, Szandry, Siniawka, Stepańcy.

Niemcy zaś, nie mogąc zrazu przeszkodzić siłą, posuwaniu się korpusu, zgromadziwszy kilka baonów na lewym brzegu Dniepru, i K. M. żeby przeszkodzić przeprawie skupiają konsekwentnie i metodycznie dookoła korpusu coraz znaczniejsze siły, ściągając je z całej Ukrainy.

Postój ten ma trwać miesiąc od 13.IV.1918 r. Fatalny miesiąc bezruchu, korespondencyj, układów — miesiąc cudownej wiosny i odrodzenia w przyrodzie — miesiąc rozterki wewnętrznej, duszącej bezczynności. Animusz wojska po świeżo przeprowadzonej reorganizacji, pełen ochoczej przedsiębiorczości zaczyna szarzeć i przygasać.

Rozgrywa się tragedja wahania. Rzekomo intensywnie ćwiczymy — przyjmujemy nawet ochotników — komisje opracowują regulaminy — artylerja odbywa ćwiczenia bojowe — ale faktem jest, że wszystko stanęło; zatrzymało się — każdy słyszy, że nas niemcy otaczają i pyta się co dalej? Szeregi posłów i kurjerów od Rady Regencyjnej do nas i od nas do Warszawy jak płk. Boruta-Spiechowicz, mjr. Mach, mjr. Gniady Przecieski — jeździ w ciągu tego miesiąca przekraczając „nielegalnie granicę", aby przywozić z początku słabe słowa otuchy ale potem ze zmianą nastroju i opinji nie uzyskiwać już nic jak mjr. Przecieski lub przywieść decyzje i listy zalecające stanowcze pozostanie na miejscu obecnego postoju i nie przedsiębranie żadnych kroków, któreby w czemkolwiek przesądzały późniejsze postanowienia Rady Regencyjnej.

30.IV.1918 pisze Rada Regencyjna do Naczelnego Dowództwa W. P. na Ukrainie.

„Dążenie do zupełnej niezależności, exterytorjalność nie da nam (Radzie Regencyjnej) możności wejścia z Wami w ściślejszy urzędowy stosunek".

Rada Regencyjna widzi w oddziałach powstających poza granicami możebne zwiększenie siły wojska polskiego, ale tylko w analogicznych warunkach, „w jakich obecnie stanął I Korpus".

Równocześnie pisze prezes ministrów Steczkowski w liście wystosowanym w imieniu rządu Polskiego do W. P. na Ukrainie, że „wszelki konflikt zbrojny między formacjami polskiemi, a wojskami niemieckiemi lub austrjackiemi uważa Rząd Polski za bezwzględnie szkodliwy dla sprawy Polskiej i radzi, aby Generał Haller jako czerwona płachta dla okupantów dobrowolnie usunął się z szeregów [1]). W ten sposób korpus zaczyna być w miarę odsuwania się kraju coraz bardziej samotny i izolowany; a Niemcy uzależniwszy, w zupełności

[1]) Bergel, strona 52.

od siebie rząd hetmana Skoropadskiego, wzrastają w siłę w Kijowie i na całej Ukrainie.

Podwójna gra Niemców polega na tem, aby wchodząc z nami w układy i perorując przyjaźnie w imię kontaktu gen. Besselera z Radą Regencyjną — ba, łącząc się nawet z nami telefonem dla zażegnywania doraźnego wszelkich konfliktów wynikłych między patrolami i oddziałami rekwizycyjnymi — skupić tymczasem znaczniejsze, wystarczające do walki z korpusem siły i środki z całej Ukrainy.

Pierwszy raz uchylają niemcy maski dnia 6.V., gdy do Dowództwa Korpusu przybywa rtm. Castellane, oficer ordynansowy sztabu Generała Zierholda — z ultymatywnem żądaniem, aby Korpus do 24-go złożył broń Niemcom. Wysłannik ten trafia przypadkowo na odprawę dowódców.

Gen. Haller zarządza bezzwłocznie alarm dywizji i artylerji, odmawiając kategorycznie żądaniu Niemców.

Zorjentowawszy się w gotowości bojowej Korpusu, wysłannik ten wraca autem tego samego dnia w nocy, odwołując ultimatum i tłumacząc je perfidnie swą własną pomyłką, że mianowicie miało się ono stosować do bandy „wolnych" kozaków sformowanej w Bogusławiu, a nie do Korpusu Polskiego". Następuje nawet wymiana komplementów, z tą chwilą jednak zamiar Niemców staje się jasny.

Rzeczywiście dnia 11.V.1918 w Masłówce przed godz. 4 o świcie budzi mnie gwałtowny dzwonek telefonu, umieszczonego nad moją głową.

Adjutant 5 Dywizji melduje z Potoka, że tyraljera niemiecka w sile 2 kompanji z K. M. zaatakowała placówki.

Strzelanina ostra. Alarm pułków zarządzony. Jeszcze nie zdołałem wybiec do generała, gdy tą samą wiadomość przynosi mi telefon płk. Sochaczewskiego z 6 p. ułanów. Zrozumiałem, że decydująca bitwa rozpoczęta [1]).

11.V popołudniu około godz. 14-ej wezwany do generała znajduje go w szkole we wsi Jamczycha. Zastaję tam kilku starszych oficerów i dowódców pułków, którzy proszą o amunicję do K. M., ktoś przekonuje o konieczności przebicia się na Tagańczę. Zewsząd meldunki o amunicję. Płk. Gomulicki jeszcze ma dosyć pocisków.

Generał poleca mi zaczekać w sąsiedniej chacie, gdzie znajduję niemieckiego rotmistrza Castellane, który jak się dowiaduję od żan-

[1]) Dokładny opis całodziennej bitwy, stanów korpusu (7000 ludzi, 36 dział) i Niemców (14 baonów p. d. 600—800 ludzi, 3 pułki kawalerji i 3 baterje) i strat na podstawie aktów, uratowanych i przesłanych do kraju, zestawił kapitan R. Bergel w dziełku „Dzieje II Korpusu Polskiego" str. 57 i 58.

darma strzegącego domu, przybył od niemieckiego gen. Zierholda z propozycją wszczęcia układów.

Niemiec śpi wyciągnięty na ławie, albo udaje że śpi.

Huk granatów słychać teraz rzadziej, natomiast K. M. stukocą wciąż głównie na odcinku 14 p. strz. od strony zachodniej. Powoli i mnie ogarnia znużenie i senność. Jestem zgorączkowany, przemęczony i bardzo głodny. Gorzko mi w ustach. Jasnem jest, że Niemcy mając znaczne straty obecnie bardziej ostrożnie idą na przetrzymanie i ogłodzenie nas, ścieśniając żelazny pierścień dookoła korpusu. Zatem daremnie grzmoci pułkownik Gomulicki ze swoich dział tak celnie, że wali trafnemi strzałami wieżę zajętego w tej chwili przez Niemców dworu w Masłówce, gdzie spałem jeszcze nad ranem.

Daremnie chwytają oficerowie sami osmoleni, w półubrani za tylce K. M., strącając niemieckie hełmy po bagnach!

Daremnie się irytujesz kochany kolego Matczyński, którego spotkałem dziś rano z plecakiem wypchanym kilkoma kompletami niesionej dla żołnierzy Trylogji Sienkiewicza.

Na darmo te buty, których przywiozłeś dwie barki Dnieprem, w dziwny sposób wydarłszy je z jakichś składów w Kijowie.

Na darmo ma być to wszystko, ten trud, ta krew przelana dziś tak obficie?

Przychodzi mi na myśl, Rudek Brandys, który zginął dziś rano, walcząc na bagnety z garstką swoich przeciw całej kompanji niemców, broniąc się do ostatniej chwili bohatersko. Dwadzieścia kilka pchnięć w piersi i brzuch szerokim niemieckm bagnetem. Gorzko mi w ustach.

W tej chwili wzywają mnie do generała. Zastaję tam płk. Szyllinga, z którym mam jechać jako parlamentarz do Mironówki do kwatery generała Zierholda. Pułkownik Szylling objaśnia mnie po drodze o stanie obecnym korpusu. Dowiaduje się, że mamy dotąd poległych pięciu oficerów i 60 szeregowych. Ponadto kilkuset żołnierzy naszych, zaskoczonych w Potoku dostało się do niewoli. My jednak znowu wzięliśmy do niewoli 2 kompanje niemieckie.

Z tem wszystkiem żołnierze nasi trzymają się i biją świetnie.

W celu przeprowadzenia tych układów zawarto rozejm od godz. 15-ej do 18-ej.

Przyjęci z pułkownikiem Szylingiem jako parlamentarjusze jedziemy czekającym na nas powozem z jakimś rotmistrzem huzarów, który godzi się nie zawiązywać nam oczu.

Po drodze zauważyłem znaczne straty Niemców, widzę z iście wzorową systematycznością poukładanych poległych przed cerkiewką w Kozinie.

We dworze w Mironówce oczekuje nas generał Zierhold, jasny blondyn, niski, zażywny Niemiec z cygarem w ustach i apoplektycznie czerwoną twarzą.

Zaczynają się pertraktacje, których tezą po naszej stronie jest żądanie zaprzestania walki i pozwolenie odejścia bez zaczepki za Dniepr, gdzie chcemy skupiać Polaków. Ponadto zobowiązalibyśmy się nawzajem zwolnić 1 kompanję niemiecką, wziętą przez nas do niewoli.

Ze strony Niemców stawia Zierhold bezzwzględne żądanie złożenia broni i poddania się przez Korpus.

Spokój i pełna godności postawa pułkownika Szylinga robią na Niemcach duże wrażenie, zwłaszcza, że krewki generał Zierhold irytuje się, co tem bardziej podkreśla kontrast między nimi.

Ostatecznie okazuje nam depeszę (hugesem) marszałka Hindenburga, nakazującą natychmiastowe zlikwidowanie polskich Korpusów wschodnich.

„Czy Panowie myślą, że rozkaz marszałka Hindenburga może być nie wykonany"? pyta nas generał Zierhold.

Mimo to pułkownik Szyling nie godzi się, oświadczając, że pełnomocnictwa nasze nie pozwalają nam na żadne zobowiązania co do rozbrojenia i powstaje pierwszy, dając tem znak, że uważa pertraktacje nasze za ukończone.

Jakby na poparcie tych słów odzywają się działa pułkownika Gomulickiego z naszych pozycyj.

Istotnie 18-ta godzina — termin rozejmu upłynął, a Gomulicki nie omieszkał wysłać o tem przypomnienie swoimi, szybko lecącymi gońcami.

Odprowadzanych na schody przez rotmistrza Castellane dogania oficer, pełniący funkcję szefa sztabu, przedstawiając nam, że dalsza walka nasza bezowocna, że oni byliby nawet skłonni zawrzeć układ na najbardziej honorowych warunkach, zostawiając oficerom broń.

Rozmowy te przerywa jednak w chwili wsiadania do powozu dalsza kanonada artyleryjska pułkownika Gomulickiego; sięgająca tym razem w okolice Mironówki, wobec czego Niemcy mocno zirytowani cofają się, a my wracamy do Korpusu.

Powróciwszy do Korpusu w Jemczysze, znajdujemy jednak, niestety, zebraną już odprawę starszych dowódców.

Nastrój bardzo przykry — padają jeszcze ponowne projekty przerwania się z bagnetem w ręku szturmem na Tagańczę. Szef sztabu Korpusu jednak stwierdza, w swej przemowie, że dalsza walka wobec

zupełnego braku żywności i amunicji jest niemożliwa. Sprawa kapitulacji Korpusu jest przesądzona.

Czuję w tej chwili zawód. Starzy oficerowie II. Korpusu żywią do nas urazę, że po tak wielkiej pracy i wysiłku kończy się cała epopeja na złożeniu broni i rozbiciu Korpusu. Po przemowie szefa sztabu — generał Haller wysłuchawszy raportu pułkownika Szylinga decyduje się na zawieszenie walki, uważając ją za beznadziejną. Zakazuje również samodzielnego przerywania się, aby zachować ludzi i nakreśla plan organizacji punktów zbornych na Ukrainie, oznaczając Kijów na zakonspirowaną centralę dowództwa Korpusu, a poleciwszy wyjaśnić wszystkim żołnierzom, że napadnięci, broniliśmy się, wobec niemożności dalszej walki z bronią bez amunicji musimy obecnie rozsypać się grupkami po wyznaczonych centrach, aby wkrótce stanąć do apelu na innem miejscu nakazuje rozdzielić między oficerów i szeregowych całą sumę, znajdującą się w kasie Korpusu. Następnie generał wyznacza pułkownika Pogorzelskiego kapitana Rudkę i mnie jako pełnomocników do zawarcia układu, poczem pożegnawszy się z nami oznajmia o swej decyzji, przybyłemu znów wysłannikowi Niemców.

Dodatkowo otrzymuję poufnie rozkaz zabrania, ukrycia na sobie i ocalenia aktów operacyjnych, organizacyjnych Korpusu, korespondencji z Radą Regencyjną i pieczęci Korpusu. Chowam pieczęć i papiery stanowiące gruby pakiet pod rubaszkę, pod którą miały długo wędrować, zanim się dostały w bezpieczne ręce, które je dowiozły początkowo do muzeum Czapskich w Krakowie, potem do archiwum.

Wieczór 11.V. przybywszy powtórnie do Mironówki spisujemy nakazany, znany układ z generałem Zierholdem, którego jedyną honorową klauzulę stanowi punkt, zostawiający oficerom polskim prawo noszenia broni bocznej.

W Mironówce przebywam jako zakładnik w kwaterze niemieckiej 4 dni, t. j. do 16.V.1918 r.

Są to jedyne dni niewoli w mojem życiu.

Odczuwam je jednak bardzo boleśnie. Siedząc długie, samotne godziny w przeznaczonym mi pokoju na piętrze dworku w Mironówce, wybiegam myślą do kraju zgnębionego w pętach okupantów i wracam mimowoli ku zamiarom wyjazdu z kraju z Władkiem Gniadym do Francji lub Ameryki, by tam organizować element polski. Ponadto widzę z okien kompanje 3 p. p. przeprowadzane do utworzonego ad hoc odrutowanego obozu na dworcu kolejowym w Mironówce, — widzę idącego piechotą w pierwszych szeregach pułkownika Zająca i żal mi ściska gardło i wstyd. Wówczas postanawiam przy pierwszej okazji uciec Niemcom.

Generał Zierhold i Niemcy ze sztabu zachowują się z niezgrabną grzecznością, zostajemy nawet zaproszeni do menaży oficerskiej — z czego naturalnie nie korzystam.

Młodsi oficerowie odwiedzając mnie mówią dużo o Francji i Francuzach, jeden z nich był ranny — długo w domu francuskim i ma najlepsze wspomnienia. Zapytuje, jak ja się zapatruje na te rzeczy? Wypowiadam ostrożnie, zwłaszcza, że czuję pewną tendencję indagowania mnie — a podawszy się za kaliszanina, omal już raz nie zdradziłem się z nieznajomością tego miasta.

13.V słyszę podniesione głosy generała — ponoś cały materjał II-go Korpusu, automobile, broń, został zniszczony połamany, akta spalone, pono jakiś szwadron 6 p. ul. nie dotrzymał umowy i przedarł się ku Dnieprowi.

16.V. Szef sztabu oznajmia mi, że rola nasza jako zakładników skończona, mamy dziś odejść z transportem jeńców ze stacji w Mironówce.

Istotnie przedpołudniem zostajemy odstawieni na stację powozem pod eskortą 6 huzarów.

Tu zastaję na placu otoczonym siatką drutami kolczastemi całe obozowisko — dowiaduję się, że generał Haller uszedł w przebraniu, że już 5 transportów odjechało do obozu jeńców do Białej.

Po obozie kręci się kilka przekupek z jadłem, koło drutów i bram moc skautów z Bogusławia i okolicy spotykam mego pocztowego — kupca z Lublina — który mi opowiada, że konia dał chłopu Polakowi, zaś rzeczy wszystkie uratował. Polecam mu, żeby mi się wystarał o ukraińską kolejową czapkę i dał swój stary szynel, co też w mig uskutecznia. W jakiejś budzie magazynowej przebieramy się — wychodzę jako brudny, brodaty, zdemobilizowany żołnierz rosyjski, funkcjonarjusz kolejowy.

W chwilę później roznoszący chleb młody przekupień skaut szepce mi w przejściu „Numer 2021" i powtarza tę liczbę z uporem, wskazując oczyma kierunek skrzyżowania toru kolejowego z szosą za stacją kolejową.

Zaczynam wałęsać się po obozie obserwując bacznie wszystkie napisy — nic jednak dojrzeć nie mogę. Widzę jedynie, że we wskazanym kierunku stoją na torach łańcuchy wozów i kilka parowozów.

Postanawiam wydostać się za wszelką cenę — żegnam mego pocztowego — darując mu moje rzeczy i klucząc ku bramie nawiązuję rozmowę z grubą przekupką placków opuszczającą właśnie obóz. Zatrzymawszy babę do chwili, aż gruby wartownik obrócił się, idąc miarowym krokiem wzdłuż drutu, wychodzę z nią nie oglądając się wię-

cej odchodzę wolno, korzystając z zamieszania wywołanego oglądaniem przepustek przekupniów. Doszedłszy na stację puszczam się gorączkowo ku taborowi kolejowemu.

Przebiegam oczami wszystkie numery. — Jest!

Jedna z lokomotyw ma piękny mosiężny numer 2021.

Nie namyślając się dużo, wskakuję po stromych schodkach na lokomotywę. Parowóz jest pusty, niema na nim nikogo. Natomiast ogień w palenisku i głuchy szum wskazuję, że lokomotywa się ogrzewa i przygotowuje do drogi. Zdejmuje szynel i umazawszy nieco ręce i rękawy koszuli pyłem węglowym upodabniam się jeszcze więcej do ruskiego kolejarza.

Po chwili przybywa palacz a potem maszynista.

Dowiaduję się, że maszyna wiezie pociąg nie do Kijowa lecz do Odessy. Ale czasu na namysły już niema.

Maszynista początkowo sprzeciwia się mej jeździe na maszynie, następnie jednak zażądawszy 30 rubli przygotowuje milcząc parowóz. W ostatniej chwili widzę krążącego koło nas porucznika Mirskiego, wołam go i ruszamy przez całą stację manewrując po torach. Z za płachty widzę cały nasz obóz i bataljon niemiecki przybyły na stację w hełmach i pełnym rynsztunku.

Okazuje się, że moja lokomotywa ma wieźć ten bataljon Niemców gdzieś na południe. Przybijamy do pociągu. Na lokomotywę wskakuje jakiś feldwebel mówiąc, że ma prowadzić pociąg.

Na jego podejrzliwą uwagę „Sind die Herrn so viele da"? udajemy, że nic nie rozumiemy. Daje każdemu z nas po papierosie z pytaniem: „haben się Zündhölzer", upewniony zaś naszemi tępemi minami, żąda od maszynisty na migi ognia i schodzi z lokomotywy.

Tymczasem zbliża się wieczór — po najbliższych stacjach, które mijamy, wszędzie ładują się oddziały niemieckie. Siedzimy przy palenisku pędzącego parowozu na przemian grzejąc się i marznąc. Jednak służba palacza na lokomotywie jest bardzo ciężka. Brak latarki zmusza do oświetlenia mechanizmu kwaczem płonącym w mazi. Nieznośny dym i kopeć powoduje, że po godzinie jesteśmy tak gruntownie osmoleni, że nie tylko Niemcy, ale rodzony brat by nas nie poznał. Na domiar złego podczas jednego takiego oświetlenia w pełnym biegu pociągu płonąca smoła zapala deski pomostu, które wybuchają żywym płomieniem. Wskakujemy wszyscy na węgle na tender, maszynista z palaczem leją wodę jakimś wężem i konewkami, które im podajemy. Rzeczy wprost nieprawdopodobne. Maszynista, śmiejąc się pokazuje białe zęby przy świetle tej samej improwizowanej pochodni. W zamęcie ginie mi część drobiazgów, które zawiązałem we frencz

i ukryłem w węglarce. Szczęściem papiery i pieczęcie Korpusu zawiesiłem w płóciennej torbie na plecach — opieram się o żelazną ścianę daszka lokomotywy — mam je, czuję je na plecach.

Około godziny 3-ej nad ranem, za radą por. Mirskiego, opuszczamy maszynę na jednej z węzłowych stacji, zajętej jeszcze przez Niemców. Dla niepoznaki, a właściwie z rzeczywistego zmęczenia, przesypiamy ciepłą, majową noc wraz z gromadą chłopów i innych pasażerów na betonowym peronie stacyjnym. 17.V wyjechawszy przedpołudniem w kierunku Bracławia, stajemy wraz ze spotkanym i zabranym w czasie drogi kapitanem Ludwikiem Rudką wieczorem w miasteczku Hajsynie, gdzie Mirski ma znajomych.

Tu, dzięki obywatelskiej gościnności niejakiego p. Francaka, unikamy aresztowania przez Austrjaków, lokując się w domu, gdzie kwateruje dowódca pułku, by następnego dnia rozjechać się do okolicznych domów polskich.

Mnie przypada w udziale gościnny dom w Kunie, p. Wandy z Sierakowskich Jaroszyńskiej, którą przez wspólnych znajomych znam doskonale jeszcze ze studenckich czasów. Przyjęty bez zastrzeżeń jako pan Kazimierz Piegat, wyjawiam tylko pani domu swoje prawdziwe nazwisko i zamiary, a odpocząwszy w ciągu kilku dni pobytu w ich domu, wyjeżdżam z papierami guwernera do Kijowa.

Po zameldowaniu się około 1-go czerwca 1918 w naszej komendzie placu i otrzymawszy rozkaz wyjazdu do Moskwy powierzam za wiedzą kolegów akta Korpusu pani Jaroszyńskiej, która istotnie dowozi je należycie do Krakowa, — sam zaś z kapitanem Janem Kowalewskim i płk. Czumą przybywam 8.VI.1918 do Moskwy, by stamtąd 16.VI.1918 udać się w ślad za generałem Hallerem i pułkownikiem Bajerem na Murman.

Tak się kończy ten etap mojej służby.

Co do innych kolegów wiadomo mi tylko, że przeważna część oficerów i szeregowych zwłaszcza legjonowych uszła z eszelonów pruskich i utworzywszy na Ukrainie nakazaną sieć zakonspirowanych komend lokalnych, przeprowadziła w myśl idących z Moskwy przez kijowską centralę dyrektyw — skupienie i wysyłkę żołnierzy na Murman, nad Don i na Syberję.

Inni oficerowie jak np. pułkownik Szyling wychodząc z założenia, że nie należy opuszczać żołnierza w trudnych warunkach i nędzy niemieckich obozów — poszli prawie dobrowolnie spełnić ten najcięższy może obowiązek w obozach w Bressen w Meklenburgji — gdzie istotnie tylko dzięki opiece i stanowisku pułkownika Szylinga udało się uratować większość naszych żołnierzy.

Ten właśnie zdrowy, ideowy, obywatelski stosunek oficera do szeregowca, który miał ze 7.000 żołnierzy Korpusu zrobić świadomych bojowników wolności i niepodległości Polski, był może największą wartością, wytworzoną w zespolonych ze wszystkich części kraju szeregach II-go Korpusu Wojsk Polskich na Ukrainie.

Dzięki niemu zorza, rozbłysła 6.VIII.1914 roku i jaśniejąca ponad brud targów i gorycz sporów, nad Szczypiorną i wygnaniem frontu włoskiego, opromienia swem światłem szare wzgórza Rarańczy, bój Kaniowski i szeregi nieznanych może dziś faktów bezimiennej, żołnierskiej ofiary na Murmanie, nad Donem i na Syberji.

Wanda z Czarnockich Bielańska

DZIESIĘĆ DNI W MOSKIEWSKIEJ CZEREZWYCZAJCE NA ŁUBIANCE.

W pierwszych latach wojny światowej Polacy, znajdujący się na emigracji w Moskwie, grupowali się około dwóch polskich placówek, które egzystowały jeszcze przed wojną: w „Sokole" i „Domu Polskim".

W latach przedwojennych i wojennych 1915—16 „Dom Polski" służył, jako miejsce zebrań towarzyskich, odczytów i przedstawień teatralnych. W „Sokole" cały wysiłek obrócony był na utrzymanie sprawności fizycznej, drogą ćwiczeń gimnastycznych.

Z chwilą przewrotu, dokonanego w 1917 roku i wślad za wzmożonym ruchem niepodległościowym, zaczęła przenikać do tych ośrodków polskich propaganda „P. O. W." i miejsca te stały się punktami roboty konspiracyjnej. „Druhny" zaczęły tworzyć koła, mające za zadanie opiekę nad Polakami, więźniami wojennymi, znajdującymi się w obozach jeńców, przeważnie na Syberji; chodziło głównie o pociechę moralną i podtrzymanie ich na duchu.

Czyniło się też zadość niezbyt wygórowanym żądaniom materjalnym jeńców. I tak n. p. Koło, którego byłam przewodniczącą, wysłało pewną ilość paczek z odzieżą i bielizną, dużo książek, a nawet — gitarę.

Wkrótce po wybuchu rewolucji Kiereńskiego do Moskwy zjechało się również wielu jeńców polskich, zbiegłych z obozów. Legjoniści utworzyli związek, którego siedziba mieściła się na Milutyńskim Zaułku, koło kościoła. Głową i sercem był tam legjonista Tadeusz Teslar.

Po bitwie kaniowskiej przybyła nowa fala rozbitków. Na zaułku Małym Gołowinie Nr. 5 (gdzie mieszkałam z rodzicami u krewnych moich), mieściła się ich centrala. Rezydowali tam: major (obecnie płk.) Czuma, i kpt. lekarz (obecnie płk.) dr. Bronisław Nakoniecz-

koff-Klukowski. Zebrania odbywały się bądź u nich, bądź też w naszem mieszkaniu, mieszczącem się o dwa piętra niżej, w tak zwanej „budzie ratunkowej"

Przed domem zbierali się prawie codzień zbiegowie, oczekując na przyjęcie przez kogoś ze starszych, kwatery, pomoc materjalną i dokumenty, umożliwiające swobodę poruszania się w obcem i nieznanem mieście.

Kółko amatorskie w Moskwie celem niesienia pomocy rozbitkom wojsk Hallera.

Wykorzystując ruchliwość biura mego ojca, mieszczącego się na „Wodopianym" zaułku, kierowano poważniejsze osobistości wprost do niego. Zadaniem ojca było ich zakwaterowanie i doręczenie dokumentów, umożliwiających wyjazd.

I tak przez biuro mego ojca przewinęli się: gen. Haller (ten nie wchodził do wnętrza i oczekiwał na podwórzu), por. Bayer, który załatwiał formalności dla generała i siebie, por. Zwisłocki (obecny dyrektor Nowego Chorzowa), który, nie znając języka rosyjskiego, udawał niemego, oraz wielu innych oficerów.

Tymczasem na Milutyńskim u kochanych „legunów" bieda doskwierała coraz bardziej. Trzeba było na gwałt pieniędzy na najpotrzebniejsze rzeczy.

By choć w drobnej części im pomóc, zorganizowałam kółko amatorskie i pod reżyserją ojca mego odegraliśmy z powodzeniem w „Domu Polskim" trzy sztuczki, powtarzając je dwa razy. Dochód oddany był na „Milutyński".

Z początkiem zdawało się, że bolszewicy patrzą na wszystkie te prace z pobłażliwością, gdy nagle wszystko się odmieniło i w czerwcu zaczęło być „gorąco".

Dom nasz na Małym Gołowinie Nr. 5 zaczął być niebezpiecznem miejscem pobytu. Major Czuma musiał się usunąć na kraniec miasta, ale i stamtąd prędko go wykurzyli bolszewicy. Pamiętam, że ja i jedna jeszcze niewiasta przenosiłyśmy rzeczy majora z jednej kwatery na drugą w koszykach pod kartoflami i garnkami ze śmietaną; było to w przeddzień jego wyjazdu na Syberję.

Szpiedzy bolszewiccy tak śledzili nasz dom, że pewnego dnia musiałam, z kwiatkiem w ręce, udać się do „Domu Polskiego", zabrać stamtąd udekorowanego takimże kwiatkiem kurjera z jakiegoś miasta prowincjonalnego, udać się z nim na bulwar, gdzie czekał dr. Nakoniecznikoff i spacerować z nim, udając zalotną pannę, żeby maskować ich „ważną rozmowę" i wydawanie instrukcyj.

Z dnia na dzień atmosfera stawała się bardziej duszna.

Ojciec mój zadecydował, że trzeba starać się o powrót do kraju i rozpoczął starania o potrzebne dokumenty.

W tych warunkach przeszedł czerwiec i pierwsze dni lipca.

Wreszcie ustaliliśmy termin wyjazdu.

Kilka dni przedtem dowiedzieliśmy się o rewizji w siedzibie legjonistów i dokonanych tam aresztowaniach.

Pamiętam z niezwykłą dokładnością ten niedzielny dzień lipcowy 1918 r. Była to wilja naszego wyjazdu do kraju i cały dzień był zajęty gorączkowem dopakowywaniem rzeczy i przyjmowaniem pożegnalnych wizyt przyjaciół, którzy zostawali w Moskwie. Przed odejściem ostatnich gości ojciec, jakby tknięty przeczuciem, oddał kilka kompromitujących papierów jednemu z przyjaciół, który ukrył je w bucie i miał je oddać nazajutrz na stacji.

O północy, kiedy mieliśmy zamiar udać się na spoczynek, usłyszeliśmy przeraźliwy głos dzwonka i przez otwarte drzwi weszli: prezes domowego komitetu, dozorca domowy, „komisarz" (20-letni żydek) i dwóch żołnierzy (jeden Polak, drugi Rosjanin). Komisarz, upewniwszy się, że w tym lokalu mieszkają Wanda i Zofja (moja matka) Czarnockie, oznajmił nam, że jesteśmy aresztowane. Od tej chwili przesuwały się przed memi oczami widoki i twarze z kinematograficzną szybkością.

Wyrzucanie na ziemię spakowanych rzeczy, zrywanie tapet, pakowanie do worków znalezionych papierów, bezceremonjalny rabunek całej naszej biżuterji, rozpacz matki, pożegnanie z ojcem, jego śmiertelnie blada twarz i jego słowa, wyszeptane do ucha: „Nie przyznawaj się do niczego"!

Sprowadzono nas ze schodów, „załadowano" do samochodu ciężarowego i zawieziono na Łubiankę, gdzie mieściły się biura czerezwyczajki i tymczasowe więzienie. Czekałyśmy w dużej i pustej sali. Po 20-tu minutach wezwano mię na badanie.

Stanęłam przed młodym człowiekiem, z twarzą ascetyczną i wyblakłemi niebieskiemi oczami, który mi oznajmił z naciskiem, że jest Polakiem, bolszewikiem-idealistą i nazywa się Bortnowski. Pomimo podkreślenia swej „polskości" chciał mię badać w języku rosyjskim, na co ja nie chciałam się zgodzić, gdyż mało znałam ten język i bałam się jakiegoś nieporozumienia. Wkońcu p. B. oznajmił mi, że zgadza się na język polski, ale robi to tylko dla mnie, żeby mnie przekonać o jak najlepszych zamiarach względem mnie.

Na moje zapytanie, o co mnie obwiniają — odpowiedział: „O dużo, dużo rzeczy". Wymienił między innemi zbrodniami: opiekowanie się jeńcami w obozach na Syberji, ukrywanie rozbitków z pod Kaniowa, należenie do polskiej organizacji, zwalczającej bolszewizm i wiele innych. Jednem słowem „kontrrewolucja". Na zakończenie usłyszałam, że mogę się namyśleć, a potem powiedzieć wszystko, co wiem, bo inaczej kula mnie nie minie.

Następnie kazał mnie wyprowadzić i oszołomioną, przemęczoną, prowadzono mnie pod eskortą przez szereg korytarzy i wepchnięto wreszcie do jednej (środkowej) z trzech tymczasowych cel, zbitych z desek. Upadłam na tapczan, zajmujący prawie całą celę.

Leżałam tak, starając się zdać sobie sprawę z tego, co się stało i gnębiąc się nieświadomością o losie matki, gdy z dwóch sąsiednich cel rozległy się głosy, początkowo ciche, a potem głośne. Była to rozmowa między dwojgiem narzeczonych, którzy siedzieli w dwóch sąsiednich celach (ja byłam uwięziona między nimi). Popełnili oni jakiś mord polityczny, byli pewni tego, co ich czeka i do świtu, nie krępując się mną zupełnie, żegnali się i rozpamiętywali minione szczęście.

O świcie wyprowadzono ich na rozstrzelanie i wtedy usnęłam snem kamiennym. Spałam całą dobę.

Następną dobę zaliczam do najcięższych, ze spędzonych w więzieniu. Byłam pozostawiona swoim myślom (raz tylko widziałam twarz ludzką), to jest wartownika, który mi wsunął przez okienko talerz cuchnącej zupy).

Na trzeci dzień rano wyprowadzono mię z celi, przeszłam znów kilka sal i korytarzy i znalazłam się w niedużym pokoju, w którym było już zgromadzonych ze dwanaście kobiet. Byłam tak oślepiona przejściem z ciemnej celi do jasnego pokoju, że dopiero po chwili ujrzałam moją matkę. Po pierwszem radosnem uniesieniu, dowiedziałam się, że matka spędziła czas rozłąki ze mną w ogólnej sali więziennej, gdzie było nawet wesoło, bo śpiewał ciągle chór cygański z jakiegoś kabaretu, aresztowany niewiadomo za co.

Towarzyszki nasze stanowiły element bardzo różnorodny. Przedewszystkiem zainteresowała mnie bardzo piękna brunetka, siedząca bez ruchu i słowa, jak posąg boleści. Dowiedziałam się, że jest to pani Czeheidze, dawniej sławna śpiewaczka estradowa, a obecnie żona bratanka byłego ministra. Pozatem były tam: żona i córka rozstrzelanego carskiego generała, żona komisarza bolszewickiego, który popełnił defraudację i był wraz z żoną aresztowany, bogata handlarka morfiny i wiele innych. Wszystkie te kobiety zachowywały się spokojnie; rozpaczały głośno tylko dwie: żona komisarza, którą rozłączono z dzieckiem przy piersi i biedna wyrobnica, która krzyczała głośno, że nie przeżyje takiej hańby. Właściwie miała ona najmniej powodów do rozpaczy, gdyż przestępstwo jej było takie: kupiła w sklepie śledzia, którego jej (w braku papieru) nie owinięto, nie namyślając się wiele, zerwała na pierwszym rogu odezwę bolszewicką, owinęła nią śledzia i... znalazła się w czerezwyczajce.

Następnego dnia wezwano mnie na badanie. Pan Bortnowski przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie, prosił, żebym usiadła i wdał się ze mną w prawie przyjacielską pogadankę, podczas której starał się dowiedzieć, gdzie są i co robią moi znajomi (Czuma, Benedykt, Sikorski i inni), pokazywał pozatem fotografje każdego z nich. Pamiętając słowa ojca: „Do niczego się nie przyznawaj!" odpowiedziałam z dość pewną miną, że nie znam tych panów. Widząc, że nic nie wskóra, pan B. zaczął mnie „nawracać". Musiałam wysłuchać hymnów pochwalnych na cześć bolszewizmu, jego potęgi i wszechwładzy. W rzeczywistości przekonałam się, że bolszewicy mieli wywiad wspaniały, od momentu, gdy zaczął mi przytaczać nietylko fakty z mego życia i pracy w Moskwie, ale nawet szczegóły o rodzinie, która została w kraju i o bracie moim, (ś. p. Wacławie Denhoff-Czarnockim, oficerze I Brygady Legjonów), którego nie widziałam od 1914 roku. „My wszystko wiemy, więc proszę się nie opierać" zakończył i dał znak, żeby mnie wyprowadzono.

Przez kilka następnych dni nie zaszło nic ciekawego, uwolniono tylko robotnicę, więzioną za zerwanie odezwy.

Siódmego dnia wszystkie nasze towarzyszki przewieziono do więzienia na Butyrki — zostałyśmy same.

Matka, korzystając z tego, iż nasz wartownik okazywał nam życzliwość, zapytała go wręcz, co on o tem sądzi. Odpowiedział, iż to oznacza, albo zwolnienie, albo rozstrzelanie — w każdym razie rychły koniec więzienia.

Po takich słowach pociechy wdał się z nami w przyjacielską pogawędkę i ofiarował się nawet zanieść list do ojca. Zaznaczyć muszę, że wśród naszych wartowników, którzy rekrutowali się z różnych narodowości, najżyczliwiej odnosili się do uwięzionych Rosjanie, a najmniej ludzko — Polacy i Łotysze.

Tego samego dnia jeszcze cela nasza zaludniła się na nowo. Przywieziono z jakiegoś miasta (zdaje się z Tuły) dziesięć panienek od 15 do 17 lat. Były obwinione o należenie do jakiegoś związku młodzieży, który bolszewicy uznali za kontrrewolucyjny. Dziewczęta te wniosły wiele życia i wesołości, były tak beztroskie i nie przeczuwające niebezpieczeństwa, że na noc smarowały twarze („żeby nie stracić cery", jak mi oznajmiły) i zakręcały na głowie papiloty; przywiozły z sobą ogromne zapasy żywności i urządzały ciągle uczty, na które bardzo serdecznie nas zapraszały.

Dziewiątego dnia — znów badanie. Pan Bortnowski przyjął mnie z miną bardzo chmurną i ze słowami wymówki: „Jak ja się na was zawiodłem, tak wierzyłem, że mówicie prawdę, takie miałem względem was dobre zamiary, a teraz nic już dla was nie mogę zrobić, źle z wami będzie....".

Okazało się, że jeden ze znajomych (o którego pytał się Bortnowski), oficer legjonowy, (obecny ppłk.) Sikorski, uwięziony prawie jednocześnie ze mną, przyznał się, że bywał u nas często. Jak się potem dowiedziałam, miał on inny, może lepszy system obrony, polegający na przyznawaniu się do rzeczy, które go nie kompromitowały. Nie wiedząc nic o mojem aresztowaniu, uznał znajomość ze mną za niekompromitującą i przyznał się do niej.

Nic mi nie pozostało, jak odpowiedzieć panu Bortnowskiemu stanowczo, że może ten pan mnie zna, ale ja go nie znam. Na to otrzymałam odpowiedź: „Jak wiele musiało u was bywać ludzi, że nawet ich wszystkich nie znacie z twarzy i nazwisk".

Wróciłam do celi bardzo przygnębiona i matka poznała natychmiast, że stało się coś niedobrego.

Na drugi dzień po badaniu (10-go pobytu w więzieniu) weszło kilku dygnitarzy do celi, sprawdzili nasze nazwiska i kazali nas fotografować. Po fotografowaniu dali znak i wyprowadzono nas. Byłyśmy tak pewne śmierci, że kiedy zatrzymano nas przed jakimś wielkim

Въ Комиссію.

Копія

ПРОТОКОЛЪ.

На основаніи ордера Всероссійской Чрезвычайной Комиссіи по борьбѣ съ контръ-революціей и спекуляціей за №4750 отъ „4" Августа 1918 г. произведенъ обыскъ въ кв. №5 по М. Головинъ пер. д.№5 у грамд. Чарнокской

При обыскѣ присутствовали: Председатель Дом. Ком. Каботь.
Комиссіонеръ 2-го Сектора. Зайцевъ

Согласно данныхъ указаніямъ задержаны: гражд. Софія Францевна и Франца. Владиміровна Черноуких

Взято для доставленія во Всерос. Чрезв. Комиссію слѣдующее (подробная опись всего конфискуемаго или реквизируемаго) разная переписка и Документы. 9 фунт. гал. денег. Серебрянъ двадцать два руб. (22 р.)

Обыскъ производилъ: Комиссаръ Комиссіи [illegible]

При обыскѣ заявлена жалоба отъ —

1) на неправильности, допущенныя при обыскѣ и заключающіяся по мнѣнію жалобщика въ —

2) на исчезновеніе предметовъ, не занесенныхъ въ протоколъ, а именно —

stołem i usłyszałyśmy głos, oznajmiający nam że... jesteśmy wolne — matka o mało nie zemdlała, a mnie zakręciło się w głowie.

Podpisałyśmy pośpiesznie deklarację, że w przeciągu 10 dni opuścimy granice Rosji i chwiejąc się na nogach, opuściłyśmy lokal czerezwyczajki.

Przed gmachem stała dorożka, która dowiozła nas do domu, gdzie czekał ojciec blady i postarzały o lat, conajmniej, 10 (te dziesięć dni kosztowały go wiele).

W domu dowiedzieliśmy się, że dzięki znajomościom udało się ojcu przekupić wpływowych „ideowców" z czerezwyczajki. Kilkanaście tysięcy rubli carskich wywołały taki sam efekt, jak za najlepszych imperjalistycznych czasów.

System utrzymał się, tylko zmieniły się ręce, biorące „łapówki". Ideowi komuniści byli pojętnymi następcami starego „regimu".

Nie wyobrażam sobie, żeby jeszcze kiedy w życiu sprawiło mi coś taką rozkosz, jak pierwsza kąpiel po uwolnieniu.

Po dziesięciu dniach byliśmy już wszyscy troje w granicach Polski, zrujnowani materjalnie, ale szczęśliwi z tego wprost cudownego ocalenia.

Dziś całe to więzienie zdaje mi się być, jakby ciężkim snem, tem przykrzejszym, że na pierwszy plan wysuwa mi się zawsze postać Bortnowskiego, Polaka, tak strasznie spodlonego w służbie naszych wrogów.

Tadeusz Teslar

POWIJAKI P. O. W. W MOSKWIE.

Właśnie upadał carat.

W koncentracyjnym obozie jeńców „Korzuchowo" pod Moskwą siedzi nas gromada legjonistów. Pamiętam chor. Kazimierza Niecia (z III. bataljonu 2 p. Leg. Pol.), chor. ś. p. Tarsińskiego i chor. Józefa Radoniewicza (obaj z IV. bataljonu 2 p. Leg. Pol.) i ja — z II. bataljonu.

Spotykamy tu „cywila", naszego starego towarzysza niewoli z rozmaitych obozów — dr. Stanisława Jurkiewicza (obecny minister pracy i opieki społecznej).

Wszyscy, jako jeńcy „austrjaccy" przeznaczeni jesteśmy do wymiany... do Austrji, jako chorzy. W perspektywie przed nami — internowanie lub front włoski. Za nic na świecie — decydujemy — nie dopuścimy do tej — wymiany.

W dzień odjazdu do „Vaterlandu" (przez Szwecję) postanawiamy uciekać — do Rosji na wolną stopę. Decyzja zapadła niemal w jednej sekundzie. Wołają właśnie na zbiórkę do odjazdu. Pędzimy co sił starczy do kancelarji obozu, by podjąć jeszcze zaległą naszą „gażę", bo w Moskwie bez rubla przy duszy trudnoby nam było zaczynać. Doktór Jurkiewicz ofiarowuje się ułatwić ucieczkę, ą poczciwy legun niejaki Pacuła (z 2 p. Leg. Pol.) przenosi tymczasem nasze manatki do izby przyjęć obozowego szpitaliku.

Oficerowie austrjaccy, zdumieni tym niezwyczajnym ruchem legjonistów, ruszają ramionami. — Czesi coś węszą niedobrego. Nasz kochany „cywil" pilnuje porządku i „robi nastrój" spokojniejszy. Wpadamy zziajani (Nieć, Tarsiński i ja) do szpitaliku obozowego, gdzie lekarzem był jeniec — Polak — dr. Lachowicz. Szczęściło się. Felczer rosyjski, feldfebel, właśnie był wyszedł na drugi koniec obozu po „kipiatok". Czasu było pięć minut. Doktór Jurkiewicz otwiera nam okna. Jedyna dziura z obozu przez którą można było wydostać

się na wolność wychodziła bezpośrednio na linję kolejową moskiewskiej drogi obwodowej. Można było wprost z okna skoczyć między wagony i ukryć się. Siedzimy z tobołkami na krawędzi okna. Nogi mamy już spuszczone. Połowa wolności zdobyta. Wtem wysuwa się niespodziewanie maszerująca kompanja rosyjska, zmierzająca ku nam. Rzucamy spakowane rzeczy do pokoju zpowrotem. Pogwizdując, udajemy spokój, i z ożywieniem trudnem w takiej pozycji i w takiej chwili, rozmawiamy z naszym serdecznym cerberem dr. Jurkiewiczem — niby to nie zwracając uwagi na przechodzących. Dusza na ramieniu. Jeżeli żołnierze zwrócą uwagę na naszą bądź co bądź dziwną pozycję — jesteśmy zgubieni. Jeżeli znowu nadejdzie szyldwach, który dopiero co minął okno i ujrzy nas — podwójnie zgubieni. Jeżeli zaś wróci feldwebel napewno już zbliżający się do szpitaliku ze swoim czajem — potrójnie zgubieni, a z nami i doktór Stach.

Skoncentrowała się w nas cała zdolność rachunkowa, jaką zdołaliśmy dotąd w życiu nagromadzić — i liczymy — czy pierwej minie przed oknami o trzy metry maszerująca kompanja żołnierzy czy prędzej odwróci się spacerujący wzdłuż parkanu szyldwach, czy rychlej przydybie nas feldfebel. Już, już żałujemy naszego szalonego planu.

Szyldwach ma jeszcze kilka kroków na swej wydeptanej ścieżce— jeszcze kilka czwórek kompanji ma nas minąć i kilkanaście kroków wracający felczer z herbatą.

Ostatnia rota mija. Doktór Jurkiewicz ściska nam gwałtownie ręce — poprostu wypycha za okno. Skok. Słyszymy — „do widzenia — zobaczymy się w Moskwie". Trzask zamykanego okna. Jesteśmy już w jakimś wagonie towarowym. Patrzymy przez szparkę odsuniętych drzwi wagonowych. Sylwetka „cywila" znika za szybami i w tej chwili zjawia się w izbie szpitalnej feldfebel z czajnikiem. Wartownik miarowym krokiem powraca spokojnie w naszą stronę.

Szybko przesuwamy się między torami, biegniemy przez zawaloną śniegiem polanę — do szosy. Tam właśnie ruszał z pod rogatek moskiewskich tramwaj. Jedziemy już do... miasta, gdzie czekała na nas „panna Elżbieta", znana postać wśród polonji moskiewskiej, opiekunka jeńców, więźniów politycznych, p. Elżbieta Hulanicka. Mamy jej adres.

— — — — — — — — — — — — — —

Po pewnym czasie byłem już sekretarzem Wydziału Pomocy Jeńcom Wojennym Polakom przy Komitecie Polskim w Moskwie (ul. Miljutińska 15), gromadząc przy sobie przedewszystkiem żywioł legjonistów - jeńców. A był to moment gorący organizacji „wojsko-

wych polaków". Organizowali wszyscy — każdy na swoją rękę. Wytężyliśmy słuch na wszystkie strony, by jako ludzie „nowi" zorjentować się kto z Komendantem a kto przeciw Niemu.

Zdecydowaliśmy nie wchodzić w swary emigracji, lecz łączyć się — koncentrować siły w Moskwie i okolicy. Nie było czasu na czysto wojskową peowiacką robotę; nie było zresztą możliwości i środków po temu. Wielce czynna p. Elżbieta, nie zastąpiona jałmużnica, szukała protektorów zasobnych. Mało kto jej mógł odmówić. Zawsze jednak pieniędzy nie starczało, bo jeńców przybywało z każdym dniem coraz więcej, a był to ludek żerny, wynędzniały niewolą.

Z krajem narazie nie mieliśmy żadnej łączności. Z Piotrogrodem dość luźną. Wiedziałem tylko, że w ważnych momentach trzeba było udawać się do obywatela Franciszka Skąpskiego, lub szukać w ostatniej potrzebie przez trzecie osoby — obywatela Prystora. Zawsze w tem wygadzał nam obywatel Jerzy Iwanowski (były minister przemysłu i handlu). Na miejscu mieliśmy gotowego do ofiar i pomocy obywateli: ś. p. Franciszka Anusza i niespożytej energji jego brata obyw. Antoniego. Panna Elżbieta Hulanicka trafiała do Aleksandra Lednickiego, Ludwika Darowskiego, Józefa Everta i innych. Powoli rozglądaliśmy się w sytuacji i w ludziach. Faktycznej organizacji jeszcze nie stanowiliśmy. Nikt nikomu nie rozkazywał. Nikomu nie podlegaliśmy. Z własnej inicjatywy zacząłem rejestrować towarzyszy. A jednak słuchaliśmy głosu z kraju, głosu, który brzmiał niewzruszenie, idącego od imienia Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Sytuacja polityczna pogmatwana w kraju dezorjentowała nas ogromnie. Szliśmy tylko za tajemną jasnością Komendanta — po omacku.

Aby mieć siły trzeba było sięgnąć masowo po jeńca. Rozporządzając szczupłemi środkami materjalnemi, lecz świetnym za to aparatem Wydziału Pomocy Jeńcom Wojennym, wiedzieliśmy gdzie są legjoniści - jeńcy i jacy — dlatego trafialiśmy do nich celnie.

Bez rozkazu zgóry, postanowiłem działać na własną rękę. Mając oryginalne dokumenty osobiste, jako rzekomy były więzień polityczny z Aleksandrowskiej katorżnej turmy działałem pod nazwiskiem Michała Stankiewicza. (Dokumenty te wyrobiłem sobie w komisarjacie rewolucyjnym w Moskwie za przewspaniałą poradą ob. Antoniego Anusza, który mnie wyuczył na pamięć co i jak należy mówić i robić, by te papiery wydostać). Zdobyłem więc odrazu „rewolucyjną" patynę a przedewszystkiem swobodę działania i kredyt moralny wśród władz komisarjackich. Korzystając z prawa wolnej jazdy kolejami ruszyłem szukać ludzi.

Zanim to nastąpiło przeszedłem szkołę wyrabiania paszportów „na lewo". Kunsztu tego nauczył mnie obywatel Wojtasiński, bez-

granicznie oddany i cichy pracownik. W pokoiku przy ulicy Mała Bronnaja (numeru domu niepamiętam) oddanym nam przez p. E. Hulanicką założyłem „pralnię" paszportową. Dobrzy ludzie, a takich było wielu, dostarczali starych i nowych paszportów. Zresztą blankiety i pieczęcie Komitetu Polskiego były w mem posiadaniu. Komitet dostarczał nam wszelkich druków, patrząc na to przez palce. Podpisy kierowników Komitetu nie były zresztą trudne do naśladownictwa. Zarząd Komitetu raczej udawał, że o niczem nie wie, zwrócono mi tylko uwagę, by robota była „czysta". Chodziło głównie o to, by nie było „wsypy" i nie skompromitowano instytucji jako takiej, która miała wszakże olbrzymie zadanie do wykonania na polu ochrony życia, mienia polskich obywateli (uchodźców, jeńców cywilnych i wojskowych) i wyłamania drzwi powrotnych do kraju dla całego uchodźctwa polskiego.

Do wspomnianych już opiekunów czy protektorów nie mogę nie dodać nazwisk takich obywateli jak: mecenas Stanisław Zieliński (mój bezpośredni i zawsze nieustraszony szef), profesor Świętosławski z żoną (obecny rektor Politechniki Warszawskiej), p. Sierpińska, p. Kazimiera Iwanowska, p. Dworzańczykowa, p. Podgórska, p. Karolina Cywińska, (nasza ciocia Karusia u której mieliśmy do dyspozycji zawsze kwaterę konspiracyjną), p. Staszkowa (rezerwowa kwatera legjonistów), p. Struszyński z żoną, p. J. Dziubińska (cicha i gorąca pracownica na polu pomocy jeńcom), p. Juljan Bartoszewicz (z Wydziału obcopoddanych Komitetu Polskiego), dr. Landau i inni. Dom państwa Czarnockich w Moskwie (rodzice poety legjonowego Denhoff - Czarnockiego) odegrał później w najgorętszych czasach pokaniowskich rolę bardzo poważną dla polskiej konspiracji wojskowej. Nie sposób dziś, po dziesięciu latach podawać z pamięci imiona wszystkich tych zasłużonych obywateli. Jeżeli więc pominąłem tu ich nazwiska, niechaj wybaczą i trwają nadal w tej pewności, że serce każdego z nas legjonisty czy peowiaka, którzyśmy korzystali z ofiarności i poświęcenia naszych opiekunów, — zawsze o nich z wdzięcznością wspomina.

Oddzielnie, w kilku choćby słowach, wspomnę o Kijowie. Tam działało P. O. W. już zorganizowane. Obywatel Jota (ś. p. Józef Bromirski) był dla nas ostoją fundamentalną. Później zjawił się tam obywatel Świtek - Bogusław Miedziński i obywatel Tadeusz Schätzel. Prócz obyw. Joty pp. Kobylańscy ofiarowali nam do rozporządzenia całe swoje mieszkanie przy ul. W. Wasilkowskiej 45 (jak to mówią wraz z wiktem i opierunkiem). Bywały nieraz chwile, gdy wszystkie pokoje pp. Kobylańskich przedstawiały widok domu noclegowego, gdzie leżeli pokotem uciekinierzy, jeńcy - legjoniści. Panna Aniela,

córka pp. Kobylańskich, sekundowała dzielnie swym braciom Józefowi (obecnie major W. P.) i ś. p. rotmistrzowi Władysławowi, którzy nie ustępując swym czcigodnym rodzicom prześcigali się w pomocy dla zawziętej panny Elżbiety, opiekunki legjonistów. Gdy niestarczało miejsca w Kijowie dla naszych „obdartusów", znajdowali oni lokum w podmiejskiej willi pp. Kobylańskich, w Światoszynie. Wszystko to jednak było za mało. Ludzie jakby z pod ziemi wyrastali i każdym trzeba było się zająć.

Okoliczne dwory na Ukrainie otwarły swe gościnne wrota i tak dom pp. Kazimierzostwa Hulanickich pod Bogusławiem w Kidanówce stał się „cytadelą" legjonową. Później gdy zrewoltowani ukraińscy chłopi dwór ten spalili przenieśli się pp. K. Hulaniccy do Bogusławia wraz z „inwentarzem" legjonowym. Właśnie tam po rozbrojeniu II korpusu wschodniego po Kaniowie sprowadziłem gen. Hallera i najbliższych mu oficerów. Stamtąd wychodziły rozkazy organizacyjne aż do okresu wyjazdu gen. „Mazowieckiego" do Ćwietkowa (do pp. Dorożyńskich, szwagrostwa obecnego pułkownika Bolesława Sikorskiego), a później do Kijowa, Moskwy i dalej przez Murmań do Paryża. Właśnie organizacja peowiacka na terenie Moskwy i jej niezależne od P. O. W. kijowskiego sieci na Ukrainie dały dla tego ruchu możliwe podstawy utrzymania się na nieznanym gruncie. Ale o tem wspomnimy później.

Mając więc zabezpieczone potrzeby co do dokumentów osobistych, częściowo nagromadzone lub przyobiecane ubrania cywilne, a co najważniejsze „kwatery" konspiracyjne — ruszyliśmy po ludzi siedzących w licznych obozach koncentracyjnych, lub zbiegłych już i snujących się bezdomnie po wielkich miastach Rosji.

Legjoniści - jeńcy, tonąc wśród szarych mas austrjackich oficerów i żołnierzy tkwili, jako niezorganizowani, w początkach swej wędrówki odyseuszowskiej, w niemem osamotnieniu, mimo tak licznych kolonij polskich w Rosji. Strach przed carskim żandarmem nie rzadko odpędzał miłość i pomocną dłoń emigracji polskiej od jeńca legjonisty. Agitacja polityczna wroga Legjonom czyniła swoje. Ukradkiem zaledwie pozdrawiał ich daleki sympatyk. Pierwszą właśnie która przełamywała te lody, była panna Elżbieta Hulanicka.

Niewola dla jeńca - legjonisty była palącą raną na jego honorze żołnierskim. Nic to, że przeważnie byli to ranni żołnierze i oficerowie, zawsze jednak kiełkowała w nich myśl o powrocie do swego Komendanta i swoich towarzyszy broni.

Nic też dziwnego, że największy procent ucieczek z niewoli zapisano na korzyść żywiołu legjonowego. Do czasu walki czynnej Legjonów Polskich, jeńcy przedzierali się przez druty i okopy nieprzy-

jacielskie, snuli się po Szwecji i Persji, by choć taką drogą przedostać się do kraju. Ja sam i moi najbliżsi towarzysze moskiewscy mając wyraźne cele pracy, zrezygnowaliśmy z ciężkiem sercem z powrotu. Z chwilą jednak internowania żołnierza polskiego w Szczypiornie i Benjaminowie dało się zauważyć szybkie i z każdym dniem wzrastające zgromadzenie się jeńców legjonistów w Kijowie, Moskwie i Piotrogrodzie.

Czasy zamętu rewolucji rosyjskiej sprzyjały wielce tej akcji. Do tworzących się jednostek wojskowych polskich, wyeliminowanych z demobilizującej się armji rosyjskiej wsiąknęła pewna ilość uciekinierów jeńców legjonistów. Zaznaczyć jednak wypada, że ruch w tym kierunku nie był początkowo masowy ze względu na polityczny charakter tworzenia wojska polskiego w Rosji. Legjoniści pod fałszowanymi nazwiskami, za nielegalnemi papierami chętniej imali się pracy społeczno - politycznej z perspektywą na wykorzystanie jej w kierunku wojskowym, zajmując placówki w komitetach i komisarjatach polskich (rewolucyjnych), kładąc silny nacisk na wewnętrzną własną organizację wojskową, aby wyzyskać ewentualne i oczekiwane momenty buntu wojskowego pułków legjonowych w kraju i być w pogotowiu do dalszej zorganizowanej pracy.

Polityczne żywioły emigracji polskiej łowiły formalnie naszych ludzi, chcąc wyzyskać warunki w jakich się znajdowali niepewni miejsca i wolności, samoczynnie oswobodzeni z niewoli, legjoniści i ich firmę dla celów swych partyj.

Długo wieści z kraju nie nadchodziły. Praca stawała się coraz to beznadziejniejsza. Wojskowa przygotowawcza akcja powoli jakby kostniała. Szarpanina polityczna przejadała się z powodu swej bezpłodności. Tymczasem zaś do Moskwy nieustannie napływały fale jeńców-Polaków, nie wiedzących czego się trzymać, co myśleć i komu wierzyć.

Sytuacja ta wpłynęła na mnie decydująco. Wystawiłem w teatrze polskim w Moskwie alegoryczny obraz dramatyczny pt. „W niewoli", napisany jeszcze w obozie jeńców, na temat przeżyć duchowych jeńców-legjonistów. Reżyserję sztuki objął literat Zygmunt Kawecki wraz z p. Marją Mirską, artystką i kierowniczką teatru przy Domu Polskim w Moskwie. Odegrana szereg razy sztuka ściągała rzesze żołnierskie i wygnańcze polskie, które wychodziły z teatru pod wrażeniem haseł dość imperatywnych: „Do broni! Czekać rozkazu Komendanta Piłsudskiego!" Przedstawiona na scenie forma organizacji przygotowania się do czynu zbrojnego jeńców-legjonistów działała podniecająco na masy, ale i jednocześnie nie zawsze podobała się „przywód-

com" politycznym (na premjerze część ich opuściła ze strachu salę) i prasie.

Na krytykę odpowiedziałem (nie liczyłem się wówczas z t. zw. przyzwoitością) listem do redakcji jednego z dzienników polskich w Moskwie, oczywiście słowa moje znalazły się w koszu. Natomiast w gronie Piłsudczyków panowało inne przekonanie. Na jednem z zebrań naszych odczytano w szerokim gronie oficerów i żołnierzy legjonowych moją odpowiedź krytykom i politykom moskiewskim. Dziś gdy przeglądam te stare szpargały, jakie zdołałem z Moskwy częściowo do kraju przywieźć, widzę, że istotnie nie były to osobiste sprawy, raczej charakteryzowały one z bardzo ciekawej i dziś mało komu znanej strony — nastroje wówczas panujące wśród przygotowujących się do czynnej pracy peowiaków moskiewskich. Dlatego nie waham się przytoczyć obecnie mej odpowiedzi.

„Rzuciłem snop męki jeńca zdrętwiałego mózgu od niewoli, a rozżarzonego wieścią z kraju.

Rzuciłem myśl surową nie dla sztuki, lecz dla serca zabłąkanego słuchacza.

Myśli były aktualne w epoce twórczej 5-go listopada 1916 roku. Dzisiaj są one czem innem. Widzę, że mówią dzisiaj inaczej, niż rok temu, gdy czułem i pisałem.

Dzisiaj słowa te spieszą do szarych serc jeńca-wygnańca i żołnierza Polaka. Wołam i krzyczę: „stójcie, słuchajcie i czujcie".

Czy wiecie i rozumiecie, czego chcę od was? Czego dzisiaj przerażam was moją bladą twarzą? Nie ze sztuką do was idę, nie znam sztuki — jestem jej nieukiem — lecz cierpię i widzę Jutra Dzień.

Chcę rzucić wam w oczy łachman legjonisty-jeńca, szargany i opuszczony przez wszystkich.

Sprzysiężenie między nami legjonistami popchnie lud do czynu.

Darmo z miarką i łokciem chodzisz wokoło krytyka. Nigdzie nie zmierzysz krzyku, ani nie wepchniesz w gotową, tandetną, ale oryginalną formę — myśli żołnierza, co nim być musi aż do końca walki polskiej.

Aktorze i ty nie będziesz męczył swej duszy, gdy sam się staniesz żołnierzem — wtedy sprzysiężony duchem pójdziesz w lud z deski teatralnej, sztywnej, ordynarnie krzykliwie wymalowanej.

Słuchaczu. Nie wychodź z teatru, lub nie przychodź wcale. Czemu się lękasz walki i przysięgi. Majestatycznie podnosisz swoje członki i uchodzisz z niebezpiecznej wrzawy i krzyku duszy znękanej, lecz zdolnej do piekielnych czynów Tytana.

Jeśli wy zrozumiecie duszę naszą — legjonową — wy nas tutaj spostrzeżecie między sobą — przyjdziecie do nas. O tak — ja w to wierzę.

Słuchajcie — głodnych Piłsudczyków gromada smyka się z kąta w kąt — nie krzyczy chleba — lecz żąda pracy obywatelskiej od was.

Słyszycie — jacy oni są — nędzarze głodni, bez dachu i — nie proszą.

Przyszliśmy do pracy, w lud chcemy iść — do żołnierza, co się szamoce z polską myślą i błądzi.

Na scenie jeńcy legioniści rozbudzeni rozkazem i wieścią z kraju — wiążą się i przysięgają miłość, braterstwo i wiarę w walkę nieugiętą.

Na bruku moskiewskim sprzysiężeni legioniści Piłsudczycy chcą pracy, czekają na nią — chcą walki i broni — i znajdą ją.

Poszli po rozkaz do Buntu polskiego i przyniosą głos i wieści.

Rzucimy wici na wasze domy, już nie ze sceny, lecz z pola krwawej walki.

Teraz krytyku mierz i osądzaj, potrząsaj głową i ucz nas czuć po polsku. Aktorze graj i rób sztukę ze szczerych myśli prawdy.

Widzu, słuchaczu i czytelniku śpij lub myśl o śnie spokojnym lub bojaźliwie czekaj przeznaczenia.

Czyn za ciebie podejmą drugie ręce.

Tadeusz Teslar".

(Charakterystycznem jest, że sztuka i list podpisana była moim nazwiskiem, a nie pseudonimem).

Stojąc na czele grupy Piłsudczyków, wyraźnie i jasno przeciwstawiałem się wciąganiu w zawrotny wir walk partyjnych — luźnych jednostek legjonowych, dążąc już do zorganizowania wyraźniejszej placówki bojowej. Znajdowałem tu poparcie i zrozumienie wśród całej grupy zebranych jeńców legjonistów w Moskwie. Podjąłem więc w tym czasie obowiązkową rejestrację członków tworzącego się zrzeszenia Piłsudczyków.

Pierwszym zalążkiem Związku Piłsudczyków byli wówczas w Moskwie obecni: chor. Stanisław Thun, por. Maciej Bardel, chor. Kazimierz Nieć i ja. Jedyną posiadaną w kraju fotografję tego Komitetu załączam poniżej.

Naszym niejako placem zbornym był lokal Wydziału Jeńców Wojennych przy ul. Milutińskiej 15. Z każdym dniem stawało się tam rojniej, brać przybywała ze wszystkich stron. Było więc coraz niebezpieczniej. Wyłaniała się konieczność rozsyłania ludzi co rychlej i rozmieszczania ich grupami w innych miejscach. Trzeba było wyposażać jeńców w dokumenty osobiste, oczywiście zawsze fałszywe, dostarczać większej ilości ubrań cywilnych, pieniędzy i co najważniejsze, utrzymywać wszystkich w karnej organizacji, którąby w odpowiednim momencie mogła swych ludzi użyć.

Jednocześnie nie mogłem przeoczać faktu, że Wydział Pomocy Jeńcom Wojennym w Moskwie nie był instytucją pracującą wyłącznie dla jeńców - legjonistów oraz, że bliski nam ideowo żywioł polski w kadrach jeńców austrjackich — także wymagał naściślejszego zbliżenia z Piłsudczykami. Wyjście znalazłem bardzo proste. Sekretarjat Wydziału powierzono porucznikowi (jeńcowi austrjackiemu — Bolesławowi Kańskiemu). Po wysłaniu go do Kijowa funkcję tę objął obywatel Jan Leszczyński (z Kijowa). Ja zaś w niewyraźnym służbowym charakterze prowadziłem autonomicznie robotę właściwą.

Wspomnieć wypada, że mając duże „doświadczenie" i szerokie stosunki w obozach jeńców, i wiedząc gdzie znajdują się odpowiedni ludzie podjąłem na własną rękę i z własnej inicjatywy wespół z panną Elżbietą Hulanicką eskapady do obozów rozrzuconych po całej Rosji, skąd wyrywaliśmy upatrzonych a potrzebnych nam ludzi. Tak wydobyto indywidualnie brygadjera pułk. Henryka Minkiewicza (obecny dowódca K. O. P.) z obozu stepowego za Wołgą (Nikołajewska) wraz z porucznikiem Maciejem Bardlem i ś. p. chorążym Ta-

Pierwszy Komitet „Związku Piłsudczyków" w Moskwie
(od lewej stoją: ob. Tadeusz Teslar, chor. Stanisław Thum, por. Maciej Bardel i chor. Kazimierz Nieć

deuszem Steckim. Z Kineszmy nad Wołgą—chorążego Jana Pindelę—Emisarskiego, z Kostromy porucznika Bolesława Kańskiego, por. prof. Władysława Rembacza, por. Hałaszyńskiego i wielu innych. Nie pamiętam skąd przywiozłem Młota - Fijałkowskiego (obecny pułkownik). Z obozu bołchowskiego z guberniji orłowskiej—trzech oficerów legjonowych, których nazwisk nie pamiętam. Dzisiaj pamięć mnie już zawodzi. Dość na tem, że w lokalu Wydziału Jeńców znalazło się kilkudziesięciu towarzyszy broni, wśród których pamiętam por. Stefana Benedykta, chor. Stanisława Thuna, por. Marjana Turkowskiego, por. Zoernera, chor. Józefa Szeląga, por. Sylwestra Strzel-

czyka-Wysockiego, por. Adama Sikorskiego, obyw. Jana Płotnickiego, sierż. Sępa - Szarzyńskiego, chor. Antoniego Kwintę i innych.

„Porywanie" jeńców z obozów było niejednokrotnie połączone z ryzykiem i niebezpieczeństwem, przed którem Elżbieta Hulanicka nigdy nie wahała się. Nie mniej ryzykowali i sami uciekinierzy. Pamiętam, że w Saratowie po ucieczce płk. Minkiewicza odbito nam chorążego Tadeusza Steckiego, którego po niemiłosiernym skatowaniu wtrącono do więzienia. Po czterech jednak miesiącach zdołaliśmy go wyrwać ponownie.

Z nagromadzonych w Moskwie jeńców, jednych odsyłałem do roboty na Ukrainę do Kijowa, innych do Piotrogrodu. Specjalne grupy odkomenderowywaliśmy do korpusu Dowbora - Muśnickiego, a później do korpusu gen. Hallera. Podkreślę tu, że w trzeciej dywizji I korpusu, stojącej w Jelni, bardzo energicznie pracował por. Strzelczyk-Wysocki, który zorganizował tam z ramienia naszego Związku Piłsudczyków a później P. O. W. moskiewskiego naszą ekspozyturę.

Por. Strzelczyk - Wysocki odbierał w dywizji naszych ludzi przewoził dokumenty, prowadził tam zakonspirowaną agitację na rzecz ideologji legjonowej. Wielkiem ułatwieniem były dokumenty kolejowe dostarczane przez ekspozyturę z Jelni do Moskwy, oczywiście do czasu walk z bolszewikami.

Nadszedł wreszcie moment konieczny ustalenia organizacji Piłsudczyków w Moskwie.

Przykre zajście w pierwszym polskim rewolucyjnym białogrodzkim pułku t. j. zamordowanie komendanta tegoż pułku, porucznika Jackiewicza przez ekspedycję karną wysłaną z Charkowa do Białogrodu (komisarz Antonow) w celu ukarania pułku za odmówienie bolszewikom posłuszeństwa — wywołało w gronie nielegalnie przebywających jeńców -- legjonistów w Moskwie żywy protest przeciwko pogwałceniu wolności narodowej polskiej. Protest ogłoszony drukiem rozrzucono w ulotnych kartach wśród żołnierzy pułku białogrodzkiego, wówczas już zbolszewiczałego i po prowincji centralnej Rosji. Prasa emigracyjna, nad podziw lojalna w tym wypadku, protest ów podpisany przez szesnastu oficerów i jeńców - legjonistów przedrukowała. Cel został w zupełności osiągnięty. Pierwszy jawny protest skierowany przeciw bolszewikom za ich gwałt na wolności wojska polskiego padł z ust legjonisty. Dalej — reszta jeńców legjonistrów, która pozostawała jeszcze w obozach koncentracyjnych, dowiedziała się o istnieniu naszej organizacji. Od tego dnia ucieczki z obozów zwiększyły się niepomiernie. Dla ścisłości historycznej i scharakteryzowania pewnego dążenia do współpracy z naszą or-

ganizacją innych grup politycznych dodam, że wspomnianą odezwę wydrukował mi Narodowy Związek Robotniczy bezpłatnie, za pośrednictwem p. Erazma Samborskiego.

Sytuacja polityczna wyjaśniała się. Z kraju jednak wiadomości nie mieliśmy żadnych lub zgoła fantastyczne i przekręcone. Bolszewicy zabierają duszę polską, kupując masy swemi obietnicami i zawrotnemi hasłami. Budzą nienawiść pośród społeczeństwa i rozjątrzają walkę klasową wśród Polaków. Niepodległościowe dążenia zrównano bezkrytycznie i agitacyjnie z rzekomą zachłannością „burżuazji polskiej". Kto nie stawał pod sztandarem bolszewików, tego jako burżuja wydawano na stracenie. Na wzrastające polskie siły zbrojne w Rosji właściwie zapadł już wyrok: rozbrojenie, wymordowanie. Wprawdzie jeszcze tego wyraźnie nie powiedziano lecz myśl taka kiełkowała niezawodnie w wielu sztabach bolszewickich.

Jako znamienny przyczynek historyczny, dotychczas prawie nieznany przytoczę tu dzieje pewnej niedoszłej wyprawy samolotem z Moskwy do głównego sztabu wojsk czerwonych — do Krylenki. Związek Piłsudczyków specjalnie starał się przedstawić w oczach bolszewickich, jaknajbardziej „rewolucyjnie" — narodowo, by pod tym pozorem utrzymać z najbliżej leżącą 3. dywizją I korpusu najsilniejszą łączność i przynajmniej ją wyeliminować z pod obucha nienawiści bolszewickiej. 3-ą dywizję obraliśmy dlatego za cel naszych wpływów, gdyż działała już tam dobrze wgryziona ekspozytura Związku Piłsudczyków, oraz ciągle mieliśmy na uwadze „możliwości ukraińskie"., że nie pomyliliśmy się w naszych rachubach — stwierdziły późniejsze wypadki, jak np. przejście II Brygady Legjonów na Ukrainę.

Bez zgody Krylenki o „rewolucjonizowaniu" dywizji nawet marzyć nie było można. Wykorzystując swe papiery „rewolucyjne" zwróciłem się do Murałowa, ówczesnego gubernatora Moskwy z prośbą o zapośredniczenie między Krylenką a przedstawicielem wojskowej „rewolucji polskiej". Komendant ekspozytury związku Piłsudczyków w 3. dywizji, por. Sylwester Strzelczyk - Wysocki otrzymał rozkaz przeprowadzenia w tej mierze starań. Murałow niezawodnie wiedział a zamiarach Krylenki oraz o już rozpoczętych walkach z Korpusem Dowbora. Udawał jednak, że podziela z nami możliwość przeciągnięcia 3-ej „burżujskiej' dywizji na drogę „rewolucji". Wydał więc por. Strzelczyk-Wysockiemu dokument do głównego dowództwa i obiecał dać samolot do podróży gwałtownie spiesznej. Wszakże w ostatniej chwili na lotnisku odmówiono samolotu.

Charakterystyczne na ów moment jest, że jednocześnie w sprawie likwidacji walko polsko-bolszewickich działała i Narodowa Demokracja w Moskwie. Stanisław Grabski prowadził w tej mierze z kimś rozmowy i nawet miał tym samym samolotem jakoby jechać do Krylenki. Ze względu na wyraźny rozkaz Związku Piłsudczyków, por. Strzelczyk - Wysocki właściwego celu swej podróży p. Grabskiemu nie ujawniał. Nie mogąc dostać samolotu por. Strzelczyk - Wysocki koleją wyjechał do Kijowa. W drodze jednak został aresztowany pod zarzutem należenia do korpusu Dowbora - Muśnickiego i był już nawet postawiony „pod wagony" w celu rozstrzelania. Uratował go tylko posiadany dokument jeńca wojennego.

Tymczasem na korpus wschodni rzucili się już jawnie bolszewicy, a wśród nich rozagitowane nieuświadomione narodowo polskie oddziały komunistyczne. Polała się krew polska w bratobójczym starciu. Jednocześnie zaś prawicowe ugrupowania polskiej emigracji usiłują pchać organizację polskich sił zbrojnych nietyle już do walki o Polskę niepodległą ile dla obrony interesów partyjnych i wiary w swe programy polityczne, nie uważając Rosji za największego wroga. Wskutek tego najniepotrzebniej puszczano wodę na młyn bolszewicki. Sam żołnierz polski, ofiara tych wypadków i machinacyj, znalazł się między młotem i kowadłem.

Gdy nadeszły do Moskwy pierwsze telegraficzne wieści o rozbrajaniu dywizji polskiej na Białorusi przez bolszewików i wstrząsające sumienie narodowe wiadomości o bratobójczej walce spowrokowanej przez bolszewików, Piłsudczycy na tajnym zebraniu uchwalają ogłoszenie odezwy do społeczeństwa polskiego.

Dla zobrazowania nastroju i rozmachu Piłsudczyków moskiewskich odezwę tę przytaczam:

„Ręce od broni nam nie odwykły, choć ślęczymy tu długo w niewoli. Do walki pozew słychać wokoło.

A jednak musimy rzucić krzyk protestu w mrowie widzów obojętnych — w mrowie społeczeństwa emigracji, by raz już odwróciło twarze bezmyślne od tego krwawego widowiska walki z polską siłą zbrojną pchniętą przez prowokację w wir śmiertelnego tańca bezpłodnego.

Dosyć mamy kart historji krwi wojska polskiego! Precz z warcholstwem! Pod pręgierz stawiamy to gniazdo szerzeni polskich, które obrachunki swoje i interesy opłaca krwią swych braci.

Wzywamy wszystkich, rozwleczonych po całej Rosji wojną, obywateli polskich do jednej bratniej gromady. Wzywamy nie do rady sejmikowania, lecz przyłączenia się do wspólnej pracy, do protestu nie papierowego, lecz rzeczywistego, rodzącego czyn — do wysiłku obywatelskiego, do likwidacji walki śmiertelnej, a bez celu.

Nie na to nam polskiego żołnierza potrzeba, aby swą krew tracił przed ostatnią naszą krucjatą, do której nas los i konieczność powołały, aby zdobywać kiedyś absolutną wolność.

Zbudźcie się mówiące, jedzące i śpiące lalki polskie!

Jedna stoi przed nami droga, jeden cel — skupienie sił do przyszłej walki o wolność.

My, legjoniści Piłsudskiego, wyciągamy nasze dłonie po wszystkie serca polskie, po wszystkie polskie ręce — pragniemy powiązać porwane nici miłości obywatelskiej. Żądamy od wszystkich zwrócenia uwagi na nasze wezwanie, bo głos nasz jest uczciwy i prawy, bo czujemy w powietrzu zgubę i śmierć tylu mas sił polskich.

Kto wróg nasz — kto Judasz, niech występuje z naszego koliska. Srebrników i sznura jeszcze nam wystarczy, by rzucić im na drogę wiecznej hańby.

Wzywamy wszystkich Polaków do zgody do współpracy nad budową przedewszystkiem Polski. W obecnej dobie nie czas ani miejsce na partyjne osobiste porachunki.

Protestujemy przeciw wszystkim oddzielnym celom, partyjnym, klasowym, przeciwko wszystkim oddzielnym przekonaniom i ambicjom, jeśli te stoją na pierwszym planie, a nie sprawa Polski.

Żądamy od społeczeństwa wytworzenia jednej wspólnej platformy, na której możnaby było pomieścić gwardję honorową obrony ideałów i interesów polskich, jako państwowych — przyszłych.

Precz z wyrodzonemi organizacjami, zlepkami pewnych tylko grup. Cały naród — całe społeczeństwo, cała emigracja niech mówi, żąda i protestuje jednym głosem.

Czy oniemiały usta tych, co krzyczą, że są Polakami?

Czemu do dziś jeszcze krew się polska leje na Białej Rusi?

Opętani, zaczarowani, jak chochoły, czekamy, co nam kurjer z Bobrujska przyniesie.

Nic, — prócz hańby na nasze głowy za przelaną krew.

Żądamy wspólnego protestu polskiego, a nie kabaretu partyjnego, co afiszuje protest. Żądamy udzielenia wyjaśnienia władzom rosyjskim celu utworzenia naszych sił zbrojnych, a jeśli władze nie starczą — wyjaśnić musimy żołnierzowi rosyjskiemu, że nie my z nim walczymy lecz prowokacja polska, jeżdżąca na proletarjuszowskim lub pseudopatrjotycznym drewnianym koniku.

Żołnierz polski musi być jeden tak dla budowy państwa, jak i dla obrony klas uciśnionych.

Kto obywatelem prawym się czuje, ten przyłoży ręki do porozumienia, do zlikwidowania mordestwa współobywateli.

Kto przeciw głos rzuci, niechaj go historja pod wieczny pręgierz hańby postawi.

(podpisano: Legjoniści Piłsudskiego)"

Moskwa, dnia 18 lutego 1918 roku.

Odezwę rozrzucono w Moskwie, starając się aby doszła ona do rąk „polskich komunistów" oraz specjalnym kurjerem wysłano bibułę do oddziałów rosyjsko - polskich walczących przeciwko korpusowi Dowbora - Muśnickiego.

Ciężkie chmury wisiały nad sprawą polską w Rosji. Zbyt szybko rozwijająca się agitacja bolszewicka wymagała kontrakcji gwałtownej. Zagadnienie wojska polskiego było coraz sprzeczniej przez samą emigrację, odpowiednio do zabarwień politycznych, rozumiane.

Prasa narodowa starała się zająć przodujące miejsce i pociągnąć masy polskie za sobą, wykorzystywano przy tem cały aparat organizacji „rady zjednoczenia międzypartyjnego" oraz Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Moskwie, gdzie bracia Lutosławscy odgrywali pierwsze skrzypce (Ul. Miljutyska 4).
pierwsze skrzypce (Ul. Miljutyńska 4).

Moment zawarcia pokoju Rosji z Niemcami i Austrją. Grupy prawicy narodowej zorganizowały zjazd polski do Moskwy, tworząc jakąś Ligę Pomocy Pogotowia Wojennego. Piłsudczyków pominięto i nie zaproszono. Niemniej jednak Piłsudczycy na tajnem zebraniu postanowili w zjeździe tym wziąć udział bez zaproszenia i tam swoje stanowisko wyraźnie postawić. Na to posunięcie decydująco wpływała ta okoliczność, że spodziewaliśmy się istotnie Polaków ze wszystkich krańców byłego imperjum rosyjskiego. Delegacje te stanowiły przedstawicielstwo mas uchodźców polskich w Rosji, którzy zdezorjentowani politycznie, tęskniąc do Polski, łaknęli każdego słowa o kraju i szukali wyjaśnień jak ustosunkować się do formacyj polskich w Rosji. Zjazd więc miał „decydować" o żołnierzu polskim.

Gdy więc miała być mowa o wojsku, bez udziału w tej radzie samych żołnierzy — temsamem decyzja Piłsudczyków została powzięta. Sytuacja ta postawiła przed nami konieczność wystąpienia jawnego w postaci wyraźnej organizacji. Na zebraniu wszystkich obecnych Piłsudczyków, zwołanem (daty nie pamiętam) w lokalu Wydziału Pomocy Jeńcom — postanowiono utworzyć organizację z oficjalnym brzmieniem „Związku Piłsudczyków—Komitet wykonawczy". W skład Komitetu tego pod mojem kierownictwem i komendą o ile pamiętam, weszli: obyw. Jan Płotnicki (jako zastępca), por. Stefan Benedykt, por. Sylwester Strzelczyk-Wysocki, por. Marjan Turkowski, por. Adam Sikorski, chor. Józef Szeląg i inni. Była to mówiąc inaczej organizacja P. O. W. w Moskwie, która żadnej nominacji od władz peowiackich nie otrzymała, lecz samorzutnie poszła na tą drogę.

Na pierwszym zebraniu Komitetu Wykonawczego Związku Piłsudczyków zatwierdzono program związku, streszczający się w dążeniu do realizacji hasła „walka zbrojna o niepodległą zjednoczoną Polskę ludową", pod duchowym kierownictwem Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Zredagowano wówczas deklarację polityczno-wojskową, którą Związek miał przedstawić na zjeździe owej Ligi Pomocy Pogotowia Wo-

jennego. W dniu zjazdu duża grupa Piłsudczyków ruszyła na wiec. Zajęliśmy w sali obrad, jakiegoś obszernego teatru kinomatograficznego, miejsce na lewo od trybuny i stołu prezydjum zjazdu. Zdaje się, że przewodniczył p. Kulwieć. W prezydjum zasiadali trzej bracia Lutosławscy, Limanowski, Tadeusz Miciński (innych nie pamiętam).

Po kilku przemówieniach „bojowo" nastrojonych „ligowców" nie słysząc ani słowa o Komendancie ani słowa o walkach podjętych przez Legjony Polskie, ani słowa współczucia i uznania dla internowanych szczypiorniaków i benjaminiaków, ani słowa o rzeszy legjonistów jeńcach w Rosji — zarządałem od prezydjum głosu. Żądałem głosu w imieniu organizacji Związku Piłsudczyków, żądałem głosu jako przedstawiciel żołnierzy polskich, którzy mieli już poza sobą krwawe ofiary złożone na polach bitew wszystkich brygad legjonowych w walce o niepodległość i zjednoczenie Polski ludowej.

Szanowne prezydjum szeptało trwożliwie pomiędzy sobą. Wahanie przewleka się. Sala delegatów polskich, wśród których olbrzymia większość wyczuwała sercem wielkość czynu Komendanta Józefa Piłsudskiego — niepokoiła się. Czułem za sobą poparcie. Przerywam więc niezdecydowanie się prezydjum i zwracam się do audytorjum o prawo głosu dla żołnierza polskiego. Grupa Piłsudczyków podniosła okrzyk: „niech żyje Józef Piłsudski". Okrzyk ten jak zerwany z pęt patryjnictwa orzeł wzbił się pod sufit olbrzymiej sali teatralnej. Powtórzyły go masy ta szczerze, tak gorąco, tak prosto i po żołniersku, że „autorytet" prezydjum i „przywódców" narodowych prysnął beznadziejnie. Sala żąda odemnie żołnierskiego słowa.

Wstępuję na trybunę, niesiony dziwną falą uczuć. Mówiłem podobno bardzo długo. O czem mówiłem, dokładnie nie pamiętam. Wiem tylko, że były to słowa żołnierza wiernego, że były to słowa groźne w swej prawdzie. Nie była to mowa „gościa" nieproszonego na zjazd; lecz żołnierza — gospodarza. Bo tam, gdzie mowa o żołnierzu polskim i wojsku narodowem, które chciano formować i narzucać mu ideały podwórkowe, czy też zawiązywać mu oczy hasłem „powrotu do kraju" lub „walką z bolszewizmem" — żołnierz miał prawo powiedzieć: „panowie — milczeć i słuchać i walczyć o Polskę niepodległą".

Przygotowany program Związku Piłsudczyków wplotłem w me przemówienie. Skończyłem wśród burzy i oklasków i niemego przerażenia prezydjum. Wykorzystując moment napięcia odczytuję naszą rezolucję, pytając się zebranych czy program Piłsudczyków przyjmują jako rezolucję zjazdu. Nowa fala entuzjazmu.

Prezydjum skonsternowane. Ksiądz Lutosławski biega od jednego członka prezydjum do drugiego. Panowie coś notują na świstku pa-

pieru — namyślają się. Wreszcie zabiera głos ks. Lutosławski i zmuszony żonglować w swem przemówieniu początkowo nawet w imieniu prezydjum pochwala stanowisko Piłsudczyków i „szanownego przedmówcę obywateli Michała Stankiewicza", poczem lekko krytykuje, aż wreszcie wnosi nowy projekt „rezolucji" sfabrykowanej jak widać na kolanie — kompromisowej.

Spaliły więc na panewce zamierzone plany inicjatorów zjazdu. Góra zrodziła mysz. Zwycięstwo jeśli tak wyrazić się można — zwycięstwo moralne odniósł Związek Piłsudczyków, wnosząc ducha legjonowego, ducha niepodległościowego w masę społeczną, która o tej „ryzykownej", ba beznadziejnej idei — myśleć nie miała prawa. Tak przecież chcieli „międzypartyjni" przywódcy. Jeżeli myślano o Polsce, to tę miała ostatecznie dać w podarunku wielkodusznym albo wspaniałomyślna Rosja albo Ententa.

Nic więc dziwnego, że Związek Piłsudczyków nie mógł milczeć i musiał wtrącić się w obrady zjazdu, wnosząc inne pojęcia o Polsce.

Po tym wypadku zabłąkani jeńcy-legjoniści po różnych partjach politycznych znaleźli się natychmiast w „Związku". Targ o firmę rozpoczął się ponownie. Związek otrzymywał zaproszenia ze wszech stron politykujących.

Związek Wojskowych Polaków w Moskwie zwrócił się do Piłsudczyków z prośbą o wysłanie swych delegatów do Rady Związku Wojskowych Polaków, aby przez swój współudział dać wyraz zjednoczenia żołnierza polskiego, mimo istniejących kordonów i frontów. Do tej pracy związek Piłsudczyków przystąpił chętnie, tembardziej, że były widoki zreformowania dotychczasowych prac Związku Wojskowych Polaków w duchu i kierunku „Strzelca".

W związku z tem Związek Piłsudczyków udzielił wszelkiego pełnomocnictwa w działaniu obywatelowi Tadeuszowi Teslarowi i obyw. Adamowi Sikorskiemu, wręczając im na piśmie „dokument" dla okazania go Radzie Związku Wojskowych Polaków.

Treść tego pełnomocnictwa, który zamieszczam niżej w oryginale, brzmiała ze względów konspiracyjnych dość nieokreślenie.

Walka I. korpusu z bolszewikami postawiła bataljon moskiewskiego Związku Wojskowych Polaków wobec represji bolszewickiej. Pułkownik Majewski, chcąc ratować egzystencję bataljonu wszedł w porozumienie z Murałowem i komisarjatem dla spraw polskich i stworzył pułk rewolucyjny „Bartosza Głowackiego" w Moskwie. Związek Piłsudczyków dostarczył pułkownikowi Majewskiemu do formującego się pułku pewien zastęp wojskowych instruktorów fachowych

i podjął się pracy werbunkowej do pułku. Z czasem pułk rozbrojono, aresztując oficerów i zarzucając im robotę kontrrewolucyjną.

Moment zawarcia pokoju brzeskiego wstrząsnął duszą emigracji. Związek Piłsudczyków stanął wobec nowej pracy — odpowiedzialnej. Za wszelką cenę trzeba było ratować jeńców polskich. Teraz już nietylko legjonistów, lecz wszystkich — wszystkich. Stanęliśmy na stanowisku, że nie wolno dopuszczać do wymiany jeńców polskich, by Austrja rzuciła ich na inne fronty wojenne, by tam lud polski ginął za cudzą sprawę.

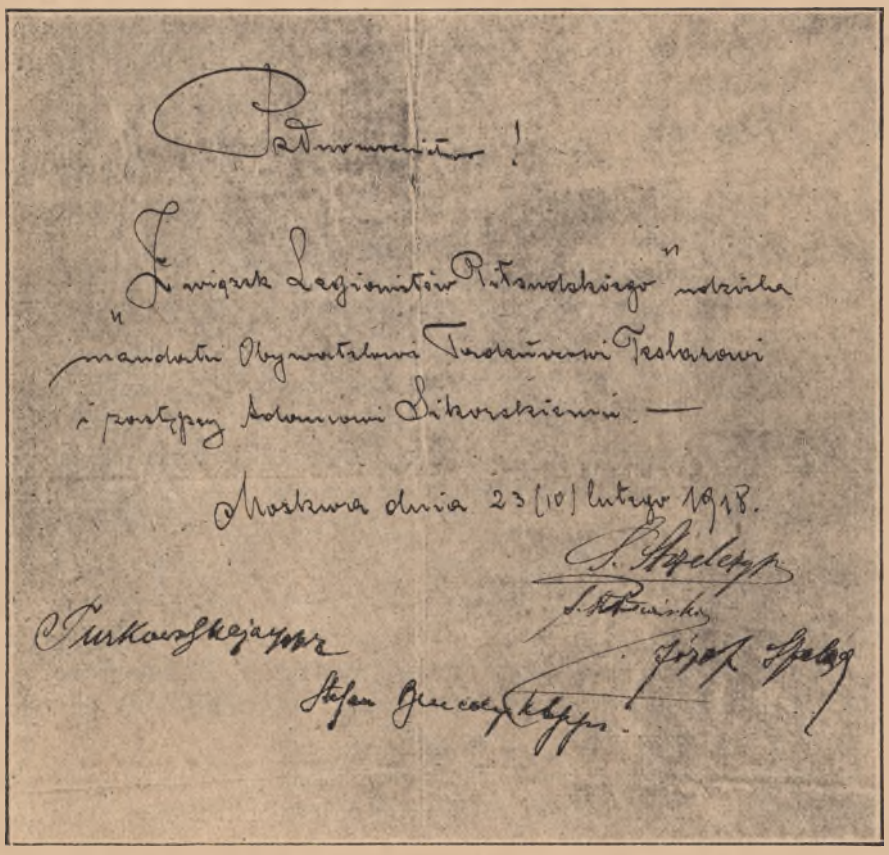

Związek Piłsudczyków wydaje znów odezwę. Jej treść wyjaśnia, jak czuli — o czem w tym czasie myśleli Piłsudczycy w Moskwie. Słowa tej odezwy niech będą odpowiedzią dla tych, którzy uważali Legjony Polskie za germanofilskie siły zbrojne, jakoby walczące przeciwko Entencie.

Komitet Wykonawczy
Związku Piłsudczyków

Moskwa, luty 1918.

ODEZWA.

„Skrwawiona pada gałąź pokoju na nasze głowy i dłonie. Pokój za wszelką cenę zawarto. Za cenę naszych polskich ziem, za cenę naszej polskiej krwi. O klęsce Rosji nie pora nam myśleć, kiedy się toczy na targowisku nasza sprawa — kupna i sprzedaży.

Olbrzymie fale ludu popłyną do kraju — fale jeńca z niewoli. Te cienie szaro-niebieskie napełnią koleje żelazne, by mknąć na pomoc tronom zwyciężającego imperjalizmu i militaryzmu.

Łachmany brudne i cuchnące zrzucą z wychudzonego, anemicznego ciała nasi żołnierze — nasz lud, robotnik i inteligent. Odzieją ich tam w nowe godowe szaty krwi na dalszą walkę za cudzą i wrogą nam sprawę — walkę na polską naszą zgubę.

Setki tysięcy mas jeńców łanem się trupa pościli na frontach Włoch, Francji i Anglji.

Czy już nie dosyć zgniło nas na zgorzałych pobojowiskach i cmentarzach walki czteroletniej?

Dosyć! Dosyć krzyczy nasza znękana blada polska dusza, harde nasze chłopskie piersi zapadły się jako jama grobowa pełna szkieletów i kości żołnierskich.

Emigracjo! Słuchaj i czuj myśl i kochaj lud swój — broń go, ochraniaj, nie pozwól, by naród, z któregoś wyszła, był jako stado gnany zaborczym batogiem.

Ocknij się i wyciągnij dłonie ku pomocy swoim braciom. Czyń wszystko, na co cię stać dzisiaj, aby ocalić ten tłum żołnierski jeńca wojennego z niemieckich i austrjackich armij.

Wołamy dzisiaj, może głosem cichym dla was, lecz wołamy z całej zbolałej polskiej piersi i duszy, pojonej rozpaczą.

Na pomoc! Na ratunek!

Jeśli nasz głos przeminie bez echa, bez czynu twojego, Emigracjo polska — nie masz po co wracać pod kraju progi i stukać w zamknięte wrzeciądze

Sumienie ludu — sędzia i stróż bram ci nie otworzą.

Nie wolno ci wracać bez tego ludu żołnierskiego. Nie masz prawa porzucać go losowi lub wydać w ręce żandarmów zaborcy.

Jako obywatele wolnej, niepodległej Polski, nie mamy ciała ani krwi na usługi imperjalizmu niemieckiego. Chcemy rzucić nasze kości i przelać jeszcze resztę krwi na potrzeby kraju, jeśli nas powoła — lecz nigdy dla cudzych i wrogich nam zamiarów państw, ciemiężcy naszej przyszłości.

Starców-jeńców żołnierzy, chorych i inwalidów, ślijcie do domu; młodych i zdrowych wstrzymujcie wszelkiemi środkami.

Wierzymy, że w Tobie moc i możność podania ręki w ostatniej potrzebie jeńcowi i czekamy Twojej pomocy — Emigracjo.

Nie radźcie o przyszłym rządzie, bo go bez nas nigdy nie zbudujecie ani nie poprzecie — pomyślcie o pierwszym waszym kroku.

Zwróćcie się do władz, do wszystkich instancyj o poparcie! Dajcie jeńcowi polskiemu pracę do rąk i dach nad głową — do czasu ogólnego pokoju. Stwórzcie gdzieś w głębi Rosji warsztaty pracy — dajcie chłopom

orać odłogiem leżącą ziemię na wiosnę, ziemię choć nie ojczystą, lecz wspólną. Wołga niech także poską pracę zobaczy.

Wy jeńcy, zwonieni więźniowie, wstrzymajcie także swe pragnienia i tęsknoty. Wstrzymajcie bieg wasz do rodzinnych strzech, bo znowu krwią własną kupować będziecie zaborcom moc i potęgę.

Gdy wzejdzie słońce jasne i pogodne bez krwi i śmierci promieni, biegnij i pędź do wolnej i niepodległej Polski ludowej swojej własnej ziemi — wolny już żołnierzu.

Żądajmy wszyscy od społeczeństwa rady i pomocy, bo mamy prawo żądać w imię obowiązku obywatelskiego.

Związek Piłsudczyków — Komitet Wykonawczy".

Był to głos nawołującego na puszczy. Emigracja polska sama zdezorjentowana wiele dopomóc nie mogła, a w wielu wypadkach nie chciała. Nie chcę tu nikogo oskarżać — więc przemilczam. Zresztą zabolały nas inne bardziej niebezpieczne dążenia. Był to nieustający prąd bolszewizacji.

P. P. S. — lewica w Moskwie staczała się ku komunizmowi. Bolszewicy wytężali jednocześnie wszystkie siły, by rozagitowane masy jeńców zatrzymać dla siebie i tworzyć z nich gwardję czerwonych pretorjanów. Wiece i zjazdy międzynarodowe jeńców wojennych uchwalały rezolucje podstawiane przez bolszewicki komisarjat jeńców wojennych.

Na jednem z zebrań wystąpił Związek Piłsudczyków, apelując do jeńca polskiego o opamiętanie i uświadamiając masy jeńców polskich, co grozi im przez zaciągnięcie się do czerwonej gwardji. Polityczna równia pochyła i warunki pracy konspiracyjnej zmusiły Związek Piłsudczyków do szukania rozmaitych punktów ciężkości, byle tylko móc utrzymać się na tej karuzeli i w tym chaosie pojęć. Wobec haseł międzynarodowych i rozpędu gadulstwa rewolucyjnego hasło „niepodległościowe" przepadało bez echa.

Nie można było oddalać się od mas jeńców polskich, którymi teraz frymarczono w całej pełni. Decyduję się na poważny krok. Korzystając z wielkiego wiecu jeńców polskich zorganizowanego przez polską sekcję komisarjatu jeńców wojennych w Moskwie — wygłaszam programową mowę zwrotną. Uderzam w ton rewolucyjny, najbardziej skrajny, jednak narodowy. Pragnę „rewolucji polskiej" — witam rewolucję rosyjską, jako naturalne prawo ludu. Ale wbijam jednocześnie klin pomiędzy działania polskich bolszewików wśród jeńców, klin który częściowo paraliżuje akcję wciągania nieuświadomionych jeńców polskich do czerwonej armji.

Wzywam jeńców polskich, by szeroko otwarli oczy i uszy i zrozumieli, że „rewolucja polska" może być dokonana tylko w Polsce wy-

zwolonej — niepodległej i zjednoczonej, i wówczas, gdy ją wywalczymy, możemy decydować o zaprowadzeniu w niej władzy ludowej.

Pamiętam, że największe wrażenie wywarły słowa mego przemówienia, gdy wzywając jeńców do zorganizowania się oddzielnie od wpływów rosyjskich podkreśliłem, by pamiętali, że Kreml czerwony zdobyli Rosjanie tylko dla siebie — dla Rosji ludowej.

— Czyżbyście zgodzili się aby Wawel Krakowski Rosjanie zdobywali także dla siebie waszemi rękoma — wołam w uniesieniu?

— „Czerwony Wawel" — musi być zdobyty dla Polski ludowej — wołam — lecz jedynie tylko polskim wysiłkiem. Jeżeli zaś położycie tutaj głowy wasze dla obrony Kremlu rosyjskiego, to czyje ręce zdobędą Wawel?

— A więc gotujcie broń, zachowujcie życie do walki — o „Czerwony Wawel".

— Kto więc pragnie rewolucji polskiej dla Polski niech staje przy nas, przy Związku Piłsudczyków; a kto chce rewolucji w Polsce, by ją później zagarnęła Rosja — niechaj się łączy z czerwonym Kremlem.

Był to moment straszny. Pamiętam, że po tem przemówieniu, w którem paliłem się jak świeca, padłem z trybuny bezprzytomny w ramiona stojących opodal wiernych towarzyszy. Wrażenie było ogromne. Przemówienia następnych mówców z pod znaków komunistycznej, prawdziwej zdrady narodowej, nie znalazły wówczas oczekiwanego oddźwięku. Opuściliśmy gremjalnie wiec, wzywając: „kto Polak — za nami", „kto wróg Polski niepodległej, Polski ludowej — ten niechaj pozostaje przy rosyjskim Kremlu".

Wówczas pociągnął tłum za nami, w lokalu Związku zaroiło się od jeńców. Trzeba było co rychlej spieszyć z pomocą; dawać pracę i dach nad głową. Wykorzystując stosunki i pomoc starych rewolucjonistów polskich, wśród których dwaj bracia Anuszowie nie szczędzili swych rad i opieki — Związek Piłsudczyków dotarł do władz rosyjskich, miejskich i t. p. instancyj. Pod Moskwą zajęto jakąś fabrykę szewską, gdzie jeńcy znaleźli pracę i utrzymanie. To znowu wysłano partję do riazańskiej gubernji, do prac torfowych. Robotami temi kierował inżynier Hałaszyński, porucznik austrjacki, jeniec z ramienia Związku Piłsudczyków tam wydelegowany.

Cały szereg prac w miejskich instytucjach moskiewskich wykonywali jeńcy-Polacy, wysyłani tam grupami przez Związek. Inteligenci otrzymywali, tylko dzięki stosunkom, nieraz zawrotne posady oficjalne.

Nie było to rozpraszanie sił polskich. Przeciwnie wszyscy kierowani na roboty ludzie zobowiązywali się stawić na każde wezwanie

Związku oraz składać część swych zarobków do kasy Piłsudczyków na fundusz pomocy dla innych jeńców Polaków. Wyjeżdżający oddzielnie utrzymywali ze Związkiem łączność korespondencyjną. Wiele stanowisk nauczycielskich na Ukrainie, Białorusi w okolicach Polski zajmowali jeńcy, wysyłani z Moskwy. Nawet gimnazjum polskie w Płoskirowie Związek Piłsudczyków zasilił nauczycielami.

Podkreślić należy, że jeńcy zawsze otrzymywali prócz fałszywych dokumentów pieniądze na drogę. Częściowo korzystano z funduszów Komitetu polskiego, częściowo z doraźnych subwencyj osób ofiarnych, częściowo z własnych imprez, jakie podejmował Wydział Pomocy Jeńcom Wojennym, wreszcie z imprez przeprowadzanych przez Związek i poszczególnych Piłsudczyków.

Dla przykładu załączam kliszę nalepki z podobizną Komendanta Piłsudskiego, którą Związek wydał w Moskwie, sprzedając znaczki po rublu. Aczkolwiek portret Komendanta wypadł bardzo niekorzystnie, gdyż artysta malarz Sawiczewski rysował z pamięci, jednakże ze względu na rzadkość tego wizerunku, zamieszczona podobizna może wielu interesować.

Również nie mogę przemilczeć o fakcie podejmowania prywatnej inicjatywy społecznej, czego dowodem jest załączona poniżej odezwa p. Marji Karmazynównej, napisana odręcznie na arkuszu papieru, kursująca pomiędzy Polakami gdzieś nad Wołgą czy w Azji. Inicjatorka zbiórki przesłała zebrane pieniądze na ręce Związku Piłsudczyków. Treść tej odezwy brzmiała:

RODACY I RODACZKI.

W chwilach tak ciężkich i dotkliwych klęsk, jakie spadły na nasz kraj i nasz naród, powinniśmy wytężyć wszystkie swoje siły, by uratować tych, którzy nieśli życie swoje ojczyźnie w ofierze i dostali się w ciężkie jarzmo niewoli.

Dziś wskutek ogólnego zamętu, zamknięcia wielu fabryk, oraz zimowej przerwy w robotach polnych, tysiące biednych braci naszych z pod zaboru austrjackiego i niemieckiego znalazło się wprost w opłakanych warunkach.

Pozbawieni możności zarobkowania skazani są na niechybną śmierć wskutek głodu i chłodu, jeśli im się w porę z ratunkiem nie pospieszy.

Czyimże zaś, jak nie naszym obowiązkiem przyjść tym biedakom z pomocą? Od kogóż mają się spodziewać współczucia, do kogo wyciągną swe ręce?

A nie zapominajmy przytem, że walczyli nietylko za swoją, lecz i za naszą swobodę, że krew ich, trudy i znoje — to święta ofiara, złożona na ołtarzu drogiej nam ojczyzny.

Spłaćmy zatem, bodaj w części, ten dług wdzięczności, jaki ciąży na nas — nie ociągajmy się w spełnieniu tego, co jest powinnością każdego, kto polskie serce w piersi nosi i nie żałujmy grosza dla ulżenia doli bohaterów nędzarzy".

(Wszelkie datki przyjmuje Marja Karmazynówna)."

Poniżej następowały podpisy w ogólnej liczbie 50-ciu. Były między nimi i podpisy bardzo nieudolne — proste. Pisały je jednak ręce szczero-polskie. Wówczas zebrano pośród uchodźców i samych jeńców sumę wielką na owe czasy 178 rubli, grosza wdowiego.

O „czarnych" dochodach Związku jeszcze nie czas wspominać. Mogę tu zaznaczyć, że w najgroźniejszych czasach, gdy pomoc materjalna musiała być udzielona doraźnie, korzystałem z pomocy pewnego „magika" drukarza, grawera; papier zaś sławetnych „kierenek" wogóle był pospolity. Była to jednak wielka tajemnica dwóch ludzi, z których jeden niestety został przez bolszewików rozstrzelany. Był to człowiek kryształowo czysty i bezinteresowny.

Zanim wspomnę o okresie najważniejszym, kiedy to nadeszły do Moskwy pierwsze wieści o przejściu zbrojnem pod Rarańczą II Brygady Legjonów Polskich i połączeniu się z II korpusem wschodnim oraz marszu wojsk polskich w głąb Ukrainy — w kilku bodaj słowach należy podkreślić stosunek Związku Piłsudczyków do formacyj bojowych korpusu Dowbora-Muśnickiego. Przytem cofniemy się nieco wstecz.

Prócz wysyłania do korpusu partyj jeńców oficerów i żołnierzy, którzy wchodzili w skład poszczególnych oddziałów lub przenikali do sztabu, „Związek Piłsudczyków", nie pytając nikogo o zezwolenie lub zgodę, zatroszczył się o sprawy ideowe i kulturalno-oświatowe w oddziałach gen. Dowbor-Muśnickiego.

Związek miał na uwadze, aby przy propagandzie oświatowej poddawać żołnierzowi b. armji rosyjskiej ideologję walki o niepodległość Polski, przeciwstawiając ją idei głoszonej „powrotu do kraju". W tym celu Związek założył „Towarzystwo Kultury żołnierza polskiego im. Józefa Piłsudskiego" mającego za zadanie działania specjalnie na terenie formacyj korpusów na Białorusi.

O pomoc natury finansowej Związek zwrócił się do stronnictwa demokratycznego w Moskwie. Na poufnem zebraniu w redakcji „Echa Polskiego" „pan prezes" obiecał ofiarować na cele Towarzystwa 1000 rubli. Zebrani „politycy" rozwijali projekty propagandy zbierania funduszów na akcję Towarzystwa. Związek miał być subsydjowany pod

warunkiem nieprowadzenia „polityki legjonowej" w kadrach żołnierzy polskich b. armji rosyjskiej. Oczywiście, warunek ten uznaliśmy pomiędzy sobą za nieobowiązujący i nieistniejący. Zanim otrzymaliśmy pieniądze, Związek już z własnych funduszów wysłał kilku emisarjuszy oświatowych do korpusu. Jednakże, gdy nadeszły do Moskwy wieści o zbuntowaniu się legjonów w kraju, wszystkie plany „finansowania" Towarzystwa Kultury żołnierza polskiego im. Józefa Piłsudskiego, przez stronnictwo demokratyczne — spełzły na niczem. Tysiąca rubli odmówiono nam. Związek Piłsudczyków akcję dalej prowadził w granicach swej dobrej woli i przy własnych środkach. Wówczas Związek Wojskowych Polaków zgodził się wysyłać na swój koszt instruktorów „Piłsudczyków" do korpusu.

Nie mogę przy tej sposobności powstrzymać się, by nie przytoczyć tu pewnego listu (z pośród bardzo wielu), jaki Związek Piłsudczyków otrzymał od grupy legjonistów-jeńców siedzących w niewoli w Raztiapinie (Niżegorodzka gubernja). List ten jest zbyt charakterystyczny, by go nawet streszczać. Komentarzy nie wymaga.

„Raztiapino 27.I.18.

PANOWIE OFICEROWIE.

Czytając w „Echu Polskiem" Wasz protest i Waszą odezwę, jako członków „Tow. Kultury żołn. polsk. im. Piłsudskiego", dowiedzieliśmy się, że jesteście gdzieś razem i dlatego zwracamy się do Was o radę. Jest tutaj na robocie pięciu legjonistów, a mianowicie: Kowalczyk Józef, 3 p., 12 k., 1 pl., Grabowski Tadeusz, 12 k., 1 pl., Kubielas Franciszek 12 k., 1 pl., Dębski Józef, 5 komp. 1 pl. i Rolny Stanisław oddz. kar. masz. por. Starka, oraz kilku jednorocznych Polaków. Dotąd szło jeszcze jako tako, ale teraz grozi nam ciężka bieda, albowiem komitet fabryczny postanowił nas wyrzucić z fabryki i odesłać do lagru w Niżnym Nowgorodzie, gdzie są straszne warunki bytu, jak: ćwierć funta chleba na dzień, zupełny brak miejsca, choroby i t. d. Chcąc uniknąć tak ciężkiej doli, prosimy Was o radę, jak w tym wypadku postąpić, inaczej będziemy chyba zmuszeni wciągnąć się do tutejszych polskich sił zbrojnych (o ile to możliwe) lub nawet w ostateczności do krasnej gwardji. Ale to się tam jakoś ułoży. Prosimy również panów o jakieś wiadomości z kraju, jak i o innych leg.-jeńcach, o ich organizacji i t. d. Może por. Marjan Turkowski wie, gdzie jest Bolesław Frej, to proszę napisać. Gdzie jest obecnie ppor. Borynka, sierż. Lgocki i inni? Jak się Panowie zapatrują na tworzenie polskich sił zbrojnych, na polski bolszewizm a zwłaszcza na polskie organizacje emigracyjne pomocy ofiarom wojny, obco poddanym itd. itd. Nam się przynajmniej zdaje, że organizacje te (może być nie wszystkie), są głównie dla przyjemności i pożytku samych członków danego towarzystwa czy organizacji, w drugim rzędzie w celu urządzania wesołych zabaw, pikników, czarnych kaw, koncertów pod bezimienną maską altruizmu, w ostatnim dopiero wypadku dla samych ofiar wojny. Podobne sądy słyszeliśmy od

GEN. BRYG. DR ROMAN GÓRECKI
W MUNDURZE KAPITANA LEGJONOWEGO

wielu bieżeńców. Zasyłamy pozdrowienia panuu Zoernerowi, Turkowskiemu, Bardelowi i innym. Czekając szybkiej i szczerej odpowiedzi, zostajemy w najwyższem pp. oficerom posłuszeństwie.

Za towarzyszy — Kowalczyk Józef, Leg. 12 k. 1 pl.".

Na list ten oczywiście nastąpiła odpowiedź. O ile pamiętam przesłano tam dokumenty ułatwiające ucieczkę.

Uderza gromem wiadomość o przejściu II Brygady Legjonów pod Rarańczą. Do Moskwy dochodzą wiadomości przesadzone, fałszywe o wybuchu rewolucji polskiej w Małopolsce i Królestwie, ba, o rewolucji w całej Austrji. Prasa „narodowa" w Moskwie kuje dla siebie z tych plotek broń agitacyjną. Związek Piłusudczyków zareagował na to silniejszem zwarciem swej organizacji, przekształcając się w P. O. W. Komendę obejmuję ja, z woli Komitetu Wykonawczego Związku Piłsudczyków; zastępstwo komendanta spoczywa w rękach obyw. Jana Płotnickiego. Nadszedł wreszcie czas, że wszystkie niemal grupy polityczne wysyłały do nas swych „zaufanych" ludzi, by zasięgnąć języka. Związek Piłsudczyków wydaje w tym czasie jeszcze jedną odezwę, już ostatnią, jako organizacja Piłsudczyków.

Znamiena ta odezwa, która była odbiciem pomieszanych pojęć w Moskwie powstałych na podstawie fałszywych wiadomości i braku istotnych wieści z kraju (uwierzyliśmy w rewolucję w Austrji, w rewolucję w Królestwie i co najważniejsze w uniezależnienie się Rady Regencyjnej w Warszawie od Niemców) — brzmiała dzisiaj trudno do zrozumienia. Zamieszczam ją jednak, by rzucić prawdziwe tło historyczne dla naszego myślenia i ówczesnego postępowania.

ODEZWA.

„Wieści biją w nasze dusze krwawym obuchem, zdzierają maski fałszu i hipokryzji politycznej.

Milczeć. Zapomnieć, czy wczorajszych zbrodni, czy szczęśliwych rzetelnych sentencyj. Przed nami stoi dzisiaj już dzień Jutra — jasny, zrozumiały. Nie ugodą, nie kompromisem zyskamy zwycięstwo i życie, lecz jedynie drogą rewolucji narodowej.

Precz od ognia świętego i krwawego znicza Sprawy Polskiej ręce tych, co pragną podżarzać i gotować swoje swoje partyjne ochłapy.

Dusza i ciało, życie i śmierć Polski warzy się dzisiaj na płomienisku krwawem — na polu walki wprost beznadziejnej. Jeden silny, potężny wróg stoi dziś przed nami — Germanin — pruski żołdak, gwałciciel. Razem uderzyć, a dobrze bić od serca i duszy, lecz bić czystemi rękoma. Kto zbrodzień w myśli i zdrajca, niech idzie precz, Judasza cień i brat.

Galicja, tak zmurszała i urzędnicza, powstała, rozbudziła się już w 1914 roku, stworzyła Legjony. Dzisiaj znowu ona rzuca krwawe, gorące wici rewolucji nrodowej. Ten żołnierz — to cesarskie dziecko — bagnet swój

podnosi na zdradziecki czarno-żółty sztandar. Urzędnik i chciwy portfelu, przygnieciony złotem runem, minister austrjacki — Polak, rzuca i depcze łaskę cesarską — protestuje i zaświadczy protest krwią w szeregach rewolucji narodowej w Galicji. Pułki Legjonów, te pułki II Brygady, okrzyczane austro-filskiemi, łamią siłą szeregi sprzymierzeńca i maszeruje szlakiem krwi do kraju okrężną drogą, by tam podtrzymać jedyną dzisiaj władzę krajową, — władzę pierwszą, rewolucyjną polską „Radę Regencyjną", obraną tam z woli i sumienia narodu.

Choć groźny i silny kułak Hindenburga, nie jest jednak śmiercią dla nas — krwi z nas utoczy, lecz pobudzi życie wolne, zmartwychwstałą moc.

Do broni! Podnosimy krzyk na wszystkie strony — my Legjoniści Piłsudskiego — my jeńcy.

Do naszej gromady. Kto z nami, niechaj dłoń podaje, dłoń, co broń poniesie i nie złoży jej haniebnie. Podajcie nam swe głosy ze wszystkich szarych, męczeńskich kątów waszej niesłusznej i niesprawiedliwej niewoli. Do broni — do walki na śmierć!

Niech żaden z was nie wierzy, że powróci z walki, nie — my musimy iść ginąć — musimy nowe budować mogiły — bo swoją śmiercią zgotujemy śmierć wrogowi. A ostatni dopiero Spartanin, co powróci w kraju progi, będzie ziarnem i kryształem wolnej, zjednoczonej, niepodległej Polski ludowej — powstałej na gruzach zamków niemieckich w Poznańszczyźnie, Śląskach, Galicji i Pomorza.

Do broni — do walki — do zwycięstwa!

Wysłaliśmy do korpusów Wojsk Polskich — do II Brygady, która jak wieść tłucze i krzyczy w nasze uszy — emisarjuszy, aby tam stwierdzić fakt dokonany i działać z rozkazu rewolucji polskiej. Tworzymy dziś z siebie Polską Organizację Wojskową, odpowiedzialną sumieniem za przelaną krew — w walce o wolność.

Nie przyłączamy się do nikogo, bo jesteśmy armją, — nie działamy pod niczyim wpływem ani maską. Jedyną władzą, która ma prawo dawać nam rozkazy, jest Rada Regencyjna, a bezpośrednio — rewolucyjna Brygada Legjonów Polskich, która wraz z polskiemi pułkami austrjackiej armji podniosła znamię rewolucji polskiej.

Nawołujemy dzisiaj do łączenia się z nami pod niezależnym wojskowym polskim sztandarem.

Środków żądamy od rewolucji rosyjskiej, gdzie u sfer kierujących poczyniliśmy starania.

Jeśli polski grosz jaki emigracja posiada, padnie na tacę obowiązu obywatelskiego — Cześć Ci Emigracjo uspołeczniona.

Talarów partyjnych przyjąć nie możemy, bo zbrukałyby one nas i was, Emigracjo — bo wykazałyby waszą bezduszność i podłość.

Jeńcy-Polacy, wy oboopoddani, zrzućcie z siebie te strzępy i łachmany zaborczych zbrodniarzy i łączcie się w armję polskiej rewolucji narodowej. Czekajcie rozkazu, jaki nam przyniesie kraj w każdej sekundzie. Natężajcie słuch, bo tętni po drodze powrotnej Czarny Zawisza i poprowadzi na śmiertelny bój.

W pogotowiu stać!

Do broni!

Za wolność polską!

Za cały lud polski!

Polska Organizacja Wojskowa w Moskwie."

Nawiązując do pewnych ustępów tej odezwy podkreślić muszę, że P. O. W. na okręg centralnej Rosji z siedzibą w Moskwie decyduje się przedewszystkiem na wysłanie do gen. Hallera misji wojskowej. Na delegatów wyznaczyłem por. Marjana Turkowskiego i sierż. I. Bryg. Sępa-Szarzyńskiego. Odpowiednio wyposażeni wyjechali na Ukrainę, by zameldwoać generałowi „Mazowieckiemu" (Hallerowi), że jesteśmy w Moskwie w pogotowiu i czekamy rozkazów. Por. Turkowski otrzymał od komendy P. O. W. w Moskwie rozkaz zameldowania jakiemi siłami komenda nasza rozporządza.

Przy tej sposobności dla wyjaśnienia przytoczę, może nieznane powszechnie fakty. Związek Piłsudczyków w Moskwie, prowadząc rozmaite prace, o których już była mowa, nie zapomniał o jednym najważniejszym — o broni. Zdobycie broni było rzeczą jeśli nie trudną, to niemal szaloną, znaleziono jednak pewne wyjście. Gdy tworzyła się cywilna straż bezpieczeństwa miasta Moskwy, wobec wzmagającego się bandytyzmu, Związek Piłsudczyków zdołał wcisnąć się przez swoich ludzi do odpowiednich władz miejskich i przeprowadzić ważną dla nas sprawę — zezwolenie na obsadzenie stanowisk stróżów nocnych, uzbrojonych w karabiny przy poszczególnych komitetach domowych — jeńcami wojennymi. Oczywiście, że na te placówki wysyłaliśmy ludzi zdecydowanych i karnych. Dzięki tej organizacji można było liczyć, a conajmniej mieć nadzieję na podjęcie pierwszych kroków zaczepnych, gdyby moment wybuchu zbrojnego był bliski. Liczyliśmy bowiem na gen. Hallera — jak na Zawiszę, że przekroczy Dniepr i ruszy w głąb Rosji. W największej tajemnicy z obyw. Płotnickim planowaliśmy może szaleńczo, może dziecinnie, dokonanie przewrotu wojskowego w Moskwie i zawładnięcie garnizonem. Ileż to fantazyj wówczas stawało się rzeczywistością. Więc dla czegobyśmy nie mieli prawa do tych fantazyj, o których myśleliśmy na serjo. Opieraliśmy się na ziejącej ze wszech stron nienawiści Rosjan do ówczesnej władzy bolszewickiej, jeszcze wówczas zupełnie chwiejnej. Obchodząc miasto zdawało się nam, że plac Skobielewa byłby możliwy do opanowania. Stały tam przed gmachem gubernatora Moskwy Murałowa, gdzie obradował wojenny sowiet Moskwy — dwa pancerne samochody z karabinami maszynowemi, które przez zdecydowanych ludzi mogłyby być zdobyte. W razie powodzenia byliśmy pewni, że wygniecenie komisarzy w gmachu „Sowietów" byłoby kwestją chwili. Na komendanta Moskwy upatrywaliśmy, jak nam się zdawało, najodpowiedniejszego z pośród oficerów legjonowych, będących w tym czasie w Moskwie, por. Adama Sikorskiego. Nie mówiliśmy mu tego, zresztą sądziliśmy, że wróci do Moskwy por. Maciej Bardel, który był wyje-

chał. Czekaliśmy na dalsze wiadomości ruchu polskich wojsk na Ukrainie. Przekroczenie Dniepru przez gen. Hallera upoważniłoby nas do podjęcia rozmów z „białymi" Rosjanami i wskutek tego nie zastanawialiśmy się jeszcze nad formą stosunku do grupy rosyjskiej. W każdym jednak razie liczyliśmy się z faktem, że bez pomocy Rosjan przewrót nie mógłby się udać. Co do społeczeństwa polskiego, chcieliśmy stworzyć fakt dokonany. Polscy komuniści w Moskwie w takich warunkach również nie byliby groźną siłą.

Te plany musiały jednak spoczywać w naszych najtajniejszych myślach, bo kurjerzy od gen. Hallera — niestety — długo nie wracali. Wiadomości nie było żadnych, tak iż nawet przypuszczaliśmy, że wogóle por. Turkowski do korpusu nie dotarł.

Na szczęście dotarł — ba, wracał już powoli wraz z delegacją od gen. Hallera do mnie, o czem nie wiedziałem wcale. W skład wyznaczonej misji wojskowej II korpusu weszli: ppłk. Czuma, płk. dr. Nakoniecznikow-Klukowski, por. Stefan Benedykt, (powracający powtórnie do Moskwy) i por. Marjan Turkowski.

Niestety —losy zrządziły inaczej. Nie mogąc doczekać się wieści o wysłaniu misji — postanowiłem jechać sam na Ukrainę i skłonić gen. Hallera do działań. Wyjechałem wówczas (marzec 1918 roku) wraz z panną Elżbietą Hulanicką i legjonistą Romanem Rutkowskim do Charkowa, dając się tam zająć Niemcom — a stąd dotarłem do gen. Hallera, zdążając jeszcze przed tragiczną bitwą kaniowską stanąć w Masłówce.

Komendę P. O. W. w Moskwie, zostawiłem obyw. Janowi Płotnickiemu.

Tymczasem podczas mej nieobecności przybyły aż dwie misje do Moskwy — obyw. Tadeusz Hołówko (jako Horodyński) i wspomniana delegacja wojskowa (Czuma, Nakoniecznikow i inni). P. O. W. moskiewska wstąpiła w nową fazę pracy. Komendę objął obywatel Jerzy Iwanowski.

O tym okresie pisać nie mogę, bo go dobrze nie znam, jako już na gruncie Moskwy nieobecny. Natomiast na Ukrainie otwarły się nowe horyzonty działania tych odcinków dawnego Związku Piłsudczyków w Moskwie, które raczej przypadkowo tworzyliśmy w rejonie Bogusławia — Kaniowa. Odegrała tu swoją rolę wspomniana już „cytadela legjonowa" na Ukrainie — dom pp. Kazimierzostwa Hulanickich w Bogusławiu, gdzie rozbitkowie z pod Kaniowa z generałem Hallerem na czele znaleźli serdeczne i brzemienne w następstwa historyczne przyjęcie, unikając niewoli niemieckiej. Lecz o tem napiszę oddzielnie i w innym czasie.

Kończąc moje wspomnienia o powijakach P. O. W. w Moskwie, podkreślę raz jeszcze, że Związek Piłsudczyków moskiewskich był tym szczęśliwym węzłem dziejowym, na którego rozstawionych sieciach rozwinąć się już mogły dalsze dzieje polskiego wysiłku wojskowego w Rosji. Stąd też słusznie należy tej organizacji przypisać skromne prawo ojcostwa licznych formacyj wschodnich, jak sybiraków, murmańczyków i t. d. Również niezaprzeczalną prawdą historyczną pozostanie fakt, że właśnie dzięki istnieniu i pracy Związku Piłsudczyków i P. O. W. w Moskwie i ich niezależnych rozgałęzień na Ukrainie — rola generała Hallera, jego wyjazd przez Rosję do Francji itd., była taką a nie inną. W każdym razie zwichnięciem roli historycznej P. O. W. moskiewskiego, do której „Związek Piłsudczyków" z całą świadomością przygotowywał się, był fakt nieprzejścia przez Dniepr wojsk gen. Hallera.

Opatrzność losów ludzkich jest wielka — lecz w tym wypadku ręce niestrudzone legjonistów — Piłsudczyków w Moskwie — drogę tej opatrzności wbrew wszelakim intrygom politycznym cicho i skutecznie utorowały [1]).

[1]) Zdaję sobie sprawę, że zamieszczony niniejszy szkic historyczny o zaczątkach pracy P. O. W. w Moskwie jest bardzo pobieżny i niezupełny. Wspomnienie to pisałem niemal kilka godzin. W następnym tomie „Za kratami więzień" podam nowy szereg szczegółów, faktów i dalszy ciąg nazwisk z pracą piłsudczyków w Rosji związanych.

Dążąc do ustalenia prawdy o całem wysiłku, jaki jeńcy legjoniści, peowiacy i sympatycy nasi, pracujący na terenie centralnej Rosji, na Ukrainie i Podolu przejawili dla sprawy polskiej w latach najciemniejszej tragedji narodowej — zwracam się do wszystkich którzy, albo służyli mi pomocą, radą i opieką, albo którzy bezpośrednio z ramienia „Związku Piłsudczyków w Moskwie" działali na wyznaczonych im posterunkach, — o nadesłanie do Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie (Al. Ujazdowska 1/3) jaknajszerszych wyjaśnień, uzupełnień i przyczynków historycznych. Pragnę, by w następnym już tomie „Za kratami więzień", stało się zadość prawdzie historycznej oraz bohaterskiej zasłudze nieinternowanych, a cichych pracowników i bojowników należną im cześć zasłudze oddaną.

(Od autora).

Wacław Przeździecki

WSPOMNIENIA Z WIĘZIENIA W MIŃSKU LITEWSKIM.

Pierwsza „bezkrwawa" rewolucja rosyjska w marcu 1917 r., zezwoliła wreszcie innym narodowościom przejść od pracy konspiracyjnej do życia jawnego pod względem narodowym, a częściowo i politycznym. Polacy byli pierwszymi, którzy jawnie zaczęli się organizować nie tylko w środowisku cywilnem, ale również i w armji. Rezultatem tej pracy wśród wojskowych, było utworzenie „Związków wojskowych Polaków", a zjazd delegatów tych związków, zwołany w początku czerwca 1917 r. do Piotrogrodu wyłonił z siebie dwie zasadnicze organizacje, a mianowicie: „Polski Wojskowy Komitet Wykonawczy" i „Centralny Związek Wojskowych Polaków". Obydwie te organizacje o zadaniach sobie zupełnie przeciwnych, połączone przez ducha ugody dla omawiania ogólnych spraw otrzymały nazwę Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, nazywanego w skrócie „NACZPOLEM".

Okres do końca października był ciężki i niewdzięczny, a co gorsze, pracę utrudniali nawet sami rodacy do spółki z moskalami. Po drugiej rewolucji „bolszewickiej" każda praca stała się niemożliwa i powstała konieczność przeniesienia siedziby komitetu do miasta, w którem możnaby znaleźć lepsze warunki dla dalszej pracy.

Pozostawiwszy swą ekspozyturę w Petrogrodzie, komitet wyjechał w listopadzie 1917 r. do Mińska Litewskiego. Praca ruszyła, lecz nie na długo. Rozrzucone po całej zachodniej Rosji formacje korpusu tworzonego przez „NACZPOL", w tym niebezpiecznym okresie walk wewnętrznych w Rosji, należało skupić. Gdy komitet zadania te polecił wykonać dowódcy korpusu, ten sprzeciwił się motywując swą odmowę niebezpieczeństwem, jakie pociągną za sobą tak wielkie przesunięcia. Dobro sprawy wymagało jednak, by skupić oddziały polskie.

Komitet, pomimo odmowy ze strony dowódcy korpusu, polecił jednemu ze swych członków opracować plan koncentracji i wraz z dowództwem korpusu przeprowadzić go bezwzględnie.

Dowódca korpusu miał słuszność wskazując na niebezpieczeństwo tej akcji. Już bowiem pierwsze transporty 2-ej dywizji piechoty, jadąc do wybranego rejonu Bobrujsk, Mohylów, Rogaczów (gdzie w tym czasie była już 1 dywizja piechoty), natrafiły na opór władz bolszewickich, a wreszcie i na teror, wyrażający się w tem, że napadano na transporty, by je rozbroić. Depeszę dowódcy korpusu, wysłaną z zapytaniem, co to znaczy, czy Rosjanie chcą wojować z Polakami, „Gławkowierch" Krylenko przekręcił perfidnie i ogłosił „wsiem wsiem wsiem", że Polacy wypowiedzieli wojnę Rosji.

Działo się to przed Świętami Bożego Narodzenia (według starego stylu), a więc między 5 a 6 stycznia. Bolszewicy teror zamienili natychmiast w otwartą wojnę. Komitet wyszedł temsamem poza nawias życia. Główne jego zadanie, wydostawania z armji rosyjskiej wszystkiego, co było potrzebne dla formowania korpusów odpadło, gdyż władze przestały nań zwracać uwagę.

Wreszcie 9 stycznia przyszła do Mińska do dowódcy frontu zachodniego depesza, by aresztować członków komitetu (depeszę tą, dzięki telegrafistom, należącym do naszej organizacji dostaliśmy do rąk pierwej, aniżeli adresat).

Wiadomość o rozkazie aresztowania wywołała wśród członków komitetu, mówiąc łagodnie, wielką konsternację.

Natychmiast zwołano posiedzenie w konspiracyjnem mieszkaniu. Narady były krótkie. Zdecydowano opuścić pocichu Mińsk i przenieść się do Kijowa, gdzie możnaby dalej pracę prowadzić. Nie zgodził się na taki gremialny wyjazd jeden z członków i oświadczył kategorycznie, że nie wyjedzie, gdyż wyjazd taki przez ogół będzie zrozumiany jako ucieczka. Teraz, gdy żołnierze korpusu są prześladowani i zabijani, to członkowie komitetu, którzy propagowali tworzenie oddziałów polskich i ściągali do nich współbraci, głosiciele idei, boją się za nią narazić życia. Wnioskodawca pozostanie i gotów jest zginąć za ideę, którą głosił. Krew przelana będzie największym bodźcem dla mas polskich żołnierzy, do skupienia się w celu własnej obrony, a może nawet i w celu odwetu.

Wystąpienie to znalazło oddźwięk, gdyż natychmiast zgodził się pozostać jeden z członków, a za nim drugi. Debaty nad tą sprawą zakończyły się zgłoszeniem jeszcze trzech członków i ci sześciu mieli pozostać, by przyjąć na siebie, co los przyniesie. Pozostali członkowie komitetu wyjechali do Kijowa.

Przeżywaliśmy w Mińsku dwa ciężkie dni oczekiwania i niepewności. Wreszcie 11 stycznia wieczór około godz. 5-tej wkroczył do lokalu Komitetu komisarz Głuzman na czele oddziału czeczeńców (czerkiesów). Lokal obstawiono wartami, nas zrewidowano i w otoczeniu żołnierzy z karabinami najeżonymi bagnetami wyprowadzono z lokalu Komitetu. Było nas sześciu: płk. Andrzej Tupalski, kpt. Wacław Przeździecki, ppor. Mieczysław Gołogowski, chor. Kazimierz Bisping i dwaj podoficerowie Jan Śliwowski i Stanisław Brachowski.

Aresztowanie nasze, jak również i prześladowanie oddziałów polskich były nie tyle dziełem moskali, ile wynikiem usilnych starań polskich komunistów. Pierwszy raz pod Witebskiem krew polską rozlali komuniści polscy i podniecali ciągle bolszewików do dalszej walki i prześladowań. Wśród nich pp. Helman, Szczęsny, Baryła, Berson, i t. d. (nazwisk już nie pamiętam) wodzili prym. W Mińsku w tym czasie organizowano polski komunistyczny bataljon.

Poprowadzono nas w kierunku placu katedralnego. Widząc, że eskorta składa się z górali kaukazkich, których plemiona i obyczaje poznałem w czasie kilkoletniego życia mego wśród nich, zwróciłem się do nich w języku mieszanym, używanym na Kaukazie i wyraziłem zdziwienie, że synowie wolnych gór pozwalają na to, by używać ich jako siepaczy i aresztują synów Polski, dążących do wolności. Zdziwienie ich było wielkie, gdyż przypuszczali, że jesteśmy moskalami. Zareagowali natychmiast mówiąc, że nas porzucą gdzie jesteśmy, a byliśmy właśnie na placu katedralnym, i radzą abyśmy uciekali. Nie wprowadzając ich w nasze sprawy, wytłómaczyłem podoficerowi Awrałowi, który jako starszy dowodził nimi, że ich postępek nie pomógłby nam, bo komisarz zawołałby inną eskortę. Natomiast wiedząc, że są nam życzliwi, wolimy by oni mieli wartę nad naszem więzieniem. Zgodzili się na to i obiecali że przybędzie do nas ich dowódca, byśmy mogli omówić z nim, jak mamy postępować w przyszłości.

Tymczasem komisarz idący na czele zaprowadził nas do gmachu dawnego klasztoru i tu na I-szem piętrze zamknięto nas w celi. Jeden wartownik stanął w celi, drugi przed dzwiami na zewnątrz, a resztę eskorty umieszczono w sąsiedniej izbie. Cela nasza od początku zimy widocznie nie opalana, była prawdziwą lodownią. Zaradzono temu wkrótce, rozpalając ogień w piecu. Sześć tapczanów, bez pościeli ma się rozumieć, miało nam służyć za łóżko. Nastrój wśród nas był marny.

W parę godzin przyszedł dowódca sotni, z której była nasza eskorta, podesauł Jkajew i z nim ustaliliśmy zachowanie się nasze względem wartowników i odwrotnie. Zobowiązaliśmy się tak za-

chowywać, by na nich nie ściągać uwagi komisarza, który często kontrolował naszą celę, oni natomiast wiedząc, że bolszewicy żywić nas nie będą, zezwolą na przynoszenie nam z miasta żywności i rzeczy niezbędnych dla ludzi kulturalnych. Umową tą zakończyliśmy dzień i w różnych nastrojach położyliśmy się spać. W nocy obudziłem się czując, że obręcz żelazną zaciskają mi na głowie; ból był wprost szalony. W celi pod sufitem paliła się słabo malutka lampka naftowa, lecz nie mogłem jej ujrzeć, gdyż w celi panowała gęsta mgła. To ze zmarzniętych murów celi, ogrzanych od silnie rozpalonego pieca parował nadmiar wilgoci, z bólu głowy nie mogłem już zasnąć i zmęczony doczekałem świtu. Inni koledzy spali, lecz bardzo niespokojnie. Rano po obudzeniu stwierdziliśmy, że nikt wśród nas nie jest zdrowy. Przez otwarcie okna oczyściło się powietrze celi, lecz cały dzień czuliśmy na sobie skutki w okropnych warunkach spędzonej nocy.

Około godz. 10-ej rano otrzymaliśmy pierwszą przesyłkę żywności, dostarczoną nam przez pp. Dr. Dziekońską i Kazimierzową Bispingową, której małżonek był wśród nas. Paczkę dostarczył nam nasz znajomy i współpracownik p. Harting. Od niego dowiedzieliśmy się, że podesauł Jkajew sam zawiadomił ich o zezwoleniu na dostarczenie nam potrzebnych rzeczy. Pan Harting opowiadał nam o wrażeniu, jakie wśród Polonji wywołało nasze aresztowanie, że wszystkie związki najenergiczniej zaprotestowały przeciw aresztowaniu, o artykułach wysłanych do prasy i t. p.

Tak rozpoczęło się nasze więzienie i oczekiwanie na dalszy bieg wypadków. Trudno mi dziś opisywać szczegółowo przebieg dwutygodniowego więzienia. Opiszę więc tylko ciekawsze fragmenty. Pomimo wyjazdu członków komitetu i uwięzienia nas sześciu, praca w Związku Polaków zachodniego frontu, kierowana przez pana Chmyzowskiego, szła dalej, a nawet transporty z pod Wiaźmy z oddziałami II. Dywizji przejeżdżały przez Mińsk. Zdarzyło się, że na stacji w Mińsku zebrały się dwa czy trzy transporty i dowódca jednego z nich podkapitan Cerklewicz, dobry żołnierz i szczery patrjota, lecz zapalona głowa, powziął myśl zwolnienia nas siłą z więzienia, o czem nas zawiadomiono. Zamiar ten był bardzo pocieszającym objawem solidarności, lecz groził on całej ludności polskiej Mińska. Bo jeśli odbicie nas udałoby się, to po odejściu transportu bolszewicy nie omieszkaliby wywrzeć swą zemstę na polskiej ludności miasta.

W razie niepowodzenia zaś, bolszewicy prawdopodobnie przyśpieszyliby nad nami egzekucję, którą zamierzali wykonać w przyszłości.

Dlatego też wystosowałem w imieniu naszem rozkaz do kapitana Cerklewicza, by starał się jaknajprędzej opuścić Mińsk i przez to spełnił swe główne zadanie t. zn. skupienie się całego korpusu w rejonie Rogaczów - Bobrujsk.

W ciągu tego pierwszego tygodnia, więzienie jeszcze nam specjalnie nie dokuczało. Dzięki przychylności Jkajewa, mieliśmy wielu odwiedzających, a więc panią Bispingową, panią Dziekońską, prezesa Związku Frontu zachodniego urz. wojsk. P. Chmyzowskiego, Dr. Olgiebrandta, płk. Dybowskiego i t. d. Dzięki ofiarności Polonji mińskiej odżywialiśmy się dobrze, a nawet P. Harting dostarczył nam bardzo dobry gramofon, na którym stale graliśmy sobie arje z Madame Butterfly. W końcu tego tygodnia przybył do nas urzędnik p. Dziedzicki z Kijowa z poleceniem od Komitetu, byśmy wykorzystali pierwszą sposobność i ratowali się ucieczką, gdyż nasza ofiara — więzienie, odniosło już skutek, bo poruszyło szeroką opinję nietylko wojskowych, ale i wszystkich innych organizacyj polskich. Niestety nie było jeszcze odpowiedniej sposobności, gdyż nadzór nad nami się wzmógł.

Bo oto w Mińsku zaczął organizować się I. polski bataljon komunistyczny, prowadzony głównie przez Bersona. Otóż ci mili rodacy, najwięcej napierali na moskali, by nas szybko „zlikwidować", a gdy nalegania ich nie odniosły natychmiastowego skutku, postanowili rozprawić się krótko i skończyć z nami, rzucając ręczne granaty do naszej celi. Gdyby nie czeczeńcy, którzy pełnili straż nad nami, doprowadziliby swój zamiar do skutku. Dla celów własnej obrony koledzy nasi dostarczyli nam paru jajowatych granatów ręcznych, które ukrywaliśmy w kieszeniach ubrania. Od tej chwili nie czuliśmy się już bezbronnymi.

Działo się to w początkach drugiego tygodnia. Siedzenie w zamkniętej celi, niezbyt pocieszające wiadomości o pierwszych walkach pod Dukorą, gdzie bolszewicy rozpoczęli działania przeciw 1 pułkowi (krechowieckiemu) ułanów, niepewność jaki los nas czeka, wszystko to zaczęło oddziaływać na stan psychiczny. Mnie osobiście ratowało od depresji czytanie książek, które dostarczył nam pułk. Dybowski.

Jednak nawet w tym ciężkim nastroju były chwile komiczne. Tak naprzykład jeden z naszych kolegów, nie linjowy, nie znając ręcznych granatów obawiał się ich bardzo i nawet deprymująco działał na niego fakt, że w celi mieliśmy ich parę sztuk. Podporucznik Gołogowski, bardzo wesoły i miły kolega, postanowił zabawić nas kosztem jego strachu. Któregoś poprzedniego dnia, między produktami otrzymaliśmy mały okrągły słoiczek konfitur. Długo się one nie utrzy-

mały, pozostał z nich tylko próżny słoik. Otóż ppor. Gołogowski w sekrecie przed owym bojaźliwym kolegą owinął słoik papierem i włożył mu pod poduszkę, poczem powiedział mu, że schowano mu pod poduszkę granat. Ten przestraszony zaczął prosić początkowo psotnika, a później i nas wszystkich, by mu wyjąć z łóżka „granat", gdyż takich żartów nie uznaje. Drocząc się z nim, żaden z nas uczynić tego nie chciał, czem doprowadziliśmy biedaka do zdenerwowania. Wreszcie ppor. G. zgodził się wyjąć „granat". Obydwaj zbliżyli się do łóżka, ppor. G. sięgnął pod poduszkę i wyciągnąwszy słoik owinięty w papier rzucił go pod nogi drżącemu koledze. Trzask tłuczonego słoika wywołał taki strach w biedaku, że pomimo ogólnego śmiechu, którym wybuchliśmy na widok jego przerażonej miny, żal nam się go zrobiło. Żart ten prędko poszedł w niepamięć i życie nasze potoczyło się dalej — smutnym codziennym trybem.

Wkrótce doszło do naszej wiadomości, że główno-dowodzący zachodniego frontu Miasnikoff, przesłał naszą sprawę do „Gławkowiercha" Krylenki do Mohilowa. W końcu drugiego tygodnia naszego więzienia, jednego dnia około godziny 3-ciej popołudniu, urzędnik telegrafista Polak z Dowództwa Zachodniego Frontu, przedostał się do naszej celi i pokazał nam depeszę, którą osobiście odebrał aparatem „Hughesa". Treść tej depeszy była następująca: „Aresztowanych członków Polskiego Komitetu wysłać jutro rano o 5-ej dla likwidacji do Mohilowa".

Treść jasna, to też żaden z nas nie myślał czekać dobrowolnie na tę „likwidację". Wszczęte natychmiast starania by uzyskać pomoc w ucieczce natrafiły jednak na wielkie trudności. Tymczasem miasto i okolica zapełnione były wojskiem, a właściwie bandami zanarchizowanych żołnierzy. Uciekać więc można tylko do swoich, a najbliższym oddziałem był 1 pułk ułanów w Dukorze o 38 wiorst od Mińska. Były już chwile zwątpienia, gdy straciliśmy nadzieje. Lecz niebrakło serc, które nam sprzyjały. Nad przygotowaniem ucieczki pracowali nie tylko nasi koledzy, lecz i kobiety Polki. Najwybitniej dopomagały do tego panie Dr. Dziekońska, Kazimierzowa Bispingowa i rotmistrzowa Sobieszczańska. Im też należy się nasza dozgonna wdzięczność i cześć.

Wreszcie o godz. 7 wieczór pan Chmyzowski, który najwięcej nad ratowaniem nas działał przyszedł, by powiadomić nas o całym planie ucieczki. Otóż podesaul Jkajew, ma się rozumieć dobrze opłacony, zezwolił nam pójść wieczór do znajomych (o godzinie 10-tej). W dwóch różnych punktach na skraju miasta, oczekiwać nas będzie dwoje sanek. Wzdłuż drogi od więzienia do sań będzie rozstawiony łańcuch skautów obserwatorów; którzy kierować będą naszymi

krokami. Jedne sanie prowadzić będzie pani Kazimierzowa Bispingowa, drugie porucznik Dziewanowski (dziś ś. p.), który przyjechał z Dukory z odjeżdżającym za granicę rotmistrzem Żółkiewskim. Mamy wychodzić pojedyńczo co 5 do 10 minut. Każdemu z nas dostarczono rewolwer. Pojedziemy do Dukory, do 1 pułku ułanów, a dalej, jak się da. Rzeczy, które każdy z nas przez znajomych powoli ściągnął do celi, pozostawić musimy w celi, aby kontrolujący nie zauważył przygotowań do ucieczki. O, jak długie i przykre te godziny, od zaznajomienia się z planem ucieczki do momentu opuszczenia celi... Wreszcie nadchodzi godzina 10-ta. Pierwszy wychodzi chor. Bisping, by biec i objąć sanki od swej małżonki, drugi płk. Tupalski i t. d. Wyszedłem czwarty z uczuciem, że łatwiej jest siedzieć w celi, niż iść w nieznane drogi. Skradanie się przez miasto, mijanie żołnierzy, gdy zdaje się, że każdy poznaje we mnie zbiega z więzienia, tajemnicze szepty harcerzy „czuwaj, droga wolna" „iść prosto" „na rogu na prawo" wryły się w mą pamięć niezatartem wrażeniem. Wreszcie jesteśmy wszyscy na miejscu. W saniach z por. Dziewanowskim czterech, w malutkich sankach z Bispingiem trzech. Ruszamy początkowo tuż za miastem wolno, dalej ile konie podażą. W tem „trach", coś pękło. Sanie ślizgają się na prawo, na lewo, koni zatrzymać nie można. Złamał się dyszel, a od miasta jesteśmy zaledwie 2 — 3 wiorsty. Z trudem opanowaliśmy konie i zatrzymujemy sanki. Co robić? skąd wziąć nowy dyszel? tak dalej jechać niepodobna. Noc mroźna i księżycowa poświata stwarza nastrój dziwny, tajemniczy. Naraz por. Gołogowski zwraca naszą uwagę na zabudowania leżące w odległości około wiorsty od szosy. Mniejsze sanki (Bispinga) tymczasem nadjechały. Postanawiamy, że pozostaną one koło szosy, my zaś ze swymi przepchamy się do tych zabudowań, aby tam szukać pomocy.

Dojeżdżając poznajemy, że to jakiś dwór. Park wokoło. Wjeżdżamy na dziedziniec. Z lewej strony mały domek, za nim drugi budynek, widocznie szopa dla narzędzi rolniczych, dalej prostopadle do szopy jakiś większy budynek stajnia, a może obora, z trzeciej strony czworoboku duży budynek, trudno rozpoznać, do czego służy.

Gołogowski i Brachowski skradając się idą do szopy, por. Dziewanowski trzyma konie, ja z rewolwerem w ręku staję na czatach. Od szopy wracają nasi, niosą jakiś drąg. Próbujemy, nie nadaje się. Idą więc poraz drugi do szopy. W tem otwierają się drzwi domku i wychodzi jakiś mężczyzna. Krzyknął „Kto eto". Na ten okrzyk zbliżają się ku niemu od szopy obaj nasi koledzy i ja podchodzę od sań. Nie możemy dopuścić do tego, by zrobił alarm lub by uciekł. Zdecydowany jestem strzelać i broń trzymam w pogotowiu. Lecz

on już rozmawia z Gołogowskim, podchodzą razem do sań. Okazuje się, że jest Polakiem i rządcą tego mająteczku, który nazywa się Łoszyce. Mówimy mu, co nam potrzebne. Pomaga chętnie, przyniósł topór i sznury. Sanie odwracamy do góry płozami i zaczyna się naprawę. Rządca przestrzega, by zachować się cicho. Cały folwark zajęty jest przez szwadron nizogorodzkiego pułku dragonów, a w okolicy prawie aż po Dukorę po wsiach rozlokowana kaukazka dywizja kawalerji. Wreszcie naprawa ukończona, zaprzęgamy konie i dziękujemy rządcy za pomoc. Pyta się, co my za jedni — „Polacy zagrożeni przez bolszewików" — odpowiadam. Żegna nas życzeniem „dopomóż Bóg w drodze".

Jedziemy dalej nieco spokojniejsi„ gdyż widocznie Bóg nam dopomaga. Łoszyce mogły być również kresem nieszczęśliwej ucieczki, gdyby rządca był moskalem, lub gdyby zamiast niego wyszedł do nas któryś z żołnierzy. Jadąc do Dukory, musieliśmy minąć parę wsi. Nie było to bezpieczne. Bandy żołnierskie, nawet i chłopi zatrzymywali przejeżdżających i po obrabowaniu najczęściej zabijali. Nie obawialiśmy się luźnych band chłopskich, lecz gdyby drogę we wsi zastąpili nam żołnierze, to mogłoby być groźne. Dlatego też przez wieś przejeżdżaliśmy cwałem.

Wreszcie około godziny 7 rano przybyliśmy do Dukory. Przyjęto nas jak swych blizkich, wybawionych od śmierci. Tu dopiero uczuliśmy, że najgorsze zło minęło.

Z Dukory przebijaliśmy się potem grupami. Jedni z pułkiem ułanów w okolice Bobrujska, ja z Bispingiem i Gołogowskim do samego Bobrujska. Niewola skończona. Znowu rozpoczęliśmy pracę, by dojść wreszcie do wolnej i niepodległej Ojczyzny.

Adolf Abram

PO BITWIE MIKULINIECKIEJ.

„Najwyższy już czas, by wyzyskać dotychczasową pracę wojskową, zebrać, jakie się tylko da, siły zbrojne, oddając je Ojczyźnie do bezpośredniej dyspozycji"... Są to słowa ś. p. ppłk. Lisa-Kuli na jednej z konferencyj jego jako komendanta Komendy Naczelnej 3 P. O. W. z przedstawicielami Komendy Głównej Organizacji Werbunkowo - Agitacyjnej w Kijowie.

Na podstawie porozumienia pokrewnych ideowo tych organizacyj oficerowie organizacji werbunkowo - agitacyjnej wyjeżdżają w pierwszych dniach listopada 1918 roku z Kijowa do tych oddziałów austrjackich, stacjonowanych na Ukrainie, a złożonych z Polaków, których nastrój, na podstawie meldunków oficerów werbunkowych, pozwalał mieć nadzieję, że pójdą za głosem wojskowego ośrodka ideowego na emigracji.

Niestety, akcja ta została rozpoczęta nieco zapóźno, gdyż okupacyjna armja austrjacka za przykładem armji rosyjskiej rozsypała się z błyskawiczną szybkością bodaj że w dniu, w którym oficerowie werbunkowi przybyli do wymienionych niżej oddziałów, tworzących później tak zwaną „Grupę Mikuliniecką".

Zadanie, jakie określiła sobie O. W. A. w porozumieniu z P. O. W. polegało na zebraniu możliwie największego oddziału zbrojnego i poparciu akcji ppłk.Lisa-Kuli, którzy zamierzał przedrzeć się z oddziałem P. O. W. do kraju, poparty z jednej strony przez późniejszą Grupę Mikuliniecką, z drugiej (od Dubna) przez oddział konny, którego zorganizowanie nie doszło do skutku.

Grupa ppłk. Lisa-Kuli zmuszona była wystąpić przed nadejściem ściganych już oddziałów późniejszej Grupy Mikulinieckiej i została, niestety, pod Radziwiłłowem rozbita.

Do okolic Płoskirowa udało się ściągnąć w połowie listopada półbataljon 2-go pułku ułanów i zdekompletowany również bataljon 16 pułku strzelców, koncentrując je w rejonie Jarmoliniec.

Na wieść o rozbiciu grupy ppłk. Lisa-Kuli trzeba było powziąć decyzję co do dalszych losów i zadań zebranych już oddziałów.

Niedługo szukano zadania dla oddziałów. Uwagę każdego żołnierza polskiego ściągały rozgrywające się pod Lwowem walki. Słusznie sądzono, że na tym odcinku decydującą rolę odegrać w owym momencie może nawet niewielki zbrojny oddział. Z tych rozważań wypływa decyzja: Marsz na odsiecz Lwowa!

Utworzono naprędce sztab oddziału na czele z dowódcą grupy ś. p. płk. Rybińskim (komendant O. W. A. rejonu Odessy), dowódcami bataljonów majorem Gigielem (przydzielony oficer P. O. W.) i por. Rudzińskim (jedyny oficer - Polak przybyłego oddziału 2 pułku ułanów).

Rolę szefa sztabu powierzono por. Orlikowi - Rückemanowi.

Kilkunastu oficerów i szeregowych, członków P. O. W. i O. W. A. przydzielono do sztabu i poszczególnych oddziałów linjowych: zadaniem ich było, poza funkcjami wojskowemi, utrzymanie bojowego i patrjotycznego nastroju wśród żołnierzy. Kierownictwo wojskowe i ideowe spoczywało zatem głównie w rękach byłych legjonistów, oraz przydzielonych członków P. O. W., O. W. A. przebywających wówczas w oddziałach austrjackich. Wśród nich byli kapitan, a obecnie generał Olszyna-Wilczyński i wymieniony już porucznik, obecnie pułkownik Orlik-Rückeman.

Po kilku drobnych zwycięskich utarczkach udało się dotrzeć do Mikuliniec (około 25 klm. na południe od Tarnopola), gdzie odbyła się właśnie w dniu 28 listopada decydująca bitwa. Stąd też oddziały powyższe otrzymały nazwę „Grupy Mikulinieckiej", lub „Grupy płka Rybińskiego".

Szef sztabu grupy, Rückeman, opisał szczegółowo marsz i bitwę w książce ppłka Bagińskiego p. t. „Wojsko Polskie na Wschodzie".

Otoczona przez regularne oddziały ukraińskie i uzbrojone bandy chłopów, rozagitowane przez emisarjuszy ukraińskich, werbujących się w znacznej części z nauczycieli ludowych, Grupa Mikuliniecka, po zadaniu bardzo dotkliwych strat przeciwnikowi, uległa przemocy.

Zmęczenie szeregowych i ufność, że po złożeniu broni Ukraińcy puszczą ich na wolną stopę do domów, doprowadziło do wysłania parlamentarjuszy i późniejszej kapitulacji, która dla kapitulujących bardzo smutnie się skończyła.

Element kierowniczy, a więc członkowie P. O. W. i O. W. A. zdawali sobie sprawę z tego, jak wielką niepewność losów przedstawia kapitulacja oraz jak mało prawdopodobnem jest, przepuszczenie nawet rozbrojonych żołnierzy do Polski; na ostatniej nocnej naradzie postanowili nie poddawać się w żadnym razie i po kilku próbach —

bezskutecznych zresztą — zorganizowania oddziału dla przedzierania się z powrotem na teren Ukrainy, sami w liczbie 12-tu oficerów i szeregowych przeszli niepostrzeżenie przez kordon nieprzyjacielski. Lecz już w połowie drogi powrotnej, we wsi Kozówce, otoczeni zostali przez żandarmów ukraińskich i chłopów i aresztowani w chałupie, w której zatrzymali się dla chwilowego wypoczynku.

Odtąd rozpoczyna się znęcanie i katowanie uwięzionych. W ciągu kilku godzin przechodziły setki chłopów z Kozówki i okolicznych wsi przez lokal urzędu gminnego, w którym osadzeni zostali więźniowie, w celu poznania „legjonierów". Kopano ich, pluto, rabowano. Skręcano sznur dla rzekomego powieszenia ich. Wreszcie, po odebraniu wszystkich cennych rzeczy i otrzymaniu zaświadczenia na piśmie, że aresztowani nie mają „żadnych pretensyj" do władz ukraińskich, związano postronkami aresztowanych i odwieziono do więzienia w Tarnopolu.

W celi z wybitemi szybami rozbierano do naga niemal więźniów, dając im wzamian jakieś strzępy ubrań.

Jedna grupa Ukraińców, na czele z sierżantem żandarmerji i nawet oficerami, katowała w ciągu godziny aresztowanych. Inna znowu rozpoczęła rozprawę bestjalską systematycznie. Stawiano więźniów pod ścianą i po skomenderowaniu „baczność" z okrzykiem: „króla chcesz", „Polski chcesz", bito więźniów po twarzach pięściami i kolbami.

Nazajutrz dopiero komisarz ukraiński rozpoczął badanie aresztowanych.

W rezultacie władze ukraińskie wytoczyły proces nie tylko powyższej grupie 12-tu, lecz całej Grupie Mikulinieckiej, którą—wbrew nadziei na uzyskanie wolności — spotkał niemniej tragiczny los.

Po złożeniu broni przez żołnierzy, całą grupę dziesiątkowano, znęcając się nad nimi w najokrutniejszy sposób. W ciągu jednego dnia padło ofiarą tej zwierzęcości około stu bezbronnych żołnierzy i pięciu oficerów. Pozostałych przy życiu odwieziono również do Tarnopola, przyczem w drodze zamordowano dodatkowo dziesięć osób.

Reszty dokonały choroby, głównie tyfus, od którego uchroniło się zaledwie 2 oficerów i około 20 szeregowych, 5 szeregowych zwarjowało i wiele osób od chorób zmarło. W ciągu zimy zdrowszych brano na roboty do lasów, gdzie kilku zamarzło.

Dopiero w połowie 1919 roku pod wpływem postępów ofenzywy polskiej wywieziono szeregowych do Halicza, gdzie zostali ze strasznej niewoli uwolnieni przez wojska polskie.

Oficerów wywieziono do Buczacza, gdzie ich również uwolniły zwycięskie wojska polskie 2 czerwca 1919 roku.

Tylko niektórym z nich udało się nieco wcześniej uciec z niewoli i przedostać się do kraju.

Oto jaki los spotkał garstkę żołnierzy, którzy, pragnąc zameldować się w armji niepodległej z bronią w ręku, krwią i cierpieniami zadokumentowali swój udział w walkach o niepodległość.

Jest to jeden z tragicznych epizodów ogólnej akcji zbrojnej polskich zakonspirowanych organizacyj wojskowych na terenie byłego imperjum rosyjskiego, które postawiły sobie za zadanie — tworzenie własnych oddziałów P. O. W. oraz oddziałów wojskowych z oficerów i szeregowych Polaków armij obcych.

Pod względem wojskowym tragicznie zakończona walka dla samych uczestników bitwy w Mikulińcach, o tyle przysłużyła się rozgrywającej się pod Lwowem akcji, że dowództwo armji ukraińskiej w Tarnopolu, które przygotowywało oddziały wojskowe dla wysłania ich pod Lwów, skierowało je częściowo przeciwko Grupie Mikulinieckiej.

W ten sposób Grupa Mikuliniecka pośrednio odciągnęła oddziały ukraińskie, przeznaczone pod Lwów w momencie rozstrzygających się tam walk.

Zamordowani i zmarli w więzieniu członkowie P. O. W.: Miernicki, dwaj bracia Sułkowscy, Jarząbkiewicz i Dobrowolski; ranny w bitwie — kpt. Olszyna - Wilczyński, obecny generał.

Więźniowie, aresztowani po przedarciu się z Mikuliniec: Generał Rybiński, płk. Rückeman, mjr. Gigiel, kpt. Abram, por. Birnbaum, por. Siedlecki Krzysztof, członek P. O. W. Siedlecki Stanisław, ppor. Jarząbkiewicz, por. inż. Matkowski, ppor. Dobrowolski, członek P. O. W. Dobrowolski i lekarz grupy (nazwisko nieznane).

Nazwisk innych zamordowanych, poległych, rannych i wogóle uczestników walk pod Mikulińcami z braku czasu przy opracowaniu niniejszego zarysu zebrać się nie udało.

Artykuł Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego „Z moich przepraw na Ukrainie i w Rosji" nie został umieszczony ze względu na niemożność wykończenia na czas korekty autorskiej.

SPIS NAZWISK

A.

Abram 490, 493
Adams 119, 120, 122
Aleksandrowicz ś. p. 74
Apfel 82
Argasiński 83
Andrzej 173
Antoniewski 209
Anulewicz 230
Anusz 456, 473
Anzlewicz 238
Awrałow 484

B.

Baczyński 174, 255. 276, 277
Bandrowski-Kaden 346
Bandurski 120
Barański 284
Baczyński 282
Bardzik 83
Bałaban 406
Bardel 438, 462, 477, 499
Barth 132, 133, 185 218, 288
Barthel 208, 218, 287, 427
Bartoszewicz 457
Baryła 844
Barzykowski 362, 411
Baszley 427
Bayer 444, 447
Baziński 491
Beaurain 202
Belina-Prażmowski 9, 66, 312, 320
Benedykt 450, 467,
Berr 318
Beres 345, 351, 352
Berbecki 19, 47, 96, 135, 136, 149, 150, 183, 261, 278, 387
Berling 131
Bernhardi 112
Berson 484, 486
Beseler XXXV, XXXVI, 155, 54, 59, 62, 63, 65, 80, 81, 84, 94, 96, 99, 104, 119, 122, 126, 129, 130, 132, 137, 140, 141, 142, 150, 152, 157, 185, 187, 216, 218, 230, 242, 249, 266, 281, 305, 411, 422, 438
Bethman-Hollweg 6
Bezek 406
Bęben 83
Będziński 431
Biernacki 22, 66
Biliński 20
Bilyk 18, 26, 62, 406
Birnbaum 493
Bisping 484, 485, 486, 487, 488, 489
Bittner 101
Błeszyński 223
Błotnicki 35
Bobicki 426, 431,

Bobrowski dr. 165, 168
Bocheński 318
Bochenek 83, 86, 87

Bogusz 314, 316
Boguszewski dr. 66
Bolesławicz 344
Bold 201, 202, 204, 206, 207
Borecki 27
Borek 259
Borchowski 318

Borkowski 143
Borutski 157
Bortnowski 449, 450, 451, 513
Borylka 576
Bosdel 461
Brachowski 488
Brandt 318, 321
Brandys 439
Bratro 82, 92
Brodziński 98, 100
Broniewski 111
Brudziński 119
Bryckner 161
Brymow 278
Brzoza-Brzezina 19
Buchsbaum 83, 218
Bukowski XV, 198
Burhardt-Bukacki 30, 75, 183, 184, 198

C.

Calewski 278
Cerklewicz 486
Castellane 438, 440
Chełmicki 278
Chmyszowski 486 487
Chojnacki 245
Chrzan 248
Ciesielczuk 243
Ciepichall 27, 75, 79
Ciszak 111
Ćwiertniak 229, 230, 231

Cyprysiński 209
Cywińska 457
Czachowski 196, 255, 276
Czaczka 73
Czadek 416
Czajkowski 222, 406
Czapiński 420
Czapski 441
Czarnocki 448, 457
Czarski 323
Czeheidze 450
Czernin 93, 279
Czerkowski 390
Czernow 273, 294
Czuh 161
Czuma 444, 446, 448, 450, 480
Czuszkiewicz 82

D.

Daniec 111,
Daniłowski 1
Daszyński 163, 519
Darowski 456
Den 408, 409
Denehl Władysław (Agrafka) 1
Denehl Marjan 1
Dębski 476
Diamand 248
Diksztejn 119
Dittman 270
Długoszowski - Wieniawa 494
Dohorczyński 73
Dohrodzicki (Gad) 78, 184, 194, 234, 235, 245, 346
Dobrowolski 493
Dolais 22
Domański 318, 326
Domaszewski 83
Dorożyński 458
Doskoczyński 377
Downarowicz 17
Dreszer-Orlicz 68, 75, 87, 106, 241, 292, 321, 337, 339, 340
Drewnicki 385
Drewnowski 318, 378
Drojewski 273
Dryman 340
Dublańczyk 321
Duklan 237
Dunin (Pogoń) 198
Durek 83
Durski 208, 209, 210, 411, 312, 414
Dworzańczykowa 457
Dybowski 486
Dziduch 83, 218
Dziedzicki 486
Dziekanowski 225
Dziekońska 485, 486, 487
Dzierzbicki 119
Dziubińska 457
Dziewanowski 488
Dzwonkowski 204
Dżułyński 83

E.

Eichhorn 135, 436
Ejserman 318
Endel 82

Emisarski 462

Esperey 496

F

Fabiszewski 254
Fabrycy 55, 73, 74, 75, 217
Fagljo 92
Falkiewicz 249
Fascjoti 426
Fath 24
Fedorczyk 83
Fela 81, 245
Ferdynand arcyksiążę 3
Fijałkowski 462
Filipowicz 340
Filus 33
Fleszar (Satyr) ś. p. 46, 47, 48, 49
Florek 384
Frankowski 250
Franciszek Józef I 33, 176
Francak 444
Furgalski-Wyrwa 106
Frenkiel 255, 274, 275, 326
Fiegler 271
Franke 318
Frej 476
Furgalski-Pandor 344, 345, 347, 351
Fyda 344

G.

Galica 132, 138, 143
Galos 248
Gaładyk 111
Gałka 242
Gałusiński-Jełowicki 201
Ganczarski 222, 248, 360, 363, 364, 365, 414
Gieter 249, 252, 253
Gigiel 248, 491, 493
Gilewski 315
Ginler 519
Glass 428, 432, 437, 515

Gliwicz 238
Gliwic 324
Głuchowski 278
Głuzman 484
Gniady 418, 420, 425, 426, 427, 435, 441
Gnoiński 206
Goldman 414
Goldsztajn 318
Goliński 206
Gołogowski 484, 486, 487, 488, 489
Gomulicki 438, 439, 440
Gomóliński 271, 272
Gondek 253, 256, 275, 276
Gordon 28
Gorgoń 259
Gostomski 209
Gostyński 83
Górski 205, 206, 515
Górecki Piotr 17, 340
Górecki Roman 248, 363, 364, 375, 376, 386, 412, 413, 414
Grabowski 315, 476
Grabski 282, 465,
Grendyszyński 60, 64, 66, 67, 68, 216
Grochowski 378
Gruber 220
Gruszka 358
Gülpen XXXII, XXXIII, XXXIV, XXXV, XXXVIII, XXXIX, XL
Grzesicki 22, 27, 178, 179
Grzybowski 131, 218, 236, 239
Gwiżdż 174

H.

Haller 21, 50, 92, 105, 114, 120, 124, 128, 129, 130, 199, 221, 229, 275, 358, 413, 415, 423, 429, 430, 432, 433, 435, 437, 438, 441, 442, 444, 447, 479, 480, 481,

Habsburg 173
Hajdrych 234

Hałasiński 462
Hałaszyński 473
Harting 485, 486
Hatzfeldt XXXVIII, XXXIX 15
Helman 484
Heller 28, 71
Hempel 176
Herodek 3

Hiller 274

Hindenburg 440—478
Hoczowski 131,
Hofbauer 421
Hofmann 421
Hulanicka 455, 456, 458, 462, 463, 480
Holinkowski 82
Hołówko 427
Horaszkiewicz 28
Hozer 346
Hubel 211

I.

Ikajew 481, 485, 486, 487
Iwanowski 456, 480,
Iwanowska 457

J.

Jabłoński 252
Jakóbiak 255
Jakowicki 84
Jakób 220
Jakóbski 221
Jancarz 131
Janecki 276
Janczewski 244
Jankowski 231, 244
Janicki 161
Januszajtis 19, 25, 27, 28, 29, 30, 36, 60, 67, 68, 99, 101, 149, 181, 216, 250, 278
Jarnuszkiewicz 75
Jaroszyńska-Sierakowska 444
Jastrzębkiewicz 493
Jastrzębski 158
Jaworski 20, 176, 318
Jedynak 131,
Jędrychowski 131, 161
Jędrzejewicz 17
Jołka 83
Jon 271
Jota 457
Jugendfein 406, 408
Jurkiewicz 454, 455

K.

Kaczorowski 191, 192, 193, 194, 195
Kakowski arcybiskup 79, 236, 239, 242
Kaliński 68, 82
Kamiński 107, 111, 203, 208, 248
Kamski Maks 219 220
Kantor 91
Kaplicki 81, 240, 241, 245, 254
Karcz 230, 235, 238, 242
Karol cesarz 87, 105, 129, 141, 173, 214, 353
Kasper 106
Kasperowicz 268 269
Kasza 161
Kaupisch 252, 253, 322, 324
Kasprzycki 84
Kessler XXIX, XXX, XXXI, XXXII, XXXIII, XXXV, XXXVI, XXXVII, XXXVIII, XXXIX, XL, 14
Kępisz 116
Kierkowski 213, 220, 222, 224
Kijek 243
Kittner 27
Klakurk 161
Klaresfeld-Szczerski 161
Kleeberg 80, 92, 160, 202, 203, 204
Klementowski 131
Kiliński 202, 204
Klimek 131, 161
Kluss 66
Knobelsdorf 184
Koc Adam 100, 184, 322
Koc Leon 196, 255, 264, 281, 283, 284, 292, 321, 326
Kolbuszewski 154
Kochański 43
Kołodziej 244
Kołłątaj 87, 143, 145, 159, 292, 337, 338, 339, 341
Konopnicki 209
Kordelasiński 271
Korczyński 154, 158
Korkiewicz 33
Kosiba 161
Kotowicz 82
Kownacki-Knoll 202, 206, 208
Kozłowski 218, 387
Kozłowski 59, 83, 228, 229
Kozicki 82
Krajewski 154
Kranz 161
Krudowski 131
Krukowski 260
Krasicki 43, 83

Krylenko 273
Krzyszkowski 222, 224, 275
Kucharski-Bard 262
Kuhnelowa 49
Kukiel 30
Kula-Lis 82, 86, 90, 218, 344, 490, 491
Kulczycki-Sas 30, 82, 92, 93
Kulczycki 88
Kunicki 202, 203, 208
Kurowski 224
Kuryłowicz 83
Kustroń 131, 158, 161, 163
Kürschenbaum 159
Künstler 204
Kwiatkowska 2, 12
Kalabiński 276
Kański 462
Karmazynówna 474
Kętor 500
Kielczman 328
Kiełbiński 431
Kiersnowski 312, 313, 314, 316, 317, 318, 323, 324, 326
Kierciński 446
Kierwiński 314
Kobylecki 286
Kobylański 457, 458
Koj 315, 316, 317
Kolankowski 512
Konas 344
Kończacki 393
Kordecki 314
Korolewicz 313, 408
Kowalczyk 476 477
Kowalewski 444
Kowalski 314, 318
Królikowski 494
Krylenko 464, 467, 483, 487
Kubielas 476
Kulesza 318
Kulwieć 468
Kwapiński 298, 306, 322
Kwieciński 385
Kwinta 463

L.

Lachowicz 454
Landau 457
Langner 218
Laliczyński 131
Liebknecht 422
Lednicki 456
Lekston 236
Lenin 514
Leski 204
Leopold bawarski 51, 123
Lerchenfeld XXXV, XXXVI, 59
Leszczyński 253
Lettov-Vorbeck XX
Lewald XXV
Lewartowski 363
Laveaux de 140, 157, 170
Lewicki 168
Lobkowitz (ksiądz) 353
Loewenstein 385
Lorja 208
Liebermann 224, 276, 346, 385
Ligocki 47
Limanowski 468
Lipiński-Socha 245
Lipszyc 255
Litwin (ksiądz) 39
Litwinowicz 68
Lubaś 431
Lubomirski 87, 239, 250
Lutosławski 467, 468, 469, 503, 505
Lutz 33,

Ł.

Łaguner 261
Łapicki 201, 202, 204, 207, 208, 211, 212
Łazarski 92
Łępicki 119
Łuc 26
Łuczyński Narbutt 75, 197, 225
Łysakowski 218
Łuszczewski 516
Łużecki 37, 424, 425

M

Mach 437
Macko 82
Machnicki 312, 313, 318
Maćkowski 131, 166
Majewski 82, 86, 469
Majda 32
Maksymowicz-Rokita 198
Malbrodzki 234, 237

Malinowski 358, 364, 431
Malecki 318
Maly 212
Marek 107, 224, 337
Maruszewski 196, 255, 257, 258, 264, 270, 271

Matczyński 411, 439
Matkowski 493

Mazurkiewicz 220 222, 224
Mączka 82
Merak 221
Meschiede 274
Mężyński 102, 420, 411, 412
Minkowski 98, 101, 190

Miaśnikoff 487
Michaelis 432
Michalski 234
Michejda 503, 505
Miciński 468
Miedziński 457, 495, 501
Miernicki 493
Mielech 362
Mikołaj cesarz 5
Mikołaj Mikołajewicz 66
Miładowski 33
Minkiewicz (Fjut) 1, 19, 462, 463
Mirski 443, 444,
Mirska 459
Miszewski 32, 73, 234, 235, 236, 237, 242, 245
Młodzianowski 68 76, 185, 187
Mokłowski 245, 253, 298, 305,1 322, 325
Momentowicz (Florjan) 1
Moraczewski 92, 163, 497
Mostowski 316, 317, 38, 328
Moszczeńska 16
Muratow 464, 469, 479
Muśnicki 273, 274, 278, 282, 284, 363, 392, 410, 412, 413, 421, 42, 463, 464, 465, 475, 498, 502

N.

Naramowski 206, 321
Nakoniecznikoff 431, 432, 446, 448, 480
Naumann 5
Naziębło 338, 339
Nechay 83
Nidental 82
Nieć 83, 461
Niedbalski 318
Niemojowski 63, 4, 128, 136
Nieniewski 92
Niewęglowski 278
Niezabitowski 83
Nilski - Łapiński 189
Norwid-Neugebauer 19, 66, 116, 131, 220, 221
Nothe 305
Nowakowski - Wielkopolanin 198
Nowaczyński-Neuwert Adolf 66, 87
Nowosielski 131

O.

Ocetkiewicz 358, 411
Oenhaus 293, 299
Okołowicz 225, 360, 361, 363, 414
Olgiebrandt 486
Olszamowski 320, 321, 322, 324, 335
Orek 264
Orlik 134
Orłowicz 83,
Orłowski 252,
Osiński 299, 323
Osmólski 17
Ostrowski 87, 143, 145, 159, 278, 292, 337, 339, 385

P.

Pacuła 454
Paic 92
Pakosz 82
Pakowski-Bosak 143
Panaś 204, 205, 206, 412, 414
Paszkowski-Krok 337, 339
Patroński 316
Pauli 185
Pawłowski 82

Peters 517

Pewnicki 312, 318.
Piasecki 255, 321, 326
Piątek-Herwin 173
Piegat 444
Pikusa 88
Piłsudski XII—XL. 1, 2, 3, 4, 5, i t. d.
Piłsudska Marja 81, 346

Pindela 462
Piotrowski 316, 431
Piórecki 93
Pisarski 234
Piskor 29, 62, 65, 70, 79
Piwnicki 82
Plamer 349
Plewiński 318
Pliszewski 441
Płotnicki 463, 467, 477, 480
Podgórska 457
Pomazański 359, 360, 363, 364, 365, 368,
Popiel 386, 387

Popowicz 220, 221, 222
Popiołek 388
Popławski 495
Parczyński (Młot ś. p.) 73, 74, 78, 83
Posiadło 243
Postolka 360, 363 365
Potocznik 348
372, 412
Prądzyński 243
Pruszkowski 338, 339
Pryziński 313, 315 317
Przeworski 385
Przeździecki 482. 484

Pytel 89, 90, 244

R.

Rabiński 313
Raczkiewicz 431, 432, 433
Raczko 258
Raczyński 215, 216
Radliński ś. p. 76
Radlińska 16, 17
Radomski 110, 111, 228, 239
Radoniewicz 454
Radziwiłł 119
Rakisz 131, 161
Rataj 252

Rembacz 462
Rodeville 517
Rogalski 360, 361, 363, 364, 365, 368,
414
Roja 21, 27, 50, 84, 110, 112, 124, 155,
191, 192, 193, 194, 217, 351
Rolny 476
Romer (Rzymski) 28, 71, 107, 111
Roniker 119
Rotarski 22, 377
Rouppert 75

Rożen 208
Różycki 255
Rubiński 490, 493
Ruebenbauer 22
Rudka 441, 444
Rudzki 204
Rudziński 491
Rutkowski 82, 480
Różycki 240
Rückemann 219, 491, 493
Rüttner 234
Rylski 41, 101, 102, 112, 114, 115, 116,
219, 220, 224
Ryng 161
Ryt-Wardzewski 318, 326

S.

Sabatowski 345, 351
Sadowski 255, 264 280
Sainte-Anlaire poseł 427
Salinger 230
Samborski 464
Sapieha 8, 235, 238
Sawicki 84, 173
Sawiczewski 474

Scheuring 161
Schätzel 205, 208, 219, 220, 457,
Schilling 92, 93, 163, 211, 222, 345, 390
393, 395, 408, 439, 440, 441, 444
Schmakowsky 101
Sęp-Szarzyński 463, 479, 497
Sidorowicz 414
Siedlecki 493
Siems 211, 212
Sierakowski 89

Sikorski 25, 114, 117, 150, 153, 154, 156, 158, 159, 160, 161, 163, 170, 185, 187, 257, 272, 274, 328, 426, 431, 450, 458, 463, 467, 469, 479
Sierant 89, 90, 91
Sierpińska 457
Skąpski 6, 456
Skirmunt 248
Skobryn 235
Skoropadski 438
Skotnicki 87, 241, 292, 321, 337, 339
Skwarczyński 108
Skowroński 316, 317, 318
Sławek (Gustaw) XI, 1, 2, 3, 17, 107, 519
Sławoj-Składkowski dr. 79, 196
Słobódzki 205
Smolarski 131
Sobieszczańska 427
Sochaczewski 438
Sokolnicki XII, XXX, 1, 16,

Sołohub 427
Sosnkowski XI, 1, 2, 3, 10, 11, 12, 14 16, 17, 19, 21, 24, 25, 27, 37, 41, 50, 79, 124, 180, 501
Sowiński-Or 267, 275
Stach 455
Stachlewski-Dan 256, 261, 268, 270, 271, 272, 326
Stachiewicz Wacław 183, 197
Stachiewicz Juljan 82, 84, 90, 91, 172, 207, 218, 248, 249, 351, 356

Stankiewicz 426, 428, 432, 456, 469
Staniszewski 325
Stadnicki 495
Stasiak 378
Starka 476
Starzyńska 16
Starzyński 250 356
Staszek 255
Staszkowa 457
Stawarz 161, 368, 419
Stecki 462, 463
Steczkowski 280, 437
Stefański 196
Strug 249,
Strószyński 457
Struski 229
Studnicki 65
Stryjeński 218
Strzegocki 220
Strzelczyk 463, 464, 465, 467
Spychalski 316 317, 318
Sokolewicz 339
Sujkowski 131, 210, 250, 322
Sulistrowski 27, 68
Sumnik 280
Supiński 272
Surmiak 316
Surówka 82
Świtalski 68, 220, 221
Szafran 83
Szafranowski-Morus 73, 87, 337, 339 119, 122, 123, 124, 126, 130, 182, 186, 287
Szajewski 28, 73
Szaroch 248, 249
Szczerbanow 426
Szczęsny 484
Szeląg 462, 467
Szelichowski 222
Szmidt 318
Szos 35
Szeptycki 41, 42, 43, 45, 49, 115, 117,
Szulc 501
Szultze 14

Szykowski 245
Szyszko 105

Ś.

Ścieżyński 43, 65, 218
Śliwiński 3, 10, 1, 128
Śliwowski 484
Śmigły-Rydz 19, 22, 24, 25, 27, 34, 41, 44, 45, 49, 50, 51, 55, 62, 66, 67, 68, 73, 76, 77, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85 86, 88, 92, 108, 111, 182, 210, 248, 249, 277, 287, 327, 328 343, 356,
Śniadowski 203, 204, 205, 208, 210
Śpiechowicz-Boruta 437
Świątkowski 82
Świerczewski 318
Świętopełk 176
Świętosławski 45?
Święcicki 249, 269

Świderski 279
Świdziński 313, 314
Świtek 495

T.

Targowski 8, 340
Tarnawski 266
Tarsiński 454
Terlecki 160, 220
Teslar 446, 461, 469
Tessaro (Zosik) 30, 32, 68, 73, 84, 87, 99, 235, 236, 237, 252, 292, 318, 321, 334, 337, 339
Thun 461, 462
Tokarz 258
Tokarzewski-Karaszewicz 198, 343, 358
Towarnicki 82
Tracz 83
Traugut 268
Trella 112, 154
Trojanowski (Ryś) 1, 75, 185, 189, 191, 192, 193, 194, 197, 216, 418, 420
Tumidajski 219
Tupalski 484
Turkowski 467, 476, 479, 480
Tylski 513

U.

Ulrych 75
Uzdowski-Bończa 75
Uziębło 268, 276

W.

Wadas 222
Wadziński 234
Walner 358, 377
Waligóra 176
Waroczewski 268
Warszawski 250
Warzyński 276
Wasilewski 17, 495
Wasserberg 218
Wasserberger 83
Wąsowicz 28, 315, 317
Wenda 88
Wert 456
Wessig 185
Wędrowski 8

Węgiel 220
Węglowski 154
Wiatr 82
Wieczorkiewicz 67, 75
Wieleżyński 202, 203, 208, 222
Wielki 237
Wierzyński 495
Więckowski 131, 144, 157, 161, 170, 344
Widner 223
Wilczyński-Olszyna 76, 78, 79, 188, 190, 195, 214, 216, 232, 234, 318, 344, 491, 493
Wilson 7

Witecki 249
Witek 390
Wojciechowski 269
Wojsznar 277
Wójcicki 248
Vopick 427
Wroczyński 386, 387
Wyrwiński W. 82
Wyrwiński E. 82
Wyrzykowski 264
Wysocki-Tomaszewski 73
Wyspiański 410

Z.

Zagórski 31, 87, 91, 108, 109, 149, 150, 160, 175, 176, 183, 186, 201, 208, 210, 219, 223, 228, 229, 230, 314, 315, 316, 317, 318, 374, 375, 376
Zaborowski 264
Zając 198, 199, 390, 441

Zalas 110, 238
Zaleska 424, 425

Zamojski dr. 78, 237
Zamorski 26, 27, 41, 82, 84, 88, 218
Zawadzki 209
Zieleniewski (Kalina) 30
Zieliński 63, 89, 91, 92, 100, 131, 133, 135, 137, 139, 141, 152, 161, 186, 188, 211, 223, 227, 274, 276, 312, 358, 359, 360, 362, 363, 364, 411, 412, 413, 457

Zinth (Rzecki) ś. p. 65, 73, 76, 87, 337, 339
Zierhold 438, 439, 440, 441, 442
Zoerner 462, 476
Ziółkowski 318
Zulauf 161
Zwisłocki 200, 203, 208, 447
Zyzewitz

Ż.

Żarnowski 209
Żarski-Radomski 86
Żeligowski 198
Żółkiewski 488

Żurawski 209
Żymierski 19, 215, 431,

LISTA KOMITETU ORGANIZACYJNEGO ZJAZDU

b. więźniów ideowych z lat 1914-1921.

PREZYDJUM:

Gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski (przewodniczący), dyrektor Piotr Górecki, gen. bryg. dr. Roman Górecki, gen. bryg. Orlicz-Dreszer Gustaw, płk. dr. Kołłątaj-Srzednicki Jan, płk. Barzykowski Stanisław, ppłk. Kosiba Adam, mjr. Lewin Maksymiljan, mjr. Śliwowski, mjr. dr. Tatkowski Rudolf, kpt. Caspaeri-Chraszczewski Tadeusz, mjr. Benedykt Stefan, kpt. Śliwa Roman, kpt. Kierkowski Kazimierz, nadkom. Kusiński Bolesław.

CZŁONKOWIE:

Marszałkowa Piłsudska Aleksandra, majorowa Jaroszewiczowa Halina, prezesowa Jaworowska, pułkownikowa Kołłątaj-Srzednicka, poseł Anusz Antoni, prezes Abram Adolf, pułk. Bancer Antoni, płk. Bold Jan Maciej, inż. Budzyński Jerzy, gen. bryg. Burhardt-Bukacki, mjr. S. G. Brzeszczyński Stefan, mjr. Burda, inż. Czyż Witold, płk. Dojan-Surówka. radny Downarowicz Medard, rejent Dreszer Jan, prof. Dyboski Roman. gen. bryg. Fabrycy Kazimierz, mjr. Felsztyński Stefan, prezes Filipowicz Feliks, kpt. Fularski M., wojewoda dr. Grażyński, naczelnik Hołówko Tadeusz, naczelnik Hartman Zenon, kpt. Horyd Wł., mjr. Gałądyk, ppłk. Gnoinski, mjr. Grudziński, dr. Jarecki, pułk. S. G. Koc Adam, poseł Kościałkowski Marjan, płk. Krok-Paszkowski Henryk, dr. S. Krzewski, płk. Koźmiński Juljan, Kowalski Tadeusz, wicewojewoda Lewicki, starosta Łopuski Zenon, ppłk. S. G. Maruszewski Artur, ppłk. Minkowski Anatol, mjr. Merwin Bertold, mjr. lek. Naramowski Mieczysław, gen. bryg. Olszyna-Wilczyński Józef, płk. Ostrowski Bolesław, podinsp. Płotnicki Jan, płk. Podgórski, dyr. Pruszkowski Roman, gen. bryg. Przeździecki Wacław, ks. sen. Paszko Ryszard, mec. Rudziński M., mjr. Rogowski Bazyli, płk. dr. Rudolf Karol. płk. Sikorski Bolesław, płk. Skotnicki Stanisław, płk. Szpręglewski, mjr. Szajewski, Skwarczyński Adam, kpt. Sadowski, ppłk. Sławek Walery, gen. bryg. Składkowski Sławoj, płk. Turkowski, dyr. Turowicz Feliks, gen. bryg. Tokarzewski-Karasiewicz, gen. bryg. Trojanowski Mieczysław, ppłk. S. G. Ulrych Juljan, płk. S. G. Wieniawa-Długoszowski Bolesław, gen. bryg. Wieczorkiewicz Wacław, płk. Więckowski Erwin, kpt. Wądołkowski Ignacy, gen. bryg. Zaruski Marjan, mjr. rez. Łakociński, kpt. Dr. Bielański Zbigniew.

Prezydjum Komitetu Organizacyjnego Zjazdu b. więźniów ideowych z lat 1914—1921

(Posiedzenie w dniu 1 listopada 1928 r.).

Siedzą od lewej — płk. dr. Jan Kołłątaj-Srzednicki, prezes Feliks Filipowicz, gen. bryg. Orlicz-Dreszer Gustaw, gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, gen. bryg. Dr. Roman Górecki, dyr. Piotr Górecki, płk. Stanisław Barzykowski. Stoją od lewej — mjr. Śliwowski, kpt. Roman Śliwa, kpt. Caspaeri-Chraszczewski, ppłk. Adam Kosiba, mjr. S. G. Stefan Benedykt, mjr. Dr. Wacław Lipiński

WACŁAW LIPIŃSKI
(SOCHA)

SZLAKIEM I-EJ BRYGADY
(DZIENNIK ŻOŁNIERSKI)

Wydanie drugie tej książki — wyczerpanej w ciągu niecałego roku, opatrzone świetną przedmową JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO. Świadczy samo za siebie o pracy majora Lipińskiego.

„Szlakiem I Brygady" — to obszerny, pełen bezpośredniości i prawdy djarjusz żołnierza legjonowego. Autor, nie opuszczając swego pułku ani przez chwilę, dzień za dniem notuje z nadzwyczajną skrupulatnością, wszystko to, co się w owczesnym świecie, brygadowym i w Polsce działo. Wszystkie bitwy, marsze, przeżycia, złe i radosne chwile żołnierza legjonowego, przewijają się przed czytelnikiem, dając pełny, niczem niesfałszowany obraz lat 1914—1917, obraz trudów i znoju, z którego wyrosła Niepodległa Polska.

Cena 10 zł

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SZOPKA BENJAMINOWSKA

SPRZYMIERZENIEC

BARDZIEJ NIŻ OPISY, WSPOMNIENIA I PAMIĘTNIKI — ŚWIADCZĄ O NIEUGIĘTEJ, ZAHARTOWANEJ NA STAL DUSZY ŻOŁNIERZA, WIĘZIONEGO ZA DRUTAMI OBOZÓW W PAMIĘTNYCH LATACH 1917 — 1918. W OBYDWU TYCH PRACACH, POWSTAŁYCH ZA WIĘZIENNEMI KRATAMI — ODBIJA SIĘ PONADTO, JAK WE WKLĘSŁEM ZWIERCIADLE — WSZYSTKO TO, CO W POPRZEK IDEOWEJ DROGI ŻOŁNIERZY KOMENDANTA STAWAŁO. GRYZĄCA SATYRA, ŚWIETNY DOWCIP POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW — WALCZĄ O LEPSZE Z GŁĘBOKO ODCZUTĄ IDEOLOGJĄ NIEZŁOMNYCH SZERMIERZY WOLNOŚCI. PIĘKNE, RZADKO WYTWORNE WYDANIE TYCH DWU POMNIKÓW WIĘZIENNEJ NIEDOLI — DODAJE JESZCZE DO WARTOŚCI WEWNĘTRZNYCH — WARTOŚCI GRAFICZNE I ARTYSTYCZNE.

AUTOREM TREŚCI OBU POWYŻSZYCH WYDAWNICTW, OPRÓCZ DWÓCH WIERSZY JÓZEFA RELIDZYŃSKIEGO, JEST POR. WACŁAW BIERNACKI, OB. DOWÓDCA 38 P. P.: KARYKATURY I ILUSTRACJE, KTÓRYCH OBYDWA WYDAWNICTWA ZAWIERAJĄ BARDZO DUŻĄ ILOŚĆ, WYKONYWALI: MJR. BURHARDT-BUKACKI, POR. MŁODZIANOWSKI I KPT. CZ. JARNUSZKIEWICZ. LALKI DO „SZOPKI BENJAMINOWSKIEJ" ORAZ BUDYNEK I SCENKĘ SZOPKI WYKONANO WEDŁUG PLANU PPOR. GOLINSKIEGO. ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE LALEK ROBIŁ KS. KAPELAN CIEPICHAŁŁ.

CENA SZOPKI BENJAMINOWSKIEJ 8 zł.
„ SPRZYMIERZEŃCA . . . . . 11 „

SKŁAD GŁÓWNY

KOMITET ORGANIZACYJNY ZJAZDU BYŁYCH WIĘŹNIÓW IDEOWYCH WARSZAWA — ZAMEK (GAB. WOJSK.).

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

№ 1. Benjaminów 12/VIII 1917 Rok I.

SPRZYMIERZEŃIEC

Wychodzi w czwartki i niedziele.

Od Redakcyi.

Pismo nasze zaczyna wychodzić pod odstraszającym tytułem.

Mielibyśmy jéj wiele sprzymierzeńców. Już nie wspominając o Lidze Kobiet mielibyśmy N.K.N., A.O.K., T.R.S., P.S.Z. – i wszyscy nas zawiedli! Nawet najwierniejsza i najmilsza Liga Kobiet rozrzuca się na dwa przeważnie A. i B., a nasz piśmiennictwo moralny tylko z B. daje się pogodzić.

W historyi naszego wojskowego somnambulizmu nasz „Sprzymierzeniec" jest napewno ostatni. Coraz mniéj warjatów na świecie. Świeże podejście rozkazodawcze z R.G.O. nie wróży nic ponad konce kartofli. Tem większa wdzięczność winna

„Jeńcy wszystkich krajów, łączcie się!"

ogarnąć szerokie i wysokie sfery Benjaminowa w stosunku do Redakcyi, dzięki czemu wojsku naszemu sprzymierzeńca. I że Sprzymierzeniec już na świecie wrzącego, że z wszystkimi innymi dopiero w przyszłość stać się mogą. Chodzą pogłoski po Radmanie niesprzyjające wróżby:

Nie będziemy bluźnierali za przykładem niektórych pism tutejszych, że jakiemu wyrazem potrafią obrazić. „Sprzymierzeniec" wyjaśnia, bo mu się tak podoba.

Kto chce się zgłaszać, stosownie do swojéj obecnego położenia, niech czyta „Biblijon" albo dydaktyczne utwory Kuroni wojskowych.

„Sprzymierzeniec" ma oryginalny: es wird leg".

Strona tytułowa I. numeru „Sprzymierzeńca"

ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

(Wspomnienia i notatki b. więźniów ideowych z lat 1914 — 1921)

TOM I.

Zebrał i opracował Komitet Redakcyjny: mjr. Dr Wacław Lipiński, kpt. Roman Śliwa i por. Bolesław Kusiński pod przewodnictwem gen bryg. Juljusza Stachiewicza

Dzieje martyrologji polskiej z lat 1914 — 1921 winien poznać każdy piłsudczyk, każdy obywatel

CENA ZNIŻONA 6 ZŁ. 50 GR. Z PRZESYŁKĄ

Skład Główny:
Komitet Organizacyjny Zjazdu b. Więźniów Ideowych
Warszawa, Zamek (Gab. Wojsk. Prez. R. P.)

PAMIĄTKOWE ALBUM B. WIĘŹNIÓW IDEOWYCH

KOMITET ORGANIZACYJNY ZJAZDU B. WIĘŹNIOW IDEOWYCH Z LAT 1914—1921

ZAMIERZA WYDAĆ W NIEDŁUGIM CZASIE PAMIĄTKOWE ALBUM, ZAWIERAJĄCE KILKASET NAJCELNIEJSZYCH, DOTĄD PRZEWAŻNIE NIE REPRODUKOWANYCH ZDJĘĆ FOTOGRAFICZNYCH POCHODZĄCYCH ZE WSZYSTKICH DOTYCHCZAS ZGŁOSZONYCH WIĘZIEŃ I OBOZÓW INTERNOWANYCH, A OBRAZUJĄCYCH PLASTYCZNIE WIEZIENNE PRZEŻYCIA ŻOŁNIERZY NIEPODLEGŁOŚCI.

CENA ALBUMU ZALEŻNA BĘDZIE OD ILOŚCI ZGŁOSZEŃ I WYSOKOŚCI NAKŁADU; DĄŻENIEM KOMITETU JEST USTALIĆ MOŻLIWIE NISKĄ CENĘ I UDOSTĘPNIĆ JEGO NABYCIE : : : : JAKNAJSZERSZYM SFEROM : : : :

DLA UREGULOWANIA WYSOKOŚCI NAKŁADU I CENY, UPRASZA SIĘ NADSYŁAĆ ZAMÓWIENIA NA POWYŻSZE ALBUM POD : : : : ADRESEM KOMITETU : : : :

JEDNOCZEŚNIE KOMITET APELUJE DO B. WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914 — 1921 O NADSYŁANIU POSIADANYCH FOTOGRAFJI, RYSUNKÓW, KARYKATUR, SZKICÓW I T. P. DLA WYKORZYSTANIA DO POWYŻ- : : : : : : : : SZEGO WYDAWNICTWA : : : : : : : :

75 —

348465
2.06.78

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
CM 314447
000-314447-00-0